

CEZARY CHLEBOWSKI

POZDRÓWCIE

GÓRY

ŚWIĘTO-

KRZYSKIE

CEZARY CHLEBOWSKI

POZDRÓWCIE

GÓRY

ŚWIĘTO-

KRZYSKIE

**REPORTAŻ HISTORYCZNY
WYDANIE VI POPRAWIONE I ROZSZERZONE**

**WYDAWCA: TOMASZ CHLEBOWSKI
WARSZAWA 1993**



*Żołnierzom „Ponurego”
poświęcam*

Wstęp

Habent sua fata libelli. Tak, również i książki mają swój los, swoją historię, swoje przygody. Oczywiście nie wszystkie. Są i takie – a jest ich chyba większość – których poród w każdej epoce odbywa się bez konfliktów i perturbacji i poprzedza monotony żywot, sprowadzający się do cierpliwego oczekiwania w księgarni na czytelnika. W okresie PRL tytułów takich ukazały się tysiące, gdyż niezależne od generalnie negatywnej jego oceny, był to okres książce sprzyjający.

Szkopał jednak w tym, że nie każdej. Były i takie, na których drodze od autora do czytelnika piętrzyły się przeróżne bariery i szlabany. Przede wszystkim, choć nie wyłącznie, odnosiło się to do książek usiłujących przekazać odbiorcy prawdę i tylko prawdę o najnowszych dziejach jego ojczyzny. Fakt, iż prawda ta z reguły różniła się znacznie od wersji lansowanej przez tych, którzy sprawowali w tej ojczyźnie uzurpatorskie rządy i przez posłusznych im historyków, sprawiał, że droga takich książek do czytelnika była w pełnym znaczeniu tego słowa drogą przez mękę.

Autorzy i uznający ich racje wydawcy musieli – uporem, lecz częściej fortem – przełamywać rozliczne przeszkody, szukać luk w murze, jakim książkę, o której wydanie walczyli, odgradzano od czytelnika, z góry przy tym zakładając, że w końcu pewnie i tak poniosą klęskę, bo maszynopis książką się nie stanie. Chyba, że zapłacą za to cenę, której płacić nie chcieli. Ale to właśnie, te trudności i te szkany, sprawiały, że ukazanie się każdej takiej książki – choćby okaleczonej przez cenzurę lub jej dysponentów – było wydarzeniem na rynku księgarskim i więcej, bo znaczącym krokiem naprzód na drodze prowadzącej do odkłamania naszej historii. Takie książki, jeśli tylko zdołały przebić się do księgan, nie czekały na czytelnika, lecz czytelnik ustawiał się po nie w długich kolejkach. Mimo że recenzenci pomijali je milczeniem, mówili o nich wszyscy.

Każda z nich dokonywała jakiegoś wyłomu w murze odgradzającym społeczeństwo od prawdy, każda z nich ukazywała choćby niewielki tej prawdy fragment, podważając tym samym autentyczność ukształtowanego przez oficjalną historiografię i propagandę obrazu naszej rzeczywistości, który w intencjach jego autorów miał do końca świata kształtować świadomość historyczną Polaków.

Niestety, niewiele było takich książek. „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie” Cezarego Chlebowskiego zajmują wśród nich czołowe miejsce. Jej losy, zabiegi, manewry i fortele, umożliwiające jej kolejne wydania, pretensje kierowane pod adresem autora nie tylko z tej strony, z których ich się spodziewał, ale również i z tej, z której ich nie oczekiwał – wszystko to stanowi niemal gotowy scenariusz filmu, odzwierciedlającego klimat tamtej, na szczęście minionej, epoki. Szkicem takiego scenariusza jest zamieszczone w tym wydaniu posłowie autora. To także swoisty dokument.

Oczywiście nie będą go tu streszczał. Czytelnikom jednak radzę się z nim zapoznać. Po prostu dlatego, iż przypomina on to, o czym niektórzy nie raczą dziś pamiętać: że nie trzeba było czekać aż do roku 1989, by stanąć w obronie honoru oraz czynu zbrojnego Armii Krajowej i jej żołnierzy, lecz można było to zrobić o wiele lat wcześniej.

*

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w październiku 1968 roku. Był to czas „późnego Gomułki”, który – z trudem dźwigając brzemień hańby, jaką okrył go Marzec – szybko zbliżał się do kresu swych dyktatorskich rządów. Kres ten nadszedł w ponad dwa lata później, gdy „towarzysz Wiesław” przy akompaniamencie salw karabinowych, bijących na jego rozkaz w stoczniovców i portowców, w niesławie musiał zejść ze sceny.

Gwoli prawdy przypomnijmy jednak, że w powojennych dziejach Polski nie był to okres najcięższy.

Przyznają to również działacze rodzącej się wówczas opozycji, których wtedy pałowano, gazowano i zamykano. Ale czas torturowania AK-owców, mordowania ich w kazamatach UB, kapturowych sądów i niczym nieograniczonego terroru wobec ludzi myślących inaczej niż partia, był już poza nami. Podobnie jak czas, gdy o AK mogły ukazywać się jedynie książki oskarżające ją o wszystkie możliwe do popełnienia zbrodnie: współpracę z hitlerowcami, mordowanie ludzi lewicy, nienawiść do demokracji.

Wtedy, w 1968 roku, stosowano już inną taktykę: pomniejszania czynu zbrojnego Armii Krajowej, dzielenia jej na patriotycznie myślących żołnierzy i reakcyjnych dowódców, wykazywania, że stanowiła ona instrument w rękach polityków dążących za wszelką cenę do uchwycenia władzy i gotowych w imię osiągnięcia tego celu do rozpętania następnej zawieruchy wojennej.

Ci wszyscy, którzy uważali, że na temat Armii Krajowej mają coś do powiedzenia, bo albo sami wnieśli liczący się wkład w jej walkę, albo posiadli o niej wystarczający zasób wiedzy, musieli wówczas dokonać wyboru. Mieli trzy możliwości:

– milczeć, względnie pisać do szuflady. Wielu zdecydowało się na ten wariant, co – w drugim przypadku – zaowocowało po roku 1989 wydaniem przynajmniej kilku wartościowych pozycji, pisanych szereg lat temu i cierpliwie czekających na czas, gdy będą mogły być wprowadzone w obieg czytelnicy;

– pisać tak, jak sobie życzyli ówczesni dysponenci i decydenci. Rozwijać ich tezy, szukać argumentów uzasadniających ich kłamstwa, kreować historię według przepisanej przez innych recepty. Zapewniało to różnorakie korzyści i przywileje, począwszy od wysokich nakładów i prestiżowych nagród aż po mandaty w powołanych przez PZPR sejmach; a cena, jaką musieli za to zapłacić wydawała im się wówczas niewielka: pogarda ze strony topniejącej szybko grupy ludzi, znających prawdę, lecz nie mających żadnych możliwości jej wyegzekwowania i powiedzenia im publicznie, w twarz, że łą.

Tę hańbiącą pisarza i historyka opcję także wielu przyjęło. Niestety, bardzo wielu. Kierując się chrześcijańskim miłosierdziem nie wymieniamy ich nazwisk. Na ogół zresztą są one znane;

– była jednak i trzecia możliwość: uczynić wszystko, by chociaż jakąś część prawdy ocalić od zapomnienia. By – póki jeszcze żyją uczestnicy i naoczni świadkowie wydarzeń – utrwalić ich relacje, zrekonstruować coraz bardziej zamazujący się w pamięci obraz tamtych lat, uratować możliwe jeszcze do uratowania dokumenty i odkłamać w ten sposób historię. Wybranie tej możliwości było równoznaczne z rozpoczęciem ciężkiej i niewdzięcznej pracy, która w ówczesnej sytuacji politycznej nie rokowała nadziei na sukces. Ale była niezbędna, bo chroniła przed pograżeniem w niebycie ludzi, którzy swą walką i ofiarą zasłużyli na godne i trwałe miejsce w pamięci narodu. Była niezbędna, bo w zalewającym nas oceanie fałszerstw poszerzała akwen prawdy.

Wśród niezbyt licznych grona pisarzy i historyków, którzy poszli tą trzecią, najtrudniejszą drogą był Cezary Chlebowski. Sprowokowany kłamstwami powielanymi w książkach o wielotysięcznych nakładach, postanowił zmierzyć się z tematem szczególnie trudnym i obolałym: napisać prawdę o „Ponurym”, jego zgrupowaniach i jego żołnierzach.

Dziś, gdy w wolnej Polsce, w której zapomnieliśmy już o cenzurze, czyta się ten wielki, historyczny reportaż, może dziwić, dlaczego to ówczesne władze PRL tak energicznie przeciwstawiały się wydaniu książki o „Ponurym”. A także dlaczego przez tyle lat nie chciały się zgodzić – mimo braku sprzeciwu ze strony radzieckiej – na sprowadzenie w Góry Świętokrzyskie jego szczątków, pochowanych na Białorusi, co nastąpiło dopiero, w dużym stopniu dzięki książce Chlebowskiego i jego staraniom, w roku 1988.

Z pewnością mjr Jan Piwnik nie był sympatykiem komunistów ani tym bardziej komunistą. Miał, z punktu widzenia PRL, dwa poważne haki w życiorysie: był oficerem Policji Państwowej i skakał do Polski jako cichociemny. Kiedyś jego partyzanci przetrzepali koniokradów z Gwardii Ludowej, którzy pobili rannych żołnierzy zgrupowania i próbowali zagarnąć partyzancką broń.

Ale na tym kończy się rejestr jego grzechów wobec władzy ludowej. Komunistów nie mordował, nie

atakował grasujących na Kielecczyźnie ich bojówek, miał w szeregach podległych mu oddziałów zbiegłych jeńców radzieckich, dla których był dobrym i sprawiedliwym dowódcą, wielce przez nich szanowanym. Na dodatek między nim a Komendą Okręgu istniał długotrwały konflikt, przejawiający się niekiedy w bardzo ostrych formach, który doprowadził w końcu do karnego, praktycznie biorąc, odwołania go z dowództwa zgrupowań i przeniesienia na nowy, zupełnie mu nie znany teren. Ten ostatni wątek powinni przecież, zdawałoby się, skwapliwie podjąć PRL-owscy propagandiści, posługując się nim jako dowodem na to, że akowska góra hamowała walkę zbrojną podległych jej dowódców i represjonowała tych spośród nich, którzy nie chcieli podporządkować się jej decyzjom.

Co najważniejsze zaś, tak się fortunnie dla historyków przyszłej PRL złożyło, że „Ponury” poległ już 16 czerwca 1944 roku w zwycięskim szturmie na niemiecki stützpunkt w Jewłaszach w Okręgu Nowogródzkim. A więc przed „Burzą”, przed zdradzieckim rozbrojeniem przez Armię Czerwoną oddziałów AK na północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, przed rozpoczęciem ostatniej, straceńczej bitwy, jaką drugiemu okupantowi wydali pozostali w lasach żołnierze AK.

Nie wiemy, jak potoczyłyby się losy mjr. Piwnika, jeśli by wtedy nie zginął, a wszelkie spekulacje na ten temat byłyby czynnością jałową. Liczą się fakty. A te są takie, że jego żołnierska śmierć pod Jewłaszami sprawiła, iż nie mógł później znaleźć się na tej samej linii walki, co „Zapora”, „Orlik”, „Łupaszka”, „Warszyc” i tylu, tylu innych. Nie było więc powodów, by został nienawidzony i przeklęty przez komunistów, co stało się udziałem tamtych. A była to, przypomnę, nienawiść zapiekła, trwająca do dziś, przejawiająca się w różnych formach. Niekiedy wręcz paranoicznych.

W tymże roku 1968, kiedy ukazało się pierwsze wydanie „Gór”, Instytut Wydawniczy PAX wydał zbiór relacji pt. „Zamojszczyzna w okresie okupacji hitlerowskiej”, stanowiący plon konkursu, zorganizowanego przez redakcję tygodnika WTK, który wówczas prowadziłem. Gdy nakład (5 tys. egz.) był już przygotowany do ekspedycji, cenzura go aresztowała, wydając zakaz rozpowszechniania. Jak się okazało, któryś z, pozał się Boże, „historyków” doniósł, że wśród zamieszczonych w książce ilustracji są dwa zdjęcia „Zapory”. To wystarczyło, by wartościową książkę przeznaczyć na przemiał. Uratowało ją to, że ze wszystkich egzemplarzy wycięto wklejki z tymi feralnymi zdjęciami.

No, cóż, zdjęcia „Zapory” z książki wydarto, ale samego „Zapory” z historii Polski wydrzeć się nie da. W żołnierskiej chwale wrócił już na jej karty.

W odniesieniu do „Ponurego” sprawa wyglądała nieco inaczej. Jak już powiedziałem, PRL nie miała takich, jak w przypadku „Zapory”, powodów, by go nienawidzić. Także jednak czyniono wszystko, ażeby imię jego zostało z dziejów walki Polaków wykreślone, a pamięć o nim zgasła wraz z odejściem ostatnich jego żołnierzy.

Przyczyna tego jest prosta.

Był przecież mjr Piwnik symbolem Polski Walczącej, symbolem podziemnego wojska, podporządkowanego legalnemu rządowi RP i Naczelnemu Wódzowi. Uosabiał niezłomną walkę o wolność i nienaruszalność granic Rzeczypospolitej, prowadzoną na całym jej obszarze od Warty i Odry po Dźwinę, Horyń i Zbrucz. Jego żołnierska biografia i dzieje jego zgrupowań zadają kłam uparcie lansowanej przez komunistów tezie, jakoby to ich bojówki pierwsze podjęły walkę zbrojną z niemieckim okupantem, przewodziły jej i aż do końca dźwigały główny jej ciężar. Świadczą o czymś wręcz odwrotnym: o tym, że jedynym wojskiem, uznawanym przez naród w latach okupacji za polskie, za własne, cieszącym się powszechnym mirem i szacunkiem, traktowanym przez ludność okupowanego kraju nie tylko jako jej tarcza i miecz, ale również jako pracowita władza administracyjna, wykonawcza i sądownicza, była Armia Krajowa.

Dlaczego więc w PRL mianoby wydawać książki, które te prawdy przypominały? Żeby dezawuować obowiązującą wersję historii? Żeby mącić młodym w głowach? Żeby poszerzać i umacniać legendę AK?

Oczywiście ani cenzura, ani nawet KC PZPR nie miały dość siły, by skutecznie przeciwstawić się tej legendzie. Miał w pełni rację dawny partyzant „Jędrusia”, dzielny żołnierz AK, podchorąży „Bobo” (Zbigniew Kabata), gdy w swym znanym dziś powszechnie wierszu „Armia Krajowa”, napisanym w r. 1964 w Kanadzie, gdzie stale mieszka, a przesłanym m.in. Chlebowskiemu, który w wielkim stopniu przyczynił się do jego upowszechniania w kraju, napisał:

„Nas nie stanie, lecz ty nie zaginiesz.

Pieśń Cię weźmie, legenda przechowa.

Wichrem chwały w historię popłyniesz

Armio Krajowa”.

Temu funkcjonariusze PRL w żaden sposób zapobiec nie mogli. Dlaczego jednak mieliby przyczyniać się do upowszechniania tej legendy poprzez wyrażanie zgody na wydawanie takich książek, jak „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”? Z ich punktu widzenia o wiele korzystniej byłoby, jeśliby cisza, spowijająca zbutwiałą trumnę na wiejskim cmentarzu w dalekiej Wawiórcie, trwała jak najdłużej.

Stąd te trudności, które autor musiał przełamywać, by książka mogła się ukazać. Chlebowski jest jednak człowiekiem upartym, obdarzonym dużą siłą przebicia, nie kapitulującym przed wznoszonymi na jego drodze przeszkodami i to sprawiało, że cel osiągnął. Niewątpliwie pomogło mu w tym grono ludzi, bardzo wprawdzie różniących się od siebie, nawet o przeciwstawnych poglądach politycznych, ale rozumiejących zarówno rangę sprawy, którą ta książka wyrażała, jak i to, że prawdy historycznej żadne cenzorskie szlabany nie zdołają zatrzymać, bo w końcu zawsze je ona zmiecie.

Dzięki temu wtedy, gdy w wyniku przemian, które zaszły w Polsce, szlabany te runęły i historycy mogli wreszcie przystąpić do zapisywania tak wielu pustych dotychczas kart naszych dziejów najnowszych – „Ponurego”, w odróżnieniu od „Zapory” i innych, w te dzieje wpisywać nie musieli. Ponad dwadzieścia lat przed tym uczynił to bowiem Cezary Chlebowski.

Tego nikt nie zaneguje.

*

Rzecz jasna, że Chlebowski swej walki o honor Armii Krajowej i o prawdę o jej czynie orężnym nie toczył w pojedynkę. Nie był ani jedynym sprawiedliwym, ani samotnym rycerzem. Bój ten, z takim samym uporem, toczyło spore grono pisarzy, historyków i publicystów, reprezentujących zarówno pokolenie, które uczestniczyło w wydarzeniach ostatniej wojny, jak i to, które przyszło na świat dopiero po jej zakończeniu.

Nazwiska tych ludzi wpisać należy złotymi zgłoskami w dzieje naszej historiografii, dlatego nie będę ich wymieniał, bo nie mnie ferować oceny i sporządzać rejestry bądź chwały bądź hańby. Ci, którzy powinni znaleźć się w pierwszym z nich, w minionych latach częściej doznawali porażek, niż odnosili zwycięstwa, ale przecież i takie były, o czym zaświadcza trochę książek wydanych w tamtej epoce, ale do dziś cenionych i zajmujących honorowe miejsca w naszych domowych bibliotekach. Są wśród nich dwie książki Chlebowskiego („Góry” i „Wachlarz”), ale są i inne.

Każda z nich świadczy o tym, że i wtedy – choć kłamstwo było w cenie i przynosiło profity – nikt nikogo do kłamstwa nie zmuszał. I o tym, że i wówczas można było przebić się z prawdą.

Oczywiście wymagało to niemałego wysiłku, rezygnacji z różnych apanaży, niekiedy związane było z ryzykiem zahamowania bądź nawet całkowitego wykoślenia kariery naukowej czy publicystycznej.

Byli jednak tacy, którzy poszli tą drogą. Szło się im nią trudno, bo zazwyczaj czynili to w pojedynkę. Niewielu mogło liczyć na pomoc wydawców czy wsparcie ze strony wychodzącej w PRL prasy. Jeszcze dziś lektura tego, co ówczesne gazety i tygodniki – z „Trybuną Ludu”, „Żołnierzem Wolności” i zbawidowskim „Za Wolność i Lud” na czele – wypisywały na temat historii najnowszej, sprawia, że włosy na głowie jeżą się ze zgrozy.

Tytułów prasowych, na których odsiecz mogli liczyć historycy, podejmując tematy złe lub bardzo złe widziane przez zarządców PRL, było mniej niż palców u jednej dłoni. Prócz paru niskonakładowych i trudno dostępnych periodyków – przede wszystkim „Tygodnik Powszechny”. Ale także, o czym Cezary Chlebowski pisze w posłowie – paxowski WTK.

Odnotowuję to ze zrozumiałą satysfakcją, bo po przeniesieniu tego tygodnika z Wrocławia do Warszawy byłem autorem jego koncepcji i redagowałem go przez kilkanaście lat, od r. 1958 do końca r. 1970.

Istotnie, czyniliśmy wtedy wszystko, ażeby przez otaczającą nas gęstwinę kłamstw i fałszerstw torować drogę prawdzie o Polsce Walczącej, o jej armii, o jej żołnierzach. Robiliśmy to zarówno w tygodniku, jak i w naszym, znanym w Warszawie, klubie dyskusyjnym, funkcjonującym pod przykrywką – bo przecież tak to w istocie rzeczy było – Ligi Obrony Kraju. Właśnie wtedy Chlebowski znalazł drogę i do naszej redakcji, i do naszego klubu, a my – na miarę naszych możliwości – zaczęliśmy mu pomagać w tym, co robił dla tej wielkiej sprawy, której i WTK pragnął służyć.

O naszych osiągnięciach i porażkach, o permanentnej wojnie z cenzurą, o cenie, jaką za nią płaciliśmy – nie mnie pisać. Wystarczy, że inni – wśród nich Cezary Chlebowski – dobrze WTK wspominają.

Skończyło się tak, jak skończyć się musiało: w końcu 1970 r. na polecenie Zenona Kliszki zostałem zdjęty ze stanowiska redaktora naczelnego. Za „gloryfikację AK”. Odbywało się to zresztą w sposób mniej brutalny niż dwa moje poprzednie odejścia: z „Dziennika Bałtyckiego”, skąd UB przegoniło mnie aż do Bydgoszczy i z bydgoskiego „IKP”, skąd wyleciałem na zbity łeb, otrzymując jako gratyfikację rok więzienia za znieważenie w gazecie marszałka Rokossowskiego.

Z WTK wróciłem do „Słowa Powszechnego”, mającego jeśli chodzi o historię najnowszą – linię niemal identyczną, jak tygodnik, z którego musiałem odejść. Znowu pojawił się Chlebowski.

W „Słowie” staraliśmy się robić to samo, co w WTK, aczkolwiek na mniejszą trochę skalę, bo co ujść może w tygodniku, nie zawsze odpowiada kryteriom dziennika. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, problematyka AK nie była już wprawdzie dla cenzury czerwoną płachtą, istniały jednak wielkie jej enklawy, do których dostęp ciągle był surowo zabroniony. Najobszerniejszą z nich stanowiły dzieje stosunków polsko-radzieckich w II wojnie, łącznie z tym, co się wówczas działo na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. W mur, uniemożliwiający penetrację tego obszar bezskutecznie waliliśmy głowami przez długie lata.

Inni też wiedzieli, że mur nie ustąpi. Gdy w 1973 r. Chlebowski ukończył swą fundamentalną pracę o „Wachlarzu” i złożył wniosek o otwarcie na jej podstawie przewodu doktorskiego, jeden z luminarzy polskiej historiografii, po zapoznaniu się z maszynopisem, orzekł:

– Doktorat pewnie będzie, ale praca do szuflady!

I nic dziwnego, że gdy wkrótce później, jako tzw. „recenzent wewnętrzny” oceniałem tę pracę na prośbę Instytutu Wydawniczego PAX, który chciał ją wydać, po oddaniu dzieła tego, co mu się święcie należało, po uwypukleniu, na czym polega jego nieprzemijająca wartość, napisałem:

„...gdyby Chlebowski sądził, że praca w tej wersji może się ukazać – świadczyłoby to tylko o tym, że z jego władzami umysłowymi nie wszystko jest w porządku.”

Mniej więcej po upływie dziesięciu lat, bo w r. 1983, wyszło I wydanie „Wachlarza”. Dzięki uporowi autora, którego dzielnie wspierał IW PAX, oficyna wydawnicza, mająca niekwestionowane przez nikogo zasługi w dziedzinie odkłamywania dziejów Polski. Ale także – a raczej przede wszystkim – dzięki temu, że Polska AD 1983 nie była Polską AD 1973. Wbrew więc pozorom wyszło na moje, bo zacytowana wyżej opinia odnosiła się do Polski z roku 1973, a zatem przedsierniowej, krótko jeszcze przez komunistów trzymanej w cuglach i wtedy była w pełni uzasadniona.

Przytoczyłem ją w przedmowie do „Wachlarza”, którą napisałem na próbę autora (nie ukazała się

zresztą ani w I, ani w II wydaniu, bo przejawiany wówczas przez różnorodnych cenzorów liberalizm też miał swe granice), proponując Chlebowskiemu, by moją zgryźliwą, lecz dyktowaną poczuciem realizmu opinię, że musi z nim być coś nie w porządku, jeśli poważnie myśli o wydaniu tej pracy, umieścił jako motto na pierwszej stronie książki. Nie skorzystał z tej propozycji, jego sprawa.

Ale był to już, powtarzam, rok 1983. Poprzedził go pamiętny Sierpień 1980. Wtedy to właśnie w owym murze, odgradzającym nas od najboleśniejszych rozdziałów naszej historii, pojawiły się pierwsze pęknięcia, a wkrótce luki.

„Słowo Powszechne”, które miałem wówczas zaszczyt redagować, wdarło się w nie natychmiast. Chlebowski, aktywnie zaangażowany w budowanie sekcji kombatanckiej przy KK „Solidarności”, mógł wreszcie pisać to, co chciał (ściślej: prawie to, co chciał).

W gazecie ukazywały się teksty, których druk jeszcze przed kilkoma miesiącami spowodowałyby jej likwidację, a redaktora zaprowadził na Rakowiecką. Wystarczy powiedzieć, że na początku listopada 1981 napisałem – i, o dziwo, wydrukowałem – duży artykuł, poświęcony memu dawnemu dowódcy, „Orlikowi”, podobnie jak „Zapora” zniechęconemu przez komunistów, bo aż do swej żołnierskiej śmierci w czerwcu 1946 dowodził zgrupowaniem partyzanckim, które „władzy ludowej”, jej utrwalaczom i wspomagającym ich formacjom NKWD szczególnie wiele sadła zalało za skórę. W artykule tym zaprezentowałem „Orlika” jako oficera godnego szacunku i pamięci i upominałem się o jego żołnierską część, co zresztą z ogromną irytacją wypomniano mi półtora miesiąca później, w czasie przesłuchania w MSW.

Ale zanim to nastąpiło, aż do chwili proklamowania stanu wojennego po spienionym morzu naszej historii najnowszej płynęliśmy ku prawdzie pod pełnymi żaglami. Dzięki, to trzeba podkreślić – „Solidarności”.

Nie dopłynęliśmy. Znow musiałem odejść z redaktorskiego stołka. Po raz czwarty w swej dziennikarskiej karierze. (W nawiasie dodam, że nie po raz ostatni, bo w marcu 1992 r. wyrzucili mnie z „Polski Zbrojnej”, wprowadzając tylko na krótko, bo na okres, trwający do końca ich kadencji, panowie Parys i Szeremietiew).

Tę czwartą wyrzutkę po wprowadzeniu stanu wojennego przyjąłem bez szczególnych emocji.

„Czymże bowiem są – pisałem w owej wyżej przypomnianej niewydrukowanej przedmowie do „Wachlarzu” – małe szykany, wyrządzone jakiemuś redaktorowi przez małych i krótkowzrocznych ludzi w zestawieniu z wielkością spraw, które te książki wyrażają i z rolą, jaką odegrały one w odkłamywaniu tak okrutnie poniewieranej historii ojczystej?”

Pisząc to, miałem na myśli tych kilka znaczących w tej dziedzinie książek, do powstania i promocji których przyczyniły się WTK i „Słowo Powszechne”. Są wśród nich dwie książki Cezarego Chlebowskiego, co czyni je szczególnie mnie bliskimi.

Stąd ta przedmowa.

*

Stan wojenny, jak wiemy, niczego nie zamknął, lecz wszystko otworzył. Także w zakresie historii najnowszej.

Wyłomu w murze, którego dokonał Sierpień 80, władza nie zdołała już załatać. Poszerzał się on z każdym rokiem i płynęły nim coraz to nowe teksty, rozświetlające ciemność, jaka przez dziesięciolecia spowijała poszczególne rozdziały naszych dziejów. Niósł je przede wszystkim drugi obieg. Ale nie tylko.

To przecież właśnie wtedy ukazały się „Wachlarz”, „Cichociemni” Jędrzeja Tucholskiego i – myślę, że nikt mi nie zarzuci, iż uprawiam autoreklamę – „Polska Walcząca” niżej podpisanego. Poprzestaję na tych trzech tytułach, choć mógłbym ich wymienić więcej.

O tym nie można zapomnieć. Nie można zapomnieć i o tym, że droga do prawdy została już przetarta, że

na drugą stronę ciągle jeszcze istniejącego muru zdołały się przedrzeć pozycje, których żadna siła nie zdołałaby stamtąd wycofać i zniszczyć, wśród nich, odgrywająca pionierską rolę, książka Chlebowskiego o „Ponurym”. To było jednym z istotnych powodów, iż wtedy, gdy partyjno-wojskowa junta dusiła naród pętlą drakońskich, stanowionych przez nią praw, gdy rozluźniła się sieć cenzury przechwytyjąca książki z zakresu historii najnowszej, wtedy komunistyczna wersja historii Polski już była skompromitowana i nic nie mogłoby jej uwiarygodnić.

A dokonało tego tak niewielu ludzi.

Myślę więc, że Cezary Chlebowski, który jest wśród nich, ma dziś prawo do satysfakcji. I nie powinny mu jej psuć różne złośliwości i pretensje, o jakich z goryczą pisze w posłowiu.

Jak świat światem uczestnicy wydarzeń zawsze zarzucali autorom o tych wydarzeniach piszącym, że coś tam pominęli, kogoś nie dostrzegli, a kogoś innego nadmiernie wyeksponowali. Tak jest i u nas, a po przełomie, jaki nastąpił w 1989 roku, zjawisko to, niestety, jeszcze bardziej się nasiliło. Po prostu dlatego, że przybyło nam kombatanów i że w kolejce po bojowe laurki stanęli również i ci, którzy zaledwie kilka lat temu swą dawną przynależność do AK skrzętnie ukrywali, lękając się ujawnienia jej jak diabeł święconej wody.

Historia, ta prawdziwa, ma jednak to do siebie, że nie można w niej czynić dowolnych korektur, dopisywać jednych, skreślać innych. Na książkach, które jakiś fragment tej historii utrwaliły w sposób rzetelny, zweryfikowany przez uczestników wydarzeń, takich machinacji przeprowadzić się nie da. *Verba volant, scripta manent*.

Do zespołu, który dokonał zamachu na Kutschereę, nikt już nie dopisze jednego bodaj nazwiska. Nikt – nawet o własnego ojca czy dziadka – nie powiększy liczby uczestników akcji pod Arsenalem, rejestru cichociemnych, listy uciekinierów ze Skrobowa. Nikt już nikogo nie zamustruje do wykonania prowadzonego przez „Ponurego” uderzenia na więzienie w Pińsku, nikt nikogo nie mianuje dowódcą jednego z jego zgrupowań czy oddziałów.

Dlatego kolejne wydanie „Gór” czytelnik otrzymuje w takiej wersji, w jakiej dzieło to powstało. Dlatego też należy ona do tych tak niewielu książek, które w hałdzie pozostawionej nam przez PRL makulatury na temat wojny i okupacji lśnią tym samym blaskiem, co ongiś, mimo upływu lat nie zwietrzały, nie muszą być uzupełniane i poprawiane.

Niestety, są ludzie, którzy nie rozumieją tej okrutnej dla nich prawdy o niedopuszczalności korygowania historii. Jeśli zaś mają oni do czynienia z takim autorem, jak Chlebowski – o niewyparzonym języku, mówiącym to, co myśli, nie owijającym spraw w bawełnę, niewątpliwie konfliktowym – to zrozumiałe, że ogarnia ich frustracja, przechodząca niekiedy w agresję.

Ale nie należy brać tego do serca, panie Cezary. Proszę wybaczyć mi tę nutę osobistą, lecz sądzę, iż upoważnia mnie do niej to, że dawno już minęło ćwierć wieku od chwili, gdy razem orzemy ten tak straszliwie do niedawna jeszcze zachwaszczony ogród dramatycznych dziejów Polski i Polaków. Wiele przez ten czas przeszliśmy, z wieloma ludźmi przyszło nam wspólnie walczyć, wiele razy dostawaliśmy po głowach. Ale warto było.

I proszę mi jeszcze pozwoić, że kończąc ten przydługi wstęp do Pana książki, która – jak sam Pan w posłowiu to przypomina – rozpoczęła swą drogę na szpaltach redagowanego przeze mnie WTK, strawestuję przytoczony cytat z samego siebie, pochodzący z owej niewydrukowanej przedmowy do „Wachlarza”:

Czymże są małe szykany, wyrzadzane przez małych ludzi, w zestawieniu z wielkością sprawy, o którą przez tyle lat Pan walczył?

Jerzy Ślaski

Warszawa, 25 października 1992



Powrót do kraju

Część I

Jesienią 1941 roku pomiędzy nadbużańską granicą ówczesnego Generalnego Gubernatorstwa a linią frontu wschodniego znalazły się ziemie wielkością kilkakrotnie przekraczające powierzchnię Polski. Było to w mniejszym lub większym tego słowa znaczeniu zaplecze niemieckiego frontu. Obejmowało terytorium z zachodu na wschód od Brześcia aż po przedpola Moskwy, a z północy na południe od jeziora Ładoga do Krymu.

W drugiej połowie 1941 roku był to teren pustynny, zrujnowany, martwy. Dopiero w jakiś czas potem – na wiosnę i w lecie 1942 roku – spadochroniarze radzieccy zaczęli tworzyć na tym olbrzymim obszarze partyzancką siłę zbrojną, w skład której weszli żołnierze z okrażonych w czasie działań 1941 roku jednostek, uciekinierzy z obozów jenieckich oraz ludzie opuszczający masowo swoje siedziby w trosce o własną głowę.

Jeszcze przed niemieckim uderzeniem na ZSRR w kołach Związku Walki Zbrojnej powstała koncepcja powołania do życia, w przewidywaniu takiego starcia, organizacji dywersyjnej działającej na zapleczu armii niemieckiej, na wschód od przedwojennych granic Polski.

Przewidywano, że w początkowym okresie konfliktu Wehrmacht dotrze co najmniej za rzeki Dźwinę i Dniepr. Zadaniem nowej organizacji dywersyjnej miało być osadzenie w sąsiedztwie dwudziestu dwu głównych mostów kolejowych i drogowych, przerzuconych przez obie te rzeki, patroli dywersyjnych, które – na razie zakonspirowane i ukryte – oczekiwałyby wybuchu na ziemiach polskich ogólnonarodowego powstania. Wtedy, na sygnał z kraju, miały jednocześnie wysadzić wszystkie mosty, a następnie stać się zalążkiem oddziałów partyzanckich, które uniemożliwiłyby ich odbudowę.

Akcja ta, zwana „Osłoną”, miała na celu rzeczywistą osłonę powstania narodowego przed przerzuconymi w pośpiechu dywizjami frontowymi, którymi zapewne Niemcy chcieliby stłumić polskie działania zbrojne. Pośrednim zadaniem miało być także doprowadzenie do zasadniczych rozstrzygnięć militarnych na ziemiach radzieckich.

Stanowisko kierownictwa konspiracji, nacechowane początkowo rezerwą do tych planów, uległo radykalnej zmianie po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, a po sforsowaniu przez niemieckie dywizje Dźwiny (26 czerwca 1941 r.) i Dniepru (8 lipca 1941 r.) stało się wręcz przychylnie.

Wtedy to, na tajnej naradzie z udziałem gen. „Grota” – Stefana Roweckiego, płka „Grzegorza” – Tadeusza Pełczyńskiego oraz projektodawców nowej organizacji: mjra „Damiana” – Jana Włodarkiewicza (dowódcy niedawno podporządkowanej ZWZ Tajnej Armii Polskiej) i mjra „Brochwicza” – Remigiusza Grocholskiego (dowódcy organizacji „Brochwicz”), podjęto decyzje powołujące do życia „Wachlarz”, zwany także „Akcją W”.

Na wiosnę 1942 roku pierwotne zadania uległy zasadniczej zmianie. Zamiast spokojnego oczekiwania na sygnał do przeprowadzenia akcji, odcinającej front od zaplecza, polecono wchodzącym dopiero na obcy teren patrolom prowadzenie bieżącej i ciągłej akcji sabotażowej.

Stało się tak na skutek nacisków – przede wszystkim finansowych – zachodnich sojuszników na sztab Naczelnego Wodza. Alianci wyrazili bowiem gotowość pokrycia 2/3 wydatków związanych z działaniem „Wachlarza”, o ile bezzwłocznie zacznie prowadzić skuteczną walkę dywersyjną na liniach komunikacyjnych niezbędnych dla zaopatrzenia frontu wschodniego¹. Miała to być namiastka drugiego frontu, którego zachodni sojusznicy stworzyć jeszcze wtedy nie mogli.

¹ W rzeczywistości „Wachlarz” do końca swej działalności otrzymał ponad 2 mln zł okupacyjnych oraz około 300 tys. dolarów. W tym zaś czasie – poczynając od kwietnia 1942 r. – na cele „Wachlarza” planowano połowę dotacji przewidzianej na całą Armię Krajową, czyli ponad 4 mln dolarów.

Podjęcie natychmiastowych zadań przez patrole dywersyjne, nie znające jeszcze obcego terenu, stało się powodem poważnych strat, które wyniosły na niektórych odcinkach około czterdziestu procent stanu (miało się to stać dopiero w rok po działaniach objętych naszą relacją).

Na jesieni 1941 roku podzielono teren działania „Wachlarza” na pięć odcinków – kierunków

rozchodzących się klinami od Warszawy na wschód. Ten układ dał początek nazwie organizacji. System ruchliwych pięcioosobowych patroli dywersyjnych czynił z niej twór całkiem nowy, o nie znanych dotąd na tę skalę formach działania.

Ludzie, którzy mieli uczestniczyć w akcjach sabotażowych, pochodzili albo z miejscowej dywersji, albo też byli przysyłani na praktyczne przeszkolenie z Warszawy lub innych ośrodków walki.

Zasadniczo terenem działalności „Wachlarza” były ziemie leżące poza dawną wschodnią granicą Polski, a więc na terenach radzieckich. Wobec tego jednak, że niewielu było tam Polaków, którzy mogliby stanowić oparcie dla wachlarzowców, bazą wypadową patroli miały stać się niedawne polskie województwa kresowe, to jest wileńskie, nowogródzkie, Polesie, Wołyń i Podole.

Jednocześnie od lipca 1941 roku na ziemiach, które znajdowały się w przedwojennych granicach Polski, a które do 22 czerwca 1941 r. były okupowane przez ZSRR, zaczął rozszerzać konspiracyjną siatkę Związek Walki Zbrojnej. Zadania ZWZ były całkowicie odmienne niż „Wachlarz”² – konsolidacja, szkolenie, gromadzenie i zabezpieczanie broni.

² Szerzej o zadaniach i celach organizacji „Wachlarza” autor pisze w książce pt. *Zagłada IV odcinka*, PAX 1968, wznawianej w 1980 r. i 1987 r. oraz w swej pracy doktorskiej pt. *Wachlarz*, PAX 1983, wznawionej w 1985.

Zaistniała więc sytuacja, że na tym samym terenie działały w początkach 1942 roku dwie organizacje, podporządkowane jednemu dowództwu – normalna konspiracyjna siatka akowska³ oraz patrol „Wachlarza”, które ze względu na inny rodzaj zadań, a także większą możliwość „wpadek” przy częstych akcjach, miały zakaz wzajemnego kontaktowania się.

³ Od dnia 14 II 1942 r. na podstawie rozkazu Naczelnego Wodza, Związek Walki Zbrojnej przyjął nazwę Armii Krajowej, używając także okresowo nazwy PZP – Polski Związek Powstańczy.

Wyjątkowe w dotychczasowych warunkach konspiracji 1941/42 r. zadania „Wachlarza” sprawiły, że po krótkotrwałym oporze gen. „Grot”⁴ do kadry oficerskiej weszli najlepsi ludzie odkomenderowani tu z Generalnego Gubernatorstwa.

⁴ „Dam pieniądze, ale nie dam ludzi i broni” – oświadczył „Grot” na lipcowej naradzie w 1941 roku, gdy omawiano formy pomocy ZWZ dla nowo powstającego „Wachlarza”.

Z nastaniem długich jesiennych nocy rozpoczęto loty do okupowanego kraju ze specjalnie szkolonymi w Anglii oficerami dywersji – w Polsce nazywano ich „ptaszkami”, w Anglii zaś cichociemnymi. Oni to mieli z biegiem czasu stać się dowódcami patroli „Wachlarza”.

*

7 listopada 1941 roku zimny wiatr pędził po podskierniewickich polach łachy mgły siekanej kąśliwym kapuśniaczkim. Wczesny zmrok zmaćił i tak nie najlepszą widoczność. Miejscowa placówka ZWZ, powiększona o pościągane z okolicznych wsi posiłki, tkwiła w pogotowiu od dwóch dni, ukryta po chatach i stodołach. Wydobyta ze schowków, otarta z wazeliny broń przyjmowała łakomie w komory zamkowe mosiężną amunicję. Co wieczór stawiano ludzi w stan alarmu, a w chacie, gdzie nocował dowódca, słuchano radia i przed północą odwoływano pogotowie. Dziś kończył się trzeci dzień oczekiwania.

Dowódca kosza zrzutowego „Ugór” raz po raz wychodził przed chatę leżącą nieco z boku polany bliżej lasu, patrzył w ołowiane niebo, machał z rezygnacją ręką i wracał do ciepłej izby.

– Chmury nisko. Nie przylecą i dziś – mówił zawiedziony.
– Przylecą – odpowiadała niezmiennie, spokojnie, ale z dziwną mocą młoda, wysoka szatynka, popijając z kolorowego kubka drobnymi łyčzkami parujące mleko.

Dowódca milkł, ale przekonany nie był. Patrzył ukradkiem na przybyłą i podziwiał. Przystojna była. Młoda, trzydziestki chyba jeszcze nie miała, i taka śmiała jakaś i nawykła widać do rozkazywania. Jego, starego żołnierza przecież z I wojny i potem z 1920 roku, nim się zorientował, w mig wzięła pod rozkazy. A przyjechała z Warszawy raptem półtorej godziny temu. Kto zacz? Hasło znała, to wystarczyło. Ale

komendantowi placówki „Ugór” byłoby rażniej, gdyby tym delegatem Komendy Głównej ZWZ był mężczyzna. Choć przecież łąpał się na tym, że patrzył na nią chętnie.

A „Marcysia” – Emilia Malessa – szef zagranicznej łączności kurierskiej KG ZWZ, wcale nie była taka pewna, czy przylecą tej nocy. Ale bardzo tego chciała. Po niezbyt fortunnej próbie pierwszego przerzutu ludzi drogą powietrzną sprzed trzech kwartałów, w lutym 1941 roku, dzisiejszy przylot w wypadku sukcesu dawał szanse stworzenia całego powietrznego mostu, trwającego aż do końca długich, zimowych nocy, czyli do kwietnia 1942. Dowodem znaczenia dla KG ZWZ tej dzisiejszej akcji był fakt delegowania w okolice „kosza” właśnie jej, kierownika zagranicznej łączności kurierskiej. Anglicy dotąd odkładali rzuty ludzi do Polski tłumacząc, że nie mają samolotów o takim zasięgu. Było w tym wiele prawdy. Bez lądowania, bez możliwości uzupełnienia paliwa maszyna miała pokonać trasę z Anglii aż pod Warszawę i z powrotem. I to nie najkrótszą drogą. Dziś miał być wóz lub przewóz.

„Marcysia” spojrzała na zegarek.

– Niech pan poleci uruchomić radio – powiedziała komendantowi placówki niby zwyczajnie, ale chyba jakoś dziwnie, bo ten zwarł obcasy i powiedział:

– Tak jest – a po chwili dodał – ...proszę pani.

Tymczasem o ponad półtora tysiąca kilometrów od Skierniewic, na podlondyńskim lotnisku Newmarket mechanicy 138 dywizjonu do zadań specjalnych dopieszczali czterosilnikowego halifaxa polskiej załogi dowodzonej przez kpt. Króla. Podwieszano dodatkowe zbiorniki z paliwem, jeszcze raz sprawdzano, czy przez dalsze zrezygnowanie ze zbędnego ładunku lub wyposażenia nie można ulżyć i tak przeciążonej maszynie.

Pogoda wreszcie była dobra, choć słońce, które właśnie zaszło za horyzont, zniknęło w poświacie czerwonej, co wróżyło wiatr.

Ten lot miał znaczenie zasadnicze. Nadano mu kryptonim „Ruction” i numer porządkowy 1. Bo rzeczywiście był to pierwszy, regularny, inauguracyjny lot do kraju.

Miało go – nową trasą – przecierać trzech cichociemnych: por. art. „Donat”-„Ponury” – Jan Piwnik, por. lotn. „Karol Ziege” – Niemir St. Bidziński i kurier polityczny ppor. „Wera” – Napoleon Segiera. W ostatnich blaskach zachodzącego słońca patrzyli na potężnego czterosilnikowego halifaxa, który miał ich przerzucić do kraju. Czy nowa trasa będzie lepsza od tamtej – starej? Czy ich trójce szczęście bardziej dopisze niż tamtej? „Ponury” miał twarz spokojną, tylko ściągnięte krzaczaste brwi pozwalały przypuszczać, że myśli o tamtych sprzed trzech kwartałów.

Przed niespełna 9 miesiącami, w nocy z 15 na 16 lutego 1941 roku, tak samo buczały rozgrzewane silniki dwusilnikowego whitleya, tylko że załoga była brytyjska – kapitana (Flight Lieutenant) Keasta. Lot miał być rekonesansowy, o numeracji „Zero”, a kryptonim otrzymał „Adolphus”. Leciąco wtedy też trzech: kpt. lotn. „Kostka” – Stanisław Krzymowski, por. kaw. „Żbik” – Józef Zabielski i kurier polityczny „Włodek” – Czesław Raczkowski. A i oni przecież także nie mieli „czystego podejścia” – za pierwszym razem. Dwa miesiące wcześniej, 20 grudnia 1940 roku, siedzieli już w kabinie, ale ktoś jeszcze raz wziął ołówek, obliczył i stwierdził, że benzyny starczy na drogę tam i na połowę drogi powrotnej. I choć brytyjska załoga chciała lecieć, zapewniając, że najwyżej siądzie na morzu i łodzie patrolowe ją podniosą, kazano ekipie skoczków wysiadać. Ale potem, w ową lutową noc, polecieci, zasobniejsi nieco w paliwo. Trasa była wariacka: z Anglii nad Kanałem, potem bez bawienia się w omijanie artylerii, prosto jak strzelił nad okupowaną Francją, Berlinem i gdzieś – jak sądzono – koło Łodzi dano im sygnał:

– Go!

Skoczyli w sekundowych odstępach – bo nikt na nich nie czekał – na dziko. Gdy maszyna ucichła, zostali uwieszeni między czarnym niebem a jeszcze czarniejszą ziemią, na świszczących linkach. Gdy na

moment z za chmur błysnęło światło księżyca, dojrzeli niezgodność planów z rzeczywistością. Bo „skok za Łodzią” – taki był bowiem plan – skończył się lądowaniem na Śląsku Cieszyńskim – oto rezultat „drobnej” pomyłki nawigacyjnej brytyjskiej załogi.

Lądowanie było fatalne – por. „Żbik” zapadł się w cienki lód na podmokłej łące i złamał kości śródstopia obu nóg.

A mimo to cała trójka spod Cieszyna, z terenów przyłączonych do Rzeszy, naszpikowanych volksdeutschami, z jednym rannym oficerem, zdołała pokonać granicę i zameldować się w Warszawie⁵.

⁵ Por. „Żbik” – Józef Zabielski, po złożeniu raportu w Warszawie, w jakiś czas później drogą lądową przez Szwajcarię, Francję, Hiszpanię i Portugalię jako kurier wrócił do Anglii. Swoje przeżycia opisał w książce. *Pierwszy skok* wydanej w 1947 r. przez Polską Agencję Drukarską.

Stary whitley na ostatnich dosłownie kroplach benzyny wrócił na macierzyste lotnisko.

Na tym przerwano eksperymenty.

Nad nową wersją przerzutów pracowano trzy kwartały. Wykorespondowano drogą radiową z krajem „kosze” – strzeżone i oznakowane światłami miejsca skoków, przygotowano nową maszynę, większą, silniejszą, bo i trasa do pokonania była dłuższa. I bezpieczniejsza, choć to pojęcie było dość iluzoryczne. Bo cóż z tego, że maszyna zaraz po starcie miała wziąć kurs na wschód z lekkim odchyleniem północnym, czyli szła połowę rejsu nad Morzem Północnym z dala od baterii przeciwlotniczych, ale za to cały czas w zasięgu lotów patrolowych niemieckich myśliwców nocnych. Druga połowa trasy to był kocioł.

Półwysep Jutlandzki, wyspy duńskie, kawałek Bałtyku i 400 kilometrów nad lądem stałym: od Kołobrzegu do Generalnej Guberni, na najbliższy – poza granicą z Reichem – „kosz”, czyli „Ugór” pod Skierniewicami.

W czasie więc, kiedy trzej kandydaci do skoku do Polski nerwowo zaciągali się papierosami na stacji wyczekiwania, służba meteo analizowała ostatnie meldunki o stanie pogody. Musiały być dobre, ale nie za dobre. Broń Boże noc księżycowa na trasie, bo wtedy halifax będzie widoczny dla szybkich myśliwców z dużej odległości. A więc lepsze chmury. Ale nad „koszem” potrzebny jest księżyc, bo to ułatwi zrzut.

– Już piąta. Powinna być decyzja – mruknął w półmroku „Ponury”.

I rzeczywiście. Otworzyły się drzwi salki dowództwa lotniska i ujrzeli w nich najpierw uśmiechniętą twarz oficera od pogody, a potem wyciągnięte ramię z zaciśniętą w pięść dłońią i kciukiem odchylonym do góry.

Lecieli. Przynajmniej na razie. Bo do startu zostały jeszcze trzy godziny, w czasie których mogło się zdarzyć wiele.

W tej samej chwili przed budynkiem zahamował terenowy wóz i w wysiadającym rozpoznali znajomą sylwetkę „Rudego” – ppłka Romana Rudkowskiego. Jego obecność przesądzała sprawę. Wiedzieli, że „Rudy” poleci z nimi, bo jako doradca lotniczy Oddziału VI (do spraw krajowych) sztabu Naczelnego Wodza chciał osobiście przelecieć trasę tam i z powrotem, aby znać jej mocne i słabe punkty.

Więc teraz na pewno lecieli!

W obszernym pomieszczeniu panował półmrok, tylko tam, gdzie siedzieli „Karol Ziege” i „Wera”, błyszczały ogniki papierosów.

„Ziege”, „Wera”. Kim są? „Ponury” znał ich zaledwie od kilku dni. Ludzie z pseudonimami. Wymieniali co prawda przy powitaniu jakieś nazwiska, on też powiedział swoje, ale przecież i oni, i on wiedzieli, że są lewe. Tak im kazano. Żadnych szczegółów, nic prawdziwego o sobie nie mogą wiedzieć.

„Ponury”. W swoim nowym pseudonimie czuł się jak w świeżo kupionym, nie całkiem jeszcze dopasowanym garniturze. Przecież gdy zażądano od nich pseudonimów, powiedział:

– „Donat”.

A wtedy kpt. „Kotwicz”⁶, serdeczny, opiekuńczy, powszechnie lubiany i bardzo mądry hubalczyk, ujął

go miękkiem ruchem za oba ramiona i ze śmiechem powiedział prosto w skupioną, zawsze poważną twarz przyjaciela:

6 Maciej Kalenkiewicz ppłk dypl., oficer Oddz. III KG AK oraz dowódca Nadniemeńskiego Zgrupowania Partyzanckiego, a następnie Komendant Okręgu Nowogródzkiego AK, zginął walcząc z sowieckimi oddziałami „Smiersz” 22 VIII 1944 r. pod Surkontami wraz ze swymi 36 żołnierzami.

– Jasiu, co z ciebie za „Donat”? To pretensjonalne. Ty powinieneś sobie wybrać coś takiego jak „Srogi”, „Chmurny”, „Ponury”.

I tak został „Donatem” – „Ponurym”.

Ale to było dla tamtych. Dla siebie pozostał zawsze Jaśkiem. Janem Piwnikiem z Gór Świętokrzyskich.

*

U stóp Witosławskiej Góry, będącej zakończeniem Pasma Jeleniowskiego Gór Świętokrzyskich, leży wieś Janowice. Wzniesienia to niewielkie, ale dzikie, porośnięte lasem. Tu, w Janowicach, w chacie odległej o kilkaset metrów od skraju lasu, na dwa lata przed wybuchem pierwszej wojny światowej urodził się Jan Piwnik. Pojęcia dzieciństwa prawie nie znał, bo nim doszedł do wieku, w którym nauczył się dobrze chodzić, przez Góry Świętokrzyskie przewalił się front rosyjsko-austriacki, niosąc z sobą pożogę. Z chaty Piwników zostały zgliszcza. Zamieszkali w budynku szkolnym vis-à-vis ich spalonego domu – rodzice, trzyletni chłopiec i jego starsza siostra Agnieszka. Aby dojść do czegoś, w rodzinie zapanował ścisły podział pracy: ojciec dzielił czas między odbudowę gospodarki i uprawę sześciu hektarów ziemi, matka doglądała dobytku i dzieci, one zaś musiały się troszczyć o krowy i gęsi. Z czasem przybyła jeszcze jedna siostra, Katarzyna, i najmłodszy brat – Józek.

Po skończeniu szkoły powszechnej Jan Piwnik chciał uczyć się dalej. Rozumieli to rodzice, mimo iż ojciec nie rozpoznał przez całe życie jednej litery, matka zaś skończyła swoją edukację w drugim oddziale wiejskiej szkoły. Mieli jednak ambicje wykształcenia dzieci – jedyni we wsi posłali do miasta najpierw swoją starszą córkę, potem zaś syna. Ale niełatwo było chłopskiemu dziecku dostać się do średniej szkoły. Do ostrowieckiego gimnazjum im. J. Chreptowicza nie został przyjęty, choć zdał egzamin, gdyż inni mieli większe prawa – synowie urzędników, służby leśnej. Porażka ta nie złamała go – po pół roku stanął do egzaminu do II klasy jako ekstern i tym razem powiodło się.

Niewielu miał przyjaciół w gimnazjum – jego chłopskie pochodzenie, którego się nie wstydził, nie jednało mu sympatii wśród miejskich kolegów; swoją postawą jednak, dobrymi wynikami w nauce, a nieraz i pięścią potrafił zdobyć sobie ich szacunek. Z przedmiotów humanistycznych rozmiłował się najbardziej w historii. Trudno dziś stwierdzić, ile w tym było zasług Bolesława Chrobrego i Jana III Sobieskiego, a ile prof. Rosłońskiego⁷, który z niespotykanym darem potrafił wyczarować przed oczyma zasłuchanych chłopców szarże husarii pod Kircholmem czy Chocimiem, ucząc ich nie tylko dziejów kraju, ale i patriotyzmu.

7 Zasłużony pedagog i wychowawca wielu pokoleń młodzieży ostrowieckiej, od 1949 roku do 1965 roku dyrektor tamtejszego gimnazjum, po przejściu na emeryturę (ur. 1896) w 1965 roku do 1972 roku uczył jeszcze historii, przekraczając półwiecze pracy nauczycielskiej. Zmarł 6 VIII 1981 r. Dziś gimnazjum ostrowieckie stoi przy ulicy jego imienia.

W 1932 roku z maturą w ręku dwudziestoletni Jan Piwnik opuścił gmach gimnazjum ostrowieckiego – bez szans na znalezienie jakiegokolwiek pracy. Za kilka miesięcy czekała go służba wojskowa, postanowił więc wyprzedzić powołanie, bo to dawało prawo wyboru. Wybrał Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. I wtedy właśnie, wyjeżdżając na Wołyń, rozstał się z Górami Świętokrzyskimi.

Włodzimierz Wołyński znany był już wtedy w Polsce zarówno z wysokiego poziomu wykształcenia, jak i absurdalnych kar. Mycie szczoteczka do zębów rusztów piecowych lub wynoszenie o drugiej w nocy na kocu przez dwunastu żołnierzy słomki znalezionej przez oficera inspekcyjnego na podłodze sypialni

należało do stałego repertuaru.

Podchorążówkę włodziemską Jan Piwnik opuścił jako plutonowy podchorąży rezerwy. Półroczne przeszkolenie w 10 pułku artylerii ciężkiej w Przemyślu dało mu stopień ogniomistrza podchorążego, a po letnich manewrach w 1934 roku uzyskał pierwszą upragnioną gwiazdkę. Z nią poszedł do cywila, ale tylko na krótko. W rodzinnych stronach nie widział dla siebie przyszłości. Kariera oficera zawodowego nie wydawała mu się nazbyt atrakcyjna – Włodzimierz Wołyński był tego przedsmakiem. Zrozumiał, że dla pozbawionego protekcji chłopskiego syna z Gór Świętokrzyskich kariera wojskowa to najwyżej jakieś garnizonowe wysługi na prowincji, w kresowym pułku.

Wstąpił do Policji Państwowej i po ukończeniu szkoły policyjnej w 1935 roku, przydzielony do służby w Warszawie, należał do ochrony osobistej ówczesnego premiera Walerego Sławka. Następnie w 1936 roku był na praktyce policyjnej w Kowlu, u nadkomisarza Munka, ojca swego późniejszego partyzanta, a w 1937 roku został komendantem posterunku w Kisielinie w powiecie Horochów na Wołyniu. Stamtąd komenda policji w Łucku skierowała go do Szkoły Oficerów Policji w Mostach, którą ukończył w 1938 roku i w stopniu aspiranta został dowódcą kompanii szkolnej rezerwy policyjnej w Gołędzinowie.

Wybuch wojny zastał go na czele kompanii w składzie zmotoryzowanego polowego batalionu policji. Na Śląsk przerzucono ich prosto znad granicy z Prusami Wschodnimi, gdzie ostatnie dwa tygodnie sierpnia spędzili na akcjach przeciwko dywersantom w niemieckich nadgranicznych wsiach. Teraz od Śląska cofali się w walkach, dając silny odpór Niemcom na Pilicy. Ale to trwało krótko. Niemcy mieli czołgi.

W ciągłych walkach cofali się przez pełne 2 tygodnie, aż pod Chyrów, tu przyłączeni chwilowo do resztek 3 Brygady Górskiej starli się z nacierającą od Słowacji 57 niemiecką dywizją piechoty. Przetrzebieni odskoczyli w kierunku Sambora, ale nie doszli, bo drogę im zastąpiła 1 dywizja górską Wehrmachtu.

Kompania ppor. Piwnika stopniała do 60 ludzi. Jeśli coś ją wykruszało, to nieprzyjacielska bomba, kula, a nie dezercja. Rocznik w niej był młody, dwudziestolatki, ale choć byli kompanią policji, nic ich nie odróżniało od frontowego wojska – ni mundur, ni stopnie, a także zadanie bojowe mieli takie samo.

Tu za Chyrowem dopadł ich goniec dowództwa.

– Panie poruczniku, proszę natychmiast podjąć forsowny marsz na południe, w kierunku granicy węgierskiej, tędy – zakurzony motocyklista brudnym palcem stukał w celuloidową szybkę mapnika pokazując na „setce” Spas, Jaworę, Turkę aż po Sianki już w górach, na samej granicy węgierskiej. – Tu przy moście granicznym na szosie do Użhorodu będą dla pana kompanii dalsze rozkazy.

Działo się to 13 września. Odbił więc Piwnik ze swymi 60 ludźmi od 3 Górskiej i poszedł na południe, kryjąc się przed messerschmidtami idącymi niespodziewanie zza lasu koszącym lotem. Gdzieś w dali była artyleria, ale Niemców jeszcze nie było.

Na noc wybierali chaty bielone na czysto, bez dodatku ultramaryny w wapnie. W tych niebieskawych witano ich hardym spojrzeniem i zawsze tą samą odpowiedzią, o co tylko poprosili, kartofle, chleb, wodę:

– *Ne maju.*

– Och, jak ja bym ich... – zgrzytał zębami Podleś, do niedawna starszy przodownik z krakowskiej Defy, a dziś starszy sierżant, ale milkł zaraz pod uważnym spojrzeniem porucznika.

Ukraińcy byli tu jeszcze spokojni, ale za kilka dni ten spokój miał pęknąć. Kompania ppor. Piwnika nocowała obstawiona wzmocnionymi wartami.

W trzecim dniu marszu weszli w góry, płaskie, bochniaste, zalesione, pełne świergotu ptactwa. Na stokach, wśród łąsin leśnych dostrzegali zbite skupiska drewnianych chatek przeważnie bielonych na sino, z cebulastymi kopułkami cerkiewek pośrodku.

Im bliżej granicy, tym więcej spotykali wojska.

Zaraz za mostem przerzuconym na jakże tu wąskim Sanie dojrzeli szlaban, połyskujący bardzo świeżą farbą. Wszak ta Ruś Zakarpacka, przed rokiem należąca jeszcze do Czechosłowacji, od bardzo niedawna była częścią państwa regenta Horthy'ego. W ramach dzielenia się ziemiami Czechów i Słowaków, Niemcy wzięli Sudety, Czechy i część Moraw, Polacy Zaolzie, a Węgrzy biorąc Zakarpacką Ruś uzyskali wreszcie wymarzoną wspólną granicę z Polakami. Na niecały rok.

W południe byli już za Sanem, za zielono-czerwono-białym szlabanem, w tłumie samochodów, zaprzęgów artyleryjskich, wozów taborowych i warczących motocykli. Dokoła uwijali się żandarmi węgierscy z kogucimi piórami przy kapelusikach.

– Uważaj, Siejko, żeby ci coś ten kogut nie zwędził – gderał zdenerwowany Podleś do otępałego woźnicy.

Ale Siejko siedział na koźle taborowego wozu i nie reagował na zaczepki Podlesia. On, porucznik i wszyscy zmęczeni koledzy z kompanii, leżący teraz w wysuszonej trawie przy drodze, patrzyli tam, na północ, gdzie za wąską wstążką Sanu, w drgającym, nagrzanym południowym słońcem powietrzu jawił im się tamten, ledwo co opuszczony, ostatni kawałek Polski.

Kapitan na motocyklu odnalazł ich szybko. Był siwy, gruby, spocony, ale trzymał się twardo. Gdyby nie niebiesko-czarna wstążeczka Virtuti, przeciągnięta przez guzik płaszcz (w taki upał?), można by go wziąć za buchaltera z banku.

– Poruczniku – powiedział ppor. Piwnikowi zmęczonym głosem – podciągnijcie kompanię do Użhorodu. Tam pomożecie żandarmom formować nowe dywizje.

– Wracamy? – zapytał naraz ożywiony ppor. Piwnik.

– Nie wykluczone – powiedział kapitan. – Najbliższe godziny zdecydują. Dziś rano Rosjanie przekroczyli naszą granicę wschodnią. Mówią, że idą nam pomagać bić Niemców. Może się rzeczywiście wezmą za łby. Do zobaczenia w Użhorodzie, punkt kontaktowy przy poczcie głównej.

Obłok kurzu i błękitnej spaliny okrył znikający motocykl. Piwnik został jak rażony gromem na środku szosy.

– Coś ty, bucu sakramencki, pierdoło sztabowa jedna, robił w dwudziestym roku, że, cholerna łajzo, wierzysz, że oni się z Niemcem za łeb złapią! – bluznął za kapitanem blady z wściekłości Podleś. Zadyszał się, zacukał, złość go zatkała i naraz jakby stopił się jego gniew w ołowianym spojrzeniu porucznika. – Przepraszam, panie poruczniku – dodał po chwili dziwnie miękko, a gdy Piwnik spojrzał mu pod okap hełmu, Podleś uciekł z twarzą, by ukryć wzruszenie.

– Panie poruczniku – jakby się naraz obudził, zaśpiewał wschodniacko Siejko – jakby to była prawda, co ten pan kapitan mówiwszy, to znaczy się Polska nam się skończyła – mówił to cicho, a dwie duże łyzy orały mu grubą warstwę kurzu na pyzatych policzkach.

– Da Bóg, że to nieprawda, Siejko – powiedział ppor. Piwnik zduszonym głosem. – A jeśli się skończyła, to na krótko. Tylko pamiętajcie, Siejko, nikt nam jej na nowo nie podaruje⁸.

⁸ Opracowanie na podstawie relacji Władysława Siejki złożonej autorowi 26 III 1978 r.

A potem odwrócił się do siedzących w rowie żołnierzy i dziwnie głośno krzyknął:

– Kompania! Powstaaań!

Tak się zaczął w wojennym życiu Jana Piwnika etap węgierski, który wbrew chęci porucznika trwał ponad pół roku.

W czterdzieści lat po tamtych wydarzeniach jesieni i zimy 1939/40 roku uważny badacz historii może znaleźć w archiwum węgierskiego Wojskowego Instytutu Historycznego w Budapeszcie⁹ dokumenty mówiące o tym, jak spędził ppor. Jan Piwnik owe pół roku na ziemi Madziarów.

⁹ Hadtörtenelmi Levéltár Honvédelmi Miniszterium iratali, sygnatura 1940-21-21-3553-3745, nota protestacyjna

posła niemieckiego w Budapeszcie Otto von Erdmannsdorffa do węgierskiego MSZ (1941) Pol-1940; 8295/Pol-1939; 831/Pol-1939 oraz sygn. 1940-21-21-3553-3745, a także artykuł zasłużonego w niesieniu pomocy Polakom w czasie wojny dra Istvana Lagzi w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” nr 3/1980 s. 104-161 pt. „Ewakuacja polskich uchodźców cywilnych i wojskowych z Węgier 1939/1940 r.”.

Nie danym mu było porządkować i pomagać tworzyć nowe polskie dywizje, które by poszły z powrotem za San walczyć w obronie zdradziecko napadniętej z obu stron Rzeczypospolitej.

Jeszcze w lasach koło Kocka broniła się Grupa Operacyjna „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga, gdy ppor. Jan Piwnik już znalazł się w obozie dla internowanych w Felsöpakony-pusztą.

Przez trzy ostatnie miesiące 1939 roku w obozie trwała owocna praca konspiracyjna. Węgierski kontrwywiad wpadł na jej ślad w pierwszych dniach 1940 roku. Oto co pisze na ten temat wspomniany już dr Istvan Lagzi:

8 I 1940 r. wydzielona komórka „K” w obozie internowanych nr 1/16 w pobliżu Budapesztu (Inárcs) zameldowała, że z obozu internowanych Polaków w Felsöpakony-pusztą uciekło 70 osób. Ta fachowo przygotowana i przeprowadzona ucieczka była dziełem kpt. Eugeniusza Jancyszczyna, ppor. Jana Piwnika i sierż. Jana Wróblewskiego. Ucieczkę przeprowadzono grupami po 6-8 ludzi. Do wiadomości komendy obozu doszło, że ich organizatorzy przygotowali dalsze ucieczki i że oficerowie mają większe sumy pieniędzy węgierskich. Z powodu tych ucieczek z obozu w Felsöpakony-pusztą poseł niemiecki w Budapeszcie złożył notę protestacyjną w węgierskim MSZ. Poseł rozporządzał ścisłymi informacjami, znał nawet dokładne daty ucieczek. Na ucieczki polskich wojskowych do Jugosławii i na regularność tych ucieczek poselstwo niemieckie w Budapeszcie zwróciło uwagę rządu węgierskiego w nowej nocie z 19 I 1940 r.

Na polecenie gen. Barabasa z Węgierskiego Ministerstwa Honwedów, organizatorzy ucieczek z obozu Inarcs – wymienieni w dokumentach imiennie (jest wśród nich i ppor. Piwnik) – zostali przeniesieni do obozu karnego.

Ppor. Jan Piwnik odsiedział swoją karę – dwumiesięczny areszt w twierdzy – w cytadeli budapesztańskiej.

W połowie marca 1940 roku przywódcy obozowej konspiracji zostali zwolnieni z cytadeli i skierowani do nowych miejsc internowania – Jan Piwnik trafił do Jolsva w północnych Węgrzech.

Szła wiosna. Wiosna, z którą kojarzyło się jakże popularne powiedzonko: „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”.

W pierwszych dniach kwietnia ppor. Jana Piwnika nie było już za drutami obozu w Jolsva, a w końcu tego miesiąca przekroczył granicę włosko-francuską. Trafił na ostatni dzwonek.

Powrócił do swojej artyleryjskiej specjalności i służył w Pułku Artylerii Ciężkiej pod wodzą ppłka Kamińskiego i płka Odzieżyńskiego. W czerwcu 1940 roku, gdy padła Francja, Piwnik wyszedł z niej z karabinem w rękę. I to nie sam, ale na czele zebranej przez siebie grupy żołnierzy. Ich przeprawa do Anglii miała w sobie wiele elementów dramatycznych. Oto jeden z nich:

Na czele oddziału przeszedł całą kampanię francuską. Odważny i zdecydowany, potrafił on nie tylko z ogólnej klęski uratować swych ludzi, ale skupił koło siebie wielu rozbitków z innych jednostek. Z oddziałem tym, uniknąwszy okrążenia, przybył do jednego z portów bretońskich w momencie, gdy ostatni statek pełen uchodźców w popłochu Francuzów stał już pod parą na redzie. „Ponury” zwrócił się do kapitana żądając zabrania na pokład jego kompanii.

– Statek i tak jest przeciążony – odparł kapitan, wskazując na zatłoczony pasażerami i zawałony tłumokami pokład.

– Dla nas miejsce znaleźć się musi – rzekł „Ponury”. – Żołnierze, bagnet na broń, za mną marsz! – pada komenda.

I mimo protestów przerażonych Francuzów polska kompania wyrzuca tłumoki do wody. A gdy statek opuszczał port, do miasta wkraczali już Niemcy¹⁰.

¹⁰ J. Kostrowicki: *O Ponurym*, „Odnova” nr 2. 1946.

Piwnik nie czuł się dobrze ani we Francji, ani w Anglii; był to już przecież trzeci rok wojny, a on od przyjazdu do Francji nie zakosztował smaku bezpośredniej walki z Niemcami, tak więc gdy tylko Kalenkiewicz, Górski i Szymański uzyskali akceptację gen. Sikorskiego na tworzenie oddziału zrzutków, zgłosił się jeden z pierwszych. Tak długo kołatał i pukał, aż wzięto go pod uwagę przy pierwszej poważniejszej akcji przerzutów do kraju.

Udających się do Polski skoczków instruował osobiście gen. Sikorski, przekazując im wskazówki dla Komendy Głównej ZWZ (później AK) oraz zwracając uwagę na ostatnie wydarzenia polityczne. W czasie odlotu do Polski por. Piwnika¹¹ premier był zajęty przygotowaniem do czekającego go niedługo

wyjazdu do Moskwy, gdzie miał przeprowadzić ze Stalinem zasadnicze dla spraw polskich rozmowy. Dlatego też wyjątkowo na zlecenie gen. Sikorskiego Piwnika odprawiał wicepremier Stanisław Mikołajczyk. Było to zaledwie przedwczoraj, a zakończenie rozmowy było takie: po przekazaniu informacji dla kierownictwa konspiracji Mikołajczyk rzekł:

[11](#) Wbrew twierdzeniom J. Wilczura, zawartym w publikacjach w „Słowie Ludu” (z 25 X 1983) i „Przeglądzie Tygodniowym”, Jan Piwnik skoczył do Polski w stopniu pełnego porucznika (awans z 17 IV 1941).

– Panie poruczniku, mam nadzieję, że pan jako syn chłopca będzie służył w kraju sprawie naszego stronnictwa.

– Panie premierze, o tym, że jestem chłopskim synem, nie zapomniałem nigdy. A teraz jestem wyłącznie oficerem armii polskiej i jadę do kraju walczyć. Dlatego też żadnych zleceń natury pozawojskowej przyjąć nie mogę.

Rozstanie było bardzo chłodne.

*

Szczęknięty otwierane drzwi i ostre światło elektrycznej lampy wyrwało „Ponurego” z zadumy. Otworzył oczy i zamrugał powiekami.

– Panowie, za godzinę startujemy – powiedział stojący w progu ppłk Rudkowski.

– Colonel, tu obowiązuje zaciemnienie – dobiegł z sali operacyjnej karcący głos angielskiego oficera.

– Przepraszam – mruknął nieco skonfundowany „Rudy” i trzasnął kontaktem.

W stacji wyczekiwania zapadła ciemność.

*



. Mjr „Ponury” — Jan Piwnik





2. Jan Piwnik jako ośmioletni chłopiec



3. Jan Piwnik — uczeń VI kl. gimnazjum

4. Klasa VI (1930 r.) gimn. im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jan Piwnik — drugi od lewej wśród siedzących







5. Klasa maturalna (1932) gimn. im. J. Chreptowicza. Jan Piwnik — drugi rząd od góry — drugi od lewej



6. Jan Piwnik — absolwent gimnazjum im. J. Chreptowicza w Ostrowcu

6a. Aspirant Policji Państwowej Jan Piwnik

7. Kadra oficerska Policji Państwowej w Kowlu na Wołyniu w 1935 roku. Starszy przodownik Jan Piwnik — czwarty od lewej w górnym rzędzie







8. Ppor. Jan Piwnik na czele baterii pac w Przemyślu w czasie defilady 3 Maja w 1938 r.



9. Kpt. „Marcysia” — Emilia Mallessa, szef łączności zagranicznej KG AK. Żona „Ponurego”. Zdjęcie przedwojenne (+ 1948)



10. Aspirant PP Jan Piwnik (1938), członek ochrony marszałka Sejmu RP płk. Walerego Ślawka





11. 84-letnia Zofia (+ 1972) i 94-letni Jan (+ 1971) Piwnikowie, rodzice mjr. „Ponurego”, rolnicy ze wsi Janowice pod Witosławską Górą w paśmie Jeleniowskim Gór Świętokrzyskich. Zdjęcie z 1966 r.

12. Naczelnny Wódz, gen. broni Władysław Sikorski w ośrodku cichociemnych w Audle End koło Cambridge dekoruje w dniu 20.VIII.1942 r., na trzy dni przed odlotem do Polski, por. „Kawę” — Michała Fijałkę — Krzyżem Virtuti Militari. W ubraniach cywilnych stoją skoczkowie przygotowani do zrzutu w najbliższych dniach. Od lewej: kpt. dypl. Wincenty Ściegienny — „Las”, kpt. Bolesław Kontrym — „Żmudzin”, por. Tadeusz Gaworski — „Lawina”, por. Franciszek Rybka — „Kula”(w drugim szeregu widać część twarzy), por. Jan Łagoda — „Lak”, por. Władysław Kochański — „Bomba”(w drugim szeregu), por. Mieczysław Eckhardt — „Bocian”(w trzecim szeregu, widać część głowy). Od prawej: pierwszy por. Stanisław Winter — „Stanley” oraz por. Wacław Kopisto — „Kra”(w drugim szeregu)







13. Kpt. pplk cc. dr „Wania” — Alfred Paczkowski (+1986)



14. Por. cc. „Bocian” — Mieczysław Eckhardt (+1942)



15. Ppor. „Ryś” — Marian Czarnecki (+1969)



16. „Azor” — Piotr Downar (+1943)





17. Por. „Marian” — Marian Przysiecki
(+1943)



18. Ppor. „Motor” — Jerzy Wojnowski
(+1944)



19. „Dziunia” — Jadwiga Snopkówna
(+1943)



20. „Mery” — Maria Snopkówna (+1943)



WACHLARZ.

KARTA EWIDENCYJNA.

18.

1 OSOBA. 2 PSEUDO: **Donata Piwnik** 3 DATA UR. DN **31** M.C. **8** 19**12**. R.

4

5 STOP WOJSKOWY: **ant** 6 RODZAJ BR. SPECJALNOŚĆ: **ant** 7 PRZEBIEG SŁUŻBY W WP. **dot. 55 korpus. służba na Polce (go. Sibiru).**

STARZEŃ Z ZMIANY: KURSA WOJSKOWE: KAMPANJA 1939 r. **brak**

8 ZAWÓD WYKSZTAŁCENIA: **ofic. P.P.** 9 ZNAJOM JĘZYKÓW: 10 STAN RODZINNY: **brak**

11 DATA WSTĄPIENIA DO NIEPODLEGŁOŚCI: **4.5.41** TERENÓW: **kurche, polska, polska, francuska**

12 NAZWA ORG. I PRZEBIEG SŁUŻBY:

13 UWAGI: **z 1.5.41 p.n. do 1.5.42**

14 DATA WSTĄPIENIA DO AW: **15.5.42** 15 PRZYDZIAŁ FUNKCJA: **2.** 16 KURS CYWILNY:

17 DATA WYJAZDU: 18 PRZEBIEG SŁUŻBY W AW: **Dot. 55. korpus. aw. w sierp. 42. powrócić w lipcu 43**

19 UWAGI:

HYSTORYO D. K. S. 1945 R. OF. PERSONALNY **K** KOMENDANT „AW”



A tymczasem pod Łyszkowicami, małą osadą leżącą między Głownem a Skierniewicami, w chłopskiej chacie zdenerwowany chłopak krótkimi ruchami gałek stroił starego philipsa.

„Marcysia” siedziała obok milcząca, tylko od czasu do czasu zerkała na zegarek. Sekundy dosłownie dzieliły nerwowo drgające wskazówki od godziny piątej. Zmierzch za oknem był już zupełny. Spojrzenia wszystkich obecnych przywarły teraz do oświetlonego prostokąta radiowej skali. A aparat, sprawdzony przecież, bo placówka nieraz już słuchała Londynu robiąc biuletyn ostatnich wiadomości z nasłuchu radiowego, dziś jak na złość szalał. Milczał, by zaraz buchnąć kakofonią ostrych zgrzytów, pisków i zawodzeń.

– Piąta – powiedziała półgłosem „Marcysia”.

Radiotelegrafista sapnął z determinacją i prawie przyłożył twarz do oświetlonej skali. I naraz przez zgrzyty, piski i zawodzenia przebił się głuchy, rytmiczny dźwięk kotłów – trzy głębokie niskie i jeden wyższy.

– Bum, bum, bum! Bam!

– Bum, bum, bum! Bam!

– Jest! – szepnął z przejęciem dowódca „kosza” przez gardło ściśnięte wzruszeniem.

A z philipsa, przez piski i zgrzyty, przedzierała się raz cisza, raz głośnie szkocka melodia grana przez kobziarzy. A potem...

– Tu mówi Londyn – anonsowało radio dalekim głosem spikera.

– Dobry wieczór państwu. Rozpoczynamy audycję w języku polskim. Nadajemy wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe. Nim jednak przejdziemy do podania informacji z frontów, zapraszamy państwa na kilka taktów polskiej muzyki ludowej.

Zapewne w tej chwili kilka tysięcy odważnych ludzi w Generalnej Guberni oraz terenach włączonych do Rzeszy i Ostlandu zakłęto szpetnie. Oto oni z narażeniem życia – bo przecież za samo posiadanie radia groził wyrok lub w najlepszym wypadku obóz – pokonując zakłócenia i inne utrudnienia złapali wreszcie Londyn, a tu zamiast upragnionych wiadomości serwowano im posuwiste tony kujawiaka „Czerwone jabłuszko”. Tylko ta trójka na zrzutowisku „Ugór” koło Łyszkowic przeżywała radosne chwile.

– Lecą – szeptał dowódca „Kosza”.

– Jeszcze nie – korygowała równie wzruszona „Marcysia” – Ale jest decyzja lotu. Jeśli się nic nie zmieni, za dwie godziny wystartują.

Sześć godzin wyczekiwania dłużyło się bardzo. Bardziej niż poprzednie dwie godziny. Na godzinę przed północą na leśnej polanie wszystko było gotowe do przyjęcia skoczków. Wszelkie dojścia obstawione uzbrojonymi patrolami, podwozy z parskającymi końmi ukryte pod ścianą lasu, a na środku polany osłonięte workami stały sęgi drewna – dziesięć rozłożonych w równych odstępach. Przy każdym tkwił człowiek.

„Marcysia” i dowódca stali przy koniach. Ucisiali co chwila parskające konie, wsłuchiwali się w ciszę. A dokoła tylko szumiały drzewa, konie podzwaniały uprzężą i to było wszystko. Księżyc z rzadka wyzierał zza pędzonych wiatrem chmur i wtedy białął równy rząd przygotowanego do podpalenia drewna i tkwiących przy nim nieruchomo ludzi.

– Może odwołali – niepokoił się dowódca.

– Już po jedenastej, powinno być potwierdzenie – tylko lekkie drganie głosu wskazywało, że „Marcysia” jest także zdenerwowana.

– Css! Ktoś biegnie.

Rzeczywiście przez las, wśród trzasków gałęzi, ktoś biegł. Kroki i odgłosy łamania krzaków zbliżały się.

– Gdzie komendant? – ktoś pytał zdyszczonym głosem.

– Tu, przy koniach.

Z ciemności wychynał zmęczony człowiek.

– Lecą¹², panie komendancie! – wykrztusił.

¹² Sygnał radiowy – ustaloną wcześniej tę samą melodię – podawano w dniu lotu dwukrotnie: przed dziennikiem BBC o 17.00 (był to sygnał, że lot na dany dzień jest postanowiony) i o 23.00 (znak, że samolot wyleciał).

– Łącznik! – krzyknął dowódca, a gdy wyrósł przy nim młody chłopak, polecił: – Biegiem do ognisk, niech odkorkują butelki.

Chłopak popędził przez polanę, a oni znów łowili uchem każdy szmer. Ale minuty łączyły się w kwadransy, półgodziny, a dokoła nic się nie zmieniało.

I naraz, dobrze już po północy, coś zahuczało pod niskim niebem. Najpierw cicho, urywanie, jakby złudzenie, ale naraz powtórzyło się, głośniejsze, śmielej i już stale.

– Lecą, chyba lecą – upewniała się „Marcysia”.

Dowódca przyłożył obie dłonie do ust.

– Zapalaaaaj! – krzyknął.

Echo jeszcze niosło po lesie, gdy jakby od elektrycznej iskry, w sekundowych odstępach zaczęły się zapalać ogniska. Suche, specjalnie dobrane i chronione przed wilgocią szczapy, podlane jeszcze przed chwilą benzyną, zajęły się w jednej chwili jasnym płomieniem, chłopcy od płonących ognisk gnali teraz ile siły w nogach w las.

Maszyna była już blisko. To pewne. Tylko... czyja maszyna? Zaraz się przekonają. Za kilkanaście sekund. Bo albo sypnie im białymi czaszami spadochronów z ludźmi i zasobnikami sprzętowymi, albo ogniem karabinów maszynowych.

Przecież Niemcy nocą dokonują licznych lotów zwiadowczych, patrolowych, szkoleniowych i wywiad konspiracyjny doniósł, że wszystkie załogi niemieckie mają rozkaz – tam gdzie warkot samolotu wywołuje jakikolwiek znak z ziemi, błysk latarki, ognisko – niszczyć.

Łomot czterech silników przetoczył się nad nimi tak gwałtowny, że konie zaczęły kwiczeć, przysiadając na zadach i woźnice ledwo dawali radę utrzymać je na miejscu. Czarny kształt przeciął podświetloną księżycem Chmurę i zniknął. Słychać było tylko warkot nieco przycichły, wspinający się w górę. Po chwili samolot wrócił, już na wyższym pułapie, a gdy znalazł się nad ogniskami, przywarli do niego oczyma. Ale nic widać nie było. Poświata księżycy okazała się zbyt słaba, by cokolwiek można było dostrzec.

Łoskot silników cichł i oddalił się. I gdy zdawało się, że wszystko było nieprawdą, gdy trzask ognisk i blask promieni wydawał się także dekoracją teatralnej sztuki, w której aktorzy zapomnieli wyjść na scenę, o kilkadziesiąt metrów od nich, bezszelestnie, jak ogromny motyl, spłynął z ciemnego nieba wielki spadochron, coś łupnęło o ziemię, ktoś stęknął, a potem serdecznie zaklął. Sekunda i sfrunął drugi spadochron, a obok niego trzeci. Dalej lądowały zasobniki z kolorowymi spadochronami.

– Jasiu! Jasiu! Jasiu! – okrzykiwali się hasłem „ziemi” pędzący ku skoczkom chłopcy ukryci dotąd w lesie.

Prowadzili ich ku wozom rozdzielonych już z szelek, uwolnionych ze spadochronów. Gdy podeszli, zatrzymali się, a do przodu wysunął się jeden.

– Andzia – powiedział krótko ich hasło, tych, co sfrunęli z nieba.

„Marcysia” zauważyła w świetle księżycy jego czarne, zrośnięte brwi, ściągniętą, jakby skupioną twarz o szerokiej dolnej szczęce, i oksydowany pistolet w prawej dłoni.

– Jasiu! – odpowiedziała odzewem „Marcysia”, a zrzutek drgnął, jakby się zawstydzził, że on z bronią w ręku przeciwko kobiecie, która wita go drugą częścią hasła, będącego jego imieniem.

Wsunął więc szybko broń w kieszeń kombinezonu, przyłożył palce do czarnej narciarki i wyciągnął rękę.

– Porucznik „Ponury” wysłannik Naczelnego Wodza.

– Porucznik „Marcysia”, przedstawiciel Komendy Głównej ZWZ. Witamy w Polsce, poruczniku.

Uścisk dłoni był krótki, męski.

– Radzę się stąd jak najszybciej usunąć – mówił z troską w głosie dowódca „kosza”. – Czas i miejsce na pogadanie będzie, a tu za chwilę zwałą się Niemcy. Osłona i podwoda czekają. Ja tu zostanę jeszcze trochę i uprzątę teren.

Gdy po godzinie na odległej kwaterze siedzieli przy stole w kręgu filującej naftowej lampy, „Marcysia” spod oka obserwowała tego, który siedział naprzeciw niej i z apetytem zajadał jajecznicę na boczku.

– Już dla tej jajecznicy warto było skoczyć do Polski – żartował, a dwaj jego towarzysze przytakiwali.

Zauważyła, że i on dłużej zatrzymał na niej spojrzenie, taksujące i wcale nie płochliwe.

Na razie on był pierwszym oficerem stamtąd, którego przyjmowała, ona zaś dla niego pierwszą kobietą, którą spotkał zaraz po skoku. Wkrótce mieli się stać dla siebie osobami bardzo bliskimi¹³.

¹³ Według dostępnych dokumentów oraz relacji niektórych osób, Emilii Malessy – „Marcysi” nie było w grupie osób odbierających zrzut, w którym znajdował się m.in. Jan Piwnik „Ponury”. Autor oparł swoją wersję na relacji mjr „Nurta” Eugeniusza Gedymina Kaszyńskiego, przekazanej mu ustnie w 1969 roku w Londynie.

I tak obserwując się wzajemnie, w drgającym świetle lampy naftowej, nie zdawali sobie sprawy, że w tym samym momencie o trzysta pięćdziesiąt kilometrów na północ, na pasie startowym szwedzkiego lotniska wojskowego, dopalały się resztki czterosilnikowego halifaxa, który przywiózł skoczków.

Od samej Anglii samolot musiał pokonywać przeciwny wiatr i to przekreśliło rachuby planistów: zaraz po zrzuceniu skoczków pilot stwierdził z przerażeniem, że paliwa ma najwyżej na godzinę lotu. Wziął więc kurs prosto na niedaleką Szwecję i prawie z pustymi bakami wylądował na pierwszym napotkanym lotnisku. Nim ogarnęła ich straż, nim powieziono ich do obozu dla internowanych, dowódca kazał podpalić maszynę, aby swym specjalnym wyposażeniem nie zdradziła sekretnej misji.

Tak oto zakończyła się pierwsza część rekonesansowego lotu nad Polskę ppłk Rudkowskiego, obserwatora z ramienia sztabu Naczelnego Wodza.

Pobyt w obozie internowanych nie był zbyt uciążliwy, lotnicy i pułkownik mieli dużą swobodę ruchu, którą wykorzystali na nawiązanie kontaktów z ambasadą brytyjską w Sztokholmie. W wyniku tego kontaktu, pewnej grudniowej nocy pod wybrzeże Szwecji podpłynął brytyjski okręt podwodny i po kilku dniach, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, załoga i ppłk „Rudy” znaleźli się znów w Anglii i swoje doświadczenia mogli przekazać następnej ekipie.

A ta szykowała się już do lotu.

Miała numer kolejny 2 i kryptonim „Jacket”. Wystartowała wieczorem 27 grudnia 1941 roku, czyli równo 50 dni po locie „Ponurego” – znów samolotem transportowym był halifax ze 138 dywizjonu z polską załogą por. Wodzickiego. Polowe lotnisko Leconfield koło Stradishall miało dość krótkie pasy, ale start odbył się pomyślnie. Gorzej było z lądowaniem skoczków. Tuż przed startem sztab Naczelnego Wodza został uprzedzony przez kraj alarmową depeszą, że „kosz” odbiorczy został spalony obławą niemiecką. Wobec tego, że ekipa „Jacket” wiozła ponad sto tysięcy dolarów oraz ważną i pilną pocztę, zdecydowano się zrzucić ją na dziko, w niedalekim sąsiedztwie miejsca, gdzie skakał „Ponury”, również koło Skierniewic, czyli już na terenach GG.

Na skutek błędu nawigacyjnego sześciuosobową ekipę (czterech cichociemnych i dwóch kurierów politycznych) zrzucono koło Łowicza, 20 km od granicy, ale na terenach włączonych do Rzeszy. Lądowanie odbyło się w wysokopiennym lesie, minęła dłuższa chwila, nim skoczkowie wiszący na drzewach oswobodzili się ze spadochronów. Dwaj z nich – por. kaw. „Orawa” (Marian A. Jurecki) i por. inż. „Amurat” (Andrzej L. Świątkowski) musieli podjąć walkę z błyskawicznie ogarniającą ich obławą i

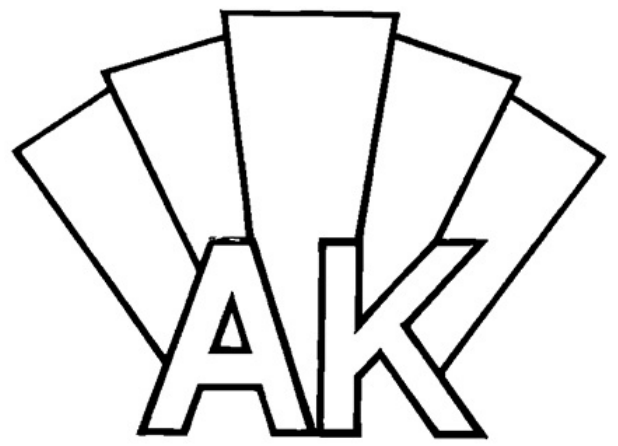
polegli¹⁴, zaś pozostali dwaj cichociemni (wspomniany już przyjaciel „Ponurego” kpt. sap. inż. „Kotwicz” – Maciej Kalenkiewicz i por. lek. „Wania” – Alfred Paczkowski¹⁵) oraz kurierzy polityczni, ppor. „Celt” – Tadeusz Chciuk i ppor. „Buka” – Wiktor Strzelecki, przemknęli szczęśliwie przez obławę i zmierzali ku granicy GG. Tu jednak zostali ogarnięci przez patrol Grenzschtzu i doprowadzeni do strażnicy. Po krótkotrwałej walce wybili kilkusobową załogę, z lekko rannym w rękę „Kotwiczem” bryczką straży granicznej przejechali przez kordon i tego samego dnia zameldowali się w Warszawie. W jakiś czas później „Kotwicz” i „Wania” otrzymali za swoją postawę krzyże *Virtuti Militari*.

¹⁴ Są pochowani we wsi Polesie-Chmielnik koło Aleksandrowa. Odznaczeni pośmiertnie Krzyżem *Virtuti Militari* przez gen. Sikorskiego.

¹⁵ Alfred Paczkowski, ur. 1909 r., lekarz, ps. „Wania”, „Włodek”, „Dawid”, „Walenty” – w 1942 r. dowódca II Odcinka „Wachlarza”, w 1943 r. dowódca Kedywu Obszaru Białystok; w 1944 r. w czasie realizacji planu „Burza” na Polesiu dowódca 84 pp w 30 dywizji AK. W Powstaniu Warszawskim był dowódcą odcinka na Mokotowie, ppłk rez., zmarł w Warszawie 11.06.1986 roku.

Taką drogę musieli przebyć w drodze do kraju główni bohaterowie tej książki: por. „Ponury” – Jan Piwnik i awansowany do stopnia kapitana „Wania” – dr Alfred Paczkowski. „Ponurego” przydzielono w KG ZWZ do komórki zajmującej się organizacją „koszy” zrzutowych. Pierwsze miesiące pobytu w kraju miał on spędzić we względnym spokoju.

Za to kpt. „Wania”...



„Wachlarz”

Część II

Kapitan „Wania” wchodzi w teren

Sylwestrowy wieczór 1941 roku kapitan „Wania” spędzał już w warszawskiej melinie. Cekał go miesiąc aklimatyzacji i powolnego wchodzenia w życie w warunkach konspiracji. Każdy z cichociemnych przechodził ten okres, prowadzony jak niemowlę za rękę przez skromne bohaterki konspiracji zwane „ciotkami”.

W połowie stycznia 1942 roku „Wania” został skierowany do „Wachlarza” na dowódcę III Odcinka. Był już wtedy w kontakcie z działającym od dwóch miesięcy w kraju „Ponurym”, który niezbyt dobrze czuł się w swej nieco administracyjnej funkcji. Pałając chęcią walki, uzyskał przy pomocy „Wani” przydział do „Wachlarza” i objął dowództwo II Odcinka¹⁶. Do niego też dołączył zrzucony kilka miesięcy później do kraju (3 marca 1942 r.) serdeczny druh i przyjaciel „Ponurego” – por. Jan Rogowski, ps. „Czarka”.

¹⁶ W tym to oraz późniejszym okresie planowany podział terytorialny i obsada poszczególnych odcinków „Wachlarza” wyglądały następująco: Odcinek I – Lwów – Tarnopol – Płoskirów – Winnica – Żmerynka (dowódca por. „Orlik”, a następnie od sierpnia 1942 r. – cichociemny por. „Wojewoda”, „Gotur” – Jan Michalski).

Odcinek II – Równe – Kijów (dowódca por. „Ponury” – Jan Piwnik, cichociemny, od lipca 1942 r. również cichociemny „Klon” – por. Tadeusz Klimowski).

Odcinek III – Brześć – Pińsk – Dawidgródek – Kalenkowicze – Homel – Mozyrz (dowódca kpt. „Wania” – Alfred Paczkowski, cichociemny).

Odcinek IV – Baranowicze – Słuck – Bobrujsk – Żłobin – Mińsk – Borysów – Orsza (dowódca początkowo płk „Niedźwiedź”, następnie mjr „Zygmunt” – Zygmunt Reliszko i wreszcie mjr „Trop” – Tadeusz Sokołowski, cichociemny).

Odcinek V – Wilno – Połock – Dźwińsk – Ryga (dowódca por. „Lipek” – Jan Smela, cichociemny, a od czerwca 1942 r. kpt. „Bezmian” – Leon Koplewski).

Siedzibami dowódców odcinków były Lwów (I), Równe (II), Brześć (III), Lida – Mińsk (IV), Pelikany (V).

Kapitan „Wania” pragnął przede wszystkim poznać warunki stworzone przez niemiecką okupację na nowym terenie swego działania – niedawno zagarniętej Pińszczyźnie oraz południowej Białorusi. Choć ziemie te znał dobrze z lat, kiedy chodził w Brześciu do gimnazjum, nie mógł nie uwzględnić zmian, jakie tam zaszły w ciągu ostatnich dwóch i pół lat. Niedługo przekonał się, jak wielu znanych mu ludzi już tam zastał oraz ilu przybyło nowych.

Kapitan miał zamiar wyjechać za Bug zaraz na początku lutego, w towarzystwie przydzielonych przez zastępcę komendanta „Wachlarza” ppłka Remigiusza Grocholskiego – „Doktora”¹⁷ dwóch ludzi: wachm. pchor. Michała Żołnierowicza¹⁸ i por. „Mariana” – Mariana Przysieckiego, zamieszkujących przed wojną w okolicach Pińska. W momencie wyjazdu stanowili całą obsadę III Odcinka, obejmującego obszar równy kilku województwom.

¹⁷ Inny pseudonim „Inżynier” lub „Waligóra”. Początkowo szef sztabu i zastępca dowódcy, później, po śmierci pierwszego komendanta Akcji „W” – ppłka Jana Włodarkiewicza („Damiana”), tj. od marca 1942 r., komendant „Wachlarza”. Zmarł wiosną 1965 r.

¹⁸ Zginął 5 VII 1942 r. po akcji kolejowej pod Kalenkowiczami, w patrolu „Bebiego”, w czasie walki z oddziałem policji białoruskiej.

W ostatnich dniach stycznia „Wania” przechodził ostry atak wyrostka robaczkowego i musiał się poddać operacji. Nie chciał jednak, aby jego choroba hamowała ustalony plan i zdecydował się wysłać na penetrację terenu podkomendnych.

Obaj żołnierze przekradli się przez granicę na Bugu i przeprowadzili – dosyć pobieżnie ze względu na krótki czas – rozeznanie terenu w Brześciu i okolicach, zgodnie z rozkazem, bez wchodzenia w jakikolwiek kontakt z miejscową, tworzoną dopiero siatką Armii Krajowej.

Po trzech tygodniach powrócili do Warszawy z dość dokładnymi wiadomościami zza Bugu.

Okazało się, że wędrówkę ludów spowodowaną dwiema wojnami – 1939 i 1941 r. – oraz ostatnie niemieckie aresztowania przetrwało w Brześciu dość liczne środowisko polskie, szczególnie robotnicze, zgrupowane w kolejowych warsztatach remontowych „Depo”. Przetrwiała też niewielka grupa inteligencka z kilkunastoma oficerami rezerwy. Niestety, bardzo mało było młodych ludzi, na których „Wania” najbardziej liczył.

Wachm. pchor. Żołnierowicz powiadomił także dowódcę o przypadkowo nawiązanym kontakcie z miejscową placówką AK. Tuż przed odjazdem z Brześcia spotkał na ulicy swego kolegę z wojska – plut. pchor. kawalerii Zbigniewa Słonczyńskiego. Ten zaproponował Żołnierowiczowi wstąpienie do AK, w której Słonczyński miał być komendantem organizacji wojskowej. Żołnierowicz poprosił o czas do namysłu, ale powodowany ciekawością, zebrał, gdzie się dało, informacje o miejscowej konspiracji. Dowiedział się, że rzeczywiście organizacja Słonczyńskiego liczy ponad sto osób oraz że oddział bojowy składa się z kilkudziesięciu ludzi.

Kapitan zasięgnął w tej sprawie języka w Komendzie Głównej AK. Tuż przed wyjazdem za Bug poinformowano go, że wiadomości te są przesadzone, że siatka konspiracyjna na tym świeżym jeszcze terenie jest dopiero w stadium organizacji i że według oświadczenia komendanta Okręgu „Twierdza” (Brześć) osobnik o nazwisku Słonczyński jest tam nie znany.

Zbyt wiele jednak momentów w meldunku Żołnierowicza było prawdopodobnych, dlatego też kpt. „Wania” w początku marca, po przedostaniu się z dwoma podkomendnymi do Brześcia, postanowił osobiście sprawdzić ich prawdziwość. Po zainstalowaniu się „na melinach”, przygotowanych w czasie poprzedniej bytności, „Wania” polecił Żołnierowiczowi odszukać Słonczyńskiego i zgłosić chęć przystąpienia do jego organizacji.

Do mieszkania Słonczyńskiego przy szpitalu miejskim poszli w trójkę, uzbrojeni solidnie. Przysiecki został na straży przed domem, „Wania” i Żołnierowicz weszli zaś do mieszkania. Gospodarz był nieco zdziwiony przesadnymi, jego zdaniem, środkami ostrożności, „Wania” jednak wiedział, co robi. Był przecież ostrzeżony przez Komendę Główną, że na terenach wschodnich zaczyna działać inspirowana przez gestapo prowokacyjna, rzekomo konspiracyjna organizacja „Orzeł Biały”, której siedzibą jest Białystok; sygnalizowano jednak próby przerwania komórek „Orła” i na inne miasta. Kpt. „Wania” był zdecydowany wyjaśnić sprawę od razu.

Słonczyńskiego przekonano, że wynik tej rozmowy może być dla niego tylko jeden – podporządkowanie się. Upewniwszy się więc, że „Wania” nie jest prowokatorem, przyznał, że rzeczywiście organizacja, którą reprezentuje, nie była przedtem ani Związkiem Walki Zbrojnej, ani nie jest obecną Armią Krajową, choć się za nią podaje, ale też nie ma nic wspólnego z prowokacyjnym „Orłem Białym”. Z dalszej rozmowy wynikało, że na terenie Brześcia działa od kilku miesięcy, a więc wcześniej niż ZWZ, dobrze zorganizowana siatka o zabarwieniu piłsudczykowskim (prawdopodobnie jako część organizacji ogólnokrajowej), że organizacja ta ma liczne wtyczki wszędzie – w urzędach, na kolei, na poczcie, że prowadzi agitację polityczną, że posiada – wydawany dosyć regularnie – swój organ pt. „Szaniec”, od którego wzięła nazwę oraz że ma własną organizację bojową, w której Słonczyński jest instruktorem wojskowym. Najbardziej pikantne w całej sprawie jest to, że miejscowa AK w ogóle nie wiedziała o istnieniu niewygodnego dublera, mimo że wielu „szańcowców” należało jednocześnie do drugiej organizacji.

Teraz „Wania” wiedział więcej niż ktokolwiek z konspiracyjnej góry. Przedstawił więc Słonczyńskiemu propozycję: podporządkować się i wyjść stąd jako prosty żołnierz „Wachlarza”, oddając do dyspozycji całe swe „wojsko”, albo... nie wyjść wcale.

Słonczyński nie namyślał się długo. Jego wybór przynależności akurat do tej grupy został dokonany po prostu dlatego, że była to pierwsza antyniemiecka organizacja w Brześciu, z którą się zetknął. Wiedział

także, że większość jego podkomendnych weszła do podziemia w przeświadczeniu, że idą do ZWZ.

Tak oto kpt. „Wania”, który jeszcze godzinę temu dysponował zaledwie dwoma ludźmi, stał się szefem dużej organizacji. Współpraca Słonczyńskiego, lojalnego i rozważnego podkomendnego, doskonale zorientowanego w terenie, spowodowała, że kapitan mógł o wiele wcześniej przystąpić do zasadniczych zadań dywersyjnych. Słonczyński zaś, który w jakiś czas potem został mianowany komendantem bazy „Wachlarza” w Brześciu, przyjął pseudonim „Żbik”, a wkrótce awansowano go na podporucznika.

Po tak zachęcającym początku „Wania” postanowił przejąć całą brzeską grupę, a nie tylko jego organizację wojskową. Po dwóch dniach, skontaktowany przez „Żbika”, spotkał się z szefem podziemia na teren Polesia – por. Henrykiem Westwalewiczem – „Kaliną”. Rozmowa miała podobny przebieg. Westwalewicz – twórca i ideolog brzeskiego oddziału – nie miał wątpliwości, że organizację należy podporządkować kpt. „Wani”.

Ponad stuosobowy zespół był jednak zbyt liczny i za mało elastyczny, aby realizować zadania, jakie stawiała organizacja „Wachlarz”. Owszem, szerokie kontakty i wywiadowcze wtyczki przydały się później zarówno jemu, jak i AK, ale na razie kapitanowi potrzebny był mały zespół młodych ludzi, których można by wyszkolić w zakresie dywersji.

Przekazał więc całą przejętą organizację miejscowej AK, sam zaś zatrzymał dla swych celów kilkunastu młodych, rzutkich i zdecydowanych na wszystko chłopców. Z najenergiczniejszej, ale bardzo surowej piątki stworzył swój oddział przyboczny i forsownie zaczął go szkolić.

Zbliżała się wiosna. Zapowiadana niemiecka ofensywa na wschodzie wymagała natychmiastowego rozpoczęcia dywersji na liniach kolejowych. Warszawa coraz natarczywiej domagała się wzmożonych sabotaży.

„Chyba «Motor», panie kapitanie”

Pod koniec marca kpt. „Wania” przy pomocy „Żbika” poznał większość placówek terenowych i ich uzbrojenie. Teraz głównym problemem było zapewnienie tworzonym patrolom dużej operatywności. Warszawa zapowiadała przysłanie pierwszych bojówkarzy-absolwentów kursów dywersyjnych¹⁹, którzy na Polesiu pod wodzą kapitana „Wani” mieli poznać praktykę akcji sabotażowych. Jedna sprawa pozostała jeszcze ciągle nie rozwiązana, a mianowicie transport, zapewniający szybki dojazd na zadania i jeszcze szybszy odskok. Trakcja kolejowa nie mogła być brana pod uwagę – zbyt często na niej kontrolowano, a poza tym sieć jej była bardzo rzadka. Pozostawały samochody, ale te znajdowały się wyłącznie w dyspozycji niemieckich urzędników. Kapitan zwierzył się ze swych kłopotów „Żbikowi” i ten – jak zwykle – od razu znalazł wyjście z sytuacji.

¹⁹ W celu odpowiedniego przeszkolenia ludzi dla „Akcji W” kierownictwo „Wachlarza” na przełomie 1941/42 r. zorganizowało specjalne kursy minerskie. Planowano przeszkolenie ponad sześciuset żołnierzy, w rzeczywistości kursy ukończyło około stu dwudziestu osób.

– Mamy tu jednego naszego człowieka. Ma w dyspozycji dwie ciężarówki i jeden samochód osobowy.

– Czy pewny?

– O tak, sprawdzony. Jest w naszej organizacji od pół roku i nieraz już korzystaliśmy z jego wozów przy przewozie broni. Pracuje jako szofer w Oberforstverwaltung Brest²⁰.

²⁰ Nadleśnictwo Brześć.

– Proszę o charakterystykę tego człowieka.

– Nazywa się Jerzy Wojnowski, lat około 26, podchorąży rezerwy z Modlina, saper. Pochodzi z Kielc. Przed wojną przeniósł się tutaj. Brał udział w kampanii wrześniowej. Mieszka tu z rodzicami i żoną Tamarą.

– Jutro chcę go poznać.

– Tak jest, panie kapitanie!

Na drugi dzień idą obaj do garażu nadleśnictwa. Tutaj najpewniej można zastać rozmiłowanego w samochodach Wojnowskiego. Nie zawodzą się. Na spotkanie ich wychodzi usmarowany ropą krępy młody człowiek o atletycznej budowie. Twarz szeroka, bystra – choć niskie, zarośnięte czoło robi przykre wrażenie. Widok Słonczyńskiego orientuje go prawdopodobnie w przedmiocie wizyty, bo szybko prowadzi ich za garaże. Tu następuje prezentacja.

– To właśnie jest Wojnowski – wskazuje „Żbik” – a to nasz nowy dowódca, kapitan „Włodek” – podaje aktualnie używany pseudonim kpt. „Wani”.

Obaj mężczyźni wymieniają uścisk dłoni.

– Będę potrzebował pana i pańskich samochodów, podchorąży – przystępuje zaraz do sprawy „Wania”.

– Jestem do pańskiej dyspozycji, panie kapitanie. Naturalnie trzeba będzie brać pod uwagę życzenia moich chlebodawców – tu Wojnowski pokazuje na gmach nadleśnictwa – ale sądzę, że uda mi się ich wykołować, gdy będzie trzeba. Czy wozy są potrzebne już, teraz?

– Na razie nie, ale mogą być potrzebne w każdej chwili. Proszę to uwzględnić. Jeszcze jedno. Nie może pan używać nazwiska w naszej robocie. Proszę sobie wybrać pseudonim.

– Pseudonim – powtarza powoli Wojnowski. – Hm. Cały czas grzebię się w silnikach, może więc „Motor”?

– Może być. A więc, podchorąży „Motor”, polecenia będzie pan otrzymywał przez swego dotychczasowego dowódcę – „Wania” wskazuje na Słonczyńskiego.

– Tak jest, panie kapitanie – lekko pręży się „Motor”. Gdy mówi, odsłania piękne, białe, nieco

drapieżne zęby. Kapitanowi podoba się ten dowcipny, trochę rubaszny podkomendny.

Za kilka dni okazało się, że podobne możliwości jak „Motor” miał również drugi pracujący w konspiracji żołnierz, „Duglas”²¹. Przy pomocy tych dwóch ludzi kapitan „Wania” mógł uznać sprawę wewnętrznego transportu Odcinka za ostatecznie załatwioną²².

²¹ Antoni Langner, współwłaściciel przedsiębiorstwa transportowego. Szef transportu III Odcinka, potem oficer broni przy warszawskiej bazie okręgu brzeskiego. Ranny w Powstaniu 7.IX.1944 przy ulicy Książęcej jako żołnierz „Czaty 49”, zmarł tego samego dnia w szpitalu przy ul. Mokotowskiej 52.

²² W sumie z Odcinkiem III „Wachlarza” współpracowało osiem przedsiębiorstw transportowych i budowlanych; były to przeważnie tylko kanały przerzutowe ludzi i amunicji z GG do Ostlandu.

W pierwszych dniach kwietnia część zachodnia III Odcinka „Wachlarza” była prawie gotowa do podjęcia systematycznie powiększanych zadań dywersyjnych. Sieć wywiadowcza, sięgająca coraz bardziej na wschód, pracowała sprawnie. Znaleźli się także specjaliści – zbrojmistrze jeszcze z Wojska Polskiego – którzy obok umiejętności przygotowywania bomb i min mieli trochę ukrytych materiałów wybuchowych.

Mija czerwiec i zaczyna się upalny lipiec. „Wachlarz” rozszerza swoją działalność, ale pojawiają się trudności i to coraz większe. Brakuje ciągle broni, materiałów wybuchowych oraz pieniędzy. Na początku lipca „wpada” z całą gotówką łącznik z Warszawy. Kpt. „Wania” jest poważnie zmartwiony, gdyż organizacja ma wiele płatności.

I wtedy melduje się przed kapitanem „Motor” z ciekawą propozycją:

– Panie kapitanie, mam pomysł. Niewiele tego będzie, ale zawsze kilkanaście tysięcy ostmarek piechotą nie chodzi. Pojutrze wiozę nadleśniczego z wypłatą do Wysokiego Litewskiego. Zatrzymajcie nas i weźcie. Tylko żeby mnie chłopcy z emocji nie kropnęli.

17 lipca po południu, cztery kilometry za Brześciem, w cieniu przydrożnych krzaków leży kapitan z trzema ludźmi patrolu. Żołnierze to młodzi, pełni zapału, ale niedoświadczeni. Żaden z nich nie wie o tym, że „Motor” współdziała w tej akcji. Nie znają go w ogóle.

Kapitan jeszcze raz przypomina role:

– Ty, „Kusy”, zatrzymujesz wóz, ty, „Maniek”, bierzesz na muszkę Niemca, wyciągasz go z wozu i odbierasz od niego teczkę. Ty, „Kadet”, trzymasz cały czas na oku kierowcę. Zabieramy pieniądze i odskakujemy.

– Panie kapitanie, a może im chociaż po wozie przejechać z automatu albo wsunąć trochę Niemcowi lub temu szoferakowi, co się okupantowi wysługuje – gorączkują się chłopcy.

– Trzymać się ściśle rozkazu – przypomina surowym tonem kapitan „Wania”. – Żadnych samosądów ani strzelania. Zrozumiano?

Przycichają chłopcy i przez chwilę panuje milczenie.

Naraz „Kusy” zrywa się z ziemi. Od Brześcia narasta wysoki głos silnika. W tumanie kurzu pędzi szosą zielony opel.

„Kusy” szarpie zamek pistoletu maszynowego, wyskakuje na szosę i kieruje lufę ku nadlatującemu samochodowi.

Pisk hamulców i opel stoi w poprzek szosy. Z podniesionymi rękami wyłazi z niego „Motor”. Już jest przy nim „Kadet”, poszturchując go lufą po żebrach domaga się podniesienia rąk jeszcze wyżej.

„Maniek” wyciąga za kołnierz trzęsącego się Niemca w mundurze leśnika. Ten zaś niezrozumiale bełkoce i wtyka żołnierzowi dużą, czarną teczkę.

„Kadet” tymczasem obskakuje „Motora”. Odpędza go od samochodu, wymyśla od niemieckich służbów. Szofer ogania się od niego jak od natrętej muchy.

Naraz „Kadet”, porwany widąc nastrojem sytuacji, uderza lekko „Motora” lufą pistoletu w nos. Krótki hak w żołądek jest odpowiedzią. „Kadet” nie może złapać oddechu, stęka przeraźliwie i osuwa się na

kolana. „Kusy” i „Maniek” rzucają się na szofera jak dwa brytany.

„Wania” spod olchy zdążył tylko krzyknąć:

– Nie strzelać!

Zanim dopadł do kłębowiska i kilkoma sprawiedliwie rozdzielonymi ciosami rozrzucił ich po szosie, „Motor” miał podbite oko, a żołnierze plutonu porozbijane nosy.

– Odskok.

Poderwali się do biegu i wpadli do lasu. „Maniek” przyciskał do piersi czarną teczkę, a „Kadet” biegł, z trudem łapiąc oddech.

– W łeb takiego łobuza palnąć – pomstował dysząc – Niemca bronił. Że też pan kapitan...

– Cisza w szeregu! – zdusił to biadolenie „Wania”.

Na drugi dzień „Motor” z fioletowym okiem skarżył się kapitanowi, że ten nie dotrzymał umowy.

– Nie dość, że forszę „nadałem”, to jeszcze oberwałem po gębie. Jedyna z tego korzyść, że mój Niemiec dziś na odprawie w nadleśnictwie nachwalić się mnie nie mógł, że tak go broniłem.

W czasie tej wyprawy w ręce „Wachlarza” wpadło piętnaście tysięcy marek.

Perypetie „Mariana”

W tym czasie, gdy kpt. „Wania” przystąpił do bezpośrednich akcji dywersyjnych w okolicach Brześcia i samym mieście, rozesłani przez niego zaufani ludzie montowali na terenie III Odcinka patrole sabotażowe i zakładali bazy zaopatrzeniowe. Jednym z najaktywniejszych okazał się por. „Marian” – Marian Przysiecki, który – jak pamiętamy – był pierwszym podkomendnym kapitana.

Skierowany został przez kpt. „Wanię” za Pińsk, aby w mieście nie rzucał się zbyt w oczy miejscowym ludziom (którzy go znali z okresu przedwojennego, gdy chodził tu do gimnazjum), a także by zapewnił sobie swobodę działania. Szybko uzyskał posadę administratora majątku Kołby na południowy wschód od Pińska, koło miasteczka Parachońsk. Miał co prawda agronomiczne przygotowanie ze swej poprzedniej pracy w pierwszym roku okupacji w Lubelskiem, o wyborze tego zajęcia zdecydowały jednak głównie względy wojskowe.

W bardzo krótkim czasie „Marian” skompletował patrol dywersyjny, w którego skład – poza dowódcą – weszli: „Antoni” zwany również „Małym” lub „Gramem” ze względu na... 192 cm wzrostu²³, „Kontroler II” – Stanisław Murawski, starszy już żołnierz, „Heniek Duży” – Henryk Pawliszyn, Emil Jung²⁴ i „Marynarz” – Tadeusz Horoszcza, kuzyn „Mariana”. Sam Przysiecki zorganizował w administrowanym przez siebie majątku bazę, której został komendantem. Baza ta otrzymała numer 325.

²³ Antoni Kończal, ur. 29 XII 1914 r., st. strz., mianowany ppor. 11 XI 1942 r. Po likwidacji „Wachlarza” przeniesiony do „Czaty 49”. Walczył w Powstaniu na Woli i dowodził kompanią w czasie walk na Czerniakowie. Poległ około 25 IX 1944 r. przy próbie ewakuacji rannych pontonem na drugi brzeg Wisły.

²⁴ Aresztowany 8 VI 1943 r., osadzony na Pawiaku.

²⁵ „Tam założył bazę wypadową. Pomagał ludziom, którzy u niego przebywali, karmił ich, sprowadzał im papiery. Wszyscy, którzy tam byli, potwierdzają to całkowicie” – oceniał działalność „Mariana” w swej notatce z 31 I 1943 r. książd „Miś”.

W początkach sierpnia do dyspozycji por. „Mariana” przysłano z Brześcia w charakterze łączniczek dwie siostry Snopkówny: 19-letnią Jadwigę i 21-letnią Marię. Przed wyjazdem z Brześcia dziewczęta przeprowadziły na pożegnanie rozmowę z rodzicami oświadczając im, że zostały przyjęte do konspiracji i otrzymały polecenie natychmiastowego wyjazdu pod Pińsk, gdzie wyznaczono im organizacyjne kwatery. Z fragmentów tej rozmowy rodzice wywnioskowali, że do współpracy z podziemiem pozyskał je jakiś szofer mieszkający w Brześciu, o imieniu Jurek (najprawdopodobniej „Motor”). Tuż przed wyjazdem dziewczęta przybrały pseudonimy: starsza – „Mery”, młodsza – „Dziunia”. Zaraz po zgłoszeniu się do por. Przysieckiego „Dziunia” otrzymała polecenie wymiany na czarnym rynku organizacyjnych dolarów na ostmarki.

W tydzień później, na rozkaz kpt. „Wani”, patrol „Mariana” wysadził tory za Pińskiem, wykołując transport wojskowy jadący na front. Niemcy zareagowali bardzo szybko, obejmując obławą szeroki teren. Miejscowa ludność w obawie o własną skórę zwróciła uwagę Niemców na kilku młodych ludzi, którzy od pewnego czasu mieszkali w majątku Kołby pod Parachońskiem. Błyskawiczny nalot żandarmerii pozwolił ująć całą szóstkę. Skrupulatna rewizja nie ujawniła nic kompromitującego, ale dla przeprowadzenia szczegółowego śledztwa zabrano ich do Pińska. Tu zostali osadzeni w areszcie żandarmerii, mieszczącym się w piwnicach „czerwonych koszar” przy ulicy Albrechtowskiej.

Żandarmi zmęczeni całodzienną obławą, po spisaniu niezbędnych personaliów, wpędzili zatrzymanych do celi i zatrzasnęli drzwi pozostawiając badanie na następny dzień.

W skąpym blasku księżyca, sączącym się ledwo, ledwo przez zakratowane okienko, rozeznali na barłogu jakąś skuloną postać kobiecą. A ta przez chwilę – widać rozbudzona – przyglądała się im bacznie. Stali niezdecydowani przy drzwiach, nie wiedząc, gdzie ich miejsce na startych na sieczkę

garściach słomy.

– „Marian” – dobiegł stłumiony szept z barłogu.

– Patrzcie, dziewczyna – zawołał Przysiecki. – I to znajoma!

Podszedł do leżącej i bezceremonialnie zadarł jej głowę. Zbliżył twarz do jej twarzy.

– Snopkówna! – zawołał zdumiony, rozpoznając swoją łączniczkę. – Ty nas sypnęłaś? – zapytał gniewnie, nagle zaniepokojony.

– Skąd! – odparła. – Nawet jeszcze nie byłam na badaniu. Za co wpadliście tak całą grupą?

– Za niewinność – odparł ze złością „Marian”. – A ciebie co tu sprowadziło?

– Dewizy. Trafiłam na kapusia.

– Jak długo siedzisz?

– Trzeci dzień.

– A czy można stąd prysnąć?

– Nie bardzo. Drzwi dębowe, obite blachą, mury prawie metrowe. Jedyne okienko zakratowano grubym żelazem... A jeszcze na zewnątrz dzień i noc chodzi wartownik.

„Marian” popatrzył chwilę po towarzyszach niedoli, którzy przysiedli na słomie.

– Wartownik, powiadasz? – podjął. – Własowiec może? – dopytywał z iskrą nadziei.

– Nie. Żandarm.

– To gorzej.

Podszedł do okna, podniósł głowę. Okienko było pod sufitem i gdy co trzy, cztery minuty przechodził żandarm, widać było tylko buty.

Podsunął się jeszcze bliżej i zaczął obmacywać drewnianą ramę okienną. Po chwili przywołał wyróżniającego się siłą „Marynarza” i razem, palcami zaczęli odginać wielkie, kilkucalowe gwoździe przytrzymujące ramę.

Wreszcie do zatęchłej, wilgotnej piwnicy wdarła się szeroka struga rześkiego powietrza. „Marian” bezszelestnie odstawił wyjęte okno na bok. Teraz kroki wartownika dudniły im nad samymi głowami. Podsunęli się wszyscy pod okienko, ale widok grubych na dwa palce krat szybko zgasił nadzieję. Przysiedli znów na barłogu, przy oknie został tylko „Marian”.

Obmacywał teraz żelazne sztaby. Może nie są mocno osadzone w murze? Może da się wykruszyć zaprawę? Ze zdumieniem stwierdził, że kraty nie były w ogóle wpuszczone w mur, jedynie przykręcone do framugi. Odkrycie to oszołomiło go.

I znów syk „Mariana”. Pod okno wędruje na palcach najpierw „Marynarz”, a zaraz po nim „Kontroler II”.

O dwa kroki od stukających po bruku żandarmskich saperek odbywa się teraz prowadzona raczej na migi niż szeptem narada. W jej wyniku wytrząsają zawartość kieszeni – wszystkie metalowe przedmioty, które mogą zastąpić choćby najprymitywniejszą dzwignię, są na wagę złota.

Dwie pierwsze śruby wychodzą prawie łatwo. Ale czy następne były osadzone mocniej, czy też poranione palące zaczęły tracić sprawność, dość że każdy obrót śruby osiągnęli teraz prawie trzykrotnie większym wysiłkiem. Jeszcze, jak na złość, wartownik w pewnej chwili zapalił papierosa i stał tuż przed ich okienkiem z dziesięć minut. Wypoczęły wprawdzie zmęczone ręce, ale za to nerwy mieli napięte jak postronki.

Żandarm rozpoczął znów swój spacer, a oni podjęli przerwana pracę. Szło im coraz trudniej. Na każdą śrubę zużywali prawie pół godziny. I wreszcie już dobrze po północy ustąpiła ostatnia. Cichutko wyjęli wymontowaną kratę. Droga była prawie wolna. Zagradzał ją jeszcze spacerujący żandarm.

„Marian” odwołał od okna „Marynarza” i „Małego” i coś im przez chwilę bezgłośnie tłumaczył. Kiwali głowami i już po chwili „Marynarz” siedział „Małemu” na karku. W ten sposób mógł się wsunąć

w okienny otwór.

Zamarli w oczekiwaniu. Równy, rytmiczny stuk butów narastał powoli. Dziesięć metrów, osiem, pięć, już bardzo głośno, trzy, dwa...

„Marynarz” szarpnął się do przodu, wyrzucił ramiona, zagarnął nimi nogi wartownika. „Mały” w tej chwili rzucił się od okna, zwałił na barłóg, tuż za nim wpadł do piwnicy „Marynarz” obejmując w konwulsyjnym uścisku nogi wartownika. Zaskoczony Niemiec nie zdążył wydać żadnego dźwięku, gdyż pierwszy jego okrzyk utonął w narzuconej na głowę „Marianowej” marynarce. Nasłuchiwali teraz dobrą chwilę, ale na zewnątrz było cicho.

„Marian” odciągnął zamek zdobytego empi i po plecach „Małego” wdrapał się do okna. Wystawił głowę, a po chwili precyzyjnie się cały. Za nim na cichą ulicę wylazł „Heniek”, potem „Kontroler II”, Jung, „Dziunia”, „Mały” i jako ostatni „Marynarz”. Zaczęło właśnie świtać, gdy cała siódemka zniknęła w mrocznym podwórku.

Zaraz po ucieczce „Marian” rozformował patrol i jego członkowie zamelinowali się, gdzie mogli. „Mały” i „Marynarz” wyjechali natychmiast do Warszawy, inni zaś ukryli się w okolicy.

Przysiecki przytaił się przez dwa tygodnie w piwnicy domu rodziców w Pińsku, „Dziunia” zaś przyjechała do Brześcia i przez dwa tygodnie mieszkała u koleżanki, ukrywając się tam do czasu, aż Przysiecki, jadąc do Warszawy, zabrał ją ze sobą.

Gestapo – zarówno brzeskie, jak i pińskie – zastosowało represje w stosunku do rodzin uciekinierów. Aresztowano pod Pińskiem starszą Snopkówkę, „Mery”, osadzając ją w dobrze strzeżonym więzieniu pińskim przy ul. Brzeskiej na oddziale kobiecym. Aresztowano także profesora gimnazjum pińskiego, Bogdana Przysieckiego i po okrutnych badaniach, mających na celu wydobycie miejsca ukrycia brata – por. „Mariana” – rozstrzelano go na żydowskim cmentarzu w Janowie Poleskim.

Porucznik „Marian”, oczekując na rozkazy „Doktora”, współpracował tymczasem bardzo wydatnie z księdzem „Misiem”²⁶, szefem bazy mieszczącej się przy ulicy Waliców. Zajmowała ona cały piętrowy, obszerny dom. Tu znajdowały się magazyny dywersyjne, baza przerzutowa, melina, gdzie ludzie spaleni na jednym Odcinku przechowywali się, nim wyjechali gdzie indziej. Tam też znalazła schronienie „Dziunia” Snopkówna, której wyrobiono fałszywe dokumenty na nazwisko Halina Stryjewska.

²⁶ Inny pseudonim „Rola” – Mieczysław Stypułkowski. Kapitan i kapelan 36 Pułku Legii Akadem., prawnik z wykształcenia, wybitnie inteligentny, władający biegle czterema językami (niemieckim, francuskim, włoskim i hiszpańskim), już od października 1939 r. tkwił w konspiracji. Skierowany do „Wachlarza”, najpierw działał na II Odcinku (u „Ponurego”), później przeniesiony do Warszawy objął dowództwo bazy na ul. Waliców i szefostwo kadr w sztabie. Pod jego komendę skierowano uciekinierów z Pińska. W kartotece Kedywu (nr 9) księdza „Misia” zachowanej w Archiw. WIH, znalazłem adnotację: „aresztowany 4-6 VI” – w rzeczywistości 3 VI 1943 r. Podobno rozstrzelany na Pawiaku w 1944 r.

Przysiecki wołał jednak mieszkać w domu swej siostry, Obryckiej, przy ul. Świętokrzyskiej 12. Dom ten był wielokrotnie wykorzystywany przez władze konspiracji jako punkt kontaktowy, Obryccy nie szczydzili bowiem trudów, aby okazać się przydatnymi dla konspiracji. Inż. Narcyz Obrycki był właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego – dosyć duży ruch w posesji przy ul. Świętokrzyskiej, gdzie mieściły się biura firmy, ułatwiał umówione spotkania.

Przysiecki, choć ustalił z siostrą, że będzie mieszkał w jej domu w Milanówku, właściwie codziennie przebywał w Warszawie.

Natychmiast po przyjeździe z Pińska odnowił kontakty towarzyskie z zaprzyjaźnioną rodziną Kowalskich²⁷, których młodszą córkę, Krystynę, darzył wyraźną sympatią. I teraz, gdy po aresztowaniu ojca²⁸ rodzina ta znalazła się w trudnych warunkach, śpieszył z wszelką pomocą. Jego wizyty w domu Kowalskich stały się na tyle częste, na ile pozwalały względy bezpieczeństwa. Wprowadził tam też „Dziunię” Snopkówną, którą się opiekował, oraz szereg ludzi konspiracji z rejonów wschodnich, przyjeżdżających do Warszawy w sprawach organizacyjnych.

27 Z powodów, które staną się dla czytelnika jasne po przeczytaniu dalszych stron książki, autor zataił prawdziwe nazwisko tej rodziny, nazywając ją – Kowalskimi. Zmianę tę wprowadzono również do cytowanych dalej dokumentów.

28 Ojciec Krystyny Kowalskiej, Wilhelm, żołnierz „Wachlarza”, aresztowany został 20 lipca 1942 r. wraz z szefem magazynów organizacji „Inspektorem” – Wincentym Boyem.

Pewnego dnia, w początkach września 1942 roku, w kilka dni po przyjeździe, odwiedził wraz ze Snopkówną swoją siostrę w jej mieszkaniu przy ul. Świętokrzyskiej. Wobec tego, iż była to pora obiadowa, poproszono ich do stołu. Tuż przed zajęciem miejsc służąca zapowiedziała wizytę dwóch panów. Snopkówna i Przysiecki wyszli do drugiego pokoju. Pierwszy rzut oka Obryckiej na tyrolskie kapelusiki przybyłych powiedział jej wszystko. Nie kryli zresztą, kim są i po co tu przyszli.

– Gestapo – zaanonsował rudawy, widocznie starszy rangą. – Pani jest siostrą Mariana Przysieckiego, prawda?

– Tak.

– Pani brat, aresztowany za działalność przeciwko III Rzeszy, uciekł z więzienia w Pińsku, zabijając niemieckiego żołnierza. Mamy wiadomości, że ukrywa się u pani.

– Brata ostatni raz widziałam przed wojną. Ktoś wprowadził panów w błąd – Obrycka starała się mówić spokojnie, ale dostatecznie głośno, by ostrzec brata za nie domkniętymi drzwiami.

– Dobrze, przekonamy się. Jaki jest rozkład mieszkania?

– Po drugiej stronie korytarza jest biuro, tu zaś trzy pokoje.

– Ty sprawdź mieszkanie, a ja zajmę się biurem – polecił rudy.

Obrycka wiedziała przecież, że Marian ma przy sobie broń i że nie zawaha się jej użyć. Czekwała więc tylko chwili, gdy gestapowiec spróbuje wejść do drugiego pokoju...

On jednak nie ruszał się od stołu. Upewniwszy się, że towarzysz jego zamknął za sobą drzwi, rzekł szybko:

– Nie mam zamiaru go szukać. Ale na pewno wiemy, że tu jest. Wiadomości są pewne. Niech go pani ostrzeże, aby się dobrze ukrył, bo gdy go złapiemy, los jego będzie przesądzony.

– Ale brata tu naprawdę nie było i nie ma – zapewniała podejrzewająca podstęp Obrycka.

– Pani inaczej nie może powiedzieć, ale ja wiem swoje. Niech go pani ostrzeże, powtarzam – rzekł z naciskiem.

Dalszą rozmowę przerwało wejście drugiego gestapowca.

– Nie znalazłem nic.

– Ja także nic.

Tuż przed wyjściem rudy raz jeszcze rzekł do Obryckiej:

– Jeśli brat zgłosi się kiedykolwiek, ma nam pani natychmiast dać znać.

Nie całkiem jeszcze pewna, czy to już koniec, Obrycka weszła do drugiego pokoju i... tu nie zastała nikogo. Gdzie się podział Przysiecki? Gdzie Snopkówna?

Słyszając przez uchylone drzwi fragmenty rozmowy, porucznik przeszedł wraz ze Snopkówną drugimi drzwiami do przedpokoju, ubrał się tam w płaszcz szwagra, na nos włożył znalezione przypadkowo w kieszeni okulary i wyszedł z „Dziunią” na klatkę schodową. Zbiegli szybko ze schodów...

Na korytarzu, już na parterze, stało dwóch gestapowców. Przysiecki przez chwilę tylko zastanawiał się, czy iść dalej, wierząc w skuteczność przebrania, czy też przebijać się z bronią w rękę. Zaryzykował i udało się. Gestapowcy przyjrzeni mu się bacznie, ale widać okulary tak go zmieniły, że rozstąpili się bez słowa.

I tak oto rozpoczęła się trwająca trzy kwartały zabawa w kotka i myszkę pomiędzy por. „Marianem” a Niemcami, a raczej ich niektórymi formacjami. Bo wtedy gdy żandarmeria i policja rozsyłały listy gończe za Przysieckim, gestapo już w kilka dni po wizycie na Świętokrzyskiej – dzięki pewnemu człowiekowi z

otoczenia oficera – ustaliło jego miejsce pobytu i było stale na bieżąco informowane o poczynaniach zbiega. Zadowalało się więc, do czasu, jego dyskretną obserwacją.

Nowi aktorzy – na scenę

Tymczasem „Ponury”, mianowany dowódcą II Odcinka „Wachlarza”, wraz z por. „Czarką”²⁹ znajdował się od początku czerwca w Równem.

²⁹ Jan Rogowski, ur. 1913, por. artylerii. W październiku 1939 r. walczył w oddziałach majora Fudakowskiego. 19 X 1939 r. przeszedł na Węgry. We Francji w 1940 r. służył w 3 pal, w Anglii – w 1 dal. Od 1941 r. w Ośrodku szkoleniowym cichociemnych. Zrzucony do Polski 3/4 III 1942 r. w ekipie nr 4, kryptonim „Collar”. Skierowany do „Wachlarza” 14 IV 1942 r., w czerwcu 1942 r. wyjechał na II Odcinek.

To przedwojenne kresowe miasto, zamienione teraz w kwaterę Komisarza Rzeszy ds. Ukrainy, przerażało ilością niemieckich formacji policyjnych i porządkowych. Adresy otrzymane w Warszawie okazały się spalone, kontakty pozrywane. Przewyciężając początkową nieufność i ostrożność, nawiązali łączność z ppor. „Halinem” – Kazimierzem Bessendowskim i ppor. „Francuzem” – Piotrem Bogackim, którzy tu zmontowali małą grupkę wywiadowczą, i z ich pomocą rozpoczęli penetrację rejonu swego przyszłego działania, wielkiego jak ćwierć Polski. Stworzono załazek pierwszego dywersyjnego patrolu, szkolonego przez „Czarkę”, i w końcu czerwca obaj oficerowie rozpoczęli rozeznawanie terenów położonych na wschód od dawnej granicy Polski.

Ich wyprawa, której celem było dostanie się do Kijowa, skończyła się niepowodzeniem. Ostatni raz widziano „Ponurego” i „Czarkę”, gdy wsiadali do ciężarówki jadącej w kierunku Zwiahła (Nowogród Wołyński). Potem ślad się urywał.

Po miesiącu podkomendni zaczęli się niepokoić, podjęli penetrację na własną rękę, ale cóż może zrobić kilku ludzi na terenie około 100 tys. km². Powiadomiona komenda „Wachlarza” 7 sierpnia skierowała na II Odcinek nowego dowódcę „Klona” Tadeusza Klimowskiego³⁰, do tego w praktyce ograniczając swoją troskę o kierownictwo.

³⁰ Porucznik, później major. W 1944 r. szef sztabu 27 Wołyńskiej Dywizji AK. W Powstaniu Warszawskim dowódca odcinka. Zmarł w 1981 r. w Anglii.

Z biegiem czasu skierowano tam pod dowództwem cichociemnych dwie grupy spalonych w Warszawie żołnierzy „Wachlarza”.

Por. „Klon” okazał się jednak sprawnym organizatorem. „Halin” i „Francuz” skontaktowali go z inż. Wróblewskim, pracownikiem służby telefonicznej w Równem, któremu Niemcy zlecieli zorganizowanie służby ochrony linii telefonicznych. Za namową „Klona” inż. Wróblewski przyjął to zadanie.

Dzięki temu stan organizacji II Odcinka niedługo rozszerzył się bardzo i patrole zalegalizowane formalnie w terenie pokrywały prawie cały nakazany rejon. Mówi o tym zachowany meldunek:

Na terenach przyfrontowych urządzenia pocztowe Niemcy przekazywali władzom cywilnym. Dla zabezpieczenia jednak wojskowych linii telefonicznych posiadali oni tzw. komendantury łączności. W Równem działała komendantura 306. Celem naprawy linii komendantura oprócz wojska używała służby pomocniczej. Przy zastosowaniu odpowiedniej techniki konspiracyjnej służba ta stopniowo przeobrażana była w kompanie pomocnicze (umundurowane) i obsadzała patrolami stałymi w sile 4-6 ludzi punkty wzdłuż linii komunikacyjnych, punkty nam potrzebne. Na stan kompanii 205 żołnierzy, (z) „Wachlarza II” było 120, w tym 3 oficerów skoczków z Anglii. W ten sposób został całkowicie rozwiązany problem łączności alarmowej oraz pogłębienia działania dywersyjnego przez usadowienie kilkunastu patroli wzdłuż szlaków komunikacyjnych³¹.

³¹ *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom III, Armia Krajowa, Londyn 1950, s. 595.

A „Ponury” i „Czarka” siedzieli w tym czasie w więzieniu w Zwiahlu. Ciężarówka, którą jechali, została zatrzymana pod miastem przez lotną antypartyzancką brygadę żandarmerii i chociaż obaj papiery mieli w porządku, zatrzymano ich pod zarzutem włóczęgostwa.

Po tygodniu izolacji obu przydzielono do grup aresztantów pracujących poza więzieniem. Dostyc dokładny sondaż służby więziennej upewnił ich, że tylko tędy prowadzi droga „na wolność”. Wszelkie inne koncepcje – przemyślane bardzo skrupulatnie – upadały.

Obaj oficerowie, przewyższający inteligencją i sprytem pozostałych współwięźniów, zostali przez strażników mianowani „vorarbeiterami”, a wobec tego, iż dobrą organizacją pracy zastąpili bicie, zyskali sobie zaufanie straży oraz przyjaźń i pomoc współwięźniów.

„Ponury”, były oficer policji, po raz pierwszy zetknął się w tym więzieniu z komunistami nie jako z przeciwnikami, lecz towarzyszami niedoli. Byli to ludzie podejrzani o współpracę z partyzantką radziecką, rozwijającą się masowo na Ukrainie. O jego wrażeniach świadczą słowa wypowiedziane przez niego w dwa miesiące później w Warszawie:

– To byli wspaniali ludzie, twardzi, nieugięci, i to stawało się zaraźliwe. Imponowali mi. Gdybym tam pobyl jeszcze miesiąc, kto wie czy sam nie zostałem komunistą.

Po dalszych dwóch tygodniach pobytu w więzieniu „Ponuremu” i „Czarce” udało się zmylić czujność wartowników i uciec. Powrócić do konspiracji na tym terenie nie mogli, ponieważ Niemcy rozpisali listy gończe opatrzone ich zdjęciami.

Trzeba się było przebić do Warszawy. W połowie sierpnia rozpoczęli swój przeszło miesięczny marsz bezdrożami i bezludziem ku okupowanej stolicy. Dotarli do celu w końcu września, opuchnięci z głodu, owrzodzeni, chorzy i wycieńczeni.

W czasie gdy „Ponury” i „Czarka” wędrowali do Warszawy, w nocy z 1 na 2 września na pola między majątkiem Łoś a Bogatką koło Piaseczna opadło bezszelestnie sześć kopulastych spadochronów. „Wachlarz” otrzymał nową partię ludzi.

Dowódcą zrzutu był kapitan „Żmudzin” – Bolesław Kontrym, zwany również „Wilczyńskim” lub „Bacą”, były oficer policji z Wilna, a w skład podległej mu grupy wchodził między innymi: por. „Kawa” – Michał Fijałka, który jeszcze kilka dni przedtem z rąk Naczelnego Wodza otrzymał Virtuti Militari za walki we Francji, por. „Kra” – Wacław Kopisto oraz por. „Bocian” – Mieczysław Eckhardt.

Po dotarciu do Warszawy „Żmudzin”, „Kawa” i „Kra” zostali oddelegowani do Komendy „Wachlarza”, „Bocian” zaś, po dwóch miesiącach aklimatyzacji – w połowie listopada – wyjechał na III Odcinek pod rozkazy kpt. „Wani”.

Niefortunny Dawidgródek

Był to początek tej sławnej zimy 1942 roku, która zadecydowała o załamaniu niemieckich poczynań na froncie wschodnim. Mimo że kalendarz wskazywał datę 20 listopada, a więc prawie środek jesieni, Horyń i jego dopływy skuł już lód. Było to zjawisko niecodzienne nawet tu, na głuchym Polesiu, gdzie widziano niejedną wczesną i srogą zimę.

Tego dnia kpt. „Wania” postanowił wykonać zamierzenie planowane od dłuższego czasu. Most, który mieli wysadzić, znajdował się o dwadzieścia kilometrów na północ od Dawidgródka, trzeba więc było wyjść odpowiednio wcześniej z miasteczka, aby przed nocą dotrzeć na miejsce akcji.

Szli rażno, bowiem tylko szybki marsz ratował przed kłuszącym mrozem. Koło południa „Wania” dał małej grupie kilka minut odpoczynku. Na brzegu rozlanej, zamarznętej rzeki, jednego z dopływów Horynia, znaleźli pustą smolarnię, gdzie wyciągnięci na drewnianych pryzkach – ćmili w milczeniu papierosy.

Kapitan dobrał sobie na tę akcję ekipę dosyć dziwną. Sam miał w tym gronie największe doświadczenie dywersyjne – dziesięć miesięcy działania na III Odcinku od chwili skoku, ale „Bocian”... Jeszcze trzy miesiące temu pił piwo w pubie na Piccadilly, a dziś ma się sprawdzić w kraju. „Wania” ma go u siebie dopiero dwa tygodnie. Jak zda próbę ogniową? Czy doświadczenie wyniesione z ośrodka szkolenia cichociemnych okaże się w praktyce wystarczające? Kapitan osobiście sprawdzał zachowanie się rzutków w pierwszych akcjach. Z „Azorem”³² to samo.

³² Piotr Downar – „Azor” vel „Azorek” (ur. 24 XII 1919 r.), st. strz. z cenzusem; w „Wachlarzu” od maja 1942 r. Początkowo prowadził sabotaż w zakładach kolejowych w Brześciu, następnie w celu zdobycia broni organizacja skierowała go do pracy w policji białoruskiej. Po zdemaskowaniu przez Niemców odesłany do lotnych patroli „Wachlarza”.

Nie jest „ptaszkiem”, jego też chce „Wania” wypróbować w poważniejszej akcji. Ten chłopak chodzi w patrolach prawie pół roku, ale dotąd były to drobiazgi.

Przed wyjściem ze smolarni „Bocian” i „Azor” sprawdzają broń. „Azor” zarzuca plecak z trotylem na barki i wchodzi na rzekę.

Lód jest mocny, gruby, o zielonkawym odcieniu, nie drgnie pod nogami. „Wania” jednak jest ostrożny, rozrzuca więc kolegów w pewnych odstępach od siebie. Dookoła pustka tak głucha, że swobodnie mogą pozwolić sobie na trochę głośnego śmiechu.

Nagle pod „Wanią” lód trzasnął jak wystrzał i kapitan siadł z nogą uwięzioną w szczelinie po biodro. Podskoczyli ku niemu szybko, ale powstrzymał ich ruchem ręki. Po co mają powtarzać błąd, którego on się nie ustrzegł? Przecież po sinym kolorze tafla powinien był poznać, że w tym miejscu nie ma grubej, twardej powłoki, lecz tylko lekko ścięty po wierzchu przerębel. Podają mu ostrożnie ręce i z ich pomocą kpt. „Wania” wstaje, ale natychmiast o mało nie siada z bólu. Podudzie pulsuje rwącym, znanym strzykaniem.

– Złamałem nogę – mówi spokojnie. Trudno powątpiewać w prawdziwość tej diagnozy, wszak kapitan w cywilu jest lekarzem.

„Azor” jest zrozpaczony. We dwójkę z „Bocianem” nie „zrobią” przecież tego mostu. A kapitana nie można zostawić na tym pustkowiu.

Biorą go pod pachy i starają się doprowadzić do brzegu. Nie takie to łatwe, dwumetrowy prawie towarzysz wagę ma odpowiednią. Wreszcie dobijają do opuszczonej przed godziną smolarni. Zaczyna się ledwo zmierzchać, a od Dawidgródka dzieli ich dwanaście kilometrów. Co robić?

Sadowią kapitana w smolarni, rozpalają ogień na palenisku zajmującym cały środek izby i wkrótce

rozchodzi się przyjemne ciepło. Zapas drzewa starczy co najmniej na dobę. Kładą więc kontuzjowanego na ławie blisko ognia, podsuwają drwa, by łatwo było mu dokładać i ruszają w powrotną drogę. Wszystko, co mieli do zjedzenia, zjedli już przedtem, pozostawiają więc kapitanowi tylko cały swój zapas papierosów. Nieobecność ich nie potrwa długo – w Dawidgródku będą nie później niż za trzy godziny, a tam już „Ryś”³³ załatwi wszystko, co trzeba. Bo „Ryś”, w konspiracji zastępca „Wani”, w życiu legalnym jest wielką i powszechnie znaną figurą w Liegenschafcie³⁴, szanowaną przez niemieckich mocodawców. Dysponuje koźmi, samochodem i przy takich możliwościach transport kapitana do Dawidgródka to fraszka.

³³ Ppor. Marian Czarnecki, ps. „Ryś”, „Ruski”, „Ignacy”, zastępca dowódcy III Odcinka „Wachlarza” i komendant bazy w Dawidgródku. Zmarł 17 V 1967 r.

³⁴ Niemiecki zarząd majątków rolnych.

Jest już późny wieczór, gdy „Bocian” z „Azorem” dochodzą do miasta. Jeszcze trochę czasu dzieli ich od godziny policyjnej, papiery mają mocne, nie ma więc czego się bać.

Kiedy zorientowali się, że coś jest nie w porządku, było już za późno. W świetle samochodowych reflektorów żandarmi upychają kolbami do ciężarówek złapanych Żydów, legitymując przy tym wszystkich zatrzymanych. Na nieszczęście, oficera gestapo, który kieruje akcją, interesują nie tyle ich papiery, ile zawartość plecaka. Szczegółowa rewizja ujawniła u obu zatrzymanych broń. Pod wzmocnioną eskortą „Bocian” i „Azor” zostają doprowadzeni na posterunek żandarmerii.

„Wania” tymczasem czeka w smolarni do rana, chwilami drzemiąc i pilnując ognia³⁵. Dym wydobywający się z komina opuszczonej sadyby zwraca uwagę. Od świtu trwa w okolicy dalszy ciąg obławy na Żydów, którą dnia poprzedniego zaczęto w miasteczku. Gęsta tyraliera ukraińskich i białoruskich policjantów otacza smolarnię zwartym kordonem i kierujący obławą podoficer z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wzywa osoby ukryte do wyjścia. Długo musi przekonywać kapitan nieufnego faszystę ukraińskiego, że wyjść nie może, bo ma złamaną nogę, że jest sam, bez broni, że czeka na pomoc i wreszcie... że jest obywatelem sojusznika Rzeszy – Włoch.

³⁵ Opracowano na podstawie ustnej relacji kpt. „Wani” oraz udostępnionego autorowi maszynopisu wspomnień dra Alfreda Paczkowskiego „Ankieta cichociemnego”. Pierwszy tytuł tej książki brzmiał *Lekarz nie przyjmuje*, PAX 1981, w następnych wydaniach (1984 i 1987) autor powrócił do „Ankiety cichociemnego”.

Papiery kapitana mogły rozwiązać wątpliwości najbardziej nieufnego człowieka. Opiewały na nazwisko weneccjanina Alfredo Pazzoto, któremu w uznaniu zasług sam wielkorządca Rzeszy na tereny wschodnie – komisarz Ukrainy, Erich Koch, mający swą siedzibę w Równem – nadał wielki majątek w tych okolicach. Miejscowość ta nazywała się Orły Wielkie i rzeczywiście smolarnia położona była niedaleko niej. Teraz właśnie, w czasie oglądania majątności, uległ wypadkowi, wysłał więc swoich dwóch fernali po pomoc do Dawidgródka.

Z szacunkiem należnym sojusznikowi Wielkich Niemiec na naprędce zorganizowanej podwodzie policjanci białoruscy dostarczyli signora Pazzoto do miasteczka, wprost do cieszącego się ich zaufaniem felczera, jedyne go wtedy przedstawiciela służby zdrowia w Dawidgródku.

Plan patrolu ⁷⁹ Walenty.

skład 3 ludzi: Waleń, Wian, Anor.

zamiar: 1/ rozpoznać drogi olejnic do obiektów wytworowych do zniszczenia w ostroju na odległość 10.

2/ 8 listopada r. b. dokonanie wyholowania na odległość z zachowaniem najmniejszych warunków.

1 ogłuszenie nie być obywatelom - prosi tego szlaku pociągów w por. ratowniczym.

W razie nie funkcjonowania linii olejnić większą uskutecznić ^{jedyną} na cmentarz szostkowski.

Środki

ustrójnia po 1 kolce + 5000 szt. sznurówki

rezewa 3 Co. i 150 szt. w.

2 gra -

2 zastawy kolumn

10 kg. szoty

2 zapalniczki elektryczne
siłkiwa, klejona -

wykonanie wyjazd do B. 15-21.

" do P. 16-21.

od P. zalicznie od sytuacji olejnic do kopania
tak aby dotrzeć do terminu "koniec listopada".
W drodze powrotnej ludzie roztępsze w barze
Sprawcy - Walenty wraca do anteki.

Wyjazd Ra

Wyjazd i powrót patrolu podacem drogą
radiową, przez stano Wania, trykostatia.

Kempere

14/21. 42.

Waleń

23. Fotokopia meldunku kpt. „Wani” (tu używa ps. „Walenty”) o zamiarze wyjścia swego patrolu, którego uczestnicy w dniu 20.XI.1942 zostali aresztowani pod Dawidgródkiem





24. Por. cc. „Czarka” — Jan Rogowski
(+ 1944)



25. Por./kpt. cc. „Kawa” — Michał Fijałka
(+ 1983)



26. Por./kpt. cc. „Kra” — Waclaw Kopisto
(+ 1993)



27. Ppor. c.w. „MSZ” — Władysław Hacakiewicz
(+ 1943)





28. „Żbik” vel „Jastrząb” — Zbigniew Słonczyński (+1943)

29. „Płomień” — Władysław Westwalewicz (+1943)

30. „Kmicic” — Henryk Hołub (+1943 ?)

31. „Ryks” — Czesław Hołub

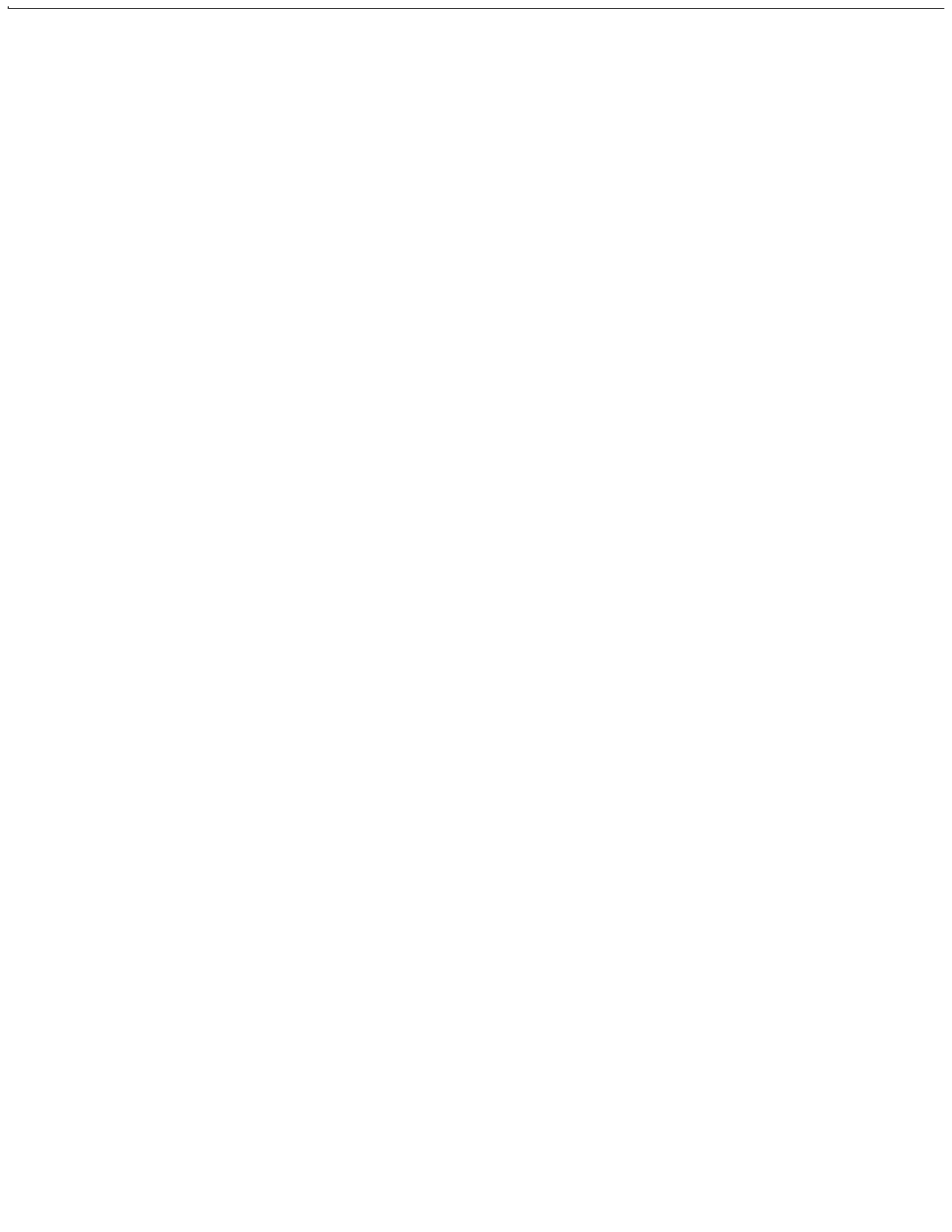
32. „Pakunek” — Henryk Fedorowicz







- 33. „Esesman” — Zygmunt Sulima
- 34. „Mały” — Antoni Kończal (+1944)
- 35. „Duglas” — Antoni Langner (+1944)
- 36. „Monter” — Edward Pobudkiewicz (+1966)
- 37. „Drucik” — Bolesław Posuszny (+1943)



Stadt-Verwaltung v. Pinsk

Zarząd Пинское
miasta Pińska Гродское Управление

№ _____

Pinsk, den 4/I. 1942

Do

Pana

Pojanko

ul. Grodzka 25

Z polecenia Pana Komisarza Okręgu utworzony został Polski Komitet w Pińsku, do którego Pan został powołany w charakterze członka.

Pierwsze zebranie tego komitetu wyznaczam na dzisiaj na godz. 17 m. 30 w lokalu Magistratu.

Burmistrz Miasta

[Signature]

38. Niemieckie władze okupacyjne w styczniu 1942 roku powołały w Pińsku do życia „Komitet Polski”, który był niczym innym jak tylko grupą zakładników mających gwarantować spokój wśród ludności polskiej



39. Apteka mgr. Wojnarowskiego w Pińsku. Przed rozbiciem więzienia przez „Ponurego” była punktem przekazywania ekipie uderzeniowej meldunków „Jeliny” za pośrednictwem łączniczki „Leny” — NN (na zdjęciu)



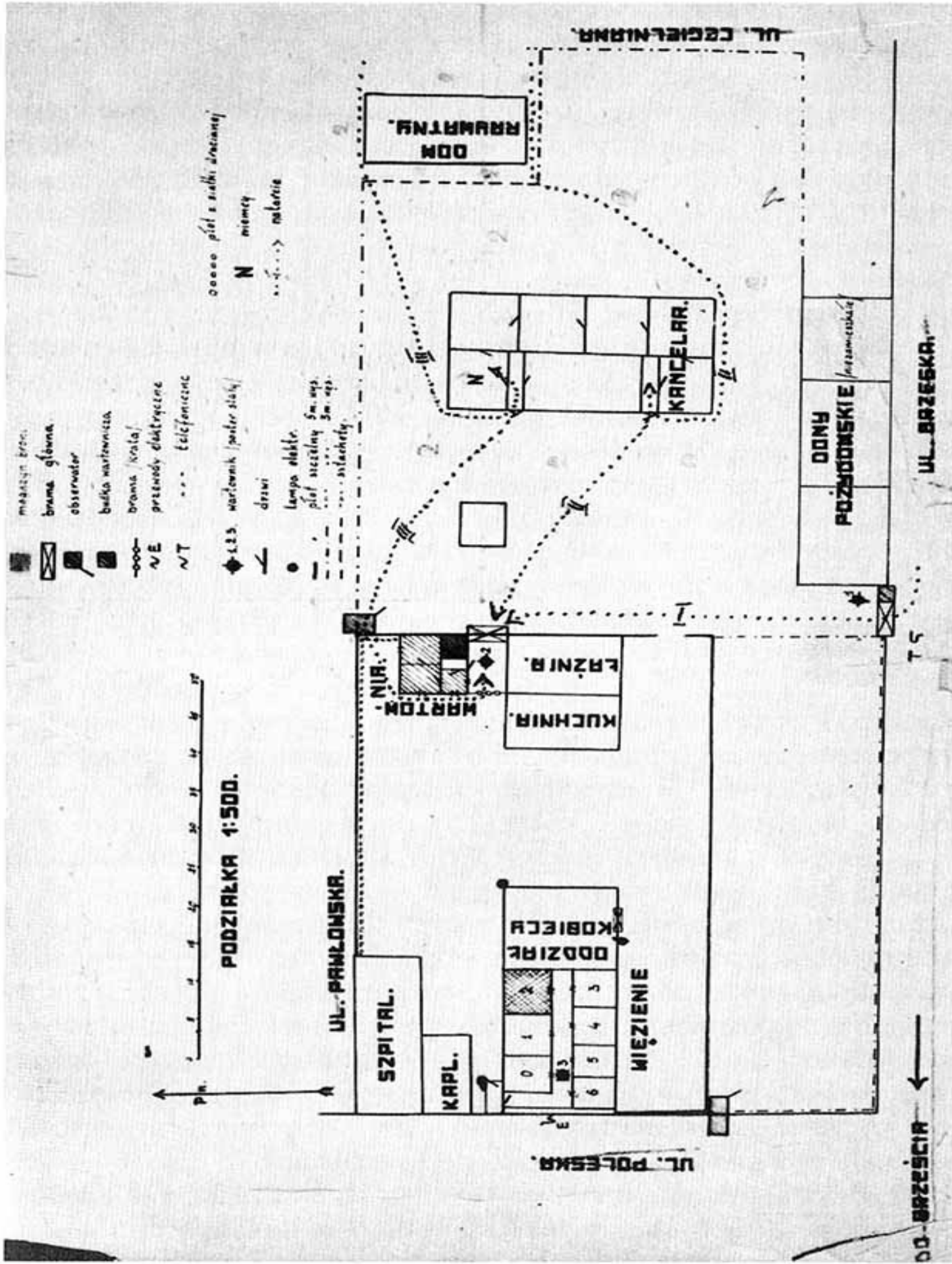


40. Katedra w Pińsku

41. Brama wjazdowa do więzienia







42. Oryginalny plan pińskiego więzienia wykonany przez por. „Kawę”. Kropkami zaznaczono drogę poszczególnych grup uderzeniowych



WACHLARZ

(18)

KARTA EWIDENCYJNA

1 OSOBA: 2 PSEUDO: 3 DATA UR:
 Nr 159: ~~.....~~ *Michał* DN 17. M. c. IX 1913 R.

4

5 STOP WOJSKOWY: 6 RODZAJ BR. SPECJALNOŚCI: 7 PRZEBIEG SŁUŻBY W WP:
ppor. rez *piłownic*

STARZEŃ. Z

ZMIANY

KAMPANJA 1939R. *szkolenia, Bureci - 2 strzela*

8 ZNAJOM WYKSTRA: 9 ZNAJOM JĘZYKÓW: 10 STAN RODZINNY:
At. ręk. techn. *ros* *sz. ematy*
techn. kolej.

11 DATA WSTĄPIENIA DO ORGANIZACJI: TERENOWY:
 Nr 42 *Polonia - 23.07.44 64*
Leg. Poloa.

12 NAZWA ORGANIZACJI I PRZEBIEG SŁUŻBY:

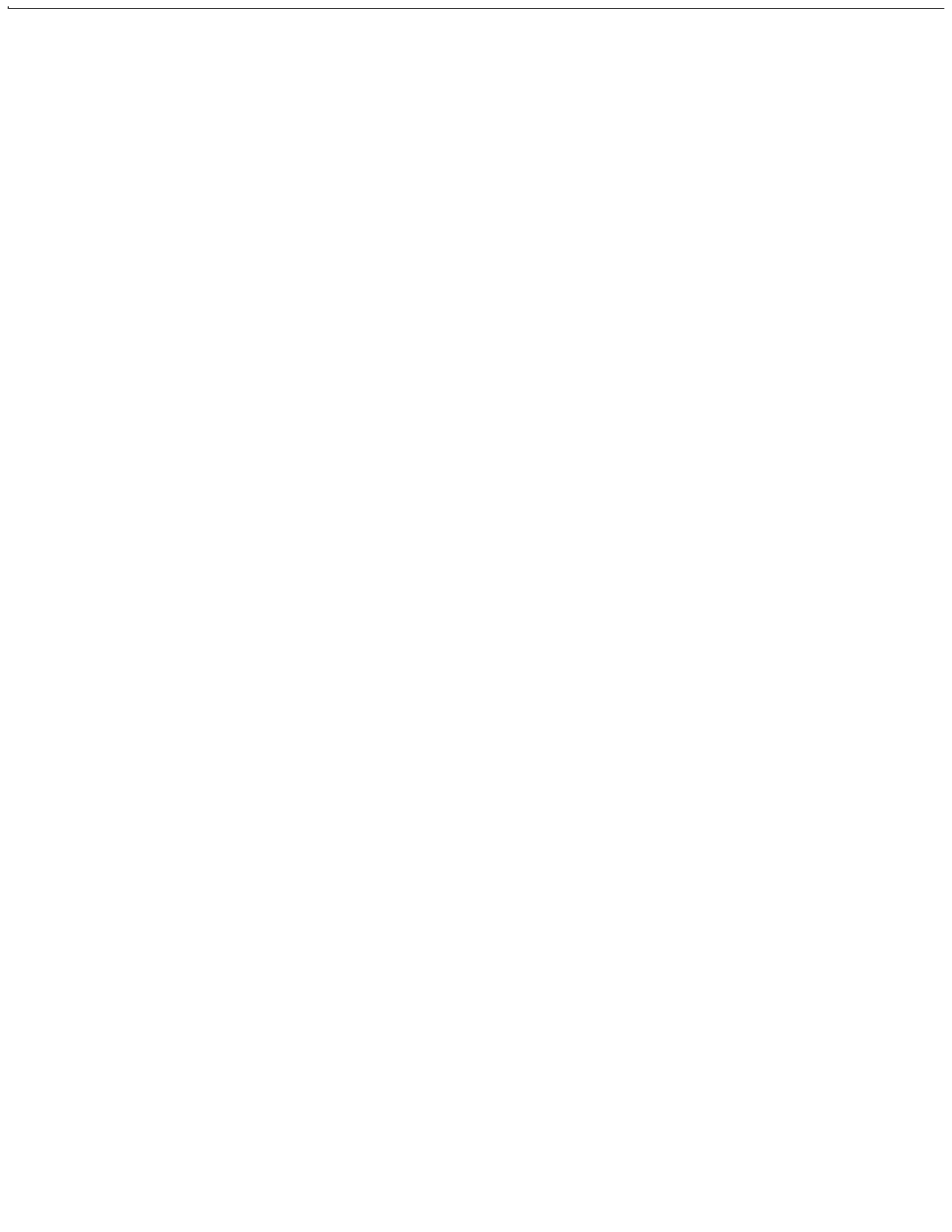
13 UWAGI:
Wojna i 10 strzelenia
10.08.1944 - 10.08.1944

14 DATA WSTĄPIENIA DO ORGANIZACJI: 15 PRZYDZIAŁ FUNKCJI: 16 KURS DYPL.
 VII 42 *30 dek.*

17 DATA WYJAZDU: 18 PRZEBIEG SŁUŻBY W PAW:
wystąpił na 3 odd. - Transport. Bureci
od 1. 43 Transport - Wagon

19 UWAGI:

HYSTACIOM Dm. 4. Nr 1943 R.
 OF. PERSONALNY:
[Signature]
 KOMENDANT PAW:



Felczer wykazał jednak mniejsze zaufanie do pewnych papierów rzekomego Włocha i na wszelki wypadek powiadomił żandarmerię. I tak oto kapitan, ciągle ze spuchniętą, nie opatrzoną nogą, znalazł się w areszcie, na razie pod pretekstem sprawdzenia personaliów. Gdy wprowadzono go na posterunek, zorientował się jednak, że sprawa jest dużo poważniejsza. Wśród zatrzymanych zauważył poturbowanego „Azora”. Później dowiedział się, że również w tym samym dniu został aresztowany „Ryś”, i to w momencie, gdy słuchał Londynu z ukrytego odbiornika najnowszej brytyjskiej produkcji sprzed... pół roku.

W czasie pierwszego badania jest mocno zdziwiony, gdy żandarmi jego, rodowitego Włocha i osobistego znajomego samego gauleitera Kocha, skłaniają w dość niewybredny sposób do przyznania się, że jest skoczkiem z Anglii, komendantem podziemia na tym terenie i że pracuje w ścisłym powiązaniu z „Rysiem”, „Bocianem” i „Azorem”.

Mimo bólu złamanej nogi, w którą co chwila tłumacz kopie więźnia, kapitan utrzymuje się przy weneckiej wersji swych zeznań, domagając się natychmiastowego wyjaśnienia nieporozumienia, opatrzenia, przeproszenia i wypuszczenia na wolność. Odcina się od „Azora” i „Bociana”, twierdząc, że w ogóle nie zna takich.

Nie ulega wątpliwości, że sypie ktoś, kto bardzo dużo wie. Trzeba więc zyskiwać na czasie, ile się da. Na razie bada ich miejscowa żandarmeria, na fachowców z gestapo przyjdzie czas później. Żandarmi przesłuchują ich osobno, konfrontują i okładają razami. Tej nocy w wyniku obrażeń odniesionych podczas badań w celi więziennej umiera „Bocian”.

Po dwóch dniach względного spokoju żandarmi wyciągają kapitana z celi, wsadzają w samochód i wiozą do jakiegoś zdemolowanego lokalu sklepowego przy rynku. Tam już pod ścianą stoi wychudły, brudny chłop, przy nim płacząca żona i dwóch wystraszonych chłopców – ośmio- i siedmioletni. Oficer przez chwilę patrzy na kapitana, potem powoli wyciąga z kabury parabellum, repetuje broń, podcina kopnięciem nogi najmłodszego chłopca i strzela powalonemu w tył głowy. Na drgające jeszcze zwłoki rzuca się ze skowytem matka, następny strzał uciszają, trzeci – drugie dziecko, czwarty zaś zwala zupełnie oziępiałego chłopca. Z dymiącym jeszcze pistoletem zwraca się do kapitana.

– Oni nie skakali z Anglii. Oni tylko ukradli deski z miejscowego tartaku. Widzisz, co cię czeka, jeśli się nie przyznasz.

Kapitan krzywi z niesmakiem usta, gdyż tak powinien chyba zareagować potomek dożów, i poprawną niemczyzną mówi, patrząc gdzieś w ścianę, ponad głowy oprawcy:

– Powtórzę to gauleiterowi, gdy stąd wyjdę.

Oficer pieni się. Bije więźnia po głowie, ramionach – pięścią i kolbą pistoletu, potem każe natychmiast odwieźć go do aresztu.

Dodać tu trzeba, że od kilku dni poczynania żandarmów z Dawidgródka są pilnie obserwowane przez aptekarza, p. Matusiewicza, który ma swoją aptekę vis-à-vis posterunku, a przy tym jest członkiem siatki „Rysia”.

Po jakimś czasie całą trójkę Niemcy przewożą do więzienia w Stolinie. Wydaje się, że tu żandarmeria zapomniała o więźniach, za to swą władzę próbuje im okazać miejscowy komendant wzywając ich kolejno na przesłuchania. Jest to starszy feldfelbel i kapitan, zobaczywszy go, postanawia rozegrać sprawę *va banque*. W czasie pierwszego przesłuchania dochodzi między nimi do następującego dialogu:

– To skandal! – wykrzykuje kapitan „Wania” – już tydzień minął od wypadku, a ja mam ciągle nie opatrzoną nogę. Jak tylko ta sprawa się wyjaśni, zaraz się poskarżę, gdzie trzeba, i zamiast siedzieć tu, na synekurze, pojedziesz prosto na front wschodni!

Żandarm słucha tego ze znużeniem. Widać, że tą drogą się do niego nie trafi.

– Ty tu nikogo nie strasz. Ty nie jesteś żadnym Włochem. Jesteś zrzutkiem z Anglii i z więzienia nigdy

nie wyjdiesz. A jak wyjdiesz, to na noszach, do kostnicy.

„Wania” myśli chwilę.

– Jak ci się zdaje, kto wygra wojnę? Wy czy my?

– Naturalnie my – odpowiada butnie Niemiec.

– Już ją wygraliście w Afryce, teraz wygrywacie nad Wołgą – mówi kpt. „Wania”. – Ja jestem Włochem, ale jeśli ty wiesz lepiej, kim jestem, to zastanów się nad tym. Ty wiesz, jakie kontakty ma konspiracja. Czy ja stąd wyjdę, czy nie, to inna sprawa, ale wiadomość o tym, jak traktujecie więźniów, zawsze można przekazać z więzienia. Ja nie chcę mieć krótszej nogi ani po wygranej wojnie, ani, jeśli tego nie doczekam, na noszach. Jak przeżyję, to sam cię odnajdę, a jak nie, to... Masz tutaj żonę i dzieci. Noce teraz takie długie i ciemne. Co powiesz na granat wrzucony do twojego mieszkania?

Niemiec wierci się niespokojnie na krześle i próbuje dodać sobie animuszu zapewnieniem o dobrze czuwających wartach.

– Jak chcesz – mówi „Wania” – tylko żebyś nie miał pretensji, jak będzie za późno. Pamiętaj, że ja krótszej nogi nie daruję. A teraz już skończyłem rozmowę, każ mnie odprowadzić do celi i przemyśl to, co ci powiedziałem.

Klucznik – gbur i półgłówek – odprowadza kapitana, któremu nie pozostaje nic innego, jak czekać na wynik tego chwytu. Po godzinie, o nieregularnej porze, zgrzyta klucz w zamku celi kapitana i zjawia się odmieniony klucznik. Ten ponury, barczysty drab jest teraz usłużny, miły, przypoehlebny. Bawiąc kapitana rozmową, znosi całe naręcza drewna. Z pieca, w którym ostatni raz palono chyba przed wojną, wygarnia góry popiołu i po chwili w celi huczy już płomień. Kapitan milczy. Ta runda wygrana.

Klucznik dopytuje teraz, co trzeba do opatrzenia nogi, bo pan komendant kazał, a on sam musi to zrobić, gdyż pomocy lekarskiej wezwać z zewnątrz nie wolno. „Wania” wyjaśnia dokładnie, jak mają wyglądać łubki, ile ma być bandaża. Po następnej godzinie są już wszystkie potrzebne przybory.

Teraz przychodzi najgorsze. Kapitan kładzie się w otwartych drzwiach celi, trzymając się framugi, klucznik zaś ujmuje złamaną kończynę okrakiem między nogi i – zgodnie ze wskazówkami „Wani” – ciągnie. Nastawić kości w grubej, opuchniętej jak bania nodze przez chłopa-analfabetę nie jest rzeczą łatwą. Przy tym ból jest tak straszliwy, że kapitan kilka razy każe przerywać operację i ociera pot z czoła. Wreszcie uznaje, że kości są nastawione, i poleca założyć łubki. Klucznik bandażuje nogę tak mocno, że „Wania” ma obawy o nowe kontuzje.

Od tego dnia kapitan żyje w więzieniu stolińskim na specjalnych prawach. Jego cela, jedyna w całym więzieniu, jest opalana, dostaje podwójne porcje jedzenia i co najważniejsze – nie jest wzywany na dalsze badania. Ten czas zawieszenia broni stara się wykorzystać na jak najszybsze wykurowanie nogi oraz utrzymanie się w dobrej kondycji fizycznej. Przy pomocy posłusznego i bardzo głupiego klucznika kontaktuje się z „Azorem” i „Rysiem”, uzgadniają zeznania i starają się ustalić dalszą linię postępowania. Nie jest to proste, gdyż Niemcy wiedzą bardzo dużo.

Stan taki trwa ponad trzy tygodnie. Pod koniec drugiej dekady grudnia niespodziewanie zajeżdża pod więzienie stolińskie policyjny wóz z Pińska. W ciągu dziesięciu minut żandarmi wyciągają trójkę aresztowanych z cel i wiozą w nowe miejsce.

Kapitan przyjmuje zmianę więzienia z mieszanymi uczuciami. W Pińsku jest duże gmaszysko z ponad pięciometrowym płotem i wieżyczkami strażniczymi. Tu usadowił się silny oddział gestapo o ponurej sławie i trzytysięczny garnizon wojskowy. Ale Pińsk to również placówka konspiracyjna Przysieckiego, co prawda mocno przetrzebiona aresztowaniami, ale funkcjonująca nadal.

Zanim jednak kapitan „Wania” mógł się przekonać o dobrych stronach nowego miejsca, dały o sobie znać minusy. Już pierwsze przesłuchanie w wigilię Bożego Narodzenia wskazuje, że Stolin się tu nie powtórzy. Badają go jednocześnie gestapowcy z Pińska, Brześcia i Równego. Wszystkie zeznania „Wani”

z Dawidgródka zostały dokładnie sprawdzone... Gestapo dysponuje oświadczeniami Kocha, że nie zna on żadnego Pazzoto i nigdy takiemu ziemi nie nadawał. Również delegatury wojskowe armii włoskiej odparły, że rodak o nazwisku Pazzoto nie jest im znany. Dalsze utrzymywanie więc weneckiej wersji zeznań na nic się nie zda. Trzeba wymyślić coś innego. Nie przychodzi jednak do głowy nic, co by miało jakieś cechy prawdopodobieństwa. Zresztą gestapowcy przychodzą kapitanowi w sukurs, gdyż zamiast zadawać nowe pytania, stosują powitalną porcję zmiękczejacą. Po zastosowaniu wyszukanych tortur kapitan traci kilka razy przytomność; wreszcie po wielu godzinach badania gestapowcy wrzucają poranionego z powrotem do celi.

Święta przyniosły upragnioną przerwę, ale jeszcze przed Nowym Rokiem gestapowcy znaleźli czas na dwa przesłuchania.

W noworoczną noc 1943 roku „Wania” gorączkuje i piński klucznik nie może się dogadać z więźniem, sprawa zaś jest pilna. Wreszcie nad ranem trafia na moment przytomności. Mówi szeptem, że jest członkiem konspiracji, otrzymał polecenie nawiązania kontaktu i przekazania rozkazu, że „Wania” musi tak pokierować śledztwem, aby przez około trzy tygodnie zapewnić sobie życie i pobyt w Pińsku.

Kapitan nie jest pewien, czy to gorączkowe majaki, ale po godzinie klucznik powtarza to samo. Może niemiecka prowokacja? Słucha więc tylko i nie reaguje. Klucznik, którego służba wypada za dwa dni, obiecuje następnym razem dostarczyć więcej szczegółów.

Po dwóch dniach gestapowcy wzywają kapitana na nowe badanie. Mają pełną satysfakcję, gdy stwierdzają, że po przedwczorajszej nauczce więzień przestaje kręcić i zeznaje rzeczy rewelacyjne. Nie jest żadnym Włochem, lecz Niemcem (znajomość włoskiego, niemieckiego i angielskiego pozwala na „czucie się” dobrze w każdej narodowości). Jest członkiem antyhitlerowskiej organizacji niemieckiej, działającej pod nazwą „Unia Chrześcijańska”, w której są zrzeszeni najwyżsi dowódcy armii niemieckiej. Nazwiska, które wylicza, wprost szokują. Więzień wymienia daty spotkań, które miał z generałami, podaje ich jednostki, daty przejazdu przez Brześć, miejsce kontaktów. Są to informacje tak nieprawdopodobne, że jeden z badających bierze kańczug do ręki i ma zamiar przerwać te – jego zdaniem – bzdurne wiadomości i wtedy kpt. „Wania” postanawia znów zagrać *va banque*.

– Jedno uderzenie i przestanę w ogóle mówić. A jeśli chcecie się przekonać o tym, że mówię prawdę, wystarczy zatelefonować do Brześcia, do komendy punktu etapowego i sprawdzić, czy takie jednostki i ich dowódcy przejeżdżali w podanych terminach przez to miasto.

Szybkie połączenie telefoniczne wprost z gabinetu komendanta więzienia Hellingera przynosi z Brześcia potwierdzenie zeznań kapitana. Zgadzą się daty, jednostki, nazwiska generałów, a nawet ich adiutantów. (Kapitan pamięć miał zawsze doskonałą. Mógł wymienić te szczegóły tak, jakby je słyszał wczoraj. A przecież informacje te dotarły do „Wani” jesienią 1942 roku od dzielnego Włocha, który w tym czasie pełnił w punkcie etapowym przejazdów dywizji Mussoliniego na wschód funkcję zastępcy komendanta i całym sercem współpracował z podziemiem.) Przesłuchujący są całkowicie przekonani, że mają w ręku ptaszka tak drogocennego, że trzeba zatroszczyć się o jego zdrowie, przynajmniej przez czas śledztwa. Nie ma więc mowy o dalszym biciu, torturach, zakończenie przesłuchania jest prawie kurtuazyjne.

„Wania” wie, że ma tyle czasu, ile Niemcom potrzeba na sprawdzenie jego zeznań. Nie jest to wiele, zważywszy ówczesną technikę łączności, ale zawsze zyskał trzy, cztery dni na przygotowanie dalszych „rewelacji”.

Wieczorem klucznik przyniósł nową porcję wiadomości. „Doktor” mianował kilka dni temu na miejsce aresztowanego „Wani” kpt. „Żmudzina”. Nowy komendant III Odcinka „Wachlarza” przesyła kapitanowi pozdrowienia i zapewnienia, że myślą nad tym, aby wszystko było dobrze. Jednocześnie klucznik informuje, że przed godziną widział się z oficerem, który nosi pseudonim „Ponury”, i ten polecił

powiadomić „Wanię”, że przyjechał specjalnie w związku z jego sprawą. Kapitan zna „Ponurego”, jego bojowość, a jednocześnie rozważę. Jeśli zajmuje się nim i zapewnia, że będzie dobrze, to można mu ufać. Wiadomość ta cieszy i podnosi na duchu, trzeba więc być w każdej chwili przygotowanym na współdziałanie z ludźmi z zewnątrz.

Od złamania kości w nodze minęło zaledwie sześć tygodni, z czego tydzień kończyła nie była opatrywana i unieruchomiona. Tego, co sam za chwilę robi, „Wania”-lekarz nie pozwoliłby zrobić żadnemu ze swoich pacjentów, ale „Wania”-żołnierz musi odejść od tego, co dyktuje mu medycyna. Zdejmuje opatrunki podtrzymujące łubki i na słabo zrosniętej, miękkiej kości zaczyna chodzić. Pierwsze kroki wywołują zawroty głowy z bólu, ale zacina zęby i chodzi, ile tylko może wytrzymać. Potem z powrotem zakłada szmaciane bandaże – będzie nadal symulował całkowitą niezdolność do samodzielnego poruszania się.

Przy pomocy klucznika, który przesiaduje u niego teraz po pół nocy, przemyśliwa nad sposobami ucieczki. Piec stojący w celi ma kanał kominowy tak szeroki, a jednocześnie pełen występów, że można się nim bez trudu wydostać na dach budynku. Ale skok z półtora piętra na betonowe podwórko nie daje wielu szans.

Zapoznaje się z topografią więzienia. Budynki więzienne leżą na zachodnich peryferiach miasta, przy szosie prowadzącej z Łunińca do Brześcia. Okala je czworobok ulic – Brzeska od frontu, od zachodu Poleska, a od północy zamknięta dla ruchu Pawłowska i od wschodu Cegielniana. Cały ten kompleks otoczony jest wysokim, pięciometrowym płotem zakończonym rzędami drutów kolczastych. W środku, za drugim, wewnętrznym ogrodzeniem mieści się budynek więzienny z dwoma przylegającymi do siebie oddziałami – męskim i kobiecym. Dwie wieżyczki obserwacyjne pozwalają strażnikom na głęboką penetrację zarówno przedpola, jak i wnętrza tego całego czworoboku. Na szczęście, z tej od ul. Poleskiej, na której strażnik siedzi całą dobę, nie widać żadnej z trzech bram i podwórka wewnętrznego, gdyż zasłaniają je budynek i płoty. Dojścia do więźniów bronią trzy bramy – dwie drewniane z grubych bali okutych metalem i trzecia – żelazna krata przy wewnętrznej strażnicy, wszystkie pilnowane przez całą dobę przez wartowników. Przy ulicy Cegielnianej w ogrodzeniu zewnętrznym stoi obszerny budynek kancelarii więziennej, gdzie obok biur mają swe mieszkania Niemcy – komendant i jego zastępca.

Na pełnym nadziei wyczekiwaniu schodzi okres od Trzech Króli do 10 stycznia. Wieści zza muru ciągle te same: czekać – akcja jest w przygotowaniu. Klucznik poza wiadomościami przynosi to kawałek boczku, to jakieś mięso, to cebulę. W dalszym ciągu rozgryzają więzienną sytuację. Okazuje się, że na innej zmianie jest drugi członek konspiracji, który w razie potrzeby może być przydatny³⁶. Poza tym w kuchni pracuje były bosman Flotylli Pińskiej, który, choć nie zaprzysiężony, pomaga, jak może³⁷. Sytuacja jest więc niezła, ale trzeba nadal czekać.

³⁶ W więzieniu pińskim jako klucznicy byli zatrudnieni dwaj członkowie konspiracji; spotkałem nazwisko Szeliga – były legionista oraz pseudonim „Jelina”. W maju 1982 r., dzięki uprzejmości kronikarza Okręgu „Twierdza”, p. Czesława Hołuba, otrzymałem relację p. Michała Paszkiewicza z dnia 12 VII 73, który używał pseudonimu „Jelina”. Nie mógł być jednak klucznikiem, kontaktującym się bezpośrednio z więźniami, gdyż będąc w tym czasie kasjerem w kancelarii więziennej, sam nie miał prawa wchodzenia na teren wewnętrznego podwórca, a używał do tego strażnika – członka organizacji – o nie znanym pseudonimie. Paszkiewicz utrzymuje w swej relacji, iż wszystkie dane wraz z odręcznym szkicem do sporządzenia planu więzienia dostarczył on sam dr. Demeckiemu jako członkowi AK siatki pińskiej.

³⁷ Teofil Kaplita, który wraz z córką, Jadwigą, dostarczał więźniom bieliznę, żywność i grypsy, zmarł po wojnie w Gdańsku.

Nie czekają jednak Niemcy. Tuż po 10 stycznia zjeżdża ich do więzienia kilkunastu. Są wszyscy z poprzedniego badania, są też ich zwierzchnicy. Roznosi ich wściekłość. Dali się haniebnie podejść. Na podstawie „rewelacyjnych” zeznań więźnia zaalarmowano przyfrontowe jednostki kontrwywiadu, które przesłuchały generałów wymienionych w śledztwie – ci, urażeni, poskarżyli się bardzo wysoko i Berlin

odpowiednio „porozmawiał” z gorliwymi oficerami gestapo.

Teraz przyjechali rozliczyć się ze sprawcą swego niepowodzenia. Coś jednak w tym musi być. Skąd ten aresztowany zna tyle ściśle tajnych szczegółów? To musi być KTOŚ. Tylko kto? Berlin sugeruje, że może to jest próba podważenia zaufania do dowódców ze strony obcych wywiadów. Albo też „Unia Chrześcijańska” może rzeczywiście istnieć, tylko grupuje innych ludzi? Wiele jest niewiadomych, ale jedno całkiem jest pewne: więzień ma co mówić. Trzeba go więc do tego skłonić.

Skłaniają od razu forsownie. Przez pół godziny aplikują kapitanowi cały arsenał swych umiejętności. Wkładają w to wiele serca. Raz, że biorą rewanż za kawał, jaki im zrobił aresztowany, dwa – patrzą szefowie, trzeba więc pokazać wszystko, co potrafią.

Znosi więc kapitan straszne katusze i resztkami świadomości stara się tak upadać i tak ustawiać pod uderzenia, by uchronić chorą nogę przed odnowieniem kontuzji.

Po takim przygotowaniu sadzają zlanego krwią na krzesło i zaczyna się przesłuchanie. Domagają się nowych informacji, a przede wszystkim chcą wiedzieć, skąd zna nazwiska, daty przejazdów, co to jest „Unia Chrześcijańska”, kto go namówił do oczerniania dowódców wiernych partii hitlerowskiej.

„Wania” jest świadom tego, że dotąd jego życia, dopóki nie powie skąd wie. Potwierdza część poprzednich zeznań, zasłania się brakiem pamięci, dodaje nowe szczegóły, nowe nazwiska i coraz częściej mdleje. Cucą go, ale okresy świadomości są coraz krótsze. Zaczyna się walka o każdy dzień, omdlenia są bronią w tej walce.

Badania trwają długo i powtarzają się często. Już wypracowano nowy ich rytm. Poniedziałek, środa, piątek to dni kilkugodzinnych przesłuchań, reszta – to odpoczynek i kurowanie odniesionych obrażeń. Kapitan tak stara się rozgrywać przesłuchania, aby z każdego mieli zysk, aby opłaciło im się go trzymać, aby coś się potwierdziło i robiło wrażenie prawdopodobieństwa. Odcina się tylko z jednakowym uporem od spadochronowej przeszłości oraz wszelkiej znajomości z „Azorem” i „Rysiem”.

Mija połowa stycznia i nic się nie dzieje. Niemcy są coraz bardziej rozwścieczeni i „Wania” boi się, że lada chwila może się skończyć – jego wytrzymałość lub ich cierpliwość.

I naraz, 17 stycznia, klucznik opatrujący rany kapitana mówi:

– Jutro niech pan się ciepło ubierze. Ja wezmę zwolnienie lekarskie. Teraz proszę spać.

Jak tu spać po takiej wiadomości? Więzień nie śpi całą noc, z niecierpliwością czeka tego momentu przez cały styczniowy dzień.

Każde głośniejsze stuknięcie na korytarzu, głośniejsza rozmowa strażników podrywa go na równe nogi. Może to już? Ale stuknięcia okazują się normalnymi odgłosami, rozmowy ucichają i więzienne, monotonne życie toczy się dalej. Kapitan liczy sekundy, zestawia je w minuty i kwadransy, przemierza kulejąc tam i z powrotem celę, kładzie się na prycy, próbuje zasnąć, ale po głowie przewala się taka fala myśli, że nie sposób ich odpędzić. Jest już dobrze po południu i nic.

Przecież takiej akcji nie mogą zrobić w dzień, na pewno zaatakują w nocy lub pod wieczór – pociesza się „Wania”. Czeka więc do zmierzchu.

A jeśli coś nie wyjdzie? Coś się nie uda? Przecież on zna technikę takich akcji. Jeśli się dziś nie uda, jeśli nie będzie to związane z generalną wyspą, najbliższa próba będzie nie wcześniej niż za kilka dni. Ale za kilka dni może być po wszystkim. Nie ma już żadnej koncepcji dalszych zeznań, skołatany umysł już nie chwyta z taką bystrością jak poprzednio krzyżowych pytań i „Wania” drży, że lada chwila może się „sypnąć”.

Jest już zupełny zmrok za oknem, a kapitan czeka.

„Poruczniku »Ponury«, działaj szybko!”

Nie udało się dokładnie ustalić, kiedy wiadomość o aresztowaniu „Wani”, „Bociana” i towarzyszy doszła do komendy „Wachlarza” w Warszawie. Faktem jest jednak, że 15 grudnia, na skutek interwencji rodzin, a szczególnie dotarcia żony por. „Bociana” do adiutanta gen. „Grot”, zostały wydane pierwsze polecenia mające na celu wydobycie ich na wolność. Wiadomym jest także, że jednym z pierwszych informatorów, o ile nie jedynym, był wspomniany już p. Matusiewicz, właściciel apteki w Dawidgródku, który – mieszkając vis-à-vis żandarmerii – obserwował moment aresztowania. Na razie jednak miejsce uwięzienia aresztowanych było nieznane. Dopiero po przewiezieniu ich do Pińska strażnik „Jelina”, człowiek z pińskiej grupy „Mariana”, natychmiast zawiadomił o tym fakcie siatkę „Wachlarza”.

W tym czasie nadeszły tragiczne wiadomości z Odcinka IV – z Mińska. W ciągu tygodnia, od 7 grudnia, gestapo rozbiło i aresztowało część siatki „Wachlarza” – reszta dzięki szybkiej ewakuacji uniknęła więzienia. Wśród siedemnastu aresztowanych znaleźli się między innymi szef IV Odcinka, mjr Tadeusz Sokołowski – „Trop”, kpt. Waław Zaorski – „Ryba”, kpt. Bohdan Piątkowski – „Mak”, por. Kazimierz Smolski – „Sosna” – skoczkowie oraz jeden z organizatorów Odcinka – inż. Juliusz Kisielewski.

Kierownictwo „Wachlarza” nie podjęło na swoim szczeblu decyzji przyścia z pomocą uwięzionym ani w Mińsku, ani w Pińsku i – jak się wyraził jeden z oficerów komendy – przekonane było, że trzeba ich będzie „spisać na straty”.

Tak było poprzednio na II Odcinku z „Ponurym” i „Czarką” w lipcu. Brak troski okazano i w wypadku „Wani”, ograniczając się na razie do wyznaczenia jego następcy – kpt. „Żmudzina”. Była to jednak nominacja symboliczna. Przetrzebione aktywa organizacji już przejmował nowo tworzony Kedyw.

Sprawą uwięzionych zainteresował się osobiście Komendant Główny AK, powiadomiony przez swego adiutanta. Na jego polecenie przystąpiono do przygotowań mających na celu uwolnienie więźniów z Pińska.

Wtedy już „Ponury” i „Czarka”, po dolegliwościach spowodowanych pieszą wędrówką z Wołynia, doszli do pełnej sprawności i oczekiwali w Warszawie na rozkazy. Na nich to, jako na realizatorów planu uderzenia na więzienie, wskazał Komendant Główny AK, gen. „Grot”. Nie ulega wątpliwości, że nie miały wpływ na ten wybór miało dywersyjne przygotowanie obu skoczków na kursach cichociemnych w Anglii, niedawne doświadczenia z więzienia w Zwiąhlu oraz przedwojenna policyjna praktyka Piwnika.

„Ponury” wiedział, że decyzja rozbicia więzienia zapadła po długich debatach bardzo wysoko i doceniał zaufanie, jakim go obdarzono. Zdawał sobie sprawę, że zawieść nie może, zadanie zaś było takie, że porównanie „motyka i słońce” samo cisnęło się na usta.

Pińska nie znał, konspiracja miejscowa nigdy nie była za silna, a ostatnio jeszcze została przetrzebiona wpadkami, choćby Przysieckiego i jego ludzi. Więzienie pińskie, jak ustaliło rozeznanie, było pilnie strzeżonym kompleksem zabudowań, otoczonym wysokim ogrodzeniem, a w mieście stacjonowało trzy tysiące uzbrojonych Niemców. O uzyskaniu przewagi liczebnej nie było więc mowy, pozostały tylko zaskoczenie, precyzja działania i fortel.

Dnia 31 XII 1942 r. Donat na odprawie u przełożonego otrzymał rozkaz zwolnienia naszych ludzi: „Wanię”, „Rysia”, „Azorka” i, o ile się da, Snopkównę z więzienia w Pińsku. W celu zwolnienia wykorzystać wszystkie środki, jak przekupienie, podstęp, a jeśli Donat uzna, że nie doprowadzą do wykonania zadania, ma uderzyć zbrojnie na więzienie i wykonać zadanie³⁸.

³⁸ Z meldunku „Ponurego” z dn. 27 I 1943 r.

Już w kilka godzin po otrzymaniu tego zadania, w sylwestrowy wieczór 1942 roku, „Ponury” wysłał do Pińska „Antoniego” – „Małego” z rozkazem nawiązania kontaktu z „Drucikiem”³⁹ i „Jeliną” oraz z

połączeniem rozeznania terenu.

[39](#) Nie udało się ustalić w sposób bezsporny, kto kryje się pod tym pseudonimem. Dr „Wania” twierdzi, że zadanie, które w meldunku „Ponury” przypisuje „Drucikowi”, wykonywał Przysiecki. Tymczasem szef bazy „Wachlarza”, kpt. „Miś”, w swej notatce z 31 I 1943 r. pisze: „Ostatni raz koło połowy stycznia oświadczył mi [Przysiecki – przyp. O.Ch.], że więzienie w Pińsku zostało otwarte, Walenty i Ignacy są wolni, że dokonali tego „Donat” i „Czarka”, a on im ułatwił zadanie, podając kontakty do swoich znajomych”. Żona jednego z rozstrzelanych zakładników, p. Demecka, żołnierz III Odcinka – „Pakunek” oraz płk dr Juchniewicz, b. pracownik WIH, utrzymują, że „Drucikiem” był Kalinowski, pracownik poczty w Pińsku i żołnierz konspiracji, rozstrzelany następnie przez Niemców Uczestnik grupy uderzeniowej na więzienie, a dziś kronikarz Okręgu „Twierdza”, „Ryks” – Czesław Hołub, na podstawie swoich wspomnień, jak i zebranych materiałów twierdzi uparcie, że „Drucikiem” był Bolesław Posłuszny, pracownik oddziału telekomunikacji w Brześciu, członek byłego „Szańca”, przerzucony do Pińska w przeddzień przyjazdu „Ponurego”. Hołub utrzymuje, iż relacje o przebiegu działań Posłusznego jako „Drucika” słyszał od niego samego w lutym 1943 r. tuż przed aresztowaniem obu. Posłuszny został stracony w Brześciu. Ta wersja wydaje się najbliższa prawdy.

W międzyczasie przystąpiono do skompletowania ekipy. „Ponury” nie wyklucza możliwości wydobycia więźniów za pomocą łapówki lub fortelu i na wszelki wypadek zaopatruje się w sześćdziesiąt tysięcy marek niemieckich. Już po pierwszych rozmowach przygotowawczych widać jednak, iż jest przekonany, że najskuteczniejszym sposobem będzie uderzenie zbrojne.

W Nowy Rok 1943 trzon grupy jest gotowy. Stanowią go: „Ponury” jako dowódca i jego zastępca „Czarka”. Ogólny plan ustalony przez „Ponurego” wymaga ludzi z doświadczeniem dywersyjnym, sięgają więc do oficerów-skoczków będących w rezerwie komendy „Wachlarza” – „Kawy” i „Kry” – oraz otrzymują z dywersji warszawskiej żołnierza o pseudonimie „Esesman”[40](#). Jeszcze transport. Z tą sprawą „Ponury” również szybko daje sobie radę, wszak warszawska centrala „Wachlarza” dysponuje wyjątkowo dobranym parkiem maszyn i zestawem bojowych kierowców-konspiratorów. Przewodzi im „Zaleski”, zwany popularnie „MSZ”[41](#), a uzupełniają go „Monter”[42](#) i dobrany z III Odcinka „Duglas”.

[40](#) Zygmunt Sulima, żołnierz grup bojowych konspiracji warszawskiej, wyspecjalizowany w występowaniu w mundurze esesmana, zmarł 2 IV 1988 r.

[41](#) Władysław Hackiewicz, ps. „Zaleski” lub „MSZ”, prawnik, szer.; w czasie kampanii wrześniowej łącznik Naczelnego Dowództwa. 24 IX 1939 r. wraz z mjr. Galinatem przewiózł samolotem do oblężonej Warszawy rozkaz założenia tajnej organizacji, za co miano go odznaczyć [?] Virtuti Militari. Za akcję pińską mianowany podporucznikiem.

[42](#) Edward Pobudkiewicz, zmarł w maju 1966 r.

Lepszej ekipy na podobną wyprawę nie można było wybrać. Wszyscy pracują na dobrych papierach przedsiębiorstw budowlanych, prowadzących na wschodzie różne roboty dla Niemców, granicę w Terespolu między Generalnym Gubernatorstwem a Ukrainą przejeżdżali dziesiątki razy, z celnikami i strażą graniczną są za pan brat.

„Ponuremu” przydzielono najlepsze wozy ciężarowe: ford „Montera” i Chevrolet „Duglasa” oraz osobowy opel-kadet „MSZ-ta”. Cały zestaw pieczętek i druczków mieszczących się w bocznej kieszeni drzwi szoferki samochodu „Zaleskiego” pozwala na wystawienie potrzebnej ilości „Fahrbefehle” – rozkazów wyjazdu i „Durcherscheine” – przepustek granicznych.

2 stycznia, mimo szalejącej śnieżycy, „Monter” przewozi z Warszawy do Brześcia w niecałe sześć godzin partię misek klozetowych, rolek papy i desek. W skrytce pomiędzy podwójnym dnem skrzyni spoczywa broń potrzebna na pińskie uderzenie, a więc: trzy steny, dziewięć koltów, dwa nagany, trzynaście granatów uderzeniowych, dwa kilogramy plastyku, trzydzieści spłonek, krążek lontu prochowego, liny, mundur esesmański, opatrunki itd.

„MSZ” jadący tuż za fordem w swoim oplu dowiózł do Terespolu „Ponurego”, „Czarę” i „Esesmana”. Tu czekał na nich łącznik „Stasiek”[43](#) i przez skutą lodem Bug przeprowadził przez granicę do Brześcia. Oba wozy na podrobionych przepustkach dotarły również bez przeszkód do miasta.

[43](#) Stanisław Szponar, zwany też „Pogranicznikiem” lub „Pogrzebaczem”. Po akcji pińskiej opiekował się z ramienia podziemia rodzinami rozstrzelanych zakładników. Ewakuowany w połowie 1943 r. do Warszawy,

był w patrolach kpt. „Żmudzina” likwidujących szpicli. Zginął w powstaniu na ul. Kredytowej.

Broń, amunicja i rekwizyty zostały złożone w skrytkach garażu nadleśnictwa pod opieką „Matora”. „Czarka”, który w zastępstwie „Ponurego” obejmuje dowództwo nad zgromadzonymi ludźmi, założył swoją kwaterę u „Jędrasa”⁴⁴, w restauracji „To tu”. „Ponury” i „MSZ” jadą oplem dalej, aż do Pińska, „Monter” zaś powraca do Warszawy. Teraz działanie odbywa się na trzech frontach:

⁴⁴ Ppor. Zygmunt Jędrzejewski – mieszka w Warszawie.

„Ponury” w Pińsku nawiązuje kontakt z „Drucikiem” oraz klucznikiem. Obawiają się, że Niemcy przed zakończeniem przygotowań mogą wywieźć więźniów z Pińska. Aby zabezpieczyć się przed taką ewentualnością, „Drucik” zakłada podsłuch na linii więziennej prowadzącej do miasta. Ma to i tę dobrą stronę, że podobny podsłuch zakłada w Brześciu „Czarka” i konspiratorzy w obu miastach o ustalonej porze dwa razy dziennie porozumiewają się telefonicznie⁴⁵. Wszystko to dzieje się przy otwartych rozmowach niemieckich, aby się więc nie zdekonspirować, „Ponury” przesyła samochodem kod porozumiewawczy do Brześcia.

⁴⁵ W Pińsku podłączenia do sieci dokonał prawdopodobnie Posłuszny lub Kalinowski, w Brześciu zaś – ojciec „Pakunka” (Henryka Fedorowicza), również pracownik poczty.

Dwa dni między sylwestrem a przyjazdem „Ponurego” do Brześcia wystarczyły „Antoniemu” – „Małemu” do przeprowadzenia przy pomocy miejscowej konspiracji dokładnego rozeznania terenu. Siły przeciwnika na terenie Pińska są bardzo duże, w ich skład wchodzi: dwuosobowa zmotoryzowana kompania Schutzpolizei przeznaczona do zwalczania partyzantki, stu żandarmów, trzystu policjantów białoruskich, batalion Wehrmachtu, batalion „kozaków”, dywizjon marynarki rzecznej, w sumie ponad trzy tysiące uzbrojonych w broń ciężką i samochody pancerne ludzi.

Poza liniami telefonicznymi, stałymi i polowymi, Niemcy dysponują pięcioma radiostacjami utrzymującymi stały kontakt z Łuckiem, Kobryniem i Brześciem.

W więzieniu aktualnie przebywają pięćdziesiąt cztery osoby, w tym trzy, które mają być odbite, oraz Snopkówna – „Mery” i dziesięciu mężczyzn, przeważnie z partyzantki radzieckiej. Resztę stanowią ludzie aresztowani za nierespektowanie zarządzeń okupanta. Straż więzienna składa się z dwudziestu ludzi, z czego ośmiu pełni służbę dzienną, dwunastu nocną. Zmiana warty odbywa się o godz. 18.00, ale już o 17.00 przychodzą strażnicy nocni, mimo więc obecności na terenie więzienia prawie podwojonych straży wtedy właśnie – między 17.00 a 18.00 – powstaje nieco bałaganu.

Klucznik nawiązał już kontakt z „Wanią” i melduje codziennie przebieg badań.

Po dwóch dniach pobytu w Pińsku „Ponury” zleca „Drucikowi” dalsze rozeznanie terenu oraz prowadzenie rozmów ze strażnikami w sprawie wykupienia więźniów, sam zaś wyjeżdża z powrotem do Brześcia.

Z brzeskiej grupy „Wachlarza” por. Kiwalle – „Pleban” oddaje do dyspozycji „Ponurego” 9 ludzi. Są to: ppor. „Motor” – Jerzy Wojnowski, „Jastrząb” – Zbigniew Słonczyński⁴⁶, „Płomień” – Władysław Westwalewicz, „Dzik” – Turoń, „Kmicic” i „Ryks” – bracia Wiktor i Czesław Hołubowie, „Dym” – Skwierczyński, „Wrona” vel „Ilczuk” – Waław Wilczewski i „Pakunek” – Henryk Fedorowicz. W nadgranicznym majątku nad Bugiem, należącym do pani Paszkiewiczowej (żony oficera siedzącego w oflagu), który jest jednocześnie punktem etapowym przy przejściach granicznych, przygotowano kilka łóżek, sprowadzono lekarza z pielęgniarką i zestawem narzędzi operacyjnych.

⁴⁶ Używający poprzednio pseudonimu „Żbik”.

5 stycznia rano „Ponury” przekracza skuty lodem Bug i jeszcze za dnia dociera do Warszawy.

6 stycznia z garaży bazy transportowej „Wachlarza” przy ul. Kazimierzowskiej w Warszawie „Monter” wyprowadza swego forda w kierunku na Brześć. W szoferce obok kierowcy jechał „Ponury” oraz łączniczka „Różana”, a na skrzyni „Kawa” i „Kra” – ostatnie uzupełnienie grupy uderzeniowej. Tym razem ford był wyjątkowo czysty, nie wiózł nic, co mogłoby zwrócić uwagę nawet podczas

najskrupulatniejszej rewizji. Beczki z farbą były autentyczne, a nie nafaszerowane jak zwykle amunicją czy materiałami wybuchowymi. Nawet przepustki graniczne miał „Monter” prawdziwe.

Przed Terespołem czekający przy szosie „Stasiek” zabrał całą czwórkę i „Monter” sam bez przeszkód dojechał do Brześcia.

Przez cały następny tydzień trzon ekipy: „Ponury”, „Czarka”, „Kra” i „Kawa”, opracowywali różne warianty uderzenia. Pozostali członkowie planowanej akcji byli w ciągłym pogotowiu.

Wreszcie 13 stycznia „Ponury” wraz z „Kawą” jadą ponownie do Pińska. Wezwani żołnierze miejscowej konspiracji zdają relację ze swych prac. Tygodniowe starania klucznika w sprawie wykupienia więźniów spełżyły na niczym, choć „Ponury” dał mu do dyspozycji 40 tys. marek.

Więści z więzienia nie są pocieszające. Niemcy, niezadowoleni z wyników badań, lada dzień mogą przekazać więźniów do innego aresztu albo rozstrzelać. „Ponury” zostawia więc „Kawę” w Pińsku, sam zaś jeszcze tego dnia wyjeżdża do Brześcia. „Kawa”, do którego należą teraz dalsze przygotowania i pertraktacje dotyczące wykupienia więźniów, zakłada swoją melinę w domu „Dęba”⁴⁷.

⁴⁷ W posiadaniu autora znajdują się trzy zestawy relacji, dokumentów i potwierdzeń (wzajemnie sobie przeczących) co do osoby „Dęba” i adresu jego meliny. W tej sytuacji autor zrezygnował z podania tu tych danych, a zainteresowanych tą sprawą odsyła do „Wachlarza” (PAX 1990, III edycja, str. 140-141, przypis 159).

Po dwóch dniach kończy przygotowania i 15 stycznia powiadamia o tym za pomocą telefonicznego podsłuchu swego dowódcę. „Ponury” natychmiast stawia na nogi zgromadzoną w Brześciu ekipę, sam zaś wraca do Pińska.

W południe 17 stycznia ciężarowy ford wyrusza z garażu „Matora” w kierunku na wschód. Obok „Montera” siedzi „Pakunek”, przydzielony mu jako stały pomocnik, „Czarka” i ośmiu ludzi usadawiają się wśród beczek z farbą na platformie forda, „Motor” i „MSZ” zajmują miejsca w opłu.

O dobrym już zmierzchu tego samego dnia dojeżdżają do Pińska. Przed miastem „Monter” zwala w przydrożny rów niepotrzebny już balast – beczki z farbą. Pozostawiają wozy na wskazanym podwórku i poprowadzeni przez łączników idą grupami na melinę „Dęba”.

W małym pokoiku parterowego domku o oknach zasłoniętych kocami wita ich „Ponury” mocnym uściskiem dłoni. Po raz pierwszy widzą się w składzie, w jakim będą działać. Mały pokoik ledwo mieści szesnastu żołnierzy.

Zmarznięci ludzie rzucają się na gorący posiłek przygotowany przez gospodarza, potem kładą się pokotem na podłodze, stołach, gdzie kto może znaleźć miejsce do spania. Przed domem co dwie godziny zmieniają się warty.

W małej służbówce za kuchnią przez całą noc pali się światło. Nad wyrysowanym planem więzienia siedzą „Ponury”, „Czarka”, „Kawa”, i „Kra”. Dwa pudełka zapalek zastępują samochody. Po kilkanaście razy powtarzają każdy wariant akcji uderzeniowej.

Kończą na dwie godziny przed świtem.

Rano, po śniadaniu, odprawa. I wtedy po raz pierwszy dowódca oznajmia:

– Mogę wam już wyjaśnić cel naszej akcji. Dziś o godzinie 17.00 uderzymy na więzienie pińskie, aby uwolnić przebywających tam oficerów konspiracji, Snopkówkę oraz innych więźniów. Próbowałem osiągnąć to innymi sposobami, ale się nie udało. Pozostaje więc tylko niespodziewanie uderzyć i wykorzystując zaskoczenie, wykonać zadanie. W akcji bezpośredniej będzie brać udział szesnastu ludzi. Niemców w Pińsku jest ponad 3 tysiące. Mimo to zadanie – o ile będzie przeprowadzone co do sekundy zgodnie z moim wyliczeniem – powinno zakończyć się pomyślnie. Pamiętajcie, że działamy w mieście, gdzie mieszkają Polacy⁴⁸, kilkunastu z nich Niemcy wyznaczyli na zakładników. Nie wolno nam ich narażać, dlatego też zachowujemy wszystkie pozory napadu dokonanego nie przez miejscową konspirację, ale przez oddział partyzancki. Zabraniam używania w czasie akcji języka polskiego, należy porozumiewać się między sobą i wydawać rozkazy wyłącznie po niemiecku i rosyjsku. Strzelać tylko w

wypadku oporu.

[48](#) Skład narodowościowy ludności Pińska (dane z sierpnia 1941 r., mieszkańcy powyżej 14 lat) był następujący: Polaków – 3500, Białorusinów – 3600, Rosjan – 900, Żydów – 12 000, Niemców – 23, Ukraińców – 120, innych – 50. Razem 20 193 (AZHP 228/24 – 2 karta 265). Przez półtora roku dzielące spis od akcji pińskiej dane uległy zasadniczym zmianom na skutek aresztowań oraz rozstrzelania do tego czasu ponad 6 tys. Żydów.

– Przystępuję do rozdziału zadań. Działamy w trzech grupach. Uderzeniową tworzą – ja, „MSZ”, „Esesman” i „Motor”, w oparciu o osobowego opla. Uzupełnieniem tej grupy będzie „Wrona” i „Płomień”. Grupę drugą pod dowództwem por. „Czarki” stanowią będą – por. „Kawa”, który ma w dyspozycji „Kmicica”, „Rykxa” i „Dyma”. Grupa trzecia to por. „Kra” z „Jastrzębiem” i „Dzikiem”. Odwrót zapewnia „Monter” i „Pakunek” z fordem. Sparaliżowanie łączności należy do „Drucika”, ale on działa osobno. Przystępuję do omówienia szczegółowych zadań dla poszczególnych grup.

Teraz każda grupa podchodzi do stołu i „Ponury” z dokładnością do sekundy wyjaśnia zadania. Po precyzji, z jaką operuje szczegółami, widać, że dwa tygodnie, które miejscowi ludzie mieli na przygotowanie akcji, wykorzystano bardzo starannie. Żołnierze słuchają i z coraz większym optymizmem myślą o karkołomnym zadaniu. „Ponury” kończy szczegółowy instruktaż i jeszcze przez chwilę zatrzymuje całą grupę:

– Proszę zdać wszelkie dokumenty. Zaraz dostaniecie broń. „Dąb” zapozna was z planem miasta i najbliższych okolic, na wypadek, gdybyście musieli się wycofać w rozsypce, każdy na własną rękę. Tu są dla każdego pieniądze, zarówno w złotych jak i karbowanicach⁴⁹, por. „Czarka” wyznaczy jednego z was do sporządzenia odwaru z tytoniu, aby zatrzeć ślady przed psami. Teraz por. „Czarka”, „Motor”, „MSZ”, „Esesman”, „Monter” i „Pakunek”, proszę do wozów. Reszta czeka tu na nasz powrót.

[49](#) Waluta obiegowa na okupowanych terenach na wschód od Bugu.

Wychodzą pojedynczo lub po dwóch, różnymi drogami docierają do czekających samochodów. Dobrze przygotowane silniki mimo mrozów zaskakują za pierwszym pociśnięciem startera. Po chwili mkną już ku więzieniu. Na chodnikach pełno niemieckich mundurów – żołnierze wykorzystują mroźne, ale słoneczne przedpołudnie, jezdnie zawałone wojskowymi pojazdami, wszędzie ruch i gwar. Ta ilość wojska przeraża, ale jednocześnie kryje, pozwala rozplątać się i ukryć w tłumie.

Oba wozy dojeżdżają do budynków otoczonych wysokim parkanem. W bezpośrednim sąsiedztwie, z budynku szkolnego, gdzie kwaterują dwie kompanie Wehrmachtu, dochodzi głośny gwar. Opel „MSZ-ta” zatrzymuje się na moment kilkadziesiąt metrów przed bramą więzienia. To znak dla ciężarówki, że przed akcją tu właśnie ma stanąć. Jadą wolno wzdłuż płotu, obserwując bacznie potężną bramę, wieżyczki strażnicze, rzędy kolczastych drutów i okna budynku więziennego z metalowymi koszami.

Peryferyjnymi uliczkami powracają do meliny. Tam, w bardzo zadymionym pokoju, „Ponury” zaczyna drugą część odprawy. Teraz trwa to krótko, a po skończeniu przeciąga się, aż trzeszczą stawy, i mówi:

– Pośpijcie jeszcze ze trzy godziny, chłopcy. Od dwunastej ostre pogotowie. Jeszcze raz objazd terenu, odprawa i o 17.00 – akcja!

W jednej chwili gwar wypełnia izbę. Teraz na pewno już nikt nie zaśnie.

*

Kończy się styczniowy poniedziałek. Przez ulice miasta nad Piną przewala się tłum przepustkowych żołnierzy, jezdnią pomykają szybko sanki okolicznych chłopów. Zapalają się przyciemnione uliczne latarnie i zaraz ze zmierzchu robi się wieczór.

Samochody grają silnikami bez zarzutu. Osobowy opel ze swymi ochronnymi kolorami i zmienionymi przed godziną numerami „Pol” (Polizei) upodobił się do dziesiątków takich samych wozów krążących po mieście. Przy kierownicy siedzi „MSZ”, obok niego „Esesman” w mundurze oficera SS, z tyłu zaś „Ponury” i „Motor”. W szoferce fordą poza „Monterem” tkwi tylko jego młody pomocnik „Pakunek”.

Skrzynia wyjątkowo prawie pusta – kanistry z benzyną, koce i pudło z kolczatkami nie zajmują wiele miejsca. Załogi obu wozów mają tylko krótką broń – po dwa kolty i cztery granaty na głowę.

Jest punktualnie 17.00, gdy opel zatrzymuje się pół metra przed okutą bramą więzienia. „Ponury” sprawdza wzrokiem, czy za załomem bramy są już „Wrona” i „Płomień”. Zarys ciemnych sylwetek uspokaja go. Tymczasem strażnik więzienny przez judasza bacznie lustruje samochód. Oficer w mundurze SS uchyla drzwiczki samochodu i wystawiwszy wysoką, siodełkową czapkę pyta ostro:

– *Herr Chef Zöllner⁵⁰ ist da?*

⁵⁰ Zöllner był zastępcą komendanta więzienia, Hellingera; obaj mieszkali w budynku administracyjnym.

– *Jawohl* – odpowiada zza bramy wartownik.

– *Aufmachen!*

Skutek jest natychmiastowy – chwilę chroboczą klucze i ciężkie wrota uchylają się. Opel wtacza się na wąskie podwórko, a za nim przemykają dwaj żołnierze w pelerynach kryjących steny. Wartownik jeszcze ich nie widzi, bo całą jego uwagę pochłonął samochód. Z wozu tymczasem wysiada rzekomy oficer SS, „Ponury” w lisiej czapie i „Motor” w nieodłącznej cyklistówce. Widok dziwnie ubranych cywilów wyraźnie niepokoi wartownika. „Motor” poleca mu po rosyjsku:

– *Idi ko wtorym worotam i skazi, czto by oni ich otkryli!*

– *Nie chcuzu!* – odpowiada buntowniczo wartownik sięgając po karabin.

„Motor” ma już w ręku pistolet. Strzał z kolta jest cichy i celny. Strażnik⁵¹ bez słowa osuwa się w śnieg. „Płomień” i „Wrona” wpadają na wartownię, terroryzując i rozbijając siedzących tam wartowników. Pierwsza brama opanowana, cichy strzał z kolta utonął w gwarze pobliskiej ulicy i nie spowodował alarmu, a jednak misternie ustalony plan poważnie się zarysował. Wszak ten przed chwilą zastrzelony wartownik miał być sterroryzowany i wraz z „Esesmanem” powinien podejść do drugiej bramy i żądać jej otwarcia. Co teraz? Od budynku administracji więziennej słychać stłumioną serię automatu. Decyzja „Ponurego” jest natychmiastowa. Jeden ruch ręką i wszyscy wiedzą, o co chodzi. Szybko siadają do opla, „MSZ” prowadzi wóz ku drugiej bramie. Tu sytuacja się powtarza, wysunięta czapka esesmana i ostry krzyk działają niezawodnie. I te wrota otwierają się przed oplem. Za kilka sekund ich obsługa leży rozbrojona na śniegu. „Ponury” z niepokojem obserwuje teraz trzecią przeszkodę, odległą o kilka metrów żelazną kratę, zagradzającą drogę na wewnętrzny podwórzec. Stoją tam wartownicy z bronią w pogotowiu. Co robić?

⁵¹ Zabity strażnik był Polakiem, nazywał się Pachucki. Fakt zastrzelenia strażnika-Polaka miał (wg relacji „Jeliny” – Michała Paszkiewicza) być dla gestapo ostatecznym argumentem świadczącym o tym, iż napadu na więzienie mogli dokonać partyzanci radzieccy.

Jest 17.10.

*

Punktualnie o 17.00 patrol „Drucika” na słupolazach poprzecinały wszystkie przewody telefoniczne w promieniu pięciu kilometrów, a sam ich szef unieruchomił wybuchem w studziencie telekomunikacyjnej przy poczcie wszystkie instalacje⁵².

⁵² Łączność telefoniczną Pińska ze światem Niemcy przywrócili dopiero 22 stycznia, czyli w cztery dni po akcji.

Grupa druga pod dowództwem „Czarki” punktualnie o 17.00 przeskoczyła płot na tyłach domu mieszkalnego przy ul. Cegielnianej i zbliżała się do południowej części budynku komendy więzienia. Choć było już po zakończeniu urzędowania, zachodziła obawa, że ktoś może jeszcze przebywać w budynku. „Kra” stoi przy rogu domu i pistoletem maszynowym ukrytym pod szeroką peleryną ubezpiecza działanie kolegów, podczas gdy „Jastrząb” osęką zrywa przewody telefoniczne prowadzące wprost z kancelarii do budynku żandarmerii. „Czarka” i „Dzik” z pistoletami w dłoniach przeszukują kancelarię, ale wszystkie pomieszczenia w tej części gmachu są puste. Naraz z drugiego końca budynku słychać

najpierw pojedynczy pistoletowy strzał, a zaraz po nim serię stena. Co się tam dzieje? Chwilę czekają, bo może trzeba biec na pomoc „Kawie”? Ale rozkaz to rozkaz, wybiegają więc z gmachu i pędzą ku drugiej, wewnętrznej bramie, do której akurat w tej chwili podjeżdża samochód „MSZ-ta”.

Grupa „Kawy” również punktualnie o godz. 17.00 przystąpiła do akcji. Ich zadanie po sforsowaniu płotu na ulicy Cegielnianej i Pawłowskiej polegało na opanowaniu północnej części budynku kancelaryjnego, tam gdzie się mieścił gabinet i mieszkanie komendanta Hellingera oraz jego zastępcy Zöllnera, zatwardziałego hitlerowca i oprawcy więziennego o ponurej sławie. „Dym” zostaje ze stnem na ubezpieczeniu na rogu budynku, „Kawa” zaś z drugim pistoletem maszynowym, oraz „Kmicic” i „Ryks” z koltami skradają się ciemnym korytarzem. Niepokoi ich światło, które zauważyli w pokoju służbowym zajmowanym przez obu Niemców.

Dochodzą wreszcie do drzwi, zza których słychać przytłumiony szmer rozmowy. Ilu ludzi jest w środku? Czy komendant i jego zastępca są sami, a może pokój jest zamknięty od wewnątrz? Nie ma czasu na zastanawianie się. „Ryks” naciska wolno klamkę, a „Kawa” i „Kmicic” szturmują ramiona drzwi. Wpadają do pokoju i światło oślepia ich na moment. „Kawa” krzyczy:

– *Hände hoch!* Oddajcie natychmiast klucze, a zapewnimy wam życie.

Niemcy posłusznie podnoszą ręce do góry. Hellinger jest blady, nerwowo zaciska i otwiera palce uniesionych dłoni, Zöllner zaś patrzy spokojnie, badawczo na uzbrojonych intruzów.

„Kawa” ze stnem przy drzwiach, a „Kmicic” i „Ryks” ściskając kolty podchodzą do Niemców po klucze. Tamci stoją bez ruchu.

– Gdzie są klucze? – pyta „Kawa”.

– Tam – Zöllner wskazuje brodą szafkę w rogu pokoju.

Na rozkaz idzie ku niej, a tuż za jego plecami postępuje „Ryks”. Naraz Zöllner błyskawicznie odwraca się, odpycha osłupiałego żołnierza na „Kawę”, wrywa z kabury parabelkę i strzela. „Ryks” z jękiem łapie się za dłoń. Przez palce cieknie krew. Lufa pistoletu szuka teraz „Kawy”, ale sten cichociemnego jest szybszy, ładuje serię pocisków w żołądek Niemca.

Wyraz osłupienia na twarzy Zöllnera trwa tylko chwilę. Ze zdławionym jękiem osuwa się na ziemię.

Z sąsiedniego pokoju dochodzi odgłos strzału z kolta. To „Kmicic” wykańcza Hellingera, który w zamieszaniu umknął do drugiego pokoju, gdzie w szafie stały karabiny.

„Kawa” widzi pobladłą twarz rannego „Ryksa” i chce podeprzeć go ramieniem, ale ten odsuwa się ze słowami:

– Głupstwo, draśnięcie.

– Zabierzcie broń i na obserwatora – poleca „Kawa”.

Wybiegają przed budynek i ile sił w nogach pędzą do wieżyczki obserwacyjnej na rogu ulicy Pawłowskiej. Schodki prowadzące z tej strony ułatwiają dojście w ciągu minuty. Wieżyczka jest pusta, strażnik przyjdzie tu dopiero za niecałą godzinę. „Kawa” mocuje do słupa sznur z węzłami i jak duchy w milczeniu spływają na więzienny podwórzec. Pod potężnym płotem, wykorzystując jego głęboki cień, skradają się do ostatniej przeszkody – żelaznej kraty. Krótkie pukanie w drzwi wywołuje pełne niezadowolenia gderanie wartownika. Gdy je otwiera, oślepia go błysk latarki, a silne ramiona kneblują i wgniatają w śnieg. „Kmicic” i „Ryks” rozbrajają dwóch stojących z bronią ludzi, a „Kawa” miga latarką w kierunku drugiej bramy, gdzie stoi wóz „MSZ-ta”. Odpowiada mu umowny sygnał „Ponurego”

Jest 17.10. Droga do cel wolna.

„Ponury” z czterema ludźmi i sterroryzowanym strażnikiem drugiej bramy biegnie przez podwórze w stronę niskiego, zakratowanego budynku. Walenie pięścią po drzwiach obitych blachą niesie się głucho po korytarzach.

– Kto tam? – woła zniecierpliwiony klucznik.

– Otwieraj, inspekcja, gestapo przyjechało! – strażnik stojący między „Ponurem” a „Esesmanem” czuje ucisk kolta na żebrach, wyjaśnia więc bardzo gorliwie.

Zgrzyta zamek i drzwi rozwierają się pchnięte kilkoma ramionami. Klucznik odskakuje przerażony w głąb korytarza, rozkłada ręce, jakby chciał bronić wejścia, ale cios pięści „Ponurego” rzuca go na cementową podłogę.

Biegną po korytarzach, wołając:

– Kapitan „Wania”!

– Porucznik „Rys”!

Odpowiadają im krzyki z cel oraz łomotanie pięści. „Ponury” przekręca klucz w celi nr 2 i „Wania” pada mu w ramiona.

Tymczasem „Kawa” i „Kra” obsadzają pozostałe budynki więzienia. „Kawa” kopniakami wywala drzwi do kuchni i stoi przez chwilę oślepiiony światłem. Gdy przyzwyczajają wzrok do jasności, widzi kucharza z chochlą w ręku, znieruchomiałego nad wielką blachą pieca, a tuż pod ścianą wybiedzionego chłopca w więziennym drelichu obierającego kartofle. Chłopiec błyskawicznie rzuca się na kolana, wołając po ukraińsku:

– *Pane, ne strelajte, ja tiuremszczyk.*

– *Ty uże nie tiuremszczyk, ty swobodnyj. Wsie wychoditie* – poleca po rosyjsku oficer.

Wychodzą na podwórze więzienne, gdzie stoją już uwolnieni z cel więźniowie. Pod płótem leżą na śniegu rozbrojeni strażnicy. W świetle podwórzowej lampy „Kawa” widzi „Ponurego” i „Czarę” prowadzących pod rękę utykającego, wyższego od nich o głowę mężczyznę. To „Wania”, a więc udało się. Za nimi ładują się do czekającego opla jeszcze dwaj ludzie i samochód ostro rusza ku bramie.

Na beczkę przeciwpożarową wskazuje „Esesman”⁵³.

⁵³ Istnieją aż cztery wersje co do osoby przemawiającej do uwolnionych z cel i zgromadzonych na dziedzińcu więzienia – „Ponury” w swym meldunku podaje, że przemawiał „Ryks” (czemu tenże zaprzecza), „Monter” utrzymuje, że z relacji „Ponurego” w samochodzie w czasie odskoku oraz późniejszych opowiadań „Matora” wynikało, iż przemawiał „Motor”, „Esesman” zaś twierdzi, co akceptuje Czesław Łowiński, jeden z więźniów – b. tamburmajor orkiestry 84 pp, że przemawiał właśnie „Esesman”. W załączonym meldunku do KG AK znajdujemy zdanie, jakoby po rosyjsku przemawiać miał sam „Ponury”, co nie jest wykluczone, gdyż „Ponury” będąc przez rok komendantem posterunku policji na Wołyniu (w 1937 r.) dość dobrze poznał ten język. Istnieje także różnica opinii dotycząca czasu, jaki odskakująca grupa dała uwolnionym na opuszczenie więzienia. Otóż „Esesman” twierdzi, że polecił ewakuować się w 5 minut po odskoku grupy (*w tieczienije piati minut*), Łowiński zaś utrzymuje, że czas ten określono na 20 minut. Ten nie wyjaśniony do dziś szczegół miał zasadnicze znaczenie dla dalszego przebiegu wydarzeń na terenie więzienia.

– *Wy swobodny. Iditie w les k partizanam bit’ giermancew. W tieczienije piati minut ot naszego otjezda wychoditie iz tiurmy Nie zabyt’*: w *tieczienije piati minut* – powtarza.

„Ponury” gwizdże dwa razy na jednym z więziennych kluczy i na ten znak żołnierze grupy uderzeniowej wycofują się ku bramie. Na dziedzińcu pozostaje czterdziestu więźniów, odczekując nakazane minuty.

Odskok

Trzydzieści metrów przed bramą więzienia stoi ciężarowy ford „Montera”. Silnik cicho pracuje. Przed chwilą za wielkimi wrotami zniknął opel. Właśnie zza muru dochodzi odgłos strzału. „Monter” przełyka gęstą ślinę. Obok niego dygoce nerwowo „Pakunek”. Za trzy minuty mają podjechać pod bramę.

W wąskim kręgu przyciemnionej latarni ulicznej wyrasta pięciu żandarmów. Idą równym, kołyszącym krokiem, krótkie lufy bergmanów dżgają ciemność. Są o pięćdziesiąt metrów przed wozem.

– A żeby was... – szept „Pakunek”.

– Weź klucz i włącz pod wóz – głos „Montera” jest drewniany, beznamiętny.

Żołnierz wtula głowę, potem desperackim ruchem łapie klucz i wypada z szoferki. Żandarmi otaczają już wóz. „Monter” podaje im książkę i rozkaz wyjazdu.

– W porządku. Dlaczego stoisz?

– Sprzęgło nie zwalnia. Pomocnik poprawia. No, długo tam jeszcze? – krzyczy w stronę „Pakunka”.

– Chwilkę, chwilkę – odpowiada chłopak.

Żandarmi zagląдают pod samochód i przez chwilę rozmawiają po niemiecku.

– Spiesz się, a jeśli zaraz nie naprawisz i zastanie cię późny wieczór, nie jedź do Brześcia. Cała szosa pod kontrolą sowieckich bandytów. Jeśli to coś poważnego, jedź do naszych garaży, tam ci nareperują. Wiesz, gdzie to jest?

– Zapytam się – odpowiada zdenerwowany „Monter”.

Zgodnie z harmonogramem akcji już powinien podjeżdżać pod bramę, a tu żandarm wyciąga kartkę, ołówek i zaczyna rysować drogę dojazdu. Na szczęście „Pakunek” wyłazi spod wozu i „Monter” wrzuca pierwszy bieg. Wóz powoli rusza.

– Jakby ci się znowu zepsuło, to nie jedź nigdzie, tylko do naszych garaży! – krzyczy za nimi żandarm.

Przejeżdżają szybko przed więzieniem, a gdy żandarmi nikną w mroku, wstecznym biegiem cofają samochód na stanowisko.

Niedaleko przed szkołą stoi kilkudziesięciu żołnierzy niemieckich, wybierających się widocznie z przepustkami na miasto. Do bramy więziennej podchodzą co chwila strażnicy spieszący na wieczorną zmianę. Trochę ich zapewne dziwi kolega na wartowni, który wpuszcza tylko pojedynczo. Naraz pod bramę podjeżdżają sanki z dwoma podchmielonymi wartownikami. Obaj pchają się w furtkę jednocześnie. Powstaje zamieszanie. Woźnica sanek ciekawie przygląda się sprzeczce i niespokojnie się wierci.

– Wyjdź i każ mu się usunąć, bo tarasuje wyjazd oplowi. Tylko przytrzymaj go, aby nie odjechał i nie narobił bigosu, bo on coś za ciekawy. Przy okazji otwórz skrzynię – poleca „Pakunkowi” „Monter”.

Obaj strażnicy tymczasem zniknęli już w furtce i „Monter” obserwuje wycofujące się sprzed więzienia sanki.

I właśnie w tej chwili otwiera się brama. Wprawne ucho rozróżnia wyraźnie pracę opla. Osobówka wyskakuje szybko na ulicę – „MSZ” siedzi przy kierownicy, a w tyle trzech nie znanych ludzi. To znaczy, że się udało. Uf! Opel z wysokim gwizdem silnika znika na szosie prowadzącej do Brześcia i ostatnie, co „Monterowi” rzuca się w oczy, to przechył wozu na lewą stronę – auto siedzi na tylnej oponie. Cholera!

Z bramy wybiega „Ponury”, a za nim szeregiem żołnierze grupy uderzeniowej. Wskakują do ciężarówki. „Motor” liczy głośno:

– *Odin, dwa, tri, czetyre, piat’!*

Już nikt nie wychodzi z bramy.

– Cholera, dwóch brakuje – denerwuje się „Ponury”

Wreszcie są i ci ostatni. Mają klucze od bramy i chwilę majstrują przy zamku.

– Zostawcie otwartą furtkę dla ewakuacji pozostałych – poleca dowódca.

Do obszernego mapnika, ukrytego pod kurtką, chowa trzy wielkie klucze.

– Na pamiątkę – mruży cicho na widok zdumionego spojrzenia „Montera”.

Wreszcie ford odjeżdża w kierunku Janowa. Za ostatnimi opłotkami „Ponury”, siedzący obok „Montera” w szoferce, stuka w okienko, które umożliwia kontakt z tymi na wierzchu. Na ten sygnał zaszugało na szosie. Na jezdnię lecą kolczatki. Tędy nie przejedzie żaden wóz z całymi oponami, przynajmniej do rana. Przecięte druty uniemożliwiają zaalarmowanie innych placówek – chyba więc uda się odskoczyć w spokoju?

– Edek, „Doktor” polecił po akcji spalić wozy i przedzierać się pieszo na Warszawę. Co ty na to? – pyta „Ponury”.

– Mam odciski i cholernie nie lubię chodzić pieszo – odpowiada „Monter”.

– Podzielam twoje zdanie. Jedziemy dalej!

Czternaście kilometrów za Pińskiem tuż przed maską pędzącego samochodu wyrasta rozpaczliwie machający „MSZ”. „Monter”, aby nie przejechać przyjaciela, hamuje tak ostro, że mało nie wrzuca samochodu do rowu.

– Co, do cholery?

– Weźcie nas! Dotąd jechałem na samej feldze bez powietrza.

Robią zaraz miejsce w szoferce dla odbitego „Wani”, ale on i reszta uwolnionych odmawiają, ładują się na skrzynię. Teraz dopiero jest czas na powitanie, całowanie i uściski.

„Monter” pokazuje unieruchomionego opla i pytająco patrzy na „Ponurego”.

– Spalić.

Jednym kanistrem benzyny oblewają wóz, drugi niknie w jego wnętrzu. „Monter” odprowadza forda na bezpieczną odległość i ciska za siebie granat. Huk, błysk i na niebie rozlewa się łuna. Teraz jak najszybciej trzeba odskoczyć od widocznego z odległości kilku kilometrów płonącego wozu.

Mimo wypadku z oplem wszystko jak dotąd idzie pomyślnie.

– Jedyne, co nam może pokrzyżować plany to krótkofalówki – odzywa się „Ponury” – no, ale na to nie ma rady.

– Nie było popłochu? – „Monter” dopiero teraz może się dowiedzieć choć pobieżnie o przebiegu akcji za murami.

– Było trochę rozgardiaszu, ale szybko daliśmy sobie radę, w pewnej chwili uwolnieni zaczęli biec w kierunku bramy. Nie można było do tego dopuścić, gdyż przedwcześnie wywołałoby alarm; obok jest szkoła, przed którą stał tłum żołnierzy. Mają wyjść po naszym odskoku. Zostawiliśmy otwartą furtkę. Powiedzieliśmy im o tym. Poza tym mogą przeskoczyć przez parkan tak jak „Czarka” i „Kra”. Niestety, nie udało się odbić Snopkówny, klucznica wypuściła się gdzieś na miasto. Trzeba by było wysadzić bramę oddziału kobiecego, a to już alarm.

Na ciemnej szosie przed nimi miga umownym znakiem światełko. „Monter” zwalnia, „Ponury” jednak dla pewności odbezpiecza pistolet i wyciąga zza paska granat. W świetle reflektorów już z daleka rozpoznają znajomą sylwetkę „Duglasa”. Za nim, pod drzewem, majaczy wielka bryła naładowanej ciężarówki. Ford staje przed tamtym wozem. „Duglas” w biegu jeszcze otwiera drzwi samochodu i łapie „Ponurego” za szyję.

– Jesteście, byki! To znaczy, że się udało. Gdzie „Wania”? – dopytuje się chaotycznie.

Ze skrzyni wozu zeskakują „Ryś” i „Azor” pomagając zejść „Wani”. Całą trójkę przejmuje teraz pod swoją opiekę „Duglas”.

– Kapitanie, mam tu dla pana takie legowisko, że lepszego nie będzie pan miał w domu – krzyczy, wdrapując się na stertę towaru na swoim wozie. Odrzuca kilka worków i spod nich wyłania się skrytka, grubo wymoszczona sianem. Cała trójka niedawnych więźniów ładuje się tam z trudem i po chwili nikt by nie zgadł, że na platformie chevroleta znajduje się cokolwiek poza towarem.

Pożegnanie i oba wozy rozjeżdżają się: ford pędzi na Horodec, Kobryń i Brześć, Chevrolet zaś skręca ku Drohiczynowi. Według pierwotnego planu odbitych więźniów powinien odwieźć do „Duglasa” opel „MSZ-ta”, a bojowa grupa na fordzie miała ochraniać go przed pościgiem, życie wyreżyserowało jednak spektakl inaczej i – jak się okazuje – też nieźle.

„Duglas” prowadzi wóz bardzo szybko, trochę z wrodzonej fantazji, a trochę dlatego, że nie zna przebiegu akcji i nie bardzo jest pewien, czy nie ma już pościgu na karku. Przez okienko łączące skrzynię z szoferką stara się dowiedzieć od kapitana jakiś szczegółów, ale co to za rozmowa – wiatr świszczce, motor warczy. Urywa się więc dialog prowadzony podniesionymi głosami i obie strony zajmują się znów swoimi sprawami. Zbiegowie wciśnięci między wielkie płyty dykty, w kożuchach narzuconych na więzienne kitle, dygocą z zimna. Jeszcze nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, że już koniec z badaniami, że koszmar więzienia mają już tym razem za sobą. „Azor” zaczyna drzemać, dwóm starszym kolegom nerwy na to nie pozwalają.

„Duglas” informuje, że niedaleko powinna być większa miejscowość, gdzie będą próbowali przenocować. To bezpieczniejsze niż jazda nocą. Jest już późny wieczór, gdy dojeżdżają do pierwszych zabudowań.

– *Stoj!* – zatrzymuje ich komenda w języku rosyjskim.

„Wania” i „Ryś” przez szparki w płytach dykty obserwują „przedpole”. „Duglas” wyłazi z szoferki i spiera się o coś z patrolem własowców. Widzi, że żołnierze chcą zarobić na flaszkę, czepiają się więc wszystkiego. Trzej zbiegowie ukryci pod zwałami dykty pocą się mimo dwudziestostopniowego mrozu. Nie wiedzą, czy lada chwila nie dogoni ich pościg i wtedy wóz zatrzymany na drodze na pewno zostanie poddany szczegółowej rewizji.

Naraz przykuwa ich uwagę dialog „Duglasa” z podoficerem własowców:

– Wóz należy do „Bauleitung der Luftwaffe No 808 Moskau”. Musimy na jutro rano być w Brześciu, ale mnie się bardzo chce spać. Dam ci trzy butelki wódki, niech twoi żołnierze popilnują samochodu przez noc, a ja się prześpię.

Własowiec akceptuje tę umowę.

Ciężarówka zjeżdża z szosy i wtacza się do stodoły. „Duglas” idzie spać, a żołnierze, popijając co chwila, sumiennie pilnują wozu.

„Wania” z dwoma kolegami nie śpi całą noc. Mróz dochodzi do trzydziestu stopni, ale nie czują tego. Na szosie jeżdżą motocykle. Co chwila rozpytują o coś wartujących własowców. Ci jednak odpowiadają niezmiennie:

– *Ne znajem.*

Noga „Wani” znowu puchnie, ściąga więc z niej but. Teraz służy im jako nocnik.

O świcie zgłasza się „Duglas”. Dobija targu z żołnierzami, dodaje im jeszcze jedną flaszkę „na procent”. Kręci się przy tym obok wozu, by wysondować, czy „zawartość” nie zamarzła. Lekkim pukaniem dają znać, że żyją.

Wreszcie wóz może ruszyć i po dwóch dniach, pomimo wzmożonych posterunków na granicy Generalnego Gubernatorstwa, dociera do Warszawy.

*

Tymczasem ford gna całą mocą silnika do Brześcia. Już niedługo powinni minąć Kobryń, gdzie będzie pierwszy sprawdzian, czy Niemcy zdążyli zaalarmować okolicę. W oddali w świetle księżycy widać

skupisko wielu zabudowań. „Ponury” odsuwa szybkie okienka i rozkazuje siedzącym na skrzyni:

– Przygotujcie broń i udawajcie, że śpicie. Ogień rozpoczynacie dopiero po moim strzale.

Sam odbezpiecza pistolet i układa na kolanach dwa granaty. Wjeżdżają w ciemne, wymarłe miasteczko. Na dobrą sprawę należałoby je wyminąć, ale aby dojechać do najbliższego objazdu, trzeba nadłożyć dziesiątki kilometrów. Zresztą na środku Kobrynia jest rozgałęzienie dróg, którego tak czy owak nie można ominąć. Jadą więc wypełniając cichą uliczkę dudniącym łoskotem silnika. W dali, na skrzyżowaniu, widać przyćmioną latarnię. Kilkanaście metrów przed nią, na całej szerokości jezdni, stoi szpaler żandarmów z bronią gotową do strzału, a obok, pod budynkiem posterunku, w dwuszeregu, co najmniej pół kompanii. „Monter” zwilża wyschnięte wargi i syczy przez zęby. „Ponury” widać dostrzega te objawy zdenerwowania, mówi cicho:

– Spokojnie, tylko spokojnie. Daj klakson i zwolnij. Gdyby próbowali zatrzymać, podjeżdżaj wolno, a potem na gaz i do zakrętu. Reszta to nasza sprawa.

„Monter” zwalnia, skraca światło i daje krótki sygnał. Niemcy nie reagują. Ciężarówka pędzi prosto na nich. „Ponury” podnosi pistolet na wysokość szyby i wtedy żandarmi się rozstępują. Teraz noga na gaz i jak najszybciej do zakrętu. Strzelają? Nie, cisza, spokój. To niepojęte. Już domy zasłaniają im plecy. Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że w napięciu nerwowym „Monter” zamiast w prawo, na Brześć, skręcił w lewo. Ford na pełnych obrotach pędzi teraz w kierunku przeciwnym, przelatuje przez peryferyjną dzielnicę i wyskakuje na pole. Przed nimi czarna wstęga lasu. Ile tak jadą? Pięć minut, może dziesięć. Nim ktokolwiek się zorientował, ford stanął. „Monter” wyskakuje z szoferki i teraz dopiero postrzega, że szosy nie ma – skończyła się, a ford stoi w lesie, zakopany po skrzynię w śniegu.

Wysypują się wszyscy z wozu i zamiast złorzeczeń, niesie się po lesie gromki śmiech. „Ponury” wie, że więcej w tym odprężenia nerwowego niż wesołości, zarządza więc:

– Pięć minut odpoczynku. Wolno palić.

Sam zaś odciąga na bok „Montera” i odbywa z nim krótką naradę.

– Wygrzebiemy się stąd?

– Trzeba założyć łańcuchy. Ale sromotnie zapieprzyłem sprawę. Dalej nie znam drogi. Przez Kobryń byłoby dosyć niebezpiecznie wracać. Czy nie ma tu jakiej bocznej drogi?

„Ponury” przywołuje „Motora”.

– Znasz tu jakiś objazd, żeby nie wracać do Kobrynia, a wjechać na drogę do Brześcia?

„Motor” drapie się po głowie.

– Znam, ale to cholerne bezludzie. Trzeba by założyć łańcuchy. Wyjedziemy na szosę koło Władynki.

Żołnierze dopalają ostatnie papierosy. Na rozkaz „Ponurego” łapią pudło i podnoszą bez pomocy lewara, a „Monter” i „Motor” sprawnie zakładają łańcuchy. Mimo to upłyne sporo chwil, nim pusty ford wygrzebie się z bezdroża. I zaraz potem zaczyna się karkołomna jazda po drodze-niedrodze, szczerym polu pełnym dziur i zmarzniętej grudy.

Co chwila wóz zapada się tak, że „Monter” już żegna się z resorami, a ludzie klną, ile wlezie. Wreszcie, po wielu kilometrach męczarni, dojeżdżają do szosy. Stąd do majątku pod Brześciem, gdzie znajduje się melina, jest już niedaleko. „Ponury” poleca żołnierzom zejść z samochodu i oddać broń. Niknie ona w skrytce forda i znów następuje rozdział ludzi. Cała grupa z „Ponurym”, „Czarką”, „Motorem” idzie do majątku pieszo, „Monter” i „MSZ” zaś jadą fordem prosto na punkt graniczny. Trzeba jak najszybciej usunąć za Bug ten łatwy do rozeznania dowód rzeczowy.

Jest godzina 0.50, gdy ford zatrzymuje się na komorze celnej. I wtedy „MSZ” łapie się za głowę.

– Rany boskie, przecież my nie mamy przepustki, już nie zdążę wystawić! – mówi zrozpaczony.

Tymczasem celnik wychodzi ze strażnicy. „MSZ” wyciąga z torby butelkę koniaku, wciska ją w ręce „Monterowi” i woła:

– Szybko, odbijaj, to znajomy, zagadamy go.

„Monter” bije dłonią w dno butelki i gdy celnik otwiera drzwi, zwała mu się w ramiona z pijackim bełkotem. Celnik odskakuje klnąc szpetnie, ale już z drugiej strony nadbiega zataczając się „MSZ” i woła, że dla kochanego przyjaciela wiozą specjalnie z Homla ten koniaczek i że będzie skończonym łobuzem, jeśli im odmówi. Celnik spogląda na butelkę, marka jest przednia, łagodnieje więc nieco i chce ją zabrać do urzędu celnego. „MSZ” gorąco protestuje:

– To jest do wypicia na miejscu, z nami – mówi – a nie w samotności.

Sprzeczają się dość ostro, wreszcie celnik, któremu widać bardzo zależy na zatrzymaniu trunku, przecina spór:

– Jeżeli natychmiast nie odjedziecie, zadzwonię do Terespoła do gestapo i powiem, w jakim stanie jesteście.

Przeklinając Niemca wdrapują się niepewnie do samochodu i zygzakiem przejeżdżają granicę. „Monter” ociera spocone czoło.

– Czy to już koniec niespodzianek? – pyta „MSZ-ta”.

– Chyba tak, jesteście już przecież w Guberni.

Mylił się jednak „MSZ”. Tylko przez cztery godziny mieli spokojną jazdę. Tuż przed świtem zatrzymał ich w Wawrze patrol granatowej policji. Starym zwyczajem jeden kontrolował papiery, drugi zaś skoczył na skrzynię, by sprawdzić zawartość samochodu. Zdziwiająco szybko skończył swe oględziny i z dużym pośpiechem domagał się przerwania kontroli.

– Co on nas tak szybko puścił? – zastanawiali się.

– Zimno, noc się kończy, chcą chłopaki iść jak najszybciej do domu. – wykoncypował „MSZ”.

Doprowadzili wóz na Kazimierzowską i ledwo dowlekli się do domu na zasłużony odpoczynek.

Po tym pińskim maratonie „Monter” spał półtorej doby. 20 stycznia rano zjawił się znów na Kazimierzowskiej, gdyż czekała go kolejna tura do Terespoła. Zajrzał odruchowo do skrzyni i zmartwił – w rogu pudła leżał sobie spokojnie granat pozostawiony widać przez któregoś z uczestników akcji. To był powód wyjątkowego pośpiechu kontrolującego ich policjanta.

Wieczorem tego dnia ford przywiózł z Terespoła do Warszawy część grupy uderzeniowej akcji „Pińsk” z „Ponurem”, „Czarką”, „Kawą”, „Krą” i „Esesmanem”. Reszta – dziewięciu ludzi miejscowych wraz z „Motorem” – została w Brześciu.

Wycofująca się zza Buga grupa „Ponurego” w nocy z 19 na 20 stycznia spotkała w domu konspiracyjnego przewoźnika drugą, o wiele skromniejszą ekipę „Wachlarza”, udającą się za Bug z podobnym zadaniem – uwolnienia aresztowanych oficerów i żołnierzy z więzienia mińskiego. Byli to: szef sztabu „Wachlarza”, mjr dypl. „Tumry”, oraz jeden z cichociemnych IV Odcinka – rtm. „Mira”.

Ekipa transportowców „Wachlarza” w składzie: „MSZ”, „Monter” i „Duglas” – wzmocniona ewakuowanym z Pińska „Jędrasem” – po dostarczeniu grupy „Ponurego” do Warszawy otrzymała nowe zadanie: przygotowanie wozów do dyspozycji mjra „Tumrego” w akcji mińskiej.

BEKANNTMACHUNG

Am 18. Januar 1943 wurden der
Oberwachtmeister HELLINGER
und Wachtmeister ZÖLLNER
durch polnische Aktivisten **feige ermordet.**
Zur Vergeltung sind heute 30 polnische Geiseln erschossen
worden.

Pinsk, den 22. Januar 1943.

Der Gebietskommissar
gez. KLEIN

ОГОЛОШЕННЯ

Дня 18 січня 1943 р. зістали в ганебний спосіб замор-
довані польськими активістами

СТАРШИЙ ВАХМІСТР ГЕЛІНГЕР
І ВАХМІСТР ЦІЛЬНЕР.

Відплатою за це зістало сьогодні розстріляних 30
польських закладників.

Окружний комісар
Кляйн

Пінськ, дня 22 січня 1943р.

45. Niemieckie obwieszczenie o rozstrzelaniu 30 zakładników jako represja za śmierć komendanta więzienia pińskiego i jego zastępcy





46. Zbiorowa mogiła na cmentarzu w Janowie Poleskim 30 rozstrzelanych zakładników (stan z pierwszych lat po wojnie)

47. Pierwsza tablica upamiętniająca rozstrzelanych zakładników w Janowie Poleskim (data błędna, wcześniejsza o jeden dzień)







48. Pomnik wzniesiony na miejscu kaźni w Janowie Poleskim i odsłonięty 5 VII 1969 r.

49-50. Prof. Felicjan Śliwiński i dr Stanisław Demecki — jedni z rozstrzelanych w Janowie

51. Tablica poświęcona rozstrzelanym w Janowie Poleskim, umieszczona w katedrze pińskiej





Przebieg do wykonania jak woli przynajmniej 1000 sztuk
19. II 16

Donat - D-ca akcyj
zadanie.

dnia 31. III. 1942 r. Donat na odprawie u przelozonego otrzymał rozkaz zwolnienia naszych ludzi: "Vanig", "Kysia" i "Azerka" i o ile się da "Szopkówną" z więzieniem w Pińsku. W celu zwolnienia wykorzystać wszystkie środki, jak przekupienie, podstęp, a jeśli Donat uzna, że nie doprowadzą do wykonania zadania, ma uderzyć sbrojnie na więzienie i wykonać zadanie.
 Donat - D-ca + 14 dywersantów do bezpośredniego uderzenia.
 Czarka - Z-ca

Położenie własne.

Antoni }
 Drużik }
 Jelina } do działań pomocniczych
 Łąbon }
 Ogrodnik }

2 samochody - /1 osobowy i jeden ciężarowy/ jako środki transportu i łączności.

Brod: 3 pistolety maszynowe, 7 koltów 32, 2 koltu 45, 2 nagany, 13 granatów uderzeniowych, 2 kilo plastiku, 30 splonek, krążek lontu prochowego.
Rekwizyty: 1 mundur /komplet/ podoficera Gestapo, 10 m lina do forsowania płotów, tyczka do przerywania przewodów telefonicznych, kołce do umierchaniania samochodów w pościgu i opatrunki.

Położenie nie-przyjaciela i obiektu.

Więzienie w Pińsku mieści się w zachodniej części miasta. Jest zamknięte ulicami, od frontu ulicą Brzeską, od zachodu Poleską, od północy Paulówką /mieszkieta dla ruchu/ i od wschodu ulicą Cegielnianą. Więzienie i rozmieszczenie więźniów jak na szkicu.

Zabezpieczenie więzienia. 3 bramy / 2 silne drewniane, zamknięte na haki i zamki, oraz trzecia słabna zamknięta na zasuwę i zamki/.

Dookoła więzienia 5-cio metrowy szosalny płot drewniany na wierzchu którego przeprowadzone są ostere druty kolosaste. Na korytarz więzienia prowadzi dwa je drzewa ściągniętych, albo przez kluznika, który w ciągu całej doby przebywa na korytarzu więzienia, albo przez pracownika dyżurnego, który przebywa na wartowni. Oświetlenie jak na szkicu, z chwilą zapadnięcia nocy, 2 aparaty telefoniczne /1 u niemoż, drugi w kancelarii/ odprowadzone przesady ze skupa w ulicy Brzeskiej. Ponadto 2 obserwatory - jak na szkicu. Cmentarz jest dnim przekazywania więźniom pazek /od 109 16/. W budynku więziennym są dwa oddziały - mężczy i kobiety.

Więźniowie - 5 nasi ludzie, około 10 ludzi /partyzanci i za współudział z partyzantami/ reszta to ludzie mjejsowi za przestępstwa natury administracyjnej i kryminalnej. Stan więzienia w dniu napadu 54 więźniów. Nasi więźniowie przebywali w pojedynkach /0, 1 i 2/, kompletnie odizolowani od świata zewnętrznego i nie korzystający ze swobód w zakresie regulaminu /spacer, wyjście na korytarz po jedzeniu itp./, reszta cel to cele ogólne. Dwa razy dziennie jedzenie o 12 i b 16 strawa gotuje się w kuchni więziennych i przyrządzona w kotłach na korytarz więzienny. Więźniowie z cel ogólnych wychodzą po strawę z miskami na korytarz. Nasi więźniowie, którzy byli osadzeni w pojedynkach, po strawę nie wychodzą, kluznik podawał im do cel. Nawet na dochodzenia nie byli wyprowadzani z cel. Dochodzenia przeciwko nim były prowadzone w budynku więziennym. Czasami więźniowie byli wypuszczani na spacer - ale tylko wówczas, kiedy k-dt więzienia pozwolił. Nasi więźniowie nie korzystali ze spacerów.

Straż więzienia. Komendant więzienia Niemiec nazwiskiem Hallinger - jego zastępcą Zelmer Hitlerowicz, osłowiek z pod ciemnej gwiazdy. Obydwaj mieszkali w budynku kancelaryjnym w miejscu jak na szkicu. Personal kancelaryjny składał się z 3 osób - intendent gospodarz - Polak i 2 kobiety /1 volksdeutschka a druga Polka/. Urzędowanie w kancelarii trwało do godz. 16 z tym, że do godz. 17 jeżeliby można było kogós zastać w kancelarii. Niemcy prawie w ciągu całej doby przebywali z siebie w mieszanku lub w gabinecie. Ciagle przy sobie mieli krótki broń palną.

52-56. Raport por. „Ponurego” o przygotowaniach i przebiegu działań w Pińsku. W lewym górnym rogu — adnotacja płk. „Bąka” — Henryka Krajewskiego, szefa szkolenia „Zagajnika”, zalecająca raport ten traktować jako wzorcowy na konspiracyjnych kursach podchorążych



Przedownicy dysurni. Markezawski pijak, sowa volkdeutech, zamieszkały przy ulicy Pawłowskiej vis a vis więzienia. Kraszyk zamieszkały w mieście. Prześ tego 18 strażników /11 Polaków i 7 Rosjan/. ludzie, którzy służą dla kasałka chleba, o małym wychowaniu obywatelskim. Są dość gorliwi w służbie. Prawie wszyscy konaci, zamieszkał w mieście.

Służba. Pełniona jest na 2 zmiany /dzienna i nocna/. Zmiana dzienna od godz. 7 do 18 i nocna od 18 do 7. Strażnicy na każdą zmianę przychodzą na pół godziny przed. Na terenie dziennej pełni służbę od 7 do 8 strażników. /jedem posterunek przy bramie Nr.1, jeden posterunek przy bramie Nr.2, jeden klucznik, jeden obserwator od ulicy Brzeskiej, róg Polackiej, jeden idzie z więźniami na roboty, reszta w rezerwie/. Na zmianie nocnej pełni służbę 10 wartowników - dochodzą 1 patrol między posterunkami Nr.1 i Nr. 2, 1 obserwator od ulicy Pawłowskiej i 1 w kancelarii. Służbę strażnicy pełnią z bronią /kb.sowieckie - 4 naboje/. Na wartowni w magazynie jest 15 kb. i bardzo duża ilość amunicji do nich. Na służbę strażnicy przychodzą bez broni. Odechodzą na posterunki, pobierają broń od przedownika dysurnego. Po godz. 16 przed personel kancelaryjnego odchodzi do domu przedownik dysurny a zastępuje go starszy strażnik i 2 strażników. Największy bałagan w więzieniu i najsłabsza służba i ogólnie jest między 17 a 17.30. System alarmowy jest straż strażnika, względnie sygnał gwizdkiem. Prześ łączności telefonicznej, żadnej innej łączności więzienia z władzami bezpieczeństwa niema.

Służba bezpieczeństwa. Na terenie Pińska jest około 200 Schutzpolizei /oddział smotoryzowany wyłącznie do podójgu za partyzantami/, około 100 żandarmerów, około 300 milicjantów miejskich i rejonowych, około 1 batalion wojska niemieckiego i tyleż kosaków. Ponadto po ulicy Brzeskiej krąży patrol żandarmerii w sile 1 i 1, względnie 1 2. Na trasie odakoku /Drohiczyn, Kobryń, Brześć/ bardzo duże garnizony wojska, kosaków, żandarmerii i milicji. Łączność Pińska z Brześciem obustronna - Przewody bezpośrednie na trzech liniach, pocztowej, kolejowej i wodnej. Ponadto żandarmerja i wojsko posiada 5 radiostacji korespondencyjnych do łączności z Łuckiem, Kobryniem i Brześciem. Kierownikami władz i urzędów samorządowych są Niemcy lub Rosjanie. Na niższych stanowiskach urzędniczych, pracowników nasyłowych i fizycznych jest b.dużo Polaków. Polacy, ludzie wystraszeni, leniwi, do roboty organizacyjnej i konspiracyjnej ewensen, b.chętni, ale do roboty aktywnej nie - bojaźliwi - największe smartwienie to "co z sobą i z dziećmi". W mieście pośród Polaków jest wyznaczonych 15 zakładników - Polacy.

Dnia 31.III.42. "Antoni Haży" wyjeżdża do Pińska dla nawiązania kontaktów z Drucikiem i z Jelina.

Dnia 2.I.43. Donat, Czarka, HSE, Biek Monter i S.S. wyjeżdżają z bronią, amunicją i rekwiizytami do Brześcia /broń, amunicja i rekwiizyty w schowkach/ dwoma samochodami, gdzie otrzymują dalsze rozkazy. Samochody idą przez granicę oficjalnie Donat, Czarka i S.S. na sielono.

W Brześciu Czarka obejmuje dowództwo nad ludźmi i sprzętem na terenie Brześcia i szuka na moje rozkazy. Broń, amunicja, i rekwiizyty wyjmie ze schowka i skłóży na melinie w Brześciu. Przy pomocy Kapelana typuje do akcji 8 ludzi z Brześcia. Na mój rozkaz z Pińska, przejdzie z bronią i ludźmi do Pińska na podstawie wyścołowej. Utrzymuje codziennie podstęp telefoniczny, czekając na moje rozkazy, HSE szef łączności i transportu samochodowego. Pracą samochodem ciężarowym do Warszawy i przywozi Ławę i Erg, który granicę przejdą na sielono, i zapadną na kwatery przygotowanych przez Czarkę.

Sam udałem się do Pińska dla prowadzenia rozpoznania. W Pińsku nawiązałem kontakt z Antonim, z Jelina - przy pomocy którego prowadziłem rozpoznanie więzienia i z innymi ludźmi z oddziału, których zorganizowałem do wykonania czynności pomocniczych.

Przez Drucika zorganizowałem stałą łączność z Czarką w Brześciu przez podstępny telefoniczny na linii: "Red." przebiegał Czarcę godzinę na samochodzie. Łączność nawiązywałem 2 razy dziennie w ustalonych godzinach.

Na podstawie przeprowadzonego rozpoznania obiektu i wywiadów w mieście Pińsku i terenie, postanowiliśmy w dn.18.I.43 punktualnie o godz.17 uderzyć na więzienie. Napięciem uoperowaliśmy jako napięcie partyzanckie, aby nie ściągnąć uwagi na miejscową ludność polską. Napięcie wykonad przez działanie polkowno /podstępny i przemyślny, cicho, bez użycia broni. Użycie broni może nastąpić tylko w stronie imzincowej któregoś z dyswersantów, w wypadku i w celu pokonania oporu czynnego lub biernego więźniów lub strażników. W czasie akcji nie wolno używać języka

Rozkazy i zarządzenia wydane przez Donata w okresie poprzedzającym akcję.

Nydl przewodnia.



**Zajęcie
podstawy
wyjściowej.**

**Na podsta-
wie wyjści-
owej. Zarzą-
dzenia.**

polskiego - używać tylko rezerwy i niebezpieczeństwa.
W dniu 17.1.45. daliśmy rozkaz Czarnym przejechać samochodem z ludźmi z Brzoźnia do Pińska na punkt, z takim obciążeniem, ażeby na punkcie w Pińsku meldować się w szroku między godz. 17-18. W dniu 17.1.45. Czarna po przejeździe z ludźmi, przez przewodników, Antoniego, ogrodnika i Ławę, zostali grupami przeprowadzeni na podstawę wyjściową. Samochód odjechał do przygotowanego garażu.

MSZ szef transportu, przygotował wozy do odskoku. Przy Opie zmienić numery rejestracyjne na "Pol". Do baku wlać benzynę tylko tyle, aby dojechać do Janowa. Na godz. 16.55 punktualnie stanął pod fabryką zapalek i czekał na mnie. W samochodzie już mają być MSZ, szofer, S.S. w mundurze obok szofera, Motor na tylnym siedzeniu, kryjąc S.S.

Dzień Motor, Pakunok. Motor szofer, Pakunok szefowa szefowa uzbrojeni w krótką broń palną. - Na godz. 17.10 motor podjechał pod bramę więzienia samochodem ciężarowym i przed niezamierzonymi dźwiękami pożytkowymi zatrzymał się i poszerzył reperację samochodu. Klapa od strony więzienia otwarta. Platforma uprzednio zamocowana. Na samochodzie duży zapas benzyny, ciepłe ubrania dla uwolnionych więźniów i kolce.

Czarna, Kawa, Kwa. przygotowanie broni, amunicji, sprzętu i rekwizytów do napaści. Organizowanie ubezpieczenia na podstawie wyjściowej.

Za dnia - 18-go rozpoznanie obiektu więzienia z powietrza, trasa dojazdu i miejsce zaatakowania więzienia. Zarządzenie gotowania gorącej strawy dla dywersantów, zapoznanie ich z każdym rodzajem broni i wypłata dla nich selektywnej suwy, oraz wydanie przygotowanej telamnej poroży dla każdego. Czarna, Kawa i Kwa, rozpoznanie narzuconej im trasy marszu pińskiego do Terespola, na wypadek gdyby w drodze nieprzyjaciel zamieszkał nas do odskoku pińskiego. Wszyscy żołnierze dywersantów zostali dokładnie zapoznani z planem miasta Pińska, najbliższych okolic, z planem i rozmieszczeniem więzienia i z trasą odskoku samochodem i piśnię.

Z podstawy wyjściowej nikomu wychodzić nie wolno. Następnie odbyła się odprawa przeprowadzona przez siebie każdej grupy i każdego dywersanta jedli miał osobne działania w akcji. Zapoznaliśmy dokładnie wszystkich z wynikami rozpoznania. Treść odprawy podam w punkcie "wykonanie".

Następnie naradziliśmy rocznie wszystkie broni, amunicji i rekwizytów a następnie odebrałem od wszystkich papiery i dokumenty, które w razie gdyby któryś poległ, mogłyby kompromitować jego, lub cały oddział. Na końcu odprawy nastąpiła dokładna regulacja zegarków, gdyż początek rozpoczęcia akcji ugrany był na czas. Przed wyjściem zatarcie śladów i przygotowanie otworu tylniowego.

Wykonanie.

Grupa I-osa. Donat o-oa, MSZ szofer, S.S., Motor samochodem Opel. Trasa jak na szkicu, rozmieszczenie w samochodzie jak na rysunku. Z pod fabryki zapalek / od strony miasta / na pełnym gazie sajeżdża samochód punktualnie o 17.00 pod bramę więzienia i przed samą bramą zatrzymuje się nie wyłączając motoru. Po zatrzymaniu się samochodu, S.S. jedną nogą wychodzi z samochodu, pokazując się w mundurze. W tym momencie strażnik przy bramie usłyszał pracę motoru, przeszedł na ulicę i widzi samochód ze znakami policyjnymi i podoficerem Gestapo. Do strażnika po niemiecku S.S. mówi że policja S.D. i chce otworzyć bramę. Strażnik odpowiedział "tak jest" i zaczął otwierać. S.S. nie wstępując się w rozmowę wsiadł do samochodu, a szofer nie czekając na otwarcie bramy dojechał do garażu. Kiedy brama została otwarta samochód szybko wjechał i zatrzymał się za bramą. Z samochodu spokojnie i szybko wyszli S.S. i Motor, podszli z tyłu do strażnika nasykającego bronią i po raz pierwszy sterroryzowali go, kładąc mu rękę na głowę i prowadzić się do drugiej bramy. Tuż za samochodem wyszedł "Kawa" i "Łuk" z pistoletem maszynowym i krótką bronią palną, aby objąć służbę na bramie i otworzyć przez nasadzkę osłonę dla działań na terenie więzienia. Strażnik przy bramie otrzymał opór bierny, wobec czego został nastroszony przez Motor i usunięty z jedni z dnia. Zarządź motor nie tyle go można, gdyż był w całym konwoju wartownictwa. W wypadku gdyby strażnik nie otworzył bramy, MSZ daje znakom " - ", co jest znakiem dla Kwy i Jastrębia z grupy II-giej, że strażnik mają wzięć od środka.

Za sterroryzowaniem strażników, S.S. i Motor I mają iść do drugiej bramy i ustawiając strażnika wie a wie judasza, S.S. a tyłu za nim, a motor pod płotem z boku niewidocznego, na sąsiednim do bramy. Z chwila kiedy wartownik otworzy judasza w drugiej bramie, aby zobaczyć mającego strażnika, który ma powieścić



Tylko: "no otwórz, otwórz" i S.S.masa. Wówczas strażnik w drugiej bramie widząc znajomego strażnika, otwiera bramę, przez którą wpadają Demat, Motor, S.S., Kra i Jastrąb odlepiając latarkami strażnika, terroryzują i rozbijają go, zostawiając przy nim wartę, wpadają na wartownię i terroryzują i rozbijają wszystkich tam obecnych. Sterroryzowanych układa się wszystkich leżącą do ziemi, ręce wyciągnięte i tak aby nie mogli obserwować ruchów napadających partyzantów. Na jedno długie światło S.S., MSZ podjeżdża samochodem pod drugą bramę. Dalej całą akcją kieruje Demat. Trick ze strażnikiem odpadł, ponieważ strażnik przy bramie, który stawiał opór, został zastrzelony. Wobec tego rozkazał S.S. masowi ułożyć tego samego tricku co przy pierwszej bramie. Strażnik otworzył i dalej już w myśl opisane planu. Po sforsowaniu wszystkich bram, z miejsca zabieraliśmy wszystkie klucze.

Grupa II. Czarka - Kra - Jastrąb - Dzik atakują obiekt od ulicy Cegielskiej, po trasie jak na szkicu, przycisną wychodzą z podstawy wyjściowej z takim obliczeniem, aby południową część budynku kancelaryjnego / kancelarja / osaczyć i sforsować punktualnie o godz. 17.00. Kra od ulicy Cegielskiej z pistoletem maszynowym zostaje na zasadach, a Jastrąb przygotowaną oską srywa przewody telefoniczne. Czarka i Dzik wkraczają do kancelarji i terroryzują i rozbijają osoby, które tam napotkają. Sterroryzowane osoby przyspawają do otwartej już drugiej bramy.

Grupa III. Kawa - Kmicic - Ryka - Dym atakują obiekt od ulicy Cegielskiej po trasie jak na szkicu, przycisną wychodzą z podstawy wyjściowej z takim obliczeniem, aby północną część budynku kancelaryjnego / mieszkanie Niemców i gabinet Ks-ta więzienia / osaczyć i sforsować punktualnie o godz. 17.00. Dym zostaje nasuwatrz budynku jako osłona działania Kawy, Kmicica i Ryka, którzy wkraczają do Niemców. Kawa - pistolet maszynowy, Kmicic i Ryka - kolty 45. Terroryzują Niemców i całą prowadzić się do bramy drugiej - robią ten trick / dublują /, który w zasadzie wykonuje grupa I. Niemcy stawiają osyany opór, ostrzeliwują się, wobec czego zostają przez naszych rozstrzelani. Kawa po wykonaniu zadania, w myśl planu działania, ze swoimi ludźmi wchodzi na obserwator od ul. Pałowskiej, przywiązuje przygotowaną linę z węzłami i spuszcza się do środka więzienia po linie przez 5-cie metrowy płot, atakując od środka więzienia trzecią bramę i wartownię. Po sforsowaniu wszystkich bram / 3 / i zdobyciu wartowni, rozbijanie i sterroryzowanie wszystkich strażników, w otoczeniu 4-ch dywersantów, które się prowadzi do więzienia przodownikowi z kurnemu. Każą klucznikowi pod rewolwerem otworzyć wszystkie cele i wypuścić więźniów. Sasiad więźniowie niespostrzeżenie przyspawali do samochodu Opla i szara wywiezieni, a do reszty więźniów kazał przemieścić po rozjątku Rykowi, że dają im wolność i swobodę - niech wyjdą. Później wszystkich wypuścili z więzienia. Na umówiony znak / 3 gwizdki na kluczu / wszyscy dywersanci wyszli i saładowali się do ciężarowego samochodu. Przed odejściem, wszystkich strażników rozkazał zamknąć do jednej celi.

Straty ze strony Opla. Zabitych 2 Niemców i 1 strażnik - z naszej strony bez strat. Ryka po zabitym Niemcu zabrał pistolet 7.65 "Walter", którym dałem na pamiątkę. Po saładowaniu ludzi do samochodu i sprawdzeniu, dałem rozkaz do odjazdu.

Dzięk. Dnia 17-go w przeddzień napadu, panu L. kazałem przygotować w samochodzie szary schowek na 3 osoby i wyjechać już w dniu 17-go, aby zrobić sobie alibi w Janowie, a na nas poszukać pod Drohicynem poszerzając ubezpieczenie i reperację samochodu. Dla zamykania podwoju, Opla kazałem ustawić wpooprak szary pod Janowem i spalić, sami zaś jechać samochodem ciężarowym, ubezpieczając się z samochodem. Na całej trasie, aż do spotkania z panem L. wypadł koleś. Przekładował więźniów do samochodu pana L. a samym odskakiwał samochodem ciężarowym trasą Janów, Drohicyn, Korodeń, Kobryń, szosą na Włodawę, a następnie oską Ewel-Brańc, na melinę graniczną pod Brańcem. W wypadku zatrzymania samochodu, zwalniający bieg, podsuwany się jakimś bliżej zatrzymujących, a następnie na mój rozkaz likwidujemy Opla., tak z broni maszynowej, jak i krótkiej. W wypadku uszkodzenia samochodu, szary piec po rozpoznanych trasach, oddziałem swartym, jak oddziały partyzancko-dywersyjne. Na melinę graniczną pod Brańcem przyjechałem bez przeszkód. Na przygotowanej melinie napadłem na noc z 18-go na 19-ty z całym oddziałem, ubezpieczając się i będąc stale w pogotowiu. Tutaj zrobiłem dokładny apel, rozdałem wszystkim do-



wady osobiste wyprzedziło zabranie, a MSZ i Biuro Monterski kasalen jechał ni-
siedzieć przez granicę do Warszawy. Dnia 19-go rano uszywy ruszali się do
przygotowane kwatery w Brześciu. W nocy ze środy na czwartek / 20/ 21. 1.43./
sareadnik przejechał 6 osób granicę na siolono, stąd w nocy z 21/22 samochodem
przejechał do Warszawy bez przeszkód. Instrukcje oddziału nastąpiło w
Warszawie.

Łączności.

W czasie napadu 18.1.43.r. o godz. 17.00 została przez Brzećka serwana łączność
z Piskiem na wszystkie możliwe kierunki. - Do dnia 22-go łączności jeszcze nie
było.

Punkty op-
ratywne.

Opatrunki osobiste na ludzich w czasie akcji i odczeka, oraz apteczka na sa-
mochodzie w czasie odczeka. Punkt sanitarny z lekarzem na malinie granicznej
pod Brześciem.

Brali udział w operacji:

Donat D-ca ; Czarka S-ca ; Brzećk - serwanie łączności.

- Grupa I.
- 1/ Donat
 - 2/ S.S.
 - 3/ MSZ.
 - 4/ Motor

- Grupa II.
- 1/ Czarka
 - 2/ Kra
 - 3/ Jastrąb
 - 4/ Bek

- Grupa III.
- 1/ Kawa
 - 2/ Kwiecie
 - 3/ Ryka
 - 4/ Dym

- Warta przy bramie.
- 1/ Wrona
 - 2/ Płomień

Samochód ciężarowy.

- 1/ Bielek Monterski
- 2/ Pakunak

Skład pomocniczy.

- 1/ Antoni - rozpoznania
- 2/ Dęb - podstawa wyjściowa / kwatera stała /
- 3/ Ogrodnik - przewodnik
- 4/ Właściciel maliny granicznej pod Brześciem
- 5/ Stasiak - przewodnik przez sioloną granicę
- 6/ Jelina - konfident

m.p. 27.1.43.r.

nał. nakle wzięcia

Donat

57. Pińsk, ulica Marszałka Piłsudskiego.





Niemiecki odwet

Tymczasem w Pińsku sprawy nie przebiegały tak pomyślnie, jak przypuszczano. Tuż po odskoku grupy uderzeniowej zgromadzeni na dziedzińcu uwolnieni więźniowie oczekiwali, stosując się do polecenia przemawiającego dywersanta, przykazane im – jak zrozumieli – dwadzieścia minut. Jedyne radzieccy partyzanci woleli nie prowokować szczęścia i gdy tylko „Ponury” z oddziałem zniknął za bramą, przeskoczyli przez płot i uciekli.

Po dziesięciu minutach przez uchyloną furtkę wpadł na dziedziniec niemiecki żołnierz kwaterujący w pobliskiej szkole. Widocznie zorientował się w sytuacji, gdyż po kilku minutach całe więzienie otoczyło wojsko, na dziedziniec wkroczyło gestapo i żandarmeria. Czterdzieści osób po niecałej godzinie wróciło z powrotem do cel.

Gestapo i Sicherheitspolizei rozpoczęły tymczasem brutalne śledztwo. Mimo usiłowań żołnierzy „Ponurego”, by odwrócić represje od środowiska polskiego Niemcy od początku byli zorientowani nie tylko w tym, kto był autorem uderzenia na więzienie, ale nawet wysunięto słuszne podejrzenia co do osób zamieszanych w realizację planów. Wszystkim aresztowanym pokazywano podczas badania przedwojenne zdjęcie Mariana Przysieckiego w mundurze WP oraz podobne „Antoniego” – „Małego”, pytając, czy wśród „bandytów” nie rozpoznano tych dwóch ludzi. Poza tym w samej grupie uderzeniowej nie udało się uniknąć rozmów w języku polskim, co więźniowie słyszeli i zeznali podczas badań w gestapo.

Zastraszeni więźniowie, bici i torturowani, potwierdzali każde niemieckie pytanie; tylko dwaj orientując się, kto dokonał rozbicia więzienia, postanowili potwierdzić wersję „rosyjską” całej akcji. Jeden z nich – Czesław Łowiński, łącznik konspiracyjny, który jadąc z rozkazem podziemia z Warszawy do Pińska został zatrzymany na dworcu rozpoznany przez jednego z białoruskich policjantów i aresztowany 16 stycznia, czyli na dwa dni przed rozbiciem więzienia – stanowczo zaprzeczył, aby wśród biorących udział w akcji był Przysiecki czy „Antoni”. Drugi zaś – znany nam już były bosman Flotylli Pińskiej, pracujący w więzieniu jako kucharz, Teofil Kaplita – stwierdził, że wśród rozbijających więzienie rozpoznał komisarza NKWD, którego znał jeszcze z czasu pobytu Rosjan w mieście.

Poszukiwania śladów Przysieckiego w tej akcji Niemcy prowadzili również poza przesłuchiwanymi więźniami. Badano w tej sprawie nie tylko zakładników, ale nawet dzieci⁵⁴.

⁵⁴ W liście do mnie syn rozstrzelanego później Michała Hajduka, Ryszard Hajduk, tak pisał: (...) „Ponadto już po śmierci ojca jako trzynastoletni chłopiec przesłuchiwany byłem przez gestapo. Pytano mnie, czy słyszałem nazwisko Przysiecki i czy kiedykolwiek widziałem go u nas w domu. Gestapowiec pokazywał zdjęcie Przysieckiego i opisywał dokładnie jego wygląd. Tyle pamiętam z tamtych strasznych dni”.

W trzy dni po akcji „Ponurego” rozpoczęto aresztowania. Pierwsi zostali zabrani członkowie tak zwanego „Komitetu Polskiego”.

Istnienie tworu nazwanego przez Niemców „Komitetem Polskim” wymaga tu specjalnego wyjaśnienia, gdyż wobec powoływania do życia na terenach okupowanych różnego rodzaju kolaboracyjnych „komitetów” ukraińskich, białoruskich, nazwa „Komitet Polski” może być źle odczytana. Otóż była to grupa piętnastu zakładników, odpowiadających głową za każdą nielojalność mieszkańców miasta wobec władz hitlerowskich. Stworzono go ponad rok przed wypadkami pińskimi, 4 stycznia 1942 roku, a o intencjach, jakie przyświecały komisarzowi okręgowemu, Kleinowi, mówi treść rozplakatowanego na murach miasta obwieszczenia⁵⁵:

⁵⁵ Unikalny egzemplarz tego obwieszczenia udostępniono mi ze zbiorów prywatnych.

ze strony polskiej świadomy wpływ polityczny.

Polacy nie wzdrażają się pracować ręką w rękę z notorycznymi wrogami niemieckimi – z żydami. Dowody na to znajdują się u mnie.

Dziki wieści o nowej 1,5 milionowej armii polskiej w Persji, o rzekomych klęskach wojsk niemieckich i zwycięstwach Sikorskiego rozpowszechniane są tendencyjnie między ludnością. Wszystkimi sposobami usiłuje się ludność zaniepokoić i powstrzymać od koniecznej pracy, pożytecznej, nad odbudową, na której cywilnym władzom niemieckim zależy.

Odpowiedzialne za tę robotę podżegawczą osoby znajdują się prawie wyłącznie w Pińsku i utrzymują stosunki z kierowniczymi kołami polskimi w Warszawie.

Tej robocie przyglądałem się już dosyć długo i nie mam zamiaru w przyszłości chociażby tylko najłżejszego objawu politycznych tendencji pośród ludności polskiej w moim okręgu pozostawić bezkarnie i nie zwracać na nie uwagi.

Dlatego zarządzam:

Natychmiast należy utworzyć „Komitet Polski”, który jako członków mieć będzie osoby wymienione w załączonej liście, a których funkcja w Komitecie obowiązująca będzie w wyznaczonej przeze mnie kolejności. Do dnia 6 lutego b.r. należy mi złożyć sprawozdanie z wykonania niniejszego polecenia.

W ten sposób utworzoną grupę czynię w pierwszej linii poprzez przewodniczącego, a następnie każdego poszczególnego członka Komitetu osobiście bezpośrednio (direkt) odpowiedzialną przede mną za zachowanie polskiej ludności Okręgu, a na przyszłość bezwzględnie będą ich pociągając do odpowiedzialności i nie będą się wzdrażać przed stosowaniem drakońskich kar.

Członkowie Komitetu będą każdego czasu dla mnie do dyspozycji, jako wykonawcy zarządzeń i w danych wypadkach jako zakładnicy.

O wszystkich zmianach personalnych, szczególnie o zmianie miejsca zamieszkania, należy mi natychmiast donieść; zależnie są od mego zezwolenia.

Ludność polska sama przez swoje nieodpowiedzialne postępowanie postawiła polskość w takim położeniu, zmuszając mnie do przedsięwzięcia takich środków.

Komisarz Okręgu

KLEIN

w zastępstwie – Ebner

Niestety, nie zachowała się do dzisiaj pełna lista „Komitetu”, o której mówi obwieszczenie okupanta. Udało mi się odtworzyć jego prawdopodobny skład. Oto on: ks. dr Witold Iwicki – prałat katedry w Pińsku, Felicjan Śliwiński – dyrektor gimnazjum pińskiego, Bogdan Nowicki – działacz niepodległościowy ze Śląska, Antoni Dąbrowo – inżynier rolnik, Zygmunt Sułkowski – rolnik, Mieczysław Pawłowski – pracownik Zarządu Miejskiego, Stefan Chybowski – ogrodnik, Stefan Trojanowski – urzędnik bankowy, Ludwik Danielkiewicz – piekarz, Mieczysław Juchniewicz – urzędnik KKO, Jan Frydrychowicz – urzędnik skarbowy, Michał Hajduk – były prezes Związku Inwalidów Wojennych w Pińsku, Dominik Docnik – rolnik oraz Grzechnik – komornik. Piętnasty członek jest nieznan. Na przewodniczącego komitetu wyznaczony został przez Niemców Felicjan Śliwiński, który na początku okupacji niemieckiej był burmistrzem miasta.

Członkowie „Komitetu Polskiego” bezpośrednio po rozbiciu więzienia w większości nie nocowali w swych domach, tym bardziej że niemiecki ksiądz katolicki nieznanego nazwiska uprzedził ks. dra Witolda Iwickiego o spodziewanych represjach. Po trzech dniach, w czasie których Niemcy nie podejmowali żadnych działań, członkowie komitetu rano 22 stycznia wrócili do swoich mieszkań i tu zastał ich niespodziewany nalot gestapo i żandarmerii; tylko trzem członkom – Juchniewiczowi, Frydrychowiczowi oraz robotnikowi portowemu o nie ustalonym nazwisku – udało się uniknąć aresztowania i zbiec do partyzantki.

Poza „Komitetem Polskim” Niemcy aresztowali dodatkowo dwadzieścia dwie osoby narodowości polskiej, wśród których znaleźli się dr Stanisław Demecki – lekarz, Marian Kuczek – były kierownik „Polminu” w Pińsku, Stanisław Jabłoński – sierżant 84 pp., Michał Wsiewołod vel Michał Wesel – były administrator majątku Skirmunta z Koszewicz, Grochowski, St. Byczkowski – st. sierżant 84 pp., Aleksander Mikulski – inż. elektryk, Ludwik Paszek, Luge – leśniczy, Stanisław Sikorski – st. sierżant 84 pp., Leon Paszkiewicz – zawiadowca stacji w Pińsku, Tomasz Czerwiakowski – st. sierżant 84 pp., Janiszewski – były inspektor szkolny, Bronisław Markiewicz – nauczyciel, Józef Grabowski, Wincenty Prus, Antoni Boroń, Bronisław Stawicki, Tadeusz Bielecki, Sandrowski, Czerkosas i jeden mieszkaniec

Pińska o nie ustalonym nazwisku. O godzinie 10.00 rano trzydziestu czterech zakładników przywieziono na stary cmentarz żydowski do Janowa Poleskiego. Zachował się opis egzekucji pióra Leona Paszkiewicza, który tak relacjonuje jej przebieg w liście pisanym 5 czerwca 1946 roku do żony inż. Antoniego Dąbrowo:

Gdy nas zabrano z mieszkań w dniu 22.1.43, o godzinie 10-tej byliśmy już w Janowie i staliśmy nad dołem, a było nas 34 ludzi. Przed wykonaniem wyroku policzono nas, a gdy stwierdzono, że jest nas 34, wówczas jeden z Niemców powiedział, że sąd polowy skazał tylko trzydziestu. Ja stałem czwarty od dołu, a gdzie Mąż Pani stał, tego nie przypominam. Zrządzeniem Opatrzności Boskiej podchodzi jeden z Niemców i na wrywki wyprowadza, a raczej wyciąga nas czterech z szeregu skazańców. Wszyscy staliśmy z zawiązanymi rękami, drutem, do tyłu. Gdy nas wyciągnęli z szeregu i stawili na jeden krok od reszty skazańców, wykonali wyrok na tych ostatnich. I tak zginęli bohaterowie niewinni, zamordowani przez zbirów niemieckich...

Obok Leona Paszkiewicza w czteroosobowej grupie ułaskawionych znaleźli się Sikorski, Luge i Czerniakowski⁵⁶.

⁵⁶ Lista rozstrzelanych w Janowie Poleskim została odtworzona na podstawie relacji państwa Obryckich, Demeckiej i Juchniewicza. Występuje pewna niezgodność między tak odtworzoną listą a tablicą z wykazem nazwisk znajdującą się na grobie poległych. Na tablicy tej nie ma Grochowskiego, Janiszewskiego, Sandrowskiego, Czerkosasa, a za to są P. Kaczmarczyk, S. Markowski i R. Puchalski. Na tablicy figuruje też jako rozstrzelany S. Sikorski, który według relacji L. Paszkiewicza miał być jednym z ułaskawionych.

Rozbicie więzienia pińskiego należało z punktu widzenia taktycznego na przełomie lat 1942/43 do najpoważniejszych osiągnięć podziemia. Wyrwanie z miasta, w którym stacjonował kilkudziesięcny garnizon, uwięzionych oficerów oraz umożliwienie ucieczki kilku innym osobom zostało bardzo wysoko ocenione przez konspiracyjne kierownictwo. „Ponury” oraz cały jego zespół zwrócił na siebie uwagę i zdobył zasłużoną sławę.

Niestety, zadziwia wprost brak dbałości o pozostałych ponad czterdziestu więźniów oraz tragiczny los trzydziestu zakładników nie mówiąc już o zlekceważeniu niebezpieczeństwa przez nich samych.

Aby właściwie ocenić strategiczną wagę tego przedsięwzięcia, nie wolno zapominać, że kierownictwo „Wachlarza” po dosyć późnym – z powodów obiektywnych (brak szybkich środków łączności, ciągłe aresztowania, rwące się kontakty) – zebraniu wstępnych informacji uznało odbicie więźniów za mało realne i początkowo aresztowanego „Wanię” i jego podkomendnych chciano „spisać na straty” – jak to dosłownie określano. Ale „Wania” sygnalizował z więzienia, że może nie wytrzymać badania i poprosił o truciznę. Konspiracja zaś nie mogła dopuścić do tego, aby kapitan zaczął mówić. Represje zatoczyłyby wtedy daleko szersze kręgi niż te, które objęły Pińsk. „Wania” i towarzysze przedstawiali zbyt dużą wartość, aby przed ostatecznością – podaniem trucizny – nie pojąć próby ich uwolnienia.

Decyzja oswobodzenia uwięzionych zapadła ponad kierownictwem „Wachlarza” – wydał ją Komendant Główny AK, gen. „Grot” – Stefan Rowecki. Oponentów zapytał:

– Czy i mnie, gdy zostanę aresztowany, nie będziecie próbowali odbić?

Niestety, gdy go aresztowano w pół roku później – 30 czerwca 1943 r. – wszelkie próby wydobycia go z rąk gestapo okazały się nierealne, ale jest faktem niezaprzeczalnym, że o przystąpieniu do akcji Pińskiej te słowa zadecydowały⁵⁷.

⁵⁷ O osobistym zaangażowaniu swego autorytetu w akcję pińską mówi zupełnie wyraźnie Komendant Główny AK w meldunku organizacyjnym nr 190 za okres 1 IX 1942 – 1 III 1943 (1. dz. 5272/43): „W dniu 20 IX 1942 w okolicy Dawidgródka zaaresztowani zostali trzej oficerowie »Wachlarza«, udający się na wykonanie powierzonego im zadania. Na mój rozkaz [podkr. moje – C.Ch.] kierownik »Wachlarza« przystąpił do zorganizowania akcji wydobycia ich z rąk wroga”.

Przedsięwzięcie zleczone „Ponuremu” i jego ludziom oraz pozytywny jego wynik znalazły szeroki oddźwięk przede wszystkim w prasie konspiracyjnej. Pierwsza wzmianka ukazała się w „Biuletynie Informacyjnym” już 28 stycznia 1943 roku i wszystko wskazuje na to, że wiadomość tę skierowano do druku, zanim do Warszawy dotarły informacje o egzekucji w Janowie. Stała ona więc w jawnej sprzeczności z usiłowaniami odsunięcia represji od środowiska polskiego – bo choć nie ujawniono, że uderzenia dokonały oddziały AK, to jednak ówczesna zasada publikowania w „Biuletynie” wiadomości

przede wszystkim o własnych akcjach była dla Niemców potwierdzeniem słuszności ich podejrzeń.

Rozkaz gen. „Grot” nr 84 z dnia 8 lutego 1943 roku o awansach i odznaczeniach za Pińsk został ogłoszony w „Biuletynie Informacyjnym” nr 7 z 18 lutego 1943 roku oraz w „Rzeczypospolitej Polskiej” z początku lutego 1943 roku; opis akcji znalazł się zarówno tam (nr 12/176 z dnia 27 maja 1943), jak i w cytowanym wyżej okresowym sprawozdaniu Komendanta Głównego AK (poświęcono mu 3 strony maszynopisu). Wydarzenie to zostało także szeroko skomentowane w wiadomościach BBC. Szef Wydziału Szkolenia KG AK o kryptonimie „Stadion”, płk. „Bąk”⁵⁸, w specjalnie wydanej broszurze szkoleniowej przedstawił analizę pińskiego uderzenia, nazywając je wzorowym.

⁵⁸ Henryk Krajewski – „Trzaska”, „Leśny”, „Eryk”, skoczek, w 1944 r. dowódca 30 Poleskiej Dywizji AK. Zmarł w końcu lat 80-tych.

W uznaniu zasług i bohaterstwa komendant Sił Zbrojnych w Kraju nadał Krzyże Virtuti Militari „Ponuremu” i „Czarce”, piętnastu bezpośrednich i pośrednich uczestników ataku zbrojnego otrzymało Krzyże Walecznych. Z grupy uderzeniowej wyróżniono nimi „Krę”, „Kawę”, „Wronę”, „Montera”, „Matora”, „Ryksa”, „Kmicica” i „Esesmana”, ze współpracowników przygotowujących atak: „Drucika”, „Jelinę”, „Janka”, „Pana L”(„Dugłasa” – Langnera), „Kapelana”⁵⁹ oraz właścicielkę majątku pod Brześciem. Z odbitych Krzyż Walecznych otrzymał „Ryś”.

⁵⁹ Błąd w dokumentacji konspiracyjnej – winno być „Plebana”, dotyczyło ppor. Aleksandra Kiwalle.

Dwaj uczestnicy akcji – jeden z grupy przygotowawczej: „Antoni”-„Mały” i drugi z grupy uderzeniowej: „MSZ” – awansowani zostali na podporucznika czasu wojny z datą starszeństwa 11 listopada 1942 roku.

W dniu 8 lutego 1943 roku w mieszkaniu Haliny Chądzynskiej, teściowej „MSZ-ta”, przy ul. Rakowieckiej 59a m. 6, Komendant Główny AK, gen. „Grot”, osobiście dokonał wręczenia zaświadczeń potwierdzających nadanie odznaczeń Virtuti Militari „Ponuremu” i „Czarce”. Kilkanaście dni później w parku przy Królikarni komendant „Wachlarza”, „Doktor”, wręczył podobne zaświadczenia drugiej części grupy uderzeniowej, m.in. „Monterowi”, „MSZ-towi” i „Motorowi”⁶⁰.

⁶⁰ Vide zachowane w archiwum WIH wnioski odznaczeniowe. Fotokopia w załączeniu.

I tak jak przedtem uwolnienie siłą osadzonych w Pińsku ludzi uznano zgodnie w kierownictwie „Wachlarza” za sprawę mało realną, teraz nabrano przekonania do podobnych akcji. A potrzeby stosowania siły w celu uwolnienia więzionych oficerów rosły. Jak już wiemy, w dniach 7 – 12 grudnia 1942 roku, a więc w dwa tygodnie po aresztowaniu „Wani”, gestapo uderzyło bardzo boleśnie w sąsiedni – IV Odcinek „Wachlarza”, działający w rejonie Mińska Litewskiego. Wszyscy ludzie z aparatu dywersyjnego, zorganizowanego olbrzymim wysiłkiem przez inżynierów „Białego” – Koszarskiego i Kisielewskiego, powiązanego z przedsiębiorstwami budowlanymi i transportowymi, zostali w ciągu jednego tygodnia rozproszeni lub wtrąceni do więzienia (na czele z dowódcą IV Odcinka „Tropem” – majorem Tadeuszem Sokołowskim).

Równocześnie z wyspą w Mińsku aresztowano skoczka „Mirę” – rtm. Jerzego Sokołowskiego, którego „Trop” wysłał tydzień wcześniej do Słucka. Po miesiącu „Mirze” udało się zbiec ze słuckiego więzienia i przedostać do Warszawy. Szef sztabu „Wachlarza”, major „Tumry”, pojechał wraz z nim do Mińska, gdzie obaj oficerowie przekupili strażnika i nawiązali kontakt z towarzyszami.

Pertraktacje w sprawie wykupienia więźniów nie dały rezultatów, postanowiono więc uwolnić ich siłą. Niestety, w kilku ludzi trudno było to zadanie zrealizować: „Wachlarz” nie miał już tam własnej siatki – kto nie uciekł, ten został aresztowany.

Postanowiono więc sprawą uderzenia na więzienie zainteresować komunistów. Na dwa miesiące bowiem przed aresztowaniami przeprowadzonymi w szeregach „Wachlarza” gestapo wpadło w Mińsku na trop Komunistycznej Partii Białorusi i aresztowało większość Komitetu Miejskiego tej organizacji. Kontakt nawiązano szybko przez gospodynię jednego z oficerów „Wachlarza” – Katię. Komuniści mieli

dać ludzi, „Wachlarz” zaś czterech oficerów, broń dla całego zespołu, pieniądze oraz umożliwić kontakt z więzieniem.

W dniach poprzedzających uderzenie posłano uwięzionym za pośrednictwem przekupionego strażnika cztery pistolety, odwrotnie zaś więźniowie przesłali informacje o przebiegu śledztwa oraz plan więzienia. Uderzenie miało nastąpić od wewnątrz, po uprzednim otruciu przez przekupionych strażników ich kolegów wiernych Niemcom.

W dniu akcji, 6 lutego 1943 roku, tuż przed wieczorem pod melinę „Tumrego” i jego ludzi podjechało gestapo. Po półgodzinnej walce „Tumry” – mjr Stefan Rychter, szef sztabu „Wachlarza”, oraz por. „Stefan” – Stefan Derfert zginęli, zabijając przedtem jednego oficera gestapo i czterech białoruskich policjantów. Dom Katii został spalony, a w nim – obok polskich oficerów – kilkunastu Białorusinów. Większość aresztowanych członków „Wachlarza”, w tym trzech skoczków: mjra „Tropa” – Tadeusza Sokołowskiego, kpt. „Rybę” – Wacława Zaorskiego, kpt. „Maka” – Bohdana Piątkowskiego zamęczono w więzieniu mińskim⁶¹.

⁶¹ Komendant „Wachlarza”, „Doktor” – płk Remigiusz Grocholski, po przeprowadzonym dochodzeniu tak pisze w dniu 18 III 1943 r. w sprawozdaniu z akcji „Wachlarza” za okres od 1 IX 1942 do 28 II 1943, przedstawiając przeprowadzenie akcji: „1-o nieudane odbicie więzionych własnych ludzi. Straty własne 2-ch (w tym szef sztabu „Wachlarza”). Straty npla: 5 zabitych i kilku rannych. Powód nieudania – zdrada strażników”. Obszernie sprawa tragedii mińskiej opisana jest przez autora w książce *Zagłada IV Odcinka*, PAX 1967, wznowionej tamże w 1980 i 1987 roku, a także w książce *Wachlarz*, PAX 1983, wznowionej w 1985 i 1990 r.

Pierwsze dwa miesiące 1943 roku były właściwie okresem likwidacji „Wachlarza”. Złożyły się na to dwa czynniki – pierwszy to wynik represji niemieckich, które sparaliżowały całkowicie lub częściowo poczynania na terenach jego działania, drugi – zmiana struktury organizacyjnej podziemia oraz warunków prowadzenia dywersji na terenach przyfrontowych. W wyniku represji gestapo Odcinek IV – miński, przestał istnieć⁶². Odcinek III – brzeski, mimo odbicia kpt. „Wani” i jego zastępcy, „Rysia”, został postawiony wobec konieczności ewakuacji dowództwa i pewnej ilości żołnierzy zdekonspirowanych udziałem w wyprawie pińskiej. Odcinek I – lwowski nie był właściwie dotąd należycie zorganizowany. Pozostawały jedynie dwa sprawnie działające: II – Równe-Kijów oraz V – wileński.

⁶² Aresztowania mińskie rozbiły najsilniejszą grupę obsady IV Odcinka, tzw. „trójkąt A” (Mińsk-Orsza-Żłobin). Pozostała jeszcze w terenie oparta o miejscowość Królewsczyzna (na wschód od Wilna) druga grupa o kryptonimie „trójkąt B” (Newel-Połock-Witebsk), dowodzona przez por. „Mundka” – Edmunda Banasikowskiego i por. cc „Krzemienia” – Piotra Motylewicza. Na skutek aresztowań w Mińsku „trójkąt B”, pozbawiony łączności z Warszawą, przetrwał samodzielnie w terenie do marca 1943 r. i podporządkował się komendzie Okręgu Wilno.

Pokonywanie granic dzielących Generalną Gubernię od terenów przyfrontowych przestało już być istotnym problemem, gdyż ciągłe zapotrzebowanie formacji frontowych na ludzi do budowy umocnień i lotnisk powodowało, że setki konspiratorów bez przeszkód docierały aż na bezpośrednie zaplecze frontu. Poza tym, w wyniku kilku ofensyw radzieckich, front zbliżył się do dawnych granic Polski, przez co teren działalności „Wachlarza” skurczył się.

Wszystko to spowodowało, że piński sukces był właściwie ostatnim udanym przedsięwzięciem „Wachlarza” i odskok warszawsko-brzeskiej grupy „Ponurego” był równoznaczny z częściową ewakuacją III Odcinka i zakończeniem działalności dywersyjnej.

Podczas rocznej działalności „Wachlarza” zmieniały się warunki prowadzenia dywersji. Armia Krajowa wydzieliła na przełomie 1942/43 r. w ramach Kierownictwa Walki Konspiracyjnej osobne Kierownictwo Dywersji – Kedyw. Miał on w swym programie działalność destrukcyjną, a więc sabotaż, dywersję, organizowanie zawiązków oddziałów partyzanckich, terror i odwet na Niemcach, likwidację zdrajców itp.

W okresie listopad 1942 – luty 1943 nastąpiło przejście siatek „Wachlarza” przez Kedyw AK. I tak: agendy Odcinka V przejął w dniu 21 listopada 1942 dowódca Okręgu „Miód” (kryptonim Okręgu Wilno),

Odcinka II (Równe-Kijów) – w dniu 25 stycznia 1943 dowódca Okręgu „Hreczka” (kryptonim Okręgu Wołyń), Odcinek I (Lwowski) – w dniu 24 lutego 1943 r. zastępca dowódcy Obszaru „L” (kryptonim Obszaru Lwów) i Odcinek III (Brześć-Pińsk) – dowódca Okręgu Poleskiego w dniu 27 lutego 1943. Odcinek IV (Mińsk) uległ całkowitemu rozbiciu. Na pozostałościach siatki patroli dywersyjnych „Wachlarza” oparł swoją pracę powstający Kedyw. Sztab komendanta „Wachlarza” w Warszawie został przekazany pułkownikowi „Nilowi” (późniejszemu gen. bryg.), Augustowi Emilowi Fieldorfowi, 18 marca 1943 roku.

„Pomóżcie uratować matkę”

Garaż brzeskiego nadleśnictwa był punktem etapowym na wschodniej trasie. W czasie jazdy do Mińska 14 lutego 1943 roku „MSZ” i „Monter” znaleźli w Brześciu „Matora” bardzo zmienionego. Pozostawiony prawie miesiąc bez organizacyjnego kontaktu – w mieście wstrząsanym różnymi wersjami rozbicia pińskiego więzienia (do lotniczego desantu włącznie) i oczekującym lada chwila masowych represji – stracił zwykły animusz, nonszalancję, odczuwał ciągle niepokoje i obawy. Żalił się „Monterowi”, że organizacja zapomniała o nim, że czuje się zagrożony, że Niemcy prowadzą ciągłe aresztowania i aczkolwiek nie posunęli się na razie do drakońskich akcji odwetowych na terenie Brześcia, to nad środowiskiem polskim wisi groza nowych represji czy egzekucji.

To wszystko sprawiło, że „Motor” w miesiąc po akcji nie czuł się na terenie Brześcia pewnie i – jak twierdził – w każdej chwili spodziewał się aresztowania. Z tych powodów postanowił opuścić zagrożony teren, póki sytuacja się nie wyjaśni. Załatwił już dla siebie drogę przerzutu przez zieloną granicę do Generalnej Guberni, a „Montera” i „MSZ-ta” prosił jedynie o pomoc w przewiezieniu żony – Tamary.

Ekipa, w której skład wchodził zarówno „MSZ”, jak i „Monter” z ciężarowym fordem, miała ewakuować z więzienia w Mińsku odbitych lub wykupionych członków IV Odcinka „Wachlarza”. Samochody „Wachlarza” dotarły do Mińska w dziesięć dni po walce i śmierci mjra „Tumrego”. Wracając „Monter” z „MSZ-tem” ponownie zatrzymali się w Brześciu i zabrali transport błotników, który mieli przywieźć do GG. Pod tym ładunkiem przygotowano skrytkę dla żony „Matora”. Na granicy, aby odwrócić uwagę celników od nielegalnego transportu, „MSZ” wręczył im zakupioną specjalnie w tym celu gęś. Zarówno błotniki, jak i ukryta pod nimi Tamara Wojnowska bez przeszkód dojechały do Warszawy.

Wojnowska była człowiekiem całkowicie nowym w okupowanej stolicy, bez rodziny i znajomych, dlatego też „Monter” nie mógł jej zostawić bez pomocy i oparcia. Zaraz po przyjeździe zabrał ją do siebie na Bródno na ul. św. Wincentego. Tam też zjawił się 20 lutego sam „Motor”. Był ciągle przygnębiony brakiem łączności z organizacją, która – jak wiemy – podlegała reorganizacji, niepokoił się o los chorej na serce matki, pozostawionej w Brześciu⁶³, do której był bardzo przywiązany. „Motor” także zamieszkał w domu Edka „Montera” i przy pomocy kolegów nawiązał kontakt z „Ponurym” i „Czarką”, wciągając się powoli w pracę konspiracji na nowym terenie. Nie wyzbył się jednak niepokojów i nie rozstawał się z bronią.

⁶³ Według listu znajomego Wojnowskich, p. Dziecioła, do autora, ojciec „Matora”, spodziewając się represji, na tydzień przed rozbiciem więzienia przeszedł granicę na Bugu i przeniósł się do Kielc.

Pewną poprawę jego samopoczucia spowodowało wręczenie jemu i innym uczestnikom akcji pińskiej zawiadomień o nadaniu odznaczeń bojowych.

Treść tego dokumentu była następująca:

„27”

Inżynier

dn. 21.11.43

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju rozkazem W.L. 68/BP z 3.11.43 r. na podstawie upoważnienia Naczelnego Wodza Rzplitej Polskiej

Nadaje

Motorowi Jurkowi

Krzyż Walecznych

po raz pierwszy

za udział w śmiałej, precyzyjnej, udanej i przykładowej akcji uwolnienia żołnierzy Sił Zbrojnych w Kraju z rąk niemieckich.

Komendant Wachlarza

Dla cierpiącego na przerost ambicji „Motora” była to duża satysfakcja i zastrzyk energii. Miał jednak trochę żalu, że „Ponury” i „Czarka” otrzymali za Pińsk Virtuti Militari, a on tylko Krzyż Walecznych, tak jak „Duglas” czy „Monter”, niemniej jednak ten wąski pasek papieru był dowodem, że nie zapomniano o nim, że doceniono jego udział i zasługi w rozbiciu więzienia.

Niezależnie od kontaktu z „Ponurym” i „Czarką” „Motor” szukał innych. Odnalazł „Mariana” i wtedy właśnie ta dotąd dosyć luźna znajomość przedzierzgnęła się w przyjaźń.

„Motor” spotykał się też często z ludźmi z Brześcia; potwierdzali oni wieści o panującym w mieście niepokoju i coraz to nowych aresztowaniach.

Uderzenia niemieckie w zabużańską siatkę konspiracji były nadzwyczaj precyzyjne. W połowie lutego aresztowano wraz z ojcem i bratem „Dyma” – Skwierczyńskiego, „Kmicica” – Wiktora Hołuba, „Płomienia” – Władysława Westwalewicza, a 20 lutego na dworcu w Brześciu ujęto „Wronę” – Wacława Wilczewskiego. „Dym”, „Wrona” i „Kmicic” zostali w marcu tego roku rozstrzelani w więzieniu brzeskim, zaś „Płomień”, jak i aresztowany wraz z nim jego ojciec Tadeusz nie przeżyli tortur. Zginął również „Żbik”-„Jastrząb” – Zbigniew Słonczyński, jeden z pierwszych żołnierzy „Wani” na III Odcinku. Umknąwszy z własnego mieszkania przed dobijającym się gestapo, następnej nocy, 5 marca 1943 roku, został zaskoczony w mieszkaniu przyjaciół zupełnie przypadkowym wejściem Niemców. Przekonany, że gestapo przybyło po niego, nie chcąc narażać gospodarzy wszczynaniem walki, strzelił sobie w skroń, raniąc się ciężko. Niemcy przewieźli go do szpitala, odratowali i po trzech tygodniach przenieśli do więzienia brzeskiego, gdzie w ostatnich dniach czerwca został rozstrzelany.

Dopingowany tymi wiadomościami „Motor” z dużą energią rozpoczął starania o otrzymanie dla matki (Wojnowska w tym czasie ukrywała się w Kobryniu) z konspiracyjnej komórki legalizacyjnej „lewych” papierów wraz z przepustkami na przyjazd zza Bugu.

W tym celu wykorzystał wyjazd łączniczki „Wachlarza”, „Grażyny” – Grażyny Śniadeckiej, do Brześcia, aby przy pomocy przebywającego nadal za Bugiem żołnierza swej grupy transportowej – „Pakunka” – przygotować matkę do wyjazdu oraz uzyskać dokumenty potrzebne do wyrobienia dowodów.

Gdy tylko były one gotowe, wysłał łącznika „Adasia” – Adama Wolfa ponownie za Bug z zadaniem przewiezienia matki do Warszawy.

Tymczasowy początkowo pobyt „Motora” w Warszawie ulegał przedłużeniu, a wobec perspektywy przyjazdu matki dalsze korzystanie z gościnności „Montera” było krępujące. Dlatego też rozpoczął poszukiwania własnego mieszkania. W okupowanej Warszawie nie należało to jednak do rzeczy łatwych. I znów z pomocą „Motorowi” przyszedł „Monter” – załatwiając mu podnajęcie mansardowego pokoju z kuchnią u swego kolegi, Kazimierza Szyszki, przy ul. Kamiennej 10; do mieszkania tego Wojnowski przeniósł się wraz z żoną w końcu lutego.

W kilka dni później wrócił „Adaś” z bardzo niepomyślnymi wieściami. Otóż z Kobrynia do Brześcia przyjechał wraz z matką „Motora” bez przeszkód. Podrobione papiery na przejazd dwóch osób nie wzbudziły podejrzeń. W Brześciu, w godzinach rannych, wsiedli do pociągu urlopowego. Tuż przed odjazdem pociągu celnicy, bahnschutze i gestapowcy dokonywali wrywkowej kontroli dokumentów i bagaży. Przepustki „Adasia” i matki „Motora” wzbudziły podejrzenie jednego z Niemców, który kazał wysadzić obie osoby i zaprowadzić do Urzędu Celnego w Brześciu przy ul. Dąbrowskiego. W czasie gdy celnik wszedł do gabinetu naczelnika, „Adaś” zainicjował ucieczkę, która młodemu chłopcu udała się, starszej zaś i otyłej Wojnowskiej – nie; osadzona została w więzieniu⁶⁵.

podziemia w celu uzyskania decyzji zaatakowania więzienia. Starano mu się wyperswadować ten pomysł, gdyż po akcji pińskiej i mińskiej czujność straży więziennych i niemieckich obstaw wielokrotnie się zwiększyła, ale te argumenty nie trafiały „Motorowi” do przekonania. Prosił o pieniądze na wykupienie aresztowanej lub też pozwolenie dobrania sobie ludzi na ochotnika i skorzystania z broni podziemia, aby mógł uderzyć na więzienie w ramach „prywatnej akcji”. Zrozumiałe, że żadna z tych propozycji nie mogła być zaakceptowana.

I wtedy „Motor” zaczął grozić. Przypomniawszy swe zasługi i swoje zaangażowanie w sprawy konspiracji, które doprowadziły jego matkę do więzienia. Rozmówcy z tego okresu, np. „Monter”, zapamiętali i takie zdania: „Jeżeli mi nie dacie ludzi do odbicia matki, to sam się oddam i sypnę wszystkich”.

Nie były to widać czcze pogrożki, jeżeli np. bliżej nie rozszyfrowany łącznik „Wachlarz” – „Sławek” zjawił się, pewnego razu u „Montera” i mimochodem stwierdził że „Jurek jest wściekły i rozrabia”.

Pogrożki te nie miałyby na pewno dalszych następstw, gdyby je wypowiadał tylko wobec „Montera”, „Sławka” czy por. „Mariana”, ale w tym już czasie wśród zaufanych znajomych tego ostatniego znajdował się wytrawny agent gestapo, informujący Niemców już od pół roku o każdym kroku por. Przysieckiego.

„Motor” od przyjazdu do Warszawy stał się częstym gościem u Kowalskich, gdzie ciągle przesiadywał Przysiecki. Tam to zetknął się z odwiedzającym od pół roku nader gorliwie swoją siostrę – Kowalską – „oficerem konspiracji”, którego poznał pół roku wcześniej w czasie jesiennego, krótkiego pobytu w Warszawie i którego sam wtedy wciągnął do „Wachlarza”.

Człowiekiem tym był Józef Kessler.

Wierny sługa wielu panów...

Józef Jerzy Kessler urodził się w 1902 roku w Radomiu. Do 1917 roku przebywał w Warszawie, gdzie skończył szkołę podstawową i rozpoczął naukę w gimnazjum. Był jednym z dziewięciorga dzieci Marii i Wilhelma Kesslerów i wśród liczego rodzeństwa miał pięć sióstr: Helenę, Emilię, Marię, Janinę i Wilhelminę oraz trzech braci: Eugeniusza, Henryka i Bronisława.

W 1911 roku najstarsza jego siostra wyszła za mąż za Wilhelma Kowalskiego⁶⁶ i do nich, do Stoczka Łukowskiego, przeniósł się Józef Kessler. Tam dzięki staraniom szwagra otrzymywał pracę zarobkową w kilku kolejnych gminach powiatu radzyńskiego. Po skończeniu gimnazjum od 1924 roku odbywał służbę wojskową w 35 pułku piechoty w Łukowie, którą ukończył w stopniu sierżanta. Stamtąd przyjechał ponownie do siostry Heleny, z którą – jak widać – łączyły go najsilniejsze więzy rodzinne.

⁶⁶ Nazwisko zmienione przez autora.

W 1927 roku był okresowo burmistrzem miasteczka Mordy koło Siedlec, w latach 1930-32 pracował jako inspektor samorządowy w Siedlcach i Radomiu, w 1934 roku został burmistrzem w Kocku.

Oto jaką pamięć po sobie zostawił u swoich kolegów-samorządowców Józef Kessler z tamtego okresu⁶⁷:

⁶⁷ List p. J. Siejaka skierowany do autora po I wydaniu książki i po artykule pt. „Kto czego szuka”, opublikowanym w nr 10 „Kultury z 9 III 1968 r..

...Ponieważ znam osobiście Józefa Kesslera z lat przedwojennych, dlatego pragnę uprzejmie zakomunikować, że Józef Kessler nie tylko był burmistrzem w Kocku, ale i w Mordach w p. siedleckim, w roku 1933 czy też 1934 był inspektorem komunalnym w Wydziale Powiatowym w Łukowie. W owym czasie odbywałem praktykę w Zarządzie Gminnym w Puchowiczu pow. Łuków i w tym czasie Józef Kessler przeprowadzał przez kilka miesięcy inspekcję.

Józef Kessler został przyjęty przez b. i nowo mianowanego starostę Skoczonia, emerytowanego mjra żandarmerii, do poruczeń specjalnych i likwidacji niektórych pracowników samorządowych, a w szczególności sekretarzy gminnych. Pierwszy jego występ był w gminie Tuchowice, bo chodziło staroście w pierwszym rzędzie o zwolnienie ze stanowiska najpopularniejszego sekretarza gminy, dziś już nie żyjącego p. Puściana Jana (został zamordowany w 1939 r. przez gestapo).

Józef Kessler był również czynnym działaczem w Pow. Oddz. BBWR i wśród członków robił też czystkę. Obaj ci panowie byli postrachem nie tylko wśród pracowników samorządowych, ale również wśród społeczeństwa powiatu.

Niedługo jednak ci panowie panowali na zajmowanych stanowiskach w powiecie.

Osobami tymi zainteresował się Zw. Prac. Sam. Teryt., a w szczególności dyrektor Związku p. Antoni Pacholczyk, który po zebraniu odpowiednich materiałów i dowodów odnośnie ich kwalifikacji itp. interweniował osobiście u b. Ministra Spr. Wewn. p. Kościalkowskiego, którego decyzją w trybie przyspieszonym w ciągu dwóch tygodni starosta Skoczeń został przeniesiony na równorzędne stanowisko do pow. Nowy Tomyśl, zaś Kesslera polecił zwolnić natychmiast, wydając zarządzenie w formie okólnika w dzienniku urzędowym MSW zabraniające zatrudniania go w aparacie samorządowym. Po zwolnieniu opuścił nasz powiat i co dalej się z nim stało – nie wiem. Wiem tylko to, że po zwolnieniu zwrócił się jeszcze o jakąś pomoc do p. Pacholczyka – dyrektora Zw., który go wyrzucił z gabinetu (osobiście mówił mi o tym p. Pacholczyk).

Ponieważ p. Pacholczyk i p. Puścian zginęli z rąk siepaczy gestapowskich – dlatego teraz mogę przypuszczać, że przyczynił się do tego Kessler.

Kilka lat przed wojną był administratorem jednego z wielkich majątków, w 1938 roku założył nawet sklep spożywczy w Lublinie; widać z tego, że imał się każdego zajęcia, w każdym miejscu, nigdzie nie przebywając dłużej, nie mogąc zrobić nigdzie szybkiej kariery.

Dopiero spotkanie w 1938 roku ze Stanisławem J. w Sandomierzu uznał za wyjątkową okazję do rozpoczęcia nowego życia. Stanisław J. był w tym czasie dyrektorem Związku Przemysłowców Metalowych w Sandomierzu, ale nie była to jedyna jego funkcja. Pod tym szumnym tytułem krył się zastępca szefa II Oddziału Sztabu Generalnego na Centralny Okręg Przemysłowy. On to mianował Kesslera wicedyrektorem sandomierskiego oddziału Związku Przemysłowców Metalowych i wyrobił mu równocześnie posadę kierownika biura zarządu miejskiego.

Jak nietrudno się domyślić, niebył to koniec ofert ze strony Stanisława J. wobec Kesslera. W maju 1939 roku Kessler stał się współpracownikiem „dwójki”.

Pierwszym zleconym mu zadaniem było, jak sam twierdzi (a co nie bardzo pokrywa się z późniejszymi wydarzeniami), wzięcie „pod obserwację” inżyniera technicznego w zarządzie miejskim, Hermana Prawitza.

Według oświadczeń Kesslera, który już w tym czasie występuje jako agent „dwójki” o kryptonimie „3300”, nie sprawiło mu to specjalnej trudności i po dwóch miesiącach obserwacji, prowadzonej przy pomocy zwerbowanego do współpracy urzędnika pocztowego oraz sąsiada podejrzanego, Kessler stwierdza, że Prawitz utrzymuje kontakty z gdańskimi hitlerowcami, a jego żona wysyła do Niemiec meldunki dotyczące sytuacji gospodarczej w COP-ie. Kessler utrzymuje dalej, że Prawitz na podstawie jego meldunków został aresztowany i zesłany do obozu k. Brześcia n. Bugiem (prawdopodobnie chodzi o Berezę Kartuską).

Drugie zadanie, jakie „dwójka” zleciła Kesslerowi już w dniu wybuchu wojny, polegało na zorganizowaniu oddziału obrony terytorialnej, wyłapującego skoczków niemieckich. Jak sam twierdzi, przy pomocy dziesięciu uzbrojonych przez siebie ludzi udało mu się zdemaskować dwóch spadochroniarzy, w tym rzekomo jednego na strychu domu zajmowanego uprzednio przez inż. Prawitza.

Gdy Niemcy zaczęli się zbliżać do Sandomierza, Kessler – zgodnie z poleceniem swych zwierzchników – ewakuował się do Kowla, który miał być punktem zbornym „dwójkarzy”⁶⁸. W początkach października znalazł się w Lublinie zajętym już przez Niemców. Tutaj z miejsca odtworzył swe sklepikarskie tradycje i wraz ze znajomym – byłym rotmistrzem W. – założył sklep. Nie było to przedsięwzięcie na dłuższą metę, gdyż po niecałym miesiącu Niemcy zagarnęli część towarów i zamknęli interes. Pojechał więc do Sandomierza i tu okazało się, że bardzo interesuje się osobą Kesslera ni mniej, ni więcej tylko inż. Prawitz, który był już dyrektorem huty szkła.

⁶⁸ Według danych zawartych w *Polskich Siłach Zbrojnych*, Oddział II Sztabu Generalnego ewakuował się do Włodzimierza Wołyńskiego, a nie do Kowla.

Ta rzekoma ofiara Kesslera opiekuje się od samego początku okupacji jego żoną, dziećmi, dopytuje się z sympatią o niego samego, co jest w jawnej sprzeczności z elementarną reakcją ludzką na doznane krzywdy. A trudno przypuszczać, aby Prawitz nie wiedział o roli, jaką rzekomo odegrał w jego życiu kilka miesięcy przedtem Kessler. Materiały „dwójki” znalazły się przecież w rękach niemieckich. Również sam Kessler po przyjeździe do Sandomierza bez żadnych obaw udał się do mieszkania Prawitza przy ul. Rynek 2, gdzie został bardzo serdecznie powitany. Wszystko to podważa w sposób zasadniczy twierdzenie Kesslera, iż zdemaskował przed wojną agenturalną działalność Prawitza. Tu, oprócz gospodarza, zastał jakiegoś niemieckiego oficera.

Panowie rozpoczęli znajomość od wygłoszenia swych ideologicznych exposé – oficer niemiecki stwierdził, że „obecnie głównym zadaniem Wielkiej Rzeszy jest przygotowywanie ekspansji na ZSRR i że w gronie sił walczących z bolszewizmem nie powinno zabraknąć Polaków”. Następnie przedstawił się, stwierdzając, że nazywa się Paul Fuchs⁶⁹, jest Hauptsturmführerem SS, a aktualnie kierownikiem odpowiedniego referatu Sipo⁷⁰ Dystryktu Radomskiego. Był też związany z tamtejszą placówką Tajnej Policji Państwowej – Geheime Staatspolizei, czyli gestapo.

⁶⁹ Paul Fuchs był w radomskim Sipo kierownikiem dwóch najważniejszych referatów: IV A – zwalczania podziemia i IV N – penetracji agenturalnej. Którą z tych funkcji pełnił w listopadzie 1939 r. (może obie), nie udało się ustalić.

⁷⁰ Sipo – Sicherheitspolizei. Wobec tego, że w cytowanych w niniejszej książce archiwalnych dokumentach autorzy, bardzo często nie zorientowani w różnorodności niemieckiej służby policyjnej, przeważnie podawali nazwy formacji w sposób uproszczony, np. „gestapo” dla większości formacji bezpieczeństwa lub „żandarmeria” – dla prawie wszystkich służb policji porządkowej, autor książki postanowił zachować tę konwencję.

Kessler zaś stwierdził, co następuje:

Ze stanowiskiem Fuchsa w zasadzie zgodziłem się twierdząc, że wszelkie akcje przeciwko Niemcom nie mają szans powodzenia. Po moim oświadczeniu Fuchs wyraził się, że wobec tego, że nasze poglądy są zgodne, zaproponował mi współpracę na takiej płaszczyźnie. Na

propozycję współpracy wyraziłem zgodę⁷¹.

⁷¹ Fragment przesłuchania J. Kesslera w dniu 6 IX 1951 r.; nr akt sądowych sprawy Kesslera: IV K 384/53.

I tak zanim jeszcze pod Kockiem, którego burmistrzem był kiedyś Kessler, wsiąkała w leśny mech krew żołnierzy generała Kleeberga, zanim społeczeństwo polskie zdążyło się otrząsnąć z wrażenia doznanej klęski, gestapo radomskie uzyskało jednego z pierwszych, o ile nie pierwszego konfidenta. Będzie im służył do samego końca, przeplatając tę działalność ze zwykłym bandytyzmem.

Pierwszy jego pseudonim w nowej służbie brzmi „Paul Kurtz”. Jego pierwszym łącznikiem z gestapo będzie inż. Prawitz. Dla nowego współpracownika, któremu początkowo chciano zaproponować pracę w hucie szkła, było to zbyt mało intratne stanowisko, dlatego też Fuchs wysunął propozycję mianowania Kesslera „burmistrzem Sandomierza”.

W tym czasie, chcąc zdobyć informacje dla nowych szefów, odnawia Kessler swe znajomości sandomierskie i wykorzystując fakt, że nikt nie wie o jego roli, skłania niejakiego Bielcę do zbierania podpisów pod petycją do władz niemieckich o zaakceptowanie jego kandydatury na burmistrza miasta. Bielica robi to tym chętniej, że jest przekonany o nienagannej polskości Kesslera. Tymczasem agent wychodzi już poza pisanie donosów o nastrojach panujących wśród ludności polskiej i gdy Niemcy domagają się bardziej konkretnych materiałów, dostarcza je bez oporu. Przede wszystkim wskazuje miejsce, gdzie pod Lublinem żołnierze polscy zakopali pokaźne ilości broni. Wiadomość tę uzyskał przypadkowo od swojego znajomego, chorążego W.

Na przełomie 1939-1940 roku odwiedza Kesslera w Sandomierzu jego niedawny lubelski wspólnik sklepowy, były rotmistrz W., występujący teraz pod przybranym nazwiskiem – „Siejkowski”. W dwa dni później zostaje on aresztowany przez gestapo, a wezwanemu Kesslerowi Fuchs czyni wyrzuty, że przechowuje u siebie bandytę z organizacji, co stawia pod znakiem zapytania jego lojalność. Kessler pragnąc dać dowód czystości swoich intencji ustala z Fuchsem plan, w którego wyniku Fuchs dokonuje oficjalnej konfrontacji agenta z rotmistrzem W. Podczas niej Kessler bardzo pozytywnie opiniuje zatrzymanego i wprost udziela za niego gwarancji. Na tej podstawie rotmistrz zostaje zwolniony.

Pełen wdzięczności dla Kesslera „Siejkowski” wyjeżdża do Warszawy; po powrocie zwierza się agentowi, że w stolicy z ramienia organizacji nawiązał kontakt z szefem podziemia – generałem Karaszewiczem-Tokarzewskim oraz wielu innymi oficerami. W tym czasie Kessler zostaje przekazany w ręce innego łącznika gestapo, niejakiego Szymańskiego, pseudonim „Flor”⁷².

⁷² Dane te pochodzą z zeznań J. Kesslera złożonych w 1951 roku przed oficerem śledczym. Tymczasem z materiałów archiwalnych wynika, że w 1944 r. łącznikiem między radomskim gestapo a Świętokrzyską Brygadą NSZ był oficer tegoż gestapo, podkomendny Fusch, nazwiskiem Flohr, używający pseudonimu „Szymański”. Biorąc pod uwagę zgodność tych danych (z odwróceniem ich w zeznaniu Kesslera, co mu się przytrafiało bardzo często), nie wykluczone, że chodzi o jednego i tego samego człowieka.

Z informacjami uzyskanymi od „Siejkowskiego” Kessler bez żadnych skrępołów zameldował się do gestapo.

Dane te przekazałem natychmiast na spotkaniu z Fuchsem w obecności Szymańskiego w mieszkaniu Prawitza w Sandomierzu przy ul. Rynek⁷³.

⁷³ Z protokołu przesłuchania przez oficera śledczego w dniu 6 IX 1951 r. (II przesłuchanie).

Gestapo, mając już rozpracowanego „Siejkowskiego”, postanawia go aresztować, ale tak, aby nie zdekonspirować swego agenta. Wobec tego Kessler umawia się z nim na wspólny wyjazd do Radomia celem zakupu skór, sam nie wyjeżdża, a rotmistrz zostaje zatrzymany na dworcu.

Kessler jednak nie uznaje tej sprawy za załatwioną i w jakiś czas potem wypytuje łącznika o losy niedawnego wspólnika.

Zapytany przeze mnie Szymański, co się dzieje z W., oświadczył mi, że sprawę tę należy uznać już za zlikwidowaną. Dodał także, że W. został zwerbowany przez gestapo i wysłany jako oficer do obozu oficerskiego na terenie Niemiec⁷⁴.

⁷⁴ Jak wyżej.

Gestapo stwierdza teraz, że agent takiej klasy i tych chęci marnuje się na terenie prowincjonalnego

Sandomierza, i przenosi go do Radomia. W tym czasie Kessler posługuje się w kontaktach z gestapo kryptonimem „K-22”. Dostaje też drugiego łącznika do kontaktu z szefem, niejakiego Falkowskiego, ps. „Karol”. Wśród nowych zadań, jakie stawia przed nim Fuchs, obok nadsyłania na bieżąco meldunków o nastrojach ludności na czoło wysuwa się rozpracowanie Stronnictwa Narodowego i jego agend, a więc Narodowej Organizacji Wojskowej i innych. Kessler przez swoje znajomości bez trudu wchodzi w szeregi Stronnictwa Narodowego, gdzie występuje pod pseudonimem „Pawłowski”. Szybko zdobywa zaufanie i pewnego dnia zostaje skierowany w sprawach organizacyjnych do Warszawy. Tutaj w Narodowej Organizacji Wojskowej nawiązuje kontakt z oficerem wywiadu o pseudonimie „Pazur”, a sam operuje pod pseudonimem „Sęk”. Naturalnie, o wszystkim melduje swemu szefowi, Fuchsowi.

W czasie tych kontaktów poznaje oficera konspiracyjnej organizacji „Polska Żyje”, który pełnił rolę szefa wywiadu. Tenże oficer, płk „Ryś” – Rufa, werbuje Kesslera do swej organizacji. A oto co zeznaje Kessler w tej sprawie:

Po złożeniu przysięgi i deklaracji z podpisem pseudonimem „Konarzewski” zostałem mianowany szefem ekspozytury wywiadu na terenie Radomia. Po przyjeździe do Radomia przy spotkaniu z Fuchsem złożyłem mu w tej sprawie meldunek. Z powyższego meldunku był zadowolony i polecił mi utrzymywać nadal kontakt. (...) Było to w roku 1941 w miesiącach styczeń-luty⁷⁵.

⁷⁵ Jak wyżej.

Spełniając te duże zadania Kessler nie zaniebuje również okazji do wykazania swej lojalności w sprawach drobnych, podejmowanych na własną rękę.

W miesiącach luty lub marzec 1941 r. przybył do mnie do Radomia Bielica, który powiedział mi, że był na odprawie urządzonej przez organizację „Polska Niepodległa”, która odbyła się w Kielcach. Odprawa ta odbyła się w ciemnym pokoju, na której było 8 osób. Na odprawie tej dostał Bielica dyspozycje zorganizowania komórki „Polska Niepodległa” na terenie Sandomierza. Komórki tej nie zorganizował, tłumacząc się pewnymi trudnościami. O powyższym zameldowałem Szymańskiemu. Jak się później dowiedziałem, Bielica zginął z rąk gestapo w Kielcach⁷⁶.

⁷⁶ Jak wyżej.

Na początku 1942 roku Kessler – agent gestapo, a jednocześnie szef ekspozytury wywiadu organizacji „Polska Żyje” na terenie Radomia, członek konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego i Narodowej Organizacji Wojskowej – dowiaduje się, że w ramach scalenia ruchu zbrojnego na terenie okupowanego kraju jeden z oddziałów zbrojnych NOW na Kielecczyźnie ma zostać przekazany pod komendę Armii Krajowej. W porozumieniu z Fuchsem Kessler tak jątrzy i intryguje, że oddział ten w efekcie przekazany nie zostaje.

W tym czasie rodzina agenta „odkrywa” swych niemieckich przodków. Po wpływie tego rodzice Kesslera wraz z młodszym rodzeństwem – córką Wilhelminą i braćmi Eugeniuszem, Henrykiem i Bronisławem – podpisują w Lublinie volkslistę. To samo czyni w jakiś czas potem jedna ze starszych siostr – Emilia. Również ósma latorośl rodu Kesslerów – siostra Janina, żona technika drogowego, Edwarda Sz., zamieszkałego w Zamościu, zaprzeda się wraz z mężem okupantowi, a w pewien czas potem jej mąż zostaje zastrzelony przez organizację z powodu znęcania się nad ludnością polską.

W tej mocno nieciekawej rodzinie zupełnie odbiega od reszty swą postawą Polki, i to Polki-patriotki, najstarsza siostra, Helena, żona Wilhelma Kowalskiego.

Widocznie Kesslerowi mało jest krzywd ludzkich, które czyni na prawo i lewo, mało upodlenia całej rodziny, bo nie zostawia w spokoju także Kowalskich.

W połowie 1942 roku otrzymuje od Fuchsa nowe zadanie: wejść w szeregi Armii Krajowej i rozpracować ją. W realizacji tego celu postanawia posłużyć się ni mniej, ni więcej tylko... siostrą i szwagrem:

Ponieważ wiedziałem, że szwagier Kowalski ma kontakty z podziemiem, sądziłem, że pomoże mi we współpracy z Fuchsem⁷⁷.

⁷⁷ Z protokołu rozprawy sądowej z dnia 29 I 1954 r.

Czy do jakiejś rozmowy na ten temat doszło, trudno dziś stwierdzić, ludzie, którzy zachowali pamięć o Kowalskim, wyrażają się w słowach najwyższego uznania o jego postawie. Należy przypuszczać, że Kessler zorientował się, iż propozycja współpracy nie tylko zostałaby odrzucona, ale że powiadomiono

by o niej organizację, a to równałoby się wyrokowi śmierci dla agenta.

Wkrótce po wizycie Kesslera w domu Kowalskich – 20 VII 1942 roku – Wilhelm Kowalski, członek „Wachlarza”, został aresztowany wraz z „Inspektorem” – Wincentym Boyem, kwatermistrzem tej organizacji.

Działo się to w tym samym czasie, kiedy Kessler rozszerzył swoje znakomite stosunki w gestapo również na Warszawę i przesiadywał w „Bristolu” oraz innych luksusowych lokalach Warszawy, w towarzystwie jednego z najbardziej wpływowych ludzi nie tylko warszawskiego gestapo, ale całej GG – Spilkera⁷⁸. Jedno jego słowo wystarczyłoby w zupełności do uwolnienia Wilhelma Kowalskiego⁷⁹.

⁷⁸ SS-hauptsturmführer Alfred Spilker był kierownikiem Sonderkommando IV A, wydzielonej, nie podlegającej warszawskiej komendzie gestapo specjalnej komórki, powołanej do zwalczania centralnych ogniw podziemia polskiego znajdujących się w Warszawie. Jego bezpośrednim dysponentem był Główny Urząd bezpieczeństwa Rzeszy – RSHA – Reichssicherheitshauptamt w Berlinie.

⁷⁹ Helena Kowalska i jej dzieci dopiero w latach siedemdziesiątych uwierzyły, że brat i wuj był jednym z najaktywniejszych agentów gestapo.

Trudno dziś ustalić, czy z aresztowaniem szwagra Kessler miał bezpośredni związek. Z całą pewnością można jednak stwierdzić, że nie wykorzystał możliwości i kontaktów w gestapo, aby zwrócić aresztowanemu wolność. A że potrafił to zrobić wtedy, gdy ktoś mu był potrzebny, świadczy przykład rotmistrza W.

Tak więc w lecie 1942 roku w Warszawie, przy ul. Jagiellońskiej 32, w mieszkaniu swej siostry Heleny, osoby oddanej jak cała rodzina jej męża sprawom konspiracji, częstym gościem stał się brat pani domu, Józef Kessler, rzekomy członek podziemia, a w rzeczywistości agent gestapo takiego znaczenia, że w jedenaście lat później na rozprawie w 1954 roku tłumacz radomskiej tajnej policji niemieckiej Herman Gempke, odsiadujący karę piętnastu lat więzienia, wystawi mu następującą opinię:

Fuchs [...] wymienił nazwisko Kesslera stawiając przy jego nazwisku notatkę „agent”. Agenci byli podzieleni na grupy zależnie od materiałów, jakie przynosili. Kessler należał do I grupy, która była najlepsza.

W śledztwie Gempke określił Kesslera jeszcze dokładniej:

Kategoria I, tzw. V-person⁸⁰, do której należał Kessler, była najważniejsza, a agentów tej klasy uważano za bardzo wartościowych i zaufanych. Kessler szczególnie w gestapo cieszył się zaufaniem i mówiono o nim jako o jednym z najwartościowszych agentów.

⁸⁰ Vertrauens Person – osoba zaufana, stały informator gestapo.

Gestapo potrafiło ocenić zasługi Kesslera, płacąc mu – jak sam zeznał – bardzo wysoką na ówczesne czasy kwotę 1000 marek miesięcznie, i to już od początku 1940 roku (przeciętny zarobek wysoko kwalifikowanego robotnika w Niemczech wahał się w granicach 300 marek). Do tego dochodziły jeszcze specjalne przydziały przysługujące Niemcom, z których bardzo skwapliwie korzystała żona agenta.

W Warszawie, w mieszkaniu siostry, Kessler poznaje odwiedzającego często ten dom por. Mariana Przysieckiego. Poświęca mu szczególną uwagę – wszak tędy może prowadzić droga do spełnienia rozkazów Fuchsa. Sytuację ułatwia fakt, że Przysiecki traktuje agenta z pełnym zaufaniem, wszak jest to szwagier aresztowanego członka „Wachlarza” i wuj Krystyny, którą Marian darzy sympatią.

Następujący fragment zeznań Kesslera, złożonych w śledztwie dnia 11 września 1951 roku, potwierdza ten fakt:

Pewnego dnia z początkiem 1943 r., w parę miesięcy po śmierci szwagra mego, Wilhelma Kowalskiego⁸¹, pojechałem z Radomia do Warszawy w celu odwiedzenia siostry Heleny, wdowy po Wilhelmie Kowalskim. W mieszkaniu jej zastałem kilku nie znanych mi mężczyzn grających w brydża. Kowalska⁸² powiedziała mi, że są to jej znajomi, przedstawiając ich jako „dr Pawłowski”, Marian, Tadeusz i jeszcze jeden, którego nie pamiętam. Ponieważ wówczas u siostry przebywałem przez okres kilku dni, wymienieni przychodzili prawie codziennie na brydża, w ten sposób zawarliśmy bliższą znajomość.

⁸¹ W oryginale nazwisko prawdziwe (przyp. C.Ch.).

⁸² Jak wyżej.

Niezgodność dat, na którą się napotyka w zeznaniach Kesslera przeglądając akta jego sprawy, rzuca się od razu w oczy. Można ją dostrzec jednak dopiero dzisiaj, gdy znane są inne dokumenty ustalające w czasie pewne wydarzenia. Sam Kessler zresztą w innym swym zeznaniu, złożonym zaledwie na pięć dni

przed cytowanym powyżej, bo w dniu 6 września 1951 roku, mówi:

Na przełomie 1 półrocza 1942 r. wyjechałem do Warszawy do siostry Heleny Kowalskiej, zamieszkałej wówczas przy ul. Jagiellońskiej 32. Poprzez Helenę Kowalską, która wówczas pracowała w „Wachlarzu”, zapoznałem [...] Przysieckiego Mariana, gdzie ten ostatni pełnił funkcję szefa sztabu „Wachlarza” [...] Po kilku dniach wróciłem z Warszawy do Radomia. Przy spotkaniu z Szymańskim złożyłem w tej sprawie meldunek.

Taka półroczna rozbieżność w datach nie pozwala przyjąć żadnej z nich jako wiążącej. Również i dokument, jaki stanowi notatka ks. „Misia”, nie daje odpowiedzi na pytanie, kiedy nastąpiło to spotkanie. Ks. „Miś” przedstawia tę sprawę następująco:

W czasie świąt Bożego Narodzenia poznał pp. Kesslerów w Radomiu (Treuhänder „Garbatki”). Na święta pojechał do nich i ich znajomych młynarzy pod Radomiem.

Najprawdopodobniej por. Przysiecki w czasie Bożego Narodzenia był również w Radomiu, ale Kesslera poznał, jak wynika z relacji konfrontowanych osób, na początku września 1942 roku, w okolicznościach podanych przez agenta, wizyta zaś u młynarzy pod Radomiem miała miejsce nieco później.

Z zeznań Kesslera wynika, że gestapo radomskie zostało poinformowane o tym fakcie natychmiast, i to prawdopodobnie nie tylko ono, ale również warszawska ekspozytura – bezpośrednio przez Kesslera lub przez placówkę w Radomiu.

Dlaczego nie aresztowano Przysieckiego zaraz we wrześniu 1942 roku, mimo iż był pilnie poszukiwany przez całą policję niemiecką na wschód od Bugu?

Odpowiedź na to pytanie jest jedna – na czele komórek zajmujących się zwalczaniem podziemia w policji bezpieczeństwa, gestapo radomskim i warszawskim, stali – jak wiemy – Fuchs i Spilker. Wybitnie inteligentni, należeli do czołówki pracowników i cieszyli się specjalnym zaufaniem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Jak wynika z dokumentów niemieckich, obu powierzono delikatną misję nawiązania kontaktów z polskim podziemiem. Zapewne Kessler, chcąc podkreślić, jak ważna jest nowa znajomość, świadomie lub nieświadomie wprowadził ich w błąd, czyniąc Przysieckiego szefem sztabu „Wachlarza”⁸³, podczas gdy w rzeczywistości por. „Marian” pełnił funkcje daleko skromniejsze. Oficerowie gestapo postanowili roztoczyć nad „Marianem” dyskretną „opiekę”, a wuj zaprzyjaźnionych z nim dziewcząt wydawał się najbardziej odpowiednim kandydatem na opiekuna.

⁸³ Szefem sztabu „Wachlarza” był w tym czasie mjr. „Tumry” – Stefan Rychter.

Tymczasem Przysiecki nie przeczuwał niebezpieczeństwa. Odpocząwszy po pińskich perypetiach, skierowany został na początku września wraz z całą kadrą rezerwową – znajdującą się wtedy w bazie na Waliców – na IV, wzmacniany aktualnie Odcinek: do Mińska Litewskiego. Ostatniej chwili wyjazd „Mariana” został wstrzymany rozkazem „Doktora”, gdyż przeznaczono go do jakiejś akcji specjalnej, która jednak nie doszła do skutku. Ponieważ oczekiwanie się przedłużało, a „Marian” palił się do czynu, w początkach października złożył drogą służbową prośbę do „Grota” o zezwolenie na pójście do lasu i zorganizowanie oddziału partyzanckiego⁸⁴.

⁸⁴ Dowódca III Odcinka „Wachlarza”, kpt. „Wania”, utrzymuje, że „Marian” mimo przymusowej ewakuacji z Pińska – przebywając w Warszawie – nadal pełnił rolę komendanta bazy i kontaktował się ze swym dowódcą w czasie jego przyjazdu do Warszawy, jak również sam przyjeżdżał kilka razy do Brześcia, a nawet do Pińska.

Przysiecki w czasie oczekiwania na decyzję władz konspiracyjnych używany był do różnych zadań specjalnych i wyjeżdżał wiele razy do terenowych oddziałów AK. W wyjazdach tych, np. w Kieleckie, którego por. „Marian” nie znał, chętnie towarzyszył mu Kessler. Oto relacje agenta złożone na ten temat przed oficerem śledczym w dniu 11 września 1951 roku:

Pojechałem więc zaraz na drugi dzień – po otrzymaniu zadania – do Radomia i tam zaprowadziłem Przysieckiego do Ł.⁸⁵ do mieszkania [...] Przysiecki w czasie swojej bytności na terenie Radomia spał stale w moim mieszkaniu – o czym poinformowane było przeze mnie gestapo, a ściśle mówiąc „Szymański” [...] Po wyjeździe „Mariana” Przysieckiego odbyłem spotkanie z Szymańskim, któremu złożyłem obszerny meldunek, w którym podałem: moją podróż z Marianem Przysieckim, powody jego pobytu w Radomiu. [...]

⁸⁵ W oryginale pełne nazwisko (przyp. C. Ch.).

Może się wydawać wielce nieroztropne, że Przysiecki, doświadczony przecież oficer konspiracji, tak bez reszty zaufał niedawno poznanemu człowiekowi. Wpłynęło na to z pewnością pokrewieństwo Kesslera z rodziną Kowalskich, jak i to, że Kessler był już w tym czasie... członkiem „Wachlarza”.

Prawdopodobnie w połowie października 1942 roku, czyli jeszcze przed akcją pińską, przyjechał do Warszawy „Motor” – szef transportu III Odcinka „Wachlarza” – i nie mając innego oparcia, dzięki rekomendacji swego kolegi Mariana znalazł chwilowe schronienie w domu Obryckich. Choć jego powierzchowność i dość prymitywny sposób bycia nie wzbudzały zaufania gospodarzy, przełamali swą niechęć, kierując się najlepszymi opiniami Mariana.

Wraz z Marianem i on stał się gościem w domu Kowalskich. Tam poznał Kesslera. Co prawda Kessler nie mówi jasno w swych zeznaniach, czy „Motora” poznał równocześnie z Przysieckim, czy też „w jakiś czas potem” (obie wersje znajdują się w protokołach przesłuchań), faktem jest jednak, że między nawiązaniem znajomości z Przysieckim, a następnie z „Motorem” upłynęło około dwóch miesięcy.

„Motor”, znając Kesslera z opowiadań Przysieckiego, zaproponował mu współpracę z „Wachlarzem”. Oto jedna z wersji, przedstawiona przez Kesslera podczas przesłuchania w dniu 11 września 1951 roku.

[...] Z kolei przez nich zapoznałem osobnika, którego przedstawiono mi jako „Jurka”. [...] Tego samego dnia lub na drugi dzień „Jurek” powiedział mi, że posiada pseudo „Motor”, że pracuje w organizacji „Wachlarz”, której zadaniem jest utrzymywanie komórek dywersyjnych i zbieranie informacji o ruchach wojsk niemieckich. [...] Przy tej rozmowie Jurek „Motor” zaproponował mi współpracę z tą organizacją. Na stawianą propozycję ja wyraziłem zgodę. [...] Deklarację tę podpisałem własnym nazwiskiem, tj. Józef Kessler i pseudonimem „Sęk”⁸⁶ w mieszkaniu Kowalskiej – bez żadnych świadków. [...] Ponieważ w międzyczasie zameldowałem Szymańskiemu – funkcjonariuszowi gestapo – o nawiązanych kontakcie z Jurkiem „Motorem”, otrzymałem zadanie kontakt ten utrzymywać, zgodnie z tym zadaniem przyjechałem na teren Warszawy i dopytywałem Jurka „Motora” o zadania organizacyjne.

⁸⁶ Później w „Wachlarzu” będzie używał pseudonimu „Jakoby” (przyp. C. Ch.).

Kesslerowi nie wystarczyło omotanie Przysieckiego koneksjami rodzinnymi z domem, do którego „Marian” miał zaufanie, oraz wspólną przynależnością do „Wachlarza”. Wie, że „Marian” chce zorganizować oddział partyzancki, że potrzebne mu są na ten cel pieniądze, stara się i tu być przydatnym, aby zyskać zaufanie, wdzięczność. Proponuje Przysieckiemu handel kalafonią, jako że przynosi to duże zyski. Píše o tym w swej notatce książd „Miś”.

Będąc w rezerwie usiłował utworzyć partyzantkę dywersyjną i pokazał mi podanie do Komendanta Głównego o pozwolenie na partyzantkę. Celem zdobycia funduszków za pośrednictwem Kesslera [nazwisko błędnie napisane w oryginale – przyp. C.Ch.] handlować kalafonią.

Kessler coraz bardziej przekonuje się, że tą drogą nie dojdzie do celu. Mimo iż cieszy się zaufaniem Fuchsa, którego w toku trzyletniej współpracy przekonał dostatecznie o swej lojalności, przez okres ostatniego półrocza niewiele może zanotować sukcesów. Jego jedyny kontakt z organizacją to siostra Kowalska, jej córka i znajomi. Aresztowanie szwagra – Wilhelma – na pewno zaostrzyło czujność organizacji i choć „Wachlarz” dba o żonę swego żołnierza, robi to dyskretnie, bojąc się obserwacji domu. Jedynie Przysiecki jest tam w miarę częstym gościem, ale chyba Kessler orientuje się już, że meldunek złożony łącznikowi gestapo, Szymańskiemu, iż „Marian” jest szefem sztabu „Wachlarza”, nie odpowiada prawdzie. Przysiecki oczekuje w rezerwie na nowy przydział lub zgodę na założenie oddziału partyzanckiego i z tego powodu nie jest orientowany na bieżąco w sprawach organizacji, więc coraz mniej interesuje Kesslera, gdyż jest nieprzydatny dla realizacji jego planów. Szefowie zaś zapewne nalegają.

I wtedy właśnie zjawia się na Jagiellońskiej „Motor” – bohater głośnej akcji, człowiek ze świeżymi kontaktami, ambitny, zaufany żołnierz „Ponurego”, który może poprowadzić dalej śladem urwanym na Przysieckim.

W jakiś czas potem, w końcu lutego, „Motor” przeżywa tragedię – aresztowanie matki wytrąca go z równowagi.

Prosi, przekonuje, wreszcie grozi. Jest bardzo prawdopodobne, że tych nieodpowiedzialnych sformułowań pod adresem władz konspiracji używał w obecności Przysieckiego i Kesslera. I jeśli

pierwszy traktował je jako wyraz żalu i rozpacz, drugi mógł zobaczyć w nich nową szansę dla siebie.

Wtedy zapewne pada propozycja:

– Uratuję twoją matkę, ale...

Czy są to tylko gołosłowne przypuszczenia? W piśmie Komendy Głównej AK do Komendy Okręgu „Rolnik”, omawiającym zdradę „Motora”, zamieszczono fragment jego zeznań:

...że do współpracy w Go [gestapo – przyp. C.Ch] został zaangażowany do pracy przez niejakiego Kesslera (Treuhändera fabryki obuwniczej w Radomiu, zameldowanego i zamieszkałego w Warszawie przy ul. Krochmalnej nr 51, posiadającego ponadto mieszkania: jedno gdzieś pod Warszawą, a drugie w Radomiu).

Na czym opierał swe twierdzenie kontrwywiad Komendy Głównej AK, łącząc początki współpracy „Motora” z gestapo z osobą Kesslera? Przede wszystkim na zeznaniach samego „Motora”.

W rok później, po aresztowaniu go przez „Nurta”, „Motor” zeznał, że Kesslera poznał przez Przysieckiego jeszcze w „Wachlarzu” (z pisma KG AK, skierowanego do Okręgu Kielce po ujęciu „Motora”). Nasuwa się pytanie, kiedy to miało miejsce, gdyż – jak wiemy – działalność „Wachlarza” właściwie skończyła się na akcji pińskiej.

Sprawę tę wyjaśnia meldunek „Nurta” z dnia 28 stycznia 1944 roku, z którego dowiadujemy się o treści zeznań „Motora”:

O współpracy myślał już wcześniej [niż przed sierpniem, odkąd według słów „Motora” datowała się konfidencka służba – przyp. C.Ch.] będąc pod wpływem niejakiego Kesslera... agenta gestapo oraz Romela... z pierwszym zapoznał się w lutym 1943 r. w Warszawie za pośrednictwem kolegi swego...

Przedstawiony fragment z meldunku „Nurta” jest w wyraźnej sprzeczności z zeznaniami Kesslera przytoczonymi uprzednio. Wynika z nich, że „Motor” poznał na jesieni 1942 roku i ten wtedy właśnie wciągnął Kesslera do „Wachlarza”. Kessler wykorzystując fakt, że przesłuchujący go w 1951 roku oficerowie śledczy nie dysponowali ujawnionymi dopiero później materiałami z archiwum AK, podawał im różne wersje i daty wydarzeń, m.in. dotyczące poznania „Motora”. Wśród zeznań znalazło się i takie, z którego wynika, że spotkanie z „Motorem” nastąpiło po rozbiciu więzienia w Pińsku:

Z kolei przez nich poznałem osobnika, którego przedstawiono mi jako Jurka. W trakcie prowadzonych z nim rozmów dowiedziałem się, że „Marian” przyjechał niedawno z Pińska i jest szefem bazy organizacji konspiracyjnej „Wachlarz”. [...] Tenże Marian Przysiecki wyrażał się z wielkim uznaniem o Jurku jako o bohaterze organizacji – jakiej, nie mówił – który dokonał napadu na więzienie w Pińsku i oswobodził szereg działaczy organizacji „Wachlarz”, a między innymi i jego, tj. Przysieckiego⁸⁷.

⁸⁷ Zeznanie z dn. 11 IX 1951 r.

Wartość tego zeznania jest wątpliwa, gdyż jest ono niezgodne z poprzednim, z którego wynika, że „Motor” poznał równocześnie lub zaraz po Przysieckim (lato lub jesień 1942) oraz podaje rzecz absolutnie zmyśloną, jakoby wśród odbitych z więzienia miał się znajdować Przysiecki.

Którąkolwiek z wersji podanych przez Kesslera weźmiemy pod uwagę, nie ulega wątpliwości, że zgodnie z zeznaniami „Motora” w lutym 1943 roku obaj mężczyźni znali się już jako członkowie organizacji „Wachlarz”.

Prawdopodobnie też od pierwszych dni marca obaj już stali się podkomendnymi Paula Fuchsa i istnieją poważne poszlaki przede wszystkim w postaci zeznań samego „Motora” – że do współpracy tej skłonił go Józef Kessler.

Ten zaś nigdy do tego się nie przyzna, ale nie ma się czemu dziwić. Gdy zeznaje przed oficerami śledczymi, gdy za własne winy grozi mu najwyższy wymiar kary – nie chce brać na swe konto trzystu ofiar „Motora”. Jest jednak faktem, że od marca 1943 roku zaczęły się dziać w bezpośrednim otoczeniu „Motora” rzeczy tragiczne.

„MSZ” odchodzi pierwszy

Po przeżytych wstrząsach, spowodowanym aresztowaniem matki, „Motor” wrócił wkrótce do równowagi i na przełomie lutego i marca z jeszcze większą niż dotąd aktywnością włączył się w nurt konspiracyjnego życia.

Dawny szef bazy transportowej III Odcinka „Wachlarza” w Brześciu został chętnie przyjęty do służby samochodowej centrali organizacji i stał się codziennym gościem garaży przy ul. Kazimierzowskiej 70. Podporządkowany „MSZ-towi”, wraz z nim i „Monterem” stanowił dobrany zespół szofersko-transportowy. Będąc zaś bliskim sąsiadem „Montera”, odwiedzał go dosyć często w jego mieszkaniu przy ul. św. Wincentego.

4 marca, w czasie wizyty u „Montera”, spotkał się tam „Motor” z „MSZ-tem”, który przyszedł, aby pożyczyć oficerskie buty i bryczesy potrzebne na wyjazd w sprawach konspiracyjnych. Powiedział przy tym, że jedzie do Kielc w celu zakupu broni.

W tydzień później do warszawskiej siatki konspiracyjnej nadeszła wiadomość o aresztowaniu „MSZ-ta”. Hackiewicz – żołnierz, którego aktywność dosłownie rozsądzała – znany był z tego, że poza działalnością w organizacji prowadził walkę z Niemcami również na swój rachunek. Wielokrotnie po przyjeździe fordem z kolejnej tury przesiadał się do osobowego opla i ruszał na „prywatne” polowanie. Przeważnie upatrywał pojedynczych Niemców na peryferiach miasta, a znając doskonale język okupantów zapraszał ich do wozu, by podwieźć do śródmieścia, gdyż okolica jest niepewna. W samochodzie likwidował pasażera i – jak mówił – „spławiał Wisłą do Gdańska”. Jeden z zastrzelonych w ten sposób oficerów SS miał w kieszeni klucz do mieszkania i wizytówkę z adresem. „MSZ” udał się tam i przeglądając papiery natrafił na upoważnienie do odbioru z koszar SS w Kielcach dwóch erkaemów. Nie chcąc jechać sam, zaproponował wspólne działanie kilku ludziom, między innymi „Monterowi” i „Jędrasowi”, ale ci, ze względu na inne zadania – odmówili.

Wyjazd do Kielc nastąpił w piątek, 5 marca, o godz. 20.30. Jechali we dwójkę – „MSZ” w oplu, zaś dość przygodnie zwerbowany podchorąży z jednego z kursów dywersyjnych – w półciężarówce. Obaj występowali w mundurach niemieckich – „MSZ” w oficerskim, jego towarzysz w podoficerskim. Przed wyjazdem – posługując się swym „magicznym” pudełkiem zawierającym blankiety i pieczętki – Hackiewicz wystawił sobie odpowiednie dokumenty, a jego żona, jak zwykle przed każdą akcją, wsunęła w schowek w obcasie butów pożyczonych od „Montera” ampułkę z cyjankali. Na tylnym siedzeniu wozu leżał przykryty kocem sten.

W sobotę 8 marca stawili się w magazynach (lub koszarach) SS, mieszczących się na stadionie w Kielcach, tu jednak broni nie wydano im ze względu na jakieś drobne niedokładności posiadanego pełnomocnictwa⁸⁸. Obiecując je uzupełnić wsiedli do wozów i odjechali.

⁸⁸ Asygnata była przeterminowana o jeden dzień i to był prawdopodobnie powód niezłatwienia sprawy.

W tym samym czasie miała miejsce akcja oddziałów AK na magazyny żywnościowe, w wyniku której zabrano kilkaset kilogramów masła i innych wiktuałów. Na skutek tego Niemcy przed dworcem kolejowym dokonywali skrupulatnej rewizji i kontroli pojazdów.

Zatrzymano również wóz „MSZ-ta”, sprawdzono papiery i przypadkowo zajrzano pod koc na tylnym siedzeniu, gdzie leżał sten. Było już za późno, by sięgnąć po pistolet, tym bardziej że kozuch utrudniał ruchy. Hackiewicza aresztowano. Lękał się zawsze dostania w ręce gestapo (wynikała stąd ciągła dbałość o posiadanie przy sobie trucizny), a tymczasem jedną z pierwszych rzeczy, którą mu zabrano, były buty, a w nich zbawcze cyjankali.

Cała ta operacja odbyła się na oczach konspiracyjnego towarzysza, prowadzącego drugi wóz. Tu kontrola nie ujawniła nic podejrzanego i żołnierz ocalał. Wrócił do Warszawy i starał się prywatnymi drogami powiadomić rodzinę „MSZ-ta”⁸⁹. Być może bał się używać siatki konspiracyjnej ze względu na prywatny charakter podjętej akcji⁹⁰.

⁸⁹ W kartotece „MSZ-ta” znalazłem adnotację: „nieszczery wobec przełożonych”. Zrozumiałe, co chcieli przez to wyrazić opiniodawcy. Mieli zapewne rację uważając, że „MSZ” nie wszystko mówił, nie o wszystkim uprzedzał, że rwący się do walki żołnierz, którego nieraz już ostudzały zakazy zwierzchników, najpierw działał, a potem meldował. Akcja pińska była dla niego w tej mierze nauką. W pierwszym, oficjalnym ustaleniu grupy uderzeniowej „MSZ-ta” nie wstawiono do jej składu i dopiero prywatne dotarcie do „Ponurego” spowodowało, że wzięto go pod uwagę. Tak chyba było i z wyjazdem po broń do Kielc, bo „MSZ”, sam uzbrojony przez organizację, nie potrzebował zapewne na własny użytek dwóch erkaemów. Obawiał się raczej, że dowódcy, dowiedziawszy się o tej ryzykownej eskapadzie, nie wyrażą zgody na jej wykonanie i dlatego, chcąc zdobyć broń dla podziemia, podjął to działanie na własną rękę.

Z poprzedniej relacji wiemy, że szukał towarzystwa w „Monterze” i „Jędrasie”, a gdy obowiązki żołnierskie na innych odcinkach uniemożliwiły im wzięcie udziału, podjął akcję sam, z przygodnym żołnierzem.

⁹⁰ Z udostępnionego autorowi w 1978 r. przez „Oskara” – mec. Bernarda Zakrzewskiego, byłego szefa kontrwywiadu KG AK, opracowania pt. „Sprawa mjra Schiefersa” wynika, że sprawa Hackiewicza mogła mieć także inny przebieg. Wiosną 1942 r. do kontrwywiadu AK dotarł człowiek podający się za majora Werhmachtu, dezertera z Głównej Kwatery Führera, o nazwisku Schiefers, proponujący za cenę przerzutu do Anglii m.in. asygnaty na broń maszynową z niemieckich magazynów. Człowieka tego rozszyfrowano jako SS-Obersturmführera Fritza Jendrecky’ego z 4 dywizji SS z Drezna. Kontakt zerwano. Według twierdzeń „Oskara”, świadkiem pierwszej rozmowy i propozycji ze strony Niemca był Hackiewicz, który nie znając dalszego ciągu spraw, podjął kontakty z Schiefersem i pojechał z nim po odbiór broni do Kielc.

Rodzina, trawiona niepokojem, czekała na powrót „MSZ-ta” przez prawie tydzień. Wreszcie 12 marca, w dniu, w którym żona szykowała się do wyjazdu do Kielc, aby się czegoś dowiedzieć i podjąć starania o wydostanie z rąk żandarmerii czy gestapo aresztowanego być może męża, organizacja powiadomiła ją, iż „MSZ” wpadł.

W dwa dni później w restauracji „Kameleon” przy ul. Mokotowskiej, prowadzonej przez Wandę Hackiewiczową, zjawił się ostrzyżony, wymizerowany młody człowiek. Jeden rzut oka mówił, skąd wraca.

– Mąż pani jest już w Warszawie na Szucha. Jest całkowicie rozszyfrowany. Kazał to pani powiedzieć.

Od tego dnia Hackiewiczowa musiała się ukrywać. Naloty gestapo na dom i restaurację nie dały na szczęście rezultatów.

Rodzina rozpoczęła starania o uwolnienie aresztowanego. Szef „Wachlarza”, do którego zwrócono się o pomoc, odmówił jej, twierdząc, że wpadka nastąpiła skutkiem akcji podjętej na własną rękę.

Usiłowania wykupienia aresztowanego także spełzły na niczym. „MSZ-tem” interesował się osobiście dr Ludwik Hahn, szef policji bezpieczeństwa na dystrykt warszawski, oraz najwyższe czynniki warszawskiego gestapo. Sten, który wtedy był jeszcze rzadkością, a przede wszystkim pudełko z pieczętkami i blankietami, umożliwiające w sposób prawie idealny podrabianie legitymacji, zezwoleń, przepustek, esesmańskich bonów na benzynę – wszystko to było dla Niemców potwierdzeniem, że ujęli kogoś doskonale wprowadzonego w podziemie, kogoś, o kim – jak się okazało – wiedziano już wiele od dawna.

W tej sytuacji przekupiony gestapowiec musiał ograniczyć swoją pomoc do dostarczenia informacji o przebiegu śledztwa. Gestapo od początku wiedziało wszystko o aresztowanym. W tydzień po ujęciu Hackiewicz sygnalizował już o tym swej żonie przez przypadkowego, zwolnionego z więzienia człowieka, a potwierdzał to także przekupiony gestapowiec. Na teczce śledczej, na której początkowo figurowało konspiracyjne nazwisko „MSZ-ta” – „Zaleski”, dokonano odpowiednich skreśleń i zastąpiono prawdziwym. Skąd je znano?

W rok później, kiedy aresztowano jednego z przyjaciół „MSZ-ta”, przesłuchujący go dali dowód, że – pomimo iż w tym czasie przeszło przez ich ręce tysiące ludzi – doskonale pamiętają „polskiego bandytę”

ze staniem i pieczętkami.

Wreszcie 21 kwietnia urwały się informacje z Alei Szucha. Najprawdopodobniej „MSZ-ta” stracono na miejscu albo też wywieziono w tym celu z Warszawy.

Rola „Motora” w tej sprawie nie ograniczyła się tylko do tego, że będąc u „Montera”, gdy Hackiewicz pożyczał buty i bryczesy, dowiedział się przypadkowo o terminie, miejscu i celu wyjazdu i poinformował o nich gestapo. Była ona szersza i pełniejsza. Niezależnie od przekupionego gestapowca informatorem rodziny „MSZ-ta” o przebiegu śledztwa był również „Motor”. I co najważniejsze, jego informacje pokrywały się z wiadomościami dostarczonymi przez funkcjonariusza gestapo. Skąd je czerpał?

Na prośbę rodziny „Motor” udał się do Kielc, gdy tylko dowiedziano się, że „MSZ” wpadł w niemieckie ręce. O wynikach dokonanych przez niego spostrzeżeń mówi wyraźnie meldunek z dnia 18 marca 1943 roku, skierowany przez „Dęba”, szefa bazy samochodowej z „27” (kryptonim likwidującego się „Wachlarza”), do „Doktora”⁹¹ z opisem dla kontrwywiadu:

⁹¹ Używał również ps. „Inżynier”.

27
Dąb
Odpis do KW
Panie Inżynierze
Melduję, że powrócił „Motor” z Kielc, dokąd wyjechał w sprawie Szmitta⁹².

⁹² Inny pseudonim „MSZ-ta” (przyp. C. Ch.).

„Motor” dowiedział się w Kielcach od naocznych świadków z terenu koszar na Stadionie, że dn. 6.III.43 r. około godz. 10-tej rano zjechał samochód osobowy (prawdopodobnie Opel) na teren koszar. W samochodzie było dwóch oficerów niem. Po krótkiej rozmowie z Wachą i krótkim pobycie w kancelarii samochód wyjechał z powrotem z koszar. Nie wiadomo, czy broń otrzymali, czy nie.

Nie wiadomo, w jakim kierunku wyjechali.

Na trasie Kielce – Radom – Warszawa nie było żadnej katastrofy.

Konieczne się wydaje przytoczenie jeszcze jednego meldunku, sporządzonego przez „Motora” i „Montera” (zwanego tu „Montkiem”), z którego wynika, że „Motor” był dokładnie zorientowany we wszystkich szczegółach związanych z wyjazdem „MSZ-ta”

27
Dąb
Odpis do KW
Panie Inżynierze
Melduję, że dn. 5.III.43 r. o godz. 20.30 wyjechał Szmitt samowolnie samochodem Oplem RJU NR 2641. W tej sprawie zeznania „Motora” i „Montka”. Niżej podpisani zeznają:

Dn. 5.III.43 r. w godzinach rannych dostaliśmy rozkaz od Szmitta przygotowania Opla do drogi. Szmitt powiedział nam, że wyjeżdża sam służbowo. Przed samym wyjazdem powiedział nam, że zabił jednego SS (Weisberga) i weszli w posiadanie dokumentów uprawniających pobranie 2 szt. K.M. w Kielcach. Termin pobrania upłynął z dniem jego wyjazdu tj. 5.III.43 r. Wszyscy byliśmy przekonani, że Szmitt działa z rozkazu p. Dąbskiego, no i naturalnie z rozkazu p. Inżyniera. Przed wyjazdem Szmitt przebrał się w mundur SS i wyjechał mając po drodze tu w Warszawie zabrać kompana też w mundurze SS. Powrót miał nastąpić 6.III.43 r. w godz. przedpołudniowych. Ponadto nadmieniamy, że zabicie SS miało nastąpić z 3 na 4.III.43 r. Do tej pory Szmitt nie wrócił, tj. do dnia 18.III.43 r. Na tym zeznanie zakończamy i podpisujemy.

Motor Montek

Zeznanie p. Marii:

Maria zeznaje, że wypisując Fahrbefel wypisała kierunek Radom – Kielce zgodnie z życzeniem Szmitta, poza tym żadnej wiadomości nie miała, gdyż jej Szmitt nic nie powiedział prócz tego, że rano, tj. 6.III.43 r., będzie z powrotem.

Zeznanie Motora, Montka i Marii przesyłam

Dąb
18.III.43 r.

Nigdzie – ani w tych, ani w innych nie cytowanych dokumentach – nie można znaleźć informacji uzasadniających fakt posiadania przez „Motora”, człowieka przebywającego w Warszawie dopiero niespełna miesiąc, tak dokładnych wiadomości o przebiegu utajnionego przez gestapo śledztwa w sprawie „MSZ-ta”.

Siostry Snopkówny – tragiczna zagadka

Wyjaśnienie spraw związanych z dalszym rozwojem sytuacji w Warszawie wymaga cofnięcia się o dwa miesiące do pińskiego więzienia, kiedy to grupa „Ponurego” uwolniła znajdujących się tam członków „Wachlarza”. Jak pamiętamy, z powodu nieobecności klucznicy oddziału kobiecego nie udało się uwolnić „Mery” Snopkówny, aresztowanej w ramach represji za ucieczkę wraz z patrolem Przysieckiego jej młodszej siostry „Dziuni”. Przebywała więc nadal w więzieniu, gdy niespodziewanie zwolniono ją 7 lutego 1943 roku.

Tego samego dnia powróciła do Brześcia, gdzie w domu rodziców przebywała do 21 lutego, meldując się codziennie na gestapo. 25 lutego powiadomiła rodziców, że gestapo wezwało ją na powtórne śledztwo i w tym samym dniu zniknęła z Brześcia. Jak się później okazało, zniknięcie to miało ścisły związek ze sprawą pińską. Gestapo od dawna wiedziało, że nie tylko centrala dyspozycyjna, ale i ludzie rozbijający więzienie pochodzą z Warszawy, i w początkach marca skierowało z Brześcia i Pińska do Warszawy kilku wytrawnych agentów znających członków miejscowej konspiracji. W porę ostrzeżony „Wachlarz” zareagował natychmiast, polecając rozpracowanym przez pińskie gestapo, np. Przysieckiemu, usunięcie się z miasta. Por. „Marian”, jak się później okazało, nie potraktował tego ostrzeżenia poważnie.

Do połowy marca wszystko wskazywało, że nie ma powodów do alarmu lub że jest on co najmniej przedwczesny. Ale właśnie w połowie miesiąca niepokojące zjawiska zaczęły sypać się jak z rogu obfitości.

Pierwszym, który się na nie natknął, był Marian Przysiecki. Zupełnie przypadkowo zauważył na przystanku tramwajowym „Mery” wysiadającą z wagonu... „nur für Deutsche”. Śledził ją przez kilkaset metrów, a upewniwszy się, że dziewczyna nie jest obserwowana, a zatem nie jest wystawiona na przynętę, zaczął, wprowadził do bramy i tam – wobec tego, że Snopkówna się spieszyła – odbyła się krótka rozmowa, której przebieg odzwierciedla meldunek szefa „27” („Wachlarza”) do 21/C. 9 (kontrwywiad KG AK – komórka Sądownictwa i Likwidatury), opracowany na podstawie relacji por. „Mariana”:

„27”

Inżynier

23.III.43

21/C.9

1) Jest w Warszawie Mery Snopkówna, która siedziała w więzieniu w Pińsku. Były słuchy, że sypie w więzieniu, gdzie jakoby sypnęła Kiwalego⁹³ i inne rzeczy, o kt. [których – przyp. C.Ch.] wie Wania. (Wyratowany i jest tu – zbiorę wiadomości).

⁹³ Ppor. Aleksander Kiwalle – „Pleban” był w połowie 1942 r. szefem sztabu III Odcinka „Wachlarza” w Brześciu (przyp. C. Ch.).

2) Również w Warszawie jest jej siostra Dziunia Snopkówna, która kilka razy czynem dowiodła, że jest patriotką. Ale czy dziś nie wciągnięta?

3) Obie są bardzo bliskie Marianowi Przysieckiemu [...]

Tyle meldunek sygnalizujący pojawienie się „Mery” Snopkówny w Warszawie. Był to rezultat pierwszego, bardzo krótkiego spotkania z Przysieckim. Por. „Marian” nie miał zamiaru poprzestać na tych kilku rewelacyjnych informacjach z dwóch powodów: raz – że czuł się odpowiedzialny za poczynania swej byłej podkomendnej, dwa – pozostawienie „Mery” samej w Warszawie, w roli co najmniej dwuznaczej, mogło się skończyć tragicznie dla wielu ludzi z „Wachlarza”. Dlatego też w czasie pierwszego krótkiego spotkania uzgodniono termin następnego, i to bliski termin – jak wynika z kolejnych meldunków – bo już 20 marca 1943 roku.

Poza Przysieckim w Warszawie znajdowali się jeszcze inni znani Niemcom uczestnicy konspiracji zabużańskiej, jeden z nich, „Azor”, w dzień lub dwa później o mało nie wpadł w ręce przysłanego z

Pińska gestapowca. W archiwum ppłk Grocholskiego⁹⁴ znalazłem meldunek w tej sprawie, skierowany do szefa „Wachlarza”; autorem jego jest najprawdopodobniej ks. „Miś”, u którego w bazie przy ul. Waliców ukrywał się „Azor”.

⁹⁴ W dniu 1 III 1966 r. z udziałem autora odkryto w domu przy ul. Puławskiej 103 archiwum komendanta „Wachlarza” (vide reportaż w „Świecie”, nr 38 z 17 IX 1967, pt. „Temat” i „Przeglądzie Tygodniowym” nr 50/51 z 22-29 XII 85, „Tropienie «Wachlarza», oraz nr 1 z 5 I 86, „Kto zdradził?”).

Do pana Inżyniera

Azor melduje, że dn. 17 bm. na werandzie kina niemieckiego przy ul. Złotej o godz. 16 zobaczył Ettingera, który przyjeżdżał z Gestapo do więzienia w Pińsku 27, 28, 29 grudnia 1942 r. Na jego rozkaz Ukrainiec bił Az. W dniu 27 Ettinger proponował Az. współpracę z G-po w obecności Ukraińca. Kiedy Az. nic nie powiedział na tę propozycję, kazał zawołać Marię, poczęstował ją papierosem i pytał, czy Az. pracuje w organizacji (odpowiedziała, że nie wie), pytał o Walentego i Zabawkę, jak wyglądają, gdzie pracują, potem Az. wyprowadzono na korytarz i przez drzwi słyszał, że Marii proponowano to samo, co jemu – nie wie, czy się zgodziła. Po wyprowadzeniu jej wezwano go po raz drugi i oświadczone, że ona się zgodziła, żeby i on się zgodził, bo go rozstrzelają. Przez 2 dni go bito, chcąc go zmusić do zeznań i do współpracy. Plan – wyłowić ludzi w Brześciu i potem pojechać do Warszawy, aby złapać Doktora. Dn. 17 o godz. 16 znowu spotkał Az. Ettingera w towarzystwie oficera S.D. w tym samym miejscu wchodzącego do restauracji – nie widział go Ett. – zobaczył go dopiero, kiedy wychodził ze Skrzynki. Az. natychmiast wskoczył do tramwaju i po 3 przystankach (przy Koszykowej) przesiadł się w drugi tramwaj. Ett. wsiadł za nim do pierwszego tramwaju, ale w tłumie stracił go z oczu. Ett. ubrany był – płaszcz szary, kołnierz futrzany, kapelusz zielony, buty oficerskie niem., spodnie wojskowe szarozielone. Obserwowanie lokalu pierwszy zauważył Puma (Tadek Mały).

23.III.43 r.

Meldunek ten, przekazany natychmiast przez „Doktora” komórce kontrwywiadu KG AK, postawił na nogi cały aparat bezpieczeństwa konspiracji.

Już w cztery dni później – 27 marca – w kolejnym poleceniu skierowanym do pozostałych członków likwidującego się „Wachlarza” kontrwywiad zawiadamia, że od dwóch tygodni poza Ettingerem – byłym nauczycielem z Pomorza mówiącym świetnie po polsku – w Warszawie przebywa jeszcze czterech agentów gestapo i Sicherheitsdienst z Brześcia i Pińska, a mianowicie Pożybut-Wiśniowiecki⁹⁵, Kamiński, Nowak oraz leutnant o pseudonimie „Franz” – prawdopodobnie Hans Graf, szef tej czwórki, człowiek, który w Pińsku prowadził śledztwo przeciw aresztowanym „wachlarzowcom”.

⁹⁵ W kilka dni później zlikwidowany z wyroku konspiracji przez patrol „Parasola” dowodzony przez Tadeusza Wronowskiego.

Wcześniej, bo 20 marca, w restauracji przy ulicy Wspólnej odbyło się zapowiedziane spotkanie „Mery” z por. „Marianem”. Przysiecki przyszedł na nie w towarzystwie uzbrojonej osłony. Ostrożność ta, konieczna ze względu na niejasną sytuację, okazała się zbędna. Snopkówna stawiała się na spotkanie bez niemieckiej obstawy i zapewne przedstawiła swoją sytuację szczerze, co można wnioskować z meldunku przesłanego w trybie alarmowym przez „Inżyniera” do C-9, a sporządzonego na podstawie relacji por. „Mariana”

Przysiecki nie chciał jednak sam decydować o dalszych losach swojej byłej podkomendnej i, jak wynika z innych meldunków, tego samego dnia, chyba pod przymusem, zawiózł ją do mieszkania „Matora” na ul. Kamienną 10. Z zapewnień „Mery” wynikało, że choć wyraziła zgodę na współpracę z gestapo, nie ma zamiaru służyć Niemcom, a zrobiła to w celu odzyskania wolności, obecnie zaś oddaje ten kontakt do dyspozycji konspiracji.

Od tego dnia Snopkówna stała się właściwie więźniem na ul. Kamiennej, pilnowanym przez „Matora” i „Mariana”, z domu wychodziła jedynie na ustalone kontakty z gestapo, któremu dostarczała informacji spreparowanych przez obu oficerów. W tym czasie, za jej plecami, Przysiecki, ks. „Miś”, „Doktor” i kontrwywiad KG AK wymieniali gorączkową korespondencję. „Doktor”, starając się zachować w swym ręku choć resztki sztabu likwidującego się „Wachlarza” oraz wyczuwając niechęć dowództwa, nie chciał decydować sam, kontrwywiad Komendy Głównej zaś zalecał raczej izolowanie Snopkówny w którymś z lokali konspiracyjnych na prowincji.

„Doktor” jednak uważał, że przez „Mery” można będzie oficerów gestapo wciągnąć w zasadzkę, porwać i wymusić od nich wiadomości. Przygotował nawet szkicowy plan, którego oryginał zachował

się w archiwum.

W tym okresie do mieszkania przy ul. Kamiennej 10 przybyła druga – najprawdopodobniej również przymusowa – lokatorka: „Dziunia”. Spotkanie obu sióstr w Warszawie nastąpiło przypadkowo wcześniej, w końcu lutego 1942 roku, zaraz po przyjeździe „Mery” do Warszawy; szukając możliwości skontaktowania się z przebywającą tu od pół roku siostrą, poszła do swej ciotki, mieszkającej przy ul. Czerniakowskiej. Czy „Mery” powiadomiła siostrę o swoich zobowiązaniach wobec gestapo, nie udało się ustalić. W każdym razie „Wachlarz” postanowił zatrzymać i drugą Snopkównę.

Ostatni z tej serii meldunków, odnalezionych w archiwum ppłk Grocholskiego, noszący datę 1 kwietnia 1943 roku, zawiera istotne dla sprawy „Motora” zdania:

[...] Ponieważ Mery – MARLENA nie umie telefonować, MOTOR połączył ją z gestapo na Szucha Nr 80220 wewnętrzny Nr 325 [...]

MARIAN, który przedtem cały czas był z Motorem i Mery (spali razem), zniknął od 29.III. do dnia dzisiejszego 1.IV.43. Obecnie jest znów w kontakcie z MOTOREM [...]

Dziesięć miesięcy później por. „Nurt” w nocy po likwidacji „Motora” (z 28 na 29 stycznia 1944) pisał w meldunku do komendanta Okręgu:

Poza tym dostał kontakt na niejakiego Jerzego w Warszawie, tel. 80-220⁹⁶, adresu jego mieszkania nie zna. Jerzy oficer SD był jego łącznikiem z gestapo.

⁹⁶ W warunkach partyzantki „Nurt” nie mógł wiedzieć, że w książce telefonicznej m. Warszawy na rok 1942 (wg stanu na 1 VIII 1942 r.) „Amtliches Fernsprechbuch für den District Warschau” pod nr 80-220 figurują:
Komendantur d. Sicherheitspol. u SD fr. Distrikt Warschau str. d. Polizei 25

– Kriminal Polizei Siegesstr. 9a

– Kriminaldirektion Siegesstr. 9a.

Z poprzedniego zaś meldunku wynika, że 29 marca „Marian” zniknął na trzy dni, i to widocznie w okolicznościach dosyć tajemniczych, jeżeli zwróciła na to uwagę jego organizacja. Gdzie przebywał w tym czasie?

„Motor” zdobywa pełne zaufanie

Por. „Marian”, który na zmianę z „Motorem” już od tygodnia dyskretnie pilnował obu sióstr, ulokowanych w domu przy ul. Kamiennej 10, sam w zasadzie mieszkając u sióstr przy Świętokrzyskiej, 29 marca spotkał się z Wojnowskim na Marszałkowskiej. Szli w kierunku ul. Złotej. „Na stanowisku” pozostawili żonę „Motora” – Tamarę. Omawiali właśnie dalsze plany wykorzystywania kontraktu „Mery” z gestapo dla potrzeb konspiracji, gdy naraz „Motor” przypomniał sobie, że musi pilnie zatelefonować.

W pół godziny później w mieszkaniu Obryckich zadzwonił telefon.

– Tu Jurek. Marian przed chwilą zachorował na ulicy i odwieziono go do szpitala. Muszę się zaraz z panią widzieć w tej sprawie.

Obrycka wiedziała już, co się kryje za tą zaszyfrowaną wiadomością: brat – poszukiwany od pół roku przez różne formacje policji okupanta – wpadł. Nic więc dziwnego, że pełna niepokoju pobiegła do kawiarenki na Świętokrzyską, aby się dowiedzieć czegoś więcej.

– Wyszliśmy z za rogu Świętokrzyskiej – opowiadał „Motor” – gdy przypomniałem sobie, że mam załatwić jeden telefon. Wszedłem do owocarni, a gdy wychodziłem, widziałem, jak Mariana z wykręconymi rękami jacyś cywile wpychali do samochodu.

– Ale dlaczego właśnie jego?

– No, bo widocznie rzuca się w oczy. Ja chodzę w zwykłych buciorach, w cyklistówce, a on bryczesy, oficerki, na kilometr widać, że ktoś z podziemia. Tyle razy mu mówiłem.

– I co teraz robić?

– Porozumiałem się już, z kim trzeba. To nie był wóz gestapo, poznałem po numerach. To będzie kosztowało dziesięć tysięcy złotych. Jeśli je dostanę do jutra, dam pani oficerskie słowo honoru, że Marian za trzy dni będzie wolny. Proponuję nawet, aby go uroczyście powitać, może jakimś małym przyjęciem u Olszewskiego⁹⁷ na Brzeskiej. Tylko żeby na jutro było te dziesięć tysięcy, to już resztę załatwię.

⁹⁷ Nazwisko zmienione.

I choć zapewnienia „Motora” wydawały się nierealne, zdesperowana siostra „Mariana” uwierzyła w nie.

Porozumiała się natychmiast przez „Antoniego”-„Małego” z „Wachlarzem”, przedstawiła propozycję „Motora” i po kilku godzinach otrzymała zapewnienie, że organizacja pieniądze te zwróci i że to tylko kwestia paru dni.

Na drugi dzień o oznaczonej godzinie doręczyła „Motorowi” paczuszkę z dziesięcioma tysiącami złotych. Żegnając się z Obrycką przypomniał jeszcze:

– A więc za dwa dni o piętnastej na Brzeskiej.

Knajpka Olszewskiego na Pradze była punktem kontaktowym kilku ludzi z organizacji.

Wielkim minusem tego lokalu był fakt, że Olszewski był kolegą Kesslera. Jak stwierdził w rozmowie z autorem, nie wiedział o współpracy Kesslera z gestapo, jest jednak absolutnie pewne, że jego lokal stał się narzędziem w planach agenta.

O przyjaźni łączącej obu mężczyzn Kessler wspomina w swym zeznaniu z 11 września 1951 roku.

Po kilku tygodniach przyjechałem powtórnie do Warszawy, zaszedłem do restauracji kolegi swego Olszewskiego⁹⁸ i tam zastałem towarzystwo przy wódce z Marianem Przysieckim i Jurkiem na czele.

⁹⁸ W oryginale zeznań podano prawdziwe nazwisko (przyp. C.Ch.).

Z innych zeznań wynika, że Olszewski założył swoją knajpkę przy pomocy finansowej Kesslera, czemu

Olszewski zaprzecza, a ja nie znalazłem na to innego potwierdzenia. Niemniej, bez wiedzy właściciela, lokal był inwigilowany przez gestapo.

I tu właśnie o godzinie piętnastej, w trzy dni po aresztowaniu „Mariana”, zniecierpliwione towarzystwo, składające się z bliskich mu ludzi, oczekiwało, czy fantastyczna akcja „Matora” okaże się bluffem, czy rzeczywistością.

Punktualnie o oznaczonej godzinie pod restaurację zajęła ryksza i wysiedli z niej „Marian” i „Motor”.

Powitanie było entuzjastyczne. „Marian” obejmowany ze wszystkich stron nie mógł jednak odpowiadać na uściski, gdyż... musiał podtrzymywać opadające spodnie. Przy zwolnieniu z aresztu nie oddano mu paska.

„Motor” stał przy drzwiach, jakby zażenowany mnogością wyrazów wdzięczności. Ten czyn zapewnił mu w oczach zebranych jeszcze większe uznanie.

Po przyjęciu, kiedy byli już w mieszkaniu Obryckich, „Marian” mógł wreszcie opowiedzieć, jaki przebieg miało zdarzenie sprzed trzech dni oraz co się działo w tym czasie.

Rzeczywiście, w kilka chwil po spotkaniu na ulicy z „Marianem” „Motor” przeprosił go na moment i wszedł do przygodnej cukierenki, aby zatelefonować. Po jakimś czasie do przechadzającego się „Mariana” podjechało bezszelestnie auto i nim się zorientował, kilku mężczyzn rzuciło się na niego, wykręciło mu ręce i wciągnęło do wozu. Samochód ruszył bardzo szybko i popędził przez Nowy Świat ku Alejom Ujazdowskim. Ta droga prowadziła ku jednemu celowi – do siedziby gestapo w Alei Szucha. W samochodzie panowała absolutna cisza, a trzymający go mężczyźni nie zwalniali uchwytu.

Niespodziewanie tuż przed Placem Na Rozdrożu samochód skręcił w podjazd dyrekcji Kripo – Policji Kryminalnej”.

„Mariana” wywleczono z samochodu, w kancelarii bez jednego słowa zrewidowano, zabrano wszystkie papiery, pasek, sznurowadła i zamknięto w celi. Tam, bez żadnego badania, przesiedział trzy doby. Jedynie kilkanaście razy wchodził do celi coraz to inny oficer policji i zadawał jedno pytanie:

– Czy pan nazywa się Ryszard Nowiński?

A gdy „Marian” potwierdzał, gdyż na takie nazwisko miał wystawione lewe papiery, starali się jakby zapamiętać jego twarz i bez słowa wychodzili.

Trzeciego dnia, zaraz po więziennym obiedzie, strażnik otworzył drzwi celi i poprowadził Przysieckiego do kancelarii. Tam oficer śledczy wydał mu wszystkie zarekwirowane uprzednio przedmioty i dokumenty i poprowadził ku wyjściu. Eskortując więźnia, doprowadził go do bramy, otworzył ją i kazał „Marianowi” wyjść na ulicę. Ten nie wiedząc, o co chodzi, zatrzymał się, ale zaraz został wypchnięty, a bramę za nim zamknięto⁹⁹.

⁹⁹ Mieszczącej się w gmachu obecnego Ministerstwa Sprawiedliwości.

Oszołomiony „Marian” stał przez chwilę na ulicy, nie wiedząc, co się kryje za tym nagłym zwolnieniem. Rozejrzał się dokoła, czy gdzieś nie widać szpiclów, ale nikt z mijających go ludzi nie rzucał się w oczy.

I wtedy po drugiej stronie zobaczył w rykszy „Matora”. Jurek śmiał się do niego i kiwał ręką.

„Nie opuścili mnie jednak, organizacja pomogła, gdy zaszła potrzeba” – myślał uszczęśliwiony „Marian”, gdy „Motor” sadowił go na siedzeniu. A gdy usłyszał jeszcze, że „Motor” polecił rykszarzowi: – Na Brzeską... – był już pewien, że to nie sen.

– A widzisz – zakończył swoją opowieść „Marian” od Obryckiej – tak mnie przestrzegałaś przed Jurkiem, a gdyby nie on, już byłoby po mnie. Mówię ci, gdyby mi się kiedyś coś przytrafiło, tylko Jurka zawiadam. On spod ziemi człowieka dobędzie.

Entuzjastyczną opinię o „Motorze” wyrażało teraz prawie całe środowisko, w którym obracali się obaj

przyjaciele. Bohater z uderzenia na więzienie pińskie (on to zastrzelił strażnika, gdy ten stawiał opór) potrafił sobie tylko znanym sposobem wyrwać przyjaciela z rąk niemieckiej policji.

Jedynie siostra „Mariana”, Obrycka, nie została przekonana o nadzwyczajnych kontaktach „Motora” i zażądała od „Antoniego”-„Małego” wręczającego jej pieniądze złożone na wykupienie brata, aby zwrócono uwagę na ich dom i wzięto pod obserwację osoby przewijające się tu, a przede wszystkim – roztoczono opiekę nad „Motorem”.

Nie na wiele się to jednak zdało. Przez kilka dni dom przy ul. Świętokrzyskiej 12 był obserwowany przez patrole Kedywu, ale po pewnym czasie patrole wycofano uważając, że to fałszywy alarm.

Nie ulega chyba wątpliwości, że cała sprawa z aresztowaniem i zwolnieniem „Mariana” była od początku do końca wyreżyserowana przez „Motora”. Jaki był cel tego triku? Chyba potrójny, pierwszy – aby odwrócić od siebie podejrzania w sprawach, które miały nastąpić, drugi – aby efektownym wyczynem zaskarbić sobie całkowite zaufanie środowiska (stąd to życzenie powitania w licznym gronie na Brzeskiej) i wreszcie trzeci – podreperowania własnych zasobów finansowych.

Niestety kalkulacje „Motora” – tak przecież prymitywne w założeniu – spełniły się w całej rozciągłości.

Tragiczna msza u Św. Floriana

W tym czasie żona aresztowanego Wilhelma Kowalskiego nie przerywała starań o uwolnienie męża. Pisała podania, petycje, starała się dotrzeć wszelkimi sposobami do gestapo. Na przełomie marca i kwietnia, w wyniku któregoś już z kolei swego wystąpienia, otrzymała z gestapo wezwanie do osobistego stawienia się na Szucha. Wobec tego, że p. Helena znała język niemiecki bardzo słabo, udała się tam w towarzystwie inż. Obryckiego. W gestapo oświadczonej kobiecie, że mąż zostanie lada dzień zwolniony. Helena Kowalska nie zdawała sobie sprawy, że gestapo straszliwie z niej zadrwiło, gdyż mąż jej, Wilhelm, został rozstrzelany w grupie czterdziestu skazańców z Pawiaka pół roku wcześniej, 15 października 1942 roku, w Laskach na skraju Puszczy Kampinoskiej¹⁰⁰.

¹⁰⁰ Vide Regina Domańska *Pawiak – więzienie gestapo. Kronika 1939 – 1944*; Warszawa 1978, s. 261.

Helena Kowalska była osobą religijną, dlatego jej pierwszą myślą było (ale czy na pewno jej?) uczcić zakończenie sprawy mszą świętą, mszą dziękczynną, odprawioną w dniu zbliżających się imienin męża – 7 kwietnia. Mszę zamówiono w kościele Św. Floriana, o czym zawiadomiono kolegów i znajomych Wilhelma oraz rodzinę. Tymczasem trzy dni przed tą datą Helena Kowalska otrzymała zawiadomienie o śmierci męża. Z dziękczynnej – msza stała się żałobną.

Mimo ostrzeżeń, jakich nie szczędzili „Marianowi” siostra i szwagier, uparł się – wierząc pewnie w swoją szczęśliwą gwiazdę – że weźmie udział w nabożeństwie. Nie pomogło nawet przypominanie, że komendant „Wachlarza”, „Doktor”, wydał rozkaz, aby uczestnicy akcji pińskiej usunęli się z Warszawy, gdyż przysłano tu z Pińska specjalnych agentów, którzy ich znali i kto wie, czy nie będą w kościele.

Gdy Obrycka weszła przed dziesiątą do pustego jeszcze kościoła, uwagę jej zwróciło kilku siedzących w ławkach cywilów.

Jak to dobrze, że jednak nie ma „Mariana”. Może zrozumiał i nie przyjdzie? – myślała obserwując wchodzących.

Radość jej trwała jednak krótko. Tuż po rozpoczęciu mszy w drzwiach kościoła dostrzegła brata. Prócz niego była tu cała rodzina Kowalskich, Kessler z żoną, Olszewski z żoną i wielu oficerów „Wachlarza”.

Tuż przed końcem mszy Obrycka wraz ze swoją znajomą oraz Wandą Kowalską skierowały się ku wyjściu. Otwarte było tylko jedno – boczne. Wyszły na zewnątrz i zmartwiały...

Cały plac przykościelny otoczony był szczelnym kordonem żandarmerii. Niedaleko stały wielkie, czarne budy.

Żebraczki przy drzwiach wyciągając ręce po datki i wyśpiewując swe modlitwy szeptały:

– Nie wychodzić!

– Łapanka!

– Przeczekajcie w kościele.

Niewiasty cofnęły się do wewnątrz, ksiądz właśnie odchodził do zakrystii i w kościele wszczął się ruch. Wszyscy zaczęli kierować się ku wyjściu. W tej sytuacji Obrycka zwróciła się do najbliższych stojących:

– Proszę państwa, jesteśmy otoczeni przez żandarmerię. Trzeba zachować spokój i starać się jak najdłużej nie wychodzić.

Zapanowała konsternacja. Zaczęto szukać jakiejś możliwości wydostania się z kościoła, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Gubiono się w domysłach, o kogo Niemcom chodzi, może to jakaś pomyłka – tylko „Marian” i jego najbliżsi nie mieli wątpliwości. Chciano go schować pod katafalkiem, w trumnie, na wieży lub w zakrystii przebrać za księdza, odrzucił jednak te propozycje. Wręczając siostrze zegarek i

pieniądze, powiedział:

– Weź to. Mnie już nie będą potrzebne. A teraz dajcie mi trochę spokoju.

Poszedł ku wielkiemu ołtarzowi i ukląkł.

Towarzysze jego cały czas szukali jakiegoś wyjścia z matni. Ktoś otworzył drzwi do zakrystii, ale szybko cofnął się, stali tam już gestapowcy.

Po chwili wyszedł ksiądz, był blady, głos mu drżał, gdy mówił:

– Proszę bardzo o opuszczenie kościoła. To już i tak nic nie da. Jest jedno wyjście otwarte, to boczne.

Nikt jednak nie posłuchał apelu. Wszyscy tkwili w środku milczący, przerażeni. Po kilku minutach przez boczne drzwi wszedł do kościoła długi szpaler granatowych policjantów z karabinami, za nimi zaś żandarmi w hełmach. Otoczyli grupkę ludzi, wypychając ją ku wyjściu.

Przed kościołem gestapowiec z dystynkcjami wyższego oficera¹⁰¹ polecił oddzielić kobiety od mężczyzn. Żandarmi za pomocą kolb zrobili to bardzo sprawnie. Oficer wskazał ręką Obrycką, jej przyjaciółkę i Wandę Kowalską i polecił usunąć je poza ogrodzenie. Popędzane przez żandarmów wyszły nie wiedząc, czemu zawdzięczają to uwolnienie.

¹⁰¹ Prawdopodobnie Braun lub Brand, zastrzelony niedługo potem przez grupę likwidacyjną AK.

Oficer zaś zwrócił się uspokajająco do aresztowanych:

– Doniesiono nam, że na mszy znajduje się wielki polski bandyta. Jeśli go znajdziemy, pozostałych wypuścimy.

Specjalne ekipy gestapo i żandarmi przeszukiwali tymczasem kościół, wchodząc na wieżę, przeglądając lochy. Na dworze zaś, w zacinającym deszczu, pod murem, kilkadziesiąt osób stało z rękami wzniesionymi do góry. Wreszcie po prawie dwóch godzinach załadowano ich na samochody, które skierowały się ku Alei Szucha.

Ledwo Obrycka dotarła do domu, zjawił się „Motor”. Pocieszał jak mógł, zrozpaczoną, niespokojną o los brata i męża kobietę. Przy okazji wytykał nieostrożność „Mariana”:

– Też mu się zachciało iść do kościoła, wiedział, że jest tak zagrożony. Odradzałem mu to.

– Ale dlaczego pan, taki przyjaciel rodziny Kowalskich, nie był na mszy?

– Bo ja w ogóle nie chodzę do kościoła. Pójdę już, dowiem się, gdzie są, może się da coś zrobić.



BIULETYN

informacyjny

Rok V

Warszawa, 18 lutego 1943 r.

Nr. 7 (162)

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

Nr. 84. Dnia 8 lutego 1943 r.

W okresie nasilenia bezpośrednich akcji Sił Zbrojnych w Kraju przeciwko okupantowi, wykonano również kilka śmiałych, udanych napadów, celem odbicia naszych żołnierzy z rąk niemieckich.

Miały one miejsce w szeregu punktów Kraju i sprowadzały się przeważnie do napadów na więzienia lub konwoje niemieckie prowadzące aresztowanych.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje ostatnia podobna akcja zbrojna. Z wnętrza Kraju wyruszył na dalekie Kresy oddział złożony z żołnierzy i ochotników, pokonał olbrzymie trudności techniczne, w brawurowym wypadzie opanował więzienie, kładąc trupem kilku Niemców i odbił kilku więzionych tam naszych żołnierzy oraz wypuścił na wolność kilkudziesięciu więźniów politycznych, sam nie ponosząc strat ani w ludziach ani w uzbrojeniu. Akcja udała się dzięki odpowiedzialnemu precyzyjnemu przygotowaniu oraz odwadze wszystkich uczestników, przy całkowitem zachowaniu zimnej krwi i przytomności umysłu podczas i po napadzie.

Powyższa akcja stanowi piękny przykład czynu zbrojnego Sił Zbrojnych w Kraju, w ramach toczzonej obecnie przez nas walki konspiracyjnej. Obok liczących tynych udanych działań bojowych świadczy o mocy ducha, odwadze oraz sprawności dowódczej i bojowej naszych szeregów.

Uczestników tej akcji zbrojnej wyróżniłem — m i a n u j ą c, dwóch podporucznikami czasu wojny, n a d a j ą c dwum Krzyż Wirtuti Militari V klasy, szeregowi najdzielniejszych — Krzyże Walecznych, reszole — udzielając pochwały.

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

(—) G r o t

ZAGRANICA

DZIAŁANIA WOJENNE

Katastrofa frontu południowego. Odwrót niemiecki na całym południowym froncie w So-

wietach nie tylko nie ulega zahamowaniu lecz wykazuje objawy wzrastającej niezdolności opanowania położenia. Wtedy gdy na północy, poczynając od Leningradu a kończąc na Orle, wojska sowieckie w szeregu ciężkich lokalnych akcji wiążą siły niemieckie i nie dają tym sposobem możliwości przerczucenia posiłków na południe — równocześnie



Katowice 20
Zbrojnych 6
K.P. 3.0
3.11.1943r.

Organizacja i Praca w K.P. 3.0

- 1/300 wachlarz Kwa. - uczył w szkole zbrojnej. K.K. (T)
- 2/301 uczestnik akcji w celu uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 3/302 wachlarz Jank. - uczestnik akcji w celu uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 4/303 wachlarz Wrona. K.W. - w czasie akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 5/304 wachlarz Mauter. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 6/305 wachlarz Jurek. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 7/306 wachlarz Łobez. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 8/307 wachlarz Kwiato. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 9/308 wachlarz Bruck. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)
- 10/309 wachlarz Jolima. - uczestnik akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy. K.K. (T)

10/310 wachlarz 68

51

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

11/311 wachlarz 30

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

12/312 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

13/313 wachlarz 30

~~uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.~~

14/314 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

15/315 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

16/316 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

Katowice 20
Zbrojnych 6
K.P. 3.0
3.11.1943r.

Organizacja i Praca w K.P. 3.0

17/317 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

18/318 wachlarz 30

(T)

uczestnik w akcji uwolnienia więźniów w K. - w czasie pracy.

59-60a. Uzasadnienie nadania Krzyży Walecznych i Krzyży Orderu Virtuti Militari, akceptowane osobiście przez gen. „Grota” (litera T od ps. „Tur”)



Dwadzieścia pięć minut

Zapóła, wczesny mrok styczniowy. Kącik w pełni dzwiga się powoli nad ulicę zasypane śniegiem, leżące się w 30 stopniowym mrozie. Zwodniczy półcien podał od parkaru, okalającego wjeżdżenie.

O tej porze kołczy się jeszcze jeden z różnca — posępny dźwięk wjeżdżenia. Strażnik wyjął z kolan huc kolacyjną, nastąpi apel, zmiana warty — i po beznaślownym dniu — beznaślowna noc. Beznaślowna noc? Dla trzech więźniów siedzących osobno w celiach — nie! Wszyscy trzej szatowani w lindezwie już wjeżdża, że nachodziła rusznice. Nie wiedzą jeszcze jak i kiedy, ale już są pewni, że idą ku wolności.

Czyż można wierzyć? — Wszak w mieście moim garnizon i wędry się po ulicach i tylnicy żołnierzy i milicjanów, 200 zmotywowanych żandarmów pilnuje szlabów, koryt i przejazdów. Wjeżdżenie otoczono jest dwoma parkanami 3 i 3 metrów wysokości, pilnowane przez zlikwidowanego strażników, przez posterunek na wieżach obserwacyjnych, oświetlone na noc latarniami. O 100 m. koczono o 400 m. posterunek żandarmów. Czyż można wierzyć?

Wszystko zdaje się mówić przeciw nadziei.

A tymczasem oddech jest już blisko... Grupa śmielców przedarła się do latosteczki X z dalekich stron, zdobyła samopęd, lat... wrzela do niewoli czelwiska, który właśnie wiedział o tym wjeżdżeniu i w strachu e życie udrzelił wyjawnie.

Dobrym godzina 5-9, zmrok gęstnieje. 100 w najdalszym sanku ulicy pojawia się grupa kilku osób.

Czekają parę sekund i nagle pięć się zczytną na parkan. Śnieg gładzi odgłos szlabów na dziedzińcu zewnętrzny więźniów, na którym tylko budynek ad ministracyjny świeci oświetlonymi oknami.

O tej samej chwili przed bramę zewnętrznej więźniów najędza małe auto osobowe z podoficerem SS przy szotrze. Pokamie do bramy. Strażnik wygładza przez „Judasa”. Otwiera spółkownie brame. Auto wjeżdża na dziedzińcu. Zaledwie zamknięty się ciepłote wrota

— nowu pułankie, Strażnik odwraca się ku okienku; nie widzi, że z auta wysiada dwóch ludzi, którzy opierają mu o głowę. lufy pistoletów.

Przez uchyloną bramę wślizguje się jeszcze dwóch ludzi.

— Prowadź do wewnętrznej bramy — pada rozkaz — milcz, a będziesz żył... Przeważony strażnik rusza rozpaczywie spojrzemien na wieżę obserwacyjną gdzie czuwa posterunek. Tamten jednak niczego się nie domyśla i padać appo kołnie papierosa wygładza na ulicy; tam ze śpiewem przeciąga oddział wojska. Spiew zupełnie zagłusza krótki stuch trzask „Colta”; to padł strażnik przy bramie, stawiający opór. Dwa krótkie suchie wystrzały dochodzą z kancelarii więźniów; położono trupem stawających opór Niemców; komendanta wjeżdżenia i jego zastępcę.

Rzekomy podoficer SS z jednym towarzyszem idzie pod osobną parkanu wewnętrznej ku furcie wejściowej; z kancelarii więźniów wymyka się parę cieniów, biegnących do wieży obserwacyjnej, dominującej nad dziedzińcem. To grupka z owej bocznej uliczki. Wpadają po schodach na galerię. Nikogo tu nie ma. Posterunek stałe dopiero o 18-iej. Zrzucają wódki na dziedzińcu wewnętrzny duża lufę z wieżami. Jeden po drugim bez zameru spływają na tamną stronę. Wartownia przy furcie jest już unieszkodliwiona.

Otwiera się furta. Wpada przez nią kilku ludzi, z bronią w ręku. Do wartowni. Do kuchni. — Ręce do góry! Strażnicy nie mają płackiem na podłodze pod białym groźnych luf.

Jeszcze raz — podoficer SS rozkazuje otworzyć drzwi. Tym razem już ostatnie do gnauchu więźniów. I mów — trzeci z rzędu strażnik, postużnie spólnia rozkaz. Wydaje klucze od celi.

Cichy chrząst zamków.

— No, doczekaliście się chłopcy — Teraz z nogi... Z trzech cel wychodzą naspół rozbrzmienie więźniów Już wiedzą. Nareszcie usłyszą. Auto wjeżdża na dziedzińcu. Zaledwie zamknięty się ciepłote wrota.

Wyniesiono do auta, tego, który miał zlamana nogę. Wyprowadzono i tych dwóch, jak tamten — okatowanych.

Przy aucie leży siedmiu ludzi. Szeszcilo — odziewni zabity za sobą oporu.

W cieniu parkanu pojawia się grupa wychodzących z furty wewnętrznej. Przy bramie skupiają się. Auto wyjeżdża z cienia ulicy. Ledwo skreśliło — zbliża się z ulicy ciężarówka do której wsiadają cała grupa. Wyrota się za nimi tłumek kilkudziesięciu osób. Wypuszczeni z cel więźniowie Rosjanin, Ukraińcy Białorusini... Kolejno wypadają w noc i znikają. Czeka ich daleka droga. „Do lasu” —

— Jedną chwilą, brama zatrzasnęła o godzinie 10 rano.

61-62. Reportaż z przebiegu działań grupy por. „Ponurego” opublikowany w „Biuletynie Informacyjnym” nr 21 z 1943 r.

Wanda 311
reżysjer
A. J. B.
I. B. P.
1943

Na podstawie wspomnień i materiałów Republiki Polskiej, nadaje ob. inżynierowi Janowi Krzyżowi Virtuti Militari, V klasy, za bohaterką postawę wobec wroga i walkę o bronią w rękę.

Konwent 312 Zbrójczych w Kraju
1-1-43

5.11. 27 - inżynier W. 82
Tur zaprasza was w dn. 1.3 Om. na 8.16,
Czarkę na 8.16, 15 Ponurego na 8.16, 15
do pralni, moy wręczyć im odznaczenia.

63-64. nadanie Krzyża Virtuti Militari por. Janowi Piwnikowi. Dokument ten znajduje się w Kwaterze „Ponurego” we wsi Janowice w Górach Świętokrzyskich. Poniżej zaproszenie „Doktora” oraz „Ponurego” i „Czarki” na uroczystość wręczenia odznaczenia



35

gdzie przy normowie mi byłem obcym - normowiatem
bracia z zona Lucyuskiego w obujim pokoju na
tematy obelne. Goly - wóciłem do pokoju w którym
Pomyński normowiat z Lucyuskim prowadzono roz-
mowę o wykonaniu reszty por. Butoń z choleraimi
dla kolegi Mariana. Pomyński pozostał wówczas
w Radomiu przez okres kilkudziesięciu dni; był system
opisem w Lucyuskich na przyjęciu, które umówiło
się dla swoich własnych opaci. Na przyjęciu były
bywałem i ja. Na przyjęciu byli również Schwarc kpt.
komisarz policji Radomiu, Krausinski-inżyna mi
z nam - nadkomisarz policji w Radomiu; jeszcze jakiś
komisarz policji który pracował w wydziale AK - lecz
nie wiedział jego mi nazwiska. Pora tym bywałem tam
jeszcze przez miesiąc i kochat który akurat jeździł
nie pamiętam. Na przyjęciu były również na temat
politycznej mi prowadzono mówiono tylko o sytuacji
gospodarczej, o radzie w byczka i tamceno. Pomyński
w czasie swojej bytności na terenie Radomia spot-
kał w moim mieszkaniu - czym poinformowane było
przez mnie gestapo a scisle mówiąc Szymański.
Pomyński z Radomia miał pojchać do Pincrova
gdzie miał skontaktować się z jakimś solowiatem
leżącym prosit wie mnie aby pojchać z nim.
Pojechałismy więc razem koleją; w Pincrovie na
dworcu Pomyński ^{owokła} tłumowionego osobnika z którym
prowadził rozmowę na dworcu, a ja siedziałem
na boku na ławce. Następnie uśledzismy się w
dwójce z Pomyńskim pinnem do Michalowa do
Phelektowidy

65. Fotokopia powojennych zeznań Józefa Kesslera, w których potwierdził on fakt denuncjacji por. „Mariana” łącznikowi gestapo „Szymańskiemu”



Pinsk, den 7. Februar 1943

Entlassungsschein

Der Haeftling Snopsek Maria
geb. am 23 - V - 1920 in Brest
ist am 7 - 2 - 1943 um 7 Uhr aus dem Gefangenenhaus
 entlassen.

J. J. [Signature]

66. Zaświadczenie wydane Marii Snopkównej przy zwalnianiu jej z więzienia pińskiego w dniu 7 lutego 1943 r.

27
296 Janie Inżynierze 65 3
Melduję, że Mariana jest już na wolności. Wykupiony w 10 tysięcy przez [?] [?].
Wy pod poręczeniem handlarza [?].
5. II. 43r. *[Signature]*

67. Meldunek „Dęba”, szefa komórki transportowej „Wachlarza” do „Doktora” (tu pod ps. „Inżynier”) o wykupieniu por. „Mariana” za sumę 10 tys. złotych

27
296 Janie Inżynierze 7
Melduję, że dostaliśmy wiadomość (pochodzącą od [?]
w.s. [?]) o Szmitcie. Szmitk jest w Warszawie i [?]
na [?]. Jakoby w czasie jego parowania [?]
z Kiele doposażony przez [?], [?]
i [?]. Po [?]
crenii [?] [?] [?]
na [?]. (wiadomość niesprawdzona)
8 II. 43r. *[Signature]*

68. Meldunek „Dęba” do „Doktora” o przewiezieniu aresztowanego „MSZ-ta” do warszawskiego gestapo



Dęba
 Paniu Snopkównie
 Uchoduję iż Ukolarz przedstawił K.W.
 p. Mery i chce z nią wstawić rzecz
 keniękt, o czym obis ma samelować
 K.W. Na ostatnim spotkaniu Mery
 i Gestapo było o Mery i Gestapo
 w sprawie tego osimiu sygnujących
 Gestapowców. Haus Graf (dyktator
 sprawy Piuskiej) przekazał całą
 sprawę władzom warszawskim
 i wyjechał do Brescia.

5. 11. 43

Dęba

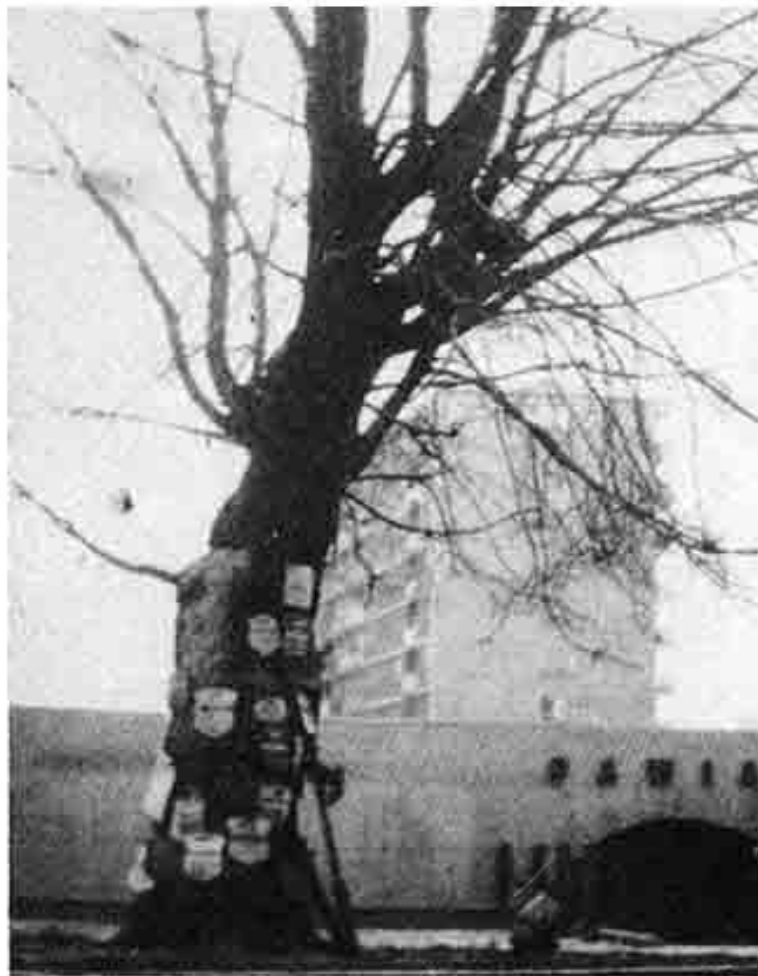
69. Meldunek „Dęba” do „Doktora” o zastrzeżeniach zgłaszanych przez „Motora” do kontrwywiadu AK odnośnie „Mery” — Marii Snopkówny

70. Grób sióstr Snopkównien na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie





71. Por. Marian Przysiecki, jak wielu żołnierzy „Wachlarza”, nie ma mogiły nawet symbolicznej. Tylko tablicę — wśród innych — na drzewie-pomniku przed wejściem do dawnego Pawiaka



72. 7 IV 1981 r. w 38. rocznicę tragicznej mszy, w kościele Św. Floriana w Warszawie na Pradze poświęcona została tablica ku czci Mariana Przysieckiego i innych aresztowanych w tej świątyni







73. W 25 rocznicę rozbicia więzienia pińskiego 18 I 1968 roku w klubie redakcji WTK w Warszawie zebrali się żołnierze Armii Krajowej, a wśród nich m.in. żyjący jeszcze wtedy uczestnicy tej akcji. Od lewej: Czesław Łowiński, rtm. „Tomek” — Józef Ostoja-Gajewski (+), Józef Piwnik (brat „Ponurego”), Cezary Chlebowski, kpt. „Kawa” — Michał Fijałka (+), ppłk „Wania” — dr Alfred Paczkowski (+), „Esesman” — Zygmunt Sulima, kpt. „Kra” — Wacław Kopisto (+), „Ryks” — Czesław Hołub, Melchior Wańkowicz (+), „Paku- nek” — Henryk Fedorowicz i płk dr Mieczysław Juchniewicz



Co się działo w tym czasie na Szucha? Aby się tego dowiedzieć, wystarczy sięgnąć do zeznań Kesslera z dnia 11 września 1951 roku:

Po upływie kilku dni, w czasie mojego pobytu w Warszawie, siostra moja Helena Kowalska¹⁰² oświadczyła mi o mającym się odbyć nabożeństwie za duszę jej męża Wilhelma, który zginął w czasie egzekucji przez Niemców. Na to nabożeństwo przyszedłem ja, siostra Helena, Wanda i Krystyna... [...] Olszewski z żoną, moja żona, Marian Przysiecki i inni. Po nabożeństwie kościół, w którym odbywała się msza żałobna, został otoczony przez gestapo. Gestapo wszystkich uczestników mszy zaaresztowało za wyjątkiem Olszewskiej, mojej żony i Wandy Kowalskiej¹⁰³, które wyszły wcześniej. Po przywiezieniu nas na Al. Szucha i zabrania dokumentów odprowadzono nas pod eskortą do cel. W tym czasie ja poprosiłem jednego z gestapowców, aby poprosił tłumacza, gdyż ja mam bardzo ważną sprawę. Po chwili tłumacz przyszedł i powiedziałem mu, że zatrzymany jestem przypadkowo na pogrzebie dodając, że znam pana Fuchsa i proszę, aby z nim natychmiast się porozumiał. Po upływie pół godziny wrócił i zaprowadził mnie do kancelarii, oddał mi wszystkie dokumenty oświadczając, że byłem w ładnym towarzystwie, gdyż są to sami bandyci. Powiedział również, że zostaje również zwolniona siostra Helena Kowalska z córką Krystyną. Za nami wyszli, jako zwolnieni, Józef Olszewski [...] i jeszcze ktoś z „Wachlarza”, którego nazwiska nie pamiętam. Powodów ich zwolnienia nie znam.

¹⁰² W protokole nazwisko nie zmienione (przyp. C.Ch.).

¹⁰³ W rzeczywistości dwie kobiety towarzyszące Wandzie Kowalskiej były inne. Patrz s. 144 (przyp. C.Ch.).

W nieco wcześniejszym zeznaniu z dnia 6 września 1951 roku podaje jeszcze dokładniej powód swojego zwolnienia:

Ja wraz z siostrą Heleną i Krystyną zostałem puszczone na polecenie Fuchsa.

W tym miejscu, najprawdopodobniej bez ich woli, w wypadki w kościele Św. Floriana zostały włączone siostry Snopkówny.

Ostatni meldunek w ich sprawie odnaleziony po wojnie w archiwum komendanta „Wachlarza” nosi datę 1 kwietnia 1943 roku, brak dalszych był na pewno objawem mniejszego zainteresowania tą sprawą, zepchnięciem jej na dalszy plan przez inne wydarzenia. Zbiega się ona bowiem z poważnymi zmianami organizacyjnymi w szeregach Armii Krajowej, likwidacją „Wachlarza”, przejmowaniem jego agend przez Kedyw. Nowo mianowany szef Kedywu, „Nil” – August Emil Fieldorf¹⁰⁴, polecił na odprawie 18 marca 1943 roku natychmiast przekazać pod swe rozkazy sztab komendanta „Wachlarza”, i to w takiej formie, która wskazywała na pełną niełaskę Komendy Głównej AK dla dotychczasowego dowódcy. Można więc powiedzieć, że sprawę Snopkówien ppłk Grocholski prowadził już niejako prywatnie, poślizgiem swej dotychczasowej funkcji, prowadził, dokąd mógł.

¹⁰⁴ August Emil Fieldorf – płk dypl., później gen; stracony po wojnie, następnie pośmiertnie zrehabilitowany.

Nowo pozyskany przez gestapo współpracownik, „Motor”, zdawał sobie sprawę z pewnego rozgardiaszu, który towarzyszył reorganizacji, a chcąc zaskarbić sobie zaufanie nowych mocodawców, pragnął jednak uczynić to tak, aby podejrzenia w żadnym wypadku nie padły na niego. W takiej sytuacji Snopkówny, o których, a przynajmniej o jednej z nich, konspiracja wiedziała, że wyraziły zgodę na współpracę z gestapo, mogły się bardzo przydać.

Aby rozniecić atmosferę podejrzeń wobec dziewcząt i przygotować sobie grunt pod przyszłe poczynania, zaczął w gronie konspiracyjnych kolegów rozpowszechniać preparowane wiadomości. On, który znał sprawę Snopkówien od początku, sam spisujący zeznanie „Mery”, w którym zapewniała, że gotowa swe kontakty z gestapo oddać na potrzeby konspiracji, a potem nadzorujący telefoniczne rozmowy „Mery” z gestapo, mówił między innymi do „Montera”:

– Coś mi się zdaje, że one są podejrzane, że zostały nasłane, aby mnie rozpracować.

Kiedy kontrwywiad konspiracyjny rozpoczął śledztwo w sprawie wyspy w kościele Św. Floriana, „Matora” nikt naturalnie nie podejrzewał, miał piękną kartę po Pińsku, poza tym po co miałyby oddawać w ręce Niemców przyjaciela, którego tydzień wcześniej z tych rąk wyratował.

Konspiracja usilnie szukała sprawcy.

W sposób jednostronny oparto się na materiałach dostarczonych przez... „Matora”. Wszystkowiedzący Józef Kessler uchylił już po wojnie rąbka tajemnicy, ukazując machinę intrygi. Oto fragment jego zeznań złożonych przed oficerem śledczym w dniu 6 września 1951 roku:

Na drugi dzień [„Motor” – przyp. C.Ch] przyszedł do mieszkania Kowalskich lub mieszkania, gdzie byłem ja, i powiedział, że o wypadku

aresztowania powiadomił dowództwo „Wachlarza”, które przeprowadza dochodzenie w tej sprawie. Po kilku dniach powiedział, że wywiad „Wachlarza” przeprowadził dochodzenie i ustalił, że o nabożeństwie doniosły dwie kobiety – wymieniając ich pseudonimy – które w tym czasie były umyślnie w gestapo. Dodaje, że omawiane kobiety były w „Wachlarzu”.

Zanim jednak „Motor” przyszedł „po kilku dniach” i powiedział m.in. Kesslerowi, iż denuncjatorkami były dwie kobiety, miało miejsce wydarzenie, o którym Kessler w swym zeznaniu nie wspomina. Mianowicie w dzień lub dwa po wydarzeniach w kościele Św. Floriana do siostry por. Przysieckiego dotarł gryps, w którym uwięziony na Pawiaku Przysiecki pisał, że mszę sypnęły Snopkówny¹⁰⁵. Osobą, którą dostarczyła ten gryps p. Obryckiej był... „Motor”.

¹⁰⁵ Inż. Narcyz Obrycki, jeden z aresztowanych w kościele, szwagier Przysieckiego, twierdzi, że taki gryps nigdy z Pawiaka nie wyszedł. Odwrotnie – gdy siedząc już na Pawiaku zastanawiali się z Przysieckim i Kojerem, doszli do wniosku, że sprawcą wsypy mógł być tylko „Motor”; gryps takiej treści miał wysłać Przysiecki przez izbę chorych.

Dziwne, że nie zwróciły niczyjej uwagi wprost fantastyczne kontakty „Motora”, który wykupił Przysieckiego z więzienia, dostarczał Hackiewiczowej informacji z przebiegu badania na Szucha jej aresztowanego męża, do którego to śledztwa miało dostęp wyłącznie kilku wyższych oficerów gestapo, teraz zaś, dosłownie na drugi dzień po aresztowaniu „Mariana”, dostarczył gryps z Pawiaka. Drugą sprawą nasuwającą poważne wątpliwości był fakt, że Obrycka w dostarczonym grypsie nie dopatrzyła się ani charakteru pisma brata, ani też właściwej mu budowy zdań, niemniej jednak gryps ten stał się koronnym dowodem przeciwko ciągle mieszkającym u „Motora” na Kamiennej siostron Snopkównom. Skazujący wyrok zapadł w dwa lub trzy dni po wsypie w kościele Św. Floriana, zadziwiająco szybko. Jego wykonania podjął się, jak można było przypuszczać, dotychczasowy samozwańczy śledczy i prokurator – „Motor”.

Wykonał go 10 kwietnia 1943 roku, w trzy dni po tragicznej mszy.

Tego właśnie dnia w południe zdenerwowany „Motor” wpadł do Edka „Montera” i nie wchodząc do pokoju rzucił od drzwi:

– Zastrzeliłem agentki. Teraz pryskam.

Pojechał na Świętokrzyską. Stamtąd, z kawiarni, zadzwonił do Obryckiej.

– Stał się rzecz straszna. Muszę z panią zaraz mówić. Proszę przyjść do kawiarni.

Po chwili pełna najgorszych przeczuć siostra por. „Mariana” siedziała w lokalu. „Motor” był roztrzęsiony. Gdy wyciągnął rękę do rozmówczyni, zobaczyła, że ma na niej ślady krwi.

– Zastrzeliłem je. Zastrzeliłem. Ale wcale nie jestem pewien, że to było słuszne. Taki jednak był rozkaz. To było straszne. Siedziały na kanapie. Strzeliłem do jednej, zasłoniła się ręką, dostała w szyję, widocznie w arterię, bo krew sikała fontanną. A potem już strzelałem i strzelałem.

W czasie gdy „Motor” odgrywał swoją komedię, przybyła na miejsce policja; liczni sąsiedzi byli świadkami tego, że podwójny mord został dokonany fachowo, dokładnie, a wieść pantoflowa niosła, że stało się to z błogosławieństwem konspiracyjnego sądu.

Osobą obstawiającą wtedy „Motora” był prawdopodobnie jeden z uczestników dywersyjnego patrolu Przysieckiego z „Wachlarzu” o pseudonimie „Kontroler II”, człowiek bardzo dzielny, który wraz z Przysieckim uciekł z aresztu w Pińsku, a idąc z „Motorem” na Kamienną był przeświadczony, że służy słusznej sprawie. W kilka miesięcy później został rozstrzelany przez Niemców w Brześciu.

„Motor” z żoną, po pospiesznym usunięciu się z mieszkania, przeniósł się do jednego z żołnierzy AK, pseudonim „Adaś”, gdzie mieszkali jeszcze ponad miesiąc, to jest do momentu wyjazdu do partyzantki w Góry Świętokrzyskie.

Zetknąłem się również z wersją, iż wyrok na Snopkównach wykonał nie „Motor”, ale „Kontroler II” i „Adaś”. Wersja ta nie znajduje jednak żadnego udokumentowania, o „Motorze” zaś jako wykonawcy wyroku mówi w swych zeznaniach wszytkowiedzący Kessler, który w dalszej części cytowanych już zeznań stwierdza:

Kobiety te zostały aresztowane przez „Wachlarz” i za kilka dni nastąpił wyrok ich likwidacji. Wyrok śmierci wykonał własnoręcznie Jurek – „Motor”. Olszewska widziała go zbrozonego krwią po dokonaniu egzekucji tych kobiet. Później okazało się, że kobiet tych nie zabił, lecz puścił je na wolność, a sam ręce miał uwalane krwią jakiejś zwierzyny.

Grób na cmentarzu Bródnowskim oraz zeznania licznych autentycznych świadków dostatecznie zaprzeczają bzduram opowiadanym przez Kesslera oficerom śledczym. Jest to zastanawiające, dlaczego Kessler, który doskonale znał młodszą z nich, „Dziunię” (spotykał ją u swej siostrzenicy bardzo często), ani razu w protokole nie wymienił ich nazwiska. Chyba robił to w celu utrudnienia identyfikacji dziewcząt.

Ciała zastrzelonych niemieckie władze śledcze poleciły dostarczyć do kostnicy szpitala praskiego. Ciotka dziewcząt dowiedziała się pokątnie, że ciała ich wywiezione zostaną na cmentarz Bródnowski 14 kwietnia 1943 roku; ukryta w krzakach czekała tam od rana. Przed południem przywieziono furmanką zwłoki około dwudziestu kobiet i mężczyzn, które zaczęto wrzucać bez trumien do przygotowanego dołu pod murem. Przechodząc niby przypadkowo zerknęła na stos trupów i rozpoznała siostrzenice. Gdy zasypano grób i zrównano go z ziemią, wróciła w to miejsce i zaznaczyła je małym krzyżykiem wyrytym na jednej z cegieł muru. Po wojnie usypano tu mogiłę i umieszczono tablice.

Zarząd cmentarza wydał też po wojnie rodzinie zaświadczenie będące wypisem z ksiąg, które mówi, że w dniu 14 kwietnia w odpowiedniej kwaterze pochowano 23-letnią Marię Snopkównę oraz 21-letnią Halinę Stryjewską – bo na takie nazwisko miała papiery ukrywająca się w Warszawie „Dziunia”.

Nie tylko Snopkówny padły od kul wykonawców wyroków za wyspę w kościele Św. Floriana na Pradze. W tym samym czasie pod tym samym zarzutem zastrzelono zakrystianina kościoła Św. Floriana i jego bratanka.

Wszystko jednak zdaje się wskazywać na fakt, że dwie dziewczyny nie popełniły czynu, który im zarzucano.

Na dalsze losy Mariana Przysieckiego i towarzyszy natrafiłem w książce Leona Wanata pt. *Za murami Pawiaka*¹⁰⁶, który tak opisuje sprawę aresztowania oficerów „Wachlarza”:

¹⁰⁶ III wyd., Warszawa 1960, s. 92-94.

Podobny charakter jak aresztowanie orszaku ślubnego¹⁰⁷ miało aresztowanie uczestników mszy św. w kościele Św. Floriana na Pradze. W dniu 7 kwietnia 1943 r. odprawiona została msza żałobna zamówiona przez żonę Wilhelma Kowalskiego, oficera AK, rozstrzelanego w Pawiaku. Do kościoła przybyła większa grupa oficerów ze sztabu generała Grota.

¹⁰⁷ Wanat nawiązuje do aresztowania w dniu 5 czerwca 1943 r. w kościele Św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży orszaku ślubnego żołnierzy oddziału dyspozycyjnego Komendy Głównej Armii Krajowej „Osa-Kosa”. Po wojnie w niektórych publikacjach ukazały się sugestie, że i te aresztowania spowodował „Motor”. Brak jest jednak jakichkolwiek dowodów na to, że „Motor” miał kontakt z „Osą-Kosą” i sugestie te są raczej bezpodstawne (przyp. C.Ch.).

Podczas mszy gestapo otoczyło kościół i wstrzymało cały ruch uliczny. Przed kościołem stanęły kryte brezentem samochody ciężarowe, motocykle i duża ilość SS-manów uzbrojonych po zęby. Po skończonym nabożeństwie gestapowcy z bronią gotową do strzału wkroczyli do kościoła. Przeszukali cały kościół i jego zakamarki. Nie zapomnieli nawet o wieży kościelnej. W tym celu wezwali do pomocy straż pożarną.

W kościele znajdowało się kilkadziesiąt osób, w tym około 30 mężczyzn i kilkanaście kobiet. Kobietami nie interesowali się zbytnio. Mężczyzn natomiast załadowano na samochody ciężarowe, które przewoziły ich w al. Szucha.

Tutaj odbyło się makabryczne i wyjątkowo krwawe przesłuchanie. Wieczorem, pod silną eskortą, w asyście motocykli, przewieziono całą pokiereszowaną grupę na Pawiak, gdzie po przeprowadzonej rewizji porozdzielano ich pojedynczo po celach oddziału VII.

Badania aresztowanych odbywały się na Pawiaku i na Szucha. Pastwiono się nad nimi strasznie. Pamiętam pewnego majora zbitego do utraty przytomności. Ciało jego przypominało krwawą bryłę, w której trudno było poznać człowieka. Szczególnie krwawo torturowano oficerów „Wachlarza”, kapitana Mariana Przysieckiego, porucznika Freda Kojera, którym połamano kości tak, że musiano ich zanieść do szpitala, inżyniera Narcyza Obryckiego, któremu podczas przesłuchania wybito zęby, i wielu innych¹⁰⁸.

¹⁰⁸ Cytowana już na s. 142 kronika pt. *Pawiak* mówi na s. 308 o 29 wymienionych z nazwiska mężczyznach, z których ponad 20 było oficerami „Wachlarza” (przyp. C.Ch.).

Większą część aresztowanych rozstrzelano w ruinach getta w dniu 7 maja 1943 r. Zginęli przyniesieni na noszach ze szpitala kapitan Marian Przysiecki i porucznik Fred Kojer. Pozostawionych przy życiu aresztowanych wywieziono w dniu 13 maja 1943 r. do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Jak później ustalono, aresztowanie w kościele Św. Floriana spowodował porucznik Motor-Jurek, który jako konfident gestapo dostał się szereg AK.

Rozmawiałem z Leonem Wanatem pytając go, czy udało mu się dotrzeć do jakiś absolutnie wiarygodnych dowodów wskazujących na to, że sprawcą nieszczęścia w kościele Św. Floriana był „Motor”. Okazało się, że informatorami znanego i wiarygodnego autora byli ludzie z otoczenia por. „Mariana”. Rozmawiałem również z nimi i okazało się, że przypisywanie „Motorowi” winy za tę wyspę oparte jest wyłącznie na rozpowszechnionym i logicznym domniemaniu. Bezspornych dowodów na to nie ma. Daleki jestem od prób zdejmowania z „Motora” odpowiedzialności za to, co się stało po mszy, według mojego jednak rozeznania nie tylko „Motor” był informatorem gestapo o miejscu i czasie zgromadzenia kilku oficerów „Wachlarza”, w tym por. Przysieckiego.

Bardzo charakterystyczny jest moment, w którym gestapo aresztowało por. Przysieckiego. Za pośrednictwem Kesslera miano go już pod obserwacją od przeszło trzech kwartałów. Dlaczego go nie aresztowano wtedy, w lecie 1942 roku, gdy Kessler doniósł Fuchsowi o nawiązanym z nim kontakcie? Odpowiedź na to jest prosta – Przysiecki był potrzebny Kesslerowi jako jedyna na razie nic mogąca prowadzić do organizacji. Poza tym Przysiecki w oczach Niemców przez długi czas był szefem sztabu „Wachlarza”. Potem wiele się zmieniło. Od lutego 1943 roku w Warszawie przebywał już „Motor”, a więc uchwycona została druga nic prowadząca Kesslera w sprawę konspiracji.

W dniu 6 lutego 1943 roku zginął w płonącym domu w Mińsku Litewskim mjr Rychter – „Tumry”, faktyczny szef sztabu „Wachlarza”, otoczony przez gestapo, które udaremniło, mające nastąpić w tym momencie uderzenie na mińskie więzienie. Niemcy – zorientowani, kto zginął w Mińsku – mieli kolejny dowód, że nie Przysiecki jest szefem sztabu. Wreszcie w marcu 1943 roku por. „Marian” popadł w zatarg z konspiracją i został czasowo przeniesiony do rezerwy, a zatem znalazł się na boku wielkich spraw podziemia. „Motor” zaś – najprawdopodobniej już pozyskany do współpracy z gestapo – miał nowe kontakty i przydział do szykującego się do wyjazdu na Kielecczyznę „Ponurego”. To wszystko sugeruje, że Przysieckiego aresztowano nie wtedy, gdy Niemcy wpadli na jego ślad, ale wtedy, gdy ich agent stwierdził, że tędy do konspiracji nie dojdzie, i gdy oceniono, że „Motor” to lepsza droga; po prostu wtedy, gdy Przysiecki przestał być przydatny Kesslerowi. To warto zapamiętać.

A teraz druga sprawa. Wiemy z zeznań Kesslera, że o każdym wydarzeniu w konspiracji, o każdym kroku zleconego swej „opiece” Przysieckiego meldował mocodawcom z gestapo. O nabożeństwie w kościele Św. Floriana i spodziewanej w nim obecności Przysieckiego oraz innych osób z konspiracji wiedział na kilka dni przedtem, powiadomiony przez siostrę, wdowę po Kowalskim. Czyż możliwe, aby o tym ważnym fakcie nie powiadomił gestapo? Jeśli tego nie zrobił, mogłoby to być poczytane ze strony tajnej niemieckiej policji za dowód wielkiej nielojalności i zwichnęłoby prawdopodobnie całą karierę agenta. A na to Kessler sobie pozwolić nie mógł. Nie ulega wątpliwości, że za taką nielojalność spotkałyby go represje, o których nie omieszkałby zeznać po wojnie oficerowi śledczemu. Za bardziej błahę przewinienie wobec Fuchsa Kessler otrzymał ponoć mocną reprimendę, o której w powojennym śledztwie przypominał kilkakrotnie, jakby w ten sposób chcąc podkreślić, że on tak całkowicie lojalny wobec gestapo nie był. Tymczasem w sprawie związanej z wydarzeniami w kościele Św. Floriana nie widać ani śladu niemieckiej niełaski. Bo nie tylko sam agent wychodzi z rąk gestapo obronną ręką po półgodzinnym zatrzymaniu, ale uzyskuje zwolnienie swej siostry i siostrzenicy, o której on na pewno, a gestapo prawdopodobnie wiedziało, że działa w konspiracji. Mało tego, wyszli także bez szwanku z tej opresji Olszewski z żoną, najprawdopodobniej dlatego, iż Kessler nadal potrzebował jego nieświadomej pomocy. Czy tak postępowaliby Niemcy wobec człowieka, co do którego mieliby wątpliwości, że jest wobec nich nielojalny?

Jest jeszcze trzeci argument przemawiający przeciw Kesslerowi – jego gorliwość, z jaką za pomocą kłamliwych enuncjacji starał się przed oficerem śledczym w dniu 11 września 1951 roku obciążyć sumienie nieżyjącego już „Motora” odpowiedzialnością za aresztowanie w kościele. Kessler,

wykorzystując fakt, że archiwa KG AK były jeszcze wtedy niedostępne, włożył w usta „Motora” przyznanie się do autorstwa wyspy. Oto odpowiedni fragment zeznań agenta:

Wkrótce potem „Ponury” został odkomenderowany gdzie indziej, a jego funkcje objął „Nurt”. Ten, nie lubiąc osobiście „Motora”, wezwał go do lasu i tam „Motor” pod presją fizyczną przyznał się do współpracy z gestapo i wyspania całego szeregu oficerów i transportów z Warszawy, które zabierane były przez Niemców. Przyznał się również, że odbicie aresztowanych w Pińsku odbyło się przy udziale gestapo, że on spowodował aresztowanie pewnej grupy osób podczas mszy żałobnej za duszę Kowalskiego.

Dziś, po ujawnieniu archiwów AK oraz odświeżeniu ludzkich wspomnień, wiadomo, że w czasie badania „Motora” nikt go nie pytał ani o Pińsk, ani o mszę, ani też sam „Motor” na ten temat nie powiedział ani słowa, gdyż sugerował, iż współpracę z Niemcami podjął w pół roku później, w sierpniu 1943 roku. I mimo że w czasie badania wyszło na jaw, iż spowodował także wyspy wcześniejsze, jak choćby lipcową obławę na oddziały „Ponurego”, badający, ze względu na krótki czas przesłuchania, nie cofali się do okresu wcześniejszego. Na to są dokumenty.

W kwietniu 1943 roku środowisko byłego „Wachlarza” w dalszym ciągu było zagrożone. Po zastrzeleniu Snopkówien i zniknięciu „Motora” niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać „Monterowi”. Nie nocował w domu, spędzając cały dzień w garażu na Kazimierzowskiej. Ostrożność okazała się zbawienna, gdyż na trzeci dzień poinformowano go telefonicznie, iż jest poszukiwany przez gestapo. Tego dnia ciężarówka przywiozły w okolice ul. św. Wincentego kilkudziesięciu żandarmów. Otoczono gęstymi posterunkami trzy ulice – Cmentarną, Oleśnicką i Tykocińską, nie wypuszczając z tego rejonu nikogo. Gestapowcy zaczęli dobijać się do pustego mieszkania „Montera”. Niemcy – mimo że w budynku mieszkało kilka rodzin – od razu trafili do właściwych drzwi. Wywołany sąsiad „Montera” poinformował gestapowców, że poszukiwany od trzech miesięcy nie bywa w domu, że to alkoholik, żona od niego uciekła. Niemcy zwinęli posterunki i odjechali.

Czy mieszkanie „Montera” znajdowało się potem pod obserwacją, nie wiadomo, gdyż on sam nie wrócił już na ul. św. Wincentego i dalszą pracę w konspiracji prowadził mieszkając w Otwocku.

„Motor”, po zniknięciu z ul. Kamiennej i czasowym pobycie u „Adasia”, przeniósł się do nowego mieszkania przy ul. Dobrej nr 2. Tam mieszkał do końca maja. Cały czas utrzymywał kontakt z „Ponurem” i „Czarką”.

W dniu 8 maja 1943 roku ściągnął z Brześcia do Warszawy żołnierza swego plutonu transportowego, uczestnika uderzenia na Pińsk – „Pakunka”.

*

W drugiej połowie maja siostra Przysieckiego, Obrycka, miała z „Motorem” dość charakterystyczną rozmowę, która zdaje się potwierdzać jego rozległe stosunki w środowisku zasłużonych konfidentów. Obrycka po aresztowaniu męża w kościele starała się intensywnie o jego uwolnienie. Pisała listy do kancelarii Hitlera i nie zaniebdywała możliwości załatwienia czegoś przez konfidentów. W tym czasie dużymi możliwościami dysponował znany agent gestapo Borys Pilnik, mieszkający w Warszawie przy ul. Foksal (zastrzelony przez patrol AK 25 sierpnia 1943 r.). Obrycka dotarła do niego. Za uwolnienie męża zażądał 100 tys. zł; otrzymał na razie zadatek 25 tys. zł. Gdy Obrycka wspomniała o tym „Motorowi”, rzekł on:

– Jeżeli pani będzie chciała odzyskać te pieniądze, proszę mi tylko dać znać, a Borys w zębach je pani przyniesie.

– Panie Jurku, ja chcę przede wszystkim odzyskać męża, ani Borys, ani pieniądze nie są dla mnie ważne.

Czy w pogroźce „Motora” była tylko zwykła u niego fanfaronada?!

27 maja 1943 roku za „Ponurem” wyjechała z Warszawy w Góry Świętokrzyskie prawie trzydziestoosobowa grupa żołnierzy warszawskiej konspiracji, a wśród nich „Pakunek”, który teraz przybrał pseudonim „Cichy”.

3 czerwca za grupą warszawską opuścił okupowaną stolicę „Motor”. Dzień potem gestapo aresztowało szefa warszawskiej bazy byłego „Wachlarza” – księdza „Misia”.

Wśród wielu wersji krążących na temat daty rozpoczęcia współpracy „Matora” z gestapo jest i taka, że Wojnowski już w czasie działalności w „Wachlarzu” świadczył konfidenckie usługi na korzyść okupanta.

Nie ma niezbitych dowodów na to, że tak nie było, ale zarówno opinia jego ówczesnych dowódców, jak i współpracowników jest zgodna, że przypuszczenia te nie są prawdziwe. Poza tym analiza sytuacji wskazuje, że „Motor” jeszcze w okresie pińskiej kampanii był nie tylko lojalnym, ale także oddanym i odważnym żołnierzem podziemia.

Fakt, iż gestapo aresztowało w listopadzie 1942 roku „Wanię” i jego ludzi, oraz to, że zlikwidowano IV Odcinek, nie są żadnymi dowodami, które przemawiałyby przeciwko „Motorowi”. Można stwierdzić, z całkowitą pewnością, że o wyprawie „Wani” i jego grupki do Dawidgródka „Motor” nie wiedział. Nie wiedział także nic o siatce organizacyjnej IV Odcinka i nie można obciążać jego konta „wsypą mińską”, tym bardziej że aresztowania w Mińsku rozpoczęły się od momentu złapania na gorącym uczynku uczestników jednego z patroli w czasie minowania toru i że jeden z jego żołnierzy załamał się w czasie badań.

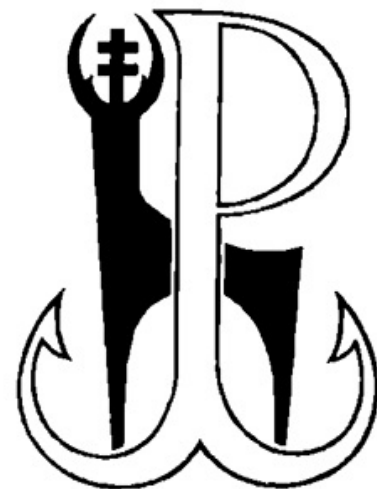
Pewną jest za to rzeczą, że gdyby „Motor” był już wtedy na usługach gestapo, napad na pińskie więzienie skończyłby się tym samym co w Mińsku. Był on przecież doskonale poinformowany o wszystkich szczegółach odbicia już na kilka dni przedtem, przez jego ręce przechodziły ustalenia koordynacyjne, jego garaż był jedną z baz przygotowawczych. Czyż mogła być dla nowo pozyskanego agenta – gdyby nim wtedy był – lepsza okazja do wykazania się aktywnością wobec mocodawców?

Niemcom bardzo zależało na całkowitym rozszyfrowaniu kpt. „Wani” – udaremnienie odbicia więźniów dawało im nie tylko tę szansę, ale również pozwalało ująć szefa II Odcinka „Ponurego” i jego zastępcę „Czarkę”, a zatem dawało nadzieję na rozbitcie i tej części „Wachlarza”.

Jeżeli założymy, że Niemcy świadomie pozwolili na odbicie więźniów, by swemu współpracownikowi dać możliwość zdobycia pełnego zaufania konspiratorów, byłaby to za wysoka cena za wprowadzenie agenta w ich szeregi. Możemy więc przyjąć, że w odskakującej spod Pińska do Brześcia grupie „Ponurego” nie było niemieckiego agenta.

Przedstawione tu fakty wydają się w przekonujący sposób potwierdzać mniemanie, że „Motor” przez trzy miesiące pobytu w Warszawie – marzec–maj 1943 – był już współpracownikiem gestapo. Do takich wniosków doszedł także kontrwywiad AK, gdy na początku 1944 roku badał sprawę „Matora”. Dano temu wyraz w piśmie skierowanym przez 18-b (kontrwywiad) do Komendy Okręgu „Rolnik” (Kielce – Radom) w postaci następującej notatki:

[...] Co do czasu wstąpienia jego do Go – według przeprowadzonego dochodzenia pracował on w Go co najmniej już przed kwietniem 1943 r.



Wokół Wykusu

Część III

Śmiała myśl nabiera kształtu

Po powrocie z Pińska „Ponury” stwierdził, że nadszedł już czas i zaistniały odpowiednie warunki do realizacji planu, który nie dawał mu spokoju od dłuższego czasu. Rozformowanie oddziału uderzeniowego oraz sporządzenie sprawozdania z rozbicia więzienia trwało do końca stycznia, inne sprawy organizacyjne zaś ciągnęły się przez cały luty, tak że dopiero od pierwszych dni marca mógł rozpocząć starania o uzyskanie zezwolenia na organizację leśnego oddziału.

Teraz, w początkach 1943 roku, „Ponury” – doświadczony oficer dywersji, wytrawny konspirator, dowódca brawurowego i udanego uderzenia na więzienie pińskie – był dla kierownictwa walki zbrojnej zupełnie innym rozmówcą niż jeszcze rok wcześniej. Dał się przecież poznać w bezpośrednim trudnym działaniu jako człowiek odważny – ale jednocześnie rozważny; ryzykant – ale w granicach rozsądku, doskonały taktyk i konsekwentny realizator zamierzeń. Uznał więc teraz, że nadszedł odpowiedni moment do ujawnienia planów.

Zwierzchnicy tworzącego się Kedywu podchodzili do przedstawionych zamierzeń ostrożnie, logika argumentów jednak i żarliwość referenta, ale nade wszystko rozwój wydarzeń niezależnych od kierownictwa AK nakazywały spojrzeć na projekty „Ponurego” przychylniej.

Jeszcze pół roku wcześniej odpowiedź na taką propozycję brzmiałaby na pewno – nie. Ale był początek 1943 roku. Od pół roku w lasach Kielecczyny działał kilkudziesięcioosobowy oddział im. Ziemi Kieleckiej „Narbutta” – Ignacego Robba z Gwardii Ludowej i nie był to oddział jedyny tutaj, nie uznający londyńskiego zwierzchnictwa. Przedłużanie tego stanu (trzymanie ludzi wyłącznie w konspiracyjnych siatkach, a broni w magazynach) mogło doprowadzić do wymknięcia się inicjatywy z rąk, a tego Armia Krajowa nie chciała i w imię przyznanych jej przez Naczelnego Wodza uprawnień jedynego reprezentanta – armii Polskiego Państwa Podziemnego – dopuścić do tego nie mogła.

Dlatego też, choć czas na działanie w polu akowskiego wojska – w szerokim znaczeniu – jeszcze nie nadszedł, zgodę na tworzenie oddziałów leśnych dawano, ale nie za często i traktowano ją jako otwieranie wentyli bezpieczeństwa, by napór wewnętrzny nie rozsądził ustalonych przez górę ram działania konspiracyjnego.

Nie ulega wątpliwości, że rozwój sytuacji w początkach roku 1943, nowy układ w konspiracji stworzył warunki do zaakceptowania koncepcji „Ponurego”.

Po uzyskaniu wstępnej zgody w Komendzie Głównej wiedział, że sprawę wygrał.

Na polach i w lasach leżały jeszcze śniegi; siarczysty mróz, mimo marca, szczypał twarz i uszy, gdy pierwszy raz jechał zatłoczonym pociągiem w Kieleckie. Serce mu zapewne biło mocno, gdy po jedenastu latach wracał w rodzinne strony.

Urodzony na tej ziemi, tak pisał potem o sobie:

Jestem synem chłopca ziemi kieleckiej i twardą ręką wychowany, stałem się twardy zarówno dla siebie, jak i dla nich, bez względu na to, kim oni dla mnie są w służbie i poza służbą¹⁰⁹.

¹⁰⁹ Z raportu z dnia 3 I 1944 r. do Komendanta Głównego AK, gen. „Bora” (AZHP, 228/26-3).

Teraz, po półtora roku walki na Wołyniu i Polesiu, wracał dziś w swoje Góry Świętokrzyskie, co prawda nie na czele niosących wolność oddziałów, jak to sobie wymarzył, nie w mundurze zdobnym w liczne odznaczenia bojowe, ale w wytartej kurtce, bez dokumentów, z pistoletem i granatem w kieszeni i głową pełną zapierających dech pomysłów. Pod kurtką krył brytyjską bluzę z odznaką cichociemnych – metalowym wizerunkiem spadającego na zdobycz orła z wieńcem w szponach – oraz małą dyskretną baretką Krzyża Virtuti Militari.

Jaką zastanie tę swoją Kielecczynę? Przecież był tu ostatni raz w 1932 roku, gdy po maturze zdanej w

ostrowieckim gimnazjum ruszył w Polskę, bo Janowice, miała wioska pod Witosławską Przełęczą, była dla niego za ciasna.

Od tamtych dni, w których on, chłopski syn, odbierał z rąk dyrektora ostrowieckiego gimnazjum świadectwo dojrzałości, minęło nie tylko 11 lat. W tym czasie zmieściła się i podchorążówka artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, i szkoła oficerów policji w Mostach Wielkich, i praca instruktora wyszkolenia w Gołędzinowie, a potem wojenna zawierucha, a więc walki jego policyjnej kompanii od Tarnowskich Gór aż do nadgranicznych źródeł Sanu, pół roku na Węgrzech, francuski powrót do artyleryjskiej specjalności, „dziwna wojna” na Zachodzie zakończona dramatyczną ewakuacją z kraju nad Sekwaną, którego nie wszyscy obywatele chcieli „walczyć za Gdańsk”, i wreszcie półtora roku angielskich mgieł, zakończone skokiem do Polski w listopadową noc. Kolejne półtora roku to pełna napięcia, nerwów i chwały „wachlarzowska” służba.



74. Por. cc. „Ponury” — Jan Piwnik (+1944), Komendant Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”



75. Por. cc. „Nurt” — Eugeniusz G. Kaszyński (+1976), Komendant Zgrupowania nr 1



76. Ppor. cc. „Robot” — Waldemar M. Szwiec (+1943), Komendant Zgrupowania nr 2



77. Ppor. „Mariański” — Stanisław Pałac (+1983), Komendant Zgrupowania nr 3





78. Ppor. cc „Mocny” — Rafał Niedzielski (+1943), dca plutonu w Zgrupowaniu nr 2

79. Ppor. „Jurek” — Władysław Czerwotka (+1986), dca Oddziału w Zgrupowaniu nr 3

80. Kpr. „Wilk” — Józef Domagała (+1943), dca pierwszego oddziału partyzanckiego na Kamieniu Michniowskim

81. Ppor. „Witek” — Wincenty Waligórski, oficer Wywiadu Zgrupowań

82. Chor. „Szort” — Tomasz Waga (+1986), dca Oddziału w Zgrupowaniu nr 1





83-84. Luźne dotąd oddziały „Jurka”, „Oseta”, „Wilka”, „Szorta” i „Grota” schodzą na Wykus pod komendą „Ponurego”







85. Dzień w obozie „Ponurego” zaczyna się od forsownej gimnastyki, którą prowadzi ppor. „Marianiński”

86. Od rana do wieczora oficerowie szkolą powstające leśne wojsko







87. Jeżeli jest najmniejsza przerwa w zajęciach w polu, to tylko po to, aby ppor. „Wilczyński” (Stanisław Z. Mroczkowski — w środku grupy) miał kiedy prowadzić szkolenie z bronią maszynową

88. Chwila odpoczynku kadry oficerskiej Zgrupowań. Od lewej: ppor. cc. „Mocny” — Rafał Niedzielski, ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka, ppor. „Witek” — Wincenty Waligórski, ppor. „Marianiński” — Stanisław Pałac, ppor. cc. „Robot” — Waldemar M. Szwiec, u dołu por. cc. „Czarka” — Jan Rogowski







89-90. Pod doświadczonym okiem Komendanta, na Wykusie w końcu czerwca 1943 powstały solidne szałas. U góry: por. „Ponury” stoi przy drewnianej konstrukcji dachu. Na zdjęciu obok: „Ponury” udziela instrukcji



91. W pierwszej dywersji pod Łączną (2 VII 43) ginie pierwszy żołnierz Zgrupowań, „Ignac” — Bronisław Zaczekiewicz





92. Nim stanie solidna baza, pierwsze tygodnie obozowania na Wykusie cechował daleko posunięty prymityw

93. Po tak pracowicie spędzonym dniu, wieczorem każdy od prostego żołnierza aż do Komendanta (na zdjęciu „Ponury”) zasypiał głębokim snem nawet z głową na kamieniu







94. Zespół konspiracyjny produkujący broń pod kierunkiem inż. Czerniewskiego, zebrany na sesji historycznej w dniu 15 maja 1965 roku w Suchedniowie. Od lewej: Józef Skrobot, inż. Jerzy Herman, Bronisław Sianoszek, Janina Czerniewska (żona „Korebki”), Mieczysław Gibas, dr Witold Poziomski, Marianna Charabin, Jan Zarukiewicz, Tadeusz Ciaś, Eugenia Trzeciakowa, Jerzy Miernik, Wiktor Miernik, Feliks Zolbach, Eugeniusz Kuszewski, Józef Kazimierski, Michał Dąbrowski, Andrzej Wielechowicz i Marian Zatorski

95. „Korebko” — inż. Kazimierz Czerniewski



Cały ten czas ssała go w dołku tęsknota namacalna jak dokuczliwy głód, by kiedyś wsiąść w pociąg i pojechać w Kieleckie, do Opatowa, Janowic, uściskać starych, pewno ciągle niespokojnych o niego rodziców, siostry Agnieszkę i Katarzynę, Józka, brata, którego widział przed jedenastu laty jako siedmioletniego brzdąca ganiającego za gęsiami. Teraz Józek to pewno wyrosnięty chłop pod wąsem. Tęsknił więc „Ponury” za nimi, a najbardziej na melinie, i bardzo chciał wtedy być wśród nich, wziąć kosę i razem z Józkiem na łące nieco spadzistej, na skłonie Witosławskiej Przełęczy leżącej, tak we dwójkę, ramię przy ramieniu, szerokim płynnym zamachem, pełnym syku ścinanej gęstej trawy i grania koników polnych, iść dostojnie, po gospodarsku, i ciąć, ciąć, ciąć. A potem w upalne popołudnie uwalić się, zmęczony, pod wiśnią w sadziku za domem, leniwym ruchem zrywać ze zwisających gałęzi czarne od dojrzałości owoce, gasić pragnienie ich cierpkim sokiem i patrzeć, jak pochylony wiekiem ojciec krząta się między ulami, a matka podtyka Jaśkowi a to szklankę śmietanki, a to świeżego ogórka. Marzyło mu się tak leżeć i kudlić męską pieszczotą ostrą sierść przymykającego z rozkoszy bursztynowe oczy Budrysa, policyjnego wilczura, którego gdy szczenię miało dopiero 4 miesiące, tuż przed samą wojną posłał przez kolegę bratu. Czy żyje jeszcze Budrys? A może go Niemcy zabrali do swojej służby i wytresowany na esesmańskiego owczarka pełni teraz rolę okrutnego stróża w którymś z obozów?

Jeśli przez te półtora roku pobytu w kraju nie spełnił swego marzenia, to nie dlatego, iż bał się jazdy przez całą okupowaną Polskę, bez dokumentów, wśród licznych kontroli niemieckich szper. To nie była przeszkoda. Czasu mu tylko nie stało, bo dowódcy dbali, by wykorzystać do maksimum jego wojskowe umiejętności i na Wołyniu, i w Pińsku, i nawet w okresie rekonwalescencji, po powrocie z Wołynia, zatrudnili go jako wykładowcę na dywersyjnych kursach. Poza tym był rozkaz: rodzina i sentymenty – na po wojnie. I choć „Ponury” wiedział, że koledzy dość powszechnie ten rozkaz omijali, on go przestrzegał, jak wszystkich rozkazów.

Ale ssanie tęsknoty nie malało.

Był koniec drugiej dekady marca, gdy wysiadł na małej stacyjce w Suchedniowie. Tu, zgodnie z planem, czekał na niego łącznik i poprowadził w kierunku Michniowa. Te trzy kilometry przeszli szybko. Z jednej z chat wyszedł krępy mężczyzna – poznali się od razu i uścisnęli.

W ten sposób „Ponury” dowiedział się, kto kryje się pod pseudonimem „Nurt”. W Warszawie powiedziano mu, że łącznik z Suchedniowa zaprowadzi go do skoczka „Nurta”, a tu okazało się, że to kolega – instruktor z brygady spadochronowej.

„Nurt” vel „Zygmunt” – Eugeniusz Gedymin Kaszyński pochodził z Łodzi, był synem nauczyciela gimnazjum. Związany od najmłodszych lat ze sportem, dzięki dużej wszechstronności osiągnął popularność jako dobry lekkoatleta. Po ukończeniu podchorążówki został skierowany do pracy w PWiWF; przed 1939 r. pracował w Horodence jako kontraktowy oficer, pełniąc funkcję komendanta powiatowego tej organizacji. Po kampanii wrześniowej dotarł przez Francję do Wielkiej Brytanii i tam także trafił do ośrodka skoczków. Wyśmienity strzelec, świetny gimnastyk, zwrócił na siebie uwagę i po krótkim czasie został instruktorem w ośrodku szkolenia „ptaszków” – cichociemnych. Przez jego instruktorskie ręce przeszedł również „Ponury”. „Nurt” miał na swoim koncie ponad sto skoków, ale ten zbyt sportowy rodzaj walki szybko mu się znudził i pewnego dnia postanowił, że następny skok będzie już do okupowanej Polski. 2 października 1942 roku, czyli prawie rok po lądowaniu „Ponurego”, na polach koło Siedlec opadali na spadochronach w trójkę „Nurt”, „Robot” i „Ugór”. Wszyscy dostali przydział do „Związku Odwetu” w Kieleckiem.

Serdeczny przyjaciel „Nurta”, „Jakub”-„Robot” – podporucznik Waldemar Szwiec, syn polskiego emigranta, urodzony w USA, po powrocie do kraju zamieszkał w Toruniu, gdzie ojciec założył znaną tam kawiarnię „Pomorzanka”. W 1939 roku przez Francję dostał się do Anglii, skąd w jednej grupie z „Nurtem” trafił do kraju.

Trzeciego cichociemnego, „Ugora” – Antoniego Jastrzębskiego, nie zastał już, niestety, „Ponury” w Michniowie; po czterech miesiącach pracy w krajowej konspiracji zginął na początku 1943 roku w czasie wycofywania się po jednej z akcji przeprowadzonej przez oddział Związku Odwetu. Tak więc w połowie marca w Michniowie działało już tylko dwóch skoczków – „Nurt” i „Robot”.

Pod koniec krótkiej rozmowy „Nurta” z „Ponurem”¹¹⁰ do izby wszedł „Robot”, średniego wzrostu, smukły, nawet chudy. Przywitali się serdecznie. „Ponury” opowiedział im o swych perypetiach w „Wachlarzu” i rozbiciu pińskiego więzienia, a potem zapytał:

¹¹⁰ Spotkanie to miało miejsce w domu Materków, rodziny, która w czasie pacyfikacji Michniowa została rozstrzelana jako jedna z pierwszych.

– A wy co tu działaliście?

Nie było tego wiele, bo też rodzaj zadań im zleconych nie pozwalał na duży rozmach. Poza tym pracę podjęli dopiero późną jesienią, nie było więc możliwości oparcia się o las pokryty teraz śniegiem. Szkolili ludzi, organizowali patrole, zapoznawali z zasadami minerstwa i próbowali przygotować zespoły do czekającej walki.

Kilka dni przed przyjazdem „Ponurego” w te strony, 26 lutego, zrobili zasadzkę na warszawskiej szosie, na samej Baranowskiej Górze. Ustawili w poprzek furmankę, tak że musiał się zatrzymać każdy przejeżdżający samochód. Wygarniali wtedy dostojnych pasażerów, pędzili w las, rozbierali, ściągali mundury i kładli na śnieg.

Byli tam niemieccy oficerowie, dyrektor zakładów amunicyjnych ze Skarżyska, Oberleutnant Schmidt, szef żandarmerii z Kielc i wielu innych. W czasie dwugodzinnej akcji przeprowadzonej jeszcze za dnia zdobyto kilkanaście sztuk broni, trochę odzieży i mundurów, korespondencję wojskową, ale przede wszystkim przekonano Niemców, że nawet w biały dzień, tuż pod boki silnych garnizonów, na jednej z najruchliwszych szos Generalnej Guberni nie mogą się czuć bezpiecznie.

„Nurt” jeszcze teraz, gdy opowiadał „Ponuremu” wrażenia sprzed kilku dni, nie mógł opanować podniecenia.

– Ładna akcja – chwalił „Ponury”, gdy „Nurt” zamilkł. – Teraz wam powiem, po co tu przyjechałem. Chcę na razie rozeznaczyć teren. Zaczę już za kilka tygodni, na wiosnę...

Przedstawia im swój plan. Przyjmują go z zapalem, zapewniają, że lepszego terenu nie mógł wybrać. Natychmiast zgłaszają się pod rozkazy. Potwierdzają wiadomości posiadane przez „Ponurego”, że w lecie i jesienią 1942 roku działały tu luźne oddziały, m.in. „Narbutta” z GL, że teraz na zimę część ludzi poszła na meliny, ale mimo mrozów i śniegów drobne oddziały, składające się z poszukiwanych przez Niemców, siedzą po bunkrach, po zagubionych w lesie chatkach, a jak przyjdzie wiosna, znikną śniegi i będzie ciepło, sypnie się jeszcze z kilkuset chłopców.

„Ponury” na drugi dzień wraca do Warszawy, umawiają się więc, że do czasu przyjazdu dowódcy z ludźmi „Nurt” i „Robot” będą przygotowywali grunt.

Po powrocie z Kielecczyny entuzjazm „Ponurego” wzrósł jeszcze bardziej. Zaraził nim szybko „Czarkę”. Będzie ich więc już czterech skoczków – licząc z „Nurtem” i „Robotem”. Nie jest to wystarczająca ilość ludzi jak na plany „Ponurego”. Realizują jednak swe zamierzenia w szczęśliwym momencie. „Wachlarz”, który ma dużą ilość oficerów, likwiduje się, jego zadania przejmuje Kedyw, który co prawda chce zachować stan posiadania dobrze wprowadzonego w teren poprzednika, ale zawsze przy reorganizacji można coś uszczknąć.

I nie myli się, udaje mu się podporządkować sobie oczekującego na rozkaz wyjazdu na jakiś odcinek byłego „Wachlarza” ppor. „Leszka Antoniewicza” – Leszka Popiela, a w kilka dni później pozyskać drugiego „Wachlarzowca” – oficera z I Odcinka, ppor. „Mocnego” – Rafała Niedzielskiego. Piękna to postać. W jego „wachlarzowskiej” kartotece pod nr 142 znalazłem datę urodzenia 1922. W

rzeczywistości był o rok młodszy. Rafał Niedzielski, gdy w 1940 roku znalazł się w Anglii, miał siedemnaście lat, kołatał więc bezskutecznie do biur werbunkowych szkół oficerskich. Znalazł ratunek we... flaszcze atramentu. Przeszkolony i awansowany, palący się do walki najmłodszy chyba oficer Polskich Sił Zbrojnych, został zrzucony do Polski 28 marca 1942 roku. Po prawie rocznym stażu w „Wachlarzu” dostał się teraz pod komendę „Ponurego”.

Dochodzi też jeszcze kilku innych oficerów. Na sztabowej melinie „Ponurego”, u łączniczki „Zosi” przy ul. Nowowiejskiej 17 w Śródmieściu wre praca. Dowódca rozdziela pierwsze funkcje, nominacje, zadania. Ppor. „Leszek” zostaje adiutantem, świeżo pozyskany ppor. „Marian” – Marian Dziubiński szefem sztabu, ppor. „Witek” – Wincenty Waligórski obejmuje kierownictwo wywiadu, a łączniczki, siedemnastoletnia „Grażyna” – Grażyna Śniadecka i „Łotyszka” – Marta Łopacińska, ściągają, skąd się tylko da, mapy, kompasy, leki i środki opatrunkowe.

Warszawska konspiracja utwierdza ich w przekonaniu, że z okupowanej stolicy trzeba będzie wziąć z sobą kilkunastu ludzi, gdyż są spaleni i nie mogą się już dłużej ukrywać w mieście.

W tym czasie w kwietniu i na początku maja „Ponury” jedzie kilka razy w Kieleckie, kontaktuje się z „Nurtem” i „Robotem”. Wie o tym, że obaj oficerowie – trzymając się ustalonych planów – zaraz na wiosnę, gdy tylko stopniały śniegi, stworzyli oddział leśny.

Jego początek związany jest z wypadem „Robota” w Koneckie – ten bowiem powiat miał pod swoją dywersyjną opieką ppor. Szwiec. Pojechał tam w połowie kwietnia z dwoma ludźmi z michniowsko-skarżyskiej dywersji, na miejscu z Niekłania dobrali przydzielonego im przez ppor. „Dobosza” – Karola Niedzielskiego, dzielnego dwudziestolatka Józefa Domagałę pseudonim „Wilk”, i w czwórkę dokonali 17 kwietnia śmiałej akcji na zwierzchnika partii hitlerowskiej na powiat Konecki, Kreisleitara Schultzego, kwaterującego w majątku Browary, na przedmieściach Końskich¹¹¹. Kreisleiter, który początkowo miał dostać baty, stawiał opór, więc został zastrzelony, rozbrojono czterech strzegących go żandarmów i oddziałek bez strat wycofał się do Niekłania, a stamtąd w Góry Świętokrzyskie.

¹¹¹ Autor szczegółowo opisał tę akcję w książce *Cztery z tysiąca*, wydanej przez KAW w 1981 r. i wznowionej w 1984 r.

Wiosna była już w pełni, a spaleni chłopcy do domu nie mieli po co wracać. Dowódcą został „Wilk”. Oddział ten już niedługo będzie liczył trzydziestu żołnierzy, jest też stosunkowo dobrze uzbrojony – ma 1 cekaem, 2 erkaemy, 3 steny, parę pistoletów, karabiny i granaty. Bazą jego są lasy nadleśnictwa Suchedniów, na wschód od Michniowa, na tzw. Kamieniu. Obaj oficerowie, „Nurt” i „Robot”, utrzymują ścisły kontakt z licznymi oddziałami zbrojnymi, które na wiosnę 1943 roku znalazły się w lesie, a z których część niedługo zasili ich zgrupowanie.

W połowie maja Jan Piwnik przyjmuje formalnie swoją funkcję dowódcy „Zgrupowań Partyzanckich AK »Ponury«”, bo taką oficjalną nazwę otrzymały teraz jego oddziały. Dotychczasowy dorobek bojowy Okręgu, nagromadzony w ramach działalności poprzednika Kedywu na tych terenach – Związku Odwetu, przekazuje „Ponuremu” kierujący dotąd akcją ppor. B.¹¹² Spotkanie oficerów ma miejsce w Skarżysku-Kamiennej. „Ponury” odwiedza też oddział „Wilka”, który będzie stanowił załączek Zgrupowań. Aby nie stwarzać zdrażnień z ambitnym i dotąd aktywnym ppor. B. „Ponury” mianuje go swoim zastępcą, a sam wraca do Warszawy dla zakończenia przygotowań. Zaraz potem przeniesie się już całkowicie w Góry Świętokrzyskie.

¹¹² Nazwisko i pseudonim tego oficera zastąpiono kryptonimem.

Zebrane wiadomości z wizyt w Kieleckiem pozwalają „Ponuremu” na uaktualnienie oceny sytuacji na nowym terenie, oceny – trzeba przyznać – dotąd nie dość precyzyjnej.

Przedstawi to krótko „Leszek Antoniewicz” w pracy napisanej w latach 1960-62¹¹³:

¹¹³ *Zgrupowania Partyzanckie AK „Ponury” – Próba zarysu*, w maszynopisie, s. 5, archiwum WIH, dalej zwane *Próba zarysu*. Praca „Antoniewicza” – aczkolwiek najdokładniejsza i najpełniejsza ze wszystkich, nielicznych,

jakie napisano na temat Zgrupowań „Ponurego” – zawiera wiele ocen subiektywnych i nie zawsze zgodnych ze stanem faktycznym.

Rekonosans przeprowadzony w Kieleckim przekonuje „Ponurego”, że zadanie jego nie będzie łatwe. Lasy kieleckie kryły już w tym czasie nie tylko różne oddziały, niektóre z nich nikomu nie podporządkowane, ale również nieliczne wprowadzie, ale dające się we znaki ludności cywilnej bandy rabunkowe. Podporządkowanie sobie watażkowatych dowódców, wyparcie z lasu band i utworzenie zdyscyplinowanych oddziałów rysowało trudności.

A i ocena sił niemieckich, dokonana przez „Ponurego”, okazała się niedokładna. Różnych oddziałów policyjnych w Okręgu było sporo. Wykazywały one dużą aktywność i niejednokrotnie skutecznie penetrowały lasy i okoliczne wsie. Nawet próbne akcje wywoływały aresztowania i represje. W związku z tym rwały się sieci organizacji, a kontakty z lasem były ryzykowne. Żandarmeria posiadała w dodatku dość sił na urządzenie obław i w tym czasie (15 maja 1943 r.) nieliczny wprowadzie i słabo uzbrojony oddział „Klińskiego” został w lasach osietyńskich w rejonie Zalezianki rozbity i rozproszony.

Ocena „Antoniewicza” w cytowanym fragmencie pracy jest stanowczo zbyt uproszczona i nie pokrywa się ze stanem faktycznym. Obok licznych band rabunkowych, działających na własną rękę i własny rachunek, obok grup, które uprawiały pospolity rozbój podszywając się pod różne partyzanckie barwy, na Kielecczyźnie działały już wtedy oddziały partyzanckie o określonym obliczu politycznym, na przykład: „Narbutta” – o którym już była mowa – czy „Szaszki”, „Kalińskiego”. Były to grupy Gwardii Ludowej i nie można nazywać ich „nie podporządkowanymi nikomu” tylko dlatego, że nie uznawały zwierzchnictwa AK. Wtedy także zaczęły działać w lasach kieleckich oddziały NOW, z których tylko bardziej zdyscyplinowana część podporządkowała się Armii Krajowej.

W końcu maja (prawdopodobnie 27 maja 1943 r.) „Ponury” wraz z „Antoniewiczem” przenoszą się na stałe w lasy suchedniowskie. Ich oparciem będzie oddział „Wilka” kwaterujący na wschód od Michniowa – na Kamieniu Michniowskim. Tu też jako pierwsi żołnierze stawiają się ci, którzy w patrolach Związku Odwetu chodzili już na akcje od lata 1942 roku. Do nich należy m.in. pchor. „Marian” – Marian Wikło, kpr. „Boruta” – Albin Żołądek, doskonały erkaemista „Kolcik” – Julian Świtek oraz kpr. „Jędrak” – Andrzej Pasek. Po kilku dniach dojeżdżają ppor. „Marian” – szef sztabu i ppor. „Witek” – oficer wywiadu. Por. „Bolek” zostaje w Warszawie jako dowódca bazy zaopatrzeniowo-kontaktowej oddziału, wraz z nim – jako jego zastępca – pracować będzie łączniczka „Zosia”.

W pierwszej dekadzie czerwca w krótkich odstępach czasu jadą w Kieleckie z małymi grupkami: por. „Czarka”, ppor. „Rafał” – „Mocny”, ppor. „Motor” oraz ponad trzydziestu żołnierzy warszawskiej konspiracji. Są to m.in. „Jacek” – Jacek Szperling, „Janusz” – Janusz Munk, „Gotów” – Eugeniusz Bunicz, „Świstak” – Jerzy Sęk, „Leszek Biały” – Leszek Zahorski, „Karolek” – Waligórski, syn oficera wywiadowczego „Witka”, „Duży Tadzik” – Tadeusz Roman i „Lin” – Janusz Skalski (obaj byli żołnierze „Wachlarza” z IV Odcinka, którzy ledwo uszli przed masowymi aresztowaniami w Mińsku Litewskim), a także „Józek” – Józef Hop oraz „Adaś” – Adam Wolf, ten, któremu udało się umknąć z Brześcia, gdy aresztowano matkę „Motora”. Prócz tego jedzie ewakuowany zza Buga uczestnik uderzenia na Pińsk – „Pakunek”, który, jak już wspomniano, przybrał teraz pseudonim „Cichy”. Dołączył do nich również wywiadowca warszawskiej granatowej policji z XV komisariatu na Pradze i zarazem żołnierz konspiracji – „Ali” – Albin Hop, zmieniając wraz z wyjazdem w Kieleckie swój pseudonim na „Stefanowski”.

„Stefanowski”, kolega „Ponurego” jeszcze z przedwojennej służby w policji, od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej współpracował z podziemiem. W maju 1943 roku musiał uciekać z Warszawy zacierając za sobą ślady, aby nie narażać pozostającej w stolicy żony. Przy pomocy swego przyjaciela, również akowca „Groma” – Stefana Jaszczanina, udało mu się stworzyć sytuację, w której rzekomo miał polec jako wywiadowca policyjny.

„Stefanowski” był już w tym czasie podejrzany – zresztą słusznie – o to że współdziałał w wydaniu i wykonaniu przez konspirację wyroku śmierci na swym policyjnym szefie – kierowniku agentury wywiadowczej XV komisariatu, Józefie Hellerze. Sprawą tą zaczęła się wiosną 1943 roku interesować dykcja Kripo. Tymczasem – co najmniej od sierpnia 1942 roku – „Stefanowski” był w ścisłym

kontakcie z „Ponurym”, który po ucieczce wraz z „Czarką” z więzienia z Związhu i dotarciu do Warszawy najprawdopodobniej u niego ukrywał się i kurował dolegliwości.

Teraz „Ponury”, dowiedziawszy się o tarapatach przyjaciela, zaproponował mu wyjazd do lasu, w Kieleckie, gdzie „Stefanowski” objął eksponowane stanowisko – dowódcy plutonu ochronnego komendanta.

Na miejscu dołączył do oddziału przebywający w Suchedniowie od maja „Broniek” – Bronisław Sianoszek¹¹⁴, a także jego przyjaciel „Colt” – Józef Bałdyga. Z Warszawy przyjechały także dwie łączniczki – „Grażyna” i „Łotyszka”.

¹¹⁴ Zginął w wypadku samochodowym 30 III 1968 r.

Młodzi warszawiacy, którzy niedługo stali się trzonem zgrupowania ppor. „Robota”, wieźli z sobą w Góry Świętokrzyskie wiele romantycznych ideałów oraz chęć odwetu za to, co przez prawie cztery lata musieli znosić w okupowanej stolicy. Ich nastroje stara się oddać a pomocą prostych strof w swym wierszu „Walter” – Jan Czernikiewicz, zastępca dowódcy jednego z oddziałów, „Oseta” – Władysława Wasilewskiego:

*Pamiętaj, Polaku młody,
Coś Ojczyźnie przyrzekł.
Wiernie bronić praw, honoru,
Jam te słowa wyrzekł.
Wyrzekłem je wobec Boga,
Że nie spocznę nigdy,
Aż swe młode życie złożę
W obronie Ojczyzny!
Bo Ojczyznę więcej kocham
Niż swe życie młode,
Więc podjąłem walkę z wrogiem,
By jej dać swobodę!
I poszedłem z Komendantem
Donatem Ponurym
Który wie, jak Langiewicz,
W Świętokrzyskie Góry!
Idzie mówiąc do swych chłopców:
Pójdziemy w bój krwawy,
Żeby pomścić krzywdy nasze
I naszej Warszawy!*

Tak oto wymarzony plan, nie dający „Ponuremu” spokoju od pół roku, stawał się faktem dokonany. Równocześnie z wyjazdem w Kieleckie „Ponury” mianowany został szefem Okręgowego Kierownictwa Dywersji – Kedywu. Ta nowa funkcja, która – jak przypuszczał – miała mu pomóc w organizowaniu i kierowaniu oddziałami leśnymi, niedługo będzie kulą u nogi.

„Szukajcie stenów na niebie...”

Jedną z największych bolączek konspiracji, a szczególnie tworzących się oddziałów leśnych, był brak broni. Na pozostałości z kampanii 1939 roku, zachowane przeważnie we wsiach położonych obok pól bitew, składały się – o ile nie zniszczyła ich wilgoć i rdza – co najwyżej broń długa, trochę pistoletów i granatów.

Tymczasem w czasie ostatniej wojny nastąpiła zawrotna kariera osobistej broni szybkostrzelnej bliskiego i średniego zasięgu, czyli pistoletów maszynowych. Był to wynalazek nienowowy, gdyż pierwsze egzemplarze tej broni próbowano wprowadzić jako wyposażenie bojowe armii włoskiej jeszcze w 1915 roku, w czasie pierwszej wojny światowej. Nie miała jednak szerszego zastosowania, gdyż nie umiano sobie poradzić z jej olbrzymią szybkostrzelnością – dwulufowy pistolet włoski marki Fiat-Revelli wystrzeliwał 4 tysiące pocisków na minutę. Dopiero tuż przed drugą wojną światową nowa taktyka, stosowana w nowoczesnych armiach, zrodziła zapotrzebowanie na ten typ broni. Odejście od wojny pozycyjnej, okopowej, i stworzenie formacji zmotoryzowanej piechoty, wdzierającej się klinami w wyłomy dokonane przez wozy pancerne, doprowadziło do walk z odległości bardzo bliskich, walki błyskawicznej, nie dającej czasu na celowanie. Nowe warunki spowodowały, że dotychczasowa broń nie zdawała egzaminu. Sięgnięto więc po wzór włoski sprzed dwudziestu pięciu lat. Pierwsi Finowie jeszcze przed II wojną światową wprowadzili do wyposażenia piechoty pistolety maszynowe, oddając żołnierzom automat o nazwie „Suomi”, na którym Rosjanie wzorowali swoje pepesze¹¹⁵.

¹¹⁵ Jak podaje Piotr Wilniewicz w książce pt. *Broń samoczynna* (s. 145-152) do wybuchu II wojny światowej prace nad krótkimi seriami pistoletów maszynowych prowadzone były w następującym porządku chronologicznym: Fiat Revelli wz 1915 – Włochy, Bergmann wz 1918 – Niemcy, Thompson-Colt wz 1921 – USA, Bergmann-Schmeisser wz 1928 – Niemcy, Suomi wz 1930 – Finlandia, Solothurn wz 1934 – Szwajcaria – Niemcy, Bergmann wz 1935 – Niemcy, Erma wz 1935 – Niemcy i Mors wz 1939 – Polska.

Wszystkie armie walczące w drugiej wojnie zaczęły szybko wprowadzać w swych kadrowych jednostkach frontowych pistolet maszynowy.

Również i w polskiej przedwojennej armii przewidywano wprowadzenie do uzbrojenia tego rodzaju broni. Tuż przed wrześniem 1939 roku do oddziałów wojskowych przekazano 50 sztuk pistoletów maszynowych typu „Mors” jako serię próbną; jej projektantami byli Piotr Wilniewicz i J. Skrzypiński (także autorzy doskonałego polskiego pistoletu typu „Vis”). Wprowadzeniu pistoletu maszynowego do uzbrojenia wojska polskiego przeszkodził wybuch wojny.

Zataczający od 1943 roku coraz szersze kręgi ruch partyzancki potrzebował broni wszelkiego rodzaju, ale przede wszystkim broni maszynowej, szczególnie, ze względu na swój wymiar i skuteczność, przydatnej w walce konspiracyjnej.

Żandarmeria niemiecka, ekspedycje karne, nie mówiąc już o formacjach frontowych, dysponowały pokaźnymi ilościami lekkich pistoletów maszynowych.

Jeśli żołnierz leśny miał im stawić czoło – musiał posiadać również broń tego rodzaju.

Bardzo dobrze rozumiał to „Ponury”. Oddajmy głos „Antoniewiczowi”:

Z napływem ochotników rosną kłopoty „Ponurego”. Wielu przybyłych do lasu było słabo uzbrojonych, względnie nie posiadało wcale broni. Nie lepiej przedstawiała się sprawa z amunicją, tak do broni maszynowej, jak i do karabinów. Ilość pistoletów maszynowych, jak i granatów była nikła. Stan ten martwił „Ponurego”. Zdawał sobie sprawę, że do rozpoczęcia większych akcji nie jest przygotowany. [...] Napływ ochotników trwa. Przychodzą jednak nadal bez broni. Rozmowy, jakie przeprowadza „Ponury” w sprawie przekazania mu części broni znajdującej się w magazynach AK, nie dają rezultatów. Broń ta ma swoje przeznaczenie. Ma być użyta dopiero w okresie powstania. Komendant Okręgu ponadto stoi na stanowisku, że „Ponury” powinien nie tylko sam się dobroić, ale jeszcze powiększyć zapasy magazynów Okręgu. Stan ten zmusza „Ponurego” do wydania zarządzenia, że bez broni ochotników już przyjmować nie będzie¹¹⁶.

¹¹⁶ *Próba zarysu*, s. 10-12.

Zaopatrzenie zrzutowe, wtedy jeszcze nikle, wiosną 1943 roku prawie w całości szło do konspiracyjnych magazynów, oczekując powstania ogólnonarodowego, broń zdobyczna też nie stanowiła wielkich pozycji, w co więc miał uzbroić swoich żołnierzy? Myśl podjęcia własnej produkcji pistoletów maszynowych zrodziła się u „Ponurego” dosyć wcześnie. Trudno było kusić się o opracowanie w warunkach leśnych własnej konstrukcji, na szczęście angielski zrzutowy sten wydawał się być najłatwiejszy do skopiowania i wykonania.

Pierwsze niekompletne szkice wykonał na zlecenie swego dowódcy znajdujący się w lesie były rusznikarz wojskowy plut. „Jurek” – Stefan Nawrocki, nazywany często „Bazyliem”¹¹⁷. Były to jednak rysunki odręczne, pozbawione wartości technicznych, gdyż „Bazyli” nie miał odpowiedniego wykształcenia, jak również najprymitywniejszych przyrządów pomiarowych. Dlatego też projekty powstające pod świętokrzyskimi jodłami nieprędko doczekałyby się realizacji, gdyby nie kontakt z inż. Kazimierzem Czerniewskim z fabryki Tańskich w Suchedniowie.

¹¹⁷ Miał lewe papiery na nazwisko Bazylewicz.

Zamiłowanie do broni u inż. Czerniewskiego datowało się jeszcze z czasów gimnazjalnych. Nabrało ono rumieńców w czasie przynależności do Sekcji Strzeleckiej „Legii” w Warszawie, gdzie majsterkowanie w warsztacie rusznikarskim pozwoliło poznać wszelkie jej tajniki. Brak pieniędzy u młodych amatorów strzelectwa powodował, że sporządzali sposobem chałupniczym naboje z wystrzelonych łusek, dorabiali uszkodzone części itd.

Rozmiłowanie w broni było tak silne, że gdy przyszedł czas wyboru studiów, Kazimierz Czerniewski bez namysłu zapisał się na sekcję amunicyjną wydziału mechanicznego Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn im. M. Wawelberga i S. Rotwanda.

W latach 1929-36 pracował w Centralnym Biurze Konstrukcji Wagonowych Towarzystwa Przemysłowego Zakładów Mechanicznych w Warszawie S.A. Lilpopa, Raua i Loewensteina, a wolne chwile, jakie mu jeszcze pozostawały po pracy i studiach, poświęcał na uzupełnienie wiedzy wojskowej, kończąc kursy specjalistyczne budowy samochodów pancernych i czołgów, elektrotechniki wojskowej, optyki wojskowej oraz ogólnoinformacyjny, prowadzone przez Towarzystwo Wojskowo-Techniczne.

Gdy w 1938 roku Kazimierz Czerniewski po ukończonych studiach zjawiał się w Skarżysku, był specjalistą w przemyśle wojennym. Nic więc dziwnego, że znalazł zatrudnienie w tamtejszych zakładach amunicyjnych.

Mniej więcej w tym właśnie czasie fabryczka w Suchedniowie zmieniła swój kolejny profil produkcyjny i rozpoczęła wytwarzanie części dla przemysłu zbrojeniowego.

Był to zasłużony zakład, pamiętający czasy Staszica. W roku 1863 w tej to kuźni reperowano broń powstańcom z partii Langiewicza. Potem zakład powiększył się i produkowano tu maszyny rolnicze oraz odlewano garnki. Jego późniejszy właściciel, Starke, wybudował dla swych synów filię fabryki suchedniowskiej w Kielcach, której nazwa przetrwała aż do połowy lat 60-tych – „Suchedniowska Huta Ludwików” (w skrócie SHL).

Niedługo filia przerosła protoplastę i zaraz po pierwszej wojnie światowej oddział w Kielcach pracował pełną parą, a „fabrykę-staruszkę” w Suchedniowie unieruchomiono.

W 1939 roku fabrykę wydzierzawiła rodzina Tańskich i – jak wspomniano wyżej – uruchomiono tu produkcję pomocniczą dla przemysłu zbrojeniowego. Wykonywano osprzęt do dział, skorupy do bomb lotniczych – konwencjonalnych i specjalnych, oświetleniowych, wyposażenie baterii artyleryjskich oraz zestawy kluczy francuskich dla odbiorców cywilnych.

Jeden z właścicieli, były rotmistrz Stanisław Tański, był powiązany wzajemnymi zależnościami finansowymi z sąsiednimi zakładami zbrojeniowymi w Starachowicach i Skarżysku i gdy wybuchła wojna, grupa konspiracyjna ZWZ, z którą współpracował już po wkroczeniu Niemców, pod pozorem

konserwacji maszyn wymontowała ze wszystkich obrabiarek znajdujących się w Skarżysku jeden element. Uniemożliwiło to Niemcom rozpoczęcie produkcji amunicji karabinowej przez przeszło dwa lata. W styczniu 1940 roku Tański został aresztowany, a w maju tegoż roku wraz z żoną Marią – rozstrzelany.

Tymczasem w Suchedniowie zaraz po zakończeniu działań wojennych powrócono do dawnego profilu produkcji – fabryczkę zatrudniającą teraz około stu pięćdziesięciu osób opuszczały bańki, odstojniki na mleko, młocarnie, siewczarnie, wialnie, kieraty i wozy chłopskie.

Była to produkcja, w której angażowano tylko część możliwości technicznych zakładu, bo fabryczka – choć mała – dysponowała dziesięcioma tokarkami, kilku frezarkami, strugarkami, prasami, spawalnią, kuźnią, blacharnią, piecem hartowniczym itd. Dlatego też w ścisłej konspiracji na przełomie 1939/40 roku można tu było wykonać kilka rusznikarskich napraw broni dla operującego w okolicy pierwszego oddziału partyzanckiego pod dowództwem mjr. „Hubala” – Henryka Dobrzańskiego.

Tu zaraz po klęsce 1939 roku znalazł zatrudnienie inż. Czerniewski. Po śmierci Marii i Stanisława Tańskich Sąd Okręgowy w Kielcach mianował go kuratorem majątku spadkobierców.

Zarząd niemiecki pobliskich zakładów w Skarżysku dopominał się zwrotu fachowca, ponieważ fabryka amunicyjna musiała natychmiast rozpocząć produkcję, ale o ile rok wcześniej inż. Czerniewski rwał się do zakładów, obecnie stronił od nich za wszelką cenę. W oparciu o suchedniowską fabrykę służył wiedzą każdemu, kto jej potrzebował do walki z okupantem. W latach 1939-42 „uzdrowiono” tu niejedną martwą broń. Ale naprawiać było to za mało dla ambitnego konstruktora. Inż. Czerniewski czuł, że jego zakład może oddać daleko większe usługi w tej dziedzinie, tyle że – na razie – nie było z kim rozmawiać.

Aż pewnego styczniowego wieczoru 1943 roku ktoś zapukał w okno mieszkania inżyniera i przez zaszywaną szybę gospodarz rozpoznał swego dobrego znajomego „Borutę” – Albina Żołądka.

Chodziło o sprawę ważną i szybką – o naprawę nowego pistoletu maszynowego pochodzącego z angielskich zrzutów. Żołądek wyjął spod kozucha oksydowanego stena. Jeden rzut oka wystarczył inżynierowi, by stwierdzić, że ma przed sobą broń, którą bez specjalnego trudu może wykonać w Suchedniowie.

Naprawy dokonano szybko, ale od tego czasu sten prześladował Czerniewskiego. Po wielu próbach udało mu się wreszcie nawiązać kontakt i dotrzeć w początkach marca do Komendy Głównej AK. Tu, w referacie do spraw broni wydziału produkcji, przyjął go sam szef „Ryszard” – Witold Gokieli.

Nad propozycją produkcji stenów rozmówca inżyniera przeszedł do porządku, nie podejmując tego tematu. Poleciał Czerniewskiemu rozpracować zagadnienie wytwarzania magazynków do rkm Browninga oraz wykonać dwieście tych magazynków miesięcznie. Inżynier obstawał, że obok tych dwustu magazynków może wytwarzać także pistolety, ale Gokieli przeciął krótko:

– Tu jest wojsko i są rozkazy, a nie wiecowe dyskusje.

Tak więc Czerniewski opuścił Warszawę bez sfinalizowania sprawy. Pomysły swojego jednak nie zarzucił. I chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że kontakt z lasem, z oddziałem partyzanckim, ma w sobie elementarne momenty dekonspiracji, nie było innego wyjścia.

Pierwsze kontakty ułatwił mu Albin Żołądek. Rankiem, w końcu maja, poprowadził Czerniewskiego ku Wykusowi. Tam w szalasiu oczekiwał inżyniera „Ponury”, a obok niego „Rafał”, „Czarka”, „Robot” i „Nurt”.

Rozmowa była z gruntu inna niż w Warszawie.

– Naturalnie, że pistolety – mówił „Ponury” – Z chwilą gdy będę miał sto stenów, zdobędę w walce niemiecką fabrykę amunicji w Skarżysku.

„Ponury” podkreślił, że sprawa produkcji broni we własnym zakresie chodziła mu po głowie nie od dziś, i na dowód tego pokazał Czerniewskiemu rysunki stena, wykonane przez „Jurka”-„Bazylewicza”.

W trzy tygodnie od tej rozmowy, w końcu czerwca 1943 roku, inż. Czerniewski, pseudonim „Korebko”, dostarczył na następne spotkanie z „Ponurym” trzy steny wykonane w Suchedniowie.

Były to pierwsze egzemplarze – początek seryjnej produkcji w zakładach znajdujących się w okupowanym kraju. Pierwszeństwo to – o ile wiadomo – można też rozciągnąć na całą okupowaną Europę.

Suchedniowska produkcja uzyskała niedługo pełną akceptację ze strony wizytującego zgrupowanie szefa Kedywu pika „Nila”, członka Komendy Głównej AK. Jednak miast przejść pod siatkę konspiracji, pozostała nadal związana z lasem. W tym czasie w fabryce powstała komórka konspiracyjna AK, której komendantem mianowano „Korebkę”.

Wykonanie trzech sztuk prototypowych pistoletów maszynowych było przedsięwzięciem o wiele łatwiejszym niż uruchomienie produkcji taśmowej przewidywanej na dziesiątki, a potem na setki sztuk. Załoga liczyła ponad sto pięćdziesiąt osób i nie można było dopuścić do tajemnicy wszystkich. Wybrać ludzi – to był dopiero początek zadania. Bo nawet ludzie wybrani, zaufani nie mogli zbyt otwarcie wykonywać poszczególnych elementów na tokarkach i frezarkach w dużych pomieszczeniach, gdzie kręciło się kilkunastu nie wtajemniczonych pracowników.

Z pomocą przyszły... zamówienia dla Niemców. W tym czasie udało się inżynierowi skłonić dyrektora zakładu, Stanisława Olbrycha – na razie nie wtajemniczonego – do przyjęcia takiej ilości zleceń, która wykluczałaby możliwość wykonania ich na jednej zmianie. To uzasadniało potrzebę uruchomienia drugiej zmiany.

Odpowiedni podział załogi sprawił, że na pierwszej zmianie pracowali robotnicy wykonujący zamówienia dla Niemców, na drugiej zaś, w zespole o wiele mniejszym, produkowano przeważnie pistolety. Naturalnie zdarzało się, że na pierwszej zmianie wytwarzano części o trudniejszym do rozszyfrowania kształcie, a na drugiej wykańczano produkcję dla Niemców. Ogólnie rzecz biorąc, taki podział ułatwiał nieco wytwarzanie broni.

W tym też czasie „Ponury” przydzielił z lasu do pomocy produkcyjnej inż. „Korebce” plut. „Jurka”- „Bazylewicz”. Razem z nim skierowano do fabryki dwóch partyzantów: „Bronka” – Bronisława Sianoszka oraz „Colta” – Józefa Bałdygę. Byli to żołnierze plutonu ochronnego dowódcy zgrupowania. „Bronek” został dowódcą ochrony produkcji, „Colt” utrzymywał łączność z oddziałem, pomagał przy montażu broni oraz uzupełniał „Bronka” w zadaniach ochronnych.

Jak wyglądał podział pracy w czasie produkcji broni, kto brał w niej udział i jakie prace wykonywał, najlepiej przedstawi fragment wspomnień inż. „Korebki”¹¹⁸:

¹¹⁸ *Konspiracyjna produkcja broni i amunicji w Kielecczyźnie i na obszarach sąsiednich 1939-1945; Materiały z seminarium historycznego ZBoWiD w Suchedniowie w dniu 15 maja 1965 r., „Biuletyn Historyczny”; referat inż. „Korebki”, s. 9 i dalsze.*

Prace przy produkcji stenów rozpoczął zespół złożony z kilkunastu ludzi. W miarę narastania zadań dobierano następnych. W okresie pełnej działalności zespół produkcyjny liczył dwudziestu kilku członków oraz kilka osób zajętych wyłącznie ochroną i powiązaniem z władzami konspiracyjnymi. Kilku zajętych zasadniczo kierowaniem pracowało również przy produkcji. W okresie produkcji pistoletów maszynowych zespół konspiracyjny tworzył jednostkę wydzieloną pod moim dowództwem. Moim zastępcą w zespole konspiracyjnym był „Jurek”. Na warsztacie zachował się układ władz zgodny ze schematem organizacyjnym fabryki produkcji cywilnej. To znaczy: zastępcą na warsztacie normalnie był inż. Laure, w produkcji zaś wykańczającej, wykonywanej poza obrębem warsztatu w mieszkaniu O. Wiszniewskiego bądź na nocnej zmianie tylko przy tajnej produkcji – „Jurek”. W normalnych warunkach dziennej zmiany prowadził prace starszy mistrz W. Ney. W poszczególnych działach – brygadziści.

Członkowie zespołów nie używali żadnych pseudonimów. Niektórzy z uwagi na osobiste powiązania poza pracą i ogólną pozycję społeczną nie byli zaprzysiężeni. Zarobki były wypłacane za pośrednictwem normalnej listy płacy w systemie akordowym. Fabryka otrzymywała z konspiracji jedynie zwrot kosztów robocizny bezpośredniej wypłaconej robotnikom. Nikt z personelu technicznego i kierownictwa nie otrzymywał żadnej specjalnej zapłaty z tytułu pracy na potrzeby konspiracji.

Wykonywanie elementów nie zwracających uwagi i półfabrykatów odbywało się na warsztacie normalnie w oparciu o rysunki firm niemieckich. Roboty na obrabiarkach elementów o wyglądzie broni prowadzono na zmianie nocnej. Oksydacja broni była całkowicie wykonywana w mojej kuchni. Wykańczające roboty rusznikarskie i montaż pistoletów były prowadzone w mieszkaniu O. Wiszniewskiego przy biurze technicznym lub w moim mieszkaniu w fabryce.

Dla ułatwienia zdobycia deficytowych stali stopowych na niektóre elementy broni były przyjęte zlecenia na produkcję gwintowników dla zakładów w Skarżysku. Umowa bardzo korzystna dla naszych zakładów była oparta na łapówkach. Volksdeutsch prowadzący te sprawę nieświadomie przekazywał niezbędne materiały dla produkcji stenów (...)

Bezpośrednią produkcją byli zajęci: Józef Kazimierski, Marian Spychaj, Janina Czerniewska I, Olgierd Wiszniewski, Feliks Zolbach, Jan Miernik, Józef Skrobot, Janina Czerniewska II, Mieczysław Gibas, Jerzy Miernik, Andrzej Wielechowicz, Julian Świtek, Stefan Krogulec, Marian Zatorski.

Prace rysunkowe, rozliczenia zarobków pracowników zespołu i prace pomocnicze wykonywali: inż. Walery Zieleziński, Wiktor Miernik, Jerzy Herman, Bogdan Kolasiński, Eugenia Trzeciak, Marianna Charabin.

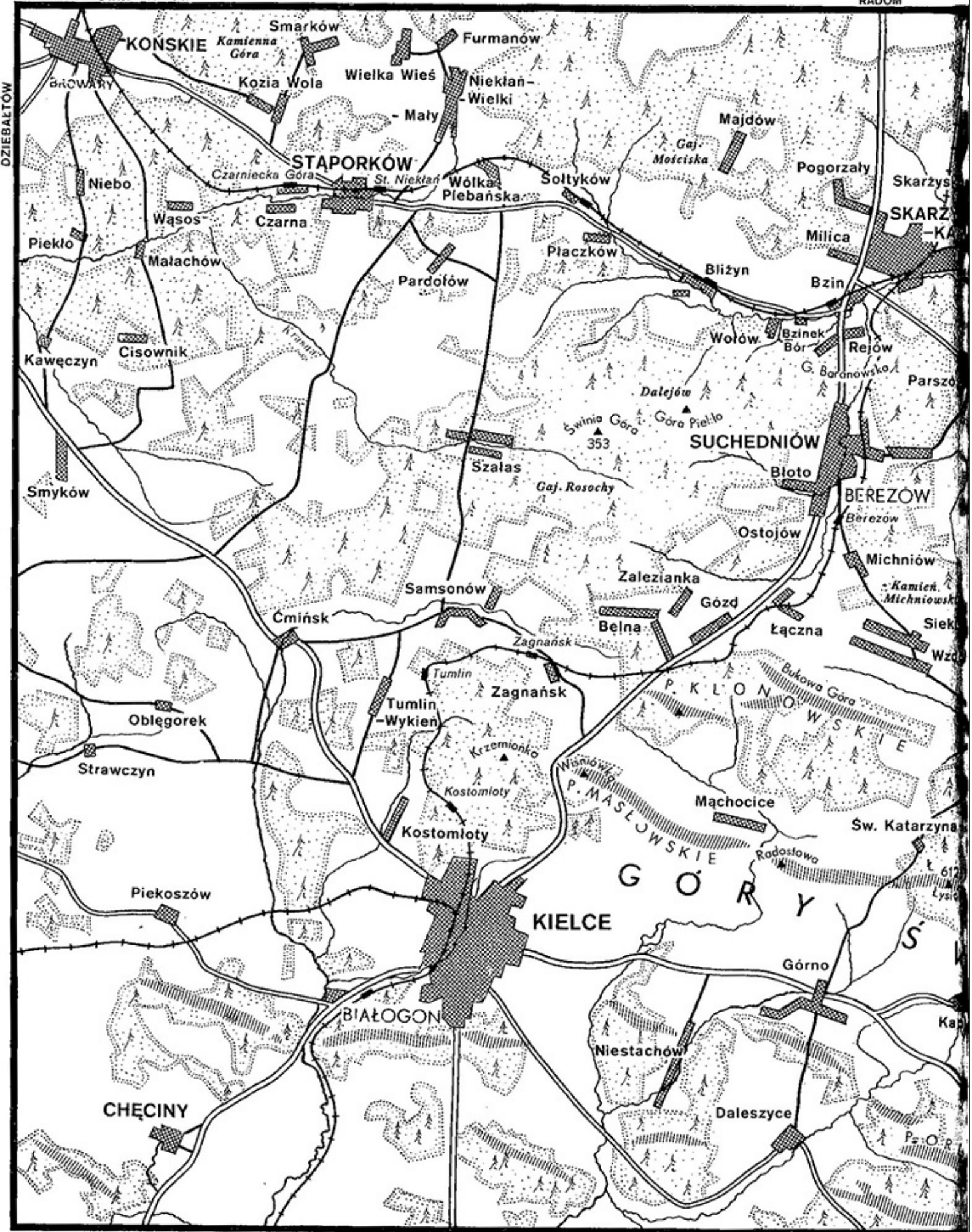
Funkcję obrony produkcji pełnili: Bronisław Sianoszek, Józef Bałdyga, dyr. Stanisław Olbrych, Jerzy Hakenberg.

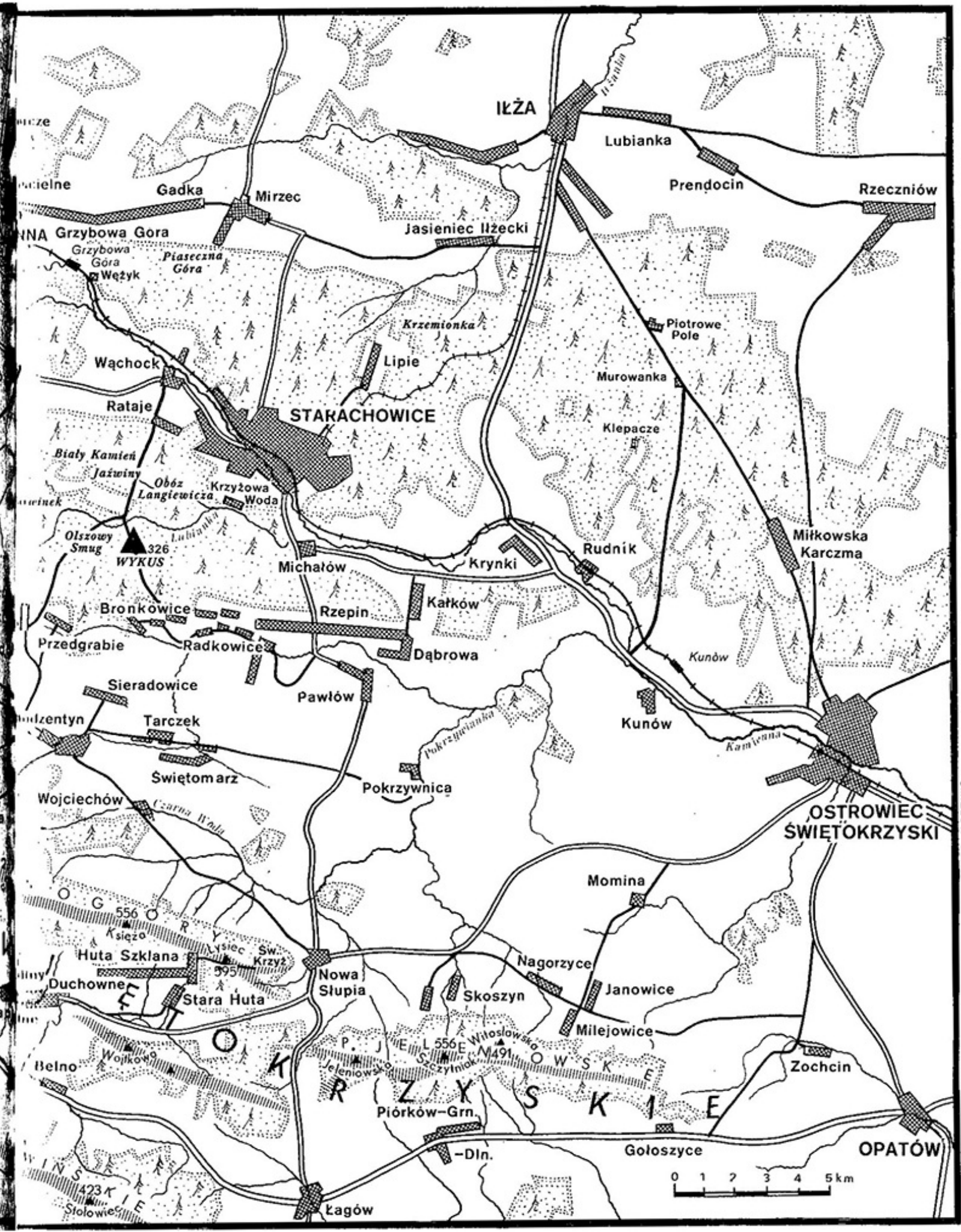
Pracami wykonywania broni kierowali: „Jurek”, inż. Mieczysław Laure, Włodzimierz Ney.

Tak więc w początkach lipca 1943 roku, zaledwie w miesiąc po rozpoczęciu działalności „Ponurego” w Górach Świętokrzyskich, Zgrupowania Partyzanckie było na najlepszej drodze, aby we własnym zakresie rozwiązać jedną z największych bolączek oddziałów leśnych – stałe zaopatrzenie w szybkostrzelną broń maszynową. W oddziale wiedziało o tym wyłącznie dziewięciu ludzi – pięciu skoczków, tj. „Ponury”, „Czarka”, „Rafał”-„Mocny”, „Robot” i „Nurt” oraz „Boruta”, „Jurek”, „Broniek” i „Colt”.

„Korebko”, który instynktownie wyczuwał w kontaktach z lasem główne niebezpieczeństwo dekonspiracji, zastrzegł sobie absolutną tajemnicę, co uroczyście mu zagwarantowano.

Nowym stenom nadano wygląd upodabniający je całkowicie do wzorów angielskich, a nawet wybito na nich te same symbole i znak serii, aby stworzyć pozory, że broń ta nie może pochodzić skądinąd, jak tylko z Anglii. Suchedniowski zespół producentów ustalił zasadę, której starał się wiernie trzymać: „Niech Niemcy szukają stenów na niebie, a nam pozwolą je w możliwym spokoju produkować na szarej, umęczonej polskiej ziemi”.





IŁŻA

Lubianka

Prendocin

Rzeczniów

Gadka

Mirzec

Jasieniec Iłżecki

Grzybowa Góra

Grzybowa Góra
Wężyk

Piaseczna Góra

Krzemionka

Piotrowe Pole

Wąchock

Lipie

Murowanka

Rataje

STARACHOWICE

Klepacze

Biały Kamień

Obóz Langiewicza

Krzyżowa Woda

Rudnik

Miłkowska Karczma

Olszowy Smug

WYKUS 326

Michałów

Krynki

Bronkowice

Rzepin

Katków

Przedgrabie

Radkowice

Dąbrowa

Kunów

Sieradowice

Pawłów

Kunów

Żelazentyn

Tarczek

Pokrzywnica

OSTROWIEC ŚWIĘOKRZYSKI

Świętomarz

Wojciechów

Momina

Huta Szklana

Ysiec Sw. Krzyż

Nagorzycze

Duchowne

Stara Huta

Nowa Słupia

Skoszyn

Janowice

Belno

Wojków

Jeleniowski

Piorków-Grn.

Milejowice

Zochcin

Winiarskie

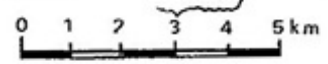
Stołowiec

Kagów

-Dln.

Goloszyce

OPATÓW



Wykus – Świętokrzyska Republika Partyzancka

Melduję, że w dn. 4 VI 1943 r. objąłem funkcję k-ndta „Kedywu” Okręgu Kieleckiego PZP¹¹⁹.

¹¹⁹ AZHP, 228/26-3. PZP – Polski Związek Powstańczy – kryptonim okresowo używany w AK.

Tak zaczął „Ponury” raport pisany pół roku później (3 I 1944 r.) do Komendanta Głównego AK, gen. „Bora”. Nie ulega wątpliwości, że „Ponury” – skoczek spadochronowy z odpowiednim przeszkoleniem w Anglii, z półtoraroczną praktyką dywersyjną na wschodzie, z doświadczeniami II Odcinka „Wachlarza” oraz po zdaniu tak ciężkiego egzaminu w Pińsku – był jednym z najwłaściwszych ludzi na to stanowisko. A jednak wszystko wskazuje na to, że „Ponury” go nie chciał. Był zbyt inteligentny i wprowadzony w sprawy dywersji, aby można było sądzić, że nie rozumiał czy nie orientował się, na czym polega kierowanie dywersją Okręgu. Już pierwsze jego kroki na Kielecczyźnie wskazują jednak na to, że nie chciał pojmować tej funkcji tak, jak mówiły zalecenia, że wbrew ustalonemu porządkowi postawił sprawę leśnego wojska nad klasycznie pojmowane zadania Kedywu.

„Ponury” miał już wyraźnie dosyć konspirowania, krycia się, sporadycznych akcji, lewych papierów i zagraconych melin na strychach czy w suterrenach. Uznał, że czas przejść do walki czynnej, do tworzenia stałej siły zbrojnej, którą chciał bezpośrednio dowodzić. Była to jedna z form kedywowskiego działania, forma dopiero wprowadzana w życie w Armii Krajowej Okręgu Kieleckiego. Czy więc nie łatwiej było stać się dowódcą oddziału i nie brać sobie na głowę całego balastu kierowania dywersją w Okręgu tak trudnym jak kielecki?

Na pewno byłoby to sprawą łatwiejszą, ale chyba wyłącznie „Ponury” obawiał się wędzidła, które mógł mu założyć – dowódcy oddziału leśnego – szef okręgowy Kedywu. Przywykły do dużej samodzielności szef sabotażu na wschodzie, mający pod swoją prawie nie kontrolowaną władzą teren pięć razy większy niż Kielecczyzna, bał się tak krótkiego munsztuka, a pierwsze rozmowy zarówno z Komendą Główną, jak i Komendą Okręgu przekonały go, że entuzjastów dla swych partyzanckich zamiarów nie znajdzie tam łatwo. Wobec tego postanowił posłużyć się fortem: zgodził się na to, aby objąć funkcję szefa okręgowego Kedywu, choć – jak wykazała to najbliższa przyszłość – nie miał zamiaru pełnić jej w taki sposób, jak sobie tego życzyły KG i KO AK.

Dlaczego to zrobił? Chyba właśnie dlatego, żeby stać się własnym dowódcą, aby nie dopuścić na to stanowisko nikogo, kto miałby bezpośrednią władzę nad nim. Bo szef Kedywu okręgowego – choć w zasadzie podlegający Komendzie Okręgu – miał jednak dużą samodzielność, podlegał operacyjnie bezpośrednio szefowi Kedywu KG AK pułkownikowi „Nilowi”, „Nil” zaś znany był z tego, że nie pozwalał w swój zakres działania wtrącać się oficerem ze sztabów okręgowych.

Co skłania do przypuszczenia, że „Ponury” od początku potraktował sprawę swej zgody na kierowanie dywersją okręgową jako wybieg? Przemawia za tym kilka elementów. Po pierwsze, w okresie najtrudniejszym – tworzenia Zgrupowań – chciał mieć możliwie największą swobodę, po drugie – gdy to osiągnął – po czterech miesiącach sam, z własnej woli, złożył tę funkcję i po trzecie – „Ponury” takich forteli używał nie po raz pierwszy. Gdy w jesieni 1941 roku z Anglii miał skoczyć do Polski pierwszy oficer, którego zadaniem było przygotować „kosze” do zrzutów, „Ponury” zgłosił się bez namysłu, by tylko znaleźć się w walczącym kraju. Zadanie to traktował jako zło konieczne i gdy nadarzyła się pierwsza okazja, zmienił przydział administracyjny na bojowy i poszedł do „Wachlarza”. Teraz powtórzył ten wybieg – obejmując funkcję szefa Kedywu.

Komenda Okręgu Kieleckiego przyjęła ten dualizm jako dopust boży, nie sprzeciwiano się jednak temu otwarciu. Jak się później okaże, liczone na to, że „Ponury” po wstępnym okresie uporządkowania leśnych spraw podzieli wojsko na kilka małych oddziałów partyzanckich, które będą działały raczej

sporadycznie, sam zaś z konspiracji, a nie z lasu będzie kierował Kedywem. Rachuby te okazały się mylne. „Ponury” nie traci ani chwili i zaraz po przyjeździe rzuca się w wir spraw organizacyjnych leśnego wojska. Najważniejszą rzeczą było zebranie w jedną całość grup chodzących dotąd luźno.

Pierwsze oparcie znalazł u „Nurta” i „Robota” w oddziale „Wilka” na Kamieniu, a gdy w początkach czerwca przyjechali „Czarka”, „Rafał” i „Motor” wraz z trzydziestoosobową grupą warszawską, „Ponury” miał już pod swoimi rozkazami ponad siedemdziesięciu żołnierzy.

W początkach czerwca oddział przeniósł swą bazę w miejsce, które wydało się jakby stworzone dla tego celu – na Wykus. W kompleksie leśnym, rozpościerającym się między Bodzentynem – na południe, Skarżyskiem-Kamienną i Wąchockiem – na północ, Suchedniowem – na zachód, Starachowicami – na wschód, Wykus zajmował punkt prawie centralny. Wzgórze 326, jedno z największych w okolicy, otoczone zewsząd borem, stanowiło teren łatwy do obrony i odskoku, ale utrudniający jednocześnie nieprzyjacielowi przeprowadzenie niespodziewanego najazdu czy obławy. Placówki konspiracyjne we wsiach leżących na krańcach lasów, w odległości od kilku do kilkunastu kilometrów od Wykusu, mogły ostrzec oddział wcześniej, niż była w stanie dotrzeć tam obława lub grupa pacyfikacyjna. Walory obronne tego terenu potrafił wykorzystał osiemdziesiąt lat przed „Ponurem” inny partyzant – Langiewicz, który założył swój obóz na północny wschód od Wykusu.

Wykus oczarował pierwszych żołnierzy „Ponurego” dzikim starodrzewem, śpiewem ptactwa, wolnością, której tu mogli zażywać bez miary, bliskością obozowiska powstańców 1863 roku.

Gdy oddział zaczął budować solidne, trwałe szałas pod szczytem i w okolicach wzgórza, komendant konferował z dowódcami kilku grup partyzanckich, które znajdowały się już w lesie; powstały one na wiosnę, a w skład ich weszli spaleni ludzie z placówek AK. Grupy te dotąd chodziły luźno. Kilka miesięcy samodzielnego działania odsłoniło przed nimi wszystkie pluse i minusy tej samodzielności. Słabe uzbrojenie, brak butów, ubrań oraz trudności w zdobywaniu wyżywienia dawały się poważnie we znaki. Dlatego też sprawa podporządkowania się nowemu dowódcy trafiła na mniejsze trudności, niż początkowo przypuszczano.

Przed przybyciem „Ponurego” Wykus miał już wcześniej swego partyzanckiego gospodarza. Był nim oddział „Chłopców z lasu” dowodzony przez ppor. Eugeniusza Domoradzkiego – „Grota”, który prowadził swój partyzancki żywot już od 2 marca 1943 roku. W czerwcu miał on pod komendą ponad 50 żołnierzy z okolicznych placówek AK, przeważnie z Bodzentyna oraz dwóch oficerów: zastępcę dowódcy ppor. „Michała” – Jerzego Cybulskiego i oficera dyspozycyjnego ppor. „Dzika” – Mariana Świderskiego. Drużynami, na jakie podzielony był oddział, dowodzili plut. pchor. „Wacław” – Franciszek Wojtasiewicz, jego brat Jan mający pseudonim „Janusz”, kpr. „Edek”, kpr. „Brzoza” (obaj NN), pchor. „Łysak” – Józef Tofil oraz kpr. pchor. „Filip” – Zenon Kazubiński. Uzbrojenie, jak na ówczesne warunki, mieli także dostatnie – składało się ono, poza 30 karabinami i prawie setką granatów, z czterech erkaemów i dwóch pistoletów maszynowych. Ambitny oficer, otrzymawszy z komendy Obwodu rozkaz podporządkowania się „Ponuremu”, mógł zameldować nowemu dowódcy wcale pokaźny dorobek bojowy oddziału. „Chłopcy z lasu”, bo taką nazwę oddział przyjął, 10 kwietnia urządzili udaną zasadzkę na bielińską żandarmerię, zabijając i raniąc kilku Niemców, 24 kwietnia w nadleśnictwie Siekierno zarekwirowali 40 zdeponowanych tam na jedną noc dubeltówek, 7 maja w zasadzce pod Wojciechowem zlikwidowali kilkunastu żandarmów, wydatnie dozbrajając oddział, wreszcie 2 czerwca spalili w Wąchocku niemiecki tartak.

Prawie równocześnie stawił się przed „Ponurem” dowódca innego oddziału „Oset” – Władysław Wasilewski, dowodzący dwiema drużynami – harcerzami ze Skarżyska oraz dwunastką autentycznych Gruzinów.

Ich drogi do lasu były także ciekawe. Najpierw harcerze skarżyscy pod komendą „Waltera” – Jana

Czernikiewicza od marca byli w oddziale „Grot”, potem coś im się nie ułożyło, więc odeszli do oddziału GL „Narbutta”. W tym czasie dołączyło do nich 12 zbiegłych z Ostlegionu z Kielc Gruzinów pod dowództwem kpt. Armii Czerwonej „Kazbeka”. Z obu tych grup stworzono oddzielną jednostkę, nad którą objął komendę „Oset”, a drużyny prowadzili „Walter” i „Kazbek”. Gdy oddział GL rozbiła 15 maja niemiecka obława pod Zalezianką „Oset” poprowadził swoich w lasy siekierzyńskie, a potem na Wykus. Tuprawie równocześnie z „Grotem” podporządkował się „Ponuremu”.

W połowie czerwca na Wykusie melduje się chorąży „Szort” – Tomasz Waga ze swymi ludźmi. Ten doświadczony żołnierz, wieloletni zawodowy instruktor szkół podoficerskich, przyprowadził oddział niewielki, dwudziestoosobowy, ale przeszkolony i nieźle uzbrojony w broń uzyskaną z Okręgu; mają 1 elkaem, 1 erkaem i 16 karabinów. Jego ludzie rekrutują się z dwóch grup: z dawnej NOW – Narodowej Organizacji Wojskowej, podporządkowanej AK, i ośmiu ludzi, którzy ostatnio dołączyli od „Szaszki” i „Brzozy” z Pasma Jeleniowskiego.

I tak co kilka dni warty przyprowadzają pojedynczych żołnierzy lub całe grupki proszących o przyjęcie do Zgrupowań albo też sygnalizują zbliżanie się całych oddziałów.

Przed 20 czerwca, na rozkaz komendanta Obwodu AK Starachowice, podporządkowuje się „Ponuremu” luźno dotąd chodzący oddział ppor. „Czerwonego Jurka” – Władysława Czerwonki. Mają dwa erkaemy, dwa pistolety maszynowe, karabiny oraz wielką – jak na warunki leśne – ilość amunicji, po sto sztuk na karabin.

„Czerwony Jurek” przyprowadził oddział okrzepnięty, zgrany. Jemu i „szefowi”, plut. „Redowi” – Józefowi Stępińskiemu podlegało 35 ludzi, którzy od wiosny zdołali nie tylko uzbroić się, ale i przetrzepać Niemców z zasadzki na szosie Iłża – Skaryszew i haratać się przez kilka godzin z przeważającymi siłami żandarmerii w lasach prendocińskich, gdzie oddział terenu nie oddał; stracił co prawda trzech zabitych – kucharza „Młota” – Edwarda Półtoraka i strzelców „Niwę” – Józefa Pietrasa oraz „Kulę” – Stanisława Bilskiego – ale uchodzący Niemcy wywieźli także trzech zabitych i kilkunastu rannych.

W czerwcu dociera do bazy na Wykusie skierowany tu z Warszawy ppor. „Marianiński” – Stanisław Pałac, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego¹²⁰. Tkwiąc w konspiracji od stycznia 1940 roku, we wrześniu 1941 roku został skierowany do inspektoratu krasnostawskiego w Okręgu Lubelskim ZWZ, skąd po roku działania wrócił do Warszawy. Tu organizował wywiad akowski w komisariatach policji granatowej. W pierwszych miesiącach 1943 r. przez „Stefanowskiego” poznał „Ponurego” i w czerwcu tegoż roku został skierowany do lasu.

¹²⁰ Centralny Instytut Wychowania Fizycznego podlegający MSW i MWRiOP, od 1938 roku, w wyniku strajku studentów, wywalczył sobie prawa akademickie i zmienił nazwę na AWF.

Koncentrowanie leśnych oddziałów i związane z tym problemy to nie jedyne trudności, z jakimi boryka się „Ponury”. Od samego początku swego pobytu w Kieleckim czuje chłodną rezerwę ze strony władz Okręgu i milczącą dezaprobatę. Zajęty sprawami zgrupowania nie zapomina ani na chwilę, że niedługo musi dojść do decydującej rozmowy i rozstrzygnięć w sprawie – Kedyw czy partyzantka. Stara się więc usilnie o to, aby do rozmów tych doszło na jego gruncie, aby w sporze, który przeczuwa, wygrać ważki argument – atmosferę polskiego lasu, bazy leśnego wojska.

Dlatego też tak lawiruje, tak kluczy i zwleka z przyjazdem na meliny Okręgu, że wreszcie dopina swego – Komenda Okręgu powiadamia go, że odprawa odbędzie się w lesie, w bazie „Ponurego” na Wykusie. Zostaje ustalona data – 12-13 czerwca 1943 roku.

„Ponury” przygotowuje się do tego spotkania z wprawą wytrawnego reżysera. Ma już pod swoją komendą ponad stu żołnierzy i choć komenda ta trwała dopiero kilkanaście dni, żołnierz jest karny, a obóz robi wrażenie schludne. Na polance przed szałasami „Ponury” poleca ustawić na wysokim trójnogu

cekaem.

Oto jak ocenia tę naradę sam „Ponury”¹²¹:

¹²¹ Raport „Ponurego” do Komendanta Głównego AK z 3 I 1944 r., AZHP, 228/26-3.

W dniu 12 i 13 VI odbyłem pierwszą odprawę w obecności K-ndta Okr. i Szefa Sztabu Okr. ze wszystkimi komendantami „Kedywu” obwodowymi i oficerami „Kedywu” Okręgowego. Tematem odprawy było ustalenie celu i zadań oraz organizacji „Kedywu” okręgowego jako kierownictwa walki czynnej na terenie Okręgu. Na dwudniowej odprawie w ustnym referacie, instrukcjach pisemnych, szkicach i oleatach – przedstawiłem projekt organizacji i zakres działania „Kedywu”. Projekt mój był zgodny z rozkazami i wytycznymi organizacyjnymi Komendanta Głównego, dostosowany do warunków miejscowych. Warunki te nakazywały: 1) prowadzenie walki czynnej przy pomocy dywersji zakonspirowanej przy komendantach obwodów PZP w zakresie likwidacji szpiclów, terroru pojedynczego, drobnej dywersji, sabotażu; 2) przez uporządkowanie kompleksów leśnych z band różnego rodzaju i przeprowadzanie w nich selekcji – stworzenie z elementu pozytywnego polskich zgrupowań partyzanckich dla prowadzenia większych akcji odwetowych, stworzenia bezpieczeństwa i samoobrony terenowi oraz osłony działań dywersji zakonspirowanej.

W wyniku odprawy K-ndt Okr. uznał mój projekt i zatwierdził jako rozkaz organizacyjny dla „Kedywu”, anulując poprzedni rozkaz.

Bardziej szczegółowo i nieco inaczej opisuje jej przebieg „Antoniewicz”¹²²:

¹²² Próba zarysu, s. 6-7

Na dzień 12 czerwca zostaje wyznaczona dwudniowa odprawa. Przybywają na nią do lasu: komendant Okręgu płk „Daniel” (Stanisław Dworzak), szef sztabu ppłk „Jan” – „Rawicz” (Jan Stenzel) oraz kierownicy obwodowych komórek i dowódcy patroli dywersyjno-sabotażowych („Barabas”, „Marcin” i inni).

Przed ogólną odprawą „Ponury” referuje „Danielowi” i „Janowi” swój plan utworzenia zgrupowań partyzanckich, którymi będzie dowodził kierując zarazem z lasu Kedywem. Plan ten budzi zastrzeżenia. Zdaniem władz Okręgu tych dwu funkcji nie da się pogodzić. Co więcej, plan pozostaje w sprzeczności z zasadami akcji bieżącej w kraju¹²³, a mianowicie, że powinna ona mieć własną sieć, by ewentualne rozkonspirowanie jej nie odbiło się na bezpieczeństwie całości AK, że akcje i uderzenia powinny być tak wykonywane, by nie powodowały represji okupanta na ludności cywilnej, oraz że akcja bieżąca powinna być harmonizowana z przygotowaniem i planem powstania. „Ponury” natomiast żąda postawienia do jego dyspozycji całego aparatu AK od placówki do władz Okręgu włącznie, gdyż już obecnie zamierza wypowiedzieć otwartą walkę okupantowi, nie licząc się w dodatku z jej następstwami. Stanowisko szefa sztabu jest jeszcze bardziej sztywne. Uważa, że „Ponury” został przysłany na funkcję szefa sztabu „Kedywa”, a więc jednego z oddziałów sztabu Okręgu, i żadna dyskusja nie może mieć miejsca. Koordynowanie i kierowanie rozszanymi patrolami dywersyjnymi w Okręgu przy równoczesnym dowodzeniu oddziałem partyzanckim należy zaliczyć do mrzonek niedoświadczonego i nie znającego stosunków skoczka. Również utworzenie tak licznych zgrupowań jest nieprzemysłane. Doprowadzi to bowiem do przedwczesnego zdynamiczowania terenu, wykrwawienia i wyniszczenia ludzi, osłabienia sił własnych na moment powstania, którego termin jeszcze daleki, gdyż końca wojny w tym roku nie należy się spodziewać. „Ponury” usiłuje przekonywać. Twierdzi, że tak ludzie z konspiracji, jak i broń łatwiej się przechowują w lesie niż w miastach, gdzie stale mają miejsce aresztowania. Represje zaś trwały i trwają bez względu na działalność podziemia. Partyzantka więc stanu tego nie pogorszy.

¹²³ Chodzi o zalecenia KG AK w tej sprawie (przyp. C.Ch.).

W przerwie rozmów „Daniel” inspekcjonuje oddział. Chłopcy prezentują się dobrze, jak żołnierze z prawdziwego zdarzenia. W środku obozu stał rkm. Pułkownik wyraźnie się wzrusza. W oczach jego występują łzy. Ton rozmów ulega zmianie. Pod względem organizacyjnym ustalono, że „Ponury” ma utworzyć oddział partyzancki w sile około 200 ludzi i że w okresie jego organizacji będzie zarazem z lasu kierował Kedywem. Następnie zaś przyjedzie na konspiracyjną „melinę” w rejon siedziby władz Okręgu.

W trakcie odprawy ogólnej ustalono cel, zadania i organizację Kedywu precyzując je następująco:

1. prowadzenie walki czynnej przy pomocy dywersji zakonspirowanej przy komendantach obwodów AK w zakresie drobnej dywersji, sabotażu, likwidacji szpicli i pojedynczego terroru,
2. uporządkowanie kompleksów leśnych, usunięcie z nich elementu przestępczego, przeprowadzenie selekcji w oddziałach istniejących. Stworzenie z elementu pozytywnego zgrupowań partyzanckich w celu przeprowadzenia większych akcji odwetowych, zapewnienie bezpieczeństwa i samoobrony terenowej oraz osłanianie działań dywersji zakonspirowanej.

W ten sposób, po dwudniowej dyskusji, „Ponury” odnosi kolejny sukces. Ograniczony do dwustu limit ludzi nie przeraża go. Bardziej go martwi nieprzejednane stanowisko Komendy Okręgu w sprawie przydziału broni dla lasu. W tej sytuacji uruchomiona w Suchedniowie produkcja nabierze specjalnego znaczenia.

Na bieżąco zaś stara się zaradzić podejmowaniem akcji zbrojnych, które w założeniu mają zdobyć broń przy minimalnych stratach własnych.

Pierwszą z nich ma być uderzenie na pociągi biegnące dotąd bezkarnie po torach kolejowych na zachód od Wykusy, w okolicach Michniowa. „Ponury” ustala termin – 2 VII 1943 roku.

Oto jak wygląda przebieg takiej akcji według relacji „Antoniewicza”¹²⁴:

¹²⁴ Próba zarysu, s. 10.

W nocy z 2 na 3 lipca zaatakowano równocześnie dwa pociągi pospieszne na linii Skarżysko-Kielce w rejonie stacji Łączna i bloku Jędrów¹²⁵, pod Suchedniowem idące z przeciwnych kierunków z Krakowa i Warszawy. Akcjami dowodził ppor. „Rafał”, „Nurt” i „Robot”.

Akcje były starannie przygotowane, a przed ich rozpoczęciem wszyscy otrzymali szczegółowe zadania. Zaciągnięto ubezpieczenia. Opanowano bloki kolejowe i w odpowiednim momencie spuszczone semafony, zmuszając pociąg do zatrzymania się. Łączność telefoniczną między stacjami przejęli d-cy patroli i utrzymywali ją fachowo według instrukcji życzliwych blokowych. Przeznaczone do tego sekcje opanowały obsługę lokomotyw, a rozstawieni w tyralierze wzdłuż toru partyzanci ogniem sterroryzowali jadących pociągiem Niemców i wezwali ich do opuszczenia wagonów. Po oczyszczeniu pola walki ściągnięto z Niemców broń. Z ustawionej od czoła pociągu broni maszynowej celowniczo stale wysyłali serie, uniemożliwiające Niemcom ucieczkę na przeciwną stronę toru. Akcja trwała około 20 minut.

125 Dziś stacja Berezów (przyp. C.Ch.).

Obie akcje w zasadzie się udały. Wprawdzie zdobyto niewielką ilość broni i amunicji, sprawdzono jednak bojowość tak dowódców, jak i żołnierzy, a co więcej – zadano wrogowi poważne straty. Zniszczony został w części tabor kolejowy. Przerwa w ruchu trwała parę godzin i kilkudziesięciu Niemców zostało zabitych i rannych¹²⁶. Samobójcza katastrofa pociągu towarowego, który wpakował się już po akcji na pociąg osobowy „robiony” przez „Rafała”, to uboczne efekty akcji¹²⁷.

126 Oberfeldkommandantur 603 (zwana dalej OFK 603) w Kielcach w meldunku dziennym z 3 lipca podaje, że w wyniku ostrzelania dwóch pociągów pasażerskich k. Łącznej zostało zabitych osiem osób, w tym jedna z Wehrmachtu oraz trzy z Ostlegionu; raniono trzydzieści-czterdzieści osób, w tym jedenastu żołnierzy. Wysokość strat niemieckich w tym wypadku jest na ogół zgodna tak w relacji „Antoniewicza”, jak i w dokumentach niemieckich. Jest to wypadek raczej rzadki, gdyż dalsze przykłady potwierdzą fakt, że źródła konspiracyjne, prawdopodobnie dla „pokrzepienia ducha”, mnożyły straty niemieckie, meldunki nieprzyjaciela zaś zmniejszyły straty własne, a powiększały partyzanckie, w celu podkreślenia skuteczności swych działań (przyp. C.Ch.).

127 W rzeczywistości pod Łączną zderzenie pociągu towarowego z transportem wojskowym nastąpiło na początku akcji, a nie – jak podaje „Antoniewicz” – już po akcji. Z żołnierzy „Ponurego” zginął wtedy jeden: strz. „Ignac” Bronisław Zaczekiewicz, zaś ranny został strz. „Orzeł” – Stanisław Radek; zginął po wojnie (przyp. C. Ch.).

Zaraz w początkach lipca, po dołączeniu oddziału ppor. „Jurka”, „Ponury” miał w rejonie Wykusu skoncentrowanych ponad dwustu ludzi. Uznał, że można już przystąpić do podziału żołnierzy na poszczególne zgrupowania, aby stworzyć bardziej zwarte i operatywne, odpowiednio silne oddziały.

W tym czasie podział funkcji w Dowództwie Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury” wyglądał następująco:

Dowódca Zgrupowań: por. „Ponury” – Jan Piwnik

Zastępca dowódcy: ppor. B.

Szef sztabu: ppor. „Marian” – Marian Dziubiński

Oficer wywiadowczy: ppor. „Witek” – Wincenty Waligórski

Adiutant: ppor. „Antoniewicz”, „Leszek” – Leszek Popiel

Pluton ochronny: dowódca pchor. „Stefanowski” – Albin Hop

Patrol saperski: dowódca ppor. „Motor” – Jerzy Wojnowski

Służba łączności: łącznicy – „Łotyszka”, „Waldek”, „Ludwik”, „Maryla”

podoficer ordynansowy: plut. „Listek”.

Żołnierze zostali podzieleni na trzy zgrupowania, których dowódcami „Ponury” mianował: „Nurta”, „Robota” i „Mariańskiego”.

W skład zgrupowania 1 – „Nurta” – weszli żołnierze z oddziałów „Grota” i „Szorta”. Komendę tego zgrupowania stanowili:

Dowódca: por. „Nurt” – Eugeniusz G. Kaszyński

Adiutant: ppor. „Jerzy” – Jerzy Gibas

Kwatermistrz: strz. z cenz. „Szach” – Julian Materek

Lekarz: dr „Zan” – Kazimierz Łotkowski

Pisarz: strz.z cenz. „Baca” – Mieczysław Cebula

Kronikarz: kpr. z cenz. „Teoś” – Teofil Obara

Do zgrupowania 2 – „Robota” – weszły oddziały „Wilka” oraz grupa warszawska. Komenda zgrupowania przedstawiała się następująco:

Dowódca: ppor. „Robot” – Waldemar M. Szwiec

Zastępca: por. „Czarka” – Jan Rogowski

Kwatermistrz: ppor. „Dobosz” – Karol Niedzielski

Lekarz: ppor. „Dalski” – Jerzy Ryfiński.

Zgrupowanie to zostało stosunkowo najszybciej uformowane w plutony, drużyny i sekcje. Grupa warszawska utworzyła pluton I pod dowództwem por. „Czarki”, jego zastępcą został ppor. „Rafał”, dowódcami zaś dwóch wyłonionych drużyn mianowano: drużyny I – 1 „Lina”, drużyny II – „Katylinę”. Pluton II, uformowany z „Wilkowców”, działał pod dowództwem „Wilka”, a dowódcą jednej z dwóch drużyn mianowano pchor. „Mariana” – Mariana Wikłę¹²⁸. Pod koniec sierpnia zgrupowanie 2 uzupełnił III pluton tzw. konecki kpr. „Allana” – Tadeusza Jencza, ale w akcjach opisywanych obecnie zgrupowanie „Robota” miało na razie dwa plutony.

¹²⁸ Dowódcy drugiej drużyny zmieniali się tak często, że dziś trudno to wiernie odtworzyć. Dokumentów brak, a relacje uczestników są niezgodne. Autor pokusił się uporządkować stany osobowe zgrupowania ppor. „Robota” w swej książce *Cztery z tysiąca*.

Oddziały „Jurka” i „Oseta” włączono do zgrupowania 3 pod komendą ppor. „Mariańskiego”. Zastępcą dowódcy tego zgrupowania został mianowany „Oset”. Była to jednostka najmłodsza, przez długi okres w stadiach organizacyjnych i dziś trudno odtworzyć jego stan oficerski i zachodzące w nim zmiany.

Gdy w dniu 11 lipca szef sztabu Okręgu, ppłk „Jan” – „Rawicz”, odwiedził ponownie bazę na Wykusie, zastał już dwakroć liczniejszą niż miesiąc wcześniej gromadę żołnierzy, podzieloną na trzy zgrupowania liczące po 50-70 osób.

Półtoramiesięczne działanie zwartego, silnego oddziału dało już pierwsze pozytywne wyniki. Patrole zgrupowań zlikwidowały kilkunastu aktywniejszych konfidentów, innym, mniej niebezpiecznym, wymierzono ostrzegawczą karę chłosty.

Było jeszcze jedno poważne zagadnienie, stojące przed młodą formacją. Podobnie jak w całej GG, tak i na Kielecczyźnie plenił się pospolity bandytyzm. Kryminaliści, którzy w 1939 roku uciekli z więzień, rozzuchwaleni pobłażliwością ze strony Niemców, połączeni w bandy, siali postrach w całej okolicy. Byli bezczelni, bezwzględni, uzbrojeni i pewni bezkarności. Ofiarą ich rabunkowego działania padały nie tylko dwory i majątki, ale i plebanie, młyny, leśnictwa, gospodarstwa wiejskie – słowem wszystko, co rokowało zysk. Do opornych strzelali, podpalali budynki, nie stronili od gwałtu. Nic dziwnego, że obok walki z okupantem likwidacja bandytyzmu stała się jednym z głównych kierunków działania całej polskiej konspiracji, a więc Armii Krajowej, BCh i NSZ. Nie mogła pozostać bierna wobec tych zadań największa w tym czasie partyzancka siła na terenie GG – Zgrupowania „Ponurego”. Kilkunastu rabusiów złapanych na gorącym uczynku spotkał sąd doraźny, innych, którzy próbowali znaleźć schronienie w... samym oddziale, rozpoznano i rozstrzelano. Miał więc co meldować „Ponury” wizytującemu Zgrupowania szefowi sztabu, zaproszonemu na Wykus na pierwszą żołnierską uroczystość – pułkowe święto.

„Antoniewicz” tak relacjonuje przebieg tej uroczystości:

11 lipca ma miejsce uroczysta przysięga oraz symboliczne wręczenie orzełków. Po przysiędze następuje obiad żołnierski. W uroczystościach bierze udział szef sztabu Okręgu, ppłk „Jan”, który wygłasza krótkie żołnierskie przemówienie, udzielając w nim pochwały za świetne przeprowadzenie w dniu 2 lipca akcji. Mówi o nadziejach pokładanych w nas przez całe społeczeństwo oraz kładzie nacisk na przestrzeganie dyscypliny i postępowanie zgodne z honorem żołnierza polskiego. Wieczorem tego dnia palimy wspólne ogniska i skupieni wokół nich śpiewamy. Silne jak co dzień placówki wystawione na lizjerach bronią wstępu do tych dużych kompleksów lasów siekierzyńskich¹²⁹.

¹²⁹ *Próba zarysu*, s. 14.

Ta sucha, dokumentalna relacja nie oddaje nastroju, jaki ogarnął ludzi w tym dniu. A był to dzień kończący okres forsownego szkolenia, które trwało od trzeciej dekady czerwca. Oficerowie postanowili zamienić luźne oddziały w prawdziwe leśne wojsko. Materiał był dobry, chętny, ale wojskowo nie doszkolony. Część miała już za sobą służbę w Wojsku Polskim i kampanię wrześniową, ale

przyłaczającą większość stanowili młodzi chłopcy, po niepełnych kursach konspiracyjnych.

Zabrano się więc do nich ostro. Prowadzono szkolenie rekruckie, wolne co prawda od musztry, ale za to z położeniem nacisku na dywersję, minerstwo, opanowanie znajomości broni.

Wtedy dopiero mogli w pełni poznać kunszt strzelecki „Nurta”, który ze swym koltem wyprawiał wprost cuda. Strzały z półobrotu, z biodra, przez nogę były tyle samo efektowne, co skuteczne, gdyż po każdym przybywała nowa dziura w kartce zawieszanej na odległej jodle. „Nurt”, zwany ze względu na jasny kolor swej marynarki „młynarzem”, zabawiał ich ekwilibrystyką strzelecką, ale też cisnął, aż piszczalo, gdy poznawali broń, uczyli się rozbierać i składać pistolety, erkaemy i usuwać zacięcia. Uczył maskowania, poruszania się w lesie, czołgania. „Robot” i „Czarka” aplikowali swym ludziom dodatkowe forsowne marsze po czterdzieści kilometrów, co wywoływało złość u żołnierzy własnych, a kpinki u obcych, ale niedługo miało się stokrotnie opłacić.

Ppor. „Motor”, mianowany szefem taborów, pędził swych ludzi do majątków na rekwizycje koni, dobierał tam też specjalnie silne wozy, uprzęże.

„Marianiński”, którego salta w przód i w tył wywoływały rozdziawianie gęb młodych, ale nieco ciężkawych chłopców wiejskich, potrafił rozruszać ich co rano solidną gimnastyką, zanim stojąc w karnym szeregu huknęli w dostojny las codzienne: *Kiedy ranne wstają zorze.*

I wreszcie gdy orzeczono, że żołnierz już „dojrzał”, odbyło się to pułkowe święto.

Stali w słońcu poranka ustawieni w podkowę, gdy przybył ppłk „Rawicz” – Jan Stenzel, który później – w okresie zaostrego konfliktu z „Ponurym” – nazwał ich Zgrupowania „szkołą bandytyzmu”.

Nie odprawiono mszy polowej, gdyż kapelana w zgrupowaniu jeszcze wtedy nie było, ale za to stały na podwyższeniu dwa cekaemy przykryte biało-czerwonymi flagami.

Na te cekaemy składali żołnierze „Ponurego” swoją przysięgę. Łzy ciekły im po młodych, opalonych twarzach, łzy, których się nie wstydzili, a opanować nie mogli, gdy przy końcu czwartego roku wojny, o kilkanaście kilometrów od silnych garnizonów niemieckich, fabryk zbrojeniowych i amunicyjnych, szef sztabu Okręgu mówił do nich przez ściśnięte gardło:

– Żołnierze Armii Krajowej! Tu, gdzie stoicie, jest wolna, niepodległa Polska.

Patrzyły na nich z góry pozawieszane na drzewach orły, pięknie wplecione z jedliny przez leśnych artystów.

W południe dwustu polskich żołnierzy podejmowało żołnierskim obiadem swych gości – ludzi z konspiracyjnych władz Okręgu i przyjaciół ze służby leśnej. Odwykli już trochę od tego „dyplomatycznego protokołu”, gdyż normalnie jedli z menażki siedząc na wygrzanej słońcem lub nasiąkniętej wodą ziemi. Dziś stały długie, pachnące żywicą stoły i ławki z sosnowych i brzoźowych żerdeń, a już gdy ukazał się między stołami żołnierz z wiadrzem i kubkiem i doleciał do nich zapach wódki, zdębieli, a potem uznali, że dzień jest naprawdę wielki. Bo u „Ponurego” istniał zakaz picia pod karą śmierci. I co najważniejsze, był to zakaz przestrzegany.

W dniu pułkowego święta „Ponury” polecił wyjątkowo wydać wojsku po sto gramów. Żołnierz służbowy skrupulatnie wydzielał każdemu garnuszką porcję w podstawione menażki, manierki, w co kto miał. A był to trunek przedni, kowalkowicki spirytus gorzelniany, którego cała beka przywieziona przez ppor. „Grotę”, zakopana w ziemi, czekała na taką okazję.

Wieczorem obsiedli w koło ogień tak wielki, że chyba widzieli go Niemcy z obu stron Wykusu i w Bodzentynie, i w Suchedniowie, w Skarżysku i w Starachowicach.

Płynęły w ciemność *Rozmaryny, Wojenki, Somosierry*. I naraz krzyknęli pieśń nową, własną, która powstała wśród nich i stała się ich sztandarem. Śpiewali ją na melodię starej rewolucyjnej pieśni *Gdy naród o boju:*

Choć z dala swą mamy rodzinę i bliskich,

*My, polscy żołnierze od Gór Świętokrzyskich.
Lecz, chcieli niebios, by krew nam na wrzosach
Wolności ściekła kobierce.*

*Nie dbamy o spokój, nie dbamy o ciszę,
A do snu nas głuchy szum jodeł kołysze,
Pod głową w chlebaku żelazo granatów,
A uśmiech na twarzy spokojny.*

*Więc szumcie nam, jodły, piosenkę,
Rodacy, podajcie nam rękę.
Wśród lasów, wertepów,
Na ostrzach bagnatów,
Wolności niesiemy jutrzenkę.*

*A nasze koszary to chłodny cień lasu,
Swe głowy chronimy pod drzewem szałasów,
A nasza dziewczyna to stal karabina,
Choć zimna, jak piorun wybucha.*

*A kiedy się walka z najeźdźcą rozpęta,
Sunie po lesie jak dzikie zwierzęta,
Tu oddział nasz leży, tam gromem uderzy,
„Ponury” nas uczy brawury.*

*Więc szumcie nam, jodły, piosenkę...
Raz, kiedy na patrol szedł oddział zuchwały,
Rozpętał się ogień i kule zagrały,
Na trawie, na polu, dowódca patrolu
Padł kulą śmiertelnie rażony.*

*Już oczy swe zamknął, pobladły jak chusta,
I tylko wiatr polny całuje mu usta.
Na miękkim z traw leżu śpij, polski żołnierzu,
Coś wolnej nie dożył Ojczyzny.*

Więc szumcie nam, jodły, piosenkę...[130](#)

[130](#) Autor słów, pchor. „Andrzej” – Andrzej Gawroński, mieszka obecnie w Australii.

Był to jeden z najbardziej uroczystych dni, jaki przeżywali żołnierze „Ponurego” w obozie na Wykusie. Nie dane było jednak dowódcy podzielać w pełni wzruszeń swych podkomendnych. Szef sztabu Okręgu, ppłk „Rawicz”, tuż przed rozpoczęciem uroczystej przysięgi zdążył mu przekazać dwie tragiczne wiadomości, które wstrząsnęły nie tylko całą konspiracyjną Armią Krajową, ale i całą okupowaną Polską – dwa tygodnie wcześniej, 30 czerwca 1943 roku, w Warszawie na Ochocie aresztowany został przez gestapo Komendant Główny AK, gen. „Grot” – Stefan Rowecki, a w kilka dni później, 4 lipca, w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem zginął premier i Naczelný Wódz, gen. Sikorski.

„Ponury” zbyt dobrze wiedział, ile troski sprawy krajowe przysparzały gen. Władysławowi Sikorskiemu oraz ile zawdzięczał przychylności gen. „Grot” dla swej partyzanckiej idei, by nie przyjąć tych wiadomości z wielkim żalem i niepokojem. Mogły one nosić w sobie zapowiedź zmiany kursu wobec podobnych poczynań ze strony następców Komendanta Głównego.

Dlatego też wiadomość o śmierci premiera, a przede wszystkim o aresztowaniu gen. „Grot”, tak cennego sojusznika i protektora zgrupowania, rysowała przed „Ponurem” możliwości nowych, zasadniczych trudności i to nie pozwoliło mu w pełni cieszyć się radością swych żołnierzy w dniu

przysięgi.

Cios i odwet pod Michniowem

Dzień był taki jak poprzednie – od samego rana gorący, upalny, od świtu wypełniony żywicznym zapachem rozgrzanej jodły i gwarem świergocących ptaków. Wśród wysokich drzew porastających Wykus partyzanci kwaterowali spokojnie, bezpiecznie, prawie zagubieni w obszernym kompleksie leśnym.

Ten dzień, 12 lipca 1943 roku, „Ponury” przeznaczył na odpoczynek – po okresie forsownego szkolenia i inauguracyjnej „kolejówce” w Łącznej trzeba było dać ludziom trochę wytchnienia, a dowódcom poszczególnych zgrupowań okazję do uporządkowania wielu spraw w ciągle luźno powiązanych ze sobą oddziałach.

Ostatnie dni poświęcili na założenie solidnego obozowiska. Szałas były dobre i szczelne, chroniły w razie deszczu, ale na razie niebo było pogodne. Niedaleko płynące strumienie – Czarna i Łubianka – dawały ochłodę, gasiły pragnienie i zmywały brud; rozliczne mrowiska obłożone wszelkimi częściami garderoby doskonale spełniały rolę obozowych odwszalni.

Co się robi w taki piękny, słoneczny, lipcowy dzień w partyzanckim obozie? Czyści się broń. Czyścili ją więc na potęgę i choć służbowi jeszcze nie sprawdzali luf pod słońce, były czyste jak lustro, gdyż rzadko który żołnierz bardziej niż leśny zdawał sobie sprawę, ile zależy od stanu uzbrojenia.

Oddziały stały w pewnej odległości od siebie. Koło południa chłopcy zaczęli wzajemne odwiedziny; komu znudziła się kasza u „Szorta”, szedł do znajomych u „Grota” z nadzieją, że może poczęstują tam kawałkiem boczku. Kucharze od dymiących palenisk wkopanych w ziemię pokrzykiwali starając się zmobilizować ochotników do obierania kartofli, gdy nagle...

– Oficerowie i dowódcy oddziałów natychmiast do komendanta „Ponurego” na odprawę.

Porwali się „Szort”, „Grot”, „Oset”, „Robot”, „Mariański”, szybko dopięli ubrania, w biegu założyli mapniki, broń i zniknęli między drzewami.

Pryśnął nastrój spokoju i sielanki między wyniosłymi jodłami Wykusu. W nagrzanym stojącym powietrzu narosło napięcie; żołnierze leśni, choć nie było rozkazu, narzucili ubrania, przyciągnęli pasy, doładowali pociski do magazynków, sprawdzili granaty, taśmy w broni maszynowej. Trwało milczące, denerwujące oczekiwanie.

Niedługo wypadli spośród drzew dowódcy.

– Alarm! Zbiórka z bronią!

Oddziały stanęły w minutę. Wnet poprowadzono je do centrum obozowiska, gdzie był szałas „Ponurego”.

Dwustu ludzi zaludniło polanę. Wyszedł „Ponury”, a za nim „Nurt”, „Czarka” i ppor. „Stefan”¹³¹ – michniowianin.

¹³¹ Stefan Obara, zginął w oddziale w styczniu 1944 r.

– Panowie dowódcy, proszę wybrać ze swoich oddziałów ludzi wyłącznie młodych i sprawnych, zostawić w obozie wszelkie obciążenie, brać tylko broń. Żołnierze zostający w obozie zatrzymają amunicję i granaty w ilości alarmowej, resztę oddają wyruszającym. Wykonać!

Zawrzało w oddziałach i po raz pierwszy chyba nie było wahań i targów o każdy nabój i granat, kupowane nieraz pokątnie za duże pieniądze. Oddawano je zgodnie z rozkazem.

Oddziały zostały podzielone. Wyznaczeni do akcji przybliżyli się pod szałas komendanta – przeszło stu ludzi młodych, sprawnych, obwieszonych torbami z amunicją i żelazem granatów.

– Po pięciu ludzi od „Szorta” i „Robota” do cekaemów.

Porwali ciężkie lufy z chłodnicami, podstawy, skrzynki z taśmami i wyciągnęli się szybkim marszem za znikającym w lesie „Ponurym” i jego plutonem ochronnym.

Na polanie zostało stu żołnierzy, żegnając milczeniem grupę idącą w nieznaną.

Na ścieżce wyskoczyła do przodu grupka szperaczy i zaraz po nich biegiem ruszył komendant. Stu ludzi z miejsca podjęło ten krok, zaszurgotały na zbitej upałem ziemi podkute buty, szczęknęły nie dość umocowane ładownice i magazynki, ten i ów stęknął pod kilkunastokilogramowym ciężarem skrzynki amunicyjnej czy podstawy cekaemu.

Ale co się dzieje? Dokąd biegna?

„Ponury” widać wyczuwa milczące pytanie, które kieruje ku niemu stu biegnących ludzi, bo podaje od czoła:

– Niemcy otoczyli Michniów. Porucznik „Stefan” przebił się z wiadomościami. Idziemy na odsiecz. Konieczny jest pośpiech. Podać dalej.

Te oszczędne słowa podaje sto ust. Michniów to wieś rodzinna niejednego z nich, tam są ojcowie i żony, bracia i dzieci żołnierzy „Ponurego”. Dla wszystkich Michniów jest drogi i bliski. Tam zimował „Nurt” i „Robot”, stamtąd pochodzi większość dowożonego po kryjomu prowiantu. Michniów to część domu rodzinnego.

I teraz Michniów jest zagrożony. Rano otoczył go gęsty kordon żandarmów. To był początek. A co dalej? Czy aresztują ludzi? Kogo? Czy Niemcy chcą ukarać wieś za przychylność partyzantom? Niejedno serce ściska się trwogą o los najbliższych.

Uszy starają się wyłowić w rozgrzanym powietrzu jakiś dźwięk albo strzał. Ale wysoki las oddaje tylko echem grzmot ich butów po twardej ścieżce oraz rozbrzmiewa furkotem skrzydeł spłoszonego ptactwa.

Zresztą do Michniowa jest jeszcze ze trzynaście kilometrów, tak że nawet gdyby las nie zasłaniał, to i tak z tej odległości trudno byłoby usłyszeć strzały.

Trzynaście kilometrów w taki upał. Szczęście, że ciasno zbite korony drzew chronią przed palącym słońcem.

„Ponury” zwalnia, poleca przejąć cekaemy innym oddziałom, daje nieco odpoczynku zziębniętej gromadzie, ale gdy dostrzega, że ludzie złapali drugi oddech, znów przyspiesza tempo.

Tak mija jedna godzina i rozpoczyna druga. Ludzie idą, wloką się, podbiegają popędzani okrzykami oficerów, znów zwalniają, gdyż bieg jest już ponad siły, ponad wytrzymałość.

„Ponury” wysyła do przodu drugą drużynę, widocznie przewidując możliwość kontaktu z nieprzyjacielem. Jest dobrze po trzeciej, gdy naraz w ciężki zapach rozpalonego słońcem igliwia wdziera się swąd pożaru, ale jakiś dziwny, zmieszany z czymś słodkawym. Co to za zapach?

Tylko nieliczni wiedzą, co oznacza ta domieszka w popożarnym dymie. Przerazenie płacze nogi, wywołuje pot w zaciśniętych na karabinach dłoniach.

– Ludzi spalili – niesie się echem po biegnącym szeregu.

Rzedną drzewa i w prześwitach kłębią się bure dymy. Oddział zatrzymuje się na granicy pól. Stu ludzi patrzy z przerażeniem na to, co zostało po wielu michniowskich chałupach. Część wsi już się dopala.

Nad szerniałymi kominami, wznoszącymi się jak palce wskazujące niebo, unosi się bury dym; przyciśnięty żarem lipcowego dnia nie idzie w górę. Z suchym trzaskiem pękają przygasające główne. To jedyny dźwięk dochodzący z martwej wsi. A ludzie? Gdzie są ludzie?!!! Nie widać nikogo wśród dalszych ocalałych opłotków.

„Ponury” ze ściśniętym gardłem wzywa do siebie dowódcę szperaczy:

– Spenetrować wieś!

Z lasu wyskakują kilku ludzi i zagłębia się w nie skoszone zagony żyta. Z żółtego ładu wystają tylko

głowy. Żołnierze ostrożnie dochodzą do pierwszych ocalonych chat, odległych o sto metrów od lasu.

Kończąc w okna, drzwi, ostrożnie wchodzą w zabudowania, ale nie widać nikogo, nie słychać ujadania psów ani gđakania kur.

Jeden ze szperaczy wraca do lasu, a jego drużyna wchodzi między pierwsze spalone zabudowania.

– Wieś jest pusta. Nie ma nikogo: ani Niemców, ani mieszkańców – melduje żołnierz.

„Ponury” ruchem ramienia nakazuje marsz. Wchodzą w zboże szeroką ławą. Idą pędzeni jakąś siłą, a jednocześnie wstrzymywani dławiącym niepokojem, co tam zastaną. Broń wysunięta do przodu rozgarnia dojrzałe kłosa.

I wreszcie pierwsze chaty – całe, lecz puste, przerażające martwością otwartych drzwi, uchylonych okien i ciszą, która łapie za gardło.

Od wsi bije żar prosto w twarz. Powietrze faluje i drga.

Dalszych chat już nie ma. Wokół czarnego komina dopalają się skotłowane belki. Tam, gdzie był kiedyś próg, leży rozciągnięty trup mężczyzny, opalony, goły, szerniały. Rozłożone ręce, które zapewne czegoś broniły, komuś starały się przeszkodzić, teraz zdają się obejmować ziemię. Do tych spalonych zwłok przypada jeden z żołnierzy „Ponurego”. Spazmatyczny szloch wyciska łzy z oczu najtwardszych. Takie jest spotkanie syna z ojcem.

Idą dalej zbici w gromadę, środkiem drogi. Niemców już nie ma. Odjechali przed godziną i zostały po nich tylko ślady ciężarówek odbite w kurzu. I został także Michniów. Wczoraj jeszcze ich baza, dziś częściowe pogorzelsko i cmentarz kilkudziesięciu ludzi. Co chwila z gromady partyzanckiej wyskakuje któryś z chłopców i biegnie w żar. Nie znajdzie całego domu. Przywołuje kolegów, społem odwalają parzące belki...

Ciała leżą pokotem, jedno na drugim. Opalone, wygięte w kabłąk matki starały się widać osłonić od żaru i płomieni zduszone dymem, wczepione palcami w ich odzież dzieci. Tu pewnie spędzono ludzi z kilku gospodarstw, gdyż trupów jest kilkadziesiąt. Przeważnie kobiety i dzieci. Mężczyźni leżą osobno, pojedynczo, prawdopodobnie zastrzeleni w walce lub ucieczce i następnie wrzuceni w płomień¹³². Kobiety spędzono do stodół, obór i podpalono zabudowania. Trupy ludzi starych leżą obok małych, uwędzonych mumii niemowląt. Żołnierze wyciągają je pojedynczo, układając wzdłuż drogi, ale do większości zabudowań nie można podejść – płonie tam jeszcze ogień.

¹³² Według materiałów dochodzeniowych w sprawie zbrodni michniowskiej Niemcy w pierwszym dniu złapali około stu pięćdziesięciu osób, z czego ponad pięćdziesiąt wywieziono do obozów, około zaś stu mieszkańców, przeważnie mężczyzn, żywcem spalono (AGKBZH, sygn. 22/OR/IY).

Nie wiadomo skąd wychodzą pierwsi mieszkańcy. Czy może z tamtej całej części wsi, której Niemcy nie zdążyli spalić, a może oszczędzili? Ten i ów żołnierz poznaje wśród uratowanych najbliższych, ale radość zaraz zmienia się w rozpacz – uratowali się ludzie pojedynczo, a głowę położyły całe rodziny.

„Ponury” siedzi na wywróconym korycie z twarzą ukrytą w dłoniach. Śniła mu się wolność, opieka, jaką zapewni tym ludziom, a przyniósł im nieszczęście. To nie było uderzenie ślepe. Michniów spalono, bo udzielał pomocy jego ludziom. Choć nikt go nie wini, nikt mu nic nie zarzuca, czuje się sprawcą tego nieszczęścia.

Nie potrafił osłonić ich przed tym uderzeniem. Nie potrafił. Czy rozumieją, że chciał, że nie zdążył? Skąd Niemcy wiedzieli o michniowskiej bazie?

Gdy podnosi się, twarz ma białą, papierową.

– Wycofujemy się do lasu – poleca.

Z ciężkim sercem oddział opuszcza wieś. Cicho dzielą się żołnierze wiadomościami, kto zginął, kogo spalono. Pobieżny rachunek daje cyfrę przerażającą – chyba ponad sto bliskich im osób.

Przez stratowany zagon żyta wracają do lasu. Zapadają między drzewa i teraz dopiero jest czas na odpoczynek.

Nad dymiącymi zgliszczami zachodzi słońce. Między drzewami pojawiają się jacyś ludzie. Niosą konwie, koszyki, pełne chusty. Rozwiązują je wśród milczenia i rozdają chleb, kawałki słoniny, nalewają do manierek mleko i wodę. To michniowanie, mieszkańcy ocalonych zabudowań, przynieśli żywność dla swoich żołnierzy. Rozdają pajdy chleba, jakby się nic nie stało, jakby powietrze nie było przesycone swądem spalonych ciał sąsiadów i krewnych, którzy jeszcze wczoraj robili to samo i dziś za to ukarano ich tak straszliwie.

Żołnierze przeżuwają chleb, międlą go długo, bo nie chce przejść przez ściśnięte gardła. W lesie powoli się ściemnia. Jeszcze tam nad wsią, w zachodzącym słońcu, kłębią się bure dymy, ale tu, między drzewami, zapada cień.

„Ponury” siedzi na pniaku i ściska dłońmi głowę. Obok – grono oficerów: „Nurt”, „Mariański”, „Szort”, „Rafał”, „Czarka”, „Stefanowski”, „Robot”. Porozumiewają się cicho, szeptem.

„Nurt” o zmroku rozsyła patrole, odwołuje na bok „Robota”, coś razem szepczą i potem „Robot” idzie do swoich chłopców.

Od wsi znów idą ludzie. Ryczą krowy nie dojrane widać od rana, skrzypią wózki, na które włożono skromny, uratowany dobytek.

Żołnierze czekają w mroku godzinę, dwie.

Naraz pod lasem migają jakieś sylwetki. Okrzyknąwszy się czujkom, zdąża jeden z wysłanych patroli. Krótki meldunek, który składa dowódca patrolu, wyraźnie podnieca „Nurta”.

„Ponury”, któremu oficer przekazuje zdobytą informację, chwilę zastanawia się, potem jakby z nowym napływem energii uderza się po pasie i wydaje rozkaz:

– Poderwać oddział!

Oddziału nie trzeba podrywać. Żołnierze czekali na to co najmniej od kilku godzin. Większość to przecież doświadczony leśny wygi: rozesłanie patroli wzmogło ich czujność, powrót zaś jednego z nich był sygnałem alarmowym. Teraz więc stoją z bronią w rękę i czekają.

„Ponury” w ciemności wskazuje kierunek i oddział idzie ławą przez chaszczę i maliniska. Przedzierają się niedługo, może dziesięć minut i znów zatrzymują się na skraju lasu.

Przed nimi, kilkadziesiąt metrów dalej, w poświacie księżycy, widać nasyp kolejowy. Teraz wszystko jest już jasne.

Wezwani oficerowie biegną do komendanta. Po krótkiej odprawie rozchodzą się do oddziałów i drużyn rozdzielając zadania. Małe grupki żołnierzy odrywają się od lasu i nikną w ciemności. Dwie sekcje z erkaemami ubezpieczają operację przed niespodziankami od strony Kielc i Skarżyska. Jedna z sekcji skrada się cicho ku budce bloku rozjazdowego na Podłaziu. Przez niedokładnie zaciemnione okno szeroką szparą sączy się światło.

Szarpnięcie klamki i chłopcy już są w środku. Dwóch kolejarzy podnosi ręce do góry.

– Zajmujemy blok. Bez żadnych kawałów – groźnie anonsują żołnierze.

– Panie leśny, jakie my kawały mamy robić? Jak będzie trzeba, to jeszcze pomożemy.

– Czy spodziewacie się jakiegoś pociągu?

– Za pół godziny leci urlopowy pośpieszny z Warszawy przez Kraków do Rzeszy.

Za pół godziny – urlopowy. Kilkuset żołdaków rozwalonych w pulmanach. Chłopcy delektują się tą wieścią: oczy im błyszczą. Widzą to kolejarze i naraz starszy z nich mówi:

– Panowie, wsadźcie nas do piwniczki! My wam wszystko będziemy mówić, ale to musi tak wyglądać, że my cały czas w piwniczce siedzieli. Rozumiecie, żona, dzieci.

Nie czekając na rozkaz otwiera drewnianą klapę w podłodze i wchodzi w kwadratowy otwór, a za nim drugi dyżurny.

Dwóch ludzi zostaje w dyżurce bloku, reszta zaś pędzi do komendanta „Ponurego”.

– Za pół godziny urlopowy pośpieszny!

– Porucznik „Czarka”, „Lin” i „Tadzik Duży” do mnie! – poleca „Ponury”.

Zjawiają się w jednej chwili.

– Macie tu cztery kostki trotylu i kawałek lontu Bickforda. Dacie radę zdetonować tym tor pod lokomotywą? Za pół godziny leci urlopowy.

Cholera! Tylko pół godziny. Cztery kostki trotylu i kawałek złachmanionego lontu. Też majątek! Ale komendant wezwał właśnie ich, starych praktyków z „Wachlarza”. Widać wie, że sprawa niełatwa. Nie można „pęknąć”.

– Spróbujemy, panie komendancie.

– Wykonać!

Trzy trzaski obcasów jak jeden i już „Tadzik” pędzi w stronę spalonego Michniowa, „Lin” zaś do swojej drużyny.

Wojsko tymczasem zaległo wzdłuż torów, oficerowie wskazali stanowiska broni maszynowej, założono taśmy...

Po chwili jest już „Tadzik”. W wielkiej, emaliowanej misce rozrabia w biegu czarną bryję – ni to glina, ni to błoto. „Lin” tymczasem ostrożnie wykręca zapalniki z granatów i osadza w nich sznurki lontów.

„Ponury” rozkazuje wzdłuż rozciągniętego w tyralierę wojska:

– Nie strzelać przed wybuchem miny.

Minuty, które dotąd się wlokły, teraz biegną jak szalone.

– No, chłopcy, idziemy na nasyp – ponagla łagodnie „Czarka”.

Idą za porucznikiem, jeden z podzwaniającą miską, drugi z rękami ledwo ogarniającymi kostki ładunku, lont, detonatory. Drapią się na tory i przypadają przy stalowych szynach.

Palcami, byle szybciej, wygarniają tłuczeń spod metalu, rwą paznokciami większe kawałki.

– Sześć minut – podaje półszepem „Czarka”.

Wnęki powiększają się bardzo powoli. „Tadzik” minuje tor dwa metry za „Linem”. „Lin” już wpycha pierwszą kostkę pod szynę i szarpie kamień, by zrobić miejsce pod drugą.

– Pięć minut.

„Lin” kopniakami wbija pod metal drugą kostkę, gdy „Tadzik” zdążył ledwo jedną. Drżące z nerwów, zmęczenia, poranione palce starają się znaleźć otwór na detonator. Jest!

– Trzy minuty.

– O rany, nie zdążę założyć! – jęczy zdyszany „Tadzik”.

„Lin” wciska na siłę w odporne otwory zapalniki granatów, wyprowadza sznurki lontów i pakietuje ładunek gliniastobłotną papką.

– Dwie minuty.

Stalowa sztaba szyny pod dłonią „Lina” zaczyna drgać, jakby nabierała życia.

– Jedzie s...syn! Jedzie – dyszy, jęczy zrozpaczony „Tadzik” – Nie zdążę, nie zdążę.

Daleki gwizd lokomotywy potwierdza domysły минера.

– Minuta.

– Ja odpalam, panie poruczniku – mówi „Lin”.

– Odpalaj – poleca „Czarka”, choć zdaje sobie sprawę, że dwie kostki trotylu zapakietowane byle jak błotem albo mogą dać efekt, albo też rzecz skończy się nieproduktywnym fajerwerkiem.

„Tadzik” szarpie się z drugą kostką, gdy „Lin” błyska już zapałką.

– Ssssss – smaży się lont i ogienek pełga po prochowym sznurku. Naraz gaśnie.

– Gównu nie lont! Połamany! – woła wściekły „Lin” i błyska zapałką w chwili, gdy dwie latarnie lokomotywy wypryskują zza lasu.

– Ssssss – i znów cisza.

Trzeci błysk zapalki, a lokomotywa jest już o sto metrów.

– Ssssss – cisza.

Trzydzieści metrów! „Czarka” łapie obu minerów za karki i potężnym szarpnięciem zrzuca ich z toru, sam daje za nimi nurka w chwili, gdy lokomotywa przelatuje tuż obok, a za nią ze stukiem kół kilka lśniących lakierem, długich pulmanów.

Stu żołnierzy gryzie do krwi palce, gdy z sykiem pary i hukiem zderzaków przewala się przed nimi taka gratka, taka okazja do odwetu.

Po chwili w dali niknie długi rząd wagonów, a nad martwym torem snuje się tylko rozplywający spłacheć dymu.

Jasny piorun! Kilkuset żołnierzy niemieckich jedzie najspokojniej w stronę Krakowa, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że śmierć była od nich o jeden czy dwa załamania lontu.

„Tadzik” i „Lin” siedzą w rowie przy torze i nie mają siły ni chęci powstać. Choć na brzegu lasu leży stu ludzi, panuje martwa cisza.

I naraz od budynku bloku znowu ktoś biegnie.

– Gdzie komendant „Ponury”? Gdzie komendant?

– Tutaj.

– Panie komendancie! Kolejarze mówią, że za godzinę, o 2.40, polecą osobowy z wagonami niemieckimi z Krakowa do Warszawy.

A więc jednak. Nie wszystko stracone. Serca znów biją nadzieją.

„Ponury” wychodzi na tor. Widać jego samotną sylwetkę na nasypie.

– Żołnierze! – woła potężnym głosem, aż echo idzie po lesie. – Zrobimy odwet za Michniów. Pociąg zostanie zatrzymany przez opuszczenie semaforu. Erkaem kaprala „Śmigłego” ostrzela i unieruchomi lokomotywę. Cekaem plutonowego „Wąsa” zlikwiduje gniazda ognia nieprzyjaciela, o ile Niemcy będą strzelać. Potem atak. Rozpoczyna zgrupowanie porucznika „Robota”. Grupa uderzeniowa porucznika „Czarki” zaatakuję wagon pocztowy. Chorąży „Szort” wystawi ubezpieczenia. Przygotować się do akcji!

Oddziały przemieszczają się szybko, zapadają w krzaki na skraju lasu i wlepiają wzrok w odległy o pięćdziesiąt metrów nasyp.

Dokoła cisza i spokój. Jak co noc cykają ogłuszająco świerszcze, jak zwykle pojękują napięte druty telefoniczne, jak zwykle za kilkanaście minut zadudni po torach „Personenzug Krakau-Warschau”...

Oddział „Ponurego” liczy upływające sekundy. Jest już 2.40. Powinien już być. Niecierpliwą się żołnierze, pocierają spocone dłonie o szorstkie spodnie.

Naraz...

Ziemia, na której leżą, drga leciutko, ledwo odczuwalnym ruchem. Sto uszu przywiera do trawy i słucho.

Jedzie...! Ciężko dudnią koła na złączach szyn, a ziemia roznosi ten głos wokoło.

W dali krótko świszczają lokomotywa i widać ciemną smugę z białym gejzerem pary i dwoma świetlnymi punktami latarni. Za parowozem ciągnie się długi szereg pulmanów z przyciemnionymi oknami. Pociąg nie jedzie zbyt szybko.

Jeszcze trzysta metrów, jeszcze dwieście pięćdziesiąt, jeszcze dwieście.

Ze zgrzytem opada metalowe ramię semaforu. Natychmiast kwitując westchnieniem lokomotywa i pociąg zaczyna zwalniać. Sunie jeszcze, ale coraz wolniej. Pięćdziesiąt metrów, trzydzieści, dziesięć, trzy. Stoi.

Szybko jazgoce erkaem „Śmigłego”, a błysk ekrazytowych pocisków na tendrze lokomotywy wyzwala gejzery gorącej pary.

Świdrująco zajazgotały partyzanckie erkaemy, ale nieprzyjaciel w jednej chwili odpowiedział z pociągu z taką siłą i szybkością, że aż zapiera dech. Pociąg migoce dziesiątkami luf. Strugi pocisków tną gałęzie nad głowami jak nożem.

Lecz co to?

– Hura! – niesie się po polu ogłuszający wrzask.

Nie będzie taktycznego ostrzeliwania pociągu. Nie będzie walki na odległość dziesiątków metrów. Żołnierz chce popatrzeć w oczy, w wytrzeszczone przerażeniem oczy Niemców, nim je zgasi strzał z visa.

Odwet za Michniów musi być wyczuwalny, namacalny, sycący.

Sadzą więc chłopcy przez goły pas przytorowy. Byle jak najszybciej do toru, a potem do wagonu i twarzą w twarz.

Niemcy strzelają trochę nerwowo, ale szybko. Widać, że w wagonach jechali otrzaskani żołnierze frontowi, bo teraz wyskakują z pociągu i prowadzą ogień spod wagonów, spomiędzy kół.

Partyzanci biegną na tle ciemnego lasu, są więc mało widoczni, a przy tym krzyczą tak ogłuszająco i blisko, że żołnierzom w mundurach feldgrau drżą ręce.

Już nasyp. Trzy skoki i wagon.

Pierwsza łapie za drzwi „Grażyna”.

– Hura! – drze się piskliwie i wali z visa, raz po raz.

„Robotowcy” biegną ukosem, tak jak ich rzucił rozkaz. Cholera!

Pociąg zatrzymał się za daleko i teraz, aby dopaść lokomotywy, pocztowego i pierwszych wagonów, tych „nur für Deutsche”, trzeba przededefilować przed ostrzeliwującymi się Niemcami i tyralierą pędzących partyzantów.

Skok, nasyp i... piekło.

Serie z okien biją prosto w twarz, po nogach idą gorące smugi walących spomiędzy kół niemieckich empi. A na dodatek od lasu jakieś dwa partyzanckie erkaemy, których obsady nie poderwały się do ataku, prują wzdłuż pociągu.

– „Lin”, pchnij gońca do tych s...synów, bo nas wystrzelają jak kaczki! – woła zasapany „Czarka” prowadząc swoją grupkę ku lokomotywie i pocztowemu.

Ale za nim goniec dobiegnie, zanim ucichną własne erkaemy, taniec w stalowej strudze będzie trwał jeszcze chwilę.

Już niedaleko otoczona kłębami pary lokomotywa. Jeszcze tylko granat w to okno zachłystujące się seriami automatów, jeszcze przyklęk między kołami i seria prosto w pysk odległego o metr esesmana, który zmienia akurat magazynek, i wreszcie – pocztowy.

– „Katylna”, sprawdź lokomotywę! – krzyczy „Lin” do drużynowego poprzez świst pary, wrzask atakujących i niemieckie serie.

Żołnierz pnie się po drabinie, wsadza głowę w czeluść stanowiska palaczy i uspakajająco macha ręką. Dobra nasza.

Niemcy zabarykadowani w opancerzonym pocztowym tłuką seriami.

„Czarka” dopada drzwi, chwilę mocuje granat przy zamku, szarpie zawleczkę.

– Odskok!

Błysk, huk, świst odłamków. Przypadają ponownie do wagonu, mocne szarpnięcie i... nic. Taki zaczepny blaszany „szczeniak” nawet dobrze nie potrafi osmalić pokrytych stalową blachą ciężkich drzwi.

– Obronny, dawajcie obronny! – woła „Czarka”.

I wtedy właśnie dostają długie serie z niedokładnie sprawdzonej, rzekomo pustej lokomotywy.

Tymczasem żołnierze innych oddziałów granatami i seriami starają się dorwać do Niemców, oczyścić

jakie takie dojście do pociągu. Wreszcie, wykorzystując słabnący ogień, wpadają do pierwszego wagonu. W przejściu oficer strzela ze szturmowej parabeli, a gdy kolejny spadek iglicy nie trafia w spłonkę, gdy widzi skierowane ku sobie lufy, wznosi dłonie do góry.

Nie dziś! Dziś nie ma pardonu. Dziś był Michniów. Strzał z kolta między zdziwione oczy wyjaśnia to lepiej niż słowa.

W wąskim przejściu, szczepieni jak siłacze, mocują się dwaj ludzie. Jeden ściska pistolet z wystrzelanym magazynkiem, drugi nóż. Ten chce uderzyć, tamten dźgnąć. Szarpią dłońmi-szponami uzbrojone ręce i charczące gardła. Kolega-partyzant rozstrzygającym strzałem przeważa szalę walki.

Szarpięcie drzwi ujawnia zawartość przedziału.

– *Herr Jesus! Herr Jeee...*

Rzut oka w ciemne pudło daje nikłe rozeznanie. Oficer, cywil-junkier z przystrzyżoną siwizną, starsza matrona, dziewczyna w mundurze BDM – seria ze stena obdziela wszystkich równo.

Żołnierz w tej chwili nie myśli. Gdyby pozwolił sobie na ten luksus, może odezwałoby się sumienie. Ale swąd dymu prochowego przypomina słodkawy zapach Michniowa sprzed kilku godzin.

– Porucznik „Czarka” zabity – podają sobie dyszące usta wzdłuż pociągu.

„Czarka”, rubaszny, fajny „Czarka”, przyjaciel „Ponurego”, leży teraz u wejścia do wagonu pocztowego, którego stalowe drzwi chciał sforsować wybuchem granatu. Kurtka na piersi mokra od krwi. Porucznik dostał kilka pocisków z empi, jest ciężko ranny.

Więc już nie tylko za Michniów, również za „Czarke”. Sucho klaszczą strzały. Tylko od czasu do czasu, gdy któryś z Niemców próbuje czmychnąć na drugą stronę toru, krótko warczy erkaem „Szortowców”.

Walka nie słabnie ani na moment. Lada chwila może nadejść odsiecz ze Skarżyska czy pobliskich posterunków. Pozostałe wagony bronią się zajadłe. A na niebie od strony Kielc pną się w górę czerwone iskry rakiet. Niemcy dostają pomoc.

– Odskok! – przekazują rozkaz „Ponurego” ochryple głosy.

Odchodzą niechętnie w jasnym już świetle. Gdyby im pozwolono zostać jeszcze chwilę, zdobyliby i tamte wagony. Jeszcze tylko ten i ów ostrym kamieniem pisze na lakierze pulmanów „Za Michniów”, inny niezdarnie rysuje kotwicę – znak Polski Walczącej.

Ostrożnie, na kocach, niosą chłopcy rannych oficerów „Czarke” i „Witka” oraz poharatanych w walkach w wagonach „Dana” – Wiesława Jaszewskiego, „Galla” – Jerzego Łabusia i „Dziuma” – Czesława Oświecińskiego.

Dług został częściowo spłacony, ale świadomość ta nie daje zadowolenia. Żołnierz nie może się tak łatwo rozgrzeszyć z tego, że raz, jedyny raz, postąpił tak, jak tamci wczoraj rano pod Michniowem.

Lufy patrzą dłonie, zmęczenie płacze nogi.

Żołnierze są już w lesie. Tu czekają na nich wystraszeni pogorzelnicy z Michniowa.

– Czy są ranni?

– Dużoście nazabijali?

Jedyną odpowiedzią na te pytania jest pełne rezygnacji machnięcie ręki. Dobiegają jeszcze ci z ubezpieczenia oraz zapóźnieni poszukiwacze broni.

Narastająca jasność dnia wydobywa z mroku twarze zmęczone, nie golone, o zapadłych oczach.

„Ponury” jest pewien, że Niemcy pójdą w pościg, robi więc niedaleko spalonej wsi zasadzkę. Czeka godzinę, dwie, ale Niemców nie widać. Ściąga więc oddział i kieruje ku obozowisku, na Wykus. Jedyne mały patrol osłony odprowadza część pogorzelników do Siekierna i Wzdolu.

Niemcy jednak doprowadzili swą zemstę do końca. W godzinę po odmarszu oddziału ta sama antypartyzancka kompania zajechała do półspalanej wsi i dokończyła dzieła zniszczenia. Rozstrzelano wszystkich, którzy ocaleli i uwierzyli, że to już koniec gehenny, spalono wszystko, co jeszcze pozostało w

Michniowie.

Ilość spalonych i zastrzelonych 12 i 13 lipca nie jest dokładnie znana – na wspólnym grobowcu umieszczono dwieście cztery nazwiska, prawdopodobnie jednak jest to liczba niepełna.

Zginęły całe rody, jak np. dwie rodziny Materków – w jednej jedenaście osób, w drugiej dwanaście, Krogulców – dziewięć osób, Wilków – dwanaście i dziewięć, Szubów – osiem osób i wiele, wiele innych. Żywcem spalono zarówno siedemdziesięcioletnich starców (Józefa Przeworska), jak i dziewięciodniowe dzieci (Stefan Dąbrowa). Wśród dwustu czterech ofiar było trzydzieścioro liczących mniej niż dziesięć lat.



96. Plk dypl. „Daniel” — Stanisław Dworzak (+1944), Komendant Okręgu Radomsko-Kieleckiego (II 1942 — III 1944)



97. Pplk „Jan”, „Rawicz” — Jan Stenzel (+1955), szef sztabu Komendy Okręgu (VI-XII 1943)

98. Powitanie przybyłego na uroczystą przysięgę na Wykus w dniu 11 lipca 1943 szefa sztabu Okręgu pplk. „Rawicza” Jana Stenzla. Od lewej: ppor. „Leszek” „Antoniewicz” — Leszek Popiel, ppor. „Grot” — Euzebiusz Z. Domoradzki, ks. „Robak” — Marian Majecki, por. „Ponury” — Jan Piwnik, pplk. „Rawicz” — Jan Stenzel i „Szach” — Julian Materek







99-100. Lipcowa przysięga żołnierska na zagospodarowanym Wykusie miała wyjątkowo uroczystą oprawę







101. Partyzancki obiad po jednej z pierwszych odpraw łączniczek Zgrupowań na Wykusie. Od lewej: ppor. „Grot” — Euzebiusz Z. Domoradzki (twarz z profilu), „Ewa” — Janina Głowicka, por. cc. „Nurt” — Eugeniusz G. Kaszyński (tyłem), „Marta” — Maria Starosz, ks. „Robak” — Marian Majecki (tyłem), por. „Ponury” — Jan Piwnik i „Jutrzenka” — Czesława Białek

102. W solidnych szalaszach żołnierz partyzancki czuł się dobrze i bezpiecznie. Od lewej: „Maryśka” — Stefan Starski





Podaję do wiadomości wszystkich żołnierzy, którzy jeszcze do tego czasu nie orjentują się w kierunku zadań Polskiej Partyzantki że oddziały, którymi ja dowodzę zostały sformowane i zorganizowane na rozkaz Naczelnego Wodza i Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju. Oddziały te zostały zorganizowane jako Armia Polska w związku z tym wszyscy jej żołnierze korzystają z praw żołnierzy polskich, jednakże nie służą w Armii Polskiej, nie służą na nich wielkie i zastępcze obowiązki z których największym jest walka z wrogiem aż do ostatniego żołnierza i krwi. Wszyscy żołnierze w Armii Polskiej podlegają wyznaczeniu operacyjnym na polskich regulaminach wojennych. Obowiązki i honorarium każdego żołnierza jest rozpoznane się w jakiejś różnicy czasie z wyznaczeniem by mógł w każdej chwili być zdalnym do wyko-

nia swej obowiązku. Zadaniami naszymi i obowiązkami jest nganie przeciwnika i zadawanie mu coraz większych cięstw przez ataki sabotażowe, terrorystyczne i partyzanckie oraz stosowanie wobec okupanta już w obecnej chwili zorganizowanej armii obrony i odwetu na aby gwałtu w stosunku do ludności polskiej.

Zapraszamy do i harowania ludzi do wykonania zadań bojowych w okresie powstania oraz otrzymywanie w specjalistyczne postawy bojowej i przygotowanie w ten sposób sformowanej partyzanckiej powstania

Uprzedzając templetole leńnych z dzieł band rabunkowych i agitacyjnych ludność polską ciępymi gwałtami.

W związku z tym rozkazuję by żołnierze którzy w przeciagu służby w partyzantce powinni do obowiązków nie być podlegać obowiązkom żołnierza polskiego. Żołnierze ci nie służą w Armii Polskiej i nie służą w tym samym dotychczas, żołnierze ci armii schyłkowej w stosunku do której obowiązkiem będą bardzo poważnie regulaminów wojennych, a w szczególności opuszczenie obozu bez zezwolenia przełożonego jest dotychczas i będzie karane kary śmierci.

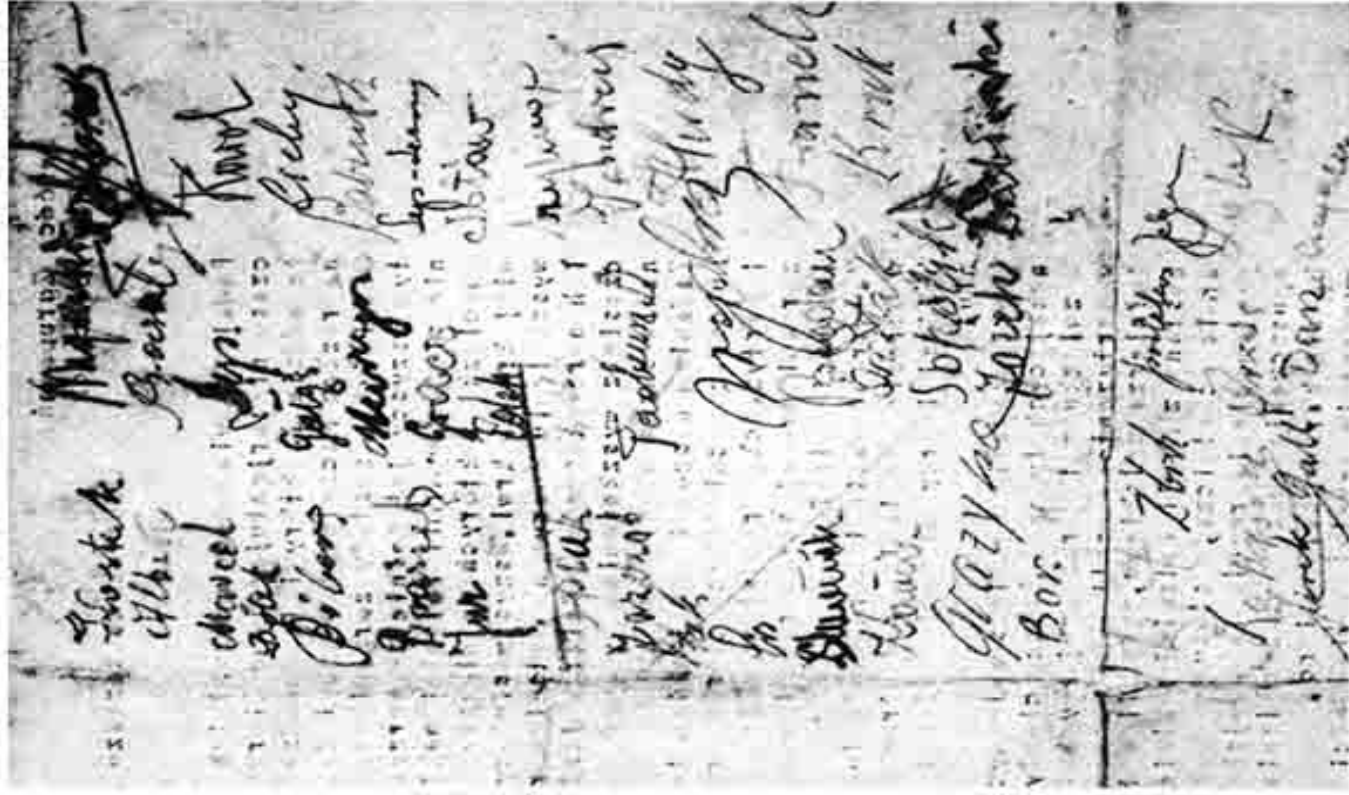
Wyznaczam wszelkich władności ce do naszych planów, poruszeń, zamierzonych czy wykonanych, obywateli, wyznawców i wstawców obywateli i dzielenie się z ludnością cywilną kolegi, przyjaciółmi czy nawet rodziną stanowi zdradę tajemnicy wojennej i będzie karane śmiercią.

pozwolenie broni bez wiedzy i zgubienia jej lub porzucenie w obliczu nieprzyjaciela karane będzie śmiercią. Niebezpieczeństwo jest największe wtedy, jeżeli ktoś, który nie ma prawa posiadać broni, odda ją w ręce wroga, obywateli, obywateli nieprzyjaciela może spowodować zażenowanie naszej akcji w związku z tym rozkazuję wszystkim żołnierzy, którzy wykazują niebezpieczeństwo w akcji karze śmierci.

Dowódcy zgrupowań do dnia 10/10/42 po ode przykrotych adreście niżej, swoje rozkazy przedstawiali wyżej tych wszystkich, którzy w związku z tym rozkazem proszę w załączeniu z oddziało.

Ponury Dąbski

Wszystkie rozkazy adreśtuje do szeregów, przyłączone do wiadomości i bezwzględnie przestrzeżenie zawartych w nim załączników.



103-106. Zaraz po przysiędze „Ponury” wydał rozkaz (nazwany tu „dodatkiem do rozkazu nr 223”) przypominający obowiązki żołnierza Armii Krajowej, pod którym partyzanci składali swe podpisy. U góry z lewej: oryginał w języku polskim, po prawej podpisy 51 żołnierzy Zgrupowania nr 2 „Robota”. Rozkaz ten trafił wnet w ręce gestapo. Poniżej fotokopia tłumaczenia wydobytego po wojnie z akt niemieckich



Führer der Partisanen-Gruppen.

Wp.1473

z u s a t z zum Befehl Nr.25)

Ich gebe allen Soldaten, die sich nicht im Kuren sind über die Richtlinien des polnischen Partisanenkrieges bekannt, dass die unter meinem Befehl stehenden Gruppen auf Befehl des obersten Führers und Kommandanten der polnischen bewaffneten Kraft im Lande organisiert und zusammen gestellt wurden. Diese Gruppen sind organisiert als polnische Armee. In diesem Zusammenhang stehen deren Soldaten die Rechte eines Soldaten zu. Gleichseitig wird ihnen durch den Dienst in der poln. Armee grosse und ruhmvolle Pflichten auferlegt von denen die grösste ist, der Kampf gegen den Feind bis zur letzten Blutstropfen. Alle in der polnischen Armee dienenden unterliegen nicht, auch den poln. Militärgrund-sätzen festgelegten Ausbildung. Es ist Pflicht und Ehre jeder einzelnen Soldaten, sich mit der Ausbildung in kürzester Zeit bekannt zu machen um in jedem Augenblick einsatzfähig für die ihm gestellte Aufgabe zu sein.

Es ist unsere Aufgabe und Pflicht den Feind im Lager bewachen, in starke Schläge zu versetzen durch Sabotage- und Terroraktionen sowie durch organisiertes Selbstmord, schon heute des Occupanten mit Vergeltung für die an der polnischen Bevölkerung verübten Gräueltaten entgegen zu treten.

Verborgens und harten der Menschen zur Aufführung von Kampfaktionen während des Aufstandes und Erhaltung der Bevölkerung in einem Kampfstand und Bereitschaft zu sein eine einen Aufstand günstige Stimmung zu machen.

Aufträgen des aus wilder Barbaren bestehenden Waldtrupps die die poln. Bevölkerung durch ihre Gräueltaten plagt.

Im Zusammenhang mit diesem Befehle ist, diejenigen Soldaten die während ihres Dienstes in der Partisanentruppe an der Herrschaft gelang kamen, den Pflichten des poln. Soldaten nicht nachgeben zu können. Dieser ihrem Vorposten zu sein. Diese Soldaten werden aus dem polnischen Heere entlassen. Die übrigen Soldaten werden als Freiwillige des Heeres betrachtet. Die unterliegenden den harten militärischen Grundregeln und zwar

Verlassen des Lagers, ohne Genehmigung des Vorgesetzten bedeutet Feindesflucht und wird mit dem Tode bestraft. Das Weiterben von verweilender Knochentrocken betriebe unter Planungen, Bewegungen, Anführer oder ausgeführter Aktionen, Bewaffnung, Bekämpfung und Lagerverhältnisse an die Zivilbevölkerung, Kollegen, Freunde oder auch Familienangehörige bedeutet den Verrott militärischer Verbindnisse und wird mit dem Tode bestraft.

Das Zurücklassen seiner Waffe ohne Aufsicht, deren Verlust oder Wegwerfen während einer Feindüberführung wird mit dem Tode bestraft.

Feigheit ist die grösste Unthat eines Soldaten da die ungebührlich sich auf die Kampfkraft der Gruppe auswirkt so, dass den die Unruheheit eine Aktion zum Scheitern bringen kann. Ich erlaube nicht zu, und ohne den Gruppenführern den Befehl diejenigen Soldaten die während einer Feindüberführung Feigheit verhalten werden, sofort mit dem Tode zu bestrafen.

Die Gruppenführer haben sich bis zum 1873, nach drei maligen Vorlesern des Befehls, eine Liste aller derjenigen Soldaten vorzulegen, die in Zusammenhang obigen Befehls an ihre Mitteilung blieben.

F o r m a t - 2 0 x 2 5

Obigen Befehl habe ich gelesen und verstanden. Ich habe Kenntnis über die Befehlsgeber an dem Befehl stehenden Verordnete.

Verordnet. Die Kommandanten dieses Befehls wurde von 51 Bändenmitgliedern durch unterzeichnen ihrer Decknamen unter dem Befehl quittiert.

P. A. R. A. 13
Kriegsministerialrat.





„GDY PADAJĄ OFIARY, CHOĆ NAJBOLEŚNIEJSZE, NIE IDĄ ONE NA MARNE. KAŻDA JEST SIĘBĄ LEPSZĄ PRZYSZŁOŚCI”

Prezydent Rakackiewicz
w dniu Święta Żołnierza Polskiego 1948

BULETYN INFORMACYJNY



Rok V

Warszawa, 26 sierpnia 1943 r.

Nr. 34 (189)

Komunikat Nr. 6

Dn'a 2.VIII.43 o godz. 18 w Warszawie grupy specjalne zniszczyły w 4 kinach, a uszkodziły w 2 czynne w czasie seansu aparaty kinowe wraz z filmami. Kina te, przeznaczone wyłącznie dla publiczności polskiej wyświetlając m.in. filmy propagandowe niemieckie, działały na szkodę interesów polskich.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

16.VIII.43.

Komunikat Nr. 7

1) W ramach akcji odwetowej za bestialstwa niemieckie w rej. Skaryńska i Suchedniowa nasze oddziały partyzanckie dokonały w lipcu pod st. kol. Łączna drugiego napadu na pociąg pocztowy. W akcji zabito i rannono ok. 180 Niemców.
2) W dn. 11.VII.43 pluton SH Zbrojnych w Kraju odbił z rąk niemieckich w rej. Wysokie Mazowieckie 15 aresztowanych Polaków. W walce padło 3 zandarmów niemieckich i 7 pol. Ukraińskich. 7 Niemców zostało rannych ciężko, kilku lekko.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

17.VIII.43.

Komunikat Nr. 8

Na terenie Śląska i Zagłębia w m. czerwiec 43 r. zlikwidowano następujących Pol. — agentów Gestapo: Witkowski Czesław, Kurz Jerzy i Lucyna z Sosnowa, Kuczek z Zawiercia, Kosibiej ze Strzemieszyc, Ryplec Józef, Pawlus z toną, Legierski Józef z Bielska. Prócz tego zlikwidowano Niemców: Sosnowskiego z Łódź i Bittermanna z Mysłowic.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

18.VIII.43.

Komunikat Nr. 9

W nocy z 5 na 6.VIII.43 r. oddziały S.Z.K. przeprowadziły akcję uwolnienia więźniów politycznych w Jaśle. Uwolniono 66 więźniów.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

19.VIII.43.

107. Nazajutrz po partyzanckiej przysiędce miała miejsce pacyfikacja Michniowa. Na płycie wryto po wojnie 204 nazwiska zamordowanych

108. W odwet za mord w Michniowie „Ponury” uderzył na niemiecki pociąg, o czym mówi komunikat nr 7 opublikowany w nr 34 „Biuletynu Informacyjnego”





109. W tydzień po akcji „Ponurego” na pociąg niemiecka obława uderzyła na Wykus, z którego Zgrupowania wcześniej umknęły. Zaczął się dwutygodniowy pościg za partyzantami po lasach starachowickich



110. Partyzancki odskok utrudniał agent w leśnych szeregach, który rzucał za wojskiem bibułki od papierosów „Solali”





111. Śmiertelnie zmęczone nieustannym pościgiem Zgrupowania „Ponurego” zgubiły Niemców dopiero w początkach sierpnia



112. Powracających po obławie i dwóch tygodniach umykania żołnierzy „Ponurego” czekało na Wykusie gruntownie zniszczone obozowisko. Był to jednak swój kąt



Akcja „Ponurego” na pociąg była odwetem, który stał się przyczyną ponownej, jeszcze potworniejszej represji. Trudno dziś ustalić, ilu Niemców padło w częściowo tylko zdobytym pociągu. Źródła konspiracyjne utrzymywały, że zabito lub ciężko raniono ponad stu osiemdziesięciu Niemców. Informację tę podał zarówno wywiad Komendy Okręgu AK, jak i „Biuletyn Informacyjny” nr 34 (189) z dnia 26 sierpnia 1943 roku, gdzie w komunikacie nr 1 czytamy:

1) W ramach akcji odwetowej za bestialstwa niemieckie w rej. Skarżyska i Suchedniowa nasze oddziały partyzanckie dokonały w lipcu pod st. kol. Łączna drugiego napadu na pociąg pośpieszny. W akcji zabito i raniono ok. 180 Niemców.

Źródła niemieckie podają straty własne zadziwiająco niskie. Meldunek OFK 603 z 12 lipca stwierdza, że 13 lipca o godz. 2.40 pod posterunkiem blokowym Podłazie dokonano napadu na pociąg osobowy Warszawa – Kraków. Ochrona broniła się. W sumie zginęło pięć osób, w tym: trzech żołnierzy Wehrmachtu, jeden z Ostlegionu i jeden cywil. Ciężko rannych było dziesięć osób, liczba lżej rannych zaś w chwili pisania meldunku nie była jeszcze znana¹³³.

¹³³ Meldunek dzienny Dowództwa Okręgu Wojskowego GG podaje straty niemieckie zaniżone – ośmiu zabitych i czternastu ciężko rannych (MiD WIH mikrofilm 501/217 k. 735. Tagesmeldung WR GG z 13 VII 1943). Raport ten sporządzony był nazajutrz po akcji „Ponurego” na pociąg i stąd zapewne niepełne liczby.

Wydaje się – po porównaniu danych obu stron z relacjami uczestników akcji – że prawda leży pośrodku. Ilość zabitych i ciężko rannych, ze słabymi nadziejami na przeżycie, musiała przekroczyć liczbę pięćdziesięciu osób.

Dlaczego Niemcy uderzyli właśnie w Michniów? Skąd znali to czułe miejsce – bazę oddziału?

Wiele wydaje się wskazywać na fakt, iż była to pierwsza większa wyspa spowodowana przez „Motora” na terenie Kielecczyzny.

W pół roku później, w czasie badania po zatrzymaniu, „Motor” nie wziął na swoje sumienie michniowskiej tragedii, ale nie dlatego, że zaprzeczył temu faktowi. Po prostu nie pytano go o to, gdyż badający dali się zasugerować, iż współpracował z gestapo od sierpnia 1943 roku.

Przez kilkanaście lat nie łączono spalenia Michniowa z „Motorem”, nawet zachowana korespondencja między „Nurtem” a Komendą Okręgu oraz kontrwywiadem (18-b) a Okręgiem „Rolnik” w sprawie agenta nie przypisuje mu tej tragedii, jak zresztą wielu innych dokumentacji jego autorstwa, które zostały ujawnione wiele lat po wojnie.

W odnalezionym w latach 60-tych meldunku „Żmudzina” – Bolesława Kontryma, szefa komórki likwidacyjnej KG AK, znalazłem wyraźne wskazanie na „Motora” jako sprawcy spalenia wsi:

Wg pierwszych meldunków i raportów uzupełniających wnoszę: Mo [„Motor” – przyp. C. Ch.] zadeklarował się Go wcześniej, niż zeznał Nurtowi. Podał datę sierpień 1943. Natomiast właśnie lipiec otwiera okres wzmożonych aresztowań w Okr. Wg meldunku kpr. Łosia Mo był zatrzymany, względnie „odwiedził” żandarmerię w Skarżysku-Kam. w dniu 2.7.43. (sprawdzone, zgodne). Późniejsze „aresztowanie” Mo mogło być zainscenizowane dla ostatecznego uzgodnienia wielkiej zdrady Mo. Należy pamiętać, że nieufność Go do Mo i odwrotnie wymaga jeszcze spotkań w areszcie. Nasze ekspozytury mają za zadanie ustalić ostateczną datę skaptowania Mo.

Mo na początku usług dla Go działał z rezerwą, asekurowając drogę ewentualnego powrotu. Grał na dwa fronty (z wypowiedzi „P” [„Ponurego” – przyp. C. Ch.]). Należy przypuszczać, że Mo „wkupił” się w Go sypiąc Michniów (datujemy wypadek 13.7.43). Mo mógł się łatwo wywinąć z autorstwa tej wyspy. Michniów i michnianowie znani byli partyzantom ze swej życzliwości dla „Lasu”¹³⁴.

¹³⁴ Meldunek – w archiwum autora.

Dla niektórych ludzi z konspiracji suchedniowskiej związek „Motora” z tragedią Michniowa był jednak od dawna oczywisty. Znajdujemy na to dowód w postaci relacji kpr. „Puera” – Bogdana Ostachowskiego, żołnierza oddziałów „Ponurego”, złożonej jeszcze w 1946 roku przed sędzią Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich:

Wieś Michniów była siedzibą sztabu partyzanckiego zgrupowań Ponurego do czasu przeniesienia się na Wykus. Wprawdzie pierwsze oddziały leśne kwaterowały na Kamieniu Michniowskim – odległość około pół godziny drogi – jednak w większości wypadków wszystkie sprawy związane z dowodzeniem decydowano we wsi.

Większość mieszkańców Michniowa tworzyła placówkę AK i BCh, ludność ta była niezwykle ofiarna i związana z ruchem oporu. Między innymi wspólnie z kwaterującym również przez pewien okres w Michniowie oddziałem GL Narbutta opracowano plan akcji na pociąg wiozący aresztowanych z Radomia do Oświęcimia. Plan ten nie doszedł do skutku, ponieważ hitlerowcy wysłali transport przez Częstochowę-Tomaszów, a więc innym szlakiem.

Na adres sklepu Materków przysłani byli oficerowie, a nawet żołnierze przychodzący do przyszlęj Armii Ponurego z Warszawy. Tą drogą przybył również i Motor..

Ponieważ nocowanie w pobliżu skrzynki kontaktowej nie było bezpieczne, skierowano go do gajowego Wikły. Motor przybył do Michniowa razem z Azorkiem, który już w pierwszy wieczór opowiadał o wyczynach Ponurego i Motora – oswobodzicieli jego i innych członków dywersji wschodniej z więzienia w Pińsku. Na kilka tygodni przed spaleniem Michniowa wieczorem przybył do sklepu Materków konfident żandarmerii Twardowski z Krzyszki i prosił właściciela domu, kolejarza Materkę, o chwilę rozmowy. Pokazał przy tym ślady po razach, jakie rzekomo dostał u żandarmów. Opowiedział następującą historię:

Jako handlarz świniami wpadł z mięsem i za cenę pozostawienia go na wolności zaczął współpracować z żandarmami starając się, by nikogo nie skrzywdzić. Wezwano go ostatnio i dano kilkanaście batów, mówiąc, że źle się sprawuje, bo pod nosem w Michniowie (Krzyszka – pobliska wieś) sztab partyzancki kwateruje. W sklepie u Materków oficerowie obradują, a on nic nie wie.

Po tym ostrzeżeniu przeniesiono definitywnie obóz partyzancki z Kamienia Michniowskiego na Wykus. Przedsięwzięto również pewne środki ostrożności.

Z domu Materków – córka Waclawa i brat¹³⁵ Marian pracujący w Nadleśnictwie zamieszkali w dawnej skrzynce kontaktowej w mieszkaniu Wandy Ostachowskiej w Suchedniowie przy ul. Kieleckiej 140. Skrzynka ta z uwagi na bliskość szosy (położona przy głównym trakcie Warszawa-Kraków) nie była ostatnio wykorzystywana dla potrzeb oddziału.

135 Zginął 7 VII 1944 r. w oddziale „Tarzana” zgrupowania „Nurta” pod Wołą Grójecką (przyp. C. Ch.).

Z Michniowa zabrano resztę broni i papierów na Wykus do tworzącej się tam bazy partyzanckiej. Mężczyźni pewien czas nie nocowali w domach, a niektórzy bezpośrednio z konspiracji po ogłoszeniu stanu pogotowia poszli do oddziału. Po kilku tygodniach ochłonięto z chwilowego przerażenia i uznano ostrzeżenie konfidenta Twardowskiego za chęć wyłudzenia łapówki od właściciela sklepu. Zaniechano więc dotychczasowych środków ostrożności, jakimi było między innymi wystawianie wart i posterunków na drodze. I wtedy nastąpiło to, czego się obawiano.

Pacyfikacja Michniowa, niewielkiej wioski leżącej u podnóża Gór Świętokrzyskich, była szczególnie bestialska. Mordowano mieszkańców ze straszną premedytacją.

Nocą z 11 na 12 lipca oddziały żandarmerii, gestapo i SS otoczyły kompleks lasów wokół Michniowa silnym pierścieniem. Niemców prowadził dobrze znający teren leśniczy, folksdojcz Jekiel. Kiedy w blaskach wschodzącego słońca obudzili się mieszkańcy Michniowa, za późno było już myśleć o jakiegokolwiek ucieczce do lasu, zresztą na jego skrajach stały hitlerowskie ckm-y.

SS-mani podchodzili kolejno do szeregu domów według listy. Wynosili co cenniejszy sprzęt i podpalali wraz ze wszystkimi domownikami. Do płonących postaci próbujących wyskoczyć przez okna lub drzwi strzelali i wrzucali ich z powrotem w ogień. Kiedy u gajowego Wikły (tam gdzie nocował Motor) dwuletnie dziecko próbowało uciec przez zarośla ku rosnącym w pobliżu krzakom, dopadł je pies policyjny. Żandarmi beztrząsco przypatrywali się temu widowisku dopingując psa do mordu. Z płonącego domu Materków, gdzie w kryjówce siedział syn Henryk – wyskoczył on w pewnej chwili osmolony, ale żywy. Udało mu się przelecieć łączkę, był już przy życiu, jeszcze kilka kroków i wtedy skosiła go seria kaemów.

Ojca Henryka i matkę po badaniach hitlerowcy potwornie zamordowali, wrzucając związanych do ognia. Nie dowiedzieli się od nich niczego.

W środku wsi do stodoły¹³⁶ spędzono mężczyzn. Chłopi nie chcieli się dać zamknąć w krytej słomą stodole i zginęli we wrotach płonącego budynku.

136 Na tym miejscu stoi obecnie pomnik (przyp. C. Ch.).

Czy nikt nie przyjdzie wsi z pomocą? Przecież tu kwaterował Nurt, Wilk, tu organizował swą armię Ponury. Ale chłopcy z lasu byli daleko, jakieś 15 kilometrów na Wykusie.

O godzinie 10.00 rano dociera na Wykus porucznik Stefan Obara. Powracał on z patrolu dywersyjnego do domu w Michniowie. W lesie pod Berezowem natknął się na hitlerowców zmylił jednak pogoń i zamiast do wsi podążył na Wykus.

Ponury zarządził mobilizację zgrupowania i forsowny marsz w kierunku Michniowa. Partyzanci we wsi nie zastali już Niemców, zobaczyli natomiast pomordowane w okrutny sposób dzieci, spalonych żywcem ludzi. Żołnierze domagali się odwetu. Przecież wielu takich chociażby jak kwatermistrz zgrupowania Julian Materek czy inni znaleźli we wsi pomordowanych w okrutny sposób ojców i matki.

Po akcji na pociąg w Michniowie dowództwo postanowiło ewakuować pozostałych przy życiu mieszkańców wsi. Jednak nie wszyscy usłuchali polecenia Ponurego – twierdząc, że jeżeli w pierwszy dzień nic im nie zrobiono, to i teraz im się krzywda nie stanie.

Srodze się to na nich zemściło. Następnego dnia rano przyjechali powtórnie hitlerowcy, paląc wszystkie domy i mordując pozostałych przy życiu mieszkańców Michniowa.

Łącznie zginęło około 230 osób. Dokładną liczbę trudno bowiem ustalić, bo w Michniowie ukrywali się Polacy, Żydzi, Rosjanie.

Spalono dokładnie całą wieś, kilkudziesięciu młodych ludzi przewieziono do gestapo w Kielcach, tylko niewielu z nich przeżyło wojnę.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w pierwszy dzień rozpoczęto akcję od wymordowania rodziny Materków i Wikłów – dwóch domów, z którymi zetknął się bezpośrednio przychodzący do lasu z Warszawy Motor. W pierwszą noc, a może i później, dowiedział się on wielu innych szczegółów z życia wsi i wprawdzie nie było czasu przy likwidacji tego szpiega na badania dokładniejsze – wina Motora w sprawie spalenia Michniowa wydaje się bezsporna¹³⁷.

137 Oryginał w archiwum GKBZH. Kopia udostępniona przez „Puera” – w archiwum autora (przyp. C. Ch.).

Po spaleniu Michniowa kilka osób niechętnych „Ponuremu” starało się przypisać mu winę za niemiecką pacyfikację. Twierdzono, że był to odwet Niemców za akcję na pociąg pod Łączną w dniu 2 lipca. Wyraźnie przeczy temu przytoczona relacja „Puera”. Niemcy korzystając z usług „Motora”

rozpracowywali michniowskie kontakty z partyzantami już od dawna – dużo wcześniej niż przed 2 lipca.

Tragedia michniowska pozostawiła piętno na psychice żołnierzy „Ponurego”. Częściowy odwet w pociągu nie wyzwolił ich z tego; ciągle wracali wspomnieniami do potwornego mordu w zaprzyjaźnionej wsi.

To pierwsze – w tej skali – zetknięcie leśnego żołnierza z niemieckim bestialstwem „Ponury” postanowił wykorzystać jako element psychologiczny w celu dania okazji swoim żołnierzom do ewentualnego wycofania się z szeregów. Chciał mieć ich może nawet mniej, ale absolutnie zdeterminowanych i gotowych na wszystko. W przygotowanym nazajutrz po Michniowie rozkazie noszącym datę 14 lipca 1943 roku, a nazwanym „dodatkiem do rozkazu nr 233”, komendant pisał:

Podaję do wiadomości wszystkich żołnierzy, którzy jeszcze do tego czasu nie orientują się w kierunku zadań Polskiej Partyzantki, że oddziały, którymi ja dowodzę, zostały stworzone i zorganizowane na rozkaz Naczelnego Wodza i Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju. Oddziały te zostały zorganizowane jako Armia Polska. W związku z tym wszyscy jej żołnierze korzystają z praw żołnierskich. Jednocześnie służba w Armii Polskiej nakłada na nich wielkie i zaszczytne obowiązki, z których największym jest walka z wrogiem aż do ostatniej kropli krwi. Wszyscy służący w Armii Polskiej podlegają wyszkoleniu opartemu na polskich regulaminach wojskowych. Obowiązkiem i honorem każdego żołnierza jest zapoznanie się w jak najkrótszym czasie z wyszkoleniem, by mógł w każdej chwili być zdolnym do wykonania swego obowiązku.

Zadaniem naszym i obowiązkiem jest nękanie przeciwnika i zadawanie coraz mocniejszych ciosów przez akcję sabotażową, terrorystyczną i partyzancką oraz stosowanie wobec okupanta już w obecnej chwili zorganizowanej samoobrony i odwetu za akty gwałtu w stosunku do ludności polskiej.

Zagwarantowanie i hartowanie ludzi do wykonania zadań bojowych w okresie powstania oraz utrzymywania w społeczeństwie postawy bojowej i przygotowanie w ten sposób atmosfery przychyłnej powstaniu.

Uporządkowanie kompleksów leśnych z dzikich band rabunkowych nękających ludność polską ciągłymi gwałtami.

W związku z tym rozkazuję, by żołnierze, którzy w przeciągu służby w partyzantce doszli do przekonania, że nie mogą podjąć obowiązku żołnierza polskiego, zgłosili o tym swym dowódcom. Żołnierze ci zostaną z Armii Polskiej zwolnieni. Pozostali będą traktowani jako armia ochotnicza, w stosunku do której obowiązywać będą twarde postanowienia regulaminów wojskowych, w szczególności: opuszczenie obozu bez zezwolenia przełożonego jest dezercją i będzie karane karą śmierci, wynoszenie wszelkich wiadomości co do naszych planów, poruszeń, zamierzonych czy wykonanych akcji, uzbrojenia, wyżywienia i warunków obozowych i dzielenie się nimi z ludnością cywilną, kolegami, przyjaciółmi czy nawet rodziną stanowi zdradę tajemnicy wojskowej i będzie karane śmiercią. pozostawienie broni bez opieki, zgubienie jej lub porzucenie w obliczu nieprzyjaciela karane będzie śmiercią, tchórzostwo jest największą wadą żołnierza, gdyż źle wpływa na postawę bojową oddziału w walce, a defetyzm w obliczu nieprzyjaciela może zagrażać załamaniem naszej akcji.

W związku z tym rozkazuję dowódcom żołnierzy, którzy wykażą tchórzostwo w akcji, karać śmiercią na miejscu.

Dowódcy zgrupowań do dnia 14 VII 1943 po trzykrotnym odczytaniu rozkazu przedłożą wykaz tych wszystkich, którzy w związku z tym rozkazem proszą o zwolnienie z oddziału.

[138](#) Zasyfrowana data 14 VII 1943 r. (przyp. C. Ch.).

Ponury Donat

Rozkaz ten, trzykrotnie odczytany przed frontem oddziałów, podpisywali żołnierze w rubryce zatytułowanej:

Powyższy rozkaz odczytałem ze zrozumieniem, przyjąłem do wiadomości i bezwzględnie przestrzegania zawartych w nim rozkazów.

O zwolnienie z szeregów nie poprosił nikt.

Ale sam rozkaz znalazł się w posiadaniu Niemców. Na karty tej książki dotarł z zachowanego archiwum gestapo wraz z dokładnym tłumaczeniem w języku niemieckim oraz informacją, iż egzemplarz, który znalazł się w posiadaniu władz policyjnych okupanta, zawiera odręczne podpisy pseudonimami 51 „członków bandy”.

Żółte bibułki „Solali”

Dopiero po zatrzymaniu i zaatakowaniu przez partyzantów pociągu pod blokiem Podłazie Niemcy zorientowali się, że informacje, które dotąd lekceważyli i uważali za mocno przesadzone, zasługują całkowicie na wiarę. Jeszcze rozbicie obu pociągów pod Łączną w dniu 2 lipca można było położyć na karb przypadku, ale natychmiastowa reakcja na pacyfikację Michniowa, i to reakcja tak gwałtowna jak brawurowy atak na pociąg broniony przez frontowych żołnierzy, wskazywała, że oddział leśny jest przygotowany do tego rodzaju walki i znajduje się w dobrych rękach. A przecież jeszcze półtora miesiąca temu coś podobnego było nie do pomyślenia. Dziś ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi buszowało po lesie w pobliżu garnizonów niemieckich, prowadząc twardą walkę na zasadzie „zab na zab”. Nie można było, z punktu widzenia władz okupacyjnych, dopuścić, aby tak szybko sformowany i wyszkolony oddział wzrastał jeszcze bardziej w siłę. Rozdzwoniły się telefony, zapiszczały połowe radiostacje i już 17 lipca zaczęły zjeżdżać do Skarżyska pośpiesznie ściągane załogi posterunków żandarmerii, oddziały Hilfspolizei, antypartyzancka kompania pościgowa Schupo z Radomia, formacje przeciwlotnicze z Kielc, własowcy ze Starachowic, Ostrowca, słowem – pospolite ruszenie w całej bliższej lub dalszej okolicy, w sumie ponad cztery tysiące ludzi.

Ruch w okolicznych garnizonach, przerzuty wojsk na szosach nie mogły ująć uwagi placówek wywiadu konspiracyjnego.

19 lipca rano do obozowiska na Wykusie przybywali kolejno gońcy z Wąchocka, Suchedniowa, Starachowic, Rzepina z meldunkami jednakowej treści:

– Niemcy idą.

„Ponury” postanowił nie czekać na Wykusie na piętnastokroć liczniejszego przeciwnika, lecz wywinąć się z zastawionych sideł i niespodziewanie uderzyć w miejscu, gdzie go najmniej oczekiwano.

Po południu sytuacja była już jasna: silne oddziały niemieckie prą marszem ubezpieczonym od północy – drogą prowadzącą z Wąchocka przez Rataje, między Jażwinami i obozem Langiewicza, prosto jak strzelił na Wykus. Maszerują wolno, ostrożnie, idą poprzedzani licznymi oddziałami czołowymi i ubezpieczenia bocznego.

Zgrupowania są już od kilku godzin w stanie alarmu. Wozy taborowe załadowane, konie w zaprzęgach parskają niecierpliwie i wreszcie pod wieczór „Ponury” rzuca ppor. „Dzika” z częścią oddziału „Grotą”, wzmocnioną drużyną „Halnego” od „Szorta”, na południowy wschód, w kierunku przeciwnym do niemieckiego marszu, aby zabezpieczyć szlak odskoku oddziałów. Nie jest to zadanie łatwe – drogą tą ma przejść bezpiecznie nie tylko dwie i pół setki ludzi, ale także tabor ppor. „Motora”, kilkanaście ciężkich, nie dostosowanych do bezdroży wozów.

Trzydziestu ludzi pod wodzą doświadczonego wojskowego szybko zbiega ze wzgórza i wzdłuż koryta strugi Czarnej dochodzi o szarówce do pól wsi Radkowice, wcinających się klinami w lasy.

Szperacze potwierdzają wiadomość – we wsi Niemcy. Zostawia więc „Dzik” dwóch swoich żołnierzy na brzegu lasu i prowadzi oddział dalej wzdłuż lizjery dróżką jeszcze leśną, ale już pozwalającą zaglądać na rzepińskie pola.

Sam Rzepin ciągnie się długą, kilkukilometrową ulicówką, równoległą do linii lasu. Spokojna, zwykle już kładąca się do snu po żniwnym lipcowym dniu wieś dziś pulsuje życiem i wrzawą. To jej mieszkańcy w ten sposób sygnalizują: uwaga, u nas Niemcy!

Prowadzi więc „Dzik” swój oddziałek o kilkaset metrów od wsi, wzdłuż zaparkowanych za stodołami samochodów, sam niewidoczny wśród pierwszych drzew masywu leśnego. Co kilkaset metrów na

rozstajach leśnych drózek zostawia na szlaku dwóch „kierunkowych” ubezpieczających maszerujące Zgrupowania. Wreszcie przy styku Rzepina i Dąbrowy kończą się drzewa. Od południowego krańca lasów, należących do Towarzystwa Zakładów Starachowickich, dzieli ich półtora kilometra otwartego pola. „Dzik” ubezpiecza wylot drogi na pola i jej wlot do lasu już po drugiej stronie.

Tymczasem o pełnym zmierzchu z Wykusu ruszają Zgrupowania. Ludzie, którzy dotąd pomykali po lesie małymi grupkami, nienawykli jeszcze do leśnych marszów po omacku tak wielką gromadą, z licznymi taborami, starają się iść cicho, ale w ciemności wpadają na siebie, potykają się, klną.

W środku mają tabor. Mimo starannego smarowania, osie wozów skrzypią, żelazne obręcze wielkich kół dudnią po korzeniach, huk niesie się po lesie tak wielki, że „Ponury” dopada „Matora” i daje mu solidną reprimendę. Biegnie więc porucznik do swych woźniców i rozwiera gębę na całego. Nie mówi głośno, ale jego wiązanki sięgają matek, babek, prababek każdego z nich, przez Rzepichę aż do biblijnej Ewy.

Niewiele to pomaga. Na stromych zjazdach konie zapierają się zadami i nie są w stanie zatrzymać załadowanych wozów.

Oddziały dochodzą do brzegu lasu i tu placówki rozstawione przez „Dzika” meldują, że trzeba zachować kompletną ciszę, gdyż we wsi okopani są Niemcy, którzy na dodatek wysunęli czujki dosyć daleko – aż między zabudowania a linię pierwszych drzew.

Na szczęście teren już bardziej równy, więcej tu błota niż kamieni, na dróźce nie ma korzeni, wozy jadą więc względnie cicho. Gdy zaczyna piszczeć któraś przytarta oś, żołnierze zwilżają ją błotem lub własnym moczem. Woźnice w kompletnej ciemności prowadzą konie za uzdy tuż przy samym pysku.

Dobrze po północy dochodzą do krańca lasu. Teraz batami po koniach i półbiegiem przeskakują półtorakilometrową, odkrytą przestrzeń dzielącą ich od lasów Zakładów Starachowickich.

O świcie żołnierze mają w nogach dwadzieścia kilometrów marszu po bezdrożach. Konie pokryte płatanami piany nie mogą już dalej ciągnąć wozów, „Ponury” poleca więc zatrzymać się na biwak. Cały dzień oddział leży niedaleko wschodniego skraju lasu, obok zabudowań leśnictwa Krynki. Przed wieczorem dopędza ich żołnierz, który zawieruszył się na Wykusie po odejściu oddziału. Przynosi wiadomość, z którą się przecież liczyli, a która jednak ugodziła ich bardzo – Niemcy spalili obozowisko na Wykusie. Poszły z dymem solidne szałaszy, stoły i ławy z żerdeń brzoźowych.

Cały dzień opędzają suchym prowiantem, gdyż dokoła buszują patrole niemieckie, a po niedalekiej szosie śmigają samochody. Wieczorem podejmują dalszy marsz. Znowu kończy się las i w poświacie księżycy widzą zabudowania Rudnik, równą wstęgę szosy, brzegi rzeki Kamiennej i zaraz za nią rząd słupów telefonicznych towarzyszących linii kolejowej Sandomierz-Skarżysko.

Jeszcze jeden krótki odpoczynek – patrole ubezpieczenia na boki – głęboki oddech w płuca i znowu bity chlaszczą po koniach, a pięćset butów łomocze koło gajówki, dopada szosy, przeskakuje most na Kamiennej, tor kolejowy koło zabudowań stacji Kunów i wchodzi pomiędzy pierwsze drzewa wielkich starachowickich lasów.

Idą w ciemności w nieznanym terenie, który jest ich domem. Tu znowu odzyskują pewność siebie, las to przecież wielki, ciągnący się na północ aż pod Iłżę, odległą o dwadzieścia kilometrów, a na wschód – aż po Ostrowiec. Gdy za dwie, trzy godziny wstanie świt, zobaczą jednak, że jakoś tu obco, inaczej, zbyt porządnie. Nie ma dzikości Wykusu, chaszczy, wądołów, wysokiego poszycia, wykrotów, paproci po pas, zapachu leśnej stęchlizny towarzyszącej borom głębokim i starym.

Wreszcie, z dobrym już dniem „Ponury” poleca rozbić biwak na brzegu podmokłej polany. Niedaleko stąd stoi leśniczówka Klepacze. Żołnierz, zmordowany dwiema nocami marszu i nerwowym dniem spędzonym wśród niemieckich patroli, wali się na ziemię tam, gdzie może. Mają za sobą ponad trzydzieści pięć kilometrów bezdroża.

Jest 21 lipca. W południe przybywa komendant podobowodu iłżeckiego, ppor. „Szary” – Antoni Heda. Proponuje „Ponuremu” uderzenie na posterunek żandarmerii w Iłży i rozbicie go. Propozycja jest po myśli „Ponurego” – ambitny dowódca nie może pogodzić się z myślą, że musiał bez walki usunąć się z Wykusu i że spalono mu obozowisko. Wypadek do Iłży pozwoliłby pokazać Niemcom, że nie ucieka, że nie zaszył się jak borsuk w jamie, tylko odskoczył i gryzie nadal. Według informacji „Szarego”, zadanie nie będzie zbyt trudne, gdyż część obsady posterunku bierze udział w obławie na Wykus. Potwierdza tę wiadomość por. „Kmicic” – Marian Janikowski, który w przebraniu chłopca wyruszył na rozpoznanie.

Ustalają więc datę uderzenia na 24 lipca, na razie zaś trzeba dwustu pięćdziesięciu głodnym ludziom zapewnić jakieś jedzenie. Po spokojnie przespanej nocy, 22 lipca, przerzuca „Ponury” Zgrupowania bardziej na północ, bliżej Iłży, w okolice gajówki Murowanka. Wieczorem tego dnia wychodzi z biwaku zgrupowania „Nurta” silny patrol – po dwóch godzinach zbliża się do brzegu lasu, otacza zabudowania niemieckiego Liegenschaftu Prendocin, wymierza administratorowi kilkanaście bykowców za złe traktowanie ludzi. Po tej akcji obywatelskiego wychowania chłopcy stukają do okien czworaków zajmowanych przez służbę folwarczną.

Po chwilowym zamieszaniu dowódca oddziału wyjaśnia, że chce zabrać tylko trochę kartofli. Okazuje się, że nie ma ich w majątku – magazyny są puste.

Ale ludzie znajdują zaraz wyjście z sytuacji – dziewczęta i baby z własnej inicjatywy ubierają się i z motykami o północy biegną na pole na partyzanckie wykopki.

Rano 23 lipca na miejscu biwaku melduje się oddział zaopatrzeniowców prowadząc kilka wozów z młodymi kartoflami i dwiema zabitymi krowami.

Cały ten dzień żołnierze szykują się do uderzenia na Iłżę, które zgodnie z planem ma nastąpić nazajutrz. Tymczasem rano budzi ich odgłos silnej kanonady dochodzącej od daleko wysuniętych placówek. Okazało się, że Niemcy po dokładnym przeczesaniu lasów nadleśnictwa Suchedniów, Siekierno i Rataje weszli w lasy iłżeckie. Na wysuniętej placówce jest pluton „Robotowców” i pierwsze wiadomości o Niemcach przywozi na koniu „Grażyna”.

„Ponury” wysyła więc dla wzmocnienia walczącej placówki oddział por. „Jurka”, a trzy zgrupowania wraz z taborem szybko opuszczają dotychczasowe miejsce postoju.

Zaczyna się zabawa w ciuciubabkę. Dwustu pięćdziesięciu ludzi miota się klucząc po nie znanym sobie, obcym lesie i stara się zgubić ślad, Niemcy jednak naciskają i co chwila dochodzi do wymiany strażów z wysuniętymi partyzanckimi strażami.

Największy kłopot z taborami, na rozmokłych drózkach leśnych wozy zapadają się po osie, konie nie są w stanie wyciągnąć ich na twardy grunt. Zmęczony żołnierz musi włączyć w błocko i za szprychy podnosić unieruchomione powózki.

Wraz z żołnierzami kładzie się w błocie dowódca taboru, ppor. „Motor”. Utyłany w czarnej mazi po szyję i rzucający wkoło siebie swoje piętrowe przekleństwa, wydobywa z błota powierzony jego opiece majątek Zgrupowań.

Widzi to umęczony żołnierz i wnet idzie szept po wojsku:

– To swój chłop. Nie boi się błota. Lezie w nie razem z nami.

Tak zdobywa sobie serca żołnierskiej braci ppor. „Motor”. Słyszy też półszepty „Ponury”. Ten wytrawny jeździec-artyleryzysta nie dosiadł dotąd konia, jest zawsze albo w szpicie, albo w tyle, tam, gdzie najniebezpieczniej, zawsze pieszo, jak i jego żołnierze. Niechętnym okiem patrzy na niektórych oficerów spoglądających z wysokości końskiego siodła na ludzi pracujących w błocie.

Dlatego też, gdy któryś kolejny raz zapadną się wozy, krzyknie:

– Panowie oficerowie, z koni i do wozów!

Rozkaz jest szokujący, niecodzienny, ale spełniają go wszyscy bez mrugnięcia oka. Bo któż by śmiał się

sprzeciwić rozkazowi „Ponurego”. Wchodzą więc w grząskie błoto i szarpia utyłane szprychy, a żołnierze ćmia skręty i ukrytym półuśmiechem wyrażają swe uznanie dla wojskowej demokracji komendanta.

I tym razem wyciągnięto wozy, ale był to już ostatni raz. Przed wieczorem napór Niemców na tylną ostrzeliwującą się straż tak się zwiększył, że trzeba było przyspieszyć odskok. A tu błotnista droga zamieniła się w topiel. Z ciężkim sercem polecił „Ponury” zaciągnąć tabory w gęstwą jałowców, wyprząc konie, a całą amunicję i co się da z żywności władować na ludzkie barki, aby w ten sposób przyspieszyć odskok. „Motor” pomstował, na czym świat stoi, że musi zostawić taszczone na własnych barkach wozy, ale inaczej się nie dało¹³⁹.

¹³⁹ Szczęśliwym trafem Niemcy ich nie odnaleźli i potem je odzyskano.

Gdzieś spod Krzemionki przerzuca „Ponury” Zgrupowania morderczym, całonocnym marszem na południe w okolice Krynek. Może tym manewrem uda się oderwać od obławy?

Gdzie tam. Niemcy wiedzeni jakimś dziwnym instynktem odnajdują ich mimo kluczenia i zacierania śladów. Ledwo zdrożeni ludzie rozłożą się w gęstym zagajniku, już placówki seriami witają napierających Niemców.

Nowy alarm podrywa ludzi. To już tydzień od opuszczenia Wykusu. Żołnierze od trzech dni nie mieli w ustach gorącej strawy. Brak snu zwala z nóg, a perspektyw na odpoczynek – żadnych.

„Ponury” osobiście rozdziela skromne zapasy. Po półtorej kromki na twarz. Leśniczy z Krynek, stary zaufany łącznik, doradza:

– Panie Komendancie, tu nie da rady. Musicie przejść w rejon Grzybowa i Piasecznej Góry, tylko w ten sposób możecie się urwać.

Rany Boskie! Piaseczna Góra to trzydzieści kilometrów cholernego marszu – to sam północno-zachodni skraj starachowickich lasów. Czy ludzie dadzą radę?!

Muszą dać! Bo kto nie wytrzyma... Tam na stanowiskach placówek strzelanina już gęsta.

– Tym razem ich zgubimy – mówi z przekonaniem „Ponury”. Jego wiara w powodzenie przedsięwzięcia udziela się żołnierzom. Nie wiadomo skąd ludzie dobywają sił i tak jak każde rozkaz, ruszają w kierunku na Lipie.

Pod wieczór służbę w straży tylnej obejmują „Robotowcy”. Ludzie z automatami suną kilkaset metrów za oddziałem, szerokim półkolem, osłaniając Zgrupowania przed niespodziewanym atakiem podążającej o kilometr, może dwa, obławy.

Ppor. „Robot” idzie poboczem drogi, prawie na końcu tylnej straży.

Naraz uwagę jego zwraca młody żołnierz, który schyla się i coś podnosi z ziemi. Po chwili powtarza manewr, po kilku minutach znów zgina kark.

– Co ty, jagody zbierasz? – denerwuje się „Robot”.

Chłopak odwraca twarz ściągniętą, czujną i po chwili młode, dziecięce jeszcze oczy patrzą na porucznika z tragiczną powagą. Potem wyciąga brudną, zaciśniętą dłoń i powoli odgina palce.

Porucznik patrzy na zmięte kawałki papieru w ubłoconej dłoni chłopca.

– Ot, jagody! – mówi chłopak przez zęby.

– Co to?

– Pan pyta, poruczniku? Jakiś gad to rzuca i daje ślad. Mam już tego z dziesięć.

„Robot” tężeje. Wyrzywa papierki z dłoni chłopca, rozprostowuje je. Kawałki żółtej bibułki „Solali”, takiej na skręty.

– Bierz komendę – poleca zastępcy – a ty zbieraj i nikomu ani słowa – przykazuje chłopcu i zrywa się do biegu.

Po kilku minutach zziajany porucznik odciąga z szeregu „Ponurego”.

– Co cię ugryzło? Gadaj, co masz – opęda się niecierpliwie „Ponury”.

„Robot” jednak nie rezygnuje i prawie przemocą wciąga komendanta w krzaki. Tam dopiero pokazuje „Ponuremu” zmięte kawałki bibułki.

– Czego chcesz? Co to jest? – pyta zniecierpliwiony komendant.

– Ktoś to rzuca. Niemcy po tym idą za nami. Musi być jakiś szpicel między wojskiem – szeptem „Robot”.

– Niemożliwe – protestuje „Ponury” odruchowo. Ale po chwili pyta: – Może to któryś wyrzucił skręcając papierosa?

– Zobacz, bibułki są równo przedzierane na połowę. A wiesz, jak wiara je oszczędza. Nikt by sobie na to nie pozwolił.

– Masz rację. Służbowy, odprawa oficerów i dowódców oddziałów w marszu! – poleca komendant.

Po kilku minutach otacza go już kilkunastu ludzi, „Nurt”, „Rafał”, „Grot”, „Jurek”, „Motor”, „Marianki”, „Oset” i inni.

– Proszę o pozostawienie tego w tajemnicy. Por. „Robot” stwierdził w straży tylnej, że ktoś rzuca kawałki bibułek od papierosów i zostawia ślad. Kto ma takie bibułki?

– Prawie wszyscy – odpowiada „Nurt”. – To przecież jedna z naszych ostatnich zdobyczy z magazynów niemieckich.

To prawda. Chłopcy przyjęli je wtedy z wielką radością, bo gdy zabrakło papierosów, grubo krajana samosiejka w bibułce „Solali” była wykwentem – jeszcze wtedy pogardzali skrętami w gazecie.

– Może zarządzić oddanie bibułek? – podsuwa któryś z oficerów.

– Nie dadzą. A zresztą jeśli zabraknie bibułki, to ten, kto to robi, będzie rzucał co innego. Zresztą nam chodziło o to, aby złapać, a nie spłoszyć łobuza, nie można więc robić alarmu. Dlatego też proszę rozpocząć baczna, dyskretną obserwację – poleca „Ponury”.

– A jak złapiemy ptaka, to na sosnę – zaciera rękę „Motor”.

– Najpierw go złapmy – kończy sprawę „Ponury”.

Rozchodzą się do swoich oddziałów i przekazują w tajemnicy wiadomość zaufanym ludziom. Po godzinie wszystkie zgrupowania wiedzą, że wśród nich jest szpicel. W jednej chwili pryska nastrój ufności, rozbiegane oczy kontrolują wszystkich i wszystko. Żeby go tylko złapać, takiego syna!

Straż tylna melduje, że odtąd papierków nie stwierdzono. Jednak drań się spłoszył.

Ale na drugi dzień rano żółte bibułki „Solali” znów pojawiły się na drodze.

– Rozdzielamy Zgrupowania na dwie części – decyduje „Ponury” – „Nurt” prowadzi swoich tędy, ja zaś pójdę z resztą tą drogą – kreśli palcem kierunki po celuloidowej szybie mapnika. – Zobaczmy, za którym oddziałem będą ślady. Spotkanie o trzynastej tutaj.

Wojsko niknie w dwóch duktach. O trzynastej zgodnie z rozkazem spotykają się w wyznaczonym miejscu.

– Za nami były bibułki – mówi „Ponury”.

– Za nami też – odpowiada „Nurt”.

– To znaczy, że jest więcej niż jeden?

Wzmacniają kontrolę. Już nie tylko żołnierze są obserwowani, oficerowie też. Ślady się urywają dopiero teraz.

Wojsko od wczoraj nic nie je. Nie ma również co pić. Wreszcie oddziały omijając Piaseczną Górę dochodzą do zachodniego krańca lasów, koło gajówki Wężyki.

W niskim młodniku tuż przy torze, tak niskim, że stojącego żołnierza widać do połowy, odpoczynek. Ludzie zwalają się na ziemię, wyzuci z sił. Jedyne ich posiłek to kilka wiader wody, przeniesionej nie wiadomo skąd. Na każdego wypada po jednym kubku i pół kubka repety. Służbowi roznoszą wodę mocno pochyleni, aby broń Boże nie wystawić głowy ponad wierzchołki młodziutkich drzewek.

– Teraz przez dwa dni nic ich stąd nie ruszy – mówi ze współczuciem „Robot”, patrząc na leżących bez życia żołnierzy.

„Nurt” przesuwa się tam, gdzie najęśniej leżą odpoczywający, i z uśmiechem zaczyna ni to opowieść, ni to marzenie.

– A kiedy skończy się wojna, zdejmę te ła chy i tu, w Skarżysku, pójdę sobie do najwykwintniejszej knajpy, założę serwetkę pod brodę, by munduru nie zbrudzić, i wezmę z nabożeństwem kartę dań do ręki. Gęś z borówkami? To za ciężko strawne. Może coś z ryb? O, jest łosoś z rusztu! Ale czy świeży? Lepiej nie. Więc może polędwica wołowa po angielsku? Tak, to będzie najlepsze. Tylko jakie wino do tego?

Chłopcy zdychają dosłownie z głodu, krew ich zalewa na „Nurtowe” marzenia, ale są one tak niedorzeczne, tak odległe od ich obecnego stanu i możliwości, że co chwila ten i ów pokonując zmęczenie czołga się do wielkiego kręgu, którego centrum stanowi marzący dalej „Nurt”.

– A kiedy wbiję w krzyże dobrze wysmażoną polędwicę i obetrę czyściutką jak opłatek serwetką uwalane tłuszczem usta, powiodę wzrokiem po siedzących wokoło damach wciętych w talii i będę przebierał. Tamta owszem, jej dekolt obiecuje wiele, ale nogi... Więc może ta pod ścianą? Młode to jeszcze, ale apetyczne. Tylko ja już wyrosłem z wieku nauczyciela, a tę uczyć jeszcze trzeba. Więc chyba coś bardziej doświadczonego. O, ta czarna tam w rogu.

Zamykają chłopcy oczy i znika gdzieś niski zagajnik, a w jego miejsce zjawia się restauracyjna sala. Tak, ta czarna to naprawdę amatorska babka. Ale może „Nurt” się myli? Ta blondynka, owszem, jeszcze młodziutka, ale na zupełnie niedoświadczoną nie wygląda. Już nie ma dokoła zagrożenia ze strony Niemców, jest spokój, jedzenia w bród i taaakie baby.

I gdy tak wędrują myślami po eleganckiej sali „Nurt” naraz stwierdza:

– No, chłopaki, napilim, najedlim, bab naoglądaliśmy, więc teraz otrzeć pyski i... poowstaaan!

Patrzy zdumiony „Ponury”, „Mariański”, „Robot” i inni, jak ci śmiertelnie zmęczeni żołnierze jeszcze z marzycielskimi uśmiechami wyczarowanymi przez przebiegłego „Nurta” na zszarzałych ze znużenia twarzach wstają i są gotowi do dalszego marszu.



113. Sztab Zgrupowań Partyzanckich „Ponury” w sierpniu 1943. Od lewej stoją: por. cc. „Nurt” — Eugeniusz G. Kaszyński, dca Zgrupowania nr 1; ppor. „Rafał”, „Mocny” — Rafał Niedzielski, dca plutonu w Zgrupowaniu nr 2 ppor. „Robota”; por. „Donat”, „Ponury” — Jan Piwnik, dca Zgrupowań; ppor. „Marianowski” — Stanisław Pałac, dca Zgrupowania nr 3; ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka, dca oddziału w Zgrupowaniu nr 3; ppor. „Grot” — Euzebiusz Zbigniew Domoradzki, dca oddziału w Zgrupowaniu nr 1; ppor. „Motor” — Jerzy Wojnowski, dca plutonu saperskiego Zgrupowań. Siedzą od lewej: ppor. „Witek” — Wincenty Waligórski, oficer wywiadowczy Zgrupowań; ranny por. „Czarka” — Jan Rogowski; pchor. „Stefanowski” — Albin Hop, dca plutonu ochronnego; ppor. „Leszek Antoniewicz” — Leszek Popiel, adiutant Zgrupowań



114. Por. „Habdank” — Jerzy O. Stefanowski



115. Ppor. „Dzik” — Marian Świdorski





116. Wachm. „Tarzan” — Tomasz Wójcik
(+1951)



117. Ppor. cz. w. „Oset” — Władysław
Wasilewski (+1943)



118. Ppor. „Szary” — Antoni Heda



Szanowny Panie!

Z przykroscia wielka przychodzi mi skreslic do Pana tych pare slow. Z przykroscia, gdyz wiem jak kradzo one Pana jako jca Wladka dotkna. Syn Pana poległ na Polu Chwały z reki wrogiego nam okupanta. Smierc miał piekna tak piekna jak cale jego piekne bylo zycie partyzanckie. W czasie gdy był moim podkomendnym znalazłem go zawsze jako najmłodszego a zarazem najbardziej subdżynowego dowodce oddzialu, za najdzielniejszego zolnierza. To tez wyslalem jeszcze przed smiercia jego wniosek o awansowanie do stopnia ppor. stanu wojny oraz wniosek o odznaczenie Krzyzem Walecznym.

Z syna takiego moze Pan byc dumnym i dlatego zywie nadzieje ze lzej Pan zniesie ten cios jaki Paną dotkna].

Z uwagi na to, ze przez ten fakt stracil zarazem pomoc materialna w jego osobie pozwalam sobie przeslac Panu w formie zapomogi zł. 2.5000-

Las, 2. IX. 1943 r.

Łacze zolnierskie, pozdrowienie

Ponurey

119. List „Ponurego” skierowany do ojca poległego w dniu 6 VIII 1943 koło leśniczówki Dalejów „Oseta” — Władysława Wasilewskiego

120. Nowe szałaszy na Wykusie nie były już tak solidne, jak tamte, rozbite przez Niemców





Distrikt: Radom
Stadt/Kreis: Kielce
Gemeinde: Sk.-Kamienna
Dorf:
Gebiet: 1242

Zuname:

Vornamen:

geb. am: 28 Jahre alt in: Krs:

Deckname: "Nurt"

Beruf: chem. poln. Leutnant

Wohnort und Wohnung: Sk.-Kamienna, Kreis Kielce ?

Jetziger Aufenthalt:

Eltern:

Ehegatte:

Kinder:

Frühere politische Einstellung:

Militärverhältnis: ehem. poln. Leutnant

Wirtschaftl. Verhältnisse:

Personenbeschreibung: etwa 28 Jahre alt, ca 170 cm groß, stark gebaut, dunkelbl. nach hinten gekammtes Haar, rundes Gesicht, breite Nase, kl. dunkle Augen, trägt meistens Zivilkleidung und hat die Hose unten zugebunden.

Lichtbild:

Pers.- u. Sachakten: 06 "Garibaldi"

IV A Nr.: 51/43 GRS. und 1189/43g 370/44

Bezeichnung:

- a) Verband: ZWZ Bandenführer
- b) Stellung: Unterführer des "Popury" Gruppenführer
- c) Zeitung:

Sachverhalt: Durch die Verbindung "Garibaldi" wurde hier am 5.9.43 bis 21.1.44 bekannt: Obengenannter gehört zu der Bandengruppe "Ponury". Er ist als Unterführer tätig und hat die I. Gruppe in Stärke von etwa 100 Mann. Anfang September 1943 wurden 3 Gruppen des Ponury eingeteilt. Die I. Gruppe unter Führung des Obengenannten, sowie die III. Gruppe unter der Führung des "Marianski", zogen auf Befehl des P. in das Waldgebiet östlich von Suchedniow, während die II. Gruppe unter Führung des "Jakob" auch "Robot" genannt, in den Stadtwald von Konskie, Oberförsterei Pila, Höhe 313, östw. Konskie zog. Anfang Oktober 1943 sind die beiden Gruppen "Nurt" und "Marianski" in das Waldgebiet 20 km nördlich von Kielce, begrenzt im Westen durch die



die Ortschaft Szalas und Odrowazek, nördlich, Straße Sk.-Kamienna-Konskie, östlich Suchedniow und südlich Samsonow - Zalesianka. Die Gruppe des "Nurt" war auf Befehl des "Ponury" damit beauftragt worden, eine Sühneaktion gegen die Polizei in Konskie-Stadt durchzuführen. Der Grund war, weil der Unterführer des Ponury "Jakob" am 14.10.43 von der Polizei erschossen wurde.

Am 20.10.43 wurde bekannt, daß sich die Gruppen des "Nurt" und "Marianski" bis etwa zum 25.10.43 im Walde bei Osieczno aufhalten. Dazu soll dann der Rest des ~~erschossenen~~ Gruppe des Erschossenen "Jakob" stoßen. Ab 25.10.43 sind dann die beiden Gruppen "Nurt" und "Marianski" in dem Walde bei Wykus gezogen. Hier kam noch eine neue Gruppe des unter der Führung stehenden Buczyński, in Stärke von 100 Mann, hinzu. Diese Gruppe wurde der Gruppe des "Nurt" eingegliedert und soll vorher in der Gegend von Ostrowiec operiert haben. Diese Gruppen sollten auch den Munitionsraub auf einen Zug, der von Sk.-Kamienna in Richtung Krakau geht, ausführen. Da sich der Munitionsmangel bei der Abteilung "Ponury" sehr fühlbar macht, sollen auch kleinere Diebstähle ausgeführt werden.

Nach der Aktion der Polizei ist Ponury am 28.10.43 in den Wald von Osieczno gezogen (1/2 km westlich der Höhe 351 Gora-Pieklo). Mit ihm waren etwa 190 Mann, darunter sein Vertreter, sein Adjutant und die Gruppenführer "Nurt", "Marianski" und "Miciu" Kmicic. Am 31. 3.11 ist dann "Ponury" mit dem Rest seiner Gruppen, darunter auch "Nurt" und "Marianski" in Richtung Opatow abgezogen.

Am 10.1.44 wurde bekannt, daß der Obengenannte "Nurt" die Geschäfte des "Ponury" führt, da dieser sich auf Rundreise in die Umgebung, um von den im Kreis Opatow liegenden Gütern Ablieferungen, während der Zeit eines Aufstandes zu erhalten. Der Unterführer "Nurt" ist als ausführendes Organ von "Ponury" anzusehen. Seine Tätigkeit bestand in der Hauptsache darin, die Gegner des "Ponury" zu erschließen, da sich P. durch sein Handeln und Verhalten sehr viele Feinde geschaffen hat.

not. 24.2.44. Pog. Kielce

Durch die Vernehmung des Dus, Marian, geb. am 1.1.24 in Krug wurde am 13.5.44 bekannt:

Obengenannter ist Angehöriger der Bandengruppe Ponury und Gruppenführer in derselben.

not. 1.7.44 Kielce, Ziethen

121-122. Zgrupowania, a szczególnie ich oficerowie, przez cały czas były pod baczna obserwacją niemieckich sił bezpieczeństwa. Większość oficerów „Ponurego” miała założone karty ewidencyjne w kartotekach radomskiego gestapo. Głównym informatorem gestapo był agent o pseudonimie „Garibaldi” czyli „Motor” (choć w połowie z kilkunastu kart, którymi dysponuje autor, informatorów było od 3 do 6). Powyżej fotokopia karty por. cc. „Nurta”





123. Poranna toaleta w wykusowym strumieniu — Lubiance. Na pierwszym planie pochylony ppor. „Mariański” — Stanisław Pałac, nad nim stoi „Sęp” — Stanisław Łebek. Po drugiej stronie rzeczki stoi w wodzie ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka, obok na skarpie siedzi por. „Czarka” — Jan Rogowski

124. Chwila odprężenia: od lewej: łącznik „Ludwik” — Kazimierz Starosz, ppor. „Grot” — Euzebiusz Domoradzki i Tamara Lambroso, żona por. „Motora”







125. Kpt. „Kazbek” — NN, dca drużyny Gruzinów zbiegłych z Ostlegionu



126. Dowódca Zgrupowania nr 3, ppor. „Mariański” — Stanisław Pałac, a za nim z lewej Gruzin „Sowa” — NN, z prawej „Postrzał” — NN i szef zgrupowania, sierż. „Zawada” — Aleksander Bogusz

127. W tydzień później 23 VIII 1943 Gruzin „Sowa” zginął na Kamieniu Michniowskim w walce z żandarmerią. Stoją od lewej: „Kozak” — Józef Dziubilin, „Adam” — Izaak Czyżyk, „Kura”, „Batum”, „Terek”, ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka (w mundurze), kpt. „Kazbek”, ppor. „Mariański” — Stanisław Pałac (w mundurze), sierż. „Zawada” — Aleksander Bogusz, „Armata”, „Czerkies”, „Azow”, „Józef Lezgin”, „Kozak” (wszyscy Gruzini NN) oraz ppor. „Wilczyński” — Stanisław Z. Mroczkowski







128. Ppor. „Marianiński” — Stanisław Pałac prowadzi szkolenie obsługi ckmu

129. Odpoczynek po ćwiczeniach. Od prawej: „Podmuch” — Edward Szmidt, „Łoś” — Eugeniusz Kowalski, „Ben” — Bernard Zalisz, „Żwawy” — Leszek Olejnik, „Szary” — Leszek Szczerba, „Pytko” — NN.





Tej nocy przeskoczyli tor kolejowy Skarżysko-Szydłowiec i wreszcie zgubili za sobą ślad. I aby się przypadkiem Niemcom nie zdawało, że czują się zagrożeni i przerażeni, po dwóch dobach, w biały dzień, założyli zasadzkę na szosie Skarżysko-Szydłowiec zatrzymując kilka samochodów i rozbrajając pojmanyh hitlerowców.

A potem „Ponury” przerzucił się z powrotem w lasy osieczyńskie i tu biwakował kilka dni, aż do 8 sierpnia, dając upragniony odpoczynek ludziom i gromadząc nowe, zgłaszające się, dotąd wolno chodzące grupki.

Tu też w osieczyńskich lasach Zgrupowania w odstępie kilku dni poniosły dwie bardzo dotkliwe straty. 3 sierpnia „Ponury” przerzucając oddziały w okolice Błot pod Suchedniowem zostawił koło gajówki Mościska placówkę kontaktową ze zgrupowania ppor. „Robota”. Miała ona podjąć doprowadzonego ze Starachowic przez „Halnego” – Zdzisława Rachtana szefa sztabu Komendy Okręgu i dostarczyć na nowe miejsce postoju. Pięciosobowa placówka uzbrojona w broń maszynową w składzie dowódca II plutonu „Wilk” – Józef Domagała, bosmanmat „Katylna” (NN), kpr. „Czarny” – Stanisław Kowalski, kpr. „Jabłonka” – Jan Pisarek i strz. „Czarny” – Zbigniew Szymanowicz, a więc jedni z najdzielniejszych żołnierzy zgrupowania, zaskoczeni przez Niemców z zasadzki, polegli walcząc do ostatniego naboju. Zabili 8 żandarmów.

W trzy dni później, 6 sierpnia, koło gajówki Dalejów starł się z żandarmami patrolującymi las oddział „Oset”. Niemców przepędzono, trzech żandarmów zabito, ale oddział zapłacił za to cenę najwyższą: poległ „Oset” – Władysław Wasilewski, skarżyski harcerz.

Tak więc lipcowa, bezkrwawo zakończona dla „Ponurego” obława w pierwszej dekadzie sierpnia przyniosła oddziałom szereg strat.

Na pewno poniesione teraz straty nie były jedynym powodem powziętej decyzji, na pewno zapadła ona już wcześniej, ze względu na zaistniałą sytuację.

Już od połowy czerwca 1943 roku Komenda Okręgu AK zaczęła coraz bardziej nalegać na „Ponurego”, aby jak najszybciej zakończył okres przygotowań i rozdzielił Zgrupowania, dając samodzielność poszczególnym oddziałom, a sam przejął aktywnie sprawy okręgowego Kedywu. U podstaw tych żądań leżały zasadniczo dwie sprawy: pierwsza – organizacja Zgrupowań rzeczywiście zajmowała prawie cały czas „Ponurego”, tak że na kierowanie miejscową dywersją niewiele go pozostawało, druga zaś miała raczej podtekst rozgrywek ambicjonalnych ze strony komendanta Okręgu – pułkownika „Daniela”.

Zgrupowania ze swymi dwustu pięćdziesięciu zbrojnymi ludźmi wyrastały ponad Okręg nie tylko legendą, ale i znaczeniem, dlatego też naciskano na przejście „Ponurego” do konspiracji; okręg słał raporty do Warszawy, do szefa Kedywu, płka „Nila”, skarżąc się na krnąbrność, przerost ambicji „Donata” i rozprzężenie miejscowego Kedywu pozbawionego kierownictwa.

Kiedy do wiadomości Okręgu nadszedł meldunek o tragedii michniowskiej, stał się jakby spełnieniem przewidywań płka „Daniela” i ppłka „Rawicza”, że zbytnia aktywizacja terenu może przynieść tylko jedno – nieszczęście dla bezbronnej ludności pomagającej partyzantce.

Teraz więc, po Michniowie, nie były to już naciski, lecz rozkazy i domaganie się bezwzględного posłuszeństwa.

Pierwsza lipcowa obława niemiecka również „pracowała” dla Okręgu. „Ponuremu” udało się co prawda obronną ręką wyjść z tej opresji – wodził za nos całą kilkutyśieczną obławę, ale też ludzie zostali zmordowani tą gonitwą okrutnie, sam „Ponury” przekonał się, że duża grupa jest mało operatywna, że trudno zarówno o szybkość, jak i sprawność, a i wyżywienie takiej masy ludzi jest problemem nie lada.

Dlatego też w końcu pierwszej dekady sierpnia „Ponury”, który – jak się potem okazało – nigdy nie traktował poważnie sprawy rozstania się z lasem na zawsze, postanowił, aby polepszyć atmosferę

współpracy z Okręgiem, dać dowód dobrej woli i skierował swe Zgrupowania za samodzielne akcje, utrzymując je jednak w ciągłej z sobą łączności. Zgrupowania te otrzymały następujące rejony operacyjne: grupa por. „Robota” objęła swym działaniem powiat konecki, „Mariański” przeszedł w Góry Świętokrzyskie, „Nurt” zaś przeniósł się w duży kompleks lasów siekierzyńskich.

Rozformowanie dowództwa Zgrupowań pociągnęło za sobą konieczność likwidacji zespołu sztabowego. „Ponury” oddał do dyspozycji Okręgu por. „Mariana”, dotychczasowego szefa sztabu Zgrupowań. Zrezygnował również ze współpracy swego dotychczasowego zastępcy, ppor. B. Nie układa się ona najlepiej. Trudno dziś o własny sąd w tej sprawie, najlepiej więc chyba będzie, jeśli przytoczę opinię por. „Antoniewicza”, naocznego świadka sportu obu oficerów:

„Drażnią siebie nawzajem [„Ponury” i ppłk „Jan” – przyp. C.Ch.]. Oliwy do ognia dolewa ppor. B.¹⁴⁰, który, zawiedziony w swych przesadzonych ambicjach, intryguje. Przypisuje „Ponuremu” winę za spalenie Michniowa i krytykuje jego działalność. W związku z tym dochodzi do starcia z ppor. B. i „Ponury” stawia go do dyspozycji władz Okręgu¹⁴¹.

¹⁴⁰ W oryginale – nazwisko prawdziwe (przyp. C.Ch.).

¹⁴¹ *Próba zarysu*, s. 27.

Wobec częściowej utraty wozów i decentralizacji taboru „Ponury” przydziela dotychczasowego jego szefa, ppor. „Matora”, do zgrupowania „Robota”. To samo robi ze „Stefanowskim”, który ma objąć tam pod swoją komendę pluton po poległym „Wilku”. Dzieje się tak na skutek zmniejszenia plutonu ochronnego dowódcy do drużyny ochronnej, nad którą komendę „Ponury” przekazuje pchor. „Marianowi” – Marianowi Wikło, dotychczasowemu dowódcy drużyny u „Wilka”.

Po przeprowadzeniu tych zmian „Ponury” stawiał się do dyspozycji płka „Daniela” 9 sierpnia 1943 roku na wyznaczonej przez Okręg melinie w cegielni Rzeszowskich pod Skarżyskiem, aby zająć się sprawami okręgowego Kedywu. Inaczej chyba wyobrażał sobie płk „Daniel” powrót pod swoją komendę dowódcy dywersji. Zamiast w pełni podporządkowanego, zakonspirowanego podwładnego ujrzał „Ponurego”, który zjawił się w pełnym mundurze, z odznaką spadochronową cichociemnych, bo się z nią nigdy nie rozstawał, w otoczeniu dziewięciu ludzi uzbrojonej po zęby drużyny ochronnej. I wtedy płk „Daniel” po raz pierwszy chyba zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie uda mu się oderwać dowódcy od jego Zgrupowań, że nigdy nie uczyni z tego człowieka posłusznego swej woli wykonawcy rozkazów, że bez względu na to, czy będzie miał przy sobie swych dwustu pięćdziesięciu ludzi, czy tylko dziewięciu – nie zejdzie nigdy na dłuższą metę do konspiracji, bo tego już nie potrafi.

Pod Witosławską

Wtedy dopiero, po rozesłaniu Zgrupowań „Ponury” mógł zrealizować tajemny zamysł, który go nie opuszczał od prawie dwóch lat, od chwili, gdy w listopadową noc 1941 roku dotknął stopami polskiej ziemi na polanie wśród lasów skierniewickich – odwiedzić rodziców.

Nie widział ich równo 11 lat, od chwili zdania matury i wyjazdu do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. I choć wychowano go w miłości i szacunku do rodziców, nie danym mu było ich zobaczyć przez siedem przedwojennych lat. Tak jakoś się składało, że najpierw służba wojskowa, a potem policyjna nie pozwalała.

Kilka razy zapowiadał swój przyjazd – szykowano się wtedy w małym domku leżącym na końcu wsi Janowice tuż pod Witosławską Górą, już prawie na skłonie wydźwigającym się łagodnie aż na podszczytową przełęcz. Domek stał naprzeciwko czteroklasowej szkoły – drewnianego baraczkę o dwóch lekcyjnych izbach. W przygotowaniach do przyjazdu Jasia Piwnika, który jako jedyny z Janowic dobił się oficerskich szlifów, brała udział cała wieś.

Ale on przeważnie w ostatniej chwili odwoływał swój przyjazd krótkim telegramem. Tuż przed wojną przez znajomego przysłał bratu, 14-letniemu wówczas Józkowi, psa, szczeniaka – owczarka alzackiego, czarnego podpalanego Budrysa.

Gdy 1 września wybuchła wojna, w Janowicach nie wiedzano w ogóle, gdzie się Jasiek znajduje. Dopiero później ktoś doniósł stroskanym rodzicom, że widziano go na Śląsku dowodzącego kompanią. Przez cały rok była cisza. Zginął? W niewoli? Ciemny obraz nad łóżkiem, w którym starała się znaleźć odpowiedź w codziennych modłach 60-letnia matka, milczał. Ale chyba coś wymodliła, bo oto prawie po roku z niedalekiej Mominy pewnego dnia przyjechał na rowerze listonosz i przywiózł małą paczuszkę. W metalowej puszczone było kilka rybek w oleju, a zwały się dziwnie – „Sardines”. Na etykietce widniał napis „Portugal”, a z kolorowego znaczka spoglądał brodaty mężczyzna w tropikalnym hełmie na tle palmowego gaju.

Oboje rodzice mieli już wtedy razem 130 lat i ukończone trzy klasy szkoły, gdzie więc była Portugalia – domyśleć się nie mogli. Wybrała się tedy matka do pana magistra, co aptekę w Opatowie prowadził, i pytała, co to te rybki z dalekiej Portugalii znaczyć mogą, jeżeli Piwnikowie rodzinę to najdalej w Ostrowcu mają. Wtedy pan magister wyjaśnił, że to już tak jest, iż jeżeli jakiś polski oficer jest w Anglii, Anglia zaś z Niemcami jest w stanie wojny, to właśnie przez Portugalię, przez tamtejszy Czerwony Krzyż, przysyła tu, do Generalnej Guberni jakiś drobiazg, aby dać w ten sposób znać, że żyje. Bo Portugalia i z Anglią, i z Niemcami jest w stanie pokoju.

– Ale przecież my żadnego oficera w tej Anglii nie mamy – zawołała zdenerwowana Piwnikowa.

– A Jasiek? – zapytał pan magister.

Prawda. Jasiek. Nic o nim nie wiadomo. Ale czyżby był aż w Anglii? Zabił im ćwieka pan magister. Bo w małym janowickim domku, gdzie Opatów, Ostrowiec to już były metropolie, Kielce zaś – kontynent zamorski, Anglia jawiła się im jakby inna galaktyka, gdzie nie ma biedaków, to kraj ludzi bogatych, rządzących połową świata, wytwornych lordów. Jeżeli więc byłoby prawdą, że Jasiek tam był w tej Anglii, toż to wspinała kariera się przed nim otwierała.

A paczuszki przychodziły nie za często, ale systematycznie – raz na kwartał. Były w nich drobiazgi: a to woreczek rodzynek, paczka herbaty, kilka biszkoptów i ani słowa, tylko coraz inny znaczek, a to z Murzynami, a to z żaglowcem. Po każdej paczuszce stęskniona matka widziała syna wyżej na szczeblach angielskiej kariery. Paczuszki ledwo odpakowane, nie otwarte, leżały na kuchennej półce, przykryte

czystą szmatką, w takiej kolejności jak napływały, a matka – gdy była sama, gdy jej nikt nie podglądał – uchylała szmatkę i patrzyła. I czy ten mit Anglii był tak silny, czy też kolorowe znaczki Portugalii tak mocno pobudzały fantazję, ale oczyma duszy widziała go już i za dyrektorskim biurkiem, i pod liśćmi palmowych drzew, i w szamerowanym złotym mundurze na czele pułków.

Czas płynął, a paczuski nadchodziły. W Janowicach zaś coś się zaczęło dziać. Najpierw do chałup dokwaterowano wysiedleńców z Poznańskiego. Podobno byli to przyzwoici ludzie, dobrzy patrioci, ale gdzieś tam po sąsiedztwie zdarzyło się, że wśród przybyszów znalazł się szpicel. Nie rozgadywano się więc przy nich specjalnie.

Na wiosnę 1943 roku zaczął się ruch w okolicznych lasach. O „chłopcach z lasu” stało się naraz głośno. Cała okolica szumiała wiadomościami o nich, ale oni Janowice jakoś omijali. Gdzieś tam rozbili Niemcom pociąg, naszatkowali szkopów na setki, jakiś generał nimi dowodził, a na ucho mówiono sobie, że podobno przyleciał do Polski „na samolocie”. Nazwali go „Ponury” czy tak jakoś podobnie.

Aż naraz...

– To było w końcu lipca – wspominała po latach Zofia Piwnikowa, matka „Ponurego”¹⁴². – Najpierw w środku nocy rozszczękał się Budrys, psisko wielkie i zajadłe, ale wnet zaskomlił, widać uderzony boleśnie, a chata zadygotała od dobijania, kolby karabinów łomotały po drzwiach i po okiennych ramach. Gdy tylko ojciec odsunął skobel przy drzwiach, wpakowało się ich do chaty kilku. Brudni, zarośnięci, obdarci, krzyczeli, poszturchiwali. Wnet brzękła wybita szyba i któraś z córek zaniósła się płaczem.

¹⁴² Opracowano na podstawie rozmowy autora z żyjącymi jeszcze wtedy rodzicami „Ponurego” w dniu 20 I 1966 r. Fragmenty tej rozmowy opublikowane zostały w „WTK”, nr 15/656 z 10 IV 1966 r.

– Cicho, baby! – wrzasnął dowodzący napastnikami mały mężczyzna.

Ale kobiety płakały dalej. Rozbudzone w połowie nocy przez brodatych, uzbrojonych po zęby ludzi, były naprawdę przerażone.

Gdzieś za ścianą darły się wyłapywane kury, którym na miejscu ukrećcano łby.

– Jak się sprawdzi, że to wy donosicie Niemcom o chłopcach z lasu, to ruski miesiąc popamiętacie – darł się mały.

– My? Niemcom? – pytał zdumiony stary Piwnik.

– Nie róbcie takich niewinnych oczu! – darł się dowódca. – My dużo wiemy. Gdzie młodszy syn?

– W stodole. Śpi na sianie – powiedziała przerażona matka.

– Sprowadzić – warknął mały i dwóch obdartusów wypadło z sieni.

Po chwili przytachali rozspanego Józka.

– Zabieramy go ze sobą – zdecydował mały i wyszedł z chałupy.

Partyzanci pozwolili tylko na krótki uścisk matki z synem i zaraz wyszli. Przez chwilę słychać było za nimi gdakanie przerażonych kur.

Gdzie go zabrali? Kim byli? Dlaczego akurat jego? Tysiące myśli kołatało się w głowie starej matki. I znów wielogodzinne rozmowy z czarnym, łagodnym obliczem milczącej Madonny. Ojciec od tamtej nocy słabował i nie opuszczał łóżka.

Po kilku dniach przybiegła do chaty Piwników zdyszana sąsiadka.

– Piwnikowa! – krzyczała przez furkę w płocie, bo Budrys nie puszczał. – Biegnijcie na Witosławską Przełęcz, tam leży taki młody, jakby wasz Józek.

Pobiegła tak jak stała, w fartuchu, z płaczem. Ile czasu biegła szarpana krzakami jeżyn, nie pamiętała. Leżał tam, młody, taki sam jak Józek, ale – na szczęście – nie on.

Gdy wróciła i wyjaśniła domownikom, że tym razem Bóg ustrzegł ich od nieszczęścia, z mężem już było całkiem niedobrze, miał wysoką gorączkę, majaczył.

Trzeba było sprowadzić szybko lekarza. Ale ani z Opatowa, ani z Ostrowca, gdzie córki pojechały

błagać, żaden z lekarzy nie chciał jechać w tę „bandycką okolicę”.

Pod wieczór trzeciego dnia, gdy z mężem było już bardzo źle, sąsiad zza płotu przywołał Piwnikową, gdy szła z wiadrem do obory do udoju.

– Piwnikowa – szeptał rozglądając się trwożnie dokoła. – Józek jest zdrow. Jest u „chłopców z lasu”. Nie martwcie się.

– Chwała Bogu – odparła – że choć o jednym spokojna. Ale ze starym źle.

Rozplakała się opowiadając sąsiadowi o chorobie męża i braku lekarskiej pomocy.

– Może tam w tym oddziale, gdzie jest Józek, mają jakiegoś lekarza – zawodziła.

– Popytam – obiecał sąsiad.

Tej nocy mąż rzucał się na łóżku wyjątkowo niespokojnie. Do północy pilnowały go córki, a gdy zmorzył je sen, siadła ona. Ocierała spocone czoło, gorączkę sprawdzała, w rozpalone wargi wlewała wodę łyżeczką.

Budrys rozszczekał się raptownie, zajadle, tak jak wtedy. Niespokojna wstała i podeszła do okna. W jasnym świetle księżycy środkiem janowickiej drogi szło ich dwóch. Józka poznała od razu, wysokiego, smigłego, czarnego. Tamten drugi był mały, łysy, z wielką torbą.

Podchodzących bliżej Budrys anonsował już radosnym piskiem i majtaniem puszystej kity.

– To pan doktor, mamó – powiedział Józek zaraz po przywitaniu. Lekarz badał ojca dokładnie i długo, a Józek stał przy oknie i wyglądał. W pewnej chwili podniósł do góry rękę i kiwnął. Zaciekawiona matka stanęła koło niego i też spojrziała.

Drzwi szkoły stojącej naprzeciw ich chaty otwarły się i wyszedł z nich wysoki oficer. Szedł krokiem zamaszystym, w wysokich błyszczących butach, w krótkiej wojskowej bluzie, furażerce, a na paskach dyndał mu wielki mapnik.

Budrys rzucił się do furki z bulgotem w gardle, ale przybysz zagadał do niego miękko:

– Budrys!

I pies w jednej chwili rozpiszczał się radośnie jak małe szczenię i wspiąwszy się na tylne łapy, tulił łeb do piersi oficera.

Skrzypnęły drzwi i...

Z pochyloną głową, aby nie zawadzić o framugę, stał Jasiu. Piwnikowa chwilę tkwiła jak porażona, a potem runęła ku drzwiom. Przygarnął podbiegającą matkę i tak trwali. A ona płakała gładząc go po twarzy, coś mówiła, ale były to słowa bez składu i ładu.

Naraz odsunęła się od niego.

– To ty, Jasiu? Tutaj? W Górach? W lesie?

– Tak, mamó.

– A te sardynki? Te rodzinke? Ta Portugalija?

– To koledzy wysyłali.

Zabrakło jej słów. Ale tylko na chwilę.

– A my myśleli, Jasiu, że ty tam w tej Anglii za dyrektora albo jakimś generałem zostaniesz. A ty tu po lesie się poniewierasz? Tyle nauk pobierałeś, aby teraz jak ten tropiony zwierz w zimno i deszcz spać z głową na kamieniu?

Patrzył na nią i w miarę jak mówiła uśmiechał się smutno.

– Taki rozkaz, mamó.

– To ty ... to ty, Jasiu, może ... u tego „Ponurego”? – zapytała i umilkła, zląkwszy się naraz swojej śmiałości.

Chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nie mówcie tego nikomu, mamó, ale „Ponury” to ja!

Stała porażona tym, co usłyszała. „Ponury” – wielkość, „Ponury” – legenda, „Ponury” – dowódca „chłopców z lasu”. Ten „Ponury” – to jej syn!

A on tymczasem pochylał się nad ciężko oddychającym, nieprzytomnym ojcem.

– I co, doktorze?

– Przesilenie minęło, panie komendancie. Chyba wyżyje. Dałem, com tylko miał.

„Ponury” pochylał się nad nieprzytomnym ojcem i pocałował go w spocone czoło.

W sieni powstał jakiś ruch. Przez półprzymknięte drzwi ktoś wszedł i zwarł obcasy.

– Panie komendancie, oddział gotów do wymarszu – meldował nowo przybyły.

Nim „Ponury” zdołał skwitować meldunek, ona rozpoznała przybysza.

– Jezu, a kto to? – spytała przerażona.

– To jeden z moich oficerów, mamó, porucznik „Dzik”.

– Jaki on tam Dzik, Jasiu – mówiła z przyganą, ze złością, a głos jej tężał. – To kurokrad, nie oficer. To przez niego ojciec jest chory, to on Józka mi porwał, szyby powybijał, kury ukradł, krzyczał, że my donosimy Niemcom. To łobuz, nie oficer.

– Mamó, nie sądzcie go tak ostro. To dzielny oficer – mówił spokojnie syn do rozsierdzonej matki. – Wszystko, co robił, robił na mój rozkaz.

– Na twój rozkaz? – zawołała zdumiona.

– Tak. Doniesiono mi, że ludzie przebąkują, iż ten dowódca partyzantów podobny do Piwnika z Janowic. Bałem się, że gdy to się doniesie do Niemców, mogą was prześladować. Więc kazałem „Dzikowi” tu naszumieć, aby odwrócić od was podejrzenie. A ojciec ma zapalenie płuc, to choroba niezależna od wizyty „Dzika”. No, na nas już czas. Żegnajcie, mamó.

Przytuliła się do niego mocno, spazmatycznie, jakby czuła, że więcej go już nie zobaczy.

Po chwili nikogo w izbie nie było, tylko ojciec oddychał chrapliwie, a Budrys popiskiwał cicho.

Łącznik z czarnym oplem

Las i cztery miesiące partyzantki, a więc prawie nie skrępowanego działania, zrobiły z „Ponurego” doskonałego komendanta leśnego wojska nie tylko ze wszystkimi zaletami, ale i wadami, dowódcę zbyt usamodzielnionego, przed czym trudno było się w tych warunkach uchronić.

W początkach sierpnia 1943 roku „Ponury” pokazał, jak widzi swoją rolę szefa Kedywu, „Daniel” zaś sygnalizował, że takiego postawienia sprawy nie akceptuje. Ten rozdzźwięk w ocenie sposobów pracy szefa Kedywu istniał nadal, choć nie doprowadzono do spięć, bo był to okres demonstrowania dobrej woli obu stron. Okres, który miał się niedługo skończyć, i wszystko znów miało wrócić na dalsze trzy miesiące do stanu poprzedniego. Ale to nastąpiło dopiero w końcu października.

Na razie „Ponury” rozpoczyna dowodzenie okręgową dywersją z właściwym swej naturze rozmachem. W tym czasie kilkunastu szpiclów, na których konspiracja wydała wyroki śmierci za gorliwą współpracę z okupantem, wyraźnie pokpiwało sobie z tych decyzji bez pokrycia. Wynikało to z faktu, że wyroków tych dotąd nie miał po prostu kto wykonywać. Teraz jednak podziemie zaczęło nadrabiać zaległości. Aparat dywersyjny Okręgu, znudzony dotychczasowym zastojem, ze spotęgowanym zapalem przystąpił do spełniania rozkazów. W stosunkowo szybkim czasie zdeorganizowany dotąd kielecki Kedyw zamienia się w rękach „Ponurego” w coraz sprawniej działającą maszynę. Wielką rolę cementującą odgrywa tu drużyna ochronna komendanta, która współdziałała z żołnierzami dywersji Okręgu przy wszystkich poważniejszych akcjach. Zdarzają się teraz często „noce główek”, jak np. w rocznicę wybuchu wojny, kiedy to w Skarżysku chłopcy „Mariana”, wzmocnieni żołnierzami oddziału „Szorta”, w ciągu kilku godzin zlikwidowali ośmiu konfidentów.

Pułkownik „Daniel” jest mocno speszony tym rozmachem, obawia się odwetowych uderzeń w szeregi konspiracji ze strony Niemców. Istniejące jednak między nim a „Ponurem” zawieszenie broni powoduje, że próby wpłynięcia na szefa dywersji wyrażane są w delikatnej formie i... nie odnoszą skutku.

Niedługo jednak dochodzi do zerwania rozejmu, gdyż „Ponury”, wbrew cichym nadziejom komendanta Okręgu, nadal jest w stałym kontakcie z dowódcami oddziałów Zgrupowań, inspiruje i koordynuje ich akcje zaczepne, wydaje rozkazy, przyjmuje raporty itd. Plan płka „Daniela”, polegający na oddzieleniu „Ponurego” od lasu i na pełnym podporządkowaniu Okręgowi poszczególnych jednostek, pali na panewce.

Tymczasem „Ponury” bacznie obserwuje poczynania usamodzielnionych dowódców. Najbardziej żywotny i chyba cieszący się największą sympatią dowódcy jest oddział „Robota”. Jego działalność jest taka, jaką chce widzieć „Ponury” u wszystkich.

W tym zgrupowaniu są dwaj jego serdeczni przyjaciele – „Stefanowski” i „Motor”. Pierwszy wybija się w dowodzeniu przydzielonym mu po śmierci „Wilka” plutonem, „Motor” zaś postanawia wykorzystać niedawne doświadczenia wyniesione z ostatniej obławy i w taborze „Robota” zamiast ciężkich wozów buduje lekkie zwinne „biedki”.

Tu też zdarza im się dziwna i nigdy do końca nie wyjaśniona historia.

19 sierpnia 1943 roku „Robot” – wyruszając z oddziałem z obozowiska pod Wąsosz na „kolejówkę” – na czas swej nieobecności mianował „Stefanowskiego” dowódcą leśnego oddziału wartowniczego składającego się z dziesięciu ludzi. Z oficerów w obozie obecny był tylko „Motor”, który w tym czasie robił wózki pod cekaemy.

W trzeciej dekadzie sierpnia w zakonspirowanym miejscu postoju „Ponurego” – w cegielni Rzeszowskich – zameldowali się „Stefanowski” i „Motor”. „Donat” był co najmniej zaskoczony tą

wizytą, gdyż poza dowódcami zgrupowań oraz drużyną ochronną nikt nie wiedział o miejscu jego pobytu, a wtajemniczeni, do których w tym przypadku nie należał ani „Motor”, ani „Stefanowski”, mieli surowy zakaz ujawniania komukolwiek jego meliny. Nie było czasu jednak dochodzić źródła dekonspiracji, gdyż meldunek, jaki złożyli dwaj oficerowie, dosłownie odebrał mu mowę. Stwierdzili oni mianowicie, że po wymarszu „Robota” z obozu otrzymali od niego rozkaz na piśmie, aby wyszli z lasu, gdyż idzie obława, i przeszli do wsi według załączonej do rozkazu marszruty. Ponieważ według oceny „Stefanowskiego” szkic był sporządzony błędnie, podjął decyzję rozbrojenia swych dziesięciu podkomendnych, zakopania broni, a ludziom polecił pojedynczo przedrzeć się do „Nurta”.

„Ponury” przez chwilę milczy, hamując ogarniającą go wściekłość.

– Gdzie jest ten rozkaz?

– Zniszczyliśmy, bojąc się obławy.

Reakcja „Ponurego” jest natychmiastowa.

– Wón mi z lasu! – rzuca przez zęby i nie dopuszcza do dalszych tłumaczeń.

Obaj niefortunni oficerowie opuszczają cegielnię udając się do Skarżyska.

Ten przypadek ma na pewno zasadnicze znaczenie w całej aferze „Matora”. Również zachowanie „Stefanowskiego” było bardzo dziwne. Nigdy nie udało się wyjaśnić, czym kierował się ten ostatni w tak niedorzeczny sposób interpretując rozkaz swego dowódcy. Czy taki rozkaz w ogóle otrzymał – należy też wątpić. W kilkanaście dni później „Ponury” podczas spotkania z „Robotem” zażądał wyjaśnienia tej sprawy. „Robot” potwierdził, że skierował gońca do „Stefanowskiego” z ostrzeżeniem, że idzie obława¹⁴³. Było to polecenie ustne i o żadnym szkicu ani też rozkazie wycofania się do wsi nie było w ogóle mowy. „Robot” nakazywał jedynie zwiększenie ostrożności. Teraz zaś domagał się stanowczo konfrontacji. Na razie nie była możliwa, gdyż obaj jego byli podkomendni znajdowali się poza oddziałem i nie znano miejsca ich pobytu.

¹⁴³ Chodziło tu o zaobserwowane wzmożone przerzuty formacji policyjnych, które nazajutrz obstawiły Końskie, dokonując tam masowych aresztowań.

„Ponury” bardzo mocno przeżył to zdarzenie. Na palcach można było policzyć tych, którym udało się przełamać dystans z dowódcą i stworzyć warunki na powstanie czegoś więcej niż stosunków służbowych – koleżeństwa czy przyjaźni. Szczególnie krótko trzymał swoich oficerów. Z zazdrością więc patrzono na tych dawniej zaprzyjaźnionych z nimi ludzi, którzy byli przez niego wyróżniani stosunkiem koleżeńskim. Niewielu było takich w oddziale, a do tego uprzywilejowanego grona należy obok „Czarki” i „Nurta” zarówno „Motor”, jak i „Stefanowski”.

„Antoniewicz” w swojej relacji z dużą powściągliwością ocenia odczucia swego dowódcy:

Sprawa „Matora” i „Stefanowskiego” była dla niego o tyle przykra, że obaj byli jego przyjaciółmi, a „Stefanowskiego” znał z okresu służby w policji. Był z nim w kontakcie i w okresie konspiracji, gdyż „Stefanowski” pracując w Kripo pracował zarazem w wywiadzie AK. Zawód, jaki go spotkał, był szczególnie ciężki¹⁴⁴.

¹⁴⁴ *Próba zarysu*, s. 28

Niejasna jest tu rola „Stefanowskiego”. Odważny, podobno nawet pierwszy z ludzi „Ponurego” odznaczony Krzyżem Walecznych, wciągnięty bardzo poważnie w konspirację, zarówno w okresie warszawskim, jak również potem jako dowódca plutonu ochronnego, naraz, bez żadnego uzasadnienia, zdobył się na czyn, jaki można określić tylko jednym słowem – dezercja. Nawet jeśli założy się, że rzeczywiście otrzymał od „Robota” rozkaz wycofania się przed obławą do wsi, to żaden partyzancki oficer bez rozeznania sytuacji i zebrania informacji świadczących o całkowitym bezsensie podjęcia walki nie poleci oddziałowi rozbroić się i rozproszyć.

Dlaczego „Stefanowski” tak zrobił? Czyżby to był moment załamania psychicznego? Jeśli tak, to co je spowodowało? Wszak „Stefanowski”, były wieloletni wywiadowca policyjny i konspirator, na pewno nie należał do ludzi o cienko tkanych nerwach. Może postawa jego była wynikiem podatności na

podszepcy „Motora”? Czy tak było, trudno dziś dociec, wszak obaj nie żyją. Jeżeli tak – bo czym innym uzasadnić dziwne zachowanie „Stefanowskiego” – to czy podatność ta ograniczyła się tylko do tego przypadku? Późniejsze zdarzenia potwierdzają, że wpływ „Motora” na kolegę był olbrzymi. Gdzie były jego granice i czy w ogóle były? Nie ma uzasadnienia dla czynu podchorążego, o ile się nie wątpi w jego dobrą wolę, nawet wtedy, gdy się założy, że otrzymał rozkaz wycofania z lasu od „Robota”.

„Robot” temu zaprzecza. Jest znany z prawdomówności, poza tym nie miałby powodów ukrywać faktu wydania takiego polecenia. W piśmie KG do KO „Rolnik”, skierowanym już po śmierci „Motora” na podstawie przeprowadzonych badań, jest następująca sugestia: *W tych warunkach nasuwa się twierdzenie, że „Stefanowski” (wraz z „Motorem”) rozkaz „Robota” sfalszowali.*

Przyjęcie takiego rozwiązania czyni sprawę jasną tylko częściowo, gdyż nie daje w wypadku „Stefanowskiego” odpowiedzi na zasadnicze pytanie: dlaczego?

Tego rodzaju pytań jest dużo. Nie ulega wątpliwości – biorąc pod uwagę nie sprawdzone zagrożenie ze strony Niemców oraz cechy osobiste bezsprzecznie odważnego podchorążego – że u podstaw tej niezrozumiałej decyzji musiały leżeć inne, istotniejsze powody niż strach. Wskazuje na to również fakt, że obaj potrafili znaleźć drogę do zakonspirowanej meliny „Ponurego”. Wydaje się, że w sobie tylko wiadomym celu „Motor” rozszyfrował tę sprawę wcześniej i że skłonił „Stefanowskiego” do wykorzystania pierwszej, nie bardzo szczęśliwej okazji, aby opuścić oddział „Robota” i znaleźć się w pobliżu „Ponurego”.

Co zrobili dalej?

Drogi ich chwilowo rozchodzą się – „Stefanowski” zmienia front i przechodzi na stronę komendanta Okręgu. Ten potrafi to ocenić i w jakiś czas po wyrzuceniu podchorążego z lasu „Ponury” zostaje zaskoczony przez płka „Daniela” decyzją bez precedensu. Komendant Okręgu mianuje „Stefanowskiego” zastępcą kierownika komórki bezpieczeństwa Okręgu, por. „Górala”. Nie ulega wątpliwości, że za tą nominacją kryła się chęć dokuczenia „Ponuremu”. Jest niezmiernie ciekawe, że usunięty podchorąży zostaje obdarzony funkcją, którą w innych okręgach powierzano wyłącznie oficerom wypróbowanym i zaufanym (przeważnie zawodowym). Czyżby konflikt z „Ponurem” był dla komendanta Okręgu wystarczającym świadectwem kwalifikacji „Stefanowskiego”?

„Ponury” odczuwa decyzję płka „Daniela” jako podwójny policzek. Awansowanie banity jest jakby zadośćuczynieniem za „krzywdy” doznane od „Ponurego” oraz dowodem, że Okręg widocznie nie przywiązuje wagi do incydentu i nie traktuje zarzutów poważnie. A Okręg jest przecież formalnie i faktycznie władzą „Ponurego”. Jest to więc wypowiedzenie wojny. W ten sposób, tylko dla osobistych ambicji i rozgrywek personalnych, nawiązująca się bardzo powoli nić współpracy między komendantem Okręgu a szefem Kedywu zostaje zerwana. Mało tego, na dwóch bardzo newralgicznych stanowiskach, wymagających stałej, codziennej współpracy, zostali postawieni dwaj do niedawna przyjaciele, a teraz wrogowie: „Ponury” jako szef Kedywu okręgowego i „Stefanowski” jako zastępca szefa bezpieczeństwa Okręgu.

Gdy w cztery miesiące później „Ponury” pisze raport na komendanta Okręgu do gen. „Bora”, nie zapomina tego policzka i przedstawia sprawę „Stefanowskiego” w następujących słowach:

9) na określenie nie spotykanych w wojsku, a tym bardziej konspiracji stosunków podaję następujący fakt: K-ndt Okr. przyjął do Sztabu Okr. podchorążego, zdyskwalifikowanego przeze mnie za to, że będąc dowódcą oddziału, rozbroił swoich ludzi i porzucił ich w niebezpieczeństwie, a sam przyszedł do mnie na kontakt na melinę. K-ndt Okr. o powyższym posiadał mój meldunek, jak również K-ndt Okr. osobiście nie znał podchorążego z poprzedniej służby, podchorąży ten został przywieziony przeze mnie i przeze mnie zdyskwalifikowany – czym się powodował K-ndt Okręgu, przyjmując go do Sztabu Okręgu¹⁴⁵?

¹⁴⁵ Oryginał w zbiorach WIH.

Jakie skutki będzie miała powyższa decyzja płka „Daniela”, zobaczymy już wkrótce.

Na ślady tej sprawy natrafiłem również w notatce „Stefanowskiego” z dnia 4/5 lipca 1944 roku¹⁴⁶.

Nie będzie tam jednego słowa o rozbrojeniu oddziału i zakopaniu broni, a za to dużo o własnym bohaterstwie i różnicy poglądów na wiele spraw partyzanckich. Swe odejście z lasu „Stefanowski” przedstawia następująco:

[146](#) Pisana przez „Stefanowskiego” – Albina Hopa w noc przed aresztowaniem i przechowana do dziś w rękach prywatnych.

W partyzantce byłem dowódcą plutonu, brałem udział w kilku akcjach bojowych. Za specjalne wyczyny na polu walki zostałem podany – jako pierwszy z partyzantki – do odznaczenia Krzyżem Walecznych. Wkrótce zauważyłem, że partyzantka z winy Ponurego nie spełnia swego zadania, przeciwnie, istnienie jej pociąga straszne ofiary okolicznej ludności i wśród żołnierzy. Przez kilkanaście miesięcy partyzantka utrzymywała się tylko z bezprawnych rekwizycji mienia Polaków, a często nawet wieśniaków. O żołnierza nie dbało się, otrzymywaną gotówkę na utrzymanie żołnierzy trwonili Ponury według swego uznania [od słowa „Ponury” do końca zdania skreślono w rękopisie – przyp. C. Ch.]. Ze spostrzeżeniami swymi podzieliłem się z por. Ponurym, który na moje zarzuty odpowiedział mi, że on za wszystko odpowiada i nikogo się nie boi, bo on posiada teraz siłę.

Stanowisko takie uważałem za sprzeczne z polską racją stanu. Obecna wojna toczy się z powodu i przeciw dyktarom [chyba dyktatorom – przyp. C.Ch.] a tu nagle wyrasta nowy dyktator w Górach Świętokrzyskich. Gdy Ponury w rozstrzygnięciu spraw służbowych dotyczących ludności cywilnej i żołnierzy zaczął rozmyślnie wydawać niesprawiedliwe wyroki łącznie do kary śmierci, wówczas stanąłem do raportu z prośbą o zwolnienie mnie z partyzantki. Za pierwszym raportem odmówił mi zwolnienia, za drugim razem przychylił się do mojej prośby. Tego samego dnia na własną prośbę wystąpił z partyzantki z tych samych pobudek szef sztabu por. Marian. Po wystąpieniu z partyzantki przyjechałem do Warszawy, lecz z powodu tego, że idąc do partyzantki zdezerterowałem ze służby w policji kryminalnej, musiałem się ukrywać przed policją tak niemiecką, jak i granatową, gdyż bałem się zdemaskować, że żyję, z obawy o rodzinę. W międzyczasie zostałem kilkoma drogami zaproszony do przybycia do Skarżyska w celu objęcia stanowiska w Wydziale Bezp. w Sztabie Okręgu. Proponowane stanowisko odpowiadało mi i przyjąłem je rozpoczynając je 12.X.43 r.

Przypatrzmy się racjom „Stefanowskiego”. W Zgrupowaniach był niecałe trzy miesiące [147](#). Był to okres nietypowy w dziejach Zgrupowań, okres scalania luźnych grup, pełen różnych problemów organizacyjnych, szkoleniowych i moralnych. Czyż można więc zaraz w pierwszym miesiącu tego okresu stwierdzić, że „partyzantka z winy «Ponurego» nie spełnia swego zadania, lecz przeciwnie, istnienie jej pociąga straszliwe ofiary wśród okolicznej ludności i wśród żołnierzy”?

[147](#) Od 28 V 1943 r. do około 20 VIII 1943 r. – według mojej informacji albo o ile przyjmujemy datę początkową podaną przez niego samego (2 VI) – dwa i pół miesiąca.

Tego rodzaju stanowisko skłania do wniosku, że najlepiej byłoby, gdyby oddziały partyzanckie nie istniały w ogóle. Przecież „Ponury” tworzył swoje wojsko z istniejących już w lesie grup zbrojnych, chodzących dotąd „dziko”, bez żadnej koordynacji i nadzoru. A zatem „niebezpieczeństwo” wynikające, według „Stefanowskiego”, z samego istnienia oddziałów powstało, zanim „Ponury” zjawił się w Kieleckiem, już w chwili stworzenia oddziału Gwardii Ludowej „Narbutta”.



130. Przy partyzanckim ckmie. Od lewej stoją: „Sierpień” — Zbigniew Duś, „Żak” — Gordian, „Smrek” — Stanisław Skorupka, „Kolano” — Władysław Chojnacki, „Topola” — Józef Piwnik (wyższy), „Wyzwolony” — Stanisław Polak, „Irys” — Wiesława Pachnik, „Lewańczyk” — Józef Sierpień, „Konar” — Polikarp Rybicki, kucają lub leżą od lewej: „Podmuch” — Edward Szmidt, „Adam” — Izaak Czyżyk, „Łoś” — Eugeniusz Kowalski, „Maryśka” — Stefan Stawski, „Borsuk” — Stefan Topór

131. Krótkofalówka Zgrupowań przy pracy. Od lewej: kpt. „Maryśka” — Stefan Stawski (+1943), radiotelegrafista „Sołtys” — Feliks Szumielewicz (+1976), kpr. „Adam” — Adam Lipa (+1951) i kwatermistrz „Szach” — Julian Materek (+1984)







132. W ostatnich dniach sierpnia do Zgrupowań dołączył konny oddział „Tarzana” — Tomasza Wójcika (dolny rząd w środku), który kilka dni przedtem zlikwidował niemieckiego generała. W otoczeniu „Tarzana” od lewej stoją: „Żbik” — Stanisław Iryszek (+1944), „Prymus” — Mieczysław Kazimierski, „Sokół” — Franciszek Perlak, siedzą: „Kanarek” — Alfred Margula (+1944) (na lewo od „Tarzana”) i „Urwis” — Stanisław Jagiełło (+)

● W tym miejscu dn. 25 sierpnia 1943r.
 oddział partyzancki N.O.W.
 wachm. „TARZANA” TOMASZA WÓJCIKA
 podporządkowany
 zgrupowaniom Armii Krajowej por. „Ponurego”
 zniszczył dwa niemieckie samochody
 sztabowe likwidując ośmiu oficerów
 i żołnierzy Wehrmachtu
 w tym gen. por. Kurta Rennera
 d-ce 184 zapasowej dywizji

133. W czterdzieści lat po wojnie na polnym kamieniu przy szosie Opatów-Ożarów żołnierze „Ponurego” umieścili poniższą tablicę



134. Wachm. „Tarzan” — Tomasz Wójcik (z lewej) i szef jego oddziału, wachm. „Dobiecki” — Edmund Rachubiński (+ 1944)



135. Centrum cmentarza w Ćmielowie stanowi dziś kwatery partyzancka 32 żołnierzy z oddziału „Tarzana”, którego zagłada na polach wsi Wola Grójecka nastąpiła w dniu 7 lipca 1944 roku na skutek zdrady. Jej sprawcy do dziś nie ponieśli kary







136. „Jerzy” — Feliks Konderko (+1969), żołnierz Zgrupowania nr 3 i autor większości partyzanckich zdjęć ze Zgrupowań „Ponurego” (z lewej) oraz pchor. „Sylwester” — Zdzisław Toborek (+1944), dca sekcji konnej oddziału „Tarzana”



137. W dzikich i pełnych wykotów lasach osieczyńskich rannych noszono na ramionach po kilkanaście kilometrów. Pierwsza para noszowych (od lewej): „Stryjek” — Józef Szlufik i „Kufel” — Bronisław Szybalski, druga para: „Gienek” — Stefan Urbański i „Jastrząb” — Kazimierz Gładys



138. Żołnierze oddziału „Szorta”. Od lewej: „Dziur” — Czesław Oświeciński (+1982) i „Dan” — Arkadiusz Wnętrzak (+1987)



139. Tabory ppor. „Motora”







140. Wachm. „Tarzan” (drugi z lewej) odpoczywa w dziurawym szalasiu

141. Strz. „Grażyna” — Grażyna Śniadecka i ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka







142. Spokojny sen por. „Nurta” pod gołym niebem

143. Przemieszczające się 400-osobowe Zgrupowania tworzyły na leśnych duktach kolumnę długości ponad pół kilometra







144. Wachm. „Tarzan” (z lewej) przyjmuje raport od dcy sekcji erkaemów, „Prymusa” — Mieczysława Kazimierskiego. W szeregu stoją (od lewej): „Urwis” — Stanisław Jagiełło, „Kanarek” — Alfred Margula, „Sokół” — Franciszek Perlak i „Żbik” — Stanisław Iryszek



145. 23 VIII 1943 w walce z żandarmerią padli następujący żołnierze chor. „Szorta”: sierż. „Kuna” — Stanisław Berus, „Jeleń” — Stefan Herman, „Okno” — Stanisław Sokół, „Noc” — Jan Łakomic (na zdjęciu) i „Świt” — NN



Na pewno skoncentrowanie oddziałów dzikich i kierowanie nimi przez oficera wyszkolonego w zadaniach dywersyjnych, i to oficera bardzo ambitnego, zwiększyło ich prężność i dawało lepsze efekty bojowe. Nie znając roli „Motora” w sprawie Michniowa, przeciwnicy „Ponurego” utrzymywali – a nawet utrzymują do dzisiaj – że wieś została bestialsko spacyfikowana w odwet za napad na pociąg pod Łączną 2 lipca 1943 roku. Na tym także opierał swe zarzuty „Stefanowski”. Kto jednak pamięta czasy okupacji w Generalnym Gubernatorstwie, wie, że Niemcy dokonywali podobnych masowych mordów nie tylko w odwet za działalność oddziałów zbrojnych, ale również za takie „przewinienia”, jak ukrywanie Żydów, nieoddawanie kontyngentów i temu podobne. Czy i z tych form samoobrony zrezygnować miał naród polski, aby sobie zapewnić iluzoryczne bezpieczeństwo?

Zarzut grabieżczych rekwizycji jest szkalowaniem żołnierzy „Ponurego”. Był to przecież pierwszy w Kielecczyźnie – o ile nie jedyny w tym czasie – oddział partyzancki, który za żywność płacił wszystkim z wyjątkiem Niemców. Wszelkiego rodzaju przejawy grabieży były tępione z całą bezwzględnością, a surowe kary nie omijały nawet oficerów. Potwierdzeniem tego może być niesławny koniec ppor. „Grot”, rozstrzelanego właśnie za nieuzasadnione rekwizycje.

Nikt też poza „Stefanowskim” nie postawił „Ponuremu” zarzutu trwonienia pieniędzy – dostarczano mu ich w tak minimalnych ilościach, że ledwo wystarczało na zakup żywności, tym bardziej, że niektóre placówki konspiracyjne domagały się paskarskich nieraz cen. Również i żale nad losem „nie szanowanych” żołnierzy wydają się być przesadzone. W Zgrupowaniach „Donata” byli przecież ludzie, którzy leśny żywot poznali zarówno przed wstąpieniem pod jego komendę, jak i pod jego rozkazami, jak wreszcie wtedy, gdy „Ponurego” zabrano i gdy polepszyła się finansowo-materialna opieka Okręgu nad Zgrupowaniami. A mimo to okres dowodzenia przez „Ponurego” wspominają oni jako nacechowany wielką dbałością o żołnierzy.

I wreszcie zarzut najpoważniejszy – sprawa kar i ferowania wyroków śmierci, w czym – według „Stefanowskiego” – „Ponury” miał wyraźnie przesadzać. Byłoby kłamstwem stwierdzenie, że w oddziałach „Ponurego” nie było egzekucji. Owszem, wyroki śmierci zapadały i były wykonywane. W okresie początkowym tworzenia Zgrupowań były to nawet wypadki częste. Ale kogo dotyczyły? Bandytów, przestępców, groźnych grasujących w okolicy kryminalistów. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że ludność cywilna w powiatach przylegających do Gór Świętokrzyskich była na początku 1943 roku sterroryzowana przez bandy rabunkowe, które pod płaszczykiem partyzantki lub w ogóle bez żadnych pretekstów grabiły wszystko, co im wpadło w ręce, z płytami gramofonowymi i dziecięcymi bucikami włącznie. Wobec band rabunkowych „Ponury” stosował rzeczywiście zasadę „lekkiego spustu”.

Każdy jednak wyrok poprzedzony był śledztwem prowadzonym przeważnie przez „Stefanowskiego” jako dowódcę plutonu ochronnego. Dostarczał on sądowi partyzanckiemu materiałów, a zatem miał największy wpływ na końcowe decyzje. Jeśli więc ktokolwiek miał moralne prawo stawiania zarzutów w tej materii „Ponuremu”, to nie „Stefanowski”.

Przemilczenie w notatce rozbrojenia oddziału powierzonego jego opiece oraz przedstawienie zarzutów tak głośłownych nie wydaje się przekonywać o obiektywizmie „Stefanowskiego”.

Wróćmy teraz do „Motora” – drugiego oficera, który samowolnie odszedł od „Robota”. Również i on po usunięciu ze Zgrupowań szukał protektorów, którzy ułatwiliby mu powrót do lasu.

O ile jednak „Stefanowski” przeniósł się do obozu przeciwników „Ponurego”, o tyle „Motor” chce wrócić do oddziału, ale nie jako grzesznik udający się do Canossy, lecz człowiek opatrnościowy, nieodzowny i jedyny.

Zna przecież wszystkie tajemnice Zgrupowań, ich słabe punkty i niedomogi. Wie, że „Ponury” największe kłopoty ma z niesprawnie funkcjonującą łącznością z Komendą Okręgu i Komendą Główną.

Postanawia więc skorzystać z pomocy starego przyjaciela, Józefa Kesslera. Widać więc, że nie było

dla niego tajemnicą prawdziwe oblicze rzekomego członka „Wachlarza” i oficera konspiracji, w rzeczywistości agenta gestapo o kryptonimie „K-22”, i że obaj (wbrew stwierdzeniom Kesslera) będą tu działali wspólnie, złączeni służbą dla jednego pana.

Cały mechanizm działania „Motora” w tych dniach odsłonił w siedem lat później przed oficerem śledczym sam Kessler. Wykorzystując fakt, że nie były znane jeszcze inne dokumenty, przeplatał sprawy prawdziwe kłamstwem i tak zeznawał:

Przez kilka miesięcy z „Motorem” się nie widziałem, który jednak szukał mnie, aż znalazł mnie w Wołominie k. Warszawy. Prosił on mnie wówczas, czy ja nie mam kogoś w Kielcach, który by umożliwił mu dostanie się do fabryki „Hasag”. Chodzi mu o to, aby przez tę osobę ulokować samochód Dowództwa Okręgu AK Radomsko-Kieleckiego, który oddany byłby na użytek dowództwa oddziałów leśnych, a ściślej mówiąc oddziału „Ponurego”, który również przeszedł z „Wachlarza” do „Kedywu”. Odpowiedziałem mu, że wkrótce się zorientuję i dam mu znać, w tym celu niech się za kilka dni zgłosi do mojego mieszkania w Warszawie – a raczej mieszkania siostry L. – H. K., zam. przy ul. Nowy Świat nr 27. Zdaje mi się, że zaraz na drugi dzień przyjechał do mnie Falkowski „Karol”¹⁴⁸, któremu powiedziałem o przybyciu „Motora”, zapytując się, co mam zrobić w związku z propozycją „Motora”. Falkowski odpowiedział, że on w zasadzie wszystko załatwi, natomiast ja mam przedzwonić do „Motora”, oświadczyć mu, że posadę w „Hasagu” otrzyma. W tym celu również miałem udać się z „Motorem” do Kielc i przedzwonić na jakiś fikcyjny numer – oświadczając, że sprawa jest załatwiona. Tak też zostało wykonane. Zatrzymałem się także tej nocy w mieszkaniu „Motora”. Rano wróciłem do Radomia, zaś „Motor” pozostał w Kielcach.

¹⁴⁸ Łącznik kieleckiego gestapo (przyp. C. Ch.).

Naturalnie i tu jest kłamstwo – jak to już u Kesslera w zwyczaju – bo całą sprawę umieścił w roku 1942.

Już na pierwszy rzut oka niektóre fragmenty wersji Kesslera nie wytrzymują krytyki. Wynika z niej np., że „Motor” zjawił się u niego z prośbą o pomoc. Czy mając tak ważne zadanie, jak umieszczenie samochodu Komendy Okręgu w „Hasagu” (o ile w ogóle Komenda Okręgu zwróciłaby się akurat do niego, człowieka bez żadnych kontaktów), szukałby jakiegoś małego sobie znanego (wg Kesslera) znajomego o nie sprecyzowanej funkcji i bez mocnych kontaktów w konspiracji, i to w Wołominie? Tym bardziej że „Motor” samochodu nie miał i że chodziło mu o posadę szofera w „Hasagu” oraz otrzymanie w określonym celu wozu fabrycznego, i to na nie kontrolowany przez fabrykę (a tylko przez gestapo) użytek.

Kessler taką właśnie pracę mu załatwił.

Mówi o tym w sposób niedwuznaczny pismo kontrwywiadu KG AK (18-b) do komendy Okręgu „Rolnik” z lutego 1944 roku:

„Motor” przyznał się, że [...] Kessler celem umożliwienia mu rozpracowania łączności partyzantów z Okręgiem i KG wyrobił mu stanowisko szofera w hucie „Ludwików” i zaopatrzył go w samochód oraz dokumenty na jego prawdziwe nazwisko...

Jak więc wygląda w zestawieniu z tym autentycznym (ujawnionym dopiero w 1956 r.) dokumentem wersja Kesslera?

Tak oto w początkach września 1943 roku „Motor” zrealizował już połowę swego planu – miał w dyspozycji szybkiego czarnego opla i żelazne, pewne papiery. Teraz należało znaleźć dojsście do „Ponurego”, z którym przecież rozstał się co najmniej nie pokojowo.

Kto posłużył mu jako mediator?

„Antoniewicz” wyjaśnia to następująco:

„Motor” był tym samym „Motorem”, którego „Ponury” swego czasu wyrzucił z lasu. Pozostawiony własnemu losowi zatrudnia się w Werk Ludwigshütte w Kielcach w charakterze szofera. Dysponując środkiem lokomocji i dobrymi dokumentami nawiązuje z „Ponurym” za pośrednictwem ppor. B. kontakt i proponuje mu swe usługi. „Ponuremu” złość na „Motora” przeszła. Konsekwencji tego niechlebnego czynu w zgrupowaniu „Robota” nie było. Rozpuszczeni bowiem przez „Motora” i „Stefanowskiego” żołnierze dotarli szczęśliwie do „Nurta”. Odczuwając zaś brak łącznika, zwłaszcza z Warszawą, spotkał się ze zbyt ponętną propozycją, by ją odrzucić. W tych okolicznościach „Motor” zostaje łącznikiem¹⁴⁹.

¹⁴⁹ *Próba zarysu*, s. 50. W opracowaniu „Antoniewicza” podano prawdziwe nazwisko ppor. B.

Tak więc „Motor”, przebywający dotąd w lesie pod jaką taką kontrolą, objął teraz dzięki „pośrednictwu ppor. B.” funkcję łącznika dowódcy Zgrupowań z jego przełożonymi, mogąc kontaktować się z gestapo bez ograniczeń i mając dostęp do spraw najpoufniejszych.

Samodzielne Zgrupowania

Najliczniejsze z wszystkich zgrupowanie „Nurta” wróciło na miejsce stałego postoju oddziałów – na Wykus. Spalone i zdewastowane obozowisko nie zachęcało do zakładania solidnej bazy. Było zresztą ciepło – sierpień, choć deszczowy, pozwalał spać pod wykrotem lub prowizorycznym daszkiem z jedliny. Wygłodzony, obdarty żołnierz wymagał odpoczynku i dozbrojenia.

Po spaleniu Michniowa i ostatniej obławie „Nurt” uważał, że lepiej przeczekać i nie ściągać sobie od razu Niemców na kark. Rozsyłał więc jedynie szeroko patrole aprowizacyjne, aby rekwirowały w majątkach żywność, a w różnych magazynach i sklepach ubrania i buty; bardzo intensywnie szkolił też w tym okresie swe wojsko.

Aby zaś Niemcy nie przypuszczali, że spalenie Wykusu przepłoszyło leśne wojsko, „Nurt” oddał się całą duszą likwidacji konfidentów. Nie było dnia bez badania agentów, których patrole przyprowadzały do obozu. Przeważnie potwierdzały one winę i wtedy rozrachunek był krótki. Zdarzało się jednak, że podejrzani o zdradę potrafili podważyć prawdziwość dowodów i wtedy odchodzili z lasu puszczeni wolno. W dwóch tylko wypadkach „Nurt” pomylił się zwalniając autentycznych – jak się okazało potem – agentów, ale w obu wypadkach wysłane patrole naprawiły błąd.

„Nurt” kwaterował najbliżej meliny „Ponurego”, musiał więc od czasu do czasu wzmacniać poczynania ruchliwej drużyny ochronnej szefa Kedywu”, która rozwijała bardzo ożywioną działalność, również likwidacyjną. „Ponury” także odwiedzał ich często.

Zgrupowanie „Mariańskiego” przeszło na krótki zresztą czas w Góry Świętokrzyskie – zatrzymując się w powiecie opatowskim. Bogata to ziemia, gospodarze nie szczędzili żywności wojsku, tym bardziej że broniło ich ono przed rozpanoszonymi bandami rabunkowymi. „Mariański” szybko oczyścił teren, część bandytów likwidując, inni – na wieść o karach – usunęli się sami. Również i to zgrupowanie okres samodzielnego działania poświęciło na szkolenie, uzupełnienie ubrań i broni oraz drobne sporadyczne akcje. „Mariański” biwakował w okolicach Szczytniaka w Paśmie Jeleniowskim, ale już po dwóch tygodniach samodzielności „Ponury”, który nie lubił mieć rozproszonego wojska, ściągnął go ponownie na Wykus – w sąsiedztwo „Nurta”.

Inaczej wykorzystał swobodę działania „Robot”. Ten urodzony dywersant teraz dopiero rozwinął całą swoją sabotażową inicjatywę. Miał na razie około sześćdziesięciu ludzi, niedługo jednak wydatnie powiększył stan osobowy swego zgrupowania i dzięki dużej ruchliwości i dokładnie przygotowanym akcjom zgromadził na koncie wiele bojowych sukcesów.

W bezpośrednim otoczeniu dowódcy przebywał pchor. „Staszek” – Stanisław Wolf. Wtedy, w czasie sierpniowych poczynań „Robota” w powiecie koneckim, skrupulatnie prowadzi notatki z walk zgrupowania. Ich fragmenty przechowały się do dziś – odnalazłem je w archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego.

Chyba słuszniej będzie przedstawić relację z walki „Robotowców” w autentycznym ujęciu jednego z żołnierzy ppor. Jakuba” – „Robota”.

WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA „STASZKA”

m.p. dn. 20 sierpnia 1943 r.

Parę minut po dwunastej¹⁵⁰ po linii (leżymy wszyscy wzdłuż toru od semafora wyjazdowego w kierunku przystanku) przechodzi rozkaz pogotowia bojowego. Z daleka słychać już szum idącego pociągu. Mimo woli spoglądamy na semafony. Są zamknięte. Poprawiamy się na swoich stanowiskach, kryjąc się, by nas nie dostrzeżono z pociągu. W międzyczasie maszyna wolno sapiąc staje przed semaforem. Chwila ciszy, a potem głos z linii: „Obsługa parowozu i wagonu służbowego wysiadać!” Trzech ludzi wykonuje ten rozkaz. W tej chwili podchodzą do nich strzelcy Jacek i Adaś¹⁵¹, a następnie na rozkaz por. Robota: „Pierwszy pluton do parowozu i służbówki!” cały nasz pluton. Okazuje się, że tych trzech to Polacy. Zapytujemy, co i kto znajduje się w pociągu. Otrzymujemy odpowiedź, że część składu załadowana jest

zbożem, a część materiałami tekstylnymi.

[150](#) Po północy (przy. C. Ch.).

[151](#) Jacek Szperling i Adam Wolf (przy. C. Ch.).

W wagonach z tymi ostatnimi są konwojenci – żandarmi. Pada rozkaz kom. Robota: „Pierwszy pluton otwierać wagony! Sekc. Stasiak na parowóz razem z palaczem! Pilnować, by lokomotywa była pod parą!” W chwili gdy mamy wykonywać ten rozkaz, słychać z ostatnich wagonów pierwszą serię z empi. Wycofujemy się na poprzednio zajmowane stanowiska i czekamy na rozkaz otworzenia ognia. Otrzymujemy go po paru minutach, gdy ogień z pociągu staje się coraz mocniejszy. Niemcy walą po nas z kilku empi na całego. Jasna, księżycowa noc ułatwia im odnalezienie naszych stanowisk, toteż kulki raz po raz świszczą nad naszymi głowami. My rozpoczynamy jak zwykle. Najpierw krótka seria z ckm-u, potem rkm-y, a w końcu kb i steny. Po paru minutach ogień z pociągu cichnie. Po linii przechodzi meldunek, że Niemcy wyszli z wagonów i zbliżają się do lokomotywy. Kpr. Leśnik, zajmujący stanowisko po drugiej stronie toru, otrzymuje rozkaz otworzenia ognia ze swojego rkm-u, a sekc. Stasiak, by wycofał się z parowozu do plutonu. Następny meldunek donosi, że Niemcy wycofali się do lasu. Pada wtedy rozkaz: „Wszyscy z pistoletami maszynowymi do pociągu! Ostrzelać las po drugiej stronie toru! A następnie całość, z okrzykiem HURRA, na pociąg!!!” Jeszcze jedna krótka seria ze środkowego wagonu i cały skład jest w naszych rękach.

Otwieramy po kolei wszystkie wagony i zaczynamy je wyładowywać. Najpierw bele materiału, potem jakieś skrzynie z rzeczami, z których wybieramy ubrania, buty, ręczniki i inne rzeczy nam potrzebne, a następnie dwie skrzynie z papierosami. Ładujemy to wszystko na przygotowane z góry podwoły, oblewamy benzyną wagon z pozostałymi materiałami i podpalamy. W momencie odmarszu podpalamy jeszcze wagon z prasowanym sianem i oświetleni czerwoną łuną pożaru, w dwie godziny i dwadzieścia minut od chwili zatrzymania pociągu, opuszczamy przystanek Wąsosz. Po drugiej stronie toru widzimy kilka postaci idących w stronę bloku. To obsługa pociągu i cywilni konwojenci, Polacy, którym kazaliśmy wziąć swoje rzeczy i odejść spokojnie od płonącego składu.

Rozpoczynamy teraz rzecz trudniejszą może i bardziej denerwującą niż sama robota. Jest nią odskok. Dzisiaj jest on o tyle gorszy, że o trzy kilometry od tego miejsca stacjonuje żandarmeria, która dotychczas wyruszała prawie na każdy strzał w okolicy. Poza tym ma ona kapitalny dojazd szosą asfaltową, przez którą my musimy przechodzić. I ostatni wreszcie nasz minus to wozy ze zdobyczą, z którymi się wycofujemy. Wspomniana szosa jest o dwa kilometry od miejsca, w którym się znajdujemy. Dojście do niej prowadzi lasem. Jest zatem stosunkowo łatwe. Maszerujemy wolno ze względu na tabor. Po pół godzinie jesteśmy na tym niemiłym dla nas miejscu. Teraz sto metrów biegiem po równym asfalcie i... Nie ubiegliśmy nawet pięćdziesięciu metrów, a tylne ubezpieczenie podaje, że z tyłu widać światła samochodu. Każdy stara się biec jak najszybciej, ale samochód jest dużo szybszy. Skręcamy tedy w las i na rozkaz: „Padnij!” kładziemy się zziębnięci na ziemi. Jesteśmy zdziwieni, że ani tylne ubezpieczenie, ani samochód żandarmerii, bo przecież to tylko ona może jechać, nie rozpoczyna ognia. Widać już zupełnie wyraźnie snopy światła z reflektorów i słychać huk motoru. Napięcie nerwowe wzrasta do maksimum. Naraz ogarnia nas serdeczna wesołość. Słyszymy dzwon straży ogniowej i po szosie przejeżdża samochód pełen strażaków. Poważnij nam jednak miny, gdy ten samochód zostaje o 400 metrów dalej zatrzymany przez samochody, w tym wypadku naprawdę żandarmerii. Gdybyśmy tak spóźnili się o parę minut, to byśmy się na nich natknęli i byłoby wtedy zupełnie niewesoło![152!](#)

[152](#) Oryginał notatnika „Staszka” wpadł w ręce gestapo w chwili jego śmierci pod Wielką Wsią w dniu 14 października 1943 r. Kopie z akt niemieckich znajdują się w polskich archiwach. Autor korzystał z kopii znajdującej się w zbiorach WIH-u.

Tu trzeba na chwilę przerwać relację pchor. „Staszka”, aby dodać to, co umknęło jego kronikarskiemu zapisowi. Mianowicie w okresie bojów Zgrupowań „Ponurego” o michniowską krzywdę oraz potem, gdy Zgrupowania wymykały się niemieckim obławom, w dniu 13 lipca 1943 roku Niemcy przeprowadzili w Końskich nalot na melinę żołnierzy miejscowej dywersji. I choć aresztowano tylko jednego żołnierza, „Tygrysa” – Stanisława Krajewskiego, w ręce Niemców wpadły zaszyfrowane wykazy uczestników konspiracyjnych kursów podoficerskich, a ponieważ obawiano się, że Niemcy mają już klucz szyfru, spowodowało to istotne zagrożenie trzonu koneckiej grupy dywersyjnej i konieczność usunięcia się jej z miasta do lasu. Na skutek tych perypetii[153](#) kierownictwo 23-osobowej grupy objął nie jej twórca i dowódca kpr. pchor. „Wacek” – Kazik Chojniarz, lecz jego zastępca kpr. „Allan” – Tadeusz Jencz. Mieli doskonałe uzbrojenie – dwa erkaemy wz 28, osiem zrzutowych stenów oraz karabiny i granaty. Początkowo jako samodzielny oddział próbowali odbić z więzienia „Tygrysa”, niestety bez efektu.

[153](#) Opisanych przez autora w relacji pt. „Robotowcy” w książce *Cztery z tysiąca* KAW 1981, wznowionej w 1984 r.

Tylko nieliczna grupa młodych podchorążych dywersji koneckiej, m.in. „Wacek” – Kazimierz Chojniarz, „Znicz” – Jan Wroniszewski oraz „Bandera” – Stanisław Kołodziejczyk, mimo zagrożenia, pozostała nadal w mieście.

Gdy w początku drugiej dekady sierpnia zgrupowanie „Robota” przeszło w lasy niekłańskie, właśnie ze strony tej grupy, która została w Końskich, wyszedł projekt zaatakowania pociągu – miał to być pociąg z amunicją ze Skarżyska.

Pod Wąsoszą zasadziły się więc trzy współdziałające ze sobą grupy – dwa plutony tworzące

zgrupowanie „Robota”, w sumie około 50 ludzi (10 wraz ze „Stefanowskim” i „Motorem” zostało w obozie i wtedy właśnie miało miejsce opisane wcześniej rozpuszczenie żołnierzy), 23 ludzi z oddziału leśnego dywersji koneckiej dowodzonych przez „Allana” oraz kilku żołnierzy¹⁵⁴ „Bandery” i „Wacka” z erkaemem – inicjatorów uderzenia.

¹⁵⁴ Czterech do sześciu – ilość sporna.

Amunicji nie zdobyto, bo spodziewany transport poszedł inną trasą, ale za to wpadło w ręce oddziałów wiele różnego dobra, między innymi sprzęt telefoniczny. I tę właśnie zasadzkę opisał „Staszek” powyżej.

Po akcji oddział „Allana” postanowił podporządkować się „Robotowi” i wszedł w skład zgrupowania jako pluton III. W ten sposób pluton I – warszawski objął po rannym pod Michniowem por. „Czarce” ppor. „Rafał”-„Mocny”, plutonem II po śmierci „Wilka” w dniu 3 sierpnia pod gajówką Mościska dowodził plut. „Maciek” – Maciej Szczepański, na krótko, pomiędzy 10 a 20 sierpnia, oddając komendę „Stefanowskiemu”, zaś pluton III – konecki został pod rozkazami „Allana”.

Po zasadzce zgrupowanie „Robota” wraz z „Allanowcami” wróciło na biwak pod Niekłan, zaś grupa konecka chciała dotrzeć do miasta. Ale nie dotarła. Tego bowiem ranka Niemcy otoczyli miasto podwójnym kordonem i przeprowadzili masowe aresztowania wśród miejscowej konspiracji. Przypuszczali nawet, że przypadkowo zbieżne z ich represjami uderzenie „Robota” na pociąg pod Wąsoszą było działaniem celowym, mającym w zamyśle odciążenie ich od Końskich. Z jednej strony byli dumni, że nie dali się w to wciągnąć, z drugiej pilnie szukali kanału przecieku tajnej informacji o zamierzonych represjach.

Ze względu na aresztowania grupa „Wacka” – Chojniarza do miasta nie wróciła, tylko została zmuszona do szukania oparcia na stałe w oddziale „Robota”. Po jego odnalezieniu czterech podchorążych z erkaemem przydzielono do plutonu II, na miejsce poległych wraz z „Wilkiem” pod Mościskami żołnierzy oraz innych, których rozpuścił „Stefanowski”. Pluton ten po kilku dniach przejął od „Maćka” por. „Kmicic” – Marian Janikowski.

Tak wzmocniony „Robot” postanowił w czwartą rocznicę najazdu Niemców na Polskę uderzyć na Końskie, zająć miasto, opróżnić magazyny, dobrać się do kilku mających wyroki kapusiów, a przede wszystkim pokazać Niemcom, że nawet tam, gdzie ich kwateruje prawie dwa tysiące, nie są bezpieczni.

W nowo pozyskanych konecczanach miał doskonałych przewodników.

O zmierzchu 31 sierpnia oddziały podeszły na pozycje wyjściowe. A oto jak to uderzenie opisał na gorąco kronikarz zgrupowania, pchor. „Staszek”:

m.p. dn. 31 sierpnia 1943 r.

[...] O godzinie dziesiątej jesteśmy na lizjerze lasu. Przed sobą mamy wolną przestrzeń i niedalekie światła miasta. Co chwilę przecinają ciemność światła reflektorów. Posuwamy się b. wolno i ostrożnie. Po pewnym czasie wchodzimy w pierwsze zabudowania przedmieścia, przechodzimy przez szosę i wzdłuż jakiejś rzeczki czy kanału dochodzimy do toru. Trwa to b. długo, gdyż co chwila musimy padać, by nie złapały nas reflektory. W końcu przeskakujemy tor i kładziemy się w pobliskim kartoflisku. Tu leżymy do godziny 11-ej min. 50. Gasną wtedy wszystkie światła. Jest to sygnał do wkroczenia do miasta.

m.p. dn. 1 września 1943 r.

Szeptem wydawane rozkazy podrywają nas na nogi. Idziemy wzdłuż jakiegoś parkanu, następnie przez ogród, mijamy uśpione zabudowania i zatrzymujemy się przy mostku na dużym rowie naprzeciwko szkoły, w której stacjonuje żandarmeria. Odeszły już od nas dwa rkm-y, w której mają za zadanie utrzymanie w szachu własowców, gestapo i sonderdienstu, oraz grupa likwidacyjna. Pozostał nasz pluton, resztki drugiego i trzeciego i drużyna ckm-u. Jeszcze w lesie odłączyła od nas grupa 20 ludzi z dwoma rkm-ami i dwoma stenami pod dow. por. Kmicica¹⁵⁵. Ma ona za zadanie obstawienie żandarmerii stacjonującej na ul. 3-go Maja i feldżandarmerii na ul. Kilińskiego. Grupa ta rekwirować będzie towary z niemieckiego sklepu z materiałami.

¹⁵⁵ Nieścisle – w rzeczywistości były to dwie niezależne od siebie dziesięcioosobowe grupy: jedna pod dowództwem pchor. „Znicza” (Jana Zb. Wroniszewskiego) z II plutonu, uzbrojona w rkm, blokowała oba budynki żandarmerii przy ul. 3 Maja, druga pod dowództwem por. „Kmicica” (Marian Janikowski), również z 1 erkaemem, miała za zadanie przeprowadzenie rekwizycji towarów i sprzętu z niemieckiego sklepu Bischofa, mieszczącego się również przy ul. 3 Maja (przyp. C.Ch.).

W momencie gdy ckm zajmuje swe stanowisko, słyszymy pierwsze strzały. To rkm-y por. Kmicica ostrzeliwują żandarmerię. Kapral Wąs oddaje wtedy krótką serię do budki wartownika, następnie do samochodów ustawionych przy szkole i do samego budynku¹⁵⁶. Zostawiamy

na ubezpieczeniu ckm-u czterech ludzi z naszego plutonu, a sami wąską uliczką dochodzimy do magazynów Społem¹⁵⁷. Dostajemy się do ich wnętrza i zaczynamy wynosić towary. Trzech ludzi dostaje rozkaz sprowadzenia szofera i auta¹⁵⁸. W tym czasie całe miasto jest oświetlone przez niemieckie rakietki i wszędzie słychać strzelanie. Huk strzałów z broni maszynowej i kb przerywany jest od czasu do czasu eksplozjami granatów, wyrzucanych przez niemieckie granatniki. Całość robi wrażenie regularnej bitwy. Niemcy nie orientują się zupełnie, jaką siłą i w jakim celu zostali zaatakowani, walą ze wszystkiej posiadanej broni i wysyłają co chwila alarmowe rakietki. Żandarmeria stacjonująca w szkole, chcąc się przekonać prawdopodobnie o naszej sile, wysłała patrole, które dochodzą do magazynów Społem. Na rozkaz kom. Robota przestajemy wynosić towary i zachowujemy bezwzględną ciszę. Słyszymy wyraźnie głosy porozumiewających się ze sobą Niemców. Dopuszczamy ich możliwie jak najbliżej i witamy serią z rkm-u. Sam komendant Robot wali po nich serią z rkm-u ze swojego stena. Niemcy milkną i wycofują się natychmiast.

156 Dowódcą tej grupy, blokującej dwie kompanie Wehrmachtu, był pchor. „Bandera” – Stanisław Kołodziejczyk z II plutonu (przyp. C.Ch.).

157 To działanie spoczywało na głównej grupie uderzeniowej, operującej pod dowództwem por. „Robota”. W notatniku „Staszka” ominięty został istotny fakt, że magazyny „Społem” mieściły się w bezpośrednim sąsiedztwie (przez szerokość ulicy) więzienia, z silną obstawą niemiecką, i straż tę skutecznie blokowała przez cały czas akcji 3-osobowa obsługa rkm-u st. strz. „Wrony” – Feliksa Kuśmierczyka z III plutonu (przyp. C.Ch.).

158 Grupa dowodzona przez kpr. „Konrada” – Józefa K. Wroniszewskiego z III plutonu (przyp. C.Ch.).

Po godzinie przed Społem zajeżdża auto, na które ładujemy wyniesione przedtem towary. Przy kierownicy siada nasz szofer i zaczynamy się wycofywać w stronę Czerwonego Mostu. Po paru minutach dołącza do nas platforma załadowana materiałami zarekwirowanymi przez por. Kmicica, który ściąga w tej chwili swoje ubezpieczenie i lada chwila do nas dołączy. Ubezpieczamy się ze wszystkich stron i powoli maszerujemy. Dochodzą do nas w międzyczasie wszystkie rkm-y i grupa likwidacyjna¹⁵⁹. Słychać już tylko poszczególne serie rkm-ów niemieckich i b. rzadkie wybuchy granatów. Przechodzimy tor kolejowy i asfaltową szosą opuszczamy miasto, które wysłała za nami jeszcze kilka rakiet wreszcie milknie. Zatrzymujemy się przy Czerwonym Moście i czekamy na spóźnionych. Nie ma jeszcze między innymi ckm-u. Komendant Robot liczy się jednak z tym, że wycofał się on już wcześniej i inną drogą. Przypuszczenia te są słuszne, gdyż jak się później okazało, ckm zaciął się około godziny pierwszej. Kapral Wąs wycofał się wtedy z nim za pierwsze zabudowania, aby usunąć zacięcie. Przekonawszy się jednak o niemożliwości dokonania tego, ostrzeliwuje się z kb i próbuje dołączyć do nas. Jest to jednak niemożliwe, gdyż wąska uliczka, po której mógłby się do nas dostać, jest zajęta przez Niemców, którzy walą ze wszystkiej posiadanej broni. Nie pozostaje mu wtedy nic innego do zrobienia, jak wycofać się samodzielnie i dołączyć do nas dopiero w lesie. Około godziny drugiej wyruszamy spod Czerwonego Mostu i maszerujemy szosą w kierunku zawały zrobionej przez miejscową placówkę pod dow. Mewki. Na trzysta metrów przed nią skręcamy w las i przeladowujemy wszystko na auto, a platformę puszcza samą dalej. W parę minut potem dowiadujemy się, że przy zawale jest już żandarmeria. Słyszymy nawet uderzenia siekiery. To rozbijają słupy. Zachowujemy jak najdalej idącą ciszę i maszerujemy dalej.

159 Likwidacją dowodził kpr. „Dewajtis” – Stanisław Janiszewski z III plutonu (przyp. C. Ch.).

Robota ta udało nam się wspaniale. Pominąwszy już korzyści materialne, osiągnęliśmy wielki sukces propagandowy. W czwartą rocznicę wojny zajmujemy sobie powiatowe miasto Końskie, obsadzone przez żandarmerię i inne władze niemieckie w łącznej sile 1724 ludzi zdolnych do walki i plądrujemy w nim jak u siebie w domu. Nie tracimy przy tym ani jednego człowieka, podczas gdy po stronie niemieckiej jest ciężko ranny dow. żandarmerii, sześciu zabitych żandarmów i jeden z sonderdienstu.

Sukces odniesiony w Końskich podziałał zachęcająco na żołnierzy zgrupowania „Robota”. Również wiadomości dostarczone z miasta były bardzo optymistyczne. Nastrój przygnębienia i apatii, który ogarnął wszystkich po aresztowaniach w dniu 20 sierpnia ponad 300 ludzi, ulotnił się bezpowrotnie. Żołnierze chodzili radośni i podnieceni, a wieść o opanowaniu Końskich rozchodziła się coraz szerszym kręgiem, obrastała w legendę. Mówiono o desancie powietrznym, o oddziałach uzbrojonych w tankietki.

W tej sytuacji „Robot” postanowił iść za ciosem – uderzyć w biały dzień, jawnie, na pociąg.

Nadszedł ranek 4 września. I znów sięgamy do notatnika „Staszka”:

m.p. 4 września 1943 r.

Pobudka o godzinie piątej trzydziści, następnie śniadanie i wymarsz na robotę. Idziemy zatrzymać i obrobić w biały dzień pociąg idący z Kuluszek do Rozwadowa. Pogoda ładna, humory wspaniałe. Maszerujemy b. szybko, nie krępując się wcale ludności cywilnej. Zresztą ta i tak nie bardzo może się zorientować, kim jesteśmy, gdyż kolor naszych drelichów przypomina trochę mundury niemieckie. Około godziny dziewiętej jesteśmy na lizjerze lasu, kilometr od stacji Wólka Plebańska. Odprawa dowódców, zapoznanie nas z zadaniem i maszerujemy na stanowiska. W parę minut po ich zajęciu nadjeżdża parowóz ze składem 8 wagonów i zatrzymuje się przed wjazdowym semaforem, który po opanowaniu przez nas stacji jest zamknięty. Okrzyk – „Polacy, kłaść się na podłogę!!” i seria z rkm-u rozpoczyna akcję. Sygnałem dla rozpoczęcia ognia przez całość jest strzelanina z pociągu. Walimy ze wszystkiej broni, jaką posiadamy, do wagonów, z których padają strzały. Ogień niemiecki jest wyjątkowo silny. Oprócz pistoletów i empi słychać wyraźnie strzały z kb. Leżąc na piętnaście metrów od pociągu, pozbawieni prawie zupełnie osłony, jesteśmy wystawieni na kule niemieckie. A trzeba przyznać, że Niemcy nie żałują amunicji i walą b. ostro. Co chwila widać, jak któryś z nich tuli się mocniej do ziemi słysząc bliższy i coraz częstszy świst kul nad sobą. Trwa to kilkanaście minut. Wreszcie ogień z pociągu zaczyna cichnąć. Wtedy to pluton kom. Allana opanowuje lokomotywę, a nasz i drugi dobiega do wagonów. Część Niemców wyskakuje na drugą stronę, zostaje jednak ostrzelana przez rkm-y por. Kmicica, który jest właśnie po tamtej stronie. Pomimo iż nasi już w wagonach, strzelanina powiększa się. To kilku Niemców, którym udało się uciec z pociągu, strzela z pobliskich

krzaków. Kilku broni się w wagonach. Z tymi walczą koledzy, którzy pierwsi dostali się do wagonów.

Część naszego plutonu, z por. Rafałem na czele, po doskoczeniu do wagonów zostaje ostrzelana spod pociągu. Rozpoczynamy ogień na drugą stronę nasypu. Nie słysząc po chwili żadnych z tamtej strony strzałów, każemy leżącym w rowie Polakom odejść do lokomotywy. Gdy ci wykonali nasz rozkaz, z pobliskich krzaków pada strzał, który rani śmiertelnie por. Rafała. Odnosimy go do znajdującej się przy stacji bryczki, lecz niesiemy już trupa. Umarł w minutę po otrzymaniu kuli.

W międzyczasie wykańczamy resztę Niemców w pociągu i na rozkaz kom. Robota wycofujemy się. Mamy jednego zabitego i trzech rannych¹⁶⁰. Po stronie niemieckiej padło szesnastu Niemców i Ukraińców będących na niemieckiej służbie¹⁶¹. Zdobyliśmy osiem pistoletów i jeden kb. Propagandowo jest to największa robota, jaką dotychczas wykonaliśmy. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że Niemcy przypisują tę robotę jakiemuś potężnemu desantowi sowieckiemu lub oddziałowi, który przyszedł zza Sanu.

¹⁶⁰ Obok poległego ppor. „Rafała” śmiertelnie ranny został jeden z trzech radzieckich żołnierzy, przebywających zaledwie od 5 dni w zgrupowaniu, „Arkadij” (zwany też „Wołodia” lub „Władimir” – NN), zaś jednym z lżej rannych był celowniczy ckm „Sołtyk” – Feliks Janas (przyp. C.Ch.).

¹⁶¹ Podane tu straty wykazują zgodność z dokumentami niemieckimi. Meldunek OFK 603 z dn. 5 września mówi: „W dniu 4.9. o godz. 9.30 pod st. Wola Plebańska banda w sile 100 ludzi ostrzelała pociąg osobowy. Straty własne 15 zabitych, w tym 8 żołnierzy, i 6 ciężko rannych, w tym 1 żołnierz. Kilku żołnierzy zostało uprowadzonych”. Sprawa „uprowadzonych” tak wygląda w relacji jednego z uczestników tej bitwy (list „Bartosza” – Tadeusza Chmielowskiego do autora z dnia 7 lutego 1969 r.): „Ilość wrogów zabitych w walce była o połowę mniejsza. Reszta została wzięta do niewoli bez zamiaru pozbawienia ich życia (mieli być zwolnieni po wycofaniu się oddziału). Przy jeńcach pozostała jedna drużyna z III plut. wzmocniona przez kilku żołnierzy z II plutonu. Tymczasem jeden z feldżandarmów chwycił za stena «Szczerby», usiłując mu go wyrwać. Wówczas kpr. «Wrzos» powalił go kolbą rkm-u. Inni Niemcy, którzy poderwali się już do walki bądź ucieczki, zostali zastrzeleni. W ten sposób liczba zabitych wrogów wzrosła do 16” (przyp. C.Ch.).

Tak relacjonuje przebieg akcji zgrupowania jeden z jego żołnierzy, spisując swe obserwacje na gorąco, w czarnym buchalteryjnym brulionie. Dla niego rzeczą najważniejszą była sprawa wykonania zadania. Por. „Robot” musiał zaś wszystkie te akcje przygotować, i to przygotować w sposób jak najbardziej drobiazgowy, rozeznac teren, przeliczyć wielokroć silniejsze siły nieprzyjaciela, ustalić taktykę walki, słowem – wszystko przemyśleć, nic nie zostawiając przypadkowi.

O doskonałym przygotowaniu każdego działania ppor. „Robota” świadczą fragmenty jego meldunku o ataku na Końskie¹⁶².

¹⁶² Arch. WIH.

Wykonanie akcji: Siły npl: gestapo, policja kryminalna 24, Ordnungspolizei 75, Schupo 70, Feldgendarmierie 12, Sonderdienst 30, policja granatowa 22, Bahnschutz 10, poza miastem około 0,5 km 1000 ludzi z legionu wschodniego dowodzonego przez oficerów niemieckich, a w Baryczy 4 km od miasta 500 Ukraińców.

Siły własne: 64 ludzi.

Przebieg akcji: 23.45 została stworzona zaporą drogową na szosie ze Skarżyska do Końskich (w rejonie Koziej Woli). Tamże zostały zwalone słupy wysokiego napięcia (30 000 volt), dzięki czemu Końskie na 15 minut przed zasadniczą akcją zostało pozbawione światła. Zapora chroniona ogniem kb zabezpieczała od ewentualnego zagrożenia ze strony Skarżyska i Czarneckiej Góry. O godz. 23.55 zerwano od strony Skarżyska i Kielc łączność telefoniczną i kolejową oraz wykonano zaporę na szosie kieleckiej.

O godz. 24 wkroczyły 3 grupy do miasta obstawiając bronią maszynową budynki, w których rozmieszczony był npl. Jedna grupa obstawiła Schupo i więzienie oraz dokonywała rekwizycji Społem. Druga – niemiecki magazyn tekstylny oraz obstawiła żandarmerię i Sonderdienst. Trzecia grupa – gestapo i stację oraz likwidowała szpicli.

Opanowanie Końskich przyniosło zgrupowaniu „Robota” wiele korzyści. Poza demonstracją siły, dokonaną w czwartą rocznicę wybuchu wojny, „Robot” zdobył dla swych ludzi kompletne wyposażenie i ubrania, o czym mówi w dalszych fragmentach swego meldunku:¹⁶³

¹⁶³ Arch. WIH.

Zyski materialne z akcji: każdy żołnierz zgrupowania został zaopatrzony w płaszcz nieprzemakalny, nowe ubranie, sweter, koc, dwie koszule, jedną parę kaleson oraz parę skarpet i zielony kombinezon. Ponad stan oddziału pozostało 20 ubrań, 50 kombinezonów zielonych, 30 kombinezonów zielono-szarych, 118 koszul, 226 par rękawiczek, 27 koszul ciepłych, kilkadziesiąt metrów materiału na ubrania.

Dzięki temu jednolicie ubrany oddział „Robotowców” budził powszechną zazdrość wśród żołnierzy innych zgrupowań.

Radość z powodu powodzenia uderzenia na pociąg w Wólce Plebańskiej w dniu 4 września, akcji dokonanej w biały dzień, zmąciła śmierć jednego z najbardziej lubianych oficerów, zastępcy dowódcy zgrupowania oraz dowódcy I plutonu ppor. „Rafała”-„Mocnego”, zastrzelonego przez ukrytego w krzakach Niemca. Obydwie funkcje po poległym przejął ppor. „Dalski”, lekarz zgrupowania.

Po akcji dziesięć dni przeznaczono na odpoczynek, likwidację konfidentów oraz szkolenie w plutonach. Niemcy jednak sami przypomnieli o sobie.

13 września niespodziewanie podjechali do Smarkowa koło Końskich i podpalili zabudowania dowódcy dywersji miejscowej placówki AK – „Huragana”, zabijając go w czasie ucieczki. Kwaterujący w pobliżu „Robot” zebrał natychmiast około 40 ludzi i nadbiegłszy pod wieś, ze skraju lasu ostrzelał z karabinów maszynowych wsiadających do samochodów żandarmów. Próba wykończenia pozostałych przy życiu broniących się Niemców nie powiodła się, gdyż chłopcy musieliby przebiec ponad dwieście metrów w otwartym terenie, w który żandarmi zdążyli się już wstrzelać, zarówno z broni maszynowej, jak i granatników. Gdy „Robot” dał rozkaz wycofania się, bilans strat był następujący: Niemcy mieli dwudziestu dziewięciu zabitych i nie ustaloną dużą liczbę rannych, z oddziału zaś polegli: kpr. „Szczurba” – Bogusław Modzerowski, strz. „Gryf” – Jerzy Ciszek i kpr. „Adaś” – Adam Wolf, młody żołnierz warszawskiej dywersji. Ciężkiej rany, wykluczającej dalszy pobyt w lesie, doznał pchor. „Lin” – Janusz Skalski¹⁶⁴.

¹⁶⁴ Dokładny opis tej walki znajdzie czytelnik w opowiadaniu „Robotowcy” w mojej książce *Cztery z tysiąca*.

W tym samym dniu dotarł do „Robotowców” rozkaz „Ponurego” wzywający ich na Wykus – na koncentrację i uroczystość wręczenia sztandaru.



146. W połowie września „Ponury” ściągnął na koncentrację na Wykus luźno dotąd (po obławie lipcowej) chodzące Zgrupowania. Przybycie jednolicie umundurowanych „Robotowców” było sensacją. Ppor. „Robot” — Waldemar M. Szwiec składa meldunek Komendantowi „Ponuremu”

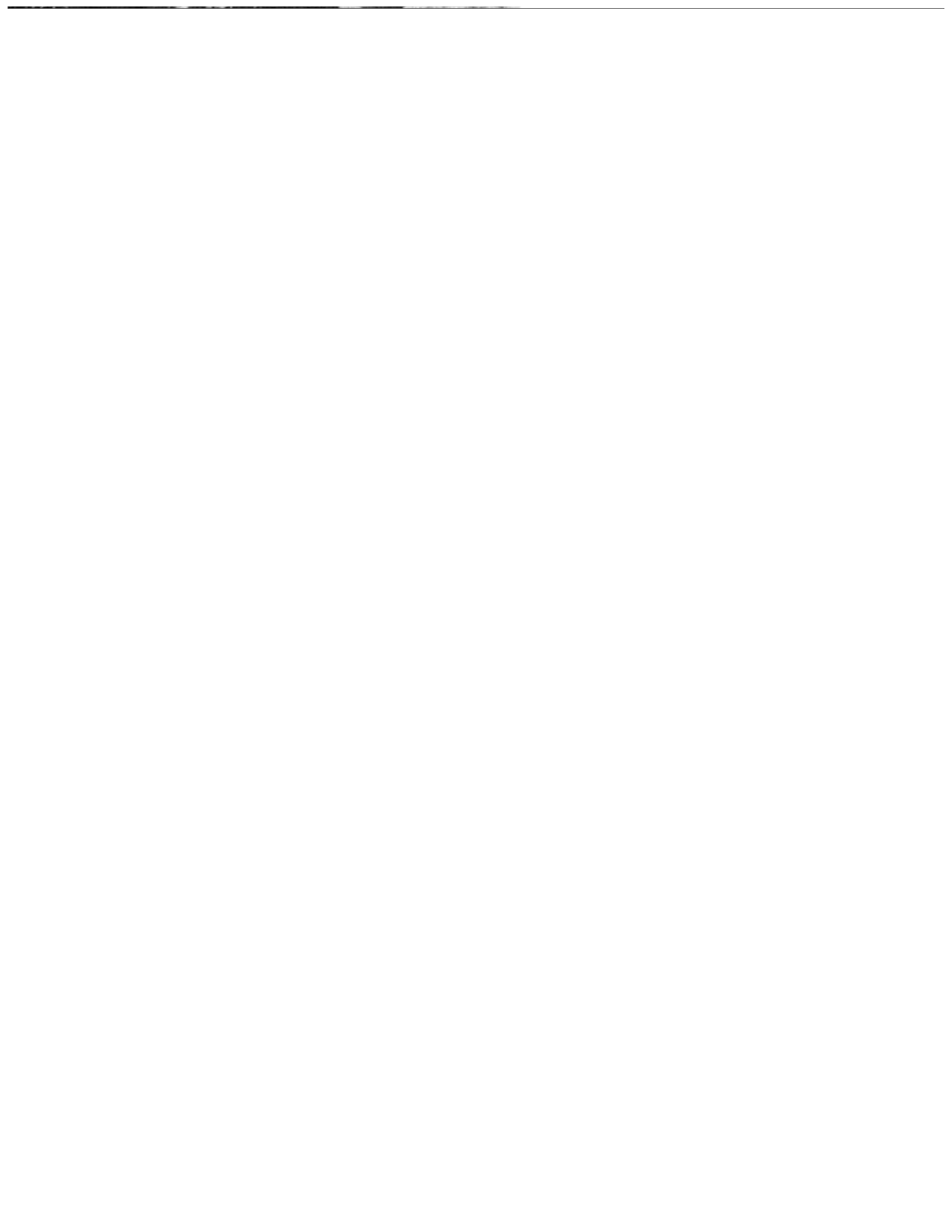
147. Najokazalej prezentuje się Pluton Warszawski w hełmach. W pierwszym szeregu od prawej: „Azor” — Piotr Downar (+1943) „Karolek” — Karol Waligórski (+1944), „Staszek” — Stanisław Wolf (+1943), „Wydra” Stanisław Underlich, „Audaniec” — Zbigniew Rudzisz, „Jacek” — Jacek Szperling (+1968), „Komar” — Jan Materek (+1944), drugi rząd od prawej: „Sokolik” — Henryk Fąfara, „Grażyna” — Grażyna Śniadecka (+1943)







148-149. „Ponurego” cieszy gromadzące się leśne wojsko. Przed frontem „Robotowców” długo rozmawia z najmłodszym żołnierzem Zgrupowań, 14-letnim „Sokolikiem” — Henrykiem Fąfara, który przed dwoma tygodniami zabił pod Wólką Plebańską swego pierwszego Niemca, a potem wśród ogólnej wesołości czesze niesforną czuprynę chłopca



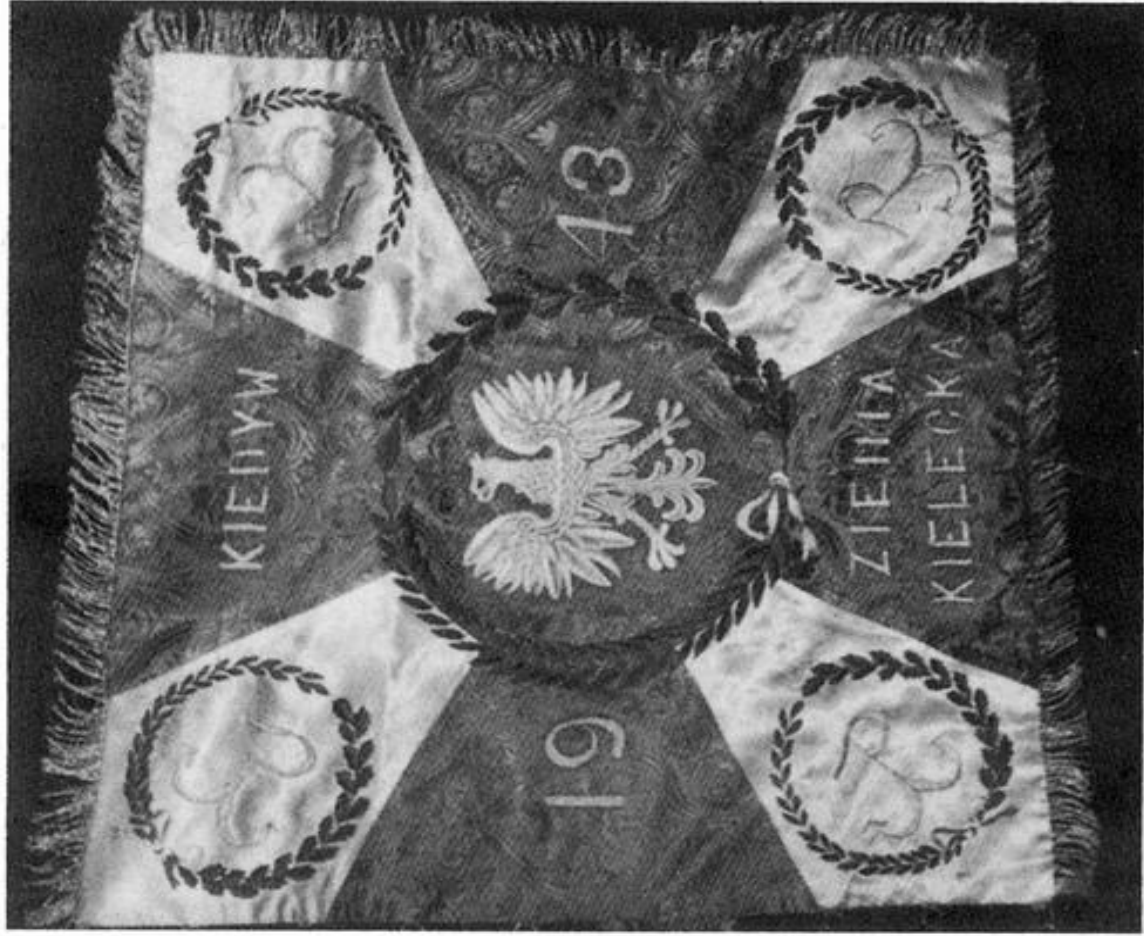
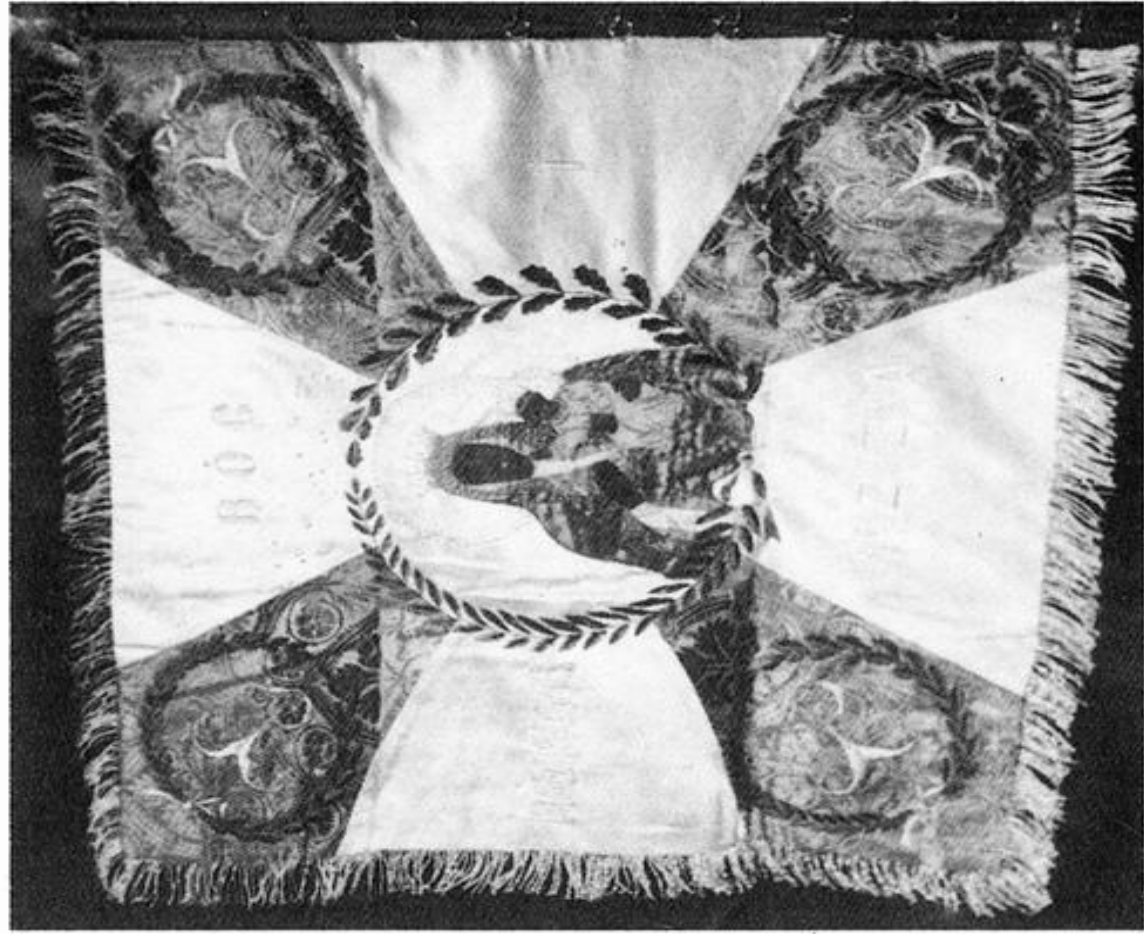


150. Uciążliwą dotąd w transportowaniu ciężką broń maszynową leśni cieśle i ślusarze umocowują na zwrotnych konnych taczankach. „Ponury” (siedzący) osobiście dogląda tych prac. Za nim brat, „Topola” — Józef Piwnik

151. Żołnierze Plutonu Warszawskiego Zgrupowania ppor. „Robota”. Od lewej: NN, „Jacek” — Jacek Szperling (+1968), „Adaś” — Adam Wolf (+1943), „Świstak” — Jerzy Sęk (+1946) „Czajek” — Witold Jurczyński (+1943)







152-153. Ufundowany przez społeczeństwo Kieleccyżny, a wykonany przez Włodzimierza Giedycha i jego rodzinę Sztandar Zgrupowań miał być wręczony żołnierzom „Ponurego” w czasie koncentracji 17 IX 1943. Niemiecka obława uniemożliwiła to i Sztandar został ukryty... na 25 lat

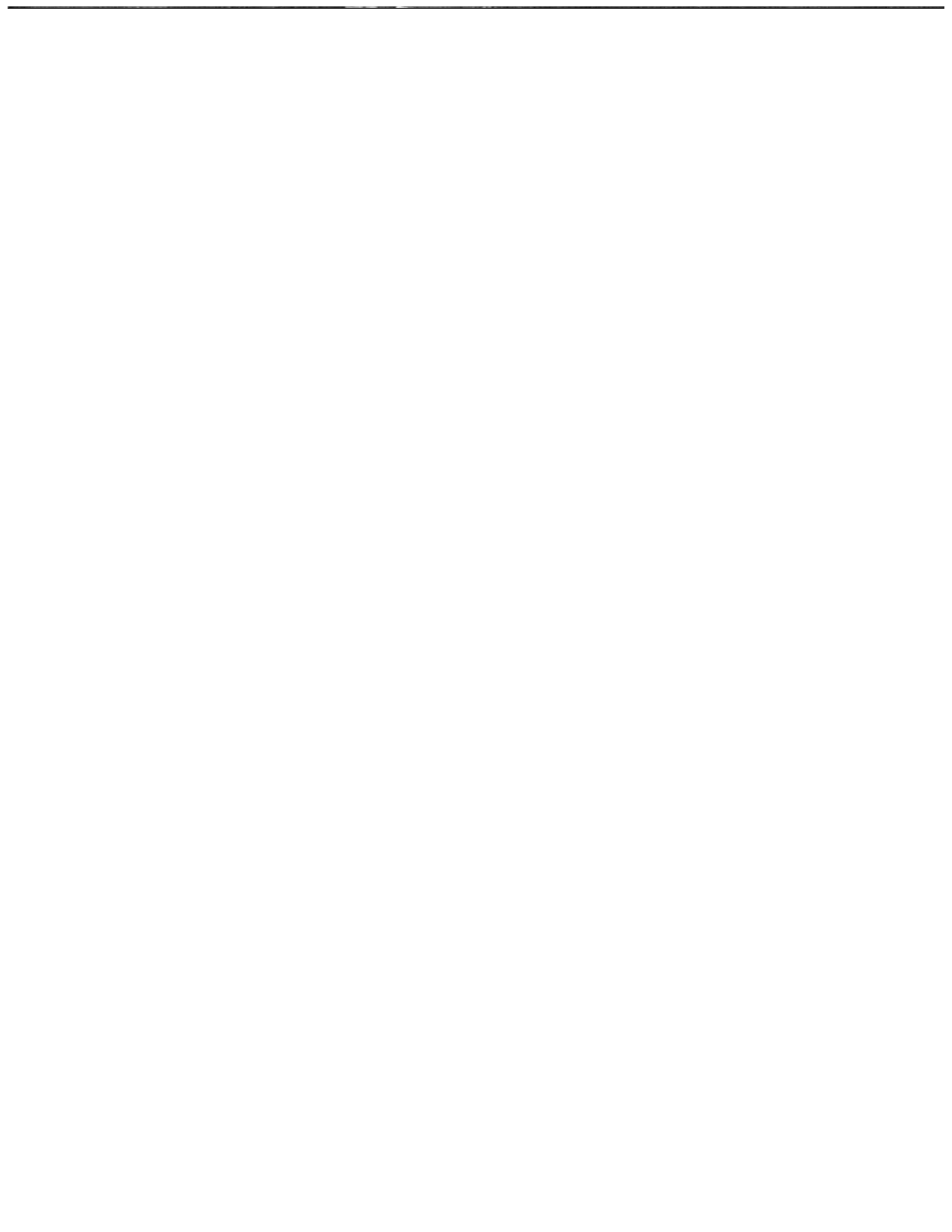


154. Odnaleziony po ćwierćwieczu sztandar, został w dniu 16 VI 1968 okazany zebranym przy ognisku na Wykusie — z okazji XXIV rocznicy śmierci „Ponurego” — żołnierzom Komendanta. Poczet sztandarowy: „Kaktus” — Edmund Rahtan (w środku) oraz dwaj żołnierze „Robota”: pchor. „Lin” — Janusz Skalski (z prawej) i pchor. „Janusz” — Janusz Munk (+1976)



155. W dziesięć lat później, 17 IX 1978, w XXXIV rocznicę bitwy na Barwinku, sztandar wraz z ziemią z pól bitewnych Zgrupowań został przez podkomendnych mjr. mjr. „Ponurego” i „Nurta” przekazany do Muzeum Jasnogórskiego





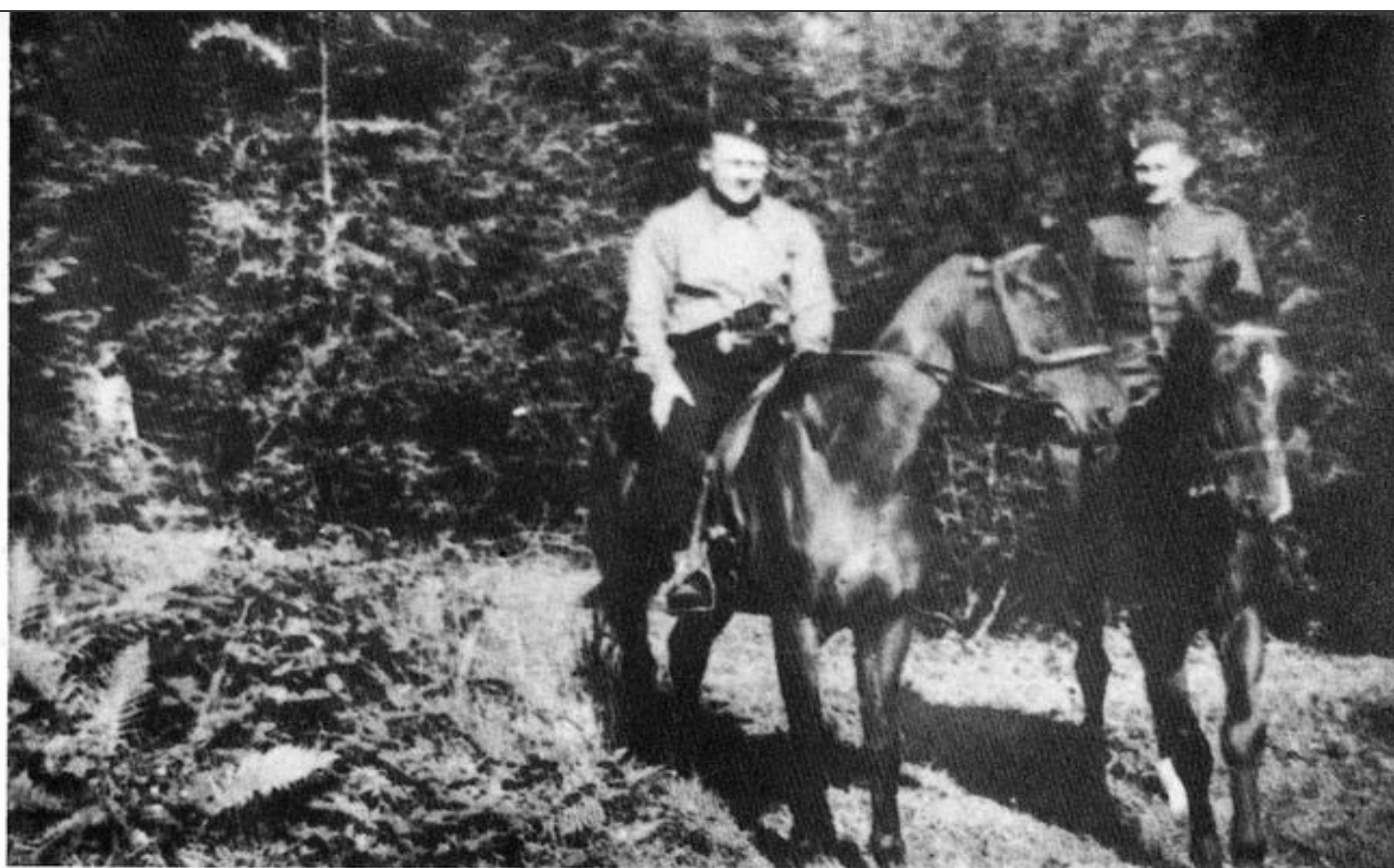


156. Partyzancka komunia św.

157. Nad grobem poległego kolegi. Wachm. „Tarzan” — Tomasz Wójcik (z lewej) i „Szafran” — Alojzy Orzechowski







158. Inspektor „Jacek” — Jan Kosiński (+1943) i ks. „Robak” — Marian Majecki na przejażdżce konnej



159. „Szczerba” — Bogusław Modzerowski, żołnierz „Robota”, zginął pod Smarukowem 13 IX 43



160. „Łotyszka” — Marta Łopacińska, łączniczka Zgrupowań z KG AK, schwytana pod Wykusem 17 IX 43 zginęła w Oświęcimiu





161. Przegląd Zgrupowań na Łysicy, gdzie „Ponury” odskoczył po bitwie na Barwinku

162. Na Łysicy nie było nawet najprymitywniejszych szałasów





Trzy minuty na Barwinku

Ponad miesięczne rozstanie „Ponurego” ze Zgrupowaniami potęgowało jego tęsknotę za żołnierzami. Aby całkowicie nie stracić kontaktu, na czele małej drużyny ochronnej doskakiwał do operujących w okolicy zgrupowań, ale była to tylko namiastka prawdziwie partyzanckiego życia. Ciągłe narastające konflikty z komendantem Okręgu, płkiem „Danielem”, i szefem sztabu, ppłkiem „Rawiczem”, powodowały to, że w cegielni Rzeszowskich nie czuł się dobrze.

Dlatego też wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, aby zarządzić koncentrację wojska i podjąć większą akcję. „Ponury” pamiętał wspaniałą nastrój po pierwszej uroczystości – 11 lipca na Wykusie – w dniu święta pułkowego i przysięgi i chciał znów zebrać swe oddziały, aby być wśród nich i podnieść ich ducha.

Tą okazją miało być teraz wręczenie Zgrupowaniom sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo Kielecczyny. Myśl, aby jego partyzanckie oddziały miały własny sztandar, nie dawała „Ponuremu” spokoju od chwili przyjazdu w Góry Świętokrzyskie. Pierwszą rozmowę na ten temat przeprowadził w początku czerwca z łącznikiem ze starachowickiej placówki AK „Romanem” – Włodzimierzem Giedychem.

Na pniu zwalonego drzewa, wśród szumu jodłowego lasu, na kartce papieru, kawałkiem ogryzionego ołówka, projektowali przyszły sztandar.

Nieżyjący dziś już Giedych tak przed prawie ćwierć wiekiem wspominał tamte dni:[165](#)

[165](#) Rozmowa z autorem na Wykusie 16 czerwca 1969 r. opublikowana w „WTK.” w tymże roku oraz w „Płomyku”, nr 19 z 10 X 1969 r.

Powiedział mi wtedy: „Chcemy mieć sztandar, sztandar leśnego wojska, ufundowany przez tych, dla których walczymy, przez kielecką ludność”.

Zrobiliśmy szkic, chciałem tam coś o „Ponurym” wstawić, ale on, jak zwykle skromny, nie zgodził się. „Wojsko jest Polski walczącej, a nie «Ponurego» – uciał dyskusję. Po powrocie z Wykusu do domu wtajemniczyłem w plan siostry. Zapaliły się bardzo. Same go haftowały. Chcieliśmy, aby to był sztandar naprawdę godzien chłopców od „Ponurego”, a o wszystko było wtedy bardzo trudno. Na przykład adamaszku nigdzie nie można było dostać. Wreszcie ktoś dał znać, że owszem jest, w Warszawie, na Kercelaku, ale nie za okupacyjne złote, lecz za dolary, i to w złocie. Znalazły się „twarde” dolary, i oto sztandar był. Zawiozłem go „Ponuremu” po raz pierwszy w lipcu na Wykus, obejrzał, podobał mu się, ale prosił, abym go wziął z powrotem, bo właśnie szykowałą się na nich oblawa[166](#).

[166](#) W wydaniu III (1981) i IV (1985) autor przedstawiając dzieje sztandaru, oparł się wyłącznie na relacji Wł. Giedycha z 16.6.69. W wydaniu V (1988) rozszerzył ją nieco, ale wobec otrzymanych wiarygodnych uwag krytycznych, obecnie powrócił do poprzedniej wersji.

Włodzimierz Giedych zabrał więc sztandar, ale zagrożony już wtedy aresztowaniem, nie chcąc trzymać drogiego depozytu u siebie w domu, przekazał go na przechowanie swemu konspiracyjnemu koledze – Jerzemu Pyrzalskiemu (pseudonim „Wojna”). Przeczucie go nie myliło. W miesiąc potem, w sierpniu 1943 roku, „Roman” aresztowany został przez gestapo.

„Ponury”, nie zrażony lipcowym niewypałem, postanowił w dwa miesiące później, w połowie września, spróbować ponownie dokonać uroczystego wręczenia. Powiadomiony o tym „Wrzos” wydobyty z ukrycia sztandar dostarczył na Wykus.

„Ponury” uzyskał zgodę płka „Daniela” na kilkudniowe przejście do lasu. Komendant Okręgu, akceptując plan koncentracji, domagał się przyrzeczenia, że potem „Ponury” wróci na melinę już w warunkach całkowicie konspiracyjnych.

Złożył więc taki przyrzeczenie i ustalił termin koncentracji – 16 września. Miejsce jej to stare obozowisko splądrowane co prawda w lipcu przez pierwszą oblawę, ale ciągle sercu drogie – Wykus. Tam też prawie od miesiąca kwaterowało zgrupowanie „Nurta”, a od dwóch tygodni także „Mariańskiego”.

Na dzień przed wyznaczonym terminem zjawiły się już na wzgórzu wszystkie zgrupowania, zmęczone walkami i ciągłym patrolowaniem, szkoleniem oraz rekwizycjami, ale rozrosło liczebnie i dobrojone w wypadach na Niemców.

Żołnierze mimo zmęczenia byli podnieceni. Wpływały na to dwie okoliczności. Pierwsza – wszak wręczenie sztandaru to uroczystość największa z tych, jakie dotąd mieli okazję przeżyć, druga – to zabobon. Bo partyzancki żołnierz był zabobonny jak indiański szaman. Wtedy, przed lipcową obławą, był sztandar w obozie i... był czerwony byk. Jeden z prowiantowych plutonów przyprowadził czerwonego byka, zarekwirowanego w którymś z majątków.

Teraz sztandar znów przyniesiono do obozu, a za taborowym wozem jednego z oddziałów „Nurta” kroczył powoli, dostojnie, czerwony byk. Czyżby...

Ale na razie był jeszcze spokój.

Zjawił się też na Wykusie nowy oddział, skierowany do Zgrupowań w ramach scalania nie podporządkowanych dotąd zbrojnych grup. Dowodził nim wachmistrz „Tarzan” – Tomasz Wójcik¹⁶⁷. Okoliczności dołączenia tego oddziału „Antoniewicz” tak przedstawia w swoich wspomnieniach:

¹⁶⁷ Oddział „Tarzana” przed podporządkowaniem „Ponuremu” chodził luzem, ale okresowo był związany z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Wbrew szerzonym po wojnie pogłoskom „Tarzan” nie odszedł w 1944 r. z powrotem do NSZ, lecz pozostał w szeregach Armii Krajowej aż do demobilizacji oddziałów 2 Dywizji.

Oddział jego liczył wówczas ponad trzydziestu partyzantów, w tym kilkunastu kawalerzystów. Wszyscy byli nieźle uzbrojeni. „Tarzan” jest dość czynny, ma za sobą szereg różnych akcji. Jego kawaleryjska fantazja naraża jednak ludność. W biały dzień na przykład potrafił podjechać bryczką pod posterunek policji w Zawichoście, by go następnie ostrzelać. Chodziły o nim różne legendy, a ludność nazywała go „Królem Zawichostu”. Działalność „Tarzana” obserwował bacznie komendant obwodu Sandomierz – Mirski, „Czarny”. Zgodnie z wytycznymi za pośrednictwem właściciela majątku Sobótka, „Poboga”, przekazał „Tarzanowi” rozkaz dołączenia do „Ponurego”. „Tarzan” rozkaz wykonuje. 15 sierpnia w drodze do „Ponurego” otrzymuje wiadomość, że aresztowani przez gestapo w Ożarowie Polacy mają być przewiezieni do Ostrowca. W zamiarze więc odbicia zasadza się z kilkunastu ludźmi w lesie pod Ożarowem przy szosie prowadzącej do Ćmielowa. W trakcie oczekiwania na akcję otrzymuje wiadomość, że aresztowani zostali przewiezieni do Opatowa. Wściekły z powodu takiego obrotu sprawy postanawia jeszcze poczekać. Może przynajmniej jakaś inna okazja się nadarzy. Miał nosa. Niebawem od strony Ożarowa nadjechały dwa osobowe samochody. Przez lornetkę rozpoznał w nich „Tarzan” niemieckie mundury. Przebrany za żandarma „Urwis” podnosi „lizak” i samochody się zatrzymują. Niemcy jednak zorientowali się, że to zasadzka. Oddają więc parę serii i wskakują do przydrożnego rowu. „Żbik” pociągnął za spust erkaemu. Następuje jednak zacięcie. Ogień pozostałych jest nieco spóźniony. Paru esesmanów zdążyło uskoczyć do rowu i prowadzą z „Tarzanem” przez szosę pojedynkę ogniową. „Tarzan” nie rezygnuje z walki. Ma przed sobą generała i za wszelką cenę chce go dostać w swoje ręce. Podbiega więc rowem w prawo, następnie przeskakuje szosę i już jest w rowie, w którym znajdują się esesmani. Bronią jednak generała do upadłego. Ginie w końcu i on sam, a „Tarzan” zdobywa 4 MP, 8 pistoletów i ważne dokumenty. Okazuje się, że zlikwidował generała por. Kurta Rennera¹⁶⁸. „Ponuremu” melduje się „Tarzan” w płaszczu generalskim.

¹⁶⁸ Poza generałem zlikwidowany został mjr dr Maeser, adiutant generała, dwóch oficerów gestapo oraz 3 esesmanów. Zdobyto przy tym cztery MP, osiem pistoletów zwykłych oraz ważne dokumenty (przyp. „Antoniewicza”). Sprawozdanie Werkkreiskommando GG za okres 21-31 VIII 1943 r. (arch. WIH) podaje, że w czasie jazdy z poligonu ostrego strzelania z Dęby do Lublina pod Ożarowem został zabity gen. por. Kurt Renner, dowódca 184 dywizji rezerwowej, a prócz niego dwóch oficerów i pięciu żołnierzy. Byli to oficerowie i żołnierze Wehrmachtu, tak że relacja „Antoniewicza” o esesmanach nie jest ścisła (przyp. C.Ch.).

Ułani „Tarzana” pod jego dowództwem tworzą zwiad konny zgrupowań, pozostali zaś – piechurzy (...) zostają wcieleni do zgrupowania nr 1 i d-cą ich zostaje przebywający u „Nurta” bez funkcji ppor. „Krótki”¹⁶⁹.

¹⁶⁹ *Próba zarysu*, s. 38-40.

Zgrupowanie „Nurta” rozrosło się najbardziej, bo prócz „Tarzana” dołączył doń ponad 50-osobowy, chodzący od kilku miesięcy samodzielnie oddział por. „Habdanka” – Jerzego Oskara Stefanowskiego.

Na uroczystość przekazania sztandaru zaproszono gości z Okręgu i z okolicznych placówek konspiracyjnych.

Tymczasem rozesłane szeroko patrole Zgrupowań przyniosły alarmujące wieści. Zabobonni triumfują – oni mieli rację. Teoria z czerwonym bykiem sprawdziła się. Niemcy wiedzą o planowanej koncentracji i szykują obławę, która za jednym zamachem ma zniszczyć oddział. Napad na gen. Rennera przyspiesza zamierzenia formacji pacyfikacyjnych.

„Ponury” jednak zbyt długo czekał na kontakt ze swymi oddziałami i zbyt wiele dni myślał o

uroczystości przekazania sztandaru, by teraz odwołać to święto. Sądził, że uda mu się wywieść Niemców w pole, rozesłał więc patrole markujące przegrupowanie wojska w lasy osieczyńskie i tam na szlaku rzekomego odskoku polecił podrzucić czapkę zabitego generała.

Ale podstęp udał się tylko połowicznie – część oddziałów żandarmerii poszła fałszywym tropem, reszta jednak nie rozluźniła łańcucha obławy wokół lasów nadleśnictwa Siekierno otaczających Wykus.

Walki uniknąć się nie da – „Ponury” zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Postanowił więc usunąć z lasu rannych. Było ich teraz dwóch. Por. „Czarce” przez dwa miesiące – od ataku na pociąg pod Michniowem – rany ramienia nie zagoiły się, słabo władał jeszcze ręką, konieczna była opieka szpitalna, zaś pchor. „Lin” od „Robota”, ranny przed czterema dniami pod Smarkowem, wymagał chirurgicznej interwencji. „Ponury” zdecydował więc wyekspediować obu do Warszawy, właśnie na koncentrację przyjechał swoim oplem „Motor” – trafiła się więc okazja. Co prawda „Ponury” chciał teraz, mając pod ręką i „Robota”, i „Matora”, wyjaśnić do końca sprawę opuszczenia obozu przez „Matora” i „Stefanowskiego” przed rzekomą obławą, ale wobec meldunków, że idą Niemcy, postanowił odłożyć to do następnej okazji.

Najważniejsze teraz to wywieźć rannych – podobno patrole wykryły jakąś lukę w obławie. Jest więc nadzieja, że może „Motor” się przemknie. Ale ten stwierdził, że jednorazowo może wziąć tylko jednego rannego. Odesłano więc „Lina” na melinę, „Czarka” zaś zajął miejsce w samochodzie. Nastąpiło krótkie męskie pożegnanie i w sinym obłoczku spalin czarny opel zniknął w przecince.

„Ponury” tymczasem zestawiał luźne meldunki patroli. Już miał obraz zarysowującej się sytuacji.

Niemcy zastosowali tu nową taktykę zaciągania obławy – południowy skraj lasów siekierzyńskich, a więc wsie Wzdół, Siekierno, Przedgarbie, Sieradowice, Bronkowice, Radkowice, Rzepin, Dąbrowa, obsadzili silnymi oddziałami pacyfikacyjnymi, uzbrojonymi w ciężką broń maszynową, umieszczoną na odpowiednich stanowiskach ziemnych.

Od strony północnej, a więc z okolic Parszowa, Wąchocka i Krzyżowej Woli – przedmieścia Starachowic – rozpoznanie meldowało gotujące się do przeczesywania lasów silne oddziały żandarmerii, własowców, jednostek SS, obliczonych łącznie na około 4 tysiące ludzi w grupie uderzeniowej, nie licząc kilku tysięcy uczestników obławy na placówkach wokół lasów.

„Ponury” zdawał sobie sprawę, że celem obławy będzie Wykus, rozpoznana przez nieprzyjaciela baza, na której po obławie lipcowej usadowiła się radiostacja Komendy Okręgu AK, chroniona przez oddział inspektora „Jacka” – Jana Kosińskiego, komendanta podobwodu z Bodzentyna. Nie ulegało wątpliwości, że Niemcy za pomocą sprzętu pelengacyjnego zlokalizowali miejsce jej pracy i mieli ją cały czas na podsłuchu.

Tuż nad ranem 16 września wysunięte na krańce lasów silne placówki partyzanckie nawiązały kontakt ogniowy z nieprzyjacielem, który z wrzawą, podniecony obfitym przydziałem wódki, wlał się wielką masą między pierwsze drzewa.

„Ponury” zarządził alarm i przerzucił trzystu ludzi na północny zachód, na odległe o trzy kilometry od Wykusu mokradła zwane Barwinkiem. Dwie duże polany, podmokły, grząski teren, doskonale znany miejscowym żołnierzom, a co najważniejsze – usunięcie się z rejonu uznanego przez nieprzyjaciela za punkt centralny uderzenia, pozwalało mu przejąć inicjatywę i łatwiej manewrować oddziałami.

W czasie gdy wojsko w celu zmylenia nieprzyjaciela robiło wielkie półkole kierując się na Barwinek, konne patrole ścigały tam czujki rozstawione gęsto na krańcach lasów. Jeden z patroli w pobliżu Starachowic natknął się na głęboko już w wklonowane w las oddziały niemieckie i tu w wyniku strzelaniny zginął kpr. „Wąsik” – Józef Kowalski.

Przez Olszowy Smug, rzeczkę Łubiankę doszli wreszcie koło południa na brzeg wielkiej polany na Barwinku. Jej południowym, wyższym skrajem biegł niewielki nasyp starej, nie używanej od lat kolejki

wąskotorowej.

Dowódcy postanowili czekać tutaj na rozwój wypadków i, jeśli przyjdzie się bić, tu przyjąć bitwę, gdyż trudno o lepsze miejsce. Żołnierza ukrytego na brzegach polany chronił ziemny nasyp, a od frontu miał doskonałe przedpole – wielkie podmokłe łąki, dające pole ostrzału o kilkusetmetrowej głębi.

Zgrupowania na wzór średniowiecznych obozów warownych sformowały wydłużoną elipsę. W środku tabor, dowództwo, służby sanitarne, boków strzegł zwiad konny, tyły zabezpieczał „Mariański” i ludzie od inspektora „Jacka”. Front, który według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie musiał przyjąć główne uderzenie Niemców, stanowiły zgrupowania „Nurta” i „Robota”, świetnie ukryte za wałem kolejki wąskotorowej. Na tym odcinku znajdowało się trzystu zbrojnych żołnierzy. Jego centrum stanowiły dwa cekaemy: przy jednym leży celowniczy „Gołąbek”, a obok niego stoi „Nurt”, przy drugim tkwi niezawodny tandem, jakim byli „Wąs” i „Sołtyk”. Oba boczne szeregi nafaszerowane dwoma elkaemami, szesnastoma erkaemami, kilkudziesięcioma pistoletami maszynowymi i dwustu karabinami.

Jest już dobrze po południu, gdy po uszy zaczajonych żołnierzy dochodzą najpierw słabe, potem coraz głośniejsze liczne głosy zbliżającej się obławy. Gdzieś od Jażwiny i Białego Kamienia idzie nieprzyjacielska falanga. Na razie nic nie widać, słychać tylko setki głosów niemieckich, rosyjskich – pokrzykiwań i przyśpiewek.

Na polanie pustka i cisza. W słońcu fioletowieje kwitnący wrzos, a kilkaset metrów dalej na drugim końcu polany w szklach oficerskich lornetek drgają nieustannym ruchem liście osik i olch.

I naraz tam właśnie między pniami odległych drzew coś mignęło. Jedna, druga, trzecia sylwetka. Dziesięć, pięćdziesiąt, sto. Już nie widać pni drzew, tylko ruchliwy tłum ludzi w mundurach feldgrau.

– Nie strzelać dotąd, aż komendant „Nurt” nie zacznie bić z cekaemu – powtarzają półgłosem usta żołnierzy za nasypem.

Niemcy i własowcy kotłują się po tamtej stronie polany w miejscu. Zgromadziło się ich pod drzewami kilkuset i wiercą teraz oczyma niski wał nasypu.

Huknął strzał jeden, drugi, potem zaterkotał krótką serią automat, ale jedyną odpowiedzią była cisza.

Dodawala ona widać odwagi nieprzyjacielowi, bo naraz wyskoczyło ich na polanę kilkunastu, a za nimi reszta. Nierówna, pokryta bajorkami polana zepchnęła ich z tyraliery w grupki, które pokrzykując, zaczęły iść ku ścianie lasu widocznej za martwym nasypem.

„Nurt” z półuśmiechem na ustach stał nieco z boku za cekaemem. Celowniczy, kpr. „Gołąbek”, obie dłonie zaciskał na tyłcach broni. Opuszkami kciuków leciutko dotykał wgłębionych guziczków spustowych.

Amunicyjni przy elkaemach i cekaemach nerwowymi ruchami gładzili parciane taśmy poprzetykane co trzy centymetry mosiężną łuską.

Ściskali zęby i patrzyli. A ława nieprzyjaciół była już nie dalej niż trzysta metrów. Już można było odróżnić szare mundury własowców. Oni to, popędzani okrzykami oficerów, szli na czele w największej masie, za nimi zieleniły się mundury żandarmerii, czasem mignęła panterka esesmana.

Dwieście metrów. Dłonie zaciśnięte na kolbach karabinów są mokre od potu.

„Nurt” daje znak dłonią i „Gołąbek” lekko opuszcza ryjek cekaemu z linii hełmów na rząd pasów – tak będzie pewniej, skuteczniej.

Sto pięćdziesiąt metrów. Już można odróżnić płaskie twarze własowców, ich skośne oczy, a obok nich czerwone – nie wiadomo, od wódki czy ze zmęczenia – oblicza żandarmów.

Sto metrów. „Nurt” bierze głęboki oddech, a „Gołąbek” pochyła głowę nad przyrządami celowniczymi i naraz jakby z determinacją wraza kciuki w spusty...

Rozjazgotał się „Gołąbkowy” cekaem serią długą jak wieczność, a celowniczy ciągnie łagodnym, posuwistym ruchem po polanie, obdarza wszystkich sprawiedliwie.

Huk jego „maszynki” wyzwala całą spotęgowaną siłę ognia ukrytą za nasypem. Lecą serie z pełnego bębna, z całego magazynu, nikt nie przerywa, aby wziąć poprawkę, tu każda seria jest celna.

Nad tryskającymi ogniem wylotami luf żołnierze widzą rozwarte w krzyku usta, ale poza jazgotem broni nie słyszą nic.

Tam, gdzie jeszcze kilka minut temu szła falanga nieprzyjacielskich żołnierzy, teraz w konwulsyjnych drgawkach kłębi się wał ludzi.

Naraz ci, którzy ocaleli z pierwszej smugi metalu, rzucają broń, hełmy i z podniesionymi rękami ruszają pędem ku nasypowi. Jest to widok tak nieoczekiwany, niespotykany, że żołnierze „Ponurego” jak na komendę przestają strzelać.

I wtedy dopiero, w tej nagłej ciszy, dochodzi ich uszu ryk straszny, zwierzęcy, charkot i rżenie.

– *Herr Jezus!*

– *Hospody pomyłuj!!*

– *Mein Gott!*

– *Ne strelajte!*

– *Uuuu!*

– *Halt! Zurück!*

– *Aaaa!*

Kilka setek biegnących jest już nie dalej niż o rzut kamieniem. Ten widok budzi w sercu litość, a jednocześnie przeraża. Co się stanie, gdy dobiegną? Czy wszyscy naprawdę rzucili broń?

Te same wątpliwości ma widać „Nurt”. Desperacko opuszcza rękę, a „Gołabek” naciska po raz drugi spust cekaemu. Ta seria, seria „Wąsa” i ożyłej w jednym momencie broni maszynowej, kosi wszystkich.

Tymczasem cześć oddziałów pacyfikacyjnych, przeważnie niemieckich, która nie kwapiła się zbyt szybko wychodzić na polanę, rozpoczęła spod lasu huraganowy ogień z broni maszynowej. Zakotłowało się wzdłuż nasypu od niemieckich serii. Huknęły, na szczęście za krótkie, pierwsze wybuchy granatników, wyrzucając na przedpolu czarne grzyby torfiastej ziemi i błota. Pod tą osłoną zaczęła spływać ku lasowi wyjąca masa skrwawionych, przerażonych żołdaków.

Teraz pośpiesznym marszem żołnierze „Ponurego” opuszczają nasyp znikając między drzewami.

Oddział po odskoku z polany na Barwinku znów zatoczył wielkie koło i zapadł w gęstym zagajniku niedaleko miejsca walki. „Ponury” słusznie przypuszczał, że będą ich szukać wszędzie, ale nie w miejscu, gdzie najtrudniej było przewidzieć ich obecność, koło barwińskich łąk.

Poszczególne zgrupowania przemknęli obok myszkujejących Niemców i skoczyli w pasmo Gór Świętokrzyskich. Spotkali się po dwóch dniach na Łysicy. Ale nie wręczony sztandar znów powędrował do konspiracyjnego schowka¹⁷⁰.

¹⁷⁰ Przeleżał tam do końca wojny. Po I wydaniu niniejszej książki, 16 VI 1969 roku, z okazji XXV rocznicy śmierci mjr „Ponurego”, na Wykusie, przy ognisku zorganizowanym przez starachowickich harcerzy, odbyło się spotkanie z jej autorem. Przybyły na nie Wł. Giedych wręczył byłym partyzantom sztandar. 17 IX 1978 roku – w XXXV rocznicę walk na Barwinku – został on złożony w Muzeum Jasnogórskim, a jego replika znajdująca się u partyzantów „Ponurego”, uczestniczy we wszystkich uroczystościach akowskich.

Tak się skończyła druga wielka obława niemiecka na Zgrupowania „Ponurego”. Jej bilans był następujący: „Ponury” stracił jednego żołnierza – kpr. „Wąsika”, zabitego w czasie patrolu. Straty niemieckie nie zostały nigdy dokładnie zbadane. W środowisku partyzanckim wymieniano stu – stu pięćdziesięciu zabitych, a nawet więcej. Były to z pewnością liczby przesadzone, ale też nie można dać wiary informacjom zawartym w niemieckich meldunkach: według meldunku DOWGG z 18 września 1943 roku na Barwinku padło czterech żołnierzy Ostlegionu, raniono zaś jednego podoficera i pięciu żołnierzy. Biorąc pod uwagę tak skoncentrowany ogień partyzancki na małą odległość, straty podane w meldunkach niemieckich zostały wyraźnie zaniżone. Pewien pogląd na wielkość strat niemieckich może

dać fakt, że Niemcy w celu wywiezienia z placu boju swych zabitych i rannych ściągnęli z okolicznych wsi ponad sześćdziesiąt furmanek.

O roli „Motora” w tej obławie wyraźnie mówi zestawienie dwóch poniżej wymienionych dokumentów:

W aktach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich znalazłem fragment raportu dotyczącego wrześniowej obławy na Wykus („Angriff gegen ZWZ Banden bei Wykus”), z którego wynika, że wstępne rozpoznanie zostało przeprowadzone przez referat skarżyskiego gestapo, na czele którego stał Scharführer SS Franz Czok. W meldunku zaś „Nurta”, skierowanym do Komendy Okręgu AK 29 I 1944 roku, tj. po likwidacji agenta, czytamy:

Od żandarmerii w Skarżysku [„Motor” – przyp. C.Ch.] otrzymał kontakt na Czeka Franka, pracownika gestapo, zamieszkałego w budynku gestapo przy ul. Kolejowej 18, oraz do oficera SD Rena, zamieszkałego przy ul. Szerokiej 7 m. 16 (dzwonić 3 razy długo). Ci dwaj byli jego szefami w pracy.

Pomijając błędy maszynowe, nie ulega wątpliwości, że Franz Czok z dokumentów Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich oraz Frank Czek z meldunku „Nurta” to ta sama osoba – szef „Motora”, przy pomocy którego zebrał materiały do uderzenia na Wykus.

Może wydawać się dziwne, że „Ponury” w niecałe dwa miesiące po obławie niemieckiej, w czasie której Niemcy spalili obozowisko Zgrupowań na Wykusie, następną koncentrację podległych oddziałów wyznaczył na tym samym miejscu. Nie można jednak decyzji tej traktować jako błędu, gdyż w tym już czasie nie było w Kieleckim kompleksu leśnego, którego by Niemcy nie przeczesali. Wykus ze względu na wielokilometrowe przestrzenie otaczających go borów był jednym z najlepszych punktów, a przy tym koncentracja w miejscu, które Zgrupowania musiały opuścić przed dwoma miesiącami, miała również znaczenie symboliczne: oddział wracał na swoje stare leże i zamierzał je utrzymać.

W czasie tej obławy Zgrupowania poniosły jeszcze jedną poważną stratę: w drodze do obozowiska na Wykusie wpadła w ręce niemieckie łączniczka Zgrupowań – „Łotyszka”¹⁷¹, wracająca z Warszawy z materiałami Komendy Głównej Armii Krajowej. Przebieg tej wsypy był następujący¹⁷²: 17 września rano w Skarżysku-Kamiennej z warszawskiego pociągu wysiadła trzyosobowa grupa: „Łotyszka”, kpr. pchor. „Gandhi” i pchor. „Kosa”, obaj z oddziału por. „Habdanka”, także wracający z Warszawy. „Gandhi” zbagatelizował otrzymany w Warszawie rozkaz nakazujący przed wejściem w las sprawdzenie stanu bezpieczeństwa w skrzynce łączności w Skarżysku. Na skraju lasu jednak, nie mając pewności, czy oddziały nie zmieniły swego mp, postanowił strzałami oddanymi w górę ściągnąć partyzancki patrol, który by zaprowadził ich od obozu. Kanonada odbyła się na oczach Niemców z obławy, doskonale ukrytych w odległości kilkunastu metrów. Zamiast partyzanckiego patrolu, trójka została ogarnięta przez żandarmów. Obaj chłopcy przy niewiarygodnym wprost szczęściu zdołali uciec – „Łotyszka” zaś została ujęta. Chłopcy drogą okrężną przez Suchedniów dotarli do zgrupowania „Nurta” już po obławie. „Łotyszkę” tymczasem¹⁷³ przewieziono do gestapo w Radomiu, gdzie (oraz w radomskim więzieniu) siedziała przez okres śledztwa, to jest do grudnia 1943 roku. Do niczego się nie przyznała, nic obciążającego przy niej nie znaleziono (korespondencję z KG miała sprytnie zaszytą w torebce i to uszło uwagi gestapowców), papiery miała oryginalne, tzw. mocne, ale okoliczności aresztowania były tak jednoznaczne, że gestapo dało jej do wyboru albo współpracę, albo obóz. Wywieziona do Oświęcimia w okresie Bożego Narodzenia, zmarła 27 stycznia 1944 roku na „pęcherzycę” i tyfus¹⁷⁴.

¹⁷¹ „Łotyszka” – Halina Łopacińska z d. Burbo, ur. 1908 r. w Rydze, absolwentka Wydz. Prawa USB w Wilnie. Od lata 1942 r. w służbie V Odcinka „Wachlarza” w okolicach Turmont i Brasławia. Od jesieni 1942 r. w łączności KG AK w Warszawie. Od maja 1943 r. – oddelegowana w Góry Świętokrzyskie.

¹⁷² Opr. na podstawie relacji napisanej w dn. 1 III 1970 r. przez pchor. „Kosę” – Wojciecha Olbrychta oraz rozmowy przeprowadzonej przez autora z wyżej wymienionym w Toronto 19 XII 1975 r.

¹⁷³ Opr. na podstawie listów siostry „Łotyszki” – p. J. Godlewskiej do autora.

¹⁷⁴ W archiwum autora znajduje się także relacja mówiąca o innych okolicznościach śmierci „Łotyszki”. Pani Halina Rybińska, córka granatowego policjanta Józefa Wojtała stacjonującego w Wąchocku we wrześniu 1943, słyszała od ojca, że „Łotyszka” zaraz po aresztowaniu pod lasem została przywieziona na posterunek

policji przez gestapo gdzie poddawano ją okrutnemu badaniu starając się wydobyć wiadomości dotyczące dwóch mężczyzn, którzy byli razem z nią, strzelali a następnie uciekli. W czasie tortur „Łotyszka” miała zażyć truciznę i mimo natychmiastowej interwencji lekarza w czasie przewożenia samochodem do Starachowic zmarła. Wobec gestapowców legitymowała się dowodem łotewskim jako mieszkanka Rygi szukająca tu zaginionego męża.

Aresztowanie „Łotyszki” wzmocniło pozycję „Matora”, który dzięki samochodowi stał się teraz jedynym i niezastąpionym ogniwiem łączącym „Ponurego” z Komendą Okręgu i Komendą Główną.

Przebieg przygotowań niemieckich do obławy oraz brak jakichkolwiek o tym sygnałów do Zgrupowań raz jeszcze udowodniły, że oddziały leśne są zdane na własne siły. Brak możliwości oparcia na aparacie wywiadowczym i alarmowym Okręgu stał się jednym z głównych powodów sporu pomiędzy „Ponurem” a płkiem „Danielem”. W kilka miesięcy później „Ponury” na podstawie tych przykrych doświadczeń postawi komendantowi Okręgu w raporcie z dnia 3 stycznia 1944 roku zarzut:

4) zgrupowania partyzanckie przeszły ponad 15 obław; o żadnej z nadchodzących obław i czynionych przez npla przygotowaniach nie byłem na czas alarmowany przez bazy informacyjno-wywiadowcze Okręgu.

W obławie dn. 17 IX 43 r., która trwała dwie doby i jeden dzień, npl potrafił skoncentrować 12-15 tys. ¹⁷⁵ wojska i żandarmerii, wypieć chleb dla skoncentrowanych, przygotować wódkę i przejść przez punkt przejściowy Starachowice-Skarżysko – m.p. Komendanta Okręgu z jego sztabem – o czym zostałem powiadomiony dopiero w 2 dni po zakończonej obławie meldunkiem K-ndta Okr. ze szkicem o koncentracji npla. W innych wypadkach nie dochodziły do mnie nawet spóźnione meldunki informacyjno-wywiadowcze.

¹⁷⁵ Dane mocno przesadzone, zaczerpnięte przez „Ponurego” zapewne ze spóźnionych meldunków wywiadu Komendy Okręgu (przyp. C.Ch.).

Trudno zarzucić stwierdzeniom „Ponurego” niezgodność z faktami, gdyż oskarżenie podpierają również inne dokumenty. Jeżeli zaś przyjmiemy, że to, co pisał, jest prawdą, to albo rzeczywiście zachodzi tu przypadek złej woli o nieobliczalnych wprost następstwach, albo też – co wydaje się jednak bardziej prawdopodobne – były to objawy niewiarygodnego braku współpracy między jednostkami jednej i tej samej organizacji.

Do takiej oceny skłania również opinia, jaką wystawił komórkom wywiadowczym i bezpieczeństwa Okręgu adwersarz „Ponurego”, „Stefanowski” – Albin Hop, który w swej notatce tak przedstawił ich działanie:

Oddział II-gi przyjął na siebie rolę „Pata”, tzn. informatora wydarzeń dokonanych, i to po upływie dużego czasu. O tym, aby zdobywać informacje o akcjach zamierzonych przez npla i w czas je przekazywać zagrożonym czynnikom, nie było nigdy mowy. Istniejące placówki bezpieczeństwa nie znały swoich zadań, o metodach pracy nikt nie miał pojęcia.

Tego rodzaju ocena nie może obejmować komórek wywiadu ofensywnego Okręgu kieleckiego, które należały do przodujących w aparacie Armii Krajowej. Właśnie kielecki wywiad miał na swym koncie wiele osiągnięć, żeby wymienić tylko rozszyfrowanie już w roku 1940 przygotowań czynionych przez Niemców do operacji na froncie afrykańskim, a także od lata 1944 roku stałe informacje dostarczane stronie radzieckiej o rozlokowaniu niemieckich dywizji wokół przyczółka baranowskiego. Jeżeli zaś chodzi o wywiad defensywny – komórki kontrwywiadowcze oraz system bezpieczeństwa i sieć alarmową – to niestety opinie „Ponurego” i „Stefanowskiego” są nie tylko zgodne ze sobą, ale także ze stanem rzeczywistym.

W młynie Cioka

Zaraz po 1 października inż. „Korebko” otrzymał wiadomość od „Ponurego”, że zapowiedziane od co najmniej miesiąca spotkanie z szefem Kedywu KG AK, płkiem „Nilem”, odbędzie się lada dzień. Miało to dla „Korebki” bardzo istotne znaczenie, gdyż wobec uzyskanej już wcześniej zgodności poglądów na temat rozszerzenia wytwarzania broni na inne zakłady tego rodzaju, teraz, na tym spotkaniu, miano podjąć konkretne decyzje.

Wreszcie 6 października wieczorem „Bazylewicz” podał inżynierowi miejsce i datę spotkania:

– Jutro, w młynie Cioka, o jedenastej.

Nazajutrz dzień był ciepły, prawie letni, dlatego też „Korebko” postanowił sześć kilometrów dzielące Suchedniów od osiedla Wołów przejechać na rowerze.

Z dużą przyjemnością pedałował warszawską szosą, bez zsiadania wwindował się na Górę Baranowską, a gdy w dali zobaczył rozciągniętą zabudowę Skarżyska, skręcił za Rejowem w drogę prowadzącą na Końskie.

O ładne kilkanaście minut wyprzedził ustalony czas i zanosilo się na to, że przyjedzie do młyna grubo przed południem. Mógł sobie więc pozwolić na spacerok poboczem drogi, po jej zalesionej stronie.

Do młyna mógł trafić nawet w nocy. Leżący o czterysta metrów od szosy, rozsiadł się okrakiem wśród lasów nad jarem, w którym płynęła Kamienna. Młyn to była nazwa z przeszłości. Od czterech lat, odkąd w 1939 roku powódź zdemolowała jaz i urządzenia, zapadał się co rok głębiej, moczył w przepływającej wodzie swe nieruchome, pełne dziur i wyrw drewniane koło napędowe. Właściciel tego martwego przybytku, Władysław Ciok, gryzł się tym, że brak mu pieniędzy na remont młyna, ale rozumiał, że przyszły inne czasy, i chętnie odstępował rozpadającą się budowlę leśnym chłopcom na konspiracyjne kontakty.

Nagle tam, gdzie należało skręcić z drogi koneckiej w ścieżkę prowadzącą ku młynowi, „Korebko” zobaczył stojący samochód. Ostrożnie więc, gotów do natychmiastowego wycofania się, posuwał się naprzód i dopiero z bliska rozpoznał czarnego opla, którym jeździł nowy łącznik „Ponurego”. Bez obaw więc skręcił ku młynowi; teraz tylko należało przejść mały las, zwany Bzinek-Bór, i już nieco w dole, nad rzeką, stał młyn, za nim zaś zaczynały się głębokie lasy osieczyńskie.

Młyn był jakby pusty, ale bystre oko „Korebki” wnet wyszukało między wyszczerbionymi łopatkami koła napędowego żołnierza z karabinem.

W kuchni, która teraz została zamieniona na coś w rodzaju poczekalni, było gwarno. Rej wodziła tu „Poranek” – Józefa Wasilewska, siostra „Osetą”, która decydowała, kto ma wejść do pokoju, kto jeszcze czekać. Na wyrku pod ścianą leżał „Broniek”, który czasowo przebywając w lesie nabawił się obustronnego zapalenia płuc. Był tu i syn nieobecnego gospodarza – Tadeusz Ciok, a także część żołnierzy z drużyny ochronnej „Ponurego”.

Zjawił się także ppor. B., co „Antoniewicz” w swej pracy komentuje następująco:

Nieoczekiwanie zjawił się również u Cioka ppor. B., nie mający już ze zgrupowaniem nic wspólnego. Czy miał on stanowić odwody władz Okręgu w rozgrywkach z „Ponurym”, czy chciał wykorzystać i poznać „Nila”, nie wiadomo. W odprawie oczywiście udziału nie bierze [176](#).

[176](#) *Próba zarysu*, s. 50.

W czasie kilkunastu minut oczekiwania „Korebko” zorientował się, że jest tu także łącznik „Ponurego”, ppor. „Motor”, który niedawno przywiózł pocztę i pieniądze.

Wreszcie przyszła kolej na inżyniera. W drugim pokoju pełno dymu – nic dziwnego, odprawa trwała od wczesnego rana, a już przecież południe. Brali w niej udział płk „Nil”, płk „Daniel”, ppłk „Rawicz” [177](#), por. „Ponury”, ppor. „Antoniewicz”.

177 Obecność na odprawie ppłka „Rawicza” jest sporna. Jedni z jej uczestników (m.in. „Antoniewicz”) utrzymują, że szef sztabu był w młynie Cioka, inni zaś twierdzą, że nie zdążył tam dojść (przyp. C.Ch).

„Nil” we właściwy sobie sposób szybko załatwia sprawy produkcji broni, akceptuje propozycje inżyniera. „Korebko” zna naprężone stosunki między „Ponurym” i Komendą Okręgu, dziwi się więc, że sprawy idą tak gładko, przyjemnie, kulturalnie. Nie wie zapewne, że godzinę przedtem „Ponury” złożył na ręce płka „Nila” prośbę o zwolnienie go z funkcji szefa Kedywu okręgowego, a pozostawienie tylko na dowództwie Zgrupowań, że „Nil” to zaakceptował i w ten sposób usunięty został ważny, ale tylko jeden z punktów zapalnych.

Inżynier szybko załatwia swoje sprawy i wnet ustępuje w pokoju miejsca. W kuchni zastaje również „Bazylewicz”, który demonstruje wykonany przez siebie prototyp pistoletu maszynowego.

„Korebko” spieszy się, gdyż chce jeszcze wpaść do inż. Zielezińskiego, mieszkającego w tej okolicy, przy koneckiej szosie, tuż nad torami kolejowymi – musi mieć alibi dla odwiedzin tych stron.

Wychodzi więc z bzińskiego lasu na szosę i pedałuje do Zielezińskiego. Gospodarza co prawda nie ma w domu, ale jego żona zachęca „Korebkę”, aby usiadł i zaczekał. I wtedy właśnie – gdy „Korebko” stoi w progu medytując, czy czekać, czy wracać – od strony młyna zajazgotały najpierw wysokie, szybkie, jakby cichsze serie automatów i zaraz potem zaginęły w kanonadzie cekaemów i działek.

*

Po wyjściu „Korebki” narada właściwie się skończyła. Płk „Daniel” i ppłk „Rawicz” musieli natychmiast pojechać do Skarżyska. „Nil” z „Ponurym” pozostali, aby omówić sprawy Zgrupowań. Szef Kedywu chciał jeszcze po południu odwiedzić zgrupowanie „Nurta” w celu przeprowadzenia inspekcji.

Wkrótce po wyjściu „Korebki” u „Ponurego” zameldował się „Bazylewicz” prosząc swego komendanta o przyjęcie wykonanego w zakładach suchedniowskich prototypu nowego pistoletu maszynowego. „Ponury”, zażenowany nieco tym prezentem, z zainteresowaniem ogląda pistolet – wydaje się być udany i ma ładny kształt.

„Bazylewicz” tłumaczy, na czym polega nowe rozwiązanie. „Ponurego” otacza wianuszek ludzi, którzy też chcą widzieć nowy model – każdego to ciekawi, przecież to broń dla polskiego żołnierza wykonana w kraju.

Ktoś naciąga sprężynę, inny naciska spust i naraz...

Widocznie uchwyt zamka był za słaby, gdyż łamie się, zostaje w dłoni przerażonego „Bazylewicza”, a cała seria, pełen magazyn, grzęźnie wśród huk i sypiącego się tynku w suficie. W wypełnionej białym pyłem kuchni panuje śmiertelna cisza...

Nagle od lasu, tam gdzie przycupnął między drzewami pchor. „Marian” z erkaemistą „Kolcikiem” i kpr. „Jędrkiem” z drużyny ochronnej, łomocą krótkie, nerwowe serie. To steny i partyzancki kaem. Odpowiadają im natychmiast długie litanie cekaemów.

Do młyna wpada zziajany „Szyling”:

– Niemcy, jesteście otoczeni!

Walą już cekaemy od strony szosy. Tam gdzie jeszcze niedawno stał samochód „Motora”, zeskakują z ciężarówek żandarmi. Tyraliera tu długa, półkolista, gęsta.

Z drugiej strony, gdzie lasy osieczyńskie, wyją również wysokim tembrem silniki; na leśnej dróżce ugrzęzły opancerzone transportery, a zeskakujących żandarmów „Marian” i jego chłopcy przydusili seriami do ziemi. Dzięki temu nie uda się Niemcom zamknąć łańcucha obławy.

Uczestnicy narady w otoczeniu pozostałych ludzi z drużyny ochronnej wypadają z młyna, po którym łomocą długie serie, tak że ze ścian lecą już wióry.

Schyleni, jarem, wzdłuż wysokiego brzegu rzeczki przemykają kierując się wycuciem tam, gdzie jeszcze nie słychać strzałów. Gonią ich wściekłe serie, przerywane tępymi wybuchami min z

granatników. Jeden z pocisków trafia w młyn – huk, trzask pękających murów i w jednej chwili budynek staje w ogniu.

„Antoniewicz”, „Gal” i „Szyling” przecierają teraz drogę. Wspinają się na stromy stok, ku osiedlu Wołów, a za nimi „Nil”, „Ponury”, „Poranek” i reszta. Teraz przeskok przez grzbiet wzgórza i byle jak najszybciej do lasu. Wpadają między pierwsze drzewa. Jeszcze trochę i można zwolnić. Są uratowani. W szybkim marszu sprawdzają stan. Brakuje tylko „Jędrka” – Andrzeja Paska. On – jeden z najstarszych stażem partyzantów „Ponurego”, osłaniający ogniem automatu innych do końca – jest jedyną ofiarą tej na szczęście nieudanej obławy.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia „Nil” udaje się na inspekcję zgrupowania por. „Nurta”.

W czasie tej inspekcji miało miejsce nieoczekiwane spotkanie. Bo oto gdy płk „Nil” skończył przegląd wyciągniętych na wykusowej polanie dwuszeregów zgrupowania „Nurta”, wystąpił kpr. „Sierpień” – Zbigniew Duś i zameldowawszy się swemu komendantowi, poprosił o zezwolenie na powitanie swego dowódcy. I tak oto przy obopólnej radości nastąpiło pełne serdeczności spotkanie byłych żołnierzy wrześniowych z jednego pułku – 51 pułku piechoty – stacjonującego w Brzeżanach.

Dowódcą tego pułku był właśnie płk dypl. August Emil Fieldor, późniejszy gen. „Nil”, a jednym z podoficerów Zbigniew Duś, późniejszy kpr. „Sierpień”¹⁷⁸.

¹⁷⁸ Zbigniew Duś zginął 29 VI 1944 r. na polach pod Opatowem w czasie odskoku po udanym wykonaniu wyroku na szefie opatowskiego gestapo Schultz. Jego grób znajduje się na cmentarzu w rodzinnym miasteczku – w Słupi Nowej.

Wraz z „Nilem” udajemy się jeszcze w nocy w lasy skierzyńskie, gdzie odszukujemy „Nurta”. Na jego m.p. „Nil” zapoznaje się z kłopotami „Ponurego” i warunkami bytowania zgrupowania. Obiecuje pomoc w zakresie dostaw materiałów wybuchowych oraz zaopatrzenie na zimę w koce, ciepłą odzież i buty.

Wykorzystując okazję por. B. przedstawia swoją sprawę i zwraca się z prośbą o przeniesienie go na teren Warszawy. „Nil” przychyliła się do prośby i obiecuje wykorzystać go w Warszawie.

Pożegnanie z „Nilem” jest serdeczne. Oceniał trudy partyzanckiego życia, a ponadto przeżył przygodę i wyszedł z niej cało¹⁷⁹.

¹⁷⁹ *Próba zarysu*, s. 53.

Tak oto skończyła się próba schwywania przez żandarmerię szefa Kedywu Komendy Głównej AK, jednego z najbardziej poszukiwanych oficerów podziemia. Początkowo nie dopatrywano się zdrady i sądzono, że nalot ten był przypadkowy, że awaria pistoletu „Bazylewicza” ściągnęła przejeżdżających po niedalekiej szosie Niemców.

Tymczasem działania żandarmerii było zawczasu przygotowane, tyle że nieudane na skutek pośpiechu. Niemcy, widocznie powiadomieni przez „Matora” w ostatniej chwili, nie zdołali zatoczyć szerszego kręgu obławy. Dużą rolę odegrała tu przytomność umysłu pchor. „Mariana”, który nie dopuścił do wyładowania żandarmów z transporterów i zamknięcia pierścienia.

Rola „Matora” była jednoznaczna. Mówi o tym por. „Nurt” w swym meldunku z dnia 29 stycznia 1944 roku, pisany w nocy po wykonaniu wyroku na agencie:

„Motor” przyznał się, że spowodował następujące wsypy: obławę na Cioka...

Meldunek „Nurta” został ujawniony kilkanaście lat po wojnie i nie jest zapewne szeroko znany.

Rozrachunek w Wielkiej Wsi

Pod koniec pierwszej dekady października zgrupowanie ppor. „Robota”, zgonione licznymi wypadami, zaszyło się znów w lasy niekłańskie pod Wielką Wsią, niedaleko Smarkowa w powiecie koneckim. Mimo iż „Robota” nosiło na nowe akcje, ludziom trzeba było wytchnienia. Poodparzane nogi, zdarte buty, a nade wszystko niedostateczne zaopatrzenie w żywność nakazywały uzupełnić zapasy, odkarmić się i wykurować.

Lasy otaczające Wielką Wieś były raczej skromne. Podmokły teren porastały rachityczne olchy, powyginane sosny. Wśród nich, na kępie suchego gruntu, rozbili obozowisko. Od lipca, a więc od czasu spalenia szałasów Zgrupowań na Wykusie, żołnierze nie budowali solidniejszych schronów. Trochę ściętych gałęzi i suchy mech oraz koc dawały względną miękkość i ochronę przed chłodem.

Przez rzadki lasek prześwitywały pierwsze chałupy wsi.

Chociaż „Robot” zatrzymał się tu z oddziałem na odpoczynek, w sumie w obozie nie zostało więcej niż dwudziestu pięciu żołnierzy; z powodu ciągłej penetracji terenu oraz braku żywności kazał rozesłać liczne patrole na bliższe i dalsze rozeznanie oraz na rekwizycję prowiantu do niemieckich liegenschaftów.

9 czy też 10 października porucznik zachorował i zaszła konieczność zapewnienia mu warunków do wykurowania się, dlatego też chętnie przystano na propozycję miejscowego łącznika, Franciszka Rurarza, przeniesienia się do jego chaty we wsi.

Następnego dnia pod wieczór strz. „Kajtek” z jeszcze jednym żołnierzem wysłany został przez dowodzącego obozem leśnym ppor. „Dalskiego” do wsi z prowiantem dla komendanta. Wychodzili właśnie z chałupy, gdy zza zakrętu wyskoczył naraz czarny samochód z przyciemnionymi światłami.

Był to widok tak niespodziewany i niecodzienny, że reakcja obu żołnierzy była błyskawiczna – zerwali z pleców automaty i posłali nerwowe serie ku hamującemu z piskiem wozowi. Ktoś otworzył drzwiczki, padł na ziemię i dopiero gdy usłyszeli klnącego ppor. „Matora”, skonfundowani i przestraszeni, czy przypadkiem serie nie były celne, pomogli wstać nie mniej od nich przerażonemu oficerowi.

Porucznik przywiózł podobno pieniądze i jakieś rozkazy, ale ich najbardziej interesowały paczki, które pomagali wyładowywać, a w których spodziewali się znaleźć dawno nie widziane papierosy.

Fakt, że nie spostrzeżony samochód dojechał aż pod samą kwaterę chorego dowódcy, był sygnałem ostrzegawczym, z którego dzielny, ale i ostrożny „Robot” wyciągnął wnet wnioski: gdy „Kajtek” z kolegą meldował swoje odejście do lasu, otrzymał polecenie zgłoszenia ppor. „Dalskiemu”, że „Robot” prosi o osłonę.

Zgodnie z tym rozkazem jeszcze tej samej nocy ku Wielkiej Wsi pomaszerowali pod komendą kwatermistrza ppor. „Dobosza” wyznaczeni żołnierze pierwszej drużyny – „Grażyna”, „Azor”, „Staszek”, „Jasiek”, ranny w rękę „Lis” i „Teklinowski” zabierając ze sobą erkaem browning, dwa steny i kilka kb.

Ppor. „Dalski” i dwóch podchorążaków dbali jedynie o to, aby broń pozostałej w lesie grupy była czyszczona, by nie zaniedbano wystawienia ubezpieczeń, pozostały czas zaś przeznaczono na reperację obuwia i odzieży oraz kurowanie obtartych nóg.

Rano, jeszcze przed świtem i pobudką, chłopcy na warcie widzieli zza drzew, jak wyjechał ze wsi czarny samochód „Matora” i migając przyciemnionymi światłami zjechał w dół w stronę mostku.

Cały dzień 13 października przeszedł na obozowych zajęciach.

Po skromniutkiej kolacji, na którą jedli rozgotowane kartofle, położyli się spać. Wieczór był bardzo chłodny, nie zdejmowali więc ubrań. Niektórzy żołnierze kładli się po dwóch, aby przykryć się złożonymi

kocami.

Jeszcze przed zaśnięciem przyszedł do nich łącznik ze wsi.

– Komendant szybko wyzdrowieje. Ten oficer przywiózł wódy, to go rozgrzeje. Przywiózł i papierosy, komendant przysyła wam także.

Rzucił między posłania kilka paczek „machorkowych”. Palili je chciwie – były to od dłuższego czasu pierwsze uczciwe papierosy. Dziękując w duszy „Motorowi”, że ich odnalazł w tej głuszy, palili je przed snem, zostawiając krótkie pety na rano.

Gdy ppor. „Dalskiego” obudził dyżurny podoficer kpr. „Konrad” Józef Wroniszewski, usłyszeli ciężki warkot silników. Było jeszcze całkiem ciemno, konie rżały i rzucały łbami. Po kilku minutach można już było nawet wyłowić z huk zgrzyt gąsienic. Nie było czasu do stracenia. „Dalski” natychmiast zarządził cichy alarm. Żołnierze w mig oprzytomnieli z twardego snu, zrolowali koce, zaprzęgli konie i już stali pod drzewami z bronią gotową do strzału.

Huk narastał tak wielki, jakby od mostku ku wsi sunęła kolumna pancerna. Słuchali przerażeni. Naraz rozsunęły się krzaki i w ciemności odszukał „Dalskiego” żołnierz czujki.

– Panie poruczniku, wozy pancerne jadą do wsi.

Nim „Dalski” zdążył otworzyć usta, by wydać rozkazy dla patroli, zamigotało i od wsi zagrała seria partyzanckiego erkaemu.

Od mostku usłyszeli kilkanaście kaemów. Świetlne paciorki z wielu miejsc pędziły teraz koncentrycznie tam, gdzie przed chwilą odezwał się samotny erkaem.

Huk działek, granatników, suche, wysokie trzaski strzałów karabinowych i automatów mieszały się z długimi seriami kaemów.

– Komendant zaatakowany! Oddział do duktu i tyralierą do wsi, biegiem! – padła komenda „Dalskiego”.

Rzucili się pędem kierując na prawo, by ominąć bajoro dzielące ich od zabudowań. Po kilkunastu metrach żołnierskie bury zadudniły po polnej drodze. Ze środka wsi dobiegł ich lament i krzyk głosów kobiecych, dziecięcych, ryk krów i kwiczenie koni.

Na tle szarzejącego na wschodzie nieba zaczerniały jakieś zbliżające się sylwetki. Padli więc przy rowie, szczękając zamkami broni. Usłyszeli to widać biegnący, bo jeden z nich łapiąc spazmatycznie oddech, wyrzeźbił:

– Nie strzelać! Tu swoi! Nie strzelać! Prowadźcie do dowódcy!

Mimo mroku poznano „Lisa” z ręką na temblaku i amunicyjnego cekaemu – „Teklinowskiego”. Nie było czasu na pytania. Teraz wszyscy biegli razem z powrotem, ku lasowi.

Gdy pod czarną ścianą boru żołnierze postawili przed oficerami obu gońców, „Lis” wycharczał:

– Komendant rozkazał... iść w odsiecz... a jeśli Niemcy w przewodzie... to odskok do starej cegielni... i tam czekać... komendant dołączy.

Łomot broni maszynowej od wsi narastał, z jej obrzeży odzywały się coraz to nowe gniazda kaemów. Por. „Kmicic” objął to jednym rzutem oka. Pomyślał głośno.

– Cholernie ich dużo. Niewiele pomożemy „Robotowi”, może on się przedrze...

„Dalski” milczał.

– Więc?... – zapytał „Kmicic” i zawiesił głos.

– Do starej cegielni – padł rozkaz, ale nikt z żołnierzy nie mógł poznać, kto go wydał.

Nadjechały w międzyczasie tabory i „biedka” z cekaemem, więc wrzucili na nie rannego „Lisa” i osłabłego od biegu „Teklinowskiego” i pędem pobiegli tam, gdzie pchnął ich „Robot” swym rozkazem – ku starej cegielni.

Za nimi jazgotały serie, rwały się pociski i granaty. Bój był twardy, zacięty. Zbudzone kanonadą,

przerażone ptaki tłukły się wśród konarów drzew.

Poprzedzeni trójką szperaczy żołnierze biegli już któryś z rzędu kilometr. Znali tę okolicę bardzo dobrze, czuli się jednak bez „Robota” bezradni i zagubieni. Przewalały się myśli:

„Czy komendant się przedarł, czy może jeszcze walczy?! Co oznaczają ciągłe strzały?! Co będzie z patrolami, wracającymi z zadań na stare miejsce biwakowe?! Czy ktoś ich ostrzeże?!”

Naraz strzelanina ucichła. Było to tak nagłe, że bez rozkazu stanęli. Las również milczał. Ta przerażająca cisza obezwładniała tak, że przez dobrą chwilę nie mogli się zdobyć na żaden ruch, na żadną decyzję. Co tam się stało?! Dlaczego tak nagle przestali strzelać!

*

Była jeszcze pełna noc, gdy z chaty wyszła „Grażyna” – jeden z niewielu żołnierzy, których nie trzeba było budzić na wartę; zawsze pamiętała o swych obowiązkach. Podeszła do „Azora” energiczna, wyspana, w ściągniętej paskiem sukiennej kurtce, w przydużych nieco butach, gotowa do objęcia służby.

Browning stał śmieszny jakiś, wsparty rozkraczonymi nóżkami o pryzmę kamieni. „Azor” palił papierosa skrytego w zwiniętej dłoni i co chwila przytupywał z zimna.

– Byku, palisz na warcie! – skarciła go prosto w ucho.

– Spać się mniej chce – odparł usprawiedliwiająco – dobrze, że już jesteś, bo zmarzłem na kość, a tak to jeszcze do rana ze dwie godziny pośpię.

– Spokój?

– Tak, tylko konie w lesie niespokojne. Rzą, aż tu je słyhać.

Zniknął w mroku i dziewczynę otoczyła pustka. Wiejskie psy, przyzwyczajone do ich obecności, spały.

Tuż za pryzmą kamieni pola schodziły w dół łagodnym spadkiem aż do mostku odległego stąd o kilkadziesiąt metrów. Teraz co prawda nie widać ani mostku, ani prowadzącej przezeń drogi, ale „Grażyna” zna ten widok na pamięć, stała tu na warcie w dzień.

Nudne jest to wartowanie zamiast normalnego partyzanckiego działania. Trwa pełną dobę. Ale dziś na szczęście koniec. Za dwie, trzy godziny zmieni ich przy chorym komendancie drużyna pchor. „Janusza”.

Na wschodzie, tam gdzie się styka ziemia z niebem, widać już cieniutką, szarą smugę. Za chwilę będzie świtać.

I wtedy właśnie, w dole, na mostku, huknęły całą mocą silniki. Był to dźwięk tak niespodziewany, tak od dawna nie słyszany, że „Grażyna” przez chwilę wsłuchiwała się weń, nie łącząc go z niczym. Był to dla niej po prostu dźwięk i nic więcej.

Huk narastał, potężniał, odbijał się od lasu i wreszcie przyszło zastanowienie. Kto to jedzie? Może ppor. „Motor” wraca? Ale czyż taki mały samochód byłby w stanie narobić aż tyle huków?

Po majaczącym w dole mostku pełźnie jakiś duży przedmiot za nim drugi, trzeci.

Niemcy!!! A, swołocze! Podjechaliście do mostku z tamtej strony, skrycie, z wyłączonymi silnikami, a teraz buksują wam pod górę koła na wysłizganej deszczem drodze.

Dziewczyna nerwowo szarpie zamek browninga i przyciąga kolbę do ramienia. Ten ucisk przywraca jej natychmiast spokój. Uważnie naprowadza muszkę z celownikiem na pierwszy transporter i gdy oba elementy zachodzą na siebie, bierze lekką podwyżkę lufy „na odległość” i naciska spust.

Browning jazgoce szybko jak dobrze wyszkolony pies, kolba pierze po ramieniu, ale „Grażyna” ciśnie spust do końca, do momentu, aż spadająca iglica sucho chłaśnie w pustkę.

Z satysfakcją patrzy, jak tam w oddali pokropiony przez nią metalem transporter zatrzymuje się i wysypuje się z niego mrowie ludzi. To samo dzieje się w drugim, trzecim i czwartym wozie.

Nagle czerni zalegająca dolinę zaczyna migotać, wszystko się iskrzy, błyska, lecą ku niej roje cudownych kolorowych paciorków i nim dotrze do uszu dziewczyny zwielokrotniony huk kanonady, w niski kamienny murek, za którym klęczy, uderza masa żelaza. A ona jeszcze nie rozumie, wychylona zza

pryzmy z oczyma rozszerzonymi zachwytem; nagle pojmuje, co znaczy ten docierający do uszu jęklivy świst pocisków, i wtedy strach rzuca ją na ziemię.

Kamienie na pryzmie ruszają się jak żywe, podskakują, gotują się, dźwięczą, dokoła gwiżdżą rykoszety, tak że nie ma odwagi wstać w oku tego stalowego cyklonu.

Dopiero kiedy pierwszy pocisk moździerza huknął za chałupą, „Grażyna” zrywa się jak oszalała, ściąga erkaem z kamiennego murku i na czworakach, przyciskana do ziemi długimi seriami, pełźnie ku kwaterze komendanta.

W drzwiach zderza się z „Robotem”. Porucznik ma rozpiętą kurtkę, a w ręku pistolet i mapnik. Za nim wypadają żołnierze.

– Panie komendancie! – prostuje się naraz „Grażyna”, zapominając o strachu w obliczu dowódcy.

– Ilu ich?

– Dużo – odpowiada po kobiecemu, ale przywołana do porządku ostrym spojrzeniem komendanta, szybko precyzuje meldunek: – Widziałam cztery naładowane transportery, zalegli po mojej serii przy mostku.

„Robot” podskakuje skulony do kamiennego murku i ostrożnie wysuwa szkła lornetki.

Widzi półkole tyraliery sadzącej skokami pod górę. Ilu ich jest? Dwustu najmniej, jeszcze do tego obsługa rzygających bez przerwy cekaemów. Cholera! Prawe skrzydło obławy już się ociera o las. Za chwilę odetną ich od oddziału. Cała grupa tędy już się nie przerwie, ale może jeden, dwóch żołnierzy potrafi?

„Robot” kiwa ręką ku swoim. Przypadają do niego „Lis” i „Teklinowski”. Dowódca przekrzykuje gęstą palbą i huk rozrywających się granatów.

– Postaracie się przedrzeć do lasu tą drogą – pokazuje dróżkę prowadzącą płytkim jarem. – Niech „Dalski” rozeźni sytuację. Albo uderzyć na Niemców od tyłu i iść z odsieczą, albo jeśli są w przewadze, odskoczyć do starej cegielni i czekać na mnie. Tam mają ściągać wszystkie patrole, ile się da. My dołączymy. Ruszajcie!

– Rozkaz!

„Lis” i „Teklinowski” wpadli między chałupy i tyle ich było widać.

Nagle po którymś z kolei huku rozrywającego się pocisku moździerzowego gdzieś niedaleko słychać krzyk tak straszny, że dech zapiera.

„Robot” dobiega do grupy żołnierzy zgromadzonych przed chałupą.

– Od Smarkowa cisza. Tam chyba ich nie ma. Odskakujemy.

Już po kilkudziesięciu metrach zostaje w tyle „Grażyna”. Nie może dać sobie rady z ciężkim erkaemem. Wraca po nią „Azor”, odbiera dziewczynie swego browninga, a oddaje stena. Ciągnie za rękę i tak w dwójkę biegną za przeskakującym bruzdy oddziałkiem. „Grażyna” dyszy:

– „Azor”, magazyn pusty, wystrzelany.

Żołnierz puszcza jej rękę i w biegu zakłada nowy magazynek. Za nimi huczy kanonadą wieś. Tam gdzie leży Smarków – cel ich odskoku, panuje cisza.

I właśnie wtedy, gdy już niedługo powinni przeciąć drogę prowadzącą do wsi, osadza ich od czoła, od miejsca, ku któremu dążą, kilkakrotnie powtórzona komenda:

– *Halt! Hände hoch!*

Z karofliska podnosi się zwarty szereg tyraliery niemieckiej.

Biegący zatrzymują się na miejscu. Od Niemców dzieli ich nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Tamci stoją w mroku, są w nim prawie skryci, a żołnierzy „Robota” widać na tle świtu jak na strzelnicy. Są przekonani, że garstka ludzi z „Jakobbande”¹⁸⁰ wobec beznadziejności sytuacji rzuci broń.

¹⁸⁰ Tak Niemcy – od pseudonimu dowódcy „Jakuba”-„Robota” nazywali jego zgrupowanie.

„Robot” decyduje się jednak szybko – ręką wskazuje drogę odskoku na lewo i wali w tyralierę cały magazynek swego colta. Niemcy podrywają pistolety maszynowe, ale „Azor” jest czujny – nim podąży za komendantem, z biodra, bez celowania, półokrągłym ruchem kosiarza, tuż nad ziemią, ładuje długą serię z erkaemu. Rzuca ona Niemców na ziemię jak pięść boksera. Zanim podniosą się, oddziałek będzie już sto metrów dalej, ale dobywając dosłownie ostatki sił. Czerwone płatki migają przed oczyma, krew huczy w uszach jak wodospad. Byle tylko doskoczyć do nasypu kolejki wąskotorowej. Jeżeli uda się go przebrnąć i jeżeli nie ma tam Niemców – będą uratowani.

Już widać o kilkanaście metrów ciemną smugę nasypu. Jeszcze trochę, pięć metrów, dwa... Już! Nareszcie!

I wtedy, gdy zaczynają się wspinać ku koronie walu, dosięga ich z boku zmasowany ogień ukrytych cekaemów. Strugi pocisków rozszarpują, wbijają w ziemię. Jeszcze ktoś jęczy, ktoś spływając obficie krwią stara się dostać na koronę. Ale to już koniec. Cekaemy tłuką jeszcze przez chwilę i naraz na blask rakiety wszystko ucicha.

Nad Wielką Wsią wstaje pochmurny dzień. Jest 14 października¹⁸¹.

¹⁸¹ Wśród żołnierzy ppor. „Robota” do dzisiaj trwa spór, czy obława niemiecka i śmierć dowódcy wraz z poczem miała miejsce 13 czy 14 października. Obie daty podawane są w licznych relacjach, a nawet na tablicy i płytach nagrobnych. Poza częścią relacji, 14 października jako bezsporny dzień tej tragedii ustalają dwa dokumenty: zbutwiałe szczątki kartki odkopanej w butelce przy zwłokach „Grażyny”, podające właśnie tę datę, oraz pismo szefa placówki Sipo i SD z Kielc do dra Illmera w Radomiu z dnia 21 X 1943 r. (arch. autora) potwierdzające ją.

*

Zgrupowanie przez cały dzień, noc i jeszcze jeden dzień umykało przed obławą. Nowy dowódca, ppor. „Dalski”, kluczył jak lis, aż zgubił Niemców. Pod wieczór drugiego dnia odnalazł ich koło cegielni łącznik z Wielkiej Wsi.

– Komendant „Robot” zabity! Razem z nim dziewczyna i trzech żołnierzy, którzy padli na miejscu. Dziewczyna była ciężko ranna, chcieli ratować, bandażowali, ale im umarła. Obdarli wszystkich z ubrań i zakopali każdego gdzie indziej, w polu. Nikomu nie pozwolili patrzeć, gdzie. Ale ludzie widzieli.

Oddział bez rozkazu podrywa się na nogi. Mimo dwudniowego odskakiwania, zmęczenia i głodu bez słowa porozumienia idą za łącznikiem.

Do Wielkiej Wsi wchodzi tuż przed północą. Szperacze przynoszą potwierdzenie, że Niemców już nie ma. Wieś robi wrażenie wymarłej, ale baczne oko wyławia pod okapami chat przyczajonych ludzi.

Gdy dowiadują się, że chłopcy chcą odkopać dowódcę i swoich kolegów, wnet spieszą z pomocą, wskazują miejsca, przynoszą szpadle, ktoś biegnie zaprząć konia.

„Dalski” rozstawia placówki wokół wsi, a resztę żołnierzy dzieli na małe grupki. W towarzystwie chłopów z miejscowej placówki AK idą w pole. Jest dosyć widno, gdyż chmury są rzadkie, cienkie i raz po raz wychyla się zza nich księżyc.

Miejsca, gdzie zakopano żołnierzy, oznaczone są przez mieszkańców wsi zielonymi gałązkami jedliny, tak że chociaż Niemcy udeptali i zrównali z ziemią groby, odnalezienie ich nie sprawia trudności.

Łopaty wchodzi łatwo w miękką, mokrą rolę. Żołnierze pracują w milczeniu, szybkimi ruchami wyrzucają ziemię i wreszcie...

Porozrzucani w odległości kilkudziesięciu metrów leżą nadzy w swoich grobach. Krwawe punkty wskazują, gdzie posiekały ich serie cekaemów. Tylko „Grażyna” zawinięta jest w śliskie od krwi bandaże, a „Robot” jako jedyny przyodziewek ma na szyi chustkę z jedwabiu spadochronowego – odznakę oddziału.

Delikatnie, jakby się bali, że ich obudzą, kładą dowódcę i kolegów na wóz.

Otoczone przez uzbrojonych ludzi jadą ciała zabitych zwyczajną, chłopską furą, przykryte tylko

płaszczami – do lasu. Pod chałupami stoją chłopci. Słysząc skrzyp kół, stękanie konia i chlapanie babinek.

Taka jest ostatnia droga:

– „Jakuba” – „Robota” – ppor. Waldemara Szwieca, skoczka cichociemnego, dowódcy zgrupowania partyzanckiego, zdobywcy Końskich, oficera, który w krótkim czasie wybił się ponad innych rozmachem swych akcji i osobistą odwagą;

– „Grażyny” – Grażyny Śniadeckiej, starszego strzelca, kurierki bazy „wachlarzowskiej”, wspaniałego żołnierza, która przyjechała tu, w Kieleckie, jako łączniczka, ale gdy zobaczyła „las”, zbuntowała się, odrzuciła wszystkie inne propozycje – łączność i służbę sanitarną, wzięła karabin i walczyła;

– „Azora” – Piotra Downara, strzelca, który dzielną postawą już w „Wachlarzu” zasłużył na słowa uznania; odbitego przez „Ponurego” z Pińska, wędrującego aż tu za swym dowódcą, zafascynowanego nim i ppor. „Motorem”, gdyż oni dali mu wolność, a teraz poległego na skutek denuncjacji tego, dla którego gotów był zrobić wszystko;

– „Staszka” – plut. pchor. Stanisława Wolfa, „wachlarzowca” z I Odcinka, jednego z niewielu żołnierzy mających czas na pisanie partyzanckiego pamiętnika, który zostanie odnaleziony po dwudziestu latach w archiwach;

– „Jaśka” – strzelca Jana Rychtera, syna Gór Świętokrzyskich ze Słupi Nowej, który swego brata, bohatera mjr. Stefana Rychtera – „Tumrego”, szefa sztabu „Wachlarza”, poległego 6 II 1943 roku w Mińsku Litewskim, przeżył tylko o pół roku¹⁸².

¹⁸² „Dobosza” – ppor. Karola Niedzielskiego, kwatermistrza oddziału, skromnego, do dziś niedocenionego twórcy jednej z najsprawniej działających placówek AK ziemi kieleckiej w Nieklaniu, żołnierza wywodzącego swoją konspiracyjną służbę od Hubalowskiego działania Niemcy rozstrzelali 13 XII 1943 w lesie pod Łopusznem. Starania podkomendnych i towarzyszy walki „Dobosza” aby nowo wybudowanej szkole w rodzinnym Nieklaniu (gdzie przed wojną uczył on sam, a po wojnie przez wiele lat uczyła jego żona) nadać jego imię, dopiero w 1988 roku przyniosły oczekiwane efekty.

W miejscu, gdzie spędzili poprzednią noc, w dawnym obozowisku przy wsi, wśród rzadkich sosen, kopią żołnierze głęboki dół. Tam będą leżeli zabici przez najbliższe dwa tygodnie. Tuż przed wymarszem na kolejną koncentrację na Wykusie żołnierze zgrupowania wykopią ich raz jeszcze, by sprawić im chrześcijański pogrzeb i złożyć ich ciała na cmentarzu w Końskich.

Po kilku dniach dowódcą zgrupowania został mianowany por. „Kmicic” – Marian Janikowski, dotychczasowy dowódca II plutonu, a ppor. „Dalski”¹⁸³ objął z powrotem I pluton i funkcję lekarza¹⁸⁴.

¹⁸³ Zimą 1943/44 zaginął po pójściu na melinę. Wg informacji uzyskanych ostatnio przez autora, nazywał się Jerzy Ryfiński, w jesieni 1944 roku został zmobilizowany do II armii LWP i w kwietniu 1945 roku zginął w stopniu kapitana pod Budziszynem jako komendant szpitala wojskowego.

¹⁸⁴ Opis wydarzeń w Wielkiej Wsi został opracowany na podstawie licznych relacji (por. „Kmicica”, pchor. „Lina”, pchor. „Znicza”, kpr. „Konrada”, kpr. „Bartka”, strz. „Kajtka” i innych) oraz zachowanych dokumentów i raportów. Ostatnio jednak autor otrzymał relację z 12 I 1983 „Lisa” – Mariana Pietrasa, jedyne żyjącego żołnierza z pocztu ppor. „Robota”, która odbiega nieco od przytoczonego tu opisu. Wg „Lisa”, „Robot” oraz ranni i chorzy, wśród nich m.in. „Azor”, „Jasiek” i sam „Lis” (ranny w rękę na Łysicy) przebywali na kwaterze u „Huragana” – Franciszka Rurarza już od 3 lub 4 października. Jedzenie dla nich pomagała gotować narzeczona „Robota” – Wanda Słoniowska, siostra i córka ludzi związanych z Armią Krajową. Opisany w książce niespodziewany przyjazd ppor. „Matora” samochodem, według „Lisa”, miał miejsce o tydzień wcześniej, bo około 7 X 43. Seria „Robota” (a nie „Kajtka”) ściągnęła z lasu pluton partyzancki. „Motor” przebywał w chacie Rurarzów około godziny i jak wynikało z usłyszanych urywków rozmowy, przywiózł pieniądze i rozkazy, a następnie ustalono, że wróci tu za tydzień, około 13 X, przywiezie lekarza celem zoperowania ręki „Lisa” oraz zabierze na meliny chorych „Azora” oraz „Jaśka” i rannego „Lisa”. Wobec tego, że warta stojąca przed domem zauważyła w oczekującym samochodzie „Matora” dwóch ludzi po cywilnemu i zameldowała o tym „Robotowi”, ten zażądał wyjaśnień od „Matora”, który uspokoił go, że są to ochotnicy do oddziału ppor. „Mariańskiego”. Po tej rozmowie „Motor” odjechał.

Nazajutrz do „Robota” zameldował się syn gajowego z Kałuzy, Józef Klusek, żołnierz AK z miejscowej placówki, który poinformował, iż poprzedniego dnia podjechał do gajówki w drodze do Wielkiej Wsi znany mu wcześniej ppor. „Motor” i pod studnią uzupełnił wodę w chłodnicy. W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn. Po chwili podjechała ciężarówka z żandarmami i stanęła za samochodem „Matora”. Obserwujący

to z krzaków Klusek widział, jak nie niepokoiony przez Niemców kierowca ruszył dalej, ciężarówka jechała za nim w kierunku Niekłania, potem na Furmanów, stamtąd „Motor” skręcił do Wielkiej Wsi, zaś buda żandarmska – po chwilowym postoju – pojechała dalej. Wszystko to odbywało się już o szarówce. Ppor. „Robot” po wysłuchaniu tego meldunku zażądał od ppor. „Dalskiego” przysłania z lasu drużyny na osłonę. O świcie 14 października, pod „parasolem” warkotu krążących nad wsią samolotów, podjechały cicho ciężarówki z Niemcami, które dostrzegła „Grażyna” i bez strzału zaalarmowała śpiących w chałupie Rurarza. „Robot” polecił domownikom ewakuować się do sąsiadów, sam zaś ze swoim poczem odskoczył około 100 metrów do opustoszałej stodoły. Tam po krótkiej naradzie wysłał „Lisa” i „Teklinowskiego” do oddziału, z poleceniem przyjscia na odsiecz lub – o ile to się okaże niemożliwe – odskoczenia do starej cegielni. Przemknęli obaj w cieniu nasypu kolejki nie zauważeni przez Niemców, mimo iż przechodzili tuż obok nich. Po dojściu do lasu odnaleźli czujkę, potem placówkę i zaprowadzeni do por. „Kmicica” i ppor. „Dalskiego” przekazali dokładnie polecenia „Robota”. W czasie podnoszenia ze snu zgrupowania cichym alarmem, od wsi usłyszeli skoncentrowaną kanonadę i w tej sytuacji por. „Kmicic” zdecydował, iż wobec przewagi Niemców należy wybrać wariant drugi.

W Wielkiej Wsi na miejscu zginęli i zostali pochowani w polu, a groby ich wyrównano oponami samochodów ciężarowych ppor. „Robot” – Waldemar Mariusz Szwiec, „Azor” – Piotr Downar, „Staszek” – Stanisław Wolf, oraz „Jasiek” – Jan Rychter.

„Grażynę” ciężko ranną Niemcy – wg „Lisa” – mieli najpierw wywieźć do Furmanowa na badanie, a że napluła na przesłuchującego ją oficera i zerwała opatrunki, Niemiec – a miał nim być volksdeutsch z pobliskiej wsi służący w żandarmerii koneckiej, Reich – dobił ją kijem, a następnie po przewiezieniu do Wielkiej Wsi zakopano zwłoki obok kolegów.

Ujętego żywcem ppor. „Dobosza” – Karola Niedzielskiego wraz z innymi aresztowanymi tej samej nocy żołnierzami wywiadu „Robota”: kolejjarzem „Semaforem” – Tadeuszem Barukiem i gajowym Siudkiem – rozstrzelano w połowie grudnia w lesie pod Łopuszmem.

Po częściowym rozmelinowaniu zgrupowania „Robota” do kwatery „Lisa” w jednej ze wsi pod Chlewiskami w końcu listopada przybył Tadeusz Słoniowski, brat Wandy, i powiadomił, iż wie od swego ojca, komendanta posterunku policji granatowej w Chlewiskach, a jednocześnie żołnierza wywiadu AK, iż właśnie przyjechał tam z Końskich oprawca „Grażyny” Reich, zaproszony na wesele do swoich znajomych. Natychmiast uzyskano aprobatę na likwidację żandarma od „Ireneusza” – Józefa Suligi, komendanta placówki „Barbara”, i tej samej nocy Reicha zastrzelono. W odwet Niemcy rozstrzelali 10 Polaków przywiezionych z więzienia koneckiego.

Za przedarcie się do obozu z rozkazem „Robota” strz. „Lis” został w meldunku por. „Kmicica” przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Walecznych.

*

Kolejna zdrada „Motora” wyrwała z szeregów zgrupowania sześciu ludzi, w tym dwóch oficerów – „Robota” i „Dobosza”. Mogła pociągnąć za sobą więcej ofiar, gdyż szeroko zakrojona obława miała ogarnąć cały oddział. W operacji, przygotowywanej od kilku dni, wzięły udział silne oddziały niemieckie w ilości kilkuset ludzi – żandarmów i żołnierzy Wehrmachtu.

Z akt zachowanych w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich wynika, że przed uderzeniem na Wielką Wieś poza „Motorem” rozpoznanie przeprowadził osobiście przebrany po cywilnemu Hauptmann Wilfried Sautner z komendy żandarmerii dystryktu. Niemcy tak odnotowali swoją zdobycz po bitwie: 1 LMG (Leichtmaschinengewehr), 2 MP (Maschinenpistole) oraz pięćdziesiąt tysięcy złotych przywiezionych przez „Motora”, a także mapnik „Robota” z ważnymi materiałami.

W meldunkach sytuacyjnych Komendy Okręgu AK nr 11, l.dz. 11956/SS za okres 4-25 X 1943 roku znajduje się następująca adnotacja:

W walce z żandarmerią zginęło z Kedywu: ppor. „Robot”, 4-ch żołnierzy i jedna kobieta¹⁸⁵.

¹⁸⁵ AZHP, teczka 223/24-2.

Udział „Motora” w sprowadzeniu obławy na Wielką Wieś jest bezsporny – przyznał się do tego w czasie śledztwa tuż przed śmiercią.

Czy była to tylko kolejna akcja agenta? Chyba nie.

„Motor” był doskonale wprowadzony w stosunki między Komendą Okręgu a „Ponurym”, wiedział, że „okres dobrej woli” zbliża się ku końcowi i że gdy tylko „Ponury” wróci do czynnego partyzanckiego życia, natychmiast przeprowadzi koncentrację Zgrupowań. Wtedy dojdzie do spotkania z „Robotem” i

nastąpi czas konfrontacji. A „Motor” za żadną cenę nie chciał dopuścić do ostatecznego wyjaśnienia, jak to było naprawdę z opuszczeniem przez niego i „Stefanowskiego” obozu i rozproszeniem żołnierzy. Dlatego wybierając nowe ofiary wskazał „Robota”, usuwając jednocześnie człowieka, który nie darzył go sympatią i który domagał się od „Ponurego” wyświelenia sprawy do końca. Dzięki temu przedłużył swoją działalność o ponad trzy miesiące.

*

„Ponury” tymczasem niepokoił się zbliżającą się zimą. Deszcze padające coraz częściej, Niemcy węszący coraz dokuczliwiej – wszystko to podsuwało mu myśl oparcia się o wiejskie chałupy. W tym czasie kontakty z Komendą Okręgu układają się jeszcze jako tako, „Ponury” więc wraz ze swoją drużyną ochronną przerzuca się z miejsca na miejsce, uczestnicząc w odprawach z oficerami dywersji okręgowej.

Jedna z nich miała miejsce w pomieszczeniach obszernego dworu koło Nowej Słupi. W zacisznym pokoiku na zapleczu obradowali oficerowie, miejsca obrad strzegła drużyna ochronna „Ponurego”.

W wielkiej sali o wąskich, wysokich oknach i gładkiej woskowanej posadzce siedziało dziesięciu zahukanych nieco żołnierzy, mówiąc półgłosem, by nie burzyć nastroju powagi, jaki temu pomieszczeniu nadawały poczerwiałe obrazy magnackich przodków obecnego właściciela. Obok odbywały się narady, pilnowano więc, by nikt nie zakłócił ich przebiegu. Godziny płynęły za godzinami, dla nich odmierzane tylko zmianami wart. I gdy w drzwiach ukazał się kolejny wracający ze służby chłopak, natychmiast zjawiała się w sali właścicielka majątku, leciwa już pani baronowa, i bacznie lustrując delikwenta przez lorgnon, zapytywała:

– A buty wytarł dobrze? Nie zabrudzi mi posadzek?

Tarli więc podeszwami, a raczej dziurami, po wycieraczkach, aby nie nanieść błota na woskowane posadzki. Baronowa jednak miała widać chęć na pogawędkę, gdyż zaglądała tu również między zmianami wart, lustrując ich dokładnie i zadając pytania:

– Dlaczego nie włożył świeżej koszuli?

– Dlaczego jest tak długo nie strzyżony?

Zaciskali chłopcy zęby, bo zbyt ważną pełnili tu funkcję, aby mogli dać upust temu, co wzbierało w nich od wielu godzin.

Przyszedł jednak czas wieczornego posiłku i baronostwo, nie chcąc przerywać narady wojskowej, zasiedli do stołu wraz z żołnierzami drużyny ochronnej. Pani z niesmakiem patrzyła na nieudolne ruchy chłopców, którzy może odwykli, a może nie umieli sprawnie operować nożem i widelcem.

Upatrzyła sobie jednego, bardziej od innych wprawnego w operowaniu sztucami, i odezwała się:

– Słyszałam, że mają trudności z przezimowaniem w lesie. Jeżeli mu to odpowiada, mogę dać schronienie do wiosny. Właśnie odszedł podręczny lokaja i potrzebuję kogoś nie całkiem prymitywnego na to miejsce.

Porwał się chłopak zza stołu i zasyczał przez zęby:

– Co...? Mnie...? Żołnierza od „Ponurego”...? Lokajem...?

Złapał za krawędź ciężkiego, dębowego stołu, mocował się z nim chwilę, nie dawał rady, ale wnet koledzy pojęli jego intencje, podparli ramionami i za chwilę cała zastawa, obrusy, lichtarze, szkło runęło z wielkim trzaskiem na podłogę.

Histeryczny krzyk baronowej zagłuszyła kanonada z pistoletów, a biały pył z ozdobnych sufitowych stiuków rozbitych kulami wypełnił całą salę.

W rozwartych drzwiach stanął „Ponury” z pistoletem w dłoni, a za nim grono oficerów. Chłopcy zastygli w postawie na baczność, tylko jeszcze któryś jadąc na podkówkach po woskowanej podłodze klapnął bezwładnie o ścianę.

– Komendancie... to skandal... taki wstyd... tak się łobuzy odwdzięczają baronostwu za gościnę...

trzeba karać... – rzucił roztrzęsionymi ustami zdenerwowany adiutant.

– Zamknij pysk! – uciszył go „Ponury” niezbyt kulturalnym rozkazem. – Co się tu dzieje? Opowiadać po kolei.

Z pasją w głosie mówili o wycieranych butach, o wytykaniu, że nie strzyżeni, że nie mają czystych koszul, że nie umieją operować nożem i widelcem; wytrzymywali to wszystko, ale gdy przyszła propozycja lokajowania, nie dało rady.

– Posprzątajcie to wszystko i żeby mi był spokój do końca – polecił „Ponury” przez zaciśnięte zęby.

Gdy zbierali rozbite skorupy, przez uspokojone nieco głowy przelatywały myśli-pytania: co to będzie? Może wyrzucenie z lasu, może wielodniowe karniaki, a może nawet „czapa”...

„Ponury” nie wrócił do tej sprawy nigdy. Tuż przed odjazdem z majątku rozmawiał tylko kilka minut z panem baronem i na skutek tej rozmowy pan baron w imieniu własnym i żony serdecznie przeproszał szykujących się do odejścia chłopców.

„Blonku, ile ziandarmelów”

W połowie października 1943 roku produkcja stenów w suchedniowskiej fabryce weszła w nową fazę. Miały na to wpływ zarówno elementy techniczne, jak i względy bezpieczeństwa.

Od czasu wykończenia pierwszych trzech prototypowych sztuk minęło co prawda dopiero trzy i pół miesiąca, ale zespół suchedniowski wykonał w tym czasie olbrzymią pracę.

Zaczął się od tego, że konspiracyjni wytwórcy postanowili... poprawić steny, tak aby stały się lepsze i sprawniejsze niż te, które opuszczały brytyjskie zakłady zbrojeniowe.

Spowodowała to nie tylko ambicja, ale przede wszystkim potrzeba...

Broń zrzutowa strzelała zasadniczo jednakową amunicją angielską kal. 9 mm i była do niej dostosowana. Tymczasem w warunkach leśnych żołnierz używał aż czterech rodzajów amunicji pistoletowej kal. 9 mm – niby jednakowej, a jednak różnej: z pozostałych powisowskich zapasów polskich, angielskiej (z zaopatrzenia zrzutowego), amerykańskiej z tego samego źródła oraz niemieckiej – zdobyczej lub wytwarzanej w niedalekim Skarżysku i wykradanej przez konspirację. Każdy z tych rodzajów – mimo że miał w założeniu kal. 9 mm – różnił się choćby minimalnie samym przekrojem. Nie były to jednak duże różnice. Kształt i waga każdego rodzaju pocisku były inne, inna też płaszczyzna tarcia po gwincie, inna szybkość przelotu, co miało istotny wpływ na różną szybkostrzelność, niejednakowe zaś gatunki stopu pancerza zwiększały kłopoty. Największy sprawiały cechy różnych gatunków ładunku miotającego, co dawało różnicę w szybkości wylotu pocisku.

Te drobne – zdawać by się mogło – szczegóły były niezmiernie istotne dla działania broni. Pistolet zrzutowy nie był przystosowany do tego rodzaju niespodzianek, a tymczasem bardzo często zdarzało się, że żołnierz leśny ładował do magazynku jednocześnie 32 pociski: niemieckie, angielskie, amerykańskie, polskie. Angielski sten nie wytrzymał z reguły kilku serii takiego cocktailu i zacinął się. Dlatego też przed zespołem suchedniowskim stanęło zasadnicze zadanie – ulepszyć stena tak, aby go uodpornić na amunicyjne różnice.

Bez skomplikowanej aparatury, przyrządów, a jedynie za pomocą sprężynowej wagi „Korebko” pokonał te trudności. Po kilku próbach, odpowiednim dostosowaniu sprężyny, ustaleniu ciężaru zamka i innych przeróbkach konstrukcyjnych polski sten bił bez niespodzianek – wszystkimi pociskami kal. 9.

Drugą istotną sprawą było doprowadzenie do wymienności wszystkich elementów pistoletu. Wersja angielska – produkowana masowo, szybko i byle jak najtaniej – obliczona była na użytek czasowo ograniczony, tzn. w wypadkach zużycia poważniejszego elementu sten był wycofywany i zastępowany nowym.

Na luksus wyrzucania broni z jednym użytym elementem nie mógł sobie pozwolić leśny żołnierz, dla którego pistolet maszynowy był szczytem marzeń – najczęściej nieosiągalnym. Ludzie z Suchedniowa musieli rozwiązać i ten problem. Ich sten po trzech miesiącach pracy i przeróbkach miał już główne elementy wymienne.

Warunki leśne oraz konieczność oszczędzania amunicji, a co za tym idzie, precyzyjnego celowania, sprawiły, że inż. Czerniewski, w porozumieniu z „Ponurym”, opracował dwie wersje pistoletu maszynowego: jedną z kolbą odejmowaną, czyli typ portatywny, łatwy do chowania i przenoszenia, z przeznaczeniem dla miejskich oddziałów dywersyjnych, oraz drugi – z kolbą stałą, zmuszającą do strzelania z ramienia, dla oddziałów leśnych.

Co więcej, wszystkie te zmiany i ulepszenia wprowadzono bez naruszenia zewnętrznego wyglądu broni, tak aby nie zachwiać przekonania, że są to pistolety pochodzenia zrzutowego.

Część wykonanej broni „Ponury”, w porozumieniu z „Korebką”, przekazał do dalszych prób nie tylko warszawskiemu Kedywowi, ale także swemu przyjacielowi kpt. „Wani”, który od wiosny 1943 roku był szefem dywersji na obszarze białostockim.

Pierwszy etap zamierzeń „Korebki” zbliżał się ku końcowi. Inżynier nie miał zamiaru skupienia całej masowej produkcji w Suchedniowie. Małe zakłady, takie jak suchedniowskie, nie mogły oddać zbyt wiele ze swego czasu i mocy produkcyjnej dla lasu nie wzbudzając podejrzeń, a oddziały potrzebowały broni wytwarzanej prawie taśmowo. Dlatego też po wykonaniu kilkudziesięciu sztuk próbnych i wypracowaniu pistoletu o wszystkich elementach wymiennych, dostosowanego do wymogów walki leśnej, można było myśleć o rozdzieleniu poszczególnych detali między kooperantów z innych zakładów.

Teraz „Korebko” zaczął czynić przygotowania do praktycznego wcielenia tego planu w życie. W tym celu wywiad konspiracji wykradł z okolicznych fabryk zbrojeniowych czyste firmowe „formatki” rysunków technicznych. Chodziło m.in. o blankiety „Hugo Schneider A. G. – Skarżysko-Kamienna” (Hasag), „Hermann Goering Werke A. G. – Starachowice” i innych.

Na przezroczystych kalkach „Korebko” robił rysunki części pistoletu, a następnie podkładano pod nie formatki rysunkowe, np. „Hasaga”, i razem wyświetlano je w kopiarce. W ten sposób powstawał rysunek na niemieckim blankiecie firmowym pozwalający na posługiwanie się nim bez obawy wpadki. Na specjalnie zorganizowanych przez konspirację naradach, m.in. w Wołowie pod Skarżyskiem, przedstawiciele podziemnych placówek w szeregu takich zakładów, jak „Hasag”, „Hermann Goering Werke” oraz innych, otrzymali rysunki i podjęli się prac kooperacyjnych.

Pierwsze dwadzieścia trzy steny wykonano w Suchedniowie we własnym zakresie. Były w tym trzy prototypy, pięć sztuk eksperymentalnych z chłodnicą zakończoną kulisto, osiem sztuk ze składaną kolbą, a siedem – z kolbą stałą. W trzeciej dekadzie października rozpoczęto montaż następnej partii dwudziestu jeden pistoletów, w których już wiele części pochodziło z innych kooperujących zakładów.

Rozrzucenie produkcji poszczególnych elementów na wielu współwykonawców dawało znaczne korzyści, a przede wszystkim: części wykonane były bardziej precyzyjnie i w większej ilości, łatwiejsze było zaopatrzenie, które w zespole suchedniowskim coraz częściej dawało się we znaki, i wreszcie – na wypadek wsypy – wpadała część ludzi, a nie wszyscy.

Myśli i idee konstrukcyjne ciągle nurtowały suchedniowskich konspiratorów. Próbował swych sił „Bazylewicz” z pistoletem, który tak niefortunnie demonstrował na odprawie u Cioka, opracował też zupełnie nowy konstrukcyjnie pistolet inż. „Korebko”.

Był to model o rewelacyjnych rozwiązaniach. Po złożeniu magazynku wzdłuż lufy chowało się go do kieszeni, gdyż był wtedy formatu dwóch suwaków logarytmicznych. Miniaturowy rozmiar oraz duża szybkostrzelność czyniły z niego doskonałą broń dla oddziałów dywersji miejskiej. Prototyp wykonał syn zamordowanej właścicielki fabryki – Olgierd Frank-Wiszniewski. Pistolet otrzymał nazwę „Grot” na cześć aresztowanego kilka miesięcy wcześniej Komendanta Głównego Armii Krajowej.

Plany „Korebki” sięgały dalej. W porozumieniu z „Ponurem” dostarczono na strych domku inżyniera forteczny ciężki karabin maszynowy typu „Mauser”. Ta broń miała stanowić następny etap wysiłków konstruktora i producentów. Pewne wypadki spowodowały jednak, że „Korebko” zaczął z niepokojem odnosić się do kontynuacji współpracy z lasem.

Kilka obław bezbłędnie odnajdujących Zgrupowania zaszyte w najbardziej niedostępnych ostępach leśnych zdawało się potwierdzać coraz uparciej nurtujące przypuszczenia, że sypie ktoś z najbliższego otoczenia „Ponurego”. Po niespodziewanym – na szczęście nieudanym – uderzeniu na młyn Cioka wśród ludzi zbliżonych do lasu zaczęto mówić o tym w sposób pewny, a już wiadomość o błyskawicznym wypadzie żandarmerii na Wielką Wieś i śmierć „Robota” była najgroźniejszym ostrzeżeniem.

Do tej serii wypadków doszło jeszcze kilka zdarzeń z terenu samej fabryki.

„Korebko” z żelazną konsekwencją przestrzegał zasad konspiracji, aby jakiekolwiek drobne niedopatrzenia nie doprowadziły do wpadki. Gdy pewnego dnia zauważył, że ktoś pokątnie czyta „gazetę”, natychmiast załatwił przez władze konspiracji wydanie zakazu dostarczania prasy podziemnej jego ludziom.

Na jesieni wzrosła aktywność kilku suchedniowskich konfidentów, ale pluton ochronny „Ponurego” zlikwidował najgorliwszych. Mimo to zaczęły się jednak dziać rzeczy, które budziły niepokój.

Najpierw w wiadomościach BIP KG AK ukazała się informacja, że „w kraju uruchomiono produkcję pistoletów maszynowych”. Wiadomość ta wywołała wielkie niezadowolenie „Ponurego”. Pokazując ją „Korebce” wyraził dezaprobatę, gdyż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wiadomość ta natychmiast dotarła do gestapo.

Nie koniec na tym. Którejś z wrześnieowych nocy „Korebkę” obudziło dobijanie się do okiennic domu. Okazało się, że kilku oficerów od „Ponurego”, nie wtajemniczonych w umowy produkcyjne „fabryka-las”, nie porozumiewając się z dowódcą Zgrupowań, przyszło odwiedzić inżyniera, zjeść i wypić. Było to złamanie ustalonej między „Ponurym” a „Korebką” zasady trzymania ludzi z lasu z daleka od fabryki.

W kilka dni później nad ranem, gdy „Korebko” z ludźmi ledwo zakończył montaż pistoletów i zgasił światło, pod oknami mieszkania mieszczącego się przy zakładach przeszło kilku żandarmów drogą od portierni ku mało znanej furtce na tyłach domu.

I wreszcie około 20 października na terenie fabryki zjawił się „Motor” w towarzystwie „Bazylewicz”. Wprowadził opla przez portiernię i po półgodzinnym pobycie wyjechał bramą na szosę warszawską.

Ta seria „przypadków” sprawiła, że inż. Czerniewski postanowił przynajmniej na jakiś czas przerwać produkcję w zakładzie. Elementy broni wykonywały już zakłady kooperujące, tak więc montaż ich w porozumieniu z „Ponurym” mógł być dokonany w lesie w oparciu o ludzi z fabryki. W Suchedniowie zdecydowano jedynie zakończyć montowaną serię dwudziestu jeden sztuk i zaprzestać na razie dalszej działalności.

Przecucie niebezpieczeństwa było tak silne, że dokładano wszelkich starań, aby przyspieszyć prace wykończeniowe i jak najszybciej oddać gotową broń do lasu. Musiało to jednak potrwać kilka dni i na ten okres podjęto szczególne środki ostrożności. Wykonano najpierw pięć stenów, załadowano magazynki i miały one do końca prac stanowić uzbrojenie zespołu ochronnego. „Bazylewicz”, „Bronek” i „Colt” nie rozstawali się z bronią.

Wysiłki producentów odniosły skutek: 21 stenów było gotowych już nad ranem 26 października. Wobec tego, że nie było sensu przetrzymywać gotowej broni przez całą dobę w zakładach, „Bazylewicz” wczesnym rankiem 26 października odwiózł steny do lasu, nie czekając na przybycie drużyny ochronnej „Ponurego”, inżynier zaś dzień wcześniej wyjechał do Warszawy wezwany na spotkanie z pikiem „Nilem”.

*

Dom mieszczący biura i mieszkanie inż. Czerniewskiego (drewniana, parterowa budowla) stał na terenach fabrycznych, stanowiących nieregularny czworobok, otoczony wysokim płotem. Jedna strona przylegała do szosy Kielce-Skarżysko. Na plac fabryczny zasadniczo można się było dostać tylko przez bramę, od strony ulicy Fabrycznej. Istniało jeszcze jedno wejście – mała furtka w płocie na tyłach domu inżyniera, ta, przez którą przeszli miesiąc temu żandarmi. Miała stanowić drogę odwrotu prowadzącą przez ogródki działkowe.

26 października 1943 roku było słonecznie i ciepło. Praca w zakładach szła normalnym trybem i nic nie wskazywało na to, iż dzień ten będzie przełomowy w dziejach fabryki.

Zakończenie tajnego cyklu produkcyjnego wpłynęło odprężająco na zespół konspiratorów. Ludzie, którzy przez ostatnie dni bez przerwy wykańczali partię pistoletów maszynowych, odsypiali w domach

zaległości. Rozeszli się też członkowie zespołu ochrony, gdyż po odwiezieniu broni uprzątnięto wszelkie ślady nielegalnej działalności i zdawało się, że nic już nie grozi. Tak więc w południe 26 października suchedniowska fabryka wyzbyła się zarówno kompromitującego materiału, jak też i skutecznej możliwości obrony.

„Bronek” – Bronisław Sianoszek, który wieczorem miał odejść z fabryki do lasu, siedział w domu Czerniewskiego i dając upust swym artystycznym zamiłowaniom skracał oczekiwanie, projektując odznakę świętokrzyskiego partyzanta. Ze swego miejsca przy oknie mógł widzieć cały dziedziniec fabryczny wraz z bramą wjazdową.

Naraz stojąca obok dłubiącego w metalu „Bronka” córeczka inżyniera, czteroletnia Krysia, zawołała:

– Blonku, zobac, ile zandalmelów!

Podniósł głowę i zmartwiał.

Przez bramę wpadło ich sześciu, może siedmiu i z pochylonymi lufami karabinów pędzili do budynków fabrycznych, na z góry widać wyznaczone stanowiska. Za nimi wlał się zielony tłum, rozbiegający się wzdłuż płotu, tworzący wewnętrzny kordon. „Bronek” skoczył do kuchni i polecił Mariannie Charabin, gospodyni inżyniera:

– Proszę natychmiast wyjść z dziećmi z domu!

Ryglował za nimi drzwi, gdy padły pierwsze strzały i zaraz gdzieś od fabrycznego płotu dobiegły jęki. Spod siennika dziecinnego łóżeczka wyciągnął ukrytego visa, trzy magazynki i granat partyzanckiej produkcji, prymitywną „knotówkę”, której lont należało przed użyciem ostrożnie podpalić. Była to w tych warunkach właściwie żadna broń, ale wepchnął do kieszeni krągłe żelazo dlatego, by nie stanowiło dowodu obciążającego w wypadku rewizji domu.

Za oknem tupały dziesiątki nóg i migały czapki przebiegających żandarmów. Otaczali dom szczelnie drugim, wewnętrznym szpalerem. Widać byli doskonale zorientowani, że tu właśnie, w mieszkaniu inżyniera, mogą znaleźć najwięcej obciążającego materiału.

„Bronek” wycofał się do środkowego pokoju. Był teraz sam w całym domu i to ułatwiło mu podjęcie decyzji. Wparty plecami w róg, kontrolując oczyma drzwi, sięgnął za pasek po visa. Bieganina wokół domu ustała, widać otoczono go już całkowicie. Po chwili ciszy z brzękiem wyleciała szyba w kuchennym oknie i zaraz usłyszał gramolących się tamtędy pokrzykujących Niemców.

Uwaga „Bronka” skoncentrowała się na kuchni, tak że raczej wyczuł, niż zobaczył bezszelestny ruch drzwi od sypialni. W powiększającej się szparze mignęła zieleń mundurowego sukna oraz krótki, dziurkowany ryjek bergmana. Trzy strzały z visa klasnęły szybko i równo. Niemiec rozwierał sobą drzwi dalej, a gdy odsłoniły go całkiem, wypuścił automat i uczepiony framugi stał przez chwilę, a potem zachwiał się do przodu i drapiąc paznokciami ścianę, osunął się na podłogę.

Za nim był pusty pokój. „Bronek” już chciał skorzystać z tej okazji i nurknąć do sypialni, gdy powolny ruch klamki kuchennych drzwi zatrzymał go na moment w półprzyklęku. Strzelił dwa, a może trzy razy z kolana, na wysokość zamku. Odpryski drzewa jak iskry na bieli lakieru i nieludzki wprost ryk ciężko ranionego człowieka – to były ostatnie wrażenia wyniesione ze środkowego pokoju.

W drodze do sypialni przeskoczył leżącego żandarma i w tej samej sekundzie z drzwi kuchennych przespikowanych seriami posypały się drzazgi, a miejsce, w którym stał przed chwilą, pokryte zostało pociskami. Sypialnia była pusta, ale za jej oknem trzech albo czterech żandarmów sypnęło ku niemu gęstą palbą. W jednej chwili pokój wypełnił biały tuman miałkiego tynku. Dławiąc się dymem, strzelił kilka razy ku oknu, a gdy iglica klapnęła pusto, w biegu zmienił magazynek, przeskoczył pokój, wpadł w mały korytarzyk, prowadzący na werandę, szarpnął drzwi i...

Młody oficer miał w ręku parabelkę, a w oczach bezgraniczne zdumienie na widok wyrosłej tuż przed nim zjawy pokrytej tynkiem. Zostało mu ono na zawsze, gdyż skurcz palca na spuście visa ściął go z

nóg...

Niemcy zbaranieli. Wysłali widać na zwiad tego Niemca, którego „Bronek” palnął pierwszego... A tu zamiast niego wyskoczył osaczony.

Sędzili zapewne, że jest pierwszym z zamkniętych w domu, że na pewno zaraz za nim wysypią się inni; gdy oficer padł, kilku stojących za nim rozbiegło się na wszystkie strony. Weranda była obrośnięta winien, jeśli więc nawet ktoś w tym ogólnym chaosie próbował coś dojrzeć, to nie bardzo mógł.

Do uchylonej furtki było nie dalej niż piętnaście metrów. Tuż przy niej na wysokim trójnogu stał ciężki karabin maszynowy, którego obsługa odbiegła na chwilę. W połowie drogi do wyjścia stało dwóch oniemiałych żandarmów. Wyskoczył prosto na nich z zarośniętej winem werandy, huknął na oślep trzy czy cztery razy, a gdy padli, trzema susami dopadł furtki i zatrzasnął ją za sobą stracił równowagę. Runął jak długi. Ogarnęła go rozpacz, ale trwało to sekundę, bo gdy podniósł głowę, zobaczył – może metr nad ziemią – równy ścieg serii stebnującej drewniany płot. Ten upadek uratował go, ale tylko na chwilę. Poderwał się na kolana i...

Wąskim przejściem między fabrycznym płotem a wysoką siatką, okalającą ogródki działkowe, biegło ich kilkunastu. Byli tak pewni, że wezmą „Bronka” żywcem, iż nawet nie strzelali. Podniósł do góry pistolet. Pistolet? Beznadziejność. Więc granat. A lont? Nie zdąży podpalić. Ale oni tego nie wiedzą. Wyrwał więc z kieszeni kawał martwego żelaza i cisnął nadbiegającym pod nogi. Rozpierzchli się i przypadli, gdzie który mógł. Ta chwila zaskoczenia wystarczyła. Skoczyć na wysoką siatkę, wywinąć salto i wylądować na ugiętych nogach to już nie było dla „Bronka” – niegdyś mistrza lekkoatletyki szkół średnich stolicy – żadnym problemem. Kluczył teraz wśród krzaków agrestu, porzeczek, przeskakiwał zagony, wymijał drzewa, chroniąc tylko głowę przed uderzeniami nisko opuszczonych gałęzi. Przesadzał chyba trzeci płot, gdy zaczęli siać za nim gęsto z empi, ale było to już strzelanie na oślep, bo krzaki skryły zbiega.

Można sobie wyobrazić przerażenie kobiety, niosącej tobół prania z magła, gdy nagle w bramie swego własnego domu przy ulicy Handlowej zderzyła się z człowiekiem utyłanym w wapnie, z podrapaną i pokrwawioną twarzą i do tego z rewolwerem w dłoni. Ale były to czasy, w których wszystko mogło się przydarzyć.

– Panie, co pan tu robi? – wyszeptała przerażona – toć tu Niemców pełno dookoła.

– Niech więc pani wyjrzy na ulicę, czy można przeskoczyć bezpiecznie!

Wyjrzała ostrożnie z bramy i kiwnęła przyzwalająco. Przebiegł ulicę i opłotkami dotarł do Światów – rodziny dyrektora miejscowego banku, gdzie znajdowała się jedna z konspiracyjnych melin. Nie mógł się tu jednak ukryć, gdyż Światowie zostali właśnie ostrzeżeni, że ich adres jest na niemieckiej liście i że obława żandarmerii przeszukuje kolejne domy. Jeszcze tylko okolica poczty była względnie spokojna, wpadł więc tam i nadał do inż. Czerniewskiego do Warszawy ostrzegawczy telegram:

Kazik nie wracaj – Bronek[186](#).

[186](#) Telegram ten, przetrzymany nie wiadomo przez kogo, dotarł do „Korebki” – na szczęście już ostrzeżonego – dopiero po pięciu dniach.

Spokojniejszy ruszył znów w podwórka, ogródki, ale wszędzie, gdzie wyjrzał na ulicę, widział posterunki żandarmerii. Fala obławy zbliżała się coraz bardziej. Wpadł na jakieś zaśmiecone podwórko i nie mogąc znaleźć lepszego ukrycia wsunął się pod kupę kartoflanych badyli. Było to bardzo mizerne schronienie, gdyż albo nogi, albo głowa nie były przykryte. Doładował pistolet i postanowił czekać na Niemców. Sprzyjało mu jednak szczęście – od kilku dobrych chwil był obserwowany przez jedną z mieszkanki domu, obok którego szukał schronienia. Uchyliła drzwi i przywołała go. Zaprowadziła – mimo sprzeciwu rodziny – na strych i przysypała trocinami[187](#).

[187](#) Udało się potem ustalić, że dzielna dziewczyna nazywała się Turczyńska i pochodziła z Warszawy, ul. Leszno.

Po kilku minutach słyszał już Niemców przeszukujących dom. Nie mógł jednak tutaj dłużej zostać, dziewczyna pobiegła więc pod wskazany przez niego adres i po pewnym czasie sześćcioletnia Magdusia Dąbrowska¹⁸⁸ przyniosła koc, amunicję do pistoletu i kontakt na oddziały „Ponurego”, które w tym czasie zmieniły miejsce postoju.

¹⁸⁸ Córka powojennego dyrektora Zakładów Suchedniowskich.

Przekradając się od domu do domu „Bronek” dotarł wreszcie na pola, gdzie chłopcy paśli krowy, ale nawet łąki suchedniowskie otoczone były placówkami niemieckimi. Zawinięty w koc przesiedział wśród pastuchów do zmroku.

Odnalezienie Zgrupowań nie było sprawą łatwą. „Ponury” koncentrował właśnie swe oddziały, tworząc na powrót dużą, 360-osobową grupę. Ostrzeżony przez daleko wysunięte patrole o pacyfikacji fabryki przez lotną antypartyzancką brygadę żandarmerii, odskoczył głębiej w lasy, aby nie pozwolić się osaczyć i zebrać resztę oddziałów.

„Bronek” szedł śladami Zgrupowań całą noc. Dygotał w październikowym chłdzie, gdyż jego jedynym okryciem był koc narzucony na koszulę. Co chwila zapadał po kolana w podmokłych łąkach, aż nad ranem zgubił w bagnie buty i dalej szedł już boso. Lodowata rosa, zimne błoto, śliskie korzenie i ostre szpilki torturowały gołe stopy ponad wszelką miarę. Zmarznięty i rozgorączkowany brnął już na przełaj przez krzaki i chaszczę ścinając zakręty ścieżki, ale nie było ani śladu zapachu ogniska, ani gwaru obozu, który wskazywałby na to, że oddziały są niedaleko.

Dzień był już jasny, gdy z szelestem rozsunęły się przed nim gałęzie krzaków. Wyjrzała lufa stena, a nad nią brodata twarz.

„Bronek” stanął, ściskając pistolet w dłoni. W głowie huczała jedna myśl – czy ten ze steniem posunie po nim, czy nie.

Ale tamten milczał i nie strzelał. Dopiero po chwili wyskoczył na środek leśnej drogi i złapał „Bronka” w ramiona.

– Chłopie! Żyjesz?! Przecież zginąłeś w Suchedniowie!

Prowadził, a raczej ciągnął osłabionego żołnierza ku obozowisku. Przy ogniskach wszczął się ruch i zewsząd odzywały się okrzyki kolegów.

„Bronek” tak jak przyszedł, boso, w koszuli, okryty kocem, stanął przed komendantem. Krótko meldował przebieg walki i powrót do oddziału.

Dowódca wyraził swe uznanie w kilku formach: w słowach pochwały, w przydziale nowej pary butów i w prawie do snu przez całą dobę. Ta ostatnia nie miała się spełnić z powodów od „Ponurego” niezależnych.

*

Co w tym czasie działo się na terenie fabryki?

Lotna brygada antypartyzancka po otoczeniu zakładu dwoma kordonami wpadła na teren powodując chwilową panikę. W pierwszym momencie Niemcy zaczęli strzelać i zabili przy próbie ucieczki żołnierza konspiracji Tadeusza Kopia oraz znajdującego się przypadkowo na terenie zakładów kolejarza, żołnierza AK – Romana Kozere.

Krótką walkę podjętą przez „Bronka” w rogu fabrycznego czworoboku skierowała tam uwagę wszystkich, ale potyczka wygasła tak samo szybko, jak wybuchła.

Wyrzucono z hali i biur wszystkich robotników i urzędników na plac przed biurem technicznym i kazano się wszystkim położyć na ziemi.

W tym czasie gestapo skrupulatnie przetrząsnęło wszelkie pomieszczenia w poszukiwaniu broni. W halach fabrycznych nie znaleziono nic kompromitującego, ale w mieszkaniu nieobecnego Olgierda Frank-Wiszniewskiego w ręce Niemców wpadł prototyp pistoletu „Grot” oraz rysunki techniczne. W szufladzie

warsztatowej pracownika, Józefa Kazimierskiego, znaleziono sprężyny do pistoletów.

Po rewizji zaczęto badać zatrzymanych. Bijąc ludzi domagano się ujawnienia miejsca ukrycia inż. Czerniewskiego oraz „Bazylewicza”. Nikt jednak nie mógł udzielić w tej sprawie żadnej informacji.

Niemcy nie byli zorientowani w szczegółach wytwarzania broni, nie wiedzieli, kto należał do zespołu produkcyjnego, o czym świadczy pewien schematyzm zastosowanych represji. Przede wszystkim aresztowano wszystkich pracowników biura technicznego i kilku urzędników, wśród których byli zarówno ludzie dopuszczeni do tajemnicy, jak i całkiem nie zorientowani w sprawach konspiracji.

Strzelanina wywołana przez „Bronka” i jego ucieczka po zabiciu trzech Niemców mocno zdeprymowała żandarmerię i gestapowców. Nie udało się wykorzystać pierwszego momentu całkowitego sterroryzowania fabrycznej załogi. Poza tym „Bronek” przerwał szczelny – zdawać by się mogło – łańcuch obławy i przedostał się do lasu, a że Niemcy wiedzieli o zarządzanej koncentracji Zgrupowań i – jak się później okaże – znali jej miejsce, byli też przekonani, że żołnierz natychmiast po przedarciu uprzedził „Ponurego” i ten, tak jak pod Michniowem, lada chwila może się zjawić na odsiecz. Spowodowało to skrócenie śledztwa i niezbyt dokładną rewizję, w czasie której uwadze żandarmerii umknęło wiele istotnych elementów.

Przed wieczorem żandarmeria wycofała się z terenu zakładu zwalniając wszystkich robotników.

Nie ulega wątpliwości, że „Motor” wiedział o terminie odbioru broni przez drużynę ochronną „Ponurego” i wskazał gestapo taki termin, by nagła akcja pozwoliła zaskoczyć producentów przed odesłaniem gotowych pistoletów do lasu. Instynkt i świadomość niebezpieczeństwa kierowników tajnej produkcji sprawiły, że uderzenie trafiło częściowo w próżnię.

Przede wszystkim nie udało się Niemcom przechwycić (na razie) wykonanej broni. Poza tym nie złapali gorliwie poszukiwanych „Korebki” i „Bazylewicza”. Nie zastali też wielu innych ludzi, którzy odgrywali dużą rolę w produkcji pistoletów.

Nie było na miejscu inż. Mieczysława Laure, który wyjechał w tym czasie do wsi Kruk, gdyż tamtejsza konspiracja potrzebowała jego konsultacji przy produkcji granatów. Siostra inżyniera, p. Janina Czerniewska, również była w Skarżysku, gdzie omawiała z inż. S. Domaradzkiem sprawy dostaw części stenów. Wróciła do Suchedniowa w chwili, gdy Niemcy szykowali się do odejścia. Natychmiast po ich odjeździe weszła do zakładów i wyniosła schowane tam rysunki broni, oporządzenia oraz pozostałą dokumentację. To pozwoliło później podjąć produkcję w Warszawie bez straty wysiłku konstruktorskiego.

Był to bodaj jedyny moment na uratowanie, gdyż w godzinę po odjeździe żandarmerii kieleckiej fabryka została otoczona przez duże siły niemieckie z okolicznych posterunków, a także policji granatowej oraz straży leśnej. Taki stan oblężenia utrzymywano przez kilka tygodni.

Olgierd Frank-Wiszniowski oraz Jerzy Herman byli w tym dniu w Kielcach u szefa produkcji konspiracyjnej Okręgu, dokąd wysłał ich inż. „Korebko” z kompletem rysunków broni.

Wobec nieobecności ludzi z kierownictwa miejscowej konspiracji koordynację działań przejął Michał Dąbrowski.

Przede wszystkim należało zapobiec aresztowaniu „Korebki”. Dąbrowski słusznie podejrzewał, że dworzec kolejowy jest obstawiony szpiclami gestapo. Mimo to, starając się nie zwracać na siebie uwagi, pikietował stację, aby uprzedzić oczekiwanego z Warszawy „Korebkę”. Zamiast niego doczekał się powracającego z Kielc Olgierda Frank-Wiszniowskiego. Powiadomiony przez Dąbrowskiego o niebezpieczeństwie, Olgierd tym samym pociągiem pojechał dalej do Warszawy i tam, w konspiracyjnym warsztacie, mieszczącym się w zabudowaniach gospodarczych Zamku Królewskiego, odnalazł „Korebkę” i zawiadomił go o wyspie w Suchedniowie.

Niemcom nie udało się więc aresztować inżyniera ani nawet zatrzymać jego dzieci, gdy dzielna niańka,

Charabinowa, zaraz po rozpoczęciu strzelaniny uciekła z nimi na portiernię, gdzie zatrzymali ją żandarmi. Gdy walka podjęta przez „Bronka” przybrała na sile, wykorzystwała nieuwagę „opiekunów” i wymknęła się do miasta, stamtąd zaś przez Baranów i Skarżysko przewiozła dzieci do Warszawy.

Wydział produkcji KG AK wyciągnął wnioski z suchedniowskiej wsypy. Sprawy wytwarzania broni oddzielono od wszelkich kontaktów z oddziałami leśnymi. Inżynier Czerniewski został zamelinowany w Warszawie w lokalu konspiracyjnym i odcięty od bezpośrednich kontaktów produkcyjnych z obawy, że może być śledzony przez gestapo.

Michał Dąbrowski nie zaniebował żadnej okazji, aby wyciągnąć, co się da, ze „spalonego” zakładu. Udało mu się – wraz z Janem Zarukiewiczem – przekupić kilku policjantów strzegących fabryki i przy ich biernej pomocy wynieść dotąd nie odnaleziony na strychu domu inżyniera forteczny cekaem oraz wiele części, z których następnie – w kuźni Sękowskiego – zmontowano kilka dalszych stenów dla oddziałów „Ponurego”.

W czasie nalotu żandarmerii na fabrykę zatrzymano dziesięć osób. Jerzy Hakenberg, Mieczysław Pośpieszyński, Bogdan Kolasiński, Walery Zieleziński przeszli przez więzienie w Kielcach i zostali zesłani do Oświęcimia (Zieleziński tam zmarł). Eugeniusza Winiarskiego skierowano do Oświęcimia, a stamtąd do Gusen (zginął w końcu zimy 1944/45 r.). Marian Spychaj po śledztwie w Radomiu przeszedł przez obozy w Gross-Rosen i Mauthausen.

Zofia Bielecka, Halina Dębicka, Halina Ludwikowska i Tadeusz Marcinowski po dochodzeniach przeprowadzonych w więzieniu kieleckim zostali – po łapówce dostarczonej przez „Ponurego” – zwolnieni w listopadzie 1943 roku.

Aresztowany w listopadzie dyrektor fabryki – Stanisław Olbrych z żoną Stanisławą – został osadzony w więzieniu w Kielcach, a stamtąd skierowany do Oświęcimia.

Nasuwa się pytanie, jak – przy zachowaniu tak daleko posuniętej ostrożności – mogło dojść do dekonspiracji fabryki? Czy przytoczone poprzednio wpadki wpłynęły na odkrycie jej przez Niemców?

Nie ulega wątpliwości, że ukazanie się wzmianki o podjęciu produkcji broni „gdzieś w kraju” wyczuliło gestapo i zwróciło uwagę na ośrodki, w którym ze względu na obecność specjalistów-konstruktorów było to możliwe. Do takich należał przede wszystkim rejon Skarżysko-Starachowice.

Ale nie to było najgroźniejsze. W powielonym opracowaniu pt. *Konspiracyjna produkcja pistoletów maszynowych w Suchedniowie*, którego autorem jest inż. Czerniewski, wśród wielu przyczyn, jakie złożyły się na dekonspirację, znalazłem takie zdanie:

Żołnierze partyzantki w dużej mierze rekrutowali się z miejscowej ludności. Byli wśród partyzantów dawni pracownicy zakładów. Istniały powiązania osobiste i rodzinne. Ta sprawa w praktyce okazała się znacznie bardziej niebezpieczna, częściowo doprowadziła do dekonspiracji zespołu. Poważną rolę w tym odegrały sprawy osobistych ambicji niektórych członków zespołu.

Co się kryje za tym ostatnim zdaniem? Osobom bardziej wtajemniczonym w zakulisowe sprawy produkcji znane były fakty nie całkowicie zgodnej współpracy inż. „Korebki” i „Jurka” – „Bazylewicz”. „Jurek”, choć przydzielony przez „Ponurego” do pomocy w produkcji, nie bardzo umiał i chciał dostosować się do swojej roli. Aby zalegalizować jego obecność na terenie zakładu, „Korebko” mianował go majstrem. „Jurek” funkcji tej nigdy nie przyjął, zachowując dla siebie rolę „tajemniczego nieznajomego”. Za jego to sprawą na nocnej zmianie znajdowała się nieraz wódka, co „Korebko” zwalczał z całą bezwzględnością. Wreszcie bojąc nad tym, że nie on kieruje produkcją, opracował prototyp pistoletu, nie pozbawionego wad konstrukcyjnych, pistoletu demonstrowanego w młynie Cioka wobec zgromadzonych tam ludzi, a więc również i „Motora”.

„Motor” był za przebiegły, aby nie skojarzyć faktu oddelegowania zdolnego rusznikarza z oddziału do fabryki ze wzmianką w konspiracyjnej prasie oraz demonstrowaniem pistoletu.

Nie miał prawdopodobnie jeszcze pewności, chciał ją więc zdobyć. I oto sam „Bazylewicz”, bez porozumienia z „Korebką”, wprowadza „Motora” do fabryki, pozwala mu poznać jej rozkład, co potem

tak się przyda żandarmom.

Był to już okres, w którym tarcia między inżynierem a „Bazylewiczem” zaszły tak daleko, że „Korebko” żądał odwołania go z fabryki do lasu. „Ponury” postulat spełnił, każąc „Bazylewiczowi” wrócić wraz z ostatnią partią stenów.

Bezpodstawne i krzywdzące byłoby posądzenie, że „Jurek” orientował się w roli „Motora”. Należy raczej sądzić, że znając zaufanie, jakim ten cieszył się u „Ponurego” – a zapewne jako łącznik z Komendą Okręgu i Komendą Główną i u tych władz także – chciał zdobyć sobie przy pomocy „Motora” uznanie.

W takich okolicznościach 26 października 1943 roku uległo likwidacji jedno z poważnych przedsięwzięć polskiego podziemnego działania.

Aby wyczerpać temat suchedniowski, należy jeszcze podkreślić, że osiągnięcia zespołu producentów nie ograniczały się tylko do wykonania pięćdziesięciu dwóch sztuk broni, jej przepracowania konstrukcyjnego zgodnie z potrzebami lasu oraz wykonania wszystkich rysunków. Dorobek rzeczywisty był daleko większy. Z wykonanych w samym Suchedniowie lub u kooperantów części kowal Sękowski złożył kilka pistoletów. Prócz tego pozostało jeszcze kilkaset detali na około osiemdziesiąt pistoletów, nie licząc sprężyn do magazynków, luf, kolb itd.

Przed wyspą suchedniowską do „Ponurego” zgłosił się jeden z jego żołnierzy, st. sierż. „Konar” – Polikarp Rybicki, proponując podjęcie produkcji stenów w lesie. „Ponury”, mając na względzie suchedniowską działalność, nie zatwierdził projektu. Po pacyfikacji Suchedniowa i oddelegowaniu „Ponurego” na wschód jego następcą, „Nurt”, przypomniał sobie propozycję „Konara” i polecił wykonać prototyp broni.

W końcu stycznia egzemplarz był gotów, przeszedł próbne strzelanie i został skierowany do produkcji seryjnej. Wyglądem różnił się on zasadniczo od stenów. Nadano mu nazwę KIS od pierwszych liter pseudonimów wykonawców: „Konar” (Rybicki), „Igo” (Szafranski), „Smrek” (Skorupka). Montażu tego „leśnego pistoletu” dokonano w Wąchocku, w domu położonym tuż przy szosie, po której często jeździli Niemcy. Później egzemplarze były montowane całkowicie w lesie przez wyodrębnioną „specgrupę”, w skład której, obok wymienionych, weszło jeszcze dziesięciu żołnierzy oddziału.

„Specgrupa” miała w oddziale dobrze wyposażony warsztat, który mieścił się na dwóch wozach taborowych. Dysponowano też aparatem spawalniczym oraz wieloma innymi narzędziami. Gwintowanie luf odbywało się za pomocą przeciskacza pobijanego młotkiem. W sumie w oddziale „Nurta” wykonano czterdzieści pięć KIS-ów. Były to pistolety 32-strzałowe o szybkości czterystu strzałów na minutę. Warto zaznaczyć, iż koszt KIS-a obliczono na około tysiąc dwieście złotych przy ówczesnej cenie dwustu dwudziestu złotych za kilogram słoniny.

„Specgrupa” oddziału miała także na swym koncie inne osiągnięcia, może nie tak finezyjne pod względem technicznym, ale kto wie, czy nie ważniejsze od pistoletów. W tym czasie Niemcy często wjeżdżali niespodziewanie wozami pancernymi lub czołgami w środek wsi, w której kwaterowali partyzanci, starając się wywołać popłoch i zdeorganizować obronę. Aby zabezpieczyć się przed podobnymi niespodziankami, „specgrupa” wykonała kilkadziesiąt sprawnych min przeciwpancernych w kształcie dysków z zapalnikami naciskowymi. Wystarczyło w poprzek dróg wylotowych zajętej wsi wykopać płytki rowek, założyć na krańcach dwie miny, przykryć deską i zamaskować piaskiem, a oddział mógł spać spokojnie. Na minach „specgrupy” wyleciało kilka niemieckich samochodów oraz jeden czołg.

Warsztat w zgrupowaniu „Nurta” zlikwidowano w końcu lipca 1944 roku, tuż przed realizacją planu „Burza”.



163. Na Wykusie, ostatnie, wrześniowe zdjęcie rannego w akcji na pociąg (12/13 VII 43) por. cc. „Czarki” — Jana Rogowskiego (+1944) (z prawej) przed ewakuacją do Warszawy. Obok łączniczka

164. Od lewej: chor. „Szort” — Roman Waga, NN, „Halny” — Zdzisław Rachtan, NN





Fernschrift 189 5

Geheim

7/10 1943

« Kielce nr 57 7/10 1943 »

an den
Kommandeur der Sicherheitspolizei und des SS
für den Distrikt Radom

— r e d o n. —

— g e h e i m. —

Dr i n g e n d, bitte sofort vorliegen.

— betr. — Einsatz gegen Führungsstab der Bandengruppe Ponury.

auf Grund der eingegangenen Nachrichten der in diesem Komplex schon
bekannten V-Person sollten sich in einer Kaserne bei Brinek-Bar
und zwar südlich von Brinek-Bar an der Kamienna Gelasse der
Führungsstab der Bandengruppe Ponury mit einem aus Warschau

Nach dort gekommenen angeblichen General der poln. Widerstandsbewegung
befinden. V-Person teilte mit, dass sich der Stab
bis ca. 13,30 Uhr dort aufhalte, da zu diesem Zeitpunkt das
Befehlsgewalt vollständig übernommen werden sollte.
Zur Aushubung des Führungsstabes wurde mit Kräfte des Einsatzsta-
bes Kielce unter Führung der Hauptmann G. Gend. Venher sowie
unter Zuhilfenahme dreier Panzerspähwagen der hiesigen 27. eine Ak-
tion gestartet. Von der hiesigen Dienststelle habe ich selbst mit
weiteren vier Beamten teil.

Es ist anzunehmen, dass die herannahenden Panzer von den zur Sicherung
ausgestellten Posten bemerkt wurden, da nach Aussagen der Pan-
zerbesatzung in Waldgelände ein Warnungsschuss abgegeben worden
sein soll. Die Mühle wurde von den Panzern sofort unter heftigen
MG und Granatfeuer genommen.

Da sie aus dem Haus mit MG und Gewehrfeuer beschossen wurden,
einige Banditen flüchteten über die Kamienna in nord-westlicher
Richtung, wobei einer verwundet wurde und später von mir bei
Abklemmung des Geländes erschossen wurde. Die Leiche wurde foto-
graphiert, es sind viel Personen in der Mühle selbst die durch
Beschuss Feuer gefangen hatte umgekommen sind, konnte bis jetzt
nicht festgestellt werden, die später herangekommene Feuerwehr aus
Sk-Kamienna wurde mit der Löschung des Brandherdes beauftragt



167. Gen. bryg. „Nil” — August Emil Fieldorf, dowódca Kedywu KG AK stracony w 1953 r. z wyroku sądu PRL

und bekl. Befehl bei wegräumen des Brandschuttes auf evtl.
überbrannte Leichenreste zu achten und das Ergebnis der
Pensarmarie in Sk-Kamienna mitzuteilen. Die erfolgte Abklemmung
des Waldgeländes Brinek-Bar in nördlicher Richtung blieb,
da auf Festnahme von zwei in diesem Gebiet angetroffenen
Personen erfolglos. In wie weit die zwei festgenommenen
Personen in Verbindung mit dem Bandenstab zu bringen sind
bleibt unbekannt. (Note: *Bitte befragen, welche die auf im Waldgebiet
kräfte mit dem Gend. Batt. (Mots) konnte eine nochmalige
ganz Abklemmung des genannten Waldgebietes einxxx und eine an-
schließende Ueberholung der Ortschaft Brinek-Bar vorge-
nommen werden, welche jedoch gleichfalls ergebnislos verlief.*)
Es ist anzunehmen, dass die in dem Haus befindlichen Angehörigen
des Führungsstabes durch ein Warnsignal rechtzeitig
gewarnt, sich zuerst in nord-westlicher Richtung begeben haben
und dann in südwestlicher Richtung in das große Waldgebiet,
zu dem dort sich befindlichen Banden-
gruppen nur und Marianski ausgewichen sind.
Es wird deshalb vermutet, da nach Aussagen der V-Person
im Verlauf des heutigen Nachmittags eine Besichtigung die-
ser beiden Gruppen durch den aus Warschau erschienenen angeb-
lichen General vorgenommen werden sollte.
Eigene Verluste keine, gegnerverluste bisher festgestellt
nicht tot.

betr.: e s z i g.
SS- Hauptsturmführer.

Mst. Kielce. [rpt. vom Mat. *Konfirmierung*]

Mit dem Bandenstab zu bringen sind ist ??????????
bis zu Kräfte mit dem Gend. Batt. Mots

In wie weit die zwei festgenommenen
Personen in Verbindung mit dem Bandenstab zu bringen sind
bleibt bisher nicht fest.
Durch die Verstaerkerung der Einsatzgr.
7/10 2016 nr. 57 kdr ran/brunzggere

165-166. i 169-170. Tajne pismo i utaj-
niony telex, skierowane do Krakowa
i Berlina przez radomskie gestapo
z meldunkiem o przebiegu obławy na
sztab „Ponurego”, wizytowany
w młynie Cioka na Bzinie w dniu
6 X 1943 przez płka „Nila”, dowódcę
Kedywu KG AK



Geheim!

1.) Elits-FS.

An
RSM. - IV D 2 -
Nachrichtlich IV 2
Berlin
an
SdS.
K r e m l e n
an
Dab. - IV 4 - Kommandant
B r a s o w a

F.S. 7796
11.10.43
11057

Betrifft: bols. Widerstandsbewegung; Aktion gegen den
Führungstab der PSP-Bande "Fomury".
Vorgang: Oms.

Am 7. 10. 1943 wurde auf Grund einer vertraulichen Mel-
dung durch die Sicherheitspolizei Kielce eine Aktion
gegen den Führungstab der bekannten PSP-Bande "Fomury"
in Umięty, 2 km südlich Burzysko-Kosienna, ausgeführt,
wo eine Mühle als Stützquartier des Stabes geschildert worden
war. Unter Maximierung motorisierter Gendarmerie sowie
dreier Panzerspähwagen der Oberfeldkommandantur Kielce
wurde das Zielgelände überhört, das an das Stützquartier
anschlöß. Das Herannahen der Panzerspähwagen wurde durch
Kernschüsse weitergemeldet und die deutschen Kräfte
daraufhin aus der Mühle unter MG- und Geschützfeuer genom-
men. Minimale Verluste konnten trotz MG- und Granatbe-
schüssen über den Platz Kosienna entkommen. Einer von ihnen
wurde bei der Absehung des Geländes tot aufgefunden.
Die Mühle ist bis auf die Grundmauern abgebrannt. Bis
zur Verdrängung des Brandschuttes kann über die Verluste
des Gegners Weiteres noch nicht festgestellt werden.



168. St. strz. „Jędrus” — Andrzej
Pasek poległ 6 X 1943 w czasie ob-
ławy na młyn Cioka

"Fomury" ist Führer der gesamten "Diversionsaktivität"
innerhalb des OZreg Radom des PSP. und in dieser Eigenschaft
unmittelbar sein Gesamtleiter der Diverzion im Hauptkommando
- Deckbezeichnung der Abteilung Khatwa - unterstellt.

Über weitere Feststellungen werde ich berichten.

Der Kommandeur
d. Stko u.d. SD f. d. Distr. Radom
- IV A 3 - Nr. 15 039/43 z -

pos.: L i p h a r t

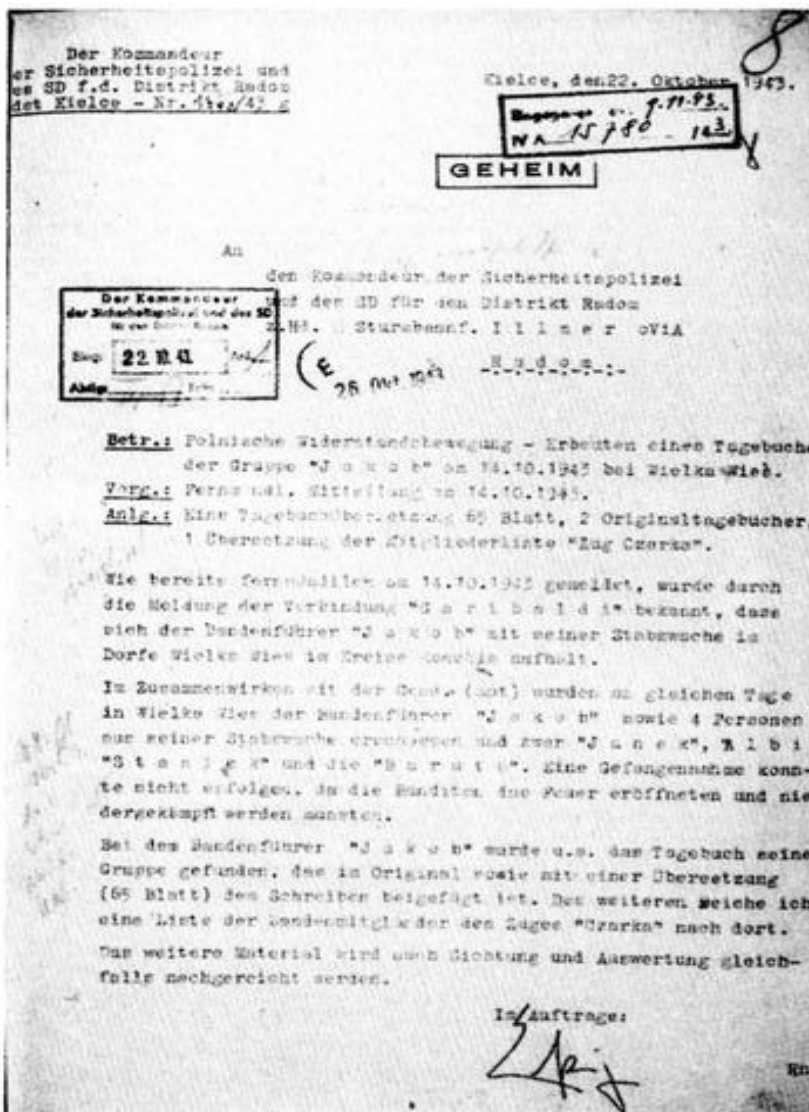
- 2.) Abschrift mit ... und Polizeiführer erhalten.
- 3.) IV H 15. Okt. 1943
zur Kenntnis und zur beschleunigten Berichterstattung auf
Grund der Meldungen der V-Person Garibaldi.
- 4.) IV A 2
zur Kenntnis (edit?)
- 5.) IV. sofort.

co.
11.10





171. Strz. „Grażyna” — Grażyna Śniadec-
ka zginęła 14 X 1943 w Wielkiej Wsi wraz
z dowódcą Zgrupowania nr 2, ppor. cc.
„Robotem” — Waldemarem M. Szwiecem
oraz kolegami z poczty dowódcy: plut.
pchor. „Staszkiem” — Stanisławem Wol-
fem oraz strz. „Adasiem” — Adamem
Wolfem, „Azorem” — Piotrem Downa-
rem i „Jaśkiem” — Janem Rychterem



172. Fotokopia dokumentu gestapo dystryktu Ra-
dom, mówiącego o mechanizmie wsypy „Robota”
i jego poczty w Wielkiej Wsi. „Garibaldi” to agen-
turalny kryptonim „Motora”

173. 26 X 43 rano
została dostarczona
na Wykus ostatnia
partia — 21 sztuk ste-
nów — z rozbijanej
właśnie fabryczki
w Suchedniowie.
Zdjęcia wykonano
28 X, rano tuż przed
przewiezieniem ste-
nów na przestrzeli-
wanie. Nikt nie wie,
że niemiecki łańcuch
obławy jest o 100 m
od wózka, że za chw-
lę ruszy i jako pierw-
szy zginie „Kolcik”
— Julian Świtek (pie-
rwszy z lewej, z er-
kaemem na plecach).
Następni (od lewej):
„Broniek” — Bronis-
ław Sianoszek, „Le-
szek Biały” — Lech
Zahorski, pchor. „A-
ndrzej” — Andrzej
Gawroński, „Marcy-
sia” — Emilia Males-
sa-Piwnik, żona „Po-
nurego” (widoczny
kawalek głowy), „Ju-
rek Bazylewicz”
— Stefan Nowacki
i „Ponury” — Jan Pi-
wnik





174. „Olgiere” — Olgierd Frank-Wiszniewski (z prawej) i „Broniek” — Bronisław Sianoszek, żołnierz ochrony tajnej fabryki broni w Suchedniowie

175. Steny już na strzelnicy. Z tyłu nadzoruje „Ponury”. „Szyling” — Tadeusz Lange (pierwszy plan) jeszcze szykuje broń, ale za moment zginie







176-178. Oddział inspektora „Jacka” — Jana Kosińskiego (on sam przed frontem) to ochrona radiostacji Okręgu i liczy jeszcze teraz 28 ludzi. Za chwilę 23 z tych młodych ludzi będzie martwych, a wśród nich rodzeństwo: nauczycielka „Emilia” — Maria Marchewkova z d. Adamczyk i „Longin” — Tadeusz Adamczyk



179. Polegnie także „Zjawka” — Ludmiła Stefanowska, siostra por. „Habdanka”





180. Strz. „Poranek” — Józefa Wasilewska, żołnierz drużyny ochronnej Komendanta „Ponurego” i siostra ppor. cz. w. „Oseta”, zostanie tu ciężko ranna



181. Zginie także sekcyjny „Czajek” — Witold Jurczyński ze Zgrupowania nieżyjącego „Robota”







182. Gdy z Wykusu odeszli Niemcy...

183. Po wojnie, w miejscu zbiorowej mogiły pozostał krzyż





Trzecia obława

Październik jest czarnym miesiącem w historii Zgrupowań. Uderzenia niemieckie są coraz precyzyjniejsze, coraz lepiej planowane, coraz boleśniejsze. Likwidacja Suchedniowa w zestawieniu z poprzednimi ciosami jest dla „Ponurego” jeszcze jednym dowodem, że w jego najbliższym otoczeniu kryje się agent. Ale kto nim jest?

Tuż po wydarzeniach w Wielkiej Wsi „Ponury” zwołuje odprawę swego ścisłego sztabu. Są tu „Nurt”, „Marianki”, „Habdank”, „Motor” i jeszcze kilku oficerów. Ze złością, głosem nabrzmiałym żalem „Ponury” stwierdza:

– Jeden z nas jest szpiegiem. Jeden nas sypie. Będziemy się musieli rozstać. Tak dalej być nie może.

Ale zanim to nastąpi, „Ponury”, wolny od funkcji szefa okręgowego „Kedywu”, już tylko jako dowódca Zgrupowań, chce mieć jeszcze raz swe wojsko razem.

W wielkiej tajemnicy wyznacza na połowę trzeciej dekady października nową koncentrację.

Zanim do niej dojdzie, „Ponury” przekazuje „Nurtowi” polecenie Okręgu przyjęcia zrzutów broni. Sam skrupulatnie nadzoruje przestrzegania ścisłej tajności rozmieszczenia zrzutowych „koszy”. W tym czasie dochodzi do kolejnego spięcia z administracją Okręgu, które jeszcze bardziej pogłębia przepaść między „Ponurym”, płkiem „Danielem” i jego podwładnymi.

W czasie oczekiwania na zrzuty „Ponury” zabrania wysyłania ludzi na patrole aprowizacyjne. Obawia się, aby któryś z żołnierzy nie wygadał się niechcący i nie zdradził ich miejsca. Domaga się więc, aby Okręg-rozkazodawca dostarczył żywność tkwiącym na stanowiskach dniami i nocami oddziałom. Wtedy to komendant jednego z obwodów oświadcza, że jeśli „Ponury” da pieniądze, to on załatwi zakup mięsa i ziemniaków. „Ponury” ledwo opanował ogarniającą go pasję. O zaopatrzeniu finansowym Zgrupowań przez Komendę Okręgu tak pisze w swym raporcie w kilkadziesiąt dni później:

7) jedynym łącznikiem K-ndta Okr. ze Zgrupowaniami Partyz. – był pieniądz, ale i ten wypłacany nieregularnie lub nie wypłacany wcale w najcięższych dla Zgrupowań chwilach, jak bezpośrednich momentach po obławach i w obecnym okresie zimy i demobilizacji¹⁸⁹.

¹⁸⁹ Raport „Ponurego” z 3 I 1944 r. AZHP, 228/26-2.

Właśnie koniec drugiej dekady października¹⁹⁰ należał do tych okresów, gdy Okręg nie dostarczył pieniędzy Zgrupowaniom. Na takie więc *dictum* „Ponury” zareagował w sposób kwalifikujący jego postępek do rozpatrzenia przez sąd wojenny. Ale czyż można się dziwić zdesperowanemu dowódcy, osamotnionemu wraz z prawie czterystoma żołnierzami wobec nadchodzącej zimy? Wysła silną drużynę do komendanta Obwodu, która wyciąga go w spodniach i koszuli z jakiejś kwatery i w takim niekompletnym stroju prowadzi do „Ponurego”. Opierającego się żołnierze popędzają kłując bagnetem po pośladkach.

¹⁹⁰ Wg relacji por. „Habdanka” opisane poniżej wydarzenie miało miejsce między 27 IX a 3 X 1943 r.

Na kwaterze „Ponury” podtyka pod nos przerażonemu oficerowi zwiniętą w kułak dłoń.

– Posłuchaj, sztabowy byku! Czekamy na zrzuty nie dla nas, ale dla was, dla Okręgu, bo przecież nic nam z tego nie dacie, tylko wszystko wsadzicie do magazynów. Nie dostarczacie pieniędzy, dajcie więc moim ludziom jeść. Zagłodzić ich nie pozwolę. Jedzenie ma być dostarczone natychmiast. I pamiętaj, że jeśli nie będzie, to chłopcy „Ponurego” odnajdą cię, choćbyś pod ziemię się zapadł.

Meldunek złożony przez komendanta Obwodu płkowi „Danielowi” powoduje kolejną skargę tegoż do gen. „Bora” na „Ponurego”. Wreszcie nadszedł czas koncentracji.

Już od 25 października Zgrupowania schodziły się na stare, tradycyjne obozowisko – Wykus. Szli z daleka, nocami, po kilkadziesiąt kilometrów, z rejonów swego działania, aby na wyznaczony termin dotrzeć na wzgórze 326. Taki przemarsz zgrupowania „Mariankiego” opisuje w liście do autora tej

książki były żołnierz „Ponurego”, „Orkan”¹⁹¹:

¹⁹¹ Mieczysław Kazimierski – „Orkan”, „Prymus”, absolwent szkoły podoficerskiej, żołnierz Batalionów Chłopskich, skierowany przez BCh na przeszkolenie do Zgrupowań „Ponurego”; następnie dowodził oddziałem partyzanckim BCh.

Byłem wówczas przydzielony do konnego zwiadu zgrupowania i aktualnie – w chwili otrzymania rozkazu – kwaterowaliśmy na Bukowej Górze, niedaleko wsi Psary, w paśmie Gór Świętokrzyskich.

Noc, podczas której wypadło nam przemierzyć przestrzeń dzielącą nas od Łysogór do lasów Siekiemo-Rataje, jako rejonu koncentracji zgrupowania, nie była dla nas łaskawa. Była to późna jesień – około 20 października 1943 r.¹⁹² Noce były już długie, sprzyjające dalekim przemarszom partyzanckim, ale za to ciemne, dżdżyste, ponure. [...]

¹⁹² Noc z 26 na 27 października (przyp. C. Ch.).

Wył wiatr, zaciął boleśnie zimny kapuśniaczek, nogi grzęzły w błocie i kałużach, a ramiona i plecy garbiły się pod ciężkim oporządzeniem i uzbrojeniem. Było tak ciemno, że na kilka kroków nie było nic widać. Na prowadzących kolumnę wyznaczeni zostali żołnierze znający bardzo dobrze przebywany teren. Ale to nie ustrzegło nas od poblądzenia. [...]

Od czasu do czasu ktoś się potykał, przewracał, podnosił. Gęsto słychać było zduszone przekleństwa na wojnę, Niemców, partyzancki los itd. Idący za mną st. lejtnant Armii Czerwonej „Sasza” (nazwisko nie ustalone), przebywający od pewnego czasu w naszym plutonie, w swym ojczyzm języku w dosadny sposób wyrażał się, co o tym wszystkim myśli, ale brnął dalej wytrwale. [...] Wreszcie prawie o brzasku osiągnęliśmy brzeg lasu w okolicach Siekierna. Dalsza droga do obozowiska wypadła już przy świetle dziennym. Miny poweselały, poprawiły się humory, a konie zaczęły wesoło parskać, zapominając niby o tym, co minęło. Mimo to patrzyliśmy na siebie z politowaniem, nie mogąc się nawzajem poznać. Byliśmy pokryci błotem.

Dzień zapowiadał się pogodny. Chmury przecierały się, a spoza nich nieśmiało wyglądało słońce. Maszerujący partyzanci ożywili się. Zaczęto roztrząsać, mające ostatnio w zgrupowaniu miejsce, coraz częstsze wypadki najazdu Niemców na oddanych zgrupowaniu ludzi, likwidowanie patroli zaopatrujących oddziały w żywność, zamordowanie na melinie por. „Robota” (Waldemar Szwiec – skoczek spadochronowy) oraz jego obstawy i odwiedzających go w tym dniu kolegów. Podobno miejsce melinowania chorego por. „Robota” było znane tylko niektórym oficerom sztabu. Czy to więc nieszczęśliwy zbieg okoliczności, czy też nieczna zdrada? Na wspomnienie o tym na twarzach rozmawiających odbijało się przygnębienie.

Wreszcie napotykamy pierwsze czujki i patrole. Jesteśmy więc w rejonie koncentracji zgrupowania. Marzymy, aby jak najprędzej umyć się z grubsza, zjeść coś niecoś, nakarmić konie i spać, spać.

Widzimy już naszych znajomych. Przed prowizorycznym szałasem kręci się st. wach. „Dobiecki”¹⁹³ (Edmund Rachubiński), który tu przybył wcześniej w charakterze kwatermistrza plutonu. Wita się z nami serdecznie, jakbyśmy się co najmniej z rok nie widzieli. Po gospodarsku krząta się wokół nas.

¹⁹³ Winno być „Dobiecki” (przyp. C. Ch.).

Szybko myjemy się, zaobroczamy konie. Pytamy, jak przedstawia się zaprowiantowanie.

– Ano, nadzieje na poprawę wyżywienia są. Właśnie wczoraj po południu wyjechał w teren ppor. „Motor” (Jerzy Wojnowski), kwatermistrz¹⁹⁴ zgrupowania. Chyba coś wydebi – mówi st. wachm. „Dobiecki”. – Poza tym, chłopaki przyprowadzili dwie krowy. I byka. Czerwonego!

¹⁹⁴ Informacja nieścisła. „Motor” był łącznikiem Zgrupowań, ale z każdego wyjazdu przywoził masło, papierosy, kiełbasę itd. (przyp. C. Ch.).

Zjadamy jakąś kaszę i popijamy czarną kawą. Niektórzy już szykują posłanie z gałęzi, aby się położyć do zasłużonego snu.

Poza Zgrupowaniami „Ponurego” kwaterował tu także siedzący od dwóch miesięcy oddział „Jacka” – Jana Kosińskiego, składający się z trzydziestu sześciu ludzi. Była to ochrona radiostacji polowej Okręgu AK, obsługującej również Zgrupowania „Ponurego”.

Przygotowaliśmy się wtedy na zimowisko leśne, by nie narażać dłużej naszą obecnością ludności wiejskiej. Wybudowaliśmy wśród gęstego podszycia leśny duży, zbiorowy barak tuż nad strumykiem. [...]

Czekaliśmy na dozbrojenie stenami, które miały być dostarczone z konspiracyjnej fabryki z Suchedniowa od inż. Tańskiego¹⁹⁵.

¹⁹⁵ Biul. Archiw. Wrocław. Okr. ZBoWiD, nr 14, 1964 r., s. 19. Relacja „Młota” Jana Chłopeckiego, zastępcy Jana Kosińskiego – „Jacka”.

26 października rano „Bazylewicz” przywozi na wózku spodziewaną partię stenów suchedniowskich – dwadzieścia jeden sztuk. Trzeba je jeszcze przestrzelać, nim wzmocnią siłę ogniową Zgrupowań.

28 października przybywają rano na Wykus ostatni ludzie. Stan Zgrupowań jest już pełny:

| | oficer. | pchor. | podofic. szereg. |
|--|---------|--------|------------------|
| Dowództwo Zgrupowań | 2 | 2 | 10 |
| zgrupowanie nr 1 „Nurta” | 9 | 7 | 170 |
| nr 2 „Robota”* | 4 | 6 | 110 |
| nr 3 „Mariańskiego” | 4 | 3 | 70 |
| Razem | 19 | 18 | 360 |
| * Ciągłe tak nazywane mimo śmierci dowódcy | | | |

Uzbrojenie jest również dostatecznie i według przybliżonych danych umieszczonych przez „Antoniewicza” w *Próbie zarysu* przedstawia się następująco¹⁹⁶:

¹⁹⁶ Dane orientacyjne odtworzone po wojnie.

| | ckm | rkm | pm | kb | pistoł. | gran |
|---------------------|-----|-----|-----|-----|---------|------|
| Dowództwo Zgrupowań | | 1 | 5 | 8 | 4 | 30 |
| zgrupowanie nr 1 | 1 | 17 | 10 | 156 | 16 | 150 |
| zgrupowanie nr 2 | 1 | 10 | 12 | 96 | 13 | 100 |
| zgrupowanie nr 3 | | 6 | 8 | 63 | 5 | 90 |
| Razem | 2 | 34 | 35* | 323 | 38 | 370 |

* Bez partii dostarczonych przed dwoma dniami stenów suchedniowskich.

Przed dwoma dniami łącznicy z Suchedniowa przynieśli niepomysłne wieści o aresztowaniach i likwidacji produkcji broni. Jest to nowy, niespodziewany cios dla komendanta Jest mglisty ranek 28 października. Żołnierze w obozie na Wykusie, zdrożeni całonocnymi marszami, śpią na byle jak przygotowanych posłaniach z gałęzi, kuląc się przed kłującym zimnem. Dnia poprzedniego nie stwierdzono w bliższej i dalszej okolicy śladów nieprzyjaciela, co skłoniło dowództwo do ściągnięcia dalszych ubezpieczeń i wystawienia tylko czujek odległych o kilkaset metrów od biwaków. O jasnym już dniu pchor. „Marian” z kilku ludźmi wyjechał w kierunku zaimprovizowanej strzelnicy, aby przestrzelać steny. Oddział inspektora „Jacka” kwateruje w pewnej odległości od głównego obozu (około 2 km) i choć „Ponury” proponuje mu przesunięcie się bliżej, „Jackowcy” czują się tam bezpieczniej.

„Młot” tak wspomina ten tragiczny dzień:

28 X 1943 r. o świcie¹⁹⁷ Niemcy rozpoczęli oblławę, zmieniając dotychczasowy swój system. Dotychczas jedna grupa okrążała teren przypuszczalnego pobytu partyzantów, a druga przeczesywała las. W tej oblławie Niemcy wiedząc od zdrajców dokładnie o naszym położeniu zastosowali uderzenie plutonami do centrum naszego zgrupowania. Za plutonami uderzeniowymi Niemcy kroczyli ze sforą psów. Na początku oblawy nasz wartownik słyszał krótkie serie z broni ręcznej, lecz sądził, że jest to przestrzeliwanie broni, na którą czekaliśmy. Tam, skąd dobiegały odgłosy strzałów, była prowizoryczna strzelnica. Tymczasem były to pierwsze utarczki naszych ubezpieczeń z Niemcami. Niemcy zaskoczyli nasz oddział przed pobudką. Chłopcy w bieliznie łapali za broń i otwierali ogień. Nawała jednak ognia Niemców była tak gwałtowna, że oddział nie mógł się zebrać do skoordynowanej akcji. Toteż Niemcy, rażąc ogniem z bliska, kładli naszych jednego po drugim. W ostatniej niemal chwili chwyciliśmy z insp. „Jackiem” radiostację. Tuż za naszymi plecami rozerwał się granat zapalający słomę. Gdy wybiegliśmy z radiostacją, widzieliśmy jeszcze, jak ogniem bocznym z flanki broniła się obsługa naszego erkaemu, nie pozwalając Niemcom na przekroczenie strumyka. Rkm obsługiwali „Longin” i „Tadek”. Jednocześnie od czoła walkę granatami rozpoczął „Pomsta” – Jan Kwiatkowski, który jednak za chwilę poległ w momencie unoszenia się do rzutu następnego granatu. Nazwisko Jana Kwiatkowskiego było nazwiskiem przybranym, bowiem „Pomsta” był Żydem z Warszawy, skierowanym do nas przez Komendę Okręgu AK Radom – Kielce. Pseudonim „Pomsta” obrał sobie jako symbol pomsty za wymordowaną rodzinę w getcie warszawskim. Umilkł też nasz rkm napadnięty przez grupę Niemców z tyłu – zresztą obsłudze brakowało już amunicji. Zostało nas jeszcze pięciu. Insp. „Jacek”, „Zięba” – Władysław Ziach z Bieliny, „Mściciel” z Bielin – plut. „Olek” i ja. Ostrzeliwując się, przedarliśmy się w pobliże oddziału „Nurta”, którego kompanie już poderwały się do przeciwuderzenia¹⁹⁸.

¹⁹⁷ Nieścisle – uderzenie nastąpiło o 9.50 (a nie o świcie) na oddziały śpiące po całonocnych marszach (przyp. C.Ch.).

¹⁹⁸ Biul. Arch. Wrocław. Okr. ZBoWiD, nr 14 1964 r.; Jan Chłopecki, s. 19-20.

Przyczyną tak silnego uderzenia na grupy insp. „Jacka” było to, iż Niemcy spodziewali się w jedynym solidnym baraku tego oddziału odnaleźć komendę Zgrupowań. Ten błąd oraz desperacki opór „Jackowców” pozwoliły na zorganizowanie przez poszczególne plutony składniejszej obrony, choć i na nie od samego początku zwała się nawała ogniowa.

Latające nisko samoloty bijące z broni pokładowej i okładające rejony zajęte przez oddział wiązkami granatów powiększyły jeszcze zamieszanie.

Wśród kwiku przerażonych koni, huku pikujących nad lasem maszyn „Ponury” rozsyła konne patrole, aby zorientować się, skąd idzie główne natarcie. Nie muszą jednak daleko jechać, by się przekonać, że Niemcy zewsząd idą falami, otaczają Zgrupowania ze wszystkich stron i nacierają z niespotykanym impetem. Potem dopiero okazało się, że wśród otaczających jest także doborowy oddział SS, mający duże doświadczenie w walkach przeciwpartyzanckich.

Wiadomości Niemców dotyczące Zgrupowań były do tego stopnia dokładne, że wiedzieli, iż część ludzi od „Ponurego” ma panterki i kombinezony niemieckie. Dlatego też żołnierze formacji dokonujących pacyfikacji mieli – dla odróżnienia – podwinięte prawe rękawy.

Gwałtowny, niespodziewany nacisk ze wszystkich stron, żołnierze wyrwani ze snu – wszystko to powoduje, że o podjęciu zorganizowanej, kierowanej z jednego miejsca obrony nie może być mowy. Poszczególne oddziały lub nawet plutony czy drużyny podejmują ją na własną rękę. Główny cel to przebicie się przez kordon obławy. Nie jest to łatwe. Poza oddziałami uderzeniowymi SS, które teraz prowadzą walkę, Niemcy obsadzają na zapleczu leśne dukty, drogi i linie gniazdami broni maszynowej.

W czasie walki prowadzonej wręcz lub na odległość rzutu granatem czy zasięgu serii pistoletu maszynowego udaje się jakoś zebrać żołnierzy w dwie grupy. Jedna to zgrupowanie nieżyjącego „Robota”, oddział „Szorta”, nieco ludzi od „Grota”¹⁹⁹, „Jurka” i „Habdanka”. W skład drugiej wchodzi pozostałe oddziały zgrupowań „Nurta” i „Marianańskiego”²⁰⁰.

¹⁹⁹ W tym czasie oddziałem „Grota” dowodził już ppor. „Dzik” – Marian Świdorski, choć autor spotkał się także z relacjami, iż komenda była jeszcze przy ppor. „Michale”.

²⁰⁰ Wg „Antoniewicza”. Tymczasem ppor. „Habdank” w swej relacji twierdzi, że początkowo grupa przebijająca się była jedna, dopiero karambol z taborami, które ugrzęzły, rozdzielił kolumnę na dwa człony, działające później już niezależnie.

„Robotowcy” zmasowanym ogniem torują sobie drogę w tyralierze esesmanów i przebijają się przy stosunkowo małych stratach. Teraz trzeba tylko wysunąć gęste czujki do przodu i stu pięćdziesięciu ludzi przemyka lasem z palcem na spuście. Za każdym drzewem może być nieprzyjaciel. Oto jak relacjonuje wymykanie się z oblężenia „Antoniewicz”:

Dochodzimy do drogi Wąchock-Siekierno. Przed sobą mamy wąwóz. Po przejściu go wychodzimy na grzbiet i rozglądamy się uważnie. Żłani z terenem żandarmi byli prawie niewidoczni. Zobaczył ich pierwszy „Wilczyński”. Otwieramy ogień z Mp-ków. W tym czasie na naszą wysokość wysuwa się ze swym oddziałem chor. „Szort” i zajmuje stanowiska. Ogień nasz potężnieje i zamraża stanowiska żandarmów. Leżą bez ruchu twarzami do ziemi. Ich cekaem ryglujący drogę zdołał oddać tylko parę serii i zamilkł.

– Przeskakujemy drogę – krzyknął plut. „Żbikowi”, d-cy szperaczy, oraz chor. „Szortowi”.

Z przeciągłym okrzykiem hurra! hurra! oderwaliśmy się od ziemi i nie zaprzestając w biegu ognia przeskoczyliśmy w biegu drogę. Za nami biegly następne oddziały strzelając na skrzydła i wznosząc co chwila szturmowy okrzyk hurra!

Pierścień prysł i to nadszpedzowanie lekko [...]

W czasie przebijania się zginęli: „Barket”, „Pilot”, „Marynarz”, „Kolejarz”, „Sowa”²⁰¹ [...] Straciliśmy ponadto część taboru.

²⁰¹ Relacja nieścista. „Barket” i „Pilot” zginęli rzeczywiście w czasie obławy, „Marynarz” (Bronisław Spychaj) poległ trzy miesiące wcześniej, „Kolejarz” (Stanisław Cecko) został zabity w walce z Niemcami 15 VI 1943 r. k. Kobiałek, zaś z dwóch żołnierzy noszących pseudonimy „Sowa” jeden, Gruzin (NN), zginął dwa miesiące wcześniej (23 VIII 1943 r. lasy suchedniowskie), drugi (Ryszard Gugala) zmarł w 1990 r. „Antoniewicz” natomiast nie podaje rzeczywiście poległych w czasie obławy: m.in. strz. „Krakowiaka” i „Zawieruchy” (przyp. C.Ch.)

Poniosła również straty drużyna ochronna. W drodze na „strzelnicę” na Barwinku natknęli się na bezpośrednie ubezpieczenie sztabu obławy. Celna seria oddana przez „Mariana” zadaje Niemcom dotkliwe straty. Padło ich kilku, i to wyższych oficerów²⁰². Równocześnie jednak i „Marian” zostaje silnie ostrzelany. Z drużyny ochronnej zostają ranni: strzelec „Szyling” (Tadeusz Lange) oraz „Poranek”. „Szyling” wysunięty do przodu zdany jest na własne siły. Pozbawia się więc życia wybuchem granatu. Rannego „Poranka” unosi „Marian” z pola walki. Możliwości ratowania stenów oczywiście nie było. Wpadły w ręce żandarmów²⁰³.

²⁰² Brak potwierdzenia w dokumentach (przyp. C.Ch.).

²⁰³ *Próba zarysu*, s. 60.

Niepełna to relacja. Pierwszy dostrzegł Niemców – obsługę ukrytego cekaemu – idący na czele grupy przestrzeliwującej steny „Kolcik” – Julian Świtek. Padając posłał już pierwszą serię, która ścięła załogę cekaemu. Gdy pchor. „Marian” wynosił ranną „Poranek”, darzący dziewczynę sympatią „Kolcik” osłaniał go ogniem swego erkaemu. Na wycofanie było już za późno. Kilkakrotnie ranny, zmarł z upływu krwi.

Tymczasem z przeciwnego końca okrążenia stara się wydostać na czele małego oddziału „Ponury” ze sztabem. Walkę tej grupy tak relacjonuje w swoim liście „Orkan”:

„Ponury” rozkazuje nam pozostawić konie i całym zwiadem, łącznie z plutonem ochrony sztabu, przygotować się do przerywania okrążenia.

Jesteśmy dość dobrze uzbrojeni w broń maszynową. Na około 30 ludzi posiadamy 3 rkm polskie „browning” i „Smeissera” oraz 3 steny. Reszta uzbrojona w karabiny i pistolety krótkie. Mamy również trochę granatów.

Otrzymujemy zadanie: jako grupa szturmowa przebijamy się pod osobistym dowództwem „Ponurego” w miejscu, gdzie pierścien otaczających nas Niemców okaże się nieco słabszy. Ochramiamy sztab, dokumenty sztabowe oraz radiostację. Komendant wysłał oficerów swego sztabu do walczących kompanii por. „Robota” i „Nurta” z rozkazami zmiany kierunków natarcia. „Muszą za wszelką cenę odciągnąć uwagę Niemców od kierunku, na którym będzie się przebijał sztab” – rzecze.

„Ponury” jest bardzo spokojny. Nie widać po nim zdenerwowania. Tylko dobrze znający go mogą zauważyć, że intensywnie myśli, marszcząc nieznacznie swe czarne, krzaczaste brwi.

Walki są ciężkie. Chwilami słyszy się tylko nieprzerwany grzechot strzałów broni i detonacje granatów. Słychać od czasu do czasu głośniejsze stęknięcia strzałów z działek czołgowych. Na głowy sypie się igliwie i gałązki strącone pociskami. Nisko nad lasem przelatują samoloty, rzucając seriami lekkie bomby i kosząc na ślepo z broni maszynowej po lesie. Nieco wyżej nad nimi unosi się samolot obserwacyjny, zwany przez partyzantów potocznie „bocianem”.

Trudno powiedzieć, ile tych samolotów się kręci. Nie ma czasu na obserwację, bo już „Ponury” podrywa nas do szturm. Kto ma, zakłada bagnet na lufę karabinu, reszta kurczowo ściska w dłoni uchwyt pistoletu maszynowego lub niezawodny w takich walkach granat ręczny. Z boku przez huragan strzałów słychać gromkie hurra! hurra! i wybuchy granatów. „Ponury” krzyczy: „Naprzód, chłopcy, nie wolno nam się cofnąć!” W prawym ręku trzyma obronny granat angielski, w lewym odbezpieczonego visa.

Rzucamy się klinem do przodu. Na jego wierzchołku „Ponury” i „Tarzan”. Reszta przebiega za nimi, strzelając w biegu na boki. Zza pni i krzewów szują w naszym kierunku serie niemieckich peemów [...] Jesteśmy już prawdopodobnie poza łańcuchem otaczającej nas oblawy. Cichną strzały. Biegniemy. Pot leje się z nas ciurkiem. [...]

„Ponury” prowadzi na przełaj przez las. [...]

Dochodzimy do szerokiego, piaszczystego traktu. Patrol czołowy sygnalizuje, że droga wolna. Podchodzimy. Na trakcie widoczne dobrze świeże ślady gąsienic czołgowych. [...]

Nie wiem, jak długo maszerowaliśmy. Wreszcie zatrzymaliśmy się w wysokim, grubym starodrzewie. Zajęliśmy obronę okrężną [...]. Po pewnym czasie usłyszeliśmy pojedyncze strzały pistoletowe. Były jak gdyby odmierzane i było ich kilkanaście. Serce ścisnął nam bolesny skurcz. Tam na pewno mordują naszych kolegów, a my nie jesteśmy w stanie im pomóc. Niepokój o losy pozostałych oddziałów dobijał nas. Byliśmy zrezygnowani w tych chwilach do ostateczności. [...]

Leżymy tak do zmroku. Gdy zaczyna zapadać zmrok, linia bojowa zostaje ściągnięta. Zakładamy obozowisko, jeżeli to można nazwać obozowiskiem. Nie budujemy prowizorycznych szałasów z gałęzi, nie wolno palić ogniska, a nawet papierosów, nie wolno na krok odchodzić. Wokół naszego postoju stoją wzmocnione posterunki. Szykujemy się do spędzenia nocy.

W tej grupie, którą w relacji „Orkana” odprowadziliśmy aż do prowizorycznego obozowiska, nie było już „Ponurego”.

Zaraz po przecięciu traktu z wyraźnymi odciskami gąsienic czołgowych zwołał krótką naradę dowódców, których miał pod ręką. Rzuca myśl – zaatakować Niemców. Patrzą na niego zdumieni. Jak to? Dokoła czołgi, samoloty, przewaga nieprzyjaciela dziesięciokrotna, Zgrupowania rozproszone, w odskoku, a komendant chce atakować.

– Oczywiście – mówi „Ponury”. – Właśnie teraz, kiedy są pewni zwycięstwa, kiedy myślą, że nas rozpędzili.

Oddział, jaki ma do dyspozycji, jest niewielki, piąta część Zgrupowań, ledwie 80 ludzi, z tego jedna tylko zwarta grupa – niemal 40 żołnierzy ppor. „Jurka”, reszta to zbieranina z różnych zgrupowań. Decyduje więc szybko. On z oddziałem „Jurka” zostaje tu, reszta pod dowództwem wachm. „Tarzana” i ppor. „Leszka Antoniewicza” idzie na rezerwowe miejsce koncentracji [204](#).

[204](#) Wg relacji ppor. „Jurka” – Władysława Czerwonki.

„Ponury” tymczasem rozsyła trzech łączników mających odnaleźć umykającego „Nurta” z ludźmi i przekazać mu rozkaz zjawienia się pospiesznym marszem przy trakcie Wykus-Wąchock niedaleko zakrętu. Gdy oddział „Jurka” zwiąże Niemców ogniem, „Nurt” powinien uderzyć od tyłu.

Wojsko rozkłada się w zasadzce. Granaty pod ręką, magazynki i taśmy w czterech erkaemach i elkaemach założone, broń i ludzie zamaskowani. Leżą i czekają. Piaszczysty trakt pokryty odciskami gąsienic czołgów – w zasięgu rzutu granatem. „Ponury” spokojnie gryzie kawałek pożółkłej trawy. Żołnierze patrząc na komendanta odzyskują wiarę. Znow oni uderzają. To, co było rano, to zmienne koleje wojaczki. Ale i tak udało się – Niemcy zaatakowali z zasadzki siłą miażdżącą, wydawało się, że zagłada nieuchronna – a Zgrupowania mimo to się wywinęły. Teraz pokażą, co potrafią.

Deszcz się nasila, kwadrans mijają, a Niemców nie ma. Wreszcie na tyłach leżących szeleszczą gałęziami. Z lasu wychodzi dwóch żołnierzy od „Nurta”. Meldują „Ponuremu”, że Niemcy już przejechali, jedna grupa wróciła do Wąchocka, druga do Siekierny. Co prawda słyszeli niedawno strzały na Wykusie,

ale czy to Niemcy strzelali, czy nasi, nie wiadomo. Wobec nasilającego się deszczu, zapadającego zmierzchu i zmęczenia żołnierzy „Ponury” decyduje się zwinąć zasadzkę. W deszczowej szarówce oddział odmaszerowuje na nakazane wcześniej miejsce koncentracji.

Nie wszyscy jednak spędzili noc w tym prowizorycznym obozowisku. „Ponury” powierza dowództwo Zgrupowaniami przybyłemu właśnie „Nurtowi”, sam zaś staje przed dwuszeregiem zmęczonych, zziębniętych chłopców i krzyczy:

– Dwudziestu na ochotnika z broni maszynową, wystąp!

Komendant wzywa! Zmęczenie pryska w jednej chwili. Każdy, kto ma maszynkę, robi trzy kroki do przodu. Minie więc jeszcze sporo chwil, nim z tego ochotniczego tłumu wybranych zostanie dwudziestu. Tylko dwudziestu. Ci, którzy zostają, patrzą na wybrańców nieco spode łba. Bo furda tam zmęczenie, poniewierka, obławy. Komendant wzywa ochotników. Coś się dzieje. Przejmujemy inicjatywę. Nie złamali Niemcy swoim niespodziewanym atakiem bojowego ducha Zgrupowań²⁰⁵.

²⁰⁵ Wg relacji „Sowy” – Ryszarda Gugąły.

Tymczasem wydzielony oddział pod dowództwem „Ponurego” niknie w ciemnościach. Idą po omacku, lasem, objając się o niewidoczne w mroku pnie, chłostani giętkimi witkami krzaków o mokrych liściach. Dokąd? To chyba wie komendant, bo idzie pewnie, w szpicy, jak zwykł zawsze chodzić, tam, gdzie największe niebezpieczeństwo. Ci z chłopców, którzy są miejscowi, szepczą domyślnie:

– Tak jakby na Wykus prowadził.

Na Wykus? Niemożliwe. Toż tam Niemcy mogą być jeszcze z zasadzce. Ale Niemcy w lesie? W nocy? Oni przecież lasu się boją. Ale ci z dzisiejszej obławy byli jacyś dziwni, weszli nocą i wbrew swoim obyczajom siedzieli cicho, aż Zgrupowania zasnęły. I wtedy uderzyli.

A jednak! Teraz już wszyscy to widzą. Idą na Wykus. Coraz więcej znajomych elementów, i piaszczysty trakt z łagodnym lukiem zakrętu, którym każdy z nich przecież nieraz szedł na czujkę.

Od „kropki” wiatr niesie kwaśny swąd spalenizny. Do obozowiska chyba już blisko. Pół oddziału już jest w szpicy, peemy i steny, podane krótkimi głodnymi lufami do przodu, węższą, zerkają, aby wziąć odwet. Ale dokoła cisza. Tylko górą wiatr łomoce w konarach i z dala dochodzi trzask ognia.

Gdzieś od przodu, między pniami, miga lekka poświata. Księżyc? Nie. Delikatna jasność faluje, drga. Jest obozowisko. Tak, to ich własne ognie dopalają się, snują przy ziemi kity dymu, a ogniska rzucają dokoła nikłą poświatę z pełgających tu i ówdzie płomyków.

W ich blasku żołnierze widzą obraz zniszczenia. Rozsypane, wdeptane w błoto żandarmskimi butami wpółsurowe ziemniaki, których oni nie zdążyli ugotować, poprzechrzeliwane aluminiowe bańki na mleko, służące im za kotły do gotowania, nadpalone poszycia szałasów, rozbite niemieckimi granatami wozy taborowe ze złotą pszenicą rozsypaną z rozprutych worków. Gdzieś pod krzakiem tu i tam zwinięty kłębek ludzki. Odwracają go na wznak, ale szkliste oczy mówią, że na ratunek za późno. Ciężko na sercu, gula rośnie w gardle, ale i szczęki zwierają się w mściwym grymasie.

– „Sowa”, połowa stanu na czujki dwieście metrów od obozu – poleca „Ponury” spokojnym głosem.

– Taa jest – zwiera obcasy mokrych, rozkładanych kapci żołnierz. Od obozu! Tak powiedział komendant. A więc Niemcy nie przepędzili nas stąd raz na zawsze. A więc jest nadal obóz. Wykus ukochany. Co prawda dziś sponiewierany, poraniony, ale znów odzyskany. Nasz...

Idą więc chłopcy znanymi sobie ścieżkami jak co noc na czujki, „Sowa” prowadzi ich pewnie. A „Ponury” dorzuca do jednego z przygaszonych ognisk garść mokrych gałęzi i tu i tam bucha płomyk, rośnie, rzuca na czarne drzewa jasne plamy. Biegający po pochylonej twarzy „Ponurego” szybki ich ruch sprawia wrażenie, jakby nieruchoma twarz komendanta drgała.

Mżawka zaczyna szumieć po liściach. Dym szczypie w oczy, ale mimo to chłopcy, zbici w gromadkę, skupiają się przy ogniu, grzeją zgrabiałe, wyciągnięte ku płomykom dłonie. Ktoś znalazł na dnie

postrzelonej konwi nieco wody, przyciągnął do ogniska i oparł blachę o pulsujące żarem głownie, przysiadł i – jak inni – zamarł w bezruchu.

Cisza, tylko wiatr szumi w konarach. Któryś mlasnął głośniej jedząc półsurowego kartofla. Inni bezgłośnie żują mokre, zmieszane ze ściółką, ziarna pszenicy.

Milczą. Po co tu przyszli? – myśli niejeden. Bo komendant kazał – to jasne. On na pewno wie. Nie ich, prostych żołnierzy, pytać komendanta.

– Pewno się zastanawiacie, po co tu przyszliśmy? – zapytał naraz „Ponury”.

Skąd on to wie? Przecież tylko myśleli.

– Powiem wam. Bo Wykus jest nasz, nie ich. Rozproszyli nam chłopaków, którzy teraz, gdy Niemcy odeszli, będą nas szukali. Tu nas będą szukali, na Wykusie, w naszym domu – mówi cicho, ale z narastającą mocą „Ponury”. – Nie wolno, aby dom zastali pusty.

Wstaje powoli, oświetlony od dołu pełgającymi płomykami na tle czarnego nieba. Obserwującym go chłopcom zdaje się być olbrzymem. A on podnosi obie dłonie do ust i krzyczy pełną mocą potężnych piersi:

– Żołnierzeeee! W obozie jest wasz komendant „Ponury”!

Ponury! Ponury! Ponury! – powtarza między konarami cichnące echo.

Komendant powoli opada do przysiadu. Znow cisza. Któryś dorzucił nieco gałęzi do ognia, widać suchszych, bo płomień się ożywił i buchnął jasnością i ciepłem. Zaszczypało gorąco w wyciągnięte, zgrabiące dłonie, więc je cofnęli. I tak...

– Stój! Kto idzie?

Okrzyk czujki, niegłośny przecież, podziałał jak granat rzucony w ognisko. Rozproszyli się w mgnieniu oka i przywarłszy do mokrych pni, szczęknęli zamkami automatów.

W ciemności, tam gdzie czujka okrzyknęła kogoś, coś szeptało, szeleściło gałęziami.

– Chłopaki! Pomóżcie! – domaga się czujka.

Na ruch ręki komendanta podrywa się do ciężkiego biegu „Sowa” i jeszcze jeden z chłopców. Reszta wychodzi zza drzew i grupuje się znow przy ognisku.

Od czujki trzeszczą gałęzie. Ktoś idzie. To „Sowa” z kolegą i ktoś trzeci, zwisający im u ramion. W kręgu ognia widać twarz trupią, zieloną, oczy przymknięte i tylko spazmatyczny dygot ust wskazuje, że ten ludzki strzęp żyje. Chłopcy tymczasem sadowią marę jak najbliżej ciepła. Właśnie to ciepło powoduje, że otwiera oczy i chwilę błądzi dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Wyciąga następnie zielone, rozdygotane dłonie do ognia, a z rękawów, z nogawek, z butów cieknie woda.

– Ja go znam – szepcze jeden z chłopaków. – To ze zgrupowania komendanta „Mariańskiego”.

Rozdygotany człowiek wodzi po nich mętным spojrzeniem, a gdy dostrzega „Ponurego”, przytomnieje i tak jakby chciał podnieść osłabłe ciało, ale komendant powstrzymuje go ruchem ręki. Nieśmiały, nikły uśmiech łamie fioletowe usta i mara przez dygot zębów szepce:

– Ppan... kkomendant... „Pponury”...

– Dajcie mu się napić czegoś ciepłego – mówi komendant przez zduszone gardło.

Wysączają więc z przestrelonej bańki resztki już podgrzanej, buchającej parą wody. Żołnierz nie jest w stanie utrzymać jej z bezsilnych rękach, wlewają więc z manierki w usta. Powoli jednak dygot ustaje. Chłopcy ze stosu nie dopalonych przez Niemców sortów mundurowych zdobytych jeszcze przez „Robota” w Końskich wygrzebują najmniej dziurawe suche spodnie i kurtkę, zdejmują z przybysza przemoczoną odzież, rozcierają czym się da, aż człowiek jęczy z bólu. Sine ciało jednak nabiera normalnej barwy. On zaś, opanowawszy już dygot ust, opowiada.

Gdy Niemcy uderzyli, prosto ze snu rzucił się tam, gdzie słyszał głos swego komendanta – „Mariańskiego”. Ale wszędzie, gdzie szedł, byli napastnicy. Gdy więc stracił nadzieję przedarcia się,

runął w potok i wczuł się pod brzegowy nawis. Tam, w lodowatej wodzie, przeleżał piętnaście godzin. Widział i słyszał wszystko. Bój, przebijanie się chłopców, potem panoszenie Niemców w zdobytym obozie, palenie zimowych zapasów, żywności, mundurów, które przywieźli „Robotowcy”. Słyszał, jak wybuchy granatów rozsadały taborowe wozy, a pojedyncze strzały skracały mękę konania kolegów. Dwa kroki od niego żandarmi myli w strumieniu pokrwawione ręce i narzekali, że im grabieją, a on zanurzony po szyję tracił przytomność i znów ją odzyskiwał.

Ocknął się, gdy było już ciemno, dokoła zalegała martwa cisza, tylko ciężki dym snuł się przy ziemi. Kilka kroków od jego kryjówki ktoś chodził. Był przekonany, że to nadal Niemcy. I naraz z oddali usłyszał głos:

– Żołnierze! W obozie jest wasz komendant „Ponury”!

Raz kozie śmierć – pomyślał. Było mu już wszystko jedno. Postanowił wyjść, przekonany, że jest to raczej niemiecka prowokacja. Ale wolał kulę niż śmierć z zamarnięcia. Długą chwilę mocował się z bezwładem ciała i niewysokim przecież brzegiem strumienia. Wreszcie wypełznął z wody.

A gdy usłyszał:

– Stój! Kto idzie? – po polsku, wiedział już, że to nie zasadzka. Zemdlał.

Słuchali w milczeniu tragicznej opowieści. Ogień syczał i trzeszczał. Czekali. Nikt nie przychodził. Komendant podniósł się, poderwało się od razu dwóch, trzech, ale ruchem ręki kazał im zostać. Zniknął w ciemności i dość długo go nie było.

Gdy wrócił, miał w ręku mokry mapnik. Prawda, przez cały czas obławy nie widzieli go u komendanta. Były tam ważne papiery i talizman – klucze pińskiego więzienia.

Nikt ich nie widział na oczy, ale wielokrotnie słyszeli, jak podzwaniały cicho, gdy w marszu komendant przechodził obok.

– Możesz iść? – zapytał dziwnie cicho „Ponury”.

– Spróbuję, panie komendancie – odparł ciągle dygocący żołnierz i spróbował się podnieść, ale musieli go podeprzeć mocnym ramieniem, nim stanął na nogi.

„Ponury” spojrział na zegarek.

– Chyba już nikt nie przyjdzie. Północ minęła. Jutro pochowamy zabitych. Ściągnąć czujki.

A gdy zebrali się znów całą grupą, powiedział:

– Na wiosnę tu znów wrócimy! „Sowa”, prowadź szpicę.

Czarny las ich pochłonał.

*

Tak oto zakończyła się trzecia, a jednocześnie najcięższa obława na „Ponurego”. I tym razem udało się wymknąć z zastawionej pułapki, ale nie było to tak bezkrwawe jak lipcowe odskoczenie z Wykusu czy też wrześnieowy finał na Barwinku.

Przeciwko prawie czterystu całkowicie zaskoczonym partyzantom „Ponurego” Niemcy rzucili siły dziesięciokrotnie większe, i to nie rozproszone po kompleksie leśnym, ale dokładnie podprowadzone pod samo obozowisko. Składały się one z jednostek OFK 603 Wehrmachtu z Kielc, zmotoryzowanego batalionu żandarmerii oraz zapasowego batalionu 17 pułku policji SS, w sumie około 3,5 tys. ludzi, wspieranych lotnictwem (jeden samolot zwiadowczy i trzy szturmowe). Akcja stanowiła część składową antypartyzanckiego działania okupanta w jesieni 1943 roku, określonego kryptonimem „Memel”. Informacje podawane przez wywiad AK, że w obławie na Wykusie uczestniczyło ponad 12 tysięcy Niemców oraz 12-15 samolotów, nie odpowiadają prawdzie.

Również i strona niemiecka użyła w swych raportach mnożnika w porównaniu ze stanem faktycznym. Meldunek DOWGG z 29 X 1943 roku podaje, że w czasie akcji sił policji i Wehrmachtu w dniu poprzednim na Wykusie padło osiemdziesięciu czterech „bandytów”, siedmiu zaś ujęto [206](#) przy stratach

własnych wyrażających się liczbą siedmiu rannych i ani jednego zabitego. Są to dane tendencyjne. Po stronie partyzanckiej padło – u inspektora „Jacka” dwudziestu siedmiu ludzi²⁰⁷ na trzydziestu sześciu w oddziale, w Zgrupowaniach „Ponurego” zaś nie doliczono się jedenastu żołnierzy, łącznie z rannymi, a następnie dobytymi – w sumie trzydziestu ośmiu. O żadnych ludziach ujętych nikt nic nie wie.

²⁰⁶ W żadnych relacjach czy dokumentach partyzanckich autor nie znalazł potwierdzenia faktu ujęcia i niezastrzelenia na miejscu 7 partyzantów. Ten fragment meldunku niemieckiego wydawał się przez ponad 40 lat zmyślony. Dopiero list p. Adolfa Żmijewskiego (w czasie obławy 16 letniego mieszkańca wsi Mostki koło Suchedniowa) fakt ten potwierdził. Wg relacji p. Żmijewskiego (list z 23.12.1985) 28.10.43 rano do lasu na Wykus po drewno pojechał jego starszy brat Władysław i szwagier Roman Herman. Niemcy w czasie obławy ogarnęli ich także i trzymali do sprawdzenia w areszcie w Starachowicach. Tam spotkali oni 7 złapanych na Wykusie partyzantów, których Niemcy po kilku dniach mieli otruć. Zwolnieni z więzienia brat i szwagier opowiedzieli o tym p. Żmijewskiemu.

²⁰⁷ Ppor. „Wojtek – Piotr Michta, łączniczka „Emilia” – Maria Marchewka (z. d. Adamska – nauczycielka ze wsi Wilki), jej brat „Longin” – Tadeusz Adamski, trzej bracia Pałysiewiczze, synowie Jana: „Andrzej” – Kazimierz, „Mikołaj” – Antoni i „Rom” – Roman, trzej bracia Iwanowie: „Skała” – Józef, „Tadek” – Adam i „Zdzich” – Antoni, dwaj bracia Zacharscy; „Józek” – Stefan i „Jastrząb” – Andrzej oraz „Bruno” – Bronisław Gil, „Budrys” – Witkowski (nauczyciel z Łomna), „Jurand” – Stanisław Waciński, „Krzych” – Stanisław M. Malarecki, „Klucz” – Bolesław Mąka, „Mariusz” – Marian Marchlewski, „Marek” – Józef Sańpruch, „Marian” – Marian Cieślak, „Sokół” – Tadeusz Gołębiowski, „Wacek” – Roman Kasza, „Wicek” – Władysław Okulski, „Zmora” – Jan Kwiatkowski, oraz 4 żołnierzy NN o zapamiętanych pseudonimach: „Pomsta”* (Żyd z Warszawy), „Zygmunt” (sanitariusz z Poznania), „Mietek” i „Stach”. Ocaleni z tej bitwy: dca oddziału, inspektor „Jacek” – por. inż. Jan Kosiński, zca dcy ppor. „Młot” – Jan Chłopecki, „Boryna” – Bolesław Matla, radiotelegrafista „Mściciel” – Michał Basa, „Kruk” – Władysław J. Hajdenrajch, „Olek” – Walenty Ziach, „Paw” – Stanisław Iwan, „Sokół I” – Kazimierz Rybczyński i „Konrad” – NN (z Kielc).

Odtworzono na podstawie materiałów własnych autora (dane od ppor. „Młota” – Chłopeckiego) oraz listu p. T. Majcherczyka z Kielc. Z innej korespondencji wynika, iż wśród poległych był także „Alfred” – Antoni Domagała.

* Śmierć „Pomsty” na Wykusie kwestionuje część korespondentów autora, podając, iż w początkach listopada 1943 miał on przejść do oddziału „Barabasza” – Mariana Sołtysiaka i tam zginąć, a jego śmierć jest opisana w książce Andrzeja Ropelewskiego.

Straty niemieckie zostały w meldunku DOWGG bardzo zmniejszone. Według relacji ludzi obserwujących ewakuację rannych i zabitych przez jednostki sanitarne, po stronie niemieckiej było ponad dwudziestu zabitych i około trzydziestu pięciu ciężko rannych²⁰⁸.

²⁰⁸ Według danych dostarczonych przez wywiad Komendy Okręgu Ak straty niemieckie wynosiły około stu zabitych i rannych. (Biuletyn Informacyjny, nr 48 z 2 XII 1943 r.).

Mimo iż zestawienie strat obu stron wypadła na niekorzyść leśnego wojska, okoliczności walki oraz porównanie sił zaangażowanych wskazują na wybitnie szczęśliwe jej zakończenie dla „Ponurego”.

Oddziały „Ponurego” poniosły jednak dotkliwie straty w ciężkiej broni oraz dobytku. Przepadły steny z Suchedniowa oraz oba cekaemy Zgrupowań, a także wszystkie wozy z końmi. Trzeba pamiętać, że w taborach zgrupowania „Robota” znajdował się cały dobytek zagarnięty w czasie akcji na pociąg pod Wólką Plebańską i zdobycz, jak kombinezony, bielizna, koce itd. W kilka dni później Niemcy sprzedawali na stadionie sportowym w Starachowicach wozy taborowe zabrane na Wykusie.

Sposób przeprowadzenia tego działania wskazywał, że nieprzyjaciel doskonale wiedział nie tylko o miejscu i czasie koncentracji Zgrupowań, ale nawet o sposobie rozstawienia placówek. Wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom weszli do lasu w nocy i przesiedzieli w nim aż do rana w bezpośredniej bliskości biwaków, przepuszczając bez zatrzymania liczne placówki i patrole.

Z zachowanych dokumentów niemieckich wynika, że i tym razem dokładne rozeznanie uzyskano dzięki pracy referatu gestapo skarżyskiego, kierowanego przez bezpośredniego szefa „Motora” – SS-Scharführera²⁰⁹ Franza Czoka. Sam „Motor” w czasie badania przyznał się do naprowadzenia i tej obławy.

²⁰⁹ Plutonowy.

Na drugi dzień po walce zgrupowania „Nurta” i „Mariańskiego” wracają na miejsce walki i

przetrasając dokładnie teren. Znajdują zmasakrowane zwłoki swych kolegów. Widać, że ofiary dobijano kolbami lub strzałem w oko. Wśród poległych znaleziono „Zjawę”, siostrę jednego z dowódców – por. „Habdanka” – która ciężko ranna podzieliła los kolegów.

„Ponury” decyduje się odskoczyć na jakiś czas z okolic Wykusu i nakazuje koncentrację w rejonie Szczytniaka, o kilka kilometrów od swej rodzinnej wioski – Janowic. Tam to podążają zgrupowania „Nurta” i „Mariańskiego”. Por. „Kmicic”, dowodzący od dwóch tygodni zgrupowaniem „Robota”, otrzymuje rozkaz przejścia w Koneckie, skąd pochodzi większość jego żołnierzy i zamelinowania ich tam na okres nadchodzącej zimy; z resztą „Kmicic” ma dołączyć na Szczytniak.

Na szczycie wzgórza meldują się wszyscy rankiem 11 listopada. Choć od obławy minęło już dwa tygodnie, żołnierze są przygnębieni – przede wszystkim stratą tyłu kolegów, ale także tym, że nieprzyjacielowi tak łatwo i niepostrzeżenie udało się podejść pod samo obozowisko.

Pewną poprawę w nastrojach wprowadza przybycie na koncentrację świetnie prezentującego się czterdziestoosobowego oddziału por. „Szarego”, dotychczasowego komendanta podobowodu iłżeckiego.

Wśród mżącego deszczu i szumu opadających liści, w listopadową rocznicę odzyskania niepodległości ksiądz „Jaskólski”, kapelan Zgrupowań, odprawia mszę przy polowym ołtarzu. Drugim wydarzeniem dnia jest likwidacja leśniczego ze Słupi – Stefana Charabina – zdemaskowanego jako agenta gestapo (zbieżność nazwisk z niańką dzieci inż. „Korebki” zupełnie przypadkowa).

Po dwudniowej koncentracji zgrupowania idą znów w swoje rejony działania. „Kmicic” dalej melinuje w Koneckiem, „Szary” wraca w rejony Iłży, „Nurt” i „Mariański” zaś po kilkudniowym odpoczynku w Hutach, w rejonie Łysogór, przechodzą w lasy osieczyńskie.

Niemcy są doskonale zorientowani w nastrojach wśród żołnierzy, a także w stosunkach panujących między Okręgiem a „Ponurem”. Wiedzą, że partyzanci cierpią głód. Starają się więc wykorzystać i tę szansę. Na ich rozkaz służba leśna rozlepa w drugiej dekadzie listopada następujące obwieszczenie:

Chłopcy z lasu!

Walka Wasza jest bezsensowna. Sprawa Wasza jest stracona. Dziś możecie jeszcze uratować Wasze życie. Kto się do dnia 26.11.43 godz. 15.00 dobrowolnie zgłosi w starym klasztorze w Wąchocku, u księdza proboszcza Chrzanowskiego²¹⁰ będzie ulaskawiony i otrzyma ważne dowozy²¹¹ osobiste i będzie zapośredniczony do pracy w Gubernatorstwie. Na ulaskawienie nie mogą liczyć tylko ci, którzy was w to nieszczęsne położenie wprowadzili: Ponury, Nurt i Marianki²¹².

²¹⁰ Błędy w oryginale (przyp. C.Ch.).

²¹¹ Błędy w oryginale (przyp. C.Ch.).

²¹² Błędy w oryginale (przyp. C.Ch.).

Dowództwo SS i Policji Dystryktu Radomskiego

Na apel ten zareagował tylko jeden z nowo zwerbowanych żołnierzy. Niemcy przypuszczając, że jest to człowiek nasłany dla sprawdzenia, ile jest prawdy w ich obietnicach, puścili go wolno. W pół roku później zgłosił się do oddziału „Szarego” i walczył w czasie koncentracji w szeregach 2 Dywizji AK.

„Ponury” po rozestaniu zgrupowań zakłada swoje m.p. w Milejowicach pod Witosławską Górą, tuż obok Szczytniaka. Od czasu obławy kontakt z Okręgiem został zerwany i mimo kilkakrotnych prób nawiązania go przez „Ponurego” skrzynki kontaktowe nie mają mu nic do przekazania. Nie zjawia się również por. „Motor”, nie mogąc – jak się później okaże – na szczęście dla leśnego wojska, złapać kontaktu z komendantem. W tej sytuacji „Ponury” postanawia wyjechać do Warszawy, aby w drodze bezpośrednich rozmów z płkiem „Nilem” wyjednać pomoc dla swych żołnierzy przed nadchodzącą zimą.

Nie był jednak pewien, jakie będą wyniki interwencji i dlatego już od połowy listopada postanowił odesłać do domów i na meliny tych wszystkich ludzi, którzy nie byli jeszcze całkiem spaleni, pozostawiając jedynie mały, ruchliwy oddział i z nim próbując przetrzymać; na wiosnę miał zamiar zebrać wojsko na nowo. Ale rozpuszczenie około dwustu pięćdziesięciu żołnierzy do domów, i to w sposób możliwie zakonspirowany, aby ich nie narazić na aresztowanie, nie należało do przedsięwzięć łatwych. Większość z nich nie miała dokumentów – część tylko pochodziła z okolicznych wsi czy

miasteczek, reszta zaś wychodząc z lasu musiała korzystać z uczęszczanych i często kontrolowanych szlaków komunikacyjnych. Wszystko to nastroczało masę problemów i kłopotów.

Na pierwszy ogień skierowano najtrudniejszą do zamelinowania grupę warszawską, pozbawioną w okolicy rodzin, a więc z konieczności zmuszoną do szukania oparcia w okupowanej stolicy.

„Korebko” wydany

Na przełomie listopada i grudnia 1943 roku główne działania ludzi związanych z oddziałami „Ponurego” przeniosło się do Warszawy. Tutaj też miały miejsce ważne wydarzenia.

Od kilku już miesięcy mieszka w Warszawie Kessler, który przeniósł się tu z Radomia. Ma większe możliwości wywiązywania się ze zleconych mu przez gestapo zadań – rozpracowania Armii Krajowej. Ze znalezieniem mieszkania nie miał kłopotów. Jego ówczesny adres warszawski brzmi: Krochmalna 51213.

[213](#) Nie udało się ustalić w jaki sposób Kessler wszedł w posiadanie tego mieszkania. W notatniku „Motora” znaleziono wśród innych telefonów również nr 666-23. Według wyjaśnień złożonych badającym go oficerom oddział „Nurta” był to numer telefonu Józefa Kesslera, którego mieszkanie było warszawską meliną „Motora”. Tymczasem w książce telefonicznej z 1943 r., według stanu na dzień 1 sierpnia 1942 r. (Amatliches Fernsprechbuch für den Distrikt Warschau 1942), telefon 666-23 ma Helena Ciszewska, zam. Krochmalna 51. Do dziś nie wiadomo, w jaki sposób mieszkanie i telefon Heleny Ciszewskiej przejął Józef Kessler.

Adres ten ustala bez żadnych wątpliwości pismo wywiadu KG AK, którego patrol inwigilowały Kesslera. W swych zeznaniach moment przeniesienia do Warszawy Kessler określił: na wiosnę 1943 roku.

W jesieni 1943 roku nastąpiło kolejne spotkanie „Motora” z Kesslerem. Ten ostatni wyraźnie rozdziela sierpniowe spotkanie w sprawie samochodu oraz to jesienne. Z objawów radości, jakie temu towarzyszyły, wynika, że oba dzielił pewien czas, a zestawienie z innymi dokumentami pozwala ustalić datę drugiego na koniec października. Oto jak je relacjonuje Kessler[214](#):

[214](#) Zeznanie przed oficerem śledczym z dnia 11 IX 1951 r., s. 10-11.

Spotkałem na punkcie kontaktowym – róg 6 Sierpnia i Mokotowskiej – „Motora”. Kiedy mnie zobaczył, bardzo się ucieszył. Z punktu kontaktowego udaliśmy się z „Motorem” do mojego mieszkania przy ul. Krochmalnej – nr nie pamiętam – gdzie rozmawialiśmy na tematy ogólne. Od tej chwili był u mnie bardzo częstym gościem tworząc sobie u mnie punkt kontaktowy, zawierając bliższą znajomość z żoną, która zezwoliła mu na stałe używanie mieszkania. Trwało to tak przez kilka miesięcy. Po kilku miesiącach przyjechał „Motor” z podróży i powiedział, że ma do mnie bardzo ważną sprawę. Zamknąwszy się w pokoju w moim mieszkaniu tylko ze mną, zaczął mi opowiadać o swoim życiu i w końcu nadmienił mi, że kiedyś jego dowódca oddziału pozostawił go samego jako rannego, gdzie był złapany przez Niemców. Nie wymieniał ani oddziału, ani miejsca i czasu. Zaproponowali mu rozstrzelanie albo współpracę na odcinku wspólnego zwalczania komunistycznych oddziałów leśnych. Wobec takiego postawienia sprawy zgodził się na współpracę i zapytał mnie, czy ja nie uważam, czy lepiej byłoby pójść na całkowitą likwidację oddziałów komunistycznych, a zaprzestać walki z Niemcami.

Jak widać z przytoczonych fragmentów, Kessler ma zupełnie inne miary czasowe. To, co dzieliły dni lub najwyżej tygodnie, u niego się mierzy kilku miesiącami. Również wersja o wzięciu rannego „Motora” przez Niemców i skłonieniu go do współpracy jest absolutnie nieprawdziwa. „Motor” nigdy nie był ranny, nigdy w ręce niemieckie się nie dostał, a co najważniejsze – właśnie Kessler, według zeznania samego „Motora”, skontaktował go z gestapo równo pół roku wcześniej, na przełomie lutego i marca 1943 roku.

W każdym razie Kessler przyznaje się, że już w jesieni 1943 roku wiedział o współpracy „Motora” z gestapo.

Jak już tu wspomniano, zaraz po październikowej obławie na płka „Nila” w młynie Cioka ppor. B. poprosił szefa Kedywu o przeniesienie do Warszawy, do Komendy Głównej, co zostało zaakceptowane. W jesieni zjawił się i on sam w Warszawie. Zamieszkał u Józefa Kesslera przy ul. Krochmalnej 51215.

[215](#) Ppor. B. utrzymuje, że adres otrzymał tuż przed odjazdem z Kielecczyny od „Ponurego”. Tymczasem znając antagonizmy między obu oficerami trudno dać temu wiarę. Bardziej prawdopodobne jest, że adres podsunął ppor. B., powołując się na „Ponurego”, „Motor” w trakcie odwożenia go samochodem do Warszawy.

Od prawie półtora miesiąca przebywa też w Warszawie inż. „Korebko”, którego nie udało się Niemcom złapać w czasie likwidacji fabryki suchedniowskiej.

„Korebko” pozostaje do bezpośredniej dyspozycji wydziału przemysłu zbrojeniowego KG AK oraz

szeffa Kedywu, płka „Nila”, który ma z nim jednostronny kontakt. W konspiracyjnym lokalu przy ul. Zgoda 7 dalej wykonuje rysunki broni oparte na uratowanym z Suchedniowa komplecie dokumentacji.

Jedna rzecz ciągle go jednak niepokoi – brak dobrych dokumentów dla rodziny oraz jego ludzi. Sam otrzymał autentyczną kenkartę na nazwisko Czernski i takich samych domagał się od konspiracji dla rodziny. Kilkakrotnie proponowano mu podobno doskonałe falsyfikaty, ale odrzucał te propozycje. Chciał mieć autentyki, których nie zakwestionuje byle żandarm.

Pierwsze spotkanie „Korebki” z łączniczką warszawskiej bazy „Ponurego” nastąpiło 28 października – przysłała na nie niespodziewanie w towarzystwie ppor. B. Według relacji inż. „Korebki”, w czasie rozmowy przeprowadzonej w cztery oczy zastrzegła, aby ppor. B. nie wtajemniczać w szczegóły dotyczące siatki kontaktowej między inżynierem a nią, i wyjaśniła, że ppor. B. wzięła z sobą wyłącznie dlatego, że znał już „Korebkę” z Kielecczyny. Mimo tego zalecenia doszło do kilku spotkań obu mężczyzn; „Korebko” twierdzi, że ppor. B. obiecywał mu dostarczenie dokumentów, ten zaś utrzymuje, że starał się na prośbę inżyniera załatwić mu posadę.

Kolejne spotkanie w sprawie kenkart wyznaczono na 9 grudnia. Tym razem miała to być ostateczna data. Dotychczasowe doświadczenie raczej zniechęciło inżyniera i nakazywało rezerwę wobec takich „ostatecznych” terminów, ale sprawa sześciu prawdziwych dokumentów tożsamości była zbyt ważna, aby nie wykazać maksimum cierpliwości, choć przeciąganie sprawy zaczynało wydawać się podejrzane. Dlatego nie można powiedzieć, aby na kolejny kontakt „Korebko” udał się pełen optymizmu i wolny od złych przeczuc. Jeszcze raz dokładnie przejrzał swój portfel, usuwając z niego wszelkie zbędne papiery, po głębokim namyśle wrzucił do ognia notatnik, w którym było kilka numerów telefonicznych i adresów, i wreszcie zdecydował się z całkowitym rozmysłem na rzecz dyskwalifikującą konspiratora – na spotkanie wyszedł spóźniony o całą godzinę.

Poszedł szybkim, zdecydowanym krokiem pod wskazany adres na Zielną 15. Było mroźno, pośpiech więc miał tę dobrą stronę, że rozgrzewał. Poza pustym portfelem, własną kartą rozpoznawczą i sześcioma zdjęciami do nowych dowodów nie miał przy sobie nic.

Z rozmachem skręcił ze Złotej w Zielną i tu, zaraz za rogiem, o mało nie wpadł na „Motora” stojącego w grupce nie znanych „Korebce” osób. Ten na widok inżyniera wyraźnie się zmieszał, ale trwało to dosłownie sekundę, a w chwilę potem z cwaniackim uśmieszkiem kiwnął „Korebce” głową i powrócił do przerwanej rozmowy. Z jego rozmówców jeden zwracał na siebie uwagę prawie dwumetrowym wzrostem.

Ten się tu pęta nie wiadomo po co – pomyślał inżynier.

Nie darzył nigdy „Motora” specjalną sympatią, jego wulgarność i pozbawiony wszelkich elementarnych form grzeczności stosunek do kobiet mógł nie budzić niechęci tylko u ludzi o bardzo małych wymaganiach. Był jednak „Motor” człowiekiem odważnym, wypróbowanym w walce i doskonale spełniającym swe niełatwe zadania kurierskie, zlecane przez „Ponurego”, o których przecież „Korebko” wiedział.

Dlatego też poza odruchem niechęci spotkanie to nie zwróciło, niestety, uwagi „Korebki”. Dopiero widok samochodu ze znakami policyjnymi, stojącego dwa domy za miejscem kontaktu, wywołał niepokój. Wóz jednak był pusty, dyskretna obserwacja ulicy nie potwierdziła obaw, „Korebko” więc gotów był wszystko przypisać napięciu nerwowemu.

Ostrożnie, rozglądając się wokoło, wbiega na półpiętro i tu naciska guzik dzwonka umówionym sygnałem. Drzwi otwiera ppor. B.

Inżynier wchodzi do pokoju i od drzwi zadaje pytanie:

– Przed domem stoi wóz policyjny, co oni tu robią²¹⁶?

²¹⁶ Opis rozmowy oparty na relacji inż. „Korebki”.

– Albo to mało w Warszawie kręci się wozów policyjnych? – odpowiada ppor. B.

Nie można odmówić słuszności temu rozumowaniu, odpowiedź uspokaja więc inżyniera. Bo jeżeli podporucznik, będący o wiele częściej gościem w tym lokalu, nie niepokoi się wozem stojącym przed domem, to dlaczego ma to przerażać „Korebkę”?

Rozmowę przerywa umowny dzwonek u drzwi. Po chwili wchodzi do pokoju „Motor”. Wita się z inżynierem, zaciera ręce, gdyż na dworze zimno jak diabli, psioczy na pogodę i zwraca się do ppor. B.

– Długo tu jeszcze będziesz siedział czy już idziesz?

– Już skończyliśmy, zaraz wychodzą – odpowiada podporucznik. – Panie inżynierze – zwraca się jakby z namysłem do „Korebki” – zaniepokoił mnie jednak ten wóz, o którym pan mówił. Proponuję, abyśmy nie wychodzili stąd w trójkę. Może najpierw wyjdę ja z Jurkiem, a pan po nas. Tak będzie bezpieczniej... dla pana.

Cały niepokój i nieufność odzywa się w inżynierze ze zdwojoną siłą.

– O nie, nie – oponuje. – We trójkę będzie nam raźniej. Idziemy razem – kończy z twardą nutą w głosie.

– Jak pan sobie życzy – rozkłada ręce podporucznik.

Wtedy to „Motor” rzuca myśl, że wyskoczy naprzeciwko, aby kupić oleju do samochodu, a przy okazji rozejrzy się, czy w okolicy spokojnie. Obaj mężczyźni przystają na tę rozsądną propozycję, a gdy „Motor” wraca i anonsuje, że na ulicy spokój, opuszczają lokal.

Schodzą do bramy na parterze, następnie wyglądają na zewnątrz: wóz nadal stoi, dokoła gwarna ulica, nic nie wskazuje na łapankę, na napięcie, tak łatwo wyczuwalne w okupowanej stolicy. Idą więc spokojnie ku Chmielnej, „Korebko” w środku, „Motor” i ppor. B. po bokach, „Motor” jest jakiś podniecony, wesoły, rozmowny, w pewnej chwili proponuje podporucznikowi zmianę miejsc i ku zdziwieniu nic nie rozumiejącego „Korebki” przechodzi bliżej jezdni, ppor. B. zaś zajmuje miejsce pod rzędem kamienic²¹⁷. Inżynier chce zapytać, co to za figurowe spacerki, ale już nie ma czasu. Wszystko teraz rozgrywa się w oszołamiającym tempie.

²¹⁷ Ppor. B. w rozmowie z autorem w 1968 roku potwierdził ten fakt. Tłumaczył odruch „Motora” tym, że wiedział on, iż ppor. B. po kontuzji odniesionej w 1939 roku niedosłyszał na jedno ucho.

Z pijackim bełkotem ktoś zatacza się na nich i ratując przed upadkiem obejmuje ramieniem „Korebkę”, tak że ten nie może się ruszyć. Chłopisko to potężne – tak, to niedawny rozmówca „Motora” z rogu ulicy. Inżynier szarpnął się, ale tamten zaciska uchwyt, a już z boku wyskakuje dwóch, czterech, sześciu, wykręcają ręce, rzucają na chodnik. Chłodny dotyk metalu na przegubach rąk i trzask zamka wyjaśnia resztę.

Dlaczego „Motor” i ppor. B. nie próbują go odbić? Mają chyba broń? Czy ich też biorą? Dwóch drabów podrywa „Korebkę” z chodnika i wlecze do bramy. Inżynier odwraca głowę, by dojrzeć, co się dzieje z jego towarzyszami. Na opustoszałej teraz ulicy widzi, jak „Motor” i ppor. B. z głowami wtulonymi w kołnierze płaszczy, z rękami w kieszeniach, oddalają się szybkim krokiem. Co to ma znaczyć?

W bramie otacza go sześciu cywilów ściskających w rękach pistolety. Dwóch przypiera „Korebkę” do ściany.

– Dokumenty! – domaga się ten wielki, widać dowódca.

„Korebko” ma wykręcone i skute w tyle ręce, wskazuje więc brodą kieszeń. Tajniak wyciąga z niej podniszczoną kenkartę, sprawdza zdjęcie, uważnie przygląda się pieczęciom, marszczy brwi, potem dobywa z kieszeni małe etui, jakby oprawkę od szminki, wysuwa nawilżony czymś filc i przykłada do jednej z pieczęci. Chwilę przygląda się filcowi, z niezadowoleniem kręci głową.

– Nazwisko?

– Czerski.

Agent pociera podbródek zastanawiając się chwilę, następnie przywołuje jednego z ludzi i tamten pędzi w kierunku, w którym odeszli „Motor” i ppor. B. Po chwili zdyszany wraca.

– Nie ulega wątpliwości, to na pewno ten – relacjonuje szefowi.

Dryblas wychodzi przed bramę i przywołuje ruchem ręki czekający opodal samochód. Po chwili „Korebko” wrzucony do wozu jedzie w al. Szucha.

Na drugi dzień w melinie siostry inżyniera, p. Janiny Czerniewskiej, zaterkotał niecierpliwy dzwonek. Zaniepokojona niewiasta zlustrowała przybysza przez judasza i pospiesznie otworzyła drzwi. Po zaaferowanej minie Michała Dąbrowskiego mogła poznać, że ma coś ważnego do powiedzenia. I nie myliła się, bo gdy tylko zamknęła drzwi, przybysz zapytał:

– Pani Janko, wie pani już?

– Co się stało? Nic nie wiem.

– Kazik aresztowany.

– Rany Boskie! Kiedy!? Gdzie? Skąd to wiadomość!?

– Wczoraj wieczorem. Wiem od naocznego świadka.

– Kto to widział?

– „Motor”. Zaraz też do pani przyjechałem, aby powiadomić, kogo trzeba. Jurek właśnie mi mówił, że wczoraj szedł Zielną i po drugiej stronie ulicy dostrzegł Kazika. Naraz podjechało auto, wyskoczyło kilku cywilów, wciągnęli go do samochodu i odjechali. Wóz miał policyjne znaki. „Motor” chciał pomóc, ale tamtych było tylu, że nie dałby rady. Zresztą stało się to wszystko tak szybko i na ulicy pełnej Niemców...

Pani Janka chwilę milczy pod wrażeniem otrzymanej wiadomości.

– Dziękuję, panie Michale. Zawiadomię, kogo trzeba.

Zamyka drzwi za gościem i zaraz siada do pisania meldunku. Zawiera w nim wszystko, wiadomość o aresztowaniu, informacje o obawach brata i opis całej akcji przekazany przez „Matora”. Za godzinę meldunek ten rozpoczyna już swą drogę kurierskimi kanałami konspiracji.

Wina „Matora” w sprawie wydania „Korebki” w ręce gestapo jest bezsporna – mówi o tym zarówno przebieg samego aresztowania, jak i przyznanie się konfidenta w półtora miesiąca potem. Przed wykonaniem wyroku „Motor” przyznał się, że [...] spowodował aresztowanie inżyniera fabryki stenów w Warszawie... (z meldunku „Nurta” pisanego w dzień po wykonaniu wyroku)[218](#).

[218](#) Po wojnie, po powrocie z Oświęcimia, inżynier Czerniewski spowodował aresztowanie ppor. B. Według „Korebki” był on zamieszany w zatrzymanie inżyniera przez gestapo. Śledztwo umorzono w 1948 r. m.in. na podstawie korzystnych dla ppor. B. zeznań ppłka „Bartka” (Zygmunta Szewczyka), w czasie wojny szefa wywiadu (oddz. II) KO AK Radom-Kielce, a po wojnie wyższego oficera Ludowego Wojska Polskiego.

Nieudany dublet

Od aresztowania inż. „Korebki” minęło zaledwie cztery dni, a mimo to „Motor” w czasie tego samego pobytu w Warszawie postanowił rozprawić się z jeszcze jednym z ludzi podziemia, którego nie darzył sympatią również z powodów osobistych.

Tą nową ofiarą miał być ppłk. „Stwosz”.

*

Ppłk dypl. Waław Świeciński był w 1939 roku zastępcą dowódcy 30 pułku artylerii lekkiej w Brześciu nad Bugiem. Tkwiąc od samego początku w konspiracji, został pod pseudonimem „Stwosz” jesienią 1942 skierowany na Kielecczyznę na stanowisko szefa sztabu Komendy Okręgu Armii Krajowej. Jedną z jego kolejnych melin było mieszkanie położone pod Skarżyskiem-Kamienną, którego właścicielem była oddana sprawom konspiracji rodzina Z. Wobec władz niemieckich podpułkownik występował jako przedsiębiorca drzewny i zameldowany był pod fałszywym nazwiskiem Waław Perz.

Rodzina Z. składała się z rodziców i dwojga dzieci – dorastającej córki oraz młodszego od niej brata. Niedługo między „Stwoszem” a córką państwa Z. nawiązały się bliższe stosunki.

Po pół roku, w marcu 1943 roku ppłk „Stwosz” został przeniesiony do Warszawy, do dyspozycji Komendy Głównej Armii Krajowej. Zanim otrzymał nowy przydział, mając do załatwienia pozostałe z poprzedniej funkcji sprawy, odwiedził w końcu października tego roku Skarżysko. Tu spotkał panią Z., która zaniepokojona coraz częstszymi obławami niemieckimi na las, poprosiła swego niedawnego lokatora o pomoc w wynajęciu w Warszawie mieszkania, gdzie można by było umieścić dzieci. Obawy pani Z. były o tyle uzasadnione, że w ich podskarżyskim mieszkaniu miał jedną ze swych melin „Ponury”. Tu też przyjeżdżał do dowódcy „Motor”, pełniący już funkcję łącznika Zgrupowań. Córka p. Z. zwróciła jego uwagę i „Motor” zaczął natarczywie adorować młodą dziewczynę.

Pułkownik załatwił prośbę p. Z. i w początkach listopada 1943 roku dzieci znalazły się w Warszawie, dokąd też przyjechała później matka i dojeżdżał ojciec. Zamieszkiwali w tej samej willi na Żoliborzu, w której mieszkał „Stwosz”. Leżała ona przy zbiegu ulic Sułkowskiego i Książna. Właścicielka willi, pani Rita (nazwisko nieznane), otoczyła oboje troskliwą opieką.

W połowie listopada mieszkanie przy ul. Sułkowskiego odwiedził „Motor”. Pułkownik wiedział o jego zainteresowaniu panną Z., toteż wizyta ta nie zdziwiła go. Było to już po suchedniowskiej denuncjacji i przyjazd „Motora” do Warszawy związany był zapewne z poszukiwaniem inż. Czerniewskiego. Tak wytrawny i pedantyczny konfident nie mógł zostawić takiej roboty, jak suchedniowska, nie wykończona. Przy okazji zaś chciał załatwić dwie sprawy: odwiedzić znajomą oraz nie stracić z oczu „Stwosza”, który – jak się później okazało – był już wcześniej przeznaczony do wydania Niemcom. „Motor” czekał jedynie na dogodną okazję. Nie mógł dokonać tego dotąd, gdyż nie znał warszawskiego miejsca zamieszkania ppłka „Stwosza”.

Dzień 13 grudnia był słoneczny, ale mroźny. Pułkownik szybko zjadł śniadanie i włożywszy swój codzienny strój – granatową jesionkę i szarą czapkę, wyszedł z domu. Poprzedniego dnia na pewien czas wyprowadzili się jego młodzi podopieczni, pułkownik więc wychodził teraz wcześniej na swe konspiracyjne kontakty. Szedł zamyślony, wspinając się bezdrożem na skarpe i kierując się w stronę ul. Krasińskiego. W pewnej chwili zauważył kryty terenowy wóz żandarmerii, zjeżdżający w dół przebiegającą obok pustą uliczką. Samochody były tu rzadkimi gośćmi, nic więc dziwnego, że pułkownik zwrócił nań uwagę.

Z Krasińskiego skręcił w Czarneckiego i zgodnie z codziennym zwyczajem poszedł spacerkiem do

placu Inwalidów. Spacer wypędzał z głowy resztki snu i „Stwosz” nigdy z niego nie zrezygnował. Przed placem krótka lustracja terenu utwierdziła go w przekonaniu, że jest spokojnie, nie ma łapanki, wmieszał się więc w tłum oczekujących na tramwaj. Jak na złość, trzeba było odstać kilka długich minut, a pułkownik spieszył się – ludzie umówieni na punktach czekali już i na pewno też niepokoiли się. Zdenerwowany, nie zdawał sobie sprawy, że niebezpieczeństwo jest o dwadzieścia metrów od niego.

Wreszcie nadjechał oczekiwany tramwaj. Zmarznięci pasażerowie szybko wsiedli i wóz ruszył ku Śródmieściu.

Po załatwieniu najpilniejszych spraw „Stwosz” koło południa zatelefonował do pani Rity. Nie robił tego często, ale poranne spotkanie z niemieckim samochodem pozostawiło jakiś ślad, który nie dawał spokoju, ćmił jak ból zęba.

– Panie Wacławie – usłyszał zdenerwowany głos właściciela – proszę zjeść obiad na mieście i za godzinę czekać na mnie tam, gdzie ostatnio.

To był sygnał alarmowy. Po godzinie, w ustalonej poprzednio na wszelki wypadek kawiarni, „Stwosz” dowiedział się, co się zdarzyło po jego wyjściu.

– Zadzwoił dzwonek u drzwi. Mąż, który był w hallu, myślał, że pan czegoś zapomniał i wraca, gdyż było to dosłownie kilka minut po pana wyjściu.

Do przedpokoju weszło trzech żandarmów z rewolwerami w rękach. Oboje właściciele stanęli na rozkaz pod ścianą z rękami w górze.

– Kto u pani mieszka? – zapytał po polsku jeden z nich. Rita wymieniła po kolei lokatorów, a każde nazwisko Niemiec kwitował przeczącym ruchem głowy.

– To jeszcze nie wszyscy – mruknął zniecierpliwiony, gdy właścicielka zawiesiła na chwilę głos.

– Mieszka jeszcze pan Perz.

– O! To ten. Gdzie mieszka?

Wbiegli szybko na piętro. Ostro szarpnięte drzwi ukazały pusty pokój.

– Gdzie on jest?

– Wyszedł niedawno.

Jeden z żandarmów podszedł do stołu i wsadził palec do pozostawionej w szklance niedopitej herbaty.

– Ciepła! On tu jeszcze musi gdzieś być.

Rozbiegli się po domu, przeszukując wszystkie pomieszczenia i zakamarki. Pani Rita zaś modliła się, aby poszukiwania trwały jak najdłużej, gdyż każda minuta oddalała pułkownika od miejsca zagrożenia.

Ale widocznie i Niemcy doszli do tego wniosku, gdyż dość szybko zakończyli penetrację mieszkania i znów przeszli do pytań:

– Zapewne pojechał w kierunku Śródmieścia?

– Chyba tak.

– Gdzie wsiada do tramwaju?

– Albo na placu Inwalidów, albo na Wilsona.

– Ale gdzie częściej?

– Tego nie wiem – odpowiedziała Rita.

– Proszę się ubrać, jedziemy!

Terenowy wóz szybko pokonuje wzniesienie skarpy i mknie najpierw bliżej, na plac Wilsona. Żandarmi indagują dalej:

– Jak jest ubrany?

Pani Rita pamięta szarą czapkę i granatową jesionkę gdy informuje:

– Jest w szarym palcie i zielonym kapeluszu.

Wóz bezszelestnie staje niedaleko przytupujących na przystanku ludzi. Ci przez chwilę patrzą

niespokojnie w kierunku samochodu, ale wobec tego, że nikt z niego nie wychodzi, uznają, że jest niegroźny. A tam tymczasem stłoczeni w ciasnym wnętrzu ludzie w zielonych mundurach celują palcami przez celuloidowe okienko w nieświadomych, zmarzniętych ludzi i pytają:

– Ten? Ten? Ten?

– Nie. Nie. Nie. – odpowiada pani Rita.

– Jedziemy na Inwalidów – komenderuje żandarm, gdy jego palec wskazał ostatniego z oczekujących.

I znowu szybki wóz pędzi ulicami miasta. Pani Rita czuje bicie serca w gardle, potęgujące się z każdym obrotem kół. Jest już plac. Samochód cicho podsuwa się do grupki oczekujących. Dzielnej kobiecie robi się gorąco. Stoi tu przecież znany jej mężczyzna w szarej czapce i granatowej jesionce.

– Ten? – powtarza niecierpliwie żandarm, dziobiąc palcem w szybkę i wskazując pierwszego mężczyznę.

– Nie.

Druga jest kobieta, gruby palec celuje więc teraz w pułkownika.

– Ten?

– Nie – to brzmi spokojnie i przekonywująco, ale ileż ten spokój kosztuje.

Palec Niemca wskazuje następnych. Tymczasem podjeżdża tramwaj. Ludzie wsiadają, a żandarmi indagują dalej. Ale i tu bez rezultatów. Tramwaj powoli rusza ku Śródmieściu.

– Umknął nam ptaszek tym razem. Ale my go złapiemy – mówi z zapalczywością żandarm. Naciska klamkę drzwi i wskazuje je pani Ricie. – Dziękujemy pani.

Przez wiele lat sam pułkownik Świeciński nie łączył tego grudniowego przypadku z osobą „Matora”. Dopiero gdy po wojnie doszła doń wiadomość o jego podwójnej roli, nie wykluczył udziału „Matora” w tej sprawie.

Dowody potwierdzające domniemania „Stwosza” znalazłem – jak i wiele innych – w zeznaniach „mało wiedzącego” o „Motorze” Kesslera.

Drugi wypadek [...] to był ten, gdzie „Motor” zadzwonił do swojej kochanki, aby natychmiast z bratem przyjechała do niego na ul. Krochmalną. W tym momencie dom jego był otoczony przez gestapo i tylko przypadkowo nie wpadł w ręce gestapo jakiś ppłk, który był rywalem „Matora”²¹⁹.

²¹⁹ Zeznania z 11 IX 1951 r.

Odrzucając formę podania informacji oraz niesprecyzowanie opisu (uwaga o otoczonym przez gestapo domu dotyczyła prawdopodobnie willi, w której mieszkał ppłk „Stwosz”), należy stwierdzić, że w świetle tej wiadomości, a także następnego wypadu „Matora” na ul. Książna, jego rola w tej sprawie była jednoznaczna.



184. Po stracie taborów w październikowej obławie cały transport partyzancki odbywał się za pomocą juków na końskich grzbietach

185. Zgrupowania przeniósł się na Szczytniak. Biwak w jesiennym deszczu. Od prawej: ppor. „Jurek” — Władysław Czerwonka (w polówce), dr „Andrzej” — Władysław Chachaj (w berecie — tyłem), kwatermistrz „Szach” — Julian Materek (w narciarce), ppor. „Marianki” — Stanisław Pałac, por. cc. „Nurt” — Eugeniusz Kaszyński, NN, chor. „Szort” — Tomasz Waga (w dymie ogniska)







186. Zgrupowanie nr 3 ppor. „Mariańskiego” — Stanisława Pałaca na zbiórce pod Jeleniowem. Od lewej: sierż. „Zawada” — Aleksander Bogusz, strz. „Topola” — Józef Piwnik (w drugim szeregu), kpr. „Maryśka” — Stefan Stawski. Szósty (z kocem przez ramię) „Gil” — Jan Cieślik

187. Przy ognisku na Szczytniaku siedzą od lewej: Komendant „Ponury” — por. cc. Jan Piwnik, ppor. „Dzik” — Marian Świdorski (poniżej), pchor. „Andrzej” — Andrzej Gawroński (powyżej w narciarce), por. „Kmicic” — Marian Janikowski, por. cc. „Nurt” — Eugeniusz G. Kaszyński, pchor. „Tatar” — Stanisław Borkowski (w papaszce), ppor. „Antoniewicz” — Leszek Popiel (w wojskowym płaszczu), „Baca” — Mieczysław Cebula







188. „Ponury” (z lewej) i „Nurt” przed frontem Zgrupowań na Szczytniaku w listopadzie 1943

189. Msza polowa na Szczytniaku w dniu 11 listopada. Na pierwszym planie (od lewej, tyłem): dr „Andrzej” — Władysław Chachaj, komendant „Ponury” — por. cc. Jan Piwnik, por. cc. „Nurt” — Eugeniusz G. Kaszyński, por. „Kmicic” — Marian Janikowski





CHŁOPCY Z LASU

Walka Wasza jest bezsensowna. Sprawa Wasza jest stracona. Dziś możecie uratować jeszcze Wasze życie.

Kto się do dnia 26. 11. 43. godz. 12. 00 dobrowolnie zgłosi w starym klasztorze w Wąchocku u księdza proboszcza **CHRZANOWSKIGO**. będzie ulaskawiony, otrzyma ważne dowozy osobiste i będzie zapośredniczony do pracy w Gubernatorstwie. Na ulaskawienie nie mogą liczyć ci którzy Was w to nieszczęsne położenie wprowadzili: Ponury, Nurt i Marianki.

**Dowódca SS i policji Dystryktu
Radomskiego**

190. 26 listopada 1943, w miesiąc po obławie Niemcy rozlepili na drzewach wokół Wykusu plakat, licząc na psychiczne załamanie leśnego żołnierza. Daremnie

191. Komendant „Ponury” podczas nanoszenia oleatów na mapę na Szczytniaku przykrytym pierwszym śniegiem









192. Część żołnierzy skierowanych zostało na meliny zimowe, m.in. do Starego Skoszyna. Od lewej: „Sęp” — Stanisław Łebek, „Jeleń” — Henryk Sokół, „Pajac” — Edward Piórek, „Upiór” — Leon Nawrocki i „Rzepka” — Józef Piórek



193-194. W listopadzie, i później, na odesłane w lasy koneckie Zgrupowanie nr 2 dowodzone teraz przez por. „Kmicica” — Mariana Janikowskiego spadły dalsze uderzenia. 7 XI 43 zginął pod Rogami dca. plutonu koneckiego kpr. „Allan” — Tadeusz Jencz (z lewej), a w jakiś czas później (2 II 1944) w Borach k. Suchedniowa — szef Zgrupowania, kpr. „Boruta” — Albin Żołądek



Rek wia

W związku z zawiązaniem z meldunkiem moim z dnia 8123, w którym przedstawiłem plan demobilizacji podległych oddziałów, oraz wykreśleniem konieczności uregulowania ich w górnym, oddziałów, w okresie ich pracy, tym preliminarny budżetowy na I kwartał. W celu opracowania i dorobienia do 400000 w jakiej znajdują się te oddziały ze wspomnianym wyżej okresie.

Preliminarz

| | | |
|-------|-----------|--|
| 19 | 2900.- | koszt idzie do kart rozpoznawczych i koszt wyrobienia tych kart dla 400000 innych id nie posiadających |
| 20 | 3000.- | koszt pracowni obroni i zapobiegania |
| 23 | 126 000.- | koszt zapomog dla 7000 strzelców posiadających bruki, a nie zapotrzebowane rodz. np. licząc a 2000 na rodzim, oraz koszty leczenia rannych |
| 25 | 20 000.- | zakup do pułkowników i maszynowych, oraz materiałów myśliwskich |
| 28 | 259 200.- | podobny, cerow, dowodów oddziałów, taczni, kół, litwie a w 2700 miesięcznie (Komendant Bonin, por. Kart, por. Kmicie, por. Czaroka, ppor. Marianski, ppor. Asieniewicz, lekarz Andrzej, kuzin mistrz Stoch, por. Baza, por. Bolek, por. Hoblanek, ppor. Dziel, ppor. Miska, ppor. Krotki, chor. Słot, ppor. Lulek, ppor. Dolek, por. Wileziński, ppor. Jurek, ppor. Stefan, ppor. Jurek, ppor. Jurek, ppor. Motorkiewicz, kuzin, pater Andrzej, 4 nowoprzydziałanych, ppor. Kozłowski, 2 taczni, a kuzin i kuzin |
| Wyrz. | 109 400.- | koszt utrzymania 304 strzelców nie posiadających środków utrzymania (304 x 400) |
| 35 | 2 500.- | koszt utrzymania 3000 z powodu przepaży |
| 36 | 15 000.- | koszty rozpoznawcze dywersyjnych i obojętne być wykonano w I kwartale |
| 39 | 22 500.- | koszt budowy magazynów broni, spaleniu |
| 40 | 12 000.- | |
| 41 | 6 000.- | |
| 42 | 6 000.- | |
| 43 | 7 000.- | |
| 44 | 7 000.- | |
| 45 | 7 000.- | |
| 46 | 7 000.- | |
| 47 | 7 000.- | |
| 48 | 7 000.- | |
| 49 | 7 000.- | |
| 50 | 7 000.- | |
| 51 | 7 000.- | |
| 52 | 7 000.- | |
| 53 | 7 000.- | |
| 54 | 7 000.- | |
| 55 | 7 000.- | |
| 56 | 7 000.- | |
| 57 | 7 000.- | |
| 58 | 7 000.- | |
| 59 | 7 000.- | |
| 60 | 7 000.- | |
| 61 | 7 000.- | |
| 62 | 7 000.- | |
| 63 | 7 000.- | |
| 64 | 7 000.- | |
| 65 | 7 000.- | |
| 66 | 7 000.- | |
| 67 | 7 000.- | |
| 68 | 7 000.- | |
| 69 | 7 000.- | |
| 70 | 7 000.- | |
| 71 | 7 000.- | |
| 72 | 7 000.- | |
| 73 | 7 000.- | |
| 74 | 7 000.- | |
| 75 | 7 000.- | |
| 76 | 7 000.- | |
| 77 | 7 000.- | |
| 78 | 7 000.- | |
| 79 | 7 000.- | |
| 80 | 7 000.- | |
| 81 | 7 000.- | |
| 82 | 7 000.- | |
| 83 | 7 000.- | |
| 84 | 7 000.- | |
| 85 | 7 000.- | |
| 86 | 7 000.- | |
| 87 | 7 000.- | |
| 88 | 7 000.- | |
| 89 | 7 000.- | |
| 90 | 7 000.- | |
| 91 | 7 000.- | |
| 92 | 7 000.- | |
| 93 | 7 000.- | |
| 94 | 7 000.- | |
| 95 | 7 000.- | |
| 96 | 7 000.- | |
| 97 | 7 000.- | |
| 98 | 7 000.- | |
| 99 | 7 000.- | |
| 100 | 7 000.- | |
| 101 | 7 000.- | |
| 102 | 7 000.- | |
| 103 | 7 000.- | |
| 104 | 7 000.- | |
| 105 | 7 000.- | |
| 106 | 7 000.- | |
| 107 | 7 000.- | |
| 108 | 7 000.- | |
| 109 | 7 000.- | |
| 110 | 7 000.- | |
| 111 | 7 000.- | |
| 112 | 7 000.- | |
| 113 | 7 000.- | |
| 114 | 7 000.- | |
| 115 | 7 000.- | |
| 116 | 7 000.- | |
| 117 | 7 000.- | |
| 118 | 7 000.- | |
| 119 | 7 000.- | |
| 120 | 7 000.- | |
| 121 | 7 000.- | |
| 122 | 7 000.- | |
| 123 | 7 000.- | |
| 124 | 7 000.- | |
| 125 | 7 000.- | |
| 126 | 7 000.- | |
| 127 | 7 000.- | |
| 128 | 7 000.- | |
| 129 | 7 000.- | |
| 130 | 7 000.- | |
| 131 | 7 000.- | |
| 132 | 7 000.- | |
| 133 | 7 000.- | |
| 134 | 7 000.- | |
| 135 | 7 000.- | |
| 136 | 7 000.- | |
| 137 | 7 000.- | |
| 138 | 7 000.- | |
| 139 | 7 000.- | |
| 140 | 7 000.- | |
| 141 | 7 000.- | |
| 142 | 7 000.- | |
| 143 | 7 000.- | |
| 144 | 7 000.- | |
| 145 | 7 000.- | |
| 146 | 7 000.- | |
| 147 | 7 000.- | |
| 148 | 7 000.- | |
| 149 | 7 000.- | |
| 150 | 7 000.- | |
| 151 | 7 000.- | |
| 152 | 7 000.- | |
| 153 | 7 000.- | |
| 154 | 7 000.- | |
| 155 | 7 000.- | |
| 156 | 7 000.- | |
| 157 | 7 000.- | |
| 158 | 7 000.- | |
| 159 | 7 000.- | |
| 160 | 7 000.- | |
| 161 | 7 000.- | |
| 162 | 7 000.- | |
| 163 | 7 000.- | |
| 164 | 7 000.- | |
| 165 | 7 000.- | |
| 166 | 7 000.- | |
| 167 | 7 000.- | |
| 168 | 7 000.- | |
| 169 | 7 000.- | |
| 170 | 7 000.- | |
| 171 | 7 000.- | |
| 172 | 7 000.- | |
| 173 | 7 000.- | |
| 174 | 7 000.- | |
| 175 | 7 000.- | |
| 176 | 7 000.- | |
| 177 | 7 000.- | |
| 178 | 7 000.- | |
| 179 | 7 000.- | |
| 180 | 7 000.- | |
| 181 | 7 000.- | |
| 182 | 7 000.- | |
| 183 | 7 000.- | |
| 184 | 7 000.- | |
| 185 | 7 000.- | |
| 186 | 7 000.- | |
| 187 | 7 000.- | |
| 188 | 7 000.- | |
| 189 | 7 000.- | |
| 190 | 7 000.- | |
| 191 | 7 000.- | |
| 192 | 7 000.- | |
| 193 | 7 000.- | |
| 194 | 7 000.- | |
| 195 | 7 000.- | |
| 196 | 7 000.- | |
| 197 | 7 000.- | |
| 198 | 7 000.- | |
| 199 | 7 000.- | |
| 200 | 7 000.- | |

195-196. Preliminarz na I kwartał 1944 wykonany przez „Ponurego” i wysłany do Komendy Okręgu AK w dniu 10 XII 43 nie do czekał się nawet odpowiedzi. Zamiast niej po 3 tygodniach przyszedł rozkaz zdejmujący go z dowodzenia Zgrupowaniami. W preliminarzu w wykazie oficerów znajdują się również pobory dla ppor. „Motora”

W uzasadnieniu ogólnym powyższego preliminarza melduję co następuje:

Preliminarz ten obejmuje koszt utrzymania i zapobiegania, który został edemobilizacji i przydział do bazy warszawskiej ale również ci, którzy otrzymali przydział do bazy warszawskiej (pluton warszawski), oraz do tej pory opłacony przez Kety i Komendy Stórnaj, por. Czaroka, witek, por. Bolek i inni)

W opracowaniu preliminarza kierownictwo nie jak najdalej idąc oszczędności i związku z tym preliminarz na kwotę 1598300 do wypłatnie obrotowych, ustalonych programu pracy do tego kwartale utrzymać zaproszonych w całej oddziałów w kondycji maraton, fizycznej, i patnej gotowości bojowej jest konieczny.

Odpił niniejszego preliminarza przesyłałem p. Nibsi z prośbą o poparcie, by preliminarz ten został przez K. B. zatwierdzony.

Ponury Donat

P. Nib

Mp 10123

Przesyłając idące pismo do Komendanta Okręgu zawierający preliminarz na I kwartał 44 oraz z uzasadnieniem, proszę o poparcie, do wypłaty którego preliminarz ten został przez K. B. w sprawie zatwierdzonej.

Ponury Donat

Ponury





197. Pozostałej w zaśnieżonym lesie grupy kadrowej strzegły liczne i czujne patrole

Kp. 10. X. 43r.

Por. Czarka! Osobista niniejszego podok. Andnej
to nam spier propagandowy. Dajem mu ustnie
ale ciebie głębie.

Polecanie te stojące:

1. Transportu do nas za pośrednictwem Jurka Motora
 2. Sposobu podjęcia i zorganizowania materii obcia-
mych w czasie bytowania u nas p. Mita. (wykaz salomon)
- W tej chwili myjśnad karta i innych jest nieaktualny,
gdyż mamy konkretnie w ich podjęciu. Oterminie
iż dopuszczenia przegardu zawiadomiz.

Dziękuję dowódcyemu z K. S. Chodzie byłem o to
abyście Wy, dobre zorganizowali sobie organizację
na przyjmowaniu sprzętu z K. S. i zorganizowali
przemot tego do Darnawy Chyżnie ił i matę się rozumie.
Żebyś do dnia dzisiaj nie potrafił zorganizować transportu
do nas? Uważam to za niedobrość. Ja muszę szybko otrzy-
mać sprzęt - szybko. Uważamy transportu wiodłoby
z p. Mitem. On oller musi dać Ci sprzęt. Razem z tym brzoły
Chyżnie. List dowódcy Mitem i postawaj się wiodłoby wiodłoby
jż z p. Andnejem. Uważaj sprzętów do siebie wiodłoby
101043
Ponury

198-199. Kartka „Ponury” do szefa warszawskiej bazy zaopatrzenia Zgrupowań por. cc. „Czarki” — Jana Rogowskiego, w której Komendant czyni wytyk „Czarce” za opieszałość w skierowaniu do lasu zaopatrzenia zimowego dla żołnierzy



Melina na Krochmalnej

W grudniu sytuacja oddziałów „Ponurego” stała się tragiczna; wielu żołnierzy skierowano na meliny, jednakże w lesie musiało pozostać kilkudziesięciu „spalonych”, którzy nie mieli się gdzie udać. Grudniowe opady śniegu i duży mróz dawały się silnie we znaki, tym bardziej że do połowy miesiąca koczowali w szałasach. Poza tym brak jakiegokolwiek kontaktu z Komendą Główną AK działał deprymująco i sprawiał, że w sztabie oddziału wytworzyła się atmosfera oczekiwania na coś nieznanego, coś, co nieuchronnie miało spaść na Zgrupowania.

W tej sytuacji adiutant Zgrupowań, „Leszek Antoniewicz”, postanowił pojechać do Warszawy, aby przez swego przyjaciela por. „Smotrycza” – Stanisława Wierzyńskiego, oficera w sztabie „Nila”, dotrzeć do szefa Kedywu i wyjaśnić przyczyny dziwnej i niepokojącej sytuacji.

„Ponury” początkowo miał w sprawie wyjazdu wiele obiekcji, za którymi łatwo było wyczuć obawę, że może „Leszek” nie będzie chciał wrócić do Zgrupowań. Uległ dopiero wtedy, gdy „Antoniewicz” zapewnił dowódcę o swoim powrocie. Zezwolenie na kilkudniowe opuszczenie oddziału uzyskał także por. „Mariański”. Chciał odwiedzić w czasie zbliżających się świąt rodzinę w Warszawie. Obaj mieli jechać z „Motorem”, gdyż kontrola na drogach w okresie świąt była zawsze wzmocniona i wtedy mocne papiery oraz przysłowiowe już szczęście „Motora” przydawały się bardzo.

Lepiej jednak, by czytelnik o dotychczasowych „szczęśliwych przypadkach” „Motora” dowiedział się z pierwszego źródła – fragmentów wspomnień „Antoniewicza”:

Do Warszawy jechaliśmy samochodem „Motora”, który przywiózł „Marcysię”²²⁰. W ostatnim okresie „Motor” był jedynym łącznikiem z Warszawą, i to niezastąpionym. Ma wprawdzie niepowodzenia, ale wychodzi z nich cało. W październiku na przykład jechał z Radomia do lasu z plastykem, który podjął w magazynach K. Gł. Kedywu. Plastyk znajdował się w puszkach od farby. Przed Szydłowcem w miejscowości Pobrut obok Wąsłowa towarzyszący mu „Ludwik” czy „Cichy” zaobserwował, że jadą za nimi bez przerwy żandarmi. „Motor” odrywa się i gdy znika z pola widzenia, wyrzuca puszki do przydrożnego rowu. Pozbywszy się „kompromitującego” towaru, jedzie już wolno, gdyż żandarmi są teraz już mniej denerwujący. Wieczorem wraca, by zabrać porzucony plastyk. Niestety, już go nie jest w stanie znaleźć. „Ponuremu” żal materiałów wybuchowych, których nigdy nie było za dużo, a te przekazał „Nil” spod serca. Uważał jednak, że „Motor” słusznie postąpił zabezpieczając się przed ewentualną wpadką.

²²⁰ Zona „Ponurego” – Emilia Malessa (przyp. C. Ch.).

To nie koniec przygód „Motora”. Przebywając w Warszawie „Motor” poza oficjalnymi kontaktami z dowódcą bazy warszawskiej utrzymuje rozległe stosunki. Odwiedza ranną „Poranek”, którą zresztą przewiózł z lasu do szpitala w Warszawie. Zajmuje się córkami „Ludwika”, przerzuca do Warszawy rozmelinowanych warszawiaków i często się z nimi spotyka. Kontaktuje się również z ppor. B.²²¹ [...]

²²¹ W oryginale podano nazwiska prawdziwe (przyp. C. Ch.).

Nieco później jechał „Motor” z panną Z., „Ludwikiem” i ppor. B. ze Skarżyska do Warszawy [...]. W czasie wspomnianej jazdy do Warszawy w Jedlińsku k. Radomia „Motor” ma przed sobą kolumnę wojsk niemieckich. Chce ją wyminąć, ale w tym momencie z przeciwnej strony nadjeżdża samochód. „Motor” nabrał już szybkości, nie jest więc w stanie zahamować i wpada na maszerujących Niemców. Krzyki i wymyślenia mieszają się z brzękiem szyb tłuczonych kolbami. Z. dostaje szoku. „Ludwik” i ppor. B. ulatniają się, a „Motor” tłumaczy coś oficerowi. Sytuacja się wyjaśnia. Wóz ostatecznie jest fabryczny, wypadek niezawiniony. „Motor” jednak zostaje odstawiony do Radomia. Jedlińsk był w połowie zajęty przez Niemców. Opodal wypadku znajdował się punkt sanitarny. Biorą Z. za Niemkę, jedna z pielęgniarek zajmuje się nią i Z. powoli przychodzi do siebie. Po paru godzinach zjawia się „Motor”, odnajduje Z. i kontynuują podróż. I tym razem udaje mu się jakoś wymigać. Jest jednak bardzo zmieniony. Przejście widocznie nie było łatwe. Zbywa troskliwe pytania Z., a swoje zafrasowanie pokrywa wnet typowym humorem²²².

²²² *Próba zarysu*, s. 68-70.

Przytaczając ten fragment nie można nie zwrócić uwagi na niewiarygodne wprost szczęście „Motora”, które musiało rzucać się w oczy każdemu, tym bardziej że jego dowody zdarzały się zbyt często. Jeżeli uważano to dotąd za rzecz normalną, to już okoliczności wjechania wozem w kolumnę maszerujących Niemców powinny otworzyć oczy nawet tym, którzy mieli do „Motora” bezgraniczne zaufanie. Bo chociaż można mnożyć argumenty, że wóz był fabryczny, że stało się to na skutek wyslizganej nawierzchni, ale przecież był to przełom 1943/44 roku, a kierowca był Polakiem i poważnie zranił kilku żołnierzy niemieckich. Za o wiele bardziej błahe przewinienia ludzie jechali do Oświęcimia. Wojsko,

którego stosunek do ludności cywilnej był podobno łagodniejszy, zatrzymało „Motora” i skierowało go do radomskiego gestapo, a tu... natychmiast go zwolniono. Można to było tłumaczyć tylko specjalnymi łaskami, a co się za tym kryło – wiadomo.

Tego jednak nie podejrzewali towarzysze „Motora”. Podróż do Warszawy przebiegła szczęśliwie. W przeddzień Wigilii „Mariani”, „Antoniewicz” i „Motor” rozstali się na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej – życząc sobie wszelkiej pomyślności z okazji świąt, a życzenia kwitowali ucałowaniami z dubeltówki.

Tymczasem na przyjazd „Motora” z wielką niecierpliwością oczekiwał w Warszawie jego dawny podkomendny z brzeskiej drużyny transportowej „Wachlarza” – „Pakunek” (Henryk Fedorowicz). Pojechał on w końcu maja w Góry Świętokrzyskie i tam w zgrupowaniu „Robota” walczył przez pół roku pod pseudonimem „Cichy”. Gdy przed nadchodzącą zimą polecono następcy „Robota”, „Kmicicowi”, zamelinować część ludzi, rozkaz ten objął również i „Cichego”.

Przerzucony do Warszawy w połowie grudnia samochodem „Motora” poszedł do ciotki, gdzie ukrywał się już poprzednio po ucieczce z Brześcia aż do połowy maja. Teraz jednak okazało się, że nie może się tam zatrzymać, gdyż gestapo aresztowało niektórych członków rodziny i mieszkanie jest pod obserwacją. Błąkał się więc przez kilka dni po Warszawie, codziennie zachodząc do lokalu kontaktowego – knajpki Olszewskiego na Brzeskiej, aby złapać kogoś z warszawskiej bazy „Ponurego” i uzyskać pomoc.

Dwudziestego drugiego grudnia, kiedy siedział któraś z rzędu godzinę na zapleczu lokalu, dostarczono mu w pewnej chwili karteczkę, z której wynikało, że na najbliższym rogu czeka na niego „Czarka”. Podeszedł tam i w czasie spaceru po zaśnieżonych ulicach przedstawił porucznikowi swoją sytuację.

„Czarka” po chwili zastanowienia powiedział:

– Ja ci w tej chwili nie mogę osobiście nic pomóc, ale poczekaj jakoś do jutra i bądź o osiemnastej na punkcie kontaktowym. Jutro przyjeżdża „Motor” z ludźmi, ma się zgłosić do mnie, porozumiem się z nim i on cię gdzieś umieści.

Czekał więc „Cichy” na przyjazd „Motora”. Porucznik zjawił się o oznaczonej godzinie, zmarznięty, rubaszny, wysłuchał prośby i podrapawszy się po głowie rzekł:

– No, stary, przecież cię na ulicy nie zostawię. Coś się zawsze znajdzie. Na razie przenocujesz u mnie na melinie.

Skąpo oświetlonymi ulicami jechali czarnym oplem wśród wojskowych wozów ciągnących bez przerwy przez most Poniatowskiego i Aleje Jerozolimskie, skręcili następnie w Żelazną i zatrzymali się za rogiem ul. Krochmalnej. Przed wejściem do domu „Cichy” rzucił okiem na oświetlony numer i przeczytał Krochmalna 51.

„Cichemu” przedstawiono gospodarza mieszkania – Kesslera, znajomą „Motora” – pannę Z. i ppor. B., którego żołnierz pamiętał jeszcze z okresu lata z lasu jako zastępcę komendanta „Ponurego”. Obecność ppor. B. w tym warszawskim mieszkaniu zdziwiła nieco „Cichego”, ale był zbyt doświadczonym konspiratorem, by o cokolwiek pytać.

Przy kolacji rozmowa, która na początku kulała, rozwinęła się i tu „Cichy” dowiedział się o dalszym ciągu suchedniowskiej tragedii, o aresztowaniu przed dwoma tygodniami w Warszawie kierownika produkcji stenów, „Korebki”. Opowiadał o tym ppor. B., opowiadał „Motor”, wyrażał swój żal Kessler.

Po kolacji położono się spać, gdyż następny dzień, dzień wigilijny, zapowiadał się bardzo pracowicie. „Motor” chciał być na Wigilię w Kielcach, w domu, a miał jeszcze coś do załatwienia w Warszawie i chciał skorzystać z pomocy „Cichego”.

Wstali wcześniej i gdy „Cichy” kończył śniadanie, „Motor” już wyszedł szykować wóz do drogi.

Zajął mu to prawie pół godziny. Gdy wrócił, był solidnie zmęczony. Wypił szklanek gorącej herbaty, przygotowanej przez wodzącą za nim bez przerwy wzrokiem pannę Z., a gdy zostali na chwilę sami w

pokoju, poprosił „Cichego”:

– Chcę tu zrobić jeszcze jeden dosyć ryzykowny skok. Masz broń?

– Mam pistolet.

– To dobrze. Słuchaj. Dziesięć dni temu gestapo zrobiło nalot na mieszkanie jednego z naszych ludzi, pułkownika. Na szczęście nie zastali go. Ale tam przez pewien czas mieszkała Z. I tam są jej rzeczy. Musimy je wydostać.

– No to jedźmy.

– To nie taka prosta sprawa. Wczoraj zabrali właściciele willi. Tam może być zasadzka. Kocioł.

– To może posłać tam kogoś, jakieś dziecko, albo może przebrać się za inkasenta elektrowni?

– Nie. To by za długo trwało. Ja sądzę, że jeśli nawet był tam kocioł, to chyba dziś go zwinęli, bo przecież oni też ludzie i swoje *Stille Nacht* chcą pośpiewać. Trzeba by zaryzykować. Pojedziesz ze mną?

„Cichy” wzruszył ramionami.

– Nie pierwszy raz razem robimy skok. Możemy zrobić i ten.

– Swój chłop jesteś! – Uradowany „Motor” klepnął kolegę po kolanie. – Wiedziałem, że się nie rozkleisz.

Uchylił drzwi i poprosił pannę Z.

– Daj nam klucze. Pojedziemy tam z „Cichym” po twoje rzeczy.

Dziewczynę ogarnęło przerażenie. Uchwyciwszy „Matora” za rękaw, prosiła:

– Jurek, daj spokój! Co cię opętało? Czy warto się narażać dla tych kilku łaszków?

– Nie bój się. Nic nam się nie stanie. Pojedziemy i przywieziemy wszystkie twoje rzeczy. A jeszcze i pułkownikowi coś uratujemy. Przecież nie możemy dopuścić, aby się to szkopom dostało.

– A jeśli oni tam siedzą?

– To już by za długo trwało. Za mało ich tu jest, aby w każdym mieszkaniu mogli zakładać kocioł. Ale jeżeliby była zasadzka, to... – zawiesił na chwilę głos, wsadził rękę za pasek i mignął przed oczyma dziewczyny oksydą pistoletu.

– Jurek, tak się boję – mówiła tuląc się do porucznika.

– Nic się nie bój. Daj klucze i najdalej za godzinę tu będziemy. Przyszykuj nam coś solidnego do jedzenia, bo zaraz po przyjeździe jadę do Kielc. Ciebie, stary, biorę ze sobą – rzekł do „Cichego”. – Żadnej meliny tu na razie nie mam, w tym mieszkaniu zostać nie możesz, bo widzisz, ile tu luda. A tobie wszystko jedno, gdzie się zatrzymasz. Ulokuję cię albo w Kielcach, albo pod Kielcami u kuzynów. A jak „Ponury” będzie zwoływał wojsko, to będziesz miał bliżej do lasu. No, są te klucze?

Po chwili „Motor” prowadził już wóz w kierunku Żoliborza. Jechali bocznymi uliczkami, aby się nie narazić na tłumaczenie przed patrolami, bo chociaż „Motor” miał papiery żelazne – tak przynajmniej twierdził – to po co jednak kusić zło.

W milczeniu dojechali do placu Wilsona, skręcili w Krasińskiego. Tu „Motor” zatrzymał wóz.

– To jest tam. Na rogu tych dwóch uliczek, taka piętrowa willa na dole. Zrobimy tak. Podjedziemy tam, staniemy trochę dalej i ty zostaniesz w wozie, a ja przejdę się, wybadam i spróbuję wejść. Tylko nie wyłączaj silnika. Jeżeliby tam byli, to pamiętaj, nie strzelaj, póki ja nie rozpocznę. Jak zacznę walić, to postaraj się trochę osłonić mój odskok, a potem na gaz i wiej!

– A ty?

– Ja sobie dam radę. Przepatrzyłem tu już ten teren, dam nura między płoty i tyle mnie zobaczą.

– A jeśli ich nie będzie?

– To wtedy kiwnę na ciebie i pomożesz mi pakować.

„Cichy” skinął głową i wyciągnął visa. Z bronią gotową do strzału podjechali do samotnej willi, powoli przedelfilowali przed martwymi oknami i kilkanaście metrów za furtką „Motor” zatrzymał wóz.

Silnik pracował cicho. Porucznik odkręcił okno mówiąc:

– Tak będziesz miał lepszy obstrzał. Tylko pamiętaj, nie strzelaj pierwszy.

Uścisnął kolegę za łokieć i nim wyszedł z wozu, wyciągnął zza paska pistolet, odciągnął kurek i wsunął broń do kieszeni kurtki.

„Cichy” przesunął się szybko na miejsce kierowcy i odprowadził wzrokiem porucznika. Ten szedł powoli, przed willą zatrzymał się na chwilę, zapalił papierosa, następnie przeszedł do rogu uliczki, wrócił, postął chwilę przed furtką, jakby zbierając odwagę, a potem szybko wszedł do ogródka. Na trzy schodki małego, otwartego ganeczku wślizgnął się bokiem, przywarł do ściany i postawszy tak chwilę, lewą ręką nacisnął kontakt dzwonka. Prawa nadal tkwiła w kieszeni kurtki i na samą myśl o tym, co może się stać za chwilę, „Cichy” oparł lufę o ramię okienka.

Porucznik nacisnął guzik po raz drugi, mocno, długo i Cichy gotów był przysiąc, że usłyszał natarczywy terkot dzwonka.

„Motor” sięgnął do kieszeni, ciągle lewą ręką, i wyjąwszy klucze zaczął majstrować przy zamku. Po chwili drzwi ustąpiły i porucznik pchnął je przylegając znowu do ściany.

„Cichy” miał sucho w ustach.

Cholera, ten „Motor” to jak kozak – myślał z uznaniem, łowiąc niecierpliwym uchem, czy chłaśnie strzał pojedynczy, czy też od razu cała seria.

Pod domem było jednak cicho. Porucznik zniknął za drzwiami i po chwili kiwnął na „Cichego”. Ten odetchnął z ulgą i wtedy dopiero poczuł, że choć w wozie jest zimno, mokra koszula przylega mu do pleców. Cofnął samochód pod furtkę i wszedł do hallu, a stamtąd do wskazanego przez „Motora” pokoju na pierwszym piętrze. W przypadkowo znaleziony koc zgarniali wszystko, co wskazywało na użytkowanie przez kobietę. Z sąsiedniego pokoju „Motor” przyniósł jeszcze kilka męskich ubrań, dorzucił do tłumoka, związali go szybko i wepchnęli do wozu.

Czarny opel grając wesoło silnikiem wiózł z Żoliborza na Krochmalną dwóch ludzi – „Cichego”, przekonanego, że uczestniczył w niebezpiecznej akcji, która miała na celu wydobycie z zagrożonego lokalu rzeczy polskiego oficera, oraz „Motora”, który zapewne wiedząc, że mieszkanie jest całkowicie puste, zainscenizował całą sprawę, aby odwrócić od siebie ewentualne podejrzenie denuncjacji ppłka „Stwosza” i zdobyć w „Cichym” wiarygodnego świadka, a przy okazji zabierania ubrań przyjaciółki okraść pułkownika.

Na Krochmalnej przyjęto ich jak zwycięzców powracających z wyprawy wojennej. Na objawy wdzięczności nie było jednak za wiele czasu, gdyż obaj spieszyli się, aby noc nie zastała ich w drodze.

Podróż do Kielc przebiegła spokojnie i mimo że szosa była śliska, dojechali do celu o zachodzie słońca.

W kieleckim mieszkaniu porucznika „Cichy” spędził święta. Wobec tego jednak, że „Motor” zaraz musiał jechać ponownie do Warszawy, a „Cichy” nie chciał zostać w tym domu pod opieką jego żony, Tamary, „Motor” wywiózł go do Kielc do swych kuzynów, gdzie miał po niego przyjechać za kilka dni. Kilka dni zmieniło się w tygodnie i gdyby zniecierpliwiony „Cichy” nie zjawił się w połowie trzeciej dekady stycznia ponownie w mieszkaniu „Motora”, los pozbawiłby go udziału w istotnych wydarzeniach.

„Czarka” jest następny...

Niejasna sytuacja Zgrupowań w Górach Świętokrzyskich dawała się odczuwać również w warszawskiej bazie zaopatrzeniowo-łącznikowej. Jak pamiętamy, w czasie pobytu na inspekcji Okręgu „Rolnik” w dniu 6 października szef Kedywu KG AK, pułkownik „Nil”, obiecał przyjść oddziałom z wydatną pomocą, zaopatrując żołnierzy w żywność i ubranie.

Z rozkazu „Ponurego” doglądał tej sprawy na miejscu por. „Czarka”. Ranny podczas ataku na pociąg pod Michniowem w nocy z 12 na 13 lipca, kurował swe rany w lesie aż do wrześniowej obławy zakończonej zasadzką na Barwinku. Wobec tego jednak, że nie goiły się dobrze, a niedowład ręki, spowodowany uszkodzeniem nerwów, nie ustępował, „Motor” przewiózł swym samochodem „Czarkę” do Warszawy, gdzie jeszcze nie całkiem zdrowego, ale odrzucającego wszelką myśl o przejściu do rezerwy oficera, mianowano szefem bazy.

Sprawy związane z przygotowaniem transportu odzieży i obuwia dla lasu nie szły łatwo. „Czarka” również zauważył, że serdeczność „góry” osłabła, ale tym pilniej chodził, kołatał, zabiegał, aż wreszcie przed Bożym Narodzeniem zakończył ostatnie przygotowania oraz lokowanie zamówień, tak że na Nowy Rok wszystko miało być gotowe.

Na spóźniony nieco prezent gwiazdkowy wyszykował oddziałom ni mniej, ni więcej tylko pięć ton zaopatrzenia zimowego – butów, palt, bielizny, koców, mundurów, a na dodatek jeszcze aparaty fotograficzne, pliki map, dobrze poukrywane materiały wybuchowe, słowem – mnóstwo nieocenionej wartości dóbr.

Oficjalnie wszystkich tych zakupów dokonywała Rada Główna Opiekuńcza, która szykowała transport odzieży dla wysiedleńców mieszkających pod Opatowem.

Po przyjeździe „Leszka” i zapoznaniu się z tragiczną sytuacją Zgrupowań „Czarka” zaraz po świętach rozpoczął ponagląjący objazd dostawców i temu zapewne należy zawdzięczać, że termin noworoczny został przez nich dotrzymany.

Tuż przed sylwestrem „Czarka” – z ramienia RGO – udał się do jednej z firm transportowych, aby wynająć samochód. Towaru było ponad pięć ton, musiał więc to być wóz duży, z odpowiednim silnikiem, takich zaś w okupowanej Warszawie było niewiele. Przychylni konspiracji ludzie wskazali przedsiębiorstwo, mające własne środki transportowe i co najważniejsze, którego dyrekcja cieszyła się u Niemców dobrą opinią, na dowód czego z wozów tych bardzo często korzystały władze okupacyjne²²³.

²²³ Firma nosiła nazwę „Ostdeutsches Spedition und Transportunternehmen Theodor Wierzchowski”, zaś wóz typu Holzgas-LKW miał nr rej. DW-86045.

Aby sfinalizować transakcję, dyspozytor skierował „Czarkę” do jednego z pracowników, który od pierwszego wejrzenia wydał się porucznikowi znajomy. Spraw do omówienia było dużo, a że lokal biurowy nie sprzyjał temu, poszli więc do pobliskiej knajpki, gdzie przy jednym głębszym rozpoczęli ustalanie wszelkich detali związanych z wyjazdem.

Teraz już bez trudu „Czarka” przypomniał sobie, skąd zna rozmówcę. Klienci restauracji widocznie byli świadkami takich sytuacji dość często, gdyż nie zwrócili żadnej uwagi na ściskających się dwóch mężczyzn. Tak oto „Czarka” po kilkunastu latach, jakie upłynęły od nauk pobieranych w korpusie kadetów, przypomniał sobie w zadymionej knajpie jednego ze swoich ówczesnych kolegów – nazywającego się obecnie Andrzej Waszkiewicz²²⁴. Zaproponował mu konwojowanie transportu, ponieważ lepszy był tu kolega niż ktoś obcy.

²²⁴ Posługiwał się także papierami na nazwisko Iwaszkiewicz. Przez dodanie jednej litery na początku nazwiska jego karta rejestracyjna w kartotekach policyjnych przesunęła się o szereg pozycji, co

dezorientowało gestapowców.

Tak się też stało i gdy rano 3 stycznia 1944 roku przed magazynami firmy Wróblewski i S-ka, mieszczącymi się przy ul. Inżynierskiej na Pradze, zatrzymał się pięciotonowy wóz, z tyłu za dwoma kierowcami²²⁵ siedział w charakterze konwojenta Andrzej.

²²⁵ Kierowca nazywa się Stefan Kubniewski i mieszka obecnie w Zielonej Górze, zaś pomocnikiem był Władysław Simon.

Przy pomocy melinujących się w Warszawie żołnierzy Zgrupowań, zmobilizowanych na ten dzień przez „Czarkę”, szybko załadowano część zwiezionych już wcześniej do magazynu towarów, a następnie – w ciągu dwóch godzin objeżdżając warsztaty wykonujące zamówienia – doładowano resztę.

Wreszcie w południe transport był gotów. „Czarka” zaprosił teraz Andrzeja i kierowców na obiad do którejś z warszawskich knajp. Sam zaś nawiązał kontakt z „Motorem”²²⁶.

²²⁶ Niektóre osoby związane z konspiracją twierdzą, że „Motor” o dacie wyjazdu i trasie przejazdu transportu „Czarki” wiedział już trzy dni przedtem, nie znajduje to jednak żadnego potwierdzenia. Pewne jest natomiast, że dowiedział się tych szczegółów dopiero na pół godziny przed opuszczeniem Warszawy.

Na pół godziny przed odjazdem transportu porucznik powiadomił „Matora” o czekającym go zadaniu, polecając natychmiast wyjechać do oddziału biwakującego w pobliżu miejsca zaimprovizowanej zasadzki. Dzięki szybszemu wozowi miał on dojechać o wiele wcześniej do lasu i powiadomić „Ponurego”, aby w godzinach przedwieczornych był gotów do przejęcia transportu na odcinku szosy między Łagowem a Opatowem.

„Motor” natychmiast opuścił Warszawę, a w pół godziny po nim tą samą trasą ruszył ciężarowy samochód. „Czarka” jeszcze przed odjazdem, podpierając się laską, pokuśtykał do knajpy i wpakował w kieszeń półlitrowkę buraczanki, aby – jak wyjaśnił Andrzejowi – było czym wypić duży toast.

Prowadzenie pięciotonowego wozu po oblodzonej szosie nie należy do przedsięwzięć łatwych, nic więc dziwnego, że ciężarówka nie przekraczała szybkości czterdziestu kilometrów na godzinę. W Grójcu chwila emocji – kontrola dokumentów przez niemiecki patrol, ale skończyło się na napięciu nerwów. Silnik mrucał miarowo, usypiająco, szofer z całej siły trzymał dygocącą kierownicę, jego pomocnik smacznie pochrapywał, a Andrzej i „Czarka” siedzący w drugim rzędzie w obszernej szoferce oddawali się wspomnieniom.

– Dojeżdżamy do Pilicy, w Białobrzegach zmienię się z tym śpiochem – oznajmił kierowca.

Łukowy most na skutej lodem rzece widać już z daleka. Wolniutko, aby wozu nie rzuciło na balustradę, wyjeżdżają na betonowe pasmo. Prześwit między słupami konstrukcji ciężarówka zdaje się wypełniać bez reszty. Po drugiej stronie żelbetowego szpaleru widać szybko zbliżający się samochód. Kierowca ciężarówki zwalnia jeszcze bardziej, gdyż oba wozy wyminąć się mogą tylko zjeżdżając na sam brzeg jezdni.

Naraz samochód pędzący z przeciwnej strony raptownie hamuje, skręca i nieruchomieje tarasując całą jezdnię. Energiczne stąpienie na pedał osadza ciężarówkę dosłownie metr przed tamtym wozem. Wszyscy w szoferce lecą na podłogę, a kierowca syjąc przekleństwami szarpie za kłamkę drzwi, by fajtłapie z tamtego wozu dać odpowiednią reprimendę, gdy naraz...

Zza każdego filara konstrukcji mostowej wychylnęło ich po dwóch, trzech – milczących, zwalistych, w zielonych szynelach aż do ziemi i kwadratowych hełmach, z pistoletami maszynowymi w rękach. Z zagradzającej drogę ciężarówki wysypali się dalsi, wszyscy kierując broń ku szoferce. Otaczali wóz ze wszystkich stron, a było ich kilkudziesięciu, groźnych i paraliżujących każdą chęć oporu.

„Czarka” dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Błyskawicznie rozpina kożuszek i zza pasa wyszarpuje kolta. Niemcy musieli to zobaczyć, ale nawet nie zareagowali. Liczyli widać, że zdrowy rozsądek musi się odezwać w tym osaczonym w szoferce człowieku – każdy z trzydziestu wycelowanych w niego automatów jest w stanie w ciągu sześciu sekund posłać mu trzydzieści

dwa naboje; on zaś ma tylko dziesięć pocisków, na wystrzelenie których sześć sekund to o wiele za mało.

„Czarka” przez chwilę waha się. Może spróbować otworzyć drzwi, roztrącić szpaler zielonych, dopaść krawędzi mostu i runąć w dół? Ale tam, dwa piętra niżej, jest gruba pokrywa lodu...

Z cichym stukiem kolt pada na podłogę wozu. Ręce wędrują do góry, nie za wysoko, ot, tak tylko, symbolicznie.

Ktoś otwiera drzwiczki i ostre powietrze wpada do środka.

Żandarmi są napięci i milczący, tylko oczy i lufy wędrujące za każdym ruchem „Czarki” zdają się być w nich żywe. Powoli porucznik opuszcza nogi na stopień – jego ruch po laskę powoduje poderwanie niemieckich automatów, ale spokój „Czarki” nie znamionuje niebezpiecznych działań. Podpierając się trzciniową laską, z jedną ręką uniesioną do góry, staje u burty wozu. Za nim wyskakują trzej towarzysze podróży – spokojny, opanowany Andrzej i bladzi, przerażeni szoferzy.

Zza szpaleru zielonych wysuwa się gestapowski mundur. Człowiek z trupią czaszką na czapce sprawnymi ruchami przejeżdża po kieszeniach „Czarki” i natrafia na jakiś podłużny przedmiot. Wyrывa go, podnosi do oczu.

– Co to jest? Wódka?

Szeroki rozmach i butelka długim łukiem leci za barierę.

Nie będzie toastu – myśli „Czarka”, gdy z rzeki dochodzi cichy brzęk tłuczonego szkła.

– Gdzie pan ma broń? – pyta Niemiec.

„Czarka” brodą wskazuje na szoferkę, gestapowiec chwilę szuka między siedzeniami, wyciąga kolta i wpycha go do kieszeni.

Teraz sprawne dłonie obmacują Andrzeja. Jest on zimny, spokojny, pogardliwy. Ta postawa musi doprowadzać do pasji gestapowca, gdyż naraz zrzuca Andrzejowi czapkę, wyrывa „Czarce” trzciniową laskę i wali z całej siły w odkrytą głowę. Suchy trzask, jęk człowieka i krew zalewająca jego twarz – to wydarzenia jednej sekundy.

Szoferów rewidują żandarmi – bez rezultatów. Ponaglając kolbami, wpychają teraz zatrzymanych do swego samochodu, skuwają ich parami i wtłoczywszy w kąt wiozą do Radomia. Za nimi huczy basem silnik hanomaga wiozącego do budynku gestapo tak potrzebne Zgrupowaniom „Ponurego” pięć ton zimowego zaopatrzenia. Teraz za kierownicą wozu siedzi żandarm.

*

Na drugi dzień w południe wrócił do Warszawy „Motor”. Zameldował „Leszkowi”, że zgodnie z poleceniem „Czarki” zawiadomił oddział, aby czekano w zasadzce. Ponieważ bez skutku wyglądano ciężarówki cały wieczór i całą noc, zgodnie z rozkazem powrócił do Warszawy, uważając po drodze, czy przypadkiem nie mieli jakiegoś defektu i nie stoją na szosie. Nie spotkał ich...

Tymczasem w radomskim gestapo trwa badanie zatrzymanych. Niemcy mają kompletne informacje dotyczące „Czarki”, wiedzą, że jest cichociemnym, znają jego całą konspiracyjną działalność, w mig też orientują się, że kierowcy nie mają nic wspólnego z całą sprawą, i wyłączają ich z badań.

W areszcie gestapo siedzi również inżynier „Korebko” i on to dostaje za towarzysza w celi Andrzeja Waszkiewicza. Opatruje rozciętą głowę i od niego dowiaduje się, że „Czarka” wpadł również i siedzi obok. „Korebko” jest już zadomowionym bywalcem, zna system porozumiewawczy, jakim posługują się więźniowie trzymeni w piwnicach gestapo, wie, kiedy stukać „Morsem” w rurę kanalizacji, aby przekazać wiadomości, a kiedy piosenką „Wojenko, wojenko” ostrzec, że gestapowcy podsłuchują.

Od dwóch tygodni na własnej skórze doświadcza metod tutejszych referentów śledczych, poznał ich już, wie, czym można ich zadowolić, czym uspić, a czym rozsierdzić.

Z rury kanalizacyjnej czerpie więc „Czarka” wskazówki, jak ma zeznawać, co mówić, do czego się przyznawać, kogo bez obawy sypać, gdyż jest dobrze ukryty i Niemcy go nie osiągną.

„Korebko” poucza: nie wolno odmawiać zeznań, bo zakatują na śmierć. Trzeba stworzyć wersję w miarę wiarygodną, ale nie szkodliwą. „Czarka” trzyma się tych wskazówek, powołuje na „Korebkę”, a inżynier potwierdza. Niemcy, przekonani o ich całkowitej izolacji, mają złudzenie prawdy.

Inaczej jest z Andrzejem. Bity, nie ma się do czego przyznawać. Niemcy jednak nie zwalniają go jak szoferów, ale nie wiadomo czym powodowani, traktują go na równi z „Czarką”.

W tym czasie gestapo odtwarza trasę jazdy ciężarówki po Warszawie do wykonawców zleceń i mimo że ludzie ci mają formalne zamówienia RGO, aresztują wiele osób. Tą drogą do konspiracji dochodzi wieść o wpadce „Czarki”.

On tymczasem zachodzi w głowę, kto spowodował zasadzkę i aresztowanie. Jest zbyt doświadczonym dywersantem, aby wierzyć w przypadek. Zasadzkę założono zbyt precyzyjnie w sposób wykluczający wszelki opór czy ucieczkę. Ktoś sypnął. Tylko kto?

„Korebko” zna przebieg wypadków pod Białostrzegami od Andrzeja. Stuka w rurę długie i krótkie sygnały.

– „Motor” – odbiera „Czarka”

– To niemożliwe – odparł natychmiast.

Nie wierzy w to. „Motor”?! Towarzysz z Pińska? Kawaler Krzyża Walecznych? Najbardziej zaufany człowiek „Ponurego”? Absurd!!! Ale czy na pewno? Kto poza nim wiedział o terminie i trasie przejazdu transportu?

Postanawia to sprawdzić w czasie badań. Gdy wymienia uzgodnionych z „Korebką” ludzi, na których może się powołać, wśród wielu innych pseudonimów wymienia także „Matora”.

Gestapowcy wybuchają śmiechem.

– Gdyby nie tacy pańscy koledzy, to by pan tu nie siedział.

A więc jednak. Trzeba tę wiadomość przekazać natychmiast „Ponuremu” lub „Nurtowi”. Trzeba, tylko jak? Żaden gryps nie opuszcza tych piwnic, a ludzie, którzy są stąd wyprowadzani, nie powtórzą już nic, nigdy i nikomu.

Przez cały styczeń trwa intensywne badanie por. „Czarki”²²⁷. Nie musi ono być owocne, jeżeli w swoim sprawozdaniu radca kryminalny, SS-Hauptsturmführer Paul Fuchs, znany nam skądinąd jako zwierzchnik Kesslera pisze: *Ponieważ przesłuchiwanie kształtuje się bardzo uciążliwie, nie uzyskano żadnych innych punktów zaczepienia w Warszawie.*

²²⁷ Po ukazaniu się I wydania niniejszej książki w 1968 r. i dodruku w 1969 r. w „WTK” nr 22(820) z 1 VI 1969 r. opublikowano obszerny artykuł pióra mec. Jana Pietrzykowskiego, który po wojnie, w ruinach spalonego budynku tymczasowej (zima 1944/45) siedziby radomskiego Sipo w Częstochowie, odnalazł teczkę sprawy por. „Czarki” i materiały te wykorzystał w swoim artykule. Dalszą relację oparto na tej podstawie.

Śledztwo prowadzone pod kierunkiem Paula Fuchsa wcale nie ograniczyło się do prób złapania kontaktu w dół – na las, Niemcom chodziło raczej o rozpracowanie ich w górę – na Warszawę, na Komendę Główną. Obu więźniów, „Czarkę” i Waszkiewicza, podobno przewieziono do Warszawy, gdzie osadzeni na Pawiaku²²⁸ mieli być konfrontowani z zatrzymanymi pracownikami firmy Wróblewski i RGO. Nie dało to jednak żadnych rezultatów.

²²⁸ Faktu przebywania „Czarki” na Pawiaku nie potwierdzają żadne zachowane wykazy czy dokumenty – mógłby świadczyć o tym jedynie gryps właśnie z Pawiaka otrzymany przez współpracującego z nim brata. P. Jerzy Rogowski moment ten pamięta raczej jako wydarzenie z późnej wiosny, a nie ze stycznia czy lutego 1944 r.

Po przywiezieniu więźniów z powrotem do Radomia posłużono się jeszcze jedną prowokacją – do celi „Czarki” 4 lutego podesłano spreparowany gryps, rzekomo przywieziony z Warszawy. Nasilono także ilość donosicieli w celi, w której siedział aresztowany oficer. Nic to jednak nie dało. Bo nawet gryps, który napisał „Czarka” w odpowiedzi na prowokacyjną przesyłkę zawierał tylko bardzo osobiste informacje.

W tej sytuacji gestapo przystąpiło do zakończenia sprawy. Zresztą już wcześniej, bo 22 stycznia 1944 roku, funkcjonariusz referatu IV 2, Vesser, sporządził tzw. Schlussbericht, czyli sprawozdanie końcowe, w którym pisał: *Rogowski zawinił w największych rozmiarach przeciwko niemieckiemu dziełu odbudowy w Generalnej Guberni. Z tego względu zostanie postawiony wniosek o skazanie go na karę śmierci przez sąd doraźny policji bezpieczeństwa.*

W trzy tygodnie później wniosek taki zostaje przedstawiony trójce sędziowskiej – w dniu 16 lutego podpisał go szef Sipo i SD na dystrykt radomski, Joachim Illmer, oraz dwóch asesorów, z których jednym był Paul Fuchs. Wyrok miał być wykonany tego samego dnia. Potwierdzenie można znaleźć w piśmie radomskiego gestapo z 30 kwietnia 1944 roku (IV 2b nr 11879/44g):

Transport prowadził zastępca dowódcy bandy „Ponurego”, Rogowski Jan, który został skazany na karę śmierci wyrokiem sądu doraźnego policji bezpieczeństwa w Radomiu z dnia 16 lutego 1944. Wyrok został wykonany w tym samym dniu.

Z niemieckich dokumentów wynika również, że cztery dni po „Czarce” rozstrzelany został Andrzej Waszkiewicz, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Andrzej Eliaszewicz i który w latach 1941-43 był poszukiwanym przez gestapo w Gdyni aktywnym członkiem tamtejszej placówki ZWZ-AK. Przeżyli wojnę świadkowie, którzy zapamiętali ten pochmurny lutowy dzień, gdy Niemcy wyprowadzili Andrzeja na podwórko. Stał tam już ukryty terenowy samochód. Koło szofera siedział gestapowiec, o którym wiadomo było, że to załatwia tak samo skutecznie, a taniej niż pluton egzekucyjny. Konwojenci wsadzili związanego więźnia na tylne siedzenie, dozorca wrzucił do wozu dwie łopaty i samochód zniknął za bramą. „Czarkę” także widziano wywożonego z dziedzińca więziennego, ale skutego, a nie skrępowanego sznurkiem, i bez łopat w samochodzie. A to były bardzo istotne szczegóły. Poza tym ocaleli więźniowie fakt ten plasują na początku lata, co by pokrywało się z twierdzeniem brata por. Rogowskiego, że gryps z Pawiaka otrzymał późną wiosną. A historia ostatniej wojny zna wiele przykładów tego, że ludzie z wyrokiem śmierci wędrowali do obozów. Choćby „Korebko”. Starania rodziny „Czarki”, mające na celu zebranie jakichś wiadomości o aresztowanym, pozwoliły przez powinowactwo jego narzeczonej sięgnąć aż przez wysokie berlińskie koneksje w Wehrmachcie do krakowskich władz Sipo i SD na całą GG. I stamtąd również uzyskano wiadomości, że „Czarka” nie został rozstrzelany, a pojechał do obozu – sugerowano wyraźnie Gross-Rosen.

Jeszcze jednym argumentem pozwalającym poddawać w wątpliwość fakt wykonania wyroku na „Czarce” w dniu 16 lutego jest pismo gestapo do Sipo i SD dystryktu warszawskiego.

Wynika z niego, że agent „Garibaldi” (pseudonim „Matora”) od 29 października 1943 r. do 22 stycznia 1944 r. w stałych meldunkach dostarczał bieżących informacji na temat „Czarki”, jego funkcji, pracy w KG AK itd. Meldunek „Garibaldi” z 18 stycznia 1944 roku stwierdza, że „Czarkę” polecił uwolnić z więzienia w Radomiu „Ponury”; gdyż aresztowanie porucznika spowodowało wiele zamieszania w KG. „Ponury” zaś, jako osobisty przyjaciel „Czarki”, z którym razem byli szkoleni w Anglii, jest także tym zainteresowany. *Uwolnienie powinien przeprowadzić volksdeutsch Kessler z Radomia przy pomocy środków finansowych. Dalszy bieg tej sprawy jest nam na razie nieznany.*

Pismo to jest pisane w 12 dni po wykonaniu wyroku śmierci na „Czarce” (tak wynika z akt radomskiego gestapo), a nadawca, właśnie to samo radomskie gestapo, nic na ten temat nie mówi. Dlaczego wiadomość skierowana jest do Warszawy, jeśli „Czarka” – o ile wierzyć niemieckim dokumentom – został rozstrzelany w Radomiu? W dniu 18 lutego (data pisma) „Ponurego” od ponad miesiąca nie ma na Kielecczyźnie, również „Motor” od miesiąca nie żyje. Żyje za to wprowadzony na pewno w tę sprawę (ale czy dopiero teraz?) Kessler. Przez kogo wprowadzony? Bo nie przez nieobecnego już „Ponurego”. Wiele na to wskazuje, że przez Niemców. Jaka jest jego rola w tej tragedii?

Odpowiedź na to pytanie jest ciągle nie znana, mimo upływu prawie 50 lat od śmierci „Czarki”.

W sumie i to pismo – niemieckie pismo – stawia pod znakiem wiarygodności policyjnego

dokumentu mówiącego o wykonaniu w Radomiu wyroku śmierci na „Czarce”.

Dlatego też, mimo że gestapowskie akta w takich sprawach rzadko kiedy zawierały nieprawdziwe informacje, nie można wykluczyć i innej wersji, odtworzonej na podstawie relacji ludzi, którzy siedzieli w tym czasie w gestapo radomskim.

A wersja ta mówiła, że:

„Czarka” siedział w areszcie radomskiego Sipo i gestapo do wiosny. Przez cały czas zachował pogodę, twardość i godność. Od marca nie wzywano go tak często na badania, wiedzieli przecież o nim wszystko, choć bez jego udziału.

Wreszcie pewnego dnia w początkach maja „Czarkę” wezwano przed oblicze Fuchsa. To wątpliwej wartości wyróżnienie było dowodem, że sprawą, z którą więzień jest związany, interesuje się jeden z najwyższych funkcjonariuszy policji i bezpieczeństwa dystryktu.

Jak zwykle u Fuchsa rozmowa odbyła się uprzejmie i gładko.

– Pan wie, na co pan zasłużył, prawda? – spytał w pewnej chwili Fuchs.

– Według waszych praw na śmierć.

– Na pewno tak, ale...

I tu padło znane powiedzonko, które wyrobiło Fuchsowi opinię „ludzkiego” w szerokim gronie podwładnych.

– ...ale ja panu życia nie dałem, nie mam więc prawa go panu odbierać. Pojedzie pan do obozu i doczeka tam końca wojny.

Była to znana metoda „wytworzonego” Fuchsa. Przeważnie ze skierowaniem do obozu wysyłał rozkaz rozstrzelania więźnia. W ten sposób powstawał mit o wielkoduszności szefa gestapo radomskiego, gdyż bliscy wywiezionych za ich śmierć obwiniali załogę obozów²²⁹.

²²⁹ W zachowanych notatkach o wyrokach wykonywanych w obozie w Gross-Rosen nie znalazłem nazwiska por. Jana Rogowskiego. Nie wyklucza to jednak jego śmierci w tym obozie, gdyż z dwóch dużych transportów, które nadeszły tam z okręgu radomskiego w dniach 14 VI 1944 r. i 12 VII 1944 r., wielu więźniów zostało natychmiast rozstrzelanych, mimo że nie zaznaczono tego w dokumentacji.

Może w ten sposób Fuchs chciał również stworzyć pozory dotrzymania słowa danego „Motorowi”? Podobno ustalając zasadę swej współpracy „Motor” uzyskał zapewnienie, że ludzie przez niego sypnięci nie będą rozstrzelani, ale przetrwają wojnę w kacetach. Mówią o tym dwa dokumenty. Jeden to wzmiankowane już pismo KG AK skierowane do KO „Rolnik”. W punkcie dziewiątym czytamy:

9. że w dniu 3.1.1944 r. „nadał” por. „Czarkę”, który został aresztowany koło m. Białobrzegi (podobno na skutek jego interwencji „Czarka” nie został rozstrzelany, ale zesłany do jakiegoś obozu koncentracyjnego „I klasy” w Rzeszy), o „Czarce” „Motor” udzielił Go wszystkie posiadane informacje.

W raporcie „Żmudzina” dotyczącym śledztwa w sprawie „Motora” znalazłem następującą notatkę:

...[„Motor” – przyp. C. Ch.] napierał na „Nurta”, by mu wierzył, że uzyskał gwarancję od Go odnośnie ludzi przez niego wydanych, że przeżyją wojnę w obozach przy protekcji Mo. Miało to dotyczyć wszystkich aresztowanych z Fali, Suchedniowa, Kielc, ze specjalnym uwzględnieniem „Czarki” i inż. „Korebki”.

Spisek przeciwko „Ponuremu”

Tymczasem „Ponury”, który nie doczekał się po ostatniej obławie jakiegokolwiek kontaktu z Komendą Okręgu, w połowie listopada wyjechał do Warszawy. Pobyt jego w okupowanej stolicy, planowany początkowo na kilka dni, znacznie się przedłużył, co spowodowało pewne zdenerwowanie wśród oficerów oczekujących w Górach Świętokrzyskich na powrót komendanta.

Wreszcie w początkach grudnia przyjeżdża na swoją kwaterę w Milejowicach. Jest zniechęcony i rozgoryczony. W Komendzie Głównej poufnie poinformowano go, że płk „Daniel” złożył wniosek dyscyplinarnego zdjęcia go z dowodzenia Zgrupowaniami i że obecnie wniosek ten jest rozważany. „Antoniewicz” tak przedstawia relację „Ponurego” z rozmów w Warszawie:

Z relacji „Ponurego” wynika, że wniosek „Daniela” zawiera obraźliwe zarzuty, oparte między innymi na oświadczeniu „Stefanowskiego” i ppor. B., „Ponury” zarządza więc odprawę oficerów. Pragnie wy badać ich nastroje i sondować, czy byliby zdecydowani przejść z nim do niezależnej grupy partyzanckiej. Aczkolwiek plan ten nie budzi zachwyty, oficerowie wypowiadają się za utrzymaniem Zgrupowań. Wobec tego, że władze Okręgu Zgrupowaniami przestały się interesować, nie widzą przeszkody, by zmienić teren, gdzie może być bardziej przydatni²³⁰.

²³⁰ Próba zarysu, s. 65.

Tak więc jednym z dostarczycieli argumentów przeciwko „Ponuremu” staje się jego były podkomendny – „Stefanowski” (Albin Hop). Jak wiemy, obowiązki zastępcy szefa bezpieczeństwa Okręgu objął 12 października, a już 1 listopada złożył meldunek wymierzony przeciwko „Donatowi”. Jak sam stwierdza w swej notatce z 4 maja 1944 roku, meldunek ten był sporządzony wyłącznie dla płka „Daniela” i miał na celu uporządkowanie spraw bezpieczeństwa, a komendant Okręgu wykorzystał ten meldunek do dalszych rozgrywek z „Ponurym”. Oto relacja „Stefanowskiego”.

Dnia 1 listopada 1943 r. złożyłem meldunek o zagrożeniu konspiracji przez por. „Ponurego”. Myślą przewodnią w meldunku tym była chęć zapobieżenia zdżyczeniu się partyzantki i stworzenia lepszych warunków bytu żołnierzy, a w szczególności zabezpieczenia ich na zimę. Okręg meldunek ten wykorzystał do osobistych rozliczeń między sobą a „Ponurym”, żołnierzem wcale się nie zajęto, dla utrzymania bezpieczeństwa dla Okręgu nic nie uczyniono.

Nie wydaje się jednak, aby „Stefanowski” rzeczywiście ograniczył swoją rolę w sprawie „Ponurego” do biernego sygnalizowania urojonych lub rzeczywistych załączków niebezpieczeństwa. W jawnej sprzeczności z jego naświetleniem stoi poświęcony tej sprawie fragment listu ppor. B.:

Ponieważ „Ponury” nie wszystko robił tak, jak należało „Ali” mu zwracał często uwagę i ostatecznie został zwolniony z lasu i pracował przy dowództwie Okręgu Radomskiego, skąd przez dowódcę Okręgu „Daniela” wysłał do KG bardzo ostry list na „Ponurego” po spowodowaniu przez niego rozbicia partyzantki kieleckiej. W tym czasie ja byłem już w Warszawie i niedługo potem przyjechał „Ali” do Włoch²³¹. Ja w między czasie wytoczyłem „Ponuremu” sprawę w KG za zniszczenie oddziałów, które organizowałem, oraz za samowolne, prowokujące tylko Niemców akcje oddziałami. Sprawa ta była dla „Ponurego” bardzo ciężka, tym bardziej że „Ali” prowadził ją z ramienia Okr. Radom²³².

²³¹ Chodzi o miejscowość Włochy koło Warszawy (przyp. C. Ch.).

²³² Fragment listu pisanego przez ppor. B. z Niemiec, z Rotweil w dniu 3 XII 1946 r. do znajomych w kraju.

Jak wynika z przytoczonego fragmentu, to nie płk „Daniel” wykorzystał meldunek lojalnego „Stefanowskiego”, lecz on sam przez komendanta Okręgu skierował go do Komendy Głównej, a następnie prowadząc sprawę „Ponurego” z ramienia Okręgu „Rolnik” kierował nią tak, że ppor. B. określi ją jako: *dla „Ponurego” bardzo ciężka*.

Z przytoczonego listu wiemy, że drugim sojusznikiem płka „Daniela” w zwalczaniu „Ponurego” jest ppor. B. Od czasu spalenia przez Niemców Michniowa między obu oficerami narastała niechęć, która przerodziła się później w jawną wrogość. Ppor. B. czyni „Ponurego” odpowiedzialnym za spalenie wsi, nie chce czy nie potrafi zrozumieć, że każdy inny powód byłby dla okupanta tak samo dobry, że setki wsi polskich poszły z dymem bez żadnych pretekstów.

„Ponury” postanawia czekać na decyzję gen. „Bora”.

Nie mogą czekać jednak jego żołnierze. Jest początek zimy, a komendant Okręgu pozbawił

jakiegokolwiek wsparcia ponad dwustu ludzi pozostawionych w lesie.

Postanawia więc „Ponury” zwrócić się z prośbą do społeczeństwa. Wie, że rolnik, choć dzieli się chętnie z wojskiem, sam ma niewiele. Apeluje więc do właścicieli majątków. Właśnie spadł pierwszy śnieg, gdy zajechał pewnego popołudnia wraz z adiutantem do jednego z większych okolicznych majątków, leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie jego rodzinnej wsi Janowice. Uprzedzony wcześniej właściciel czekał już na komendanta przed gankiem z czapką w ręku, podkręcając sarmackiego wąsa. Do wysiadającego z wozu „Ponurego” odezwał się tymi słowami:

– Panie komendancie, wielki to zaszczyt dla mnie witać pana w mych niskich progach. Niewiele mamy sami, ale znajdzie się dla wojska wyżywienie. A na razie, po staropolsku, czym chata bogata.

To mówiąc podsunął oficerowi tacę, a na niej bochen chleba, miseczka z solą. Żuł „Ponury” w milczeniu czarny, smakowity chleb, przegryzł szczyptą soli, a uśmiechnął się przy tym dziwnie.

A gdy pod wieczór wyjeżdżali wraz z adiutantem z majątku, milczał przez całą drogę i dopiero gdy konie weszły między pierwsze drzewa, rzekł:

– Krótką pamięć ma nasz dzisiejszy gospodarz. Dziś widział mnie równym sobie. Ale ja pamiętam, jak dwadzieścia lat temu moją matkę, gdy przyszła przeprać koszule w potoku przepływającym przez jego łąkę, kazał przegnać, gdyż mogła mydłem zabrudzić wodę i sprowadzić chorobę na bydło.

Ale jak w chłopskich chatach i tu również w majątkach, jego apel zostaje przyjęty ze zrozumieniem.

„Ponuremu” – osamotnionemu wodzowi nikomu teraz niepotrzebnego wojska – sprawia to podwójną radość. Okazuje się, że poza Komendą Okręgu inni chcą tego wojska, chce go i chłop, i ci, którzy mają więcej ziemi, a tym samym większe możliwości.

Pomoc jednak, którą otrzymuje, nie jest w stanie rozwiązać wszystkich problemów Zgrupowań. Okazuje się, że trzeba jeszcze bardziej zmniejszyć oddziały.

Sporządza więc dokładny preliminarz kosztów rozmelinowania i przesyła go 10 grudnia do Komendy Okręgu. Jest to następny dzień po aresztowaniu inż. „Korebki”. Na liście osób przewidzianych do zaopatrzenia demobilizacyjnego figuruje w gronie innych oficerów również ppor. „Motor”.

Ale i ten apel mija bez echa. W skrzynce kontaktowej w Skarżysku nie ma z Komendy Okręgu żadnej odpowiedzi.

W czasie oczekiwania na decyzję Komendy Okręgu „Ponury” nie pozostaje bierny. Jest tak zżyty ze swym wojskiem, że nie mieści mu się w głowie, że jedno może istnieć bez drugiego – on bez wojska czy ono bez niego. Dlatego też na wypadek niekorzystnej dla siebie decyzji przygotowuje zawczasu grunt na zmianę terenu operacyjnego. Nie przewiduje, że rozkaz może dotyczyć przeniesienia tylko jego. Wysyła więc ludzi za Wisłę, w Lubelskie, w celu zorientowania się, jakie są tam szanse działania.

W Warszawie tymczasem w ścisłym gronie Komendy Głównej trwają spory co do losów „Ponurego”. Argumenty płka „Daniela” trafiły dosyć szybko do gen. „Bora”, ale bezpośredni dowódca „Ponurego”, szef Kedywu, płk „Nil”, nie należał do ludzi łatwo ustępujących, tym bardziej że mając bliższy kontakt ze swym oficerem oraz pomny ostatniej wizytacji w Zgrupowaniach po wydarzeniach w młynie Cioka widział spór między Okręgiem a dowódcą Zgrupowań nieco szerzej i obiektywniej.

I wtedy dotarła do Komendy Głównej wieść z Kielecczyny, że „Ponury” bez rozkazu planuje przejście w inny teren. Może przedstawiono to jako zamiar zerwania z AK, wypowiedzenia posłuszeństwa, przyjęcia innej barwy – nie wiadomo. Faktem jest jednak, że – jak wspominają oficerowie byłej KG AK – wiadomość ta wstrząsnęła Komendą i po niej „Nil” skapitulował. Teraz już decyzje zapadły szybko.

A „Ponury” tymczasem czekał w lesie ze swymi ludźmi na postanowienia, które zmienią los Zgrupowań na lepsze. Ostatni żołnierze w mrozie i w śniegu dotrwali aż do Wigilii.

Mija Nowy Rok i wreszcie 2 stycznia – po dwóch i pół miesiącach milczenia – Komenda Okręgu przemówiła.

„Ponury” otrzymuje przesłany mu odpis rozkazu Komendanta Głównego AK, gen. „Bora”, odwołujący go z dowodzenia Zgrupowaniami.

Choć był już wcześniej uprzedzony o wystąpieniu płka „Daniela”, rozkaz ten jest dla niego ciosem – nie wierzył do ostatniej chwili, że wniosek może zostać akceptowany.

Po nieprzespanej nocy „Ponury” pisze 3 stycznia swój dramatyczny raport i prośbę o rewizję decyzji. Na pewno jest w nim zawarta racja tylko jednej strony, ale dramatyzm formy, uderzająca szczerość, żal bijący z każdego wiersza, brak kunktatorstwa – czynią go jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów.

Przytaczam go w całości, aby dać czytelnikowi możliwość zapoznania się z pełną argumentacją „Ponurego”.

m.p. dn.3.1.44 r.

Ponury, porucznik
D-ca Zgrupowań Partyz.
Raport dotycz. d-ctwa Zgrupowaniami Partyz.

Do
Komendanta Głównego A.K.
(drogą służbową)
w m.p.

Melduję, że dn. 2.1.44 r. pismem Komendanta Okręgu „Gość 30312(3L5) Mas.” otrzymałem odpis rozkazu Pana Generała odwołującego mnie z dowództwa Zgrupowaniami Partyzanckimi.

Melduję, że rozkaz Pana Generała doszedł do mnie wcześniej drogą pozasłużbową z podaniem mi do wiadomości, że z dowództwa zostałem zwolniony dyscyplinarnie.

Nie mając możliwości zameldowania się u Pana Generała osobiście – przedkładałem pisemny raport, dający naświetlenie sprawy z mojej strony.

Proszę Pana Generała o ponowne rozpatrzenie sprawy i o ponowne wydanie decyzji, pozostawiającej mi dowództwo nad dotychczas dowodzonymi przeze mnie Zgrupowaniami Partyz., z terenem operacyjnym Okręgu Kieleckiego; wzgl. jeżeli uzna Pan Generał za konieczne opuszczenie przez mnie tego terenu – wydanie rozkazu przejścia na teren innego okręgu, ale wraz ze wszystkimi Zgrupowaniami Partyz. i pełnym dotychczasowym uzbrojeniem.

Proszę Pana Generała o wydanie tej decyzji imiennie i na piśmie; szczególnie proszę Pana Generała, ze względu na wyjątkową sytuację, jaka się wytworzyła – o wydanie tej decyzji w trybie przyśpieszonym.

Melduję, że na czas ponownego rozpatrzenia przez Pana Generała sprawy i powzięcia decyzji poprosiłem Komendanta Okręgu o udzielenie mi urlopu do dnia 5.II.br. Zgodnie z rozkazem Komendanta Okręgu dowództwo przekazałem por. Nurtowi, memu dotychczasowemu zastępcy i d-cy Zgrupowania nr 1 – na czas trwania mego urlopu.

Proszę Pana Generała o rozkazy.

Zał.: raport

Ponury
(Ponury, por.)

Ponury, porucznik m.p. dn. 3.1.44 r.
D-ca Zgrupowań Partyz.

Do
Pana Pułkownika „Nila”
w m.p.

Melduję, że pismem Komendanta Okręgu „Gość 30312 (3L5) Mas.” zostało mi odebrane dowództwo nad Zgrupowaniami Partyzanckimi, bez podania mi powodów. Na zwolnienie mnie z dowództwa załączony jest rozkaz Komendanta Głównego.

W załączeniu przedkładałem Panu Pułkownikowi swój raport do Komendanta Głównego naświetlający warunki, w jakich pracowałem jako dowódca Zgrupowań Partyz. przez okres 7-miu miesięcy – z prośbą o zaznajomienie się z treścią tego raportu i o wykorzystanie w/g uznania Pana Pułkownika.

Raport ten pozwoliłem sobie przesłać Panu Pułkownikowi nieoficjalnie przez por. Czarękę²³³.

²³³ Raport „Ponurego” pisany był 31.1.44 r. w godzinach rannych, na kilka godzin przed aresztowaniem por. „Czarki” (przyp. C. Ch.).

Zał.: raport do K-ndta Gł.

Ponury
(Ponury, por.)

RAPORT

Melduję, że dn. 4.VI.43 r. objąłem funkcję k-ndta „Kedywa” Okręgu Kieleckiego P.Z.P.

W dniu 12 i 13.VI odbyłem odprawę w obecności K-ndta Okr. i Szefa Sztabu Okr. ze wszystkimi komendantami „Kedywów” obwodowych i oficerami „Kedywa” okręgowego. Tematem odprawy było: ustalenie celu i zadań oraz organizacji „Kedywa” okręgowego

jako kierownictwa walki czynnej na terenie Okręgu. Na dwudniowej odprawie w ustnym referacie, instrukcjach pisemnych, szkicach i oleatach przedstawiłem projekt organizacji i zakres działania „Kedywa”. Projekt mój był zgodny z rozkazami i wytycznymi organizacyjnymi Komendanta Głównego, dostosowany do warunków miejscowych. Warunki te nakazywały: 1) prowadzenie walki czynnej przy pomocy dywersji zakonspirowanej przy komendantach obwodów P.Z.P. w zakresie: likwidacji szpicłów, terroru pojedynczego, drobnej dywersji i sabotażu; 2) przez uporządkowanie kompleksów leśnych z band różnego rodzaju i przeprowadzenie w nich selekcji – stworzenie z elementu pozytywnego polskich zgrupowań partyzanckich: dla prowadzenia większych akcji odwetowych, stworzenia bezpieczeństwa i samoobrony terenowej oraz osłony działań dywersji zakonspirowanej.

W wyniku odprawy K-ndt Okr. uznał mój projekt i zatwierdził jako rozkaz organizacyjny dla „Kedywów”, anulując poprzedni rozkaz.

Teoretycznie będąc wyznaczonym na funkcję samodzielną, praktycznie – zostałem całkowicie ograniczony przez K-ndta Okr. w realizowaniu projektowanych przeze mnie akcji dywersyjnych.

Niespotykane nasycenie terenu elementem będącym na usługach wroga z góry przekreśla każdą podjętą przez „Kedyw” akcję. Założona przeze mnie **podstawowa**²³⁴ akcja równoczesnego oczyszczenia całego terenu Okręgu Kieleckiego ze szpicłów i konfidentów – została przez K-ndta Okr. odrzucona, co w bezpośrednim wyniku przyniosło zlikwidowanie obwodów Starachowice, Końskie, Kielce i szereg pomniejszych wsep.

²³⁴ Wszystkie wyróżnienia w raporcie „Ponurego” pochodzą z oryginału (przyp. C. Ch.).

Również wszystkie dalsze, większe i mniejsze projektowane przeze mnie akcje z reguły były przez K-ndta Okr. odrzucane jako zagrażające i sprowadzające na teren represje. Natomiast na miejsce odrzuconych moich projektów – **nie wpływały inne rozkazy akcji dywersyjnych od K-ndta Okr.**, wobec czego czynność „Kedywa” okręgowego właściwie zanikła.

Wobec takiego stanowiska K-ndta Okr., jako mego dowódcy, do zadań i walki czynnej „Kedywa” – poprosiłem o wyznaczenie na moje miejsce nowego k-dta „Kedywa” i objąłem osobiście dowodzenie Zgrupowaniami Partyzanckimi, zwłaszcza wobec konieczności: 1) przeprowadzenia natychmiastowej głębokiej selekcji wśród różnorodnego zbiorowiska ludzkiego w lesie (luźne, nie zorganizowane oddziały-bandy i ludzie spaleni w robocie, szukający oparcia o zorganizowany las); 2) scalenia ich pod jednolite dowództwo i stworzenia z nich pełnowartościowych Zgrupowań Partyzanckich A.K.; 3) zaprowadzenia w Zgrupowaniach żelaznej dyscypliny i metod wychowawczych wojskowych wobec często występujących przejawów bandyctwa; 4) stworzenia żołnierzom, wcielonym do Zgrupowań Partyzanckich A.K., warunków bytowania przez: uzbrojenie, wyekwipowanie, wyżywienie i odpowiednie dowodzenie.

Prośbę swą ponawiałem kilkakrotnie – bez rezultatu. K-ndt Okr. nie tylko nie wyznaczył nowego k-ndta „Kedywa” (stan do m-ca listopada br. włącznie – obecnie mi nie znany), ale niejednokrotnie dawał mi do zrozumienia, że jestem niezastąpiony na tej funkcji (moja zupełna bezczynność na tym odcinku), a jeszcze w końcu października br. w obecności Szefa Sztabu Okr. i mojego adiutanta wyrażał się o mnie jako jednym z najlepszych swoich oficerów (fakt ten przytaczam dla ogólnego naświetlenia oceny i stosunku K-ndta Okr. do swoich podkomendnych).

Funkcję k-ndta „Kedywa” mogłem sprawować z lasu, będąc jednocześnie dowódcą Zgrupowań Partyz. Argument: jeśli mogłem zorganizować i prowadzić **produkcję stenów** ze swoim m.p. w lesie, to gdyby nie ograniczenie mnie w kompetencjach jako k-ndta „Kedywa” – pełniłbym jednocześnie funkcję k-ndta „Kedywa” i d-cy Zgrupowań Partyz. z całym pożytkiem dla służby. Stwierdzam przy tym, że na każdy rozkaz i wezwanie (bez względu na brak dokumentów z Komendy Okr., legalizujących mnie w terenie) – meldowałem się do dyspozycji Komendy Okręgu w każde miejsce.

Zarzuty przeciwko K-ndtowi Okręgu:

1) K-ndt Okr. mając pod swoimi rozkazami oddziały, na stanach których było i jest przeciętnie 50 karabinów maszynowych i 350 ludzi – **nie dał przez 7-miesięczny okres istnienia Zgrupowań Partyz. ani jednego rozkazu bojowego do wykonania.**

Dla informacji podaję wartość bojową i moralną Zgrupowań Part.:

a) pomimo kilkunastu obław, przy przeważającej sile n-pla, gdzie w niektórych obławach na 350 ludzi wystawiono 12-15 tys. żandarmerii, popartej bronią towarzyszącą piechoty, lekką bronią panc. i lotnictwem – Zgrupowania Partyz. nie zostały rozbite, a straty ogólne do tej pory wyniosły 10% stanu ogólnego za okres 7-miu mieś.;

b) Zgrupowania Partyz. potrafiły narzucać szturm n-plowi i przy zastosowaniu walki wręcz przeprowadzać go zwycięsko, z oczyszczeniem pola walki;

c) w czasie dokonywanych przeze mnie ćwiczeń żołnierz wytrzymywał próby 3-dniowej kompletnej głodówki, przy równoczesnym wysiłku marszowym – 20-35 km dziennie – bez objawów załamania lub szemrania;

d) szemranie również nie występowało w niebezpiecznym momencie bezpośredniego zetknięcia się naszych Zgrupowań Partyz. z innymi oddziałami – „dzikimi” lub komunistycznymi – o niewspółmiernie lepszym stanie wyekwipowania i umundurowania niż nasi żołnierze, będący w oparciu o czynniki oficjalne wojskowe i Skarb Państwa.

2) **do dnia 1-go stycznia K-ndt Okr. pozostawił Zgrupowania Partyz. bez rozkazów czy decyzji, rozwiązujących kwestie przebywania Zgrupowań przez zimę**, nie wykazując przy tym żadnego zainteresowania i niepokoju o ich losy.

Brakiem tego rodzaju rozkazów wypędzonych zostało przez zimę z lasów na teren otwarty wrogowi 350 żołnierzy polskich, przy i tak uszczupionej przez wszelkiego rodzaju obozy sile bojowej Kraju.

Cały ciężar decyzji i odpowiedzialności za nią spoczął na mnie, poruczniku-dowódcy Zgrupowań Partyz. – chociaż Zgrupowania Partyz. A.K. miały nad sobą wyższych dowódców w Okręgu.

Zagadnienie przezimowania rozwiązałem przez zdemobilizowanie Zgrupowań i ujęcie ich w plan mobilizacyjny, dający możliwość powołania Zgrupowań Partyz. w ciągu 48 godzin pod broń, a z ujętymi w plan mob. Zgrupowaniami utrzymuję stałą łączność bojową.

Decyzję demobilizacji powziąłem, powodując się przede wszystkim bezpieczeństwem terenu. Ze względu na brak odpowiedniego zaopatrzenia żołnierza nie mogłem z nim zimować w lesie, natomiast kwaterowanie licznych Zgrupowań po wsiach zdynamizowałoby teren i zagraziło ludności tych wsi, co przy ogólnym wyniszczeniu narodu jest wręcz niedopuszczalne;

3) do strzelców i oficerów, będących w 7-miesięcznym nieustannym zmaganiu – **nie został wydany przez K-ndta Okr. żaden rozkaz mówiący o zależności Zgrupowań Partyz. od K-ndta Okręgu A.K. i o serdecznej żołnierskiej więzi między przełożonym a podkomendnym.**

Podkreślenie zależności tych Zgrupowań od K-ndta Okr. i poparcie mnie rozkazem organizacyjnym, stwierdzającym moje nad nimi dowodzenie z ramienia K-ndta Okr. A.K., miałyby swój specjalny ciężar gatunkowy:

1) wobec masowo grasujących „dzikich”, Bóg jeden wie, komu służących, oddziałów, band rabunkowych i silnych oddziałów komunistycznych;

2) wobec tego przyzwoitego elementu żołnierskiego, który z tamt. oddziałów świadomie przechodził pod rozkazy Zgrupowań Part. A.K.

Na potwierdzenie zależności Zgrupowań Partyz. od A.K. miałem tylko gołe słowo i to zaufanie, jakim mnie obdarzył żołnierz, stojący pod moimi rozkazami od 7-miu miesięcy;

4) Zgrupowania Partyzanckie przeszły ponad 15 obław; **o żadnej z nadchodzących obław i czynionych przez n-pla przygotowaniach nie byłem na czas alarmowany przez bazy informacyjno-wywiadowcze Okręgu.**

W obławie dn. 17.IX.43 r”która trwała 2 doby i 1 dzień, np-1 potrafił skoncentrować 12-15 tys. wojska i żandarmerii, wypiec chleb dla skoncentrowanych, przygotować wódkę i przejść przez punkt przejściowy Starachowice-Skarżysko – m.p. Komendanta Okręgu z jego sztabem – o czym zostałem powiadomiony **dopiero w 2 dni po zakończonej obławie** meldunkiem K-ndta Okr. ze szkicem o koncentracji n-pla. W innych wypadkach nie dochodziły do mnie nawet spóźnione meldunki informacyjno-wywiadowcze;

5) na terenie tut. Okręgu znajdują się liczne fabryki broni i amunicji oraz składy z materiałami wybuchowymi, częściami zaopatrzenia i wyekwipowania wojsk. Wspomniane rzeczy codziennie transportami odchodzą we wszystkich kierunkach, spokojnie zaopatrując wroga. Pomimo wielokrotnego zwracania się do K-ndta Okr. o rozpoznanie tych obiektów – **rozpoznania na rozładowanie transportów na rzecz wojska polskiego od K-ndta Okręgu nie otrzymałem.**

Zgrupowania Partyz. były w stanie nie tylko dobroić i zaopatrzyć z rozładowanych transportów siebie i Okręg Kielecki, ale i szereg innych okręgów, na terenie których takich fabryk i składów o tej skali nie było. Przy tym Zgrupowania Partyz. nie zatraciłyby swego celu roboty dywersyjnej i dynamizm bojowy Zgrupowań Partyz. nie szedłby na drobne akcje zdobywania poszczególnej pary butów, jednego kożucha czy pojedynczego k.b.

6) **K-ndt. Okr. nie rozwiązując w swoim sztabie kwestii zaopatrzenia i wyżywienia Zgrupowań Partyz. – 1) nie pozwolił na zaprojektowane przeze mnie utworzenie baz zaopatrzeniowo-wywiadowczych przy komendach obwodów, jako równoległej sieci organizacyjnej, wyłącznie dla potrzeb „Kedywa” i dowódców Zgrupowań Partyz.; 2) nie dał mi rozpoznania na obiekty jak w pkt. 5.**

Otrzymałem natomiast od K-ndta Okr. – dosłownie 7 par butów na drewnianych podszwach.

Projekt umundurowania Zgrupowań Partyz. na zimę (300 mundurów i 600 par ciepłej bielizny), złożony przeze mnie K-ndtowi Okr. w m-cu sierpniu – został odrzucony jako nierealny ze względu na: a) brak w Komendzie Okręgu na ten cel odpowiedniej ilości pieniędzy; b) brak materiałów na umundurowanie; c) brak odpowiednich warsztatów. Na miejsce mego projektu **z sierpnia – w m-cu październiku** – K-ndt Okr. rozpiął w teren „pomoc zimową dla żołnierza-partyzanta A.K.”, która zresztą w znikomej tylko części rozwiązała kwestię umundurowania i przysłała z **zasadniczym opóźnieniem** w czasie.

Jak z powyższego wynika, żołnierz przez szereg długich miesięcy był bez butów, umundurowania, wyekwipowania i zawoszony. Warunki te zmuszały mnie niejednokrotnie do rekwizycji na rzecz żołnierzy, które nie były niczym innym, jak zwykłym rabunkiem.

Spotykamy przez zniekaną ludność polską żołnierz-partyzanta nie wszczepiał w nią swoim obdartym, beżpanińskim wyglądem ducha bliskiego u nas ładu i siły; u wroga mając wzgardę i nazwę łachmaniarza-bandyty;

7) jedynym łącznikiem K-ndta Okr. ze Zgrupowaniami Partyz. **był pieniądz, ale i ten wypłacany nieregularnie lub nie wypłacany wcale w najcięższych dla Zgrupowań chwilach, jak w bezpośrednich momentach po obławach i w obecnym okresie zimy i demobilizacji.**

Dla poparcia tego twierdzenia podaję następujący fakt: w okresie ostatniego miesiąca np. dwukrotnie wysyłany ode mnie specjalny goniec do K-ndta Okr. (po łącznym marszu 200 km piechotą i furmanką przez teren zagrożony), pomimo nawiązania z K-ndtem Okr. łączności nie uzyskał dla mnie od K-ndta Okr. żadnych rozkazów **ani pieniędzy**. Bez względu na odległość i niekorzystne warunki terenowe zmuszony byłem obecnie wysłać gońca **po raz trzeci**, który przed chwilą wrócił **bez pieniędzy**, z jedynym pozostawionym dla Zgrupowań Partyz. rozkazem na skrzynce – to rozkazem zwalniającym mnie z dowództwa.

Dla informacji podaję: żołnierz mój rekrutuje się przeważnie z elementu napływowego i ludzi całkowicie spalonych w robocie konsp., ściganych i nie mających w terenie żadnego oparcia – tak że stałe zaopatrzenie finansowe w okresie zdemobilizowania **jest dla nich podstawą istnienia.**

8) **K-ndt Okr. nie zainicjował współpracy pomiędzy Zgrupowaniami Partyzanckimi, będącymi składową częścią „Kedywa” a niższymi jednostkami organizacyjnymi A.K. w terenie, w wyniku czego zdarzać się zaczyna, że zdemobilizowani ze Zgrupowań Partyz. żołnierze są rozbrajani przez obwody i podobwody, na terenie których przejściowo szukają schronienia.** W taki sposób ujęty w moim planie mob. żołnierz – w dniu powołania do macierzystego Zgrupowania Partyz. **stanąłby bez broni**. Ponieważ do takiego stanu rzeczy nie mogę dopuścić – pozostanie mi odebranie siłą bezprawnie zabranej moim żołnierzom broni przez jednostki organizacyjne A.K., które przez brak odpowiednich rozkazów działają ze szkodą dla sprawy.

Jest to również bezpośrednim wynikiem nie tępiących w zarodku przez K-ndta Okr., podrywających siłę bojową Zgrupowań Partyz. – wiadomości, rozchodzących się po Okręgu, o rozbiciu Zgrupowań Partyz. w czasie obławy. Stany strat przedkładałem K-ndtowi Okr. w moich meldunkach. Odpowiednia propaganda K-ndt. Okr. byłaby przeciwstawieniem każdej panikarskiej czy bezmyślnej pogłosce. Ale sam Szef Sztabu osobiście określając Zgrupowania Partyz. jako „szkołę bandytyzmu” – wszczepił to pojęcie w terenie, w którym obecnie przychodzi mi bytować i gdzie żołnierze moi są rozbrajani;

9) na określenie nie spotykanych w wojsku, a tym bardziej w konspiracji stosunków – podaję następujący fakt: **K-ndt Okr. przyjął do Sztabu Okr. podchorążego, zdyskwalifikowanego przeze mnie za to, że będąc dowódcą oddziału rozbroił swoich żołnierzy i porzucił ich w niebezpieczeństwie, a sam przyszedł do mnie na kontakt na melinę.** K-ndt Okr. o powyższym posiadał mój meldunek, jak również K-ndt Okr. osobiście nie znał podchorążego z poprzedniej służby; podchorąży ten został przywieziony przeze mnie i przeze mnie zdyskwalifikowany – czym się powodował K-ndt Okr. przyjmując go do Sztabu Okręgu?

10) **K-ndt Okr. nie zatwierdził dotąd ani jednego wniosku awansowego i odznaczeniowego**, nawet dla tych strzelców i oficerów, którzy zginęli na polu chwały, bijąc się do ostatka z przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi;

11) **tak samo żołnierz-partyzant nie znalazł u K-ndta Okr. moralnego podtrzymania – w regularnych opisach jego żołnierskich trudów i zwycięstw w obiegającym kraj Biuletynie Informacyjnym.** Tylko dwa czy trzy razy ukazały się opisy obław czy akcji bojowych, a obław było ponad 15-cie i akcji zaczepnych i odwetowych tylekroć więcej.

W ten sposób został zatarty piękny i cenny dorobek wolnego żołnierza polskiego w okupowanym Kraju, a żołnierzowi dzieje się krzywda przez brak nad nim moralnej opieki;

12) **notoryczne picie wódki przez Komendanta Okręgu.**

Przytoczone powyżej zarzuty przeciwko K-ndtowi Okr. podałem dla naświetlenia sytuacji, w jakiej w przeciągu 7-miu ciężkich miesięcy dowodzenia Zgrupowaniami Partyz. znajdowałam się ja i dowódcy poszczególnych Zgrupowań: por. Nurt – mój zastępca, por. Kmicic, śp. por. Robot, ppor. Mariański i ppor. Antoniewicz – adiutant i p.o. Szefa Sztabu – tzn.:

a) bez rozkazów bojowych, dziennych i okolicznościowych;

b) bez zaopatrzenia, umundurowania i wyekwipowania żołnierzy;

c) bez rozpoznania obiektów nieprzyjacielskich; informacji i alarmu ze strony Okręgu o nadchodzącym n-plu;

d) bez regularnego dopływu pieniędzy;

e) bez unormowania przez K-ndta Okr. formy współpracy pomiędzy Zgrupowaniami Partyz. a jednostkami organizacyjnymi A.K. w terenie;

f) bez opieki moralnej, jaką żołnierz winien być otoczony ze strony dowódców od najniższego do najwyższego stopnia;

g) bez rozkazów i decyzji **na okres zimy.**

Reasumując powyższe mam prawo wyprowadzić logiczny wniosek, że przez brak dowodzenia nade mną przez bezpośrednio wyższych moich dowódców – pozostawałem i pozostaję do dnia dzisiejszego właściwie „dzikim” dowódcą Zgrupowań Partyz., z tym odróżnieniem od innych „dzikich” oddziałów, grasujących w terenie, że w postępowaniu swoim powodowałem się polską racją stanu.

Wobec obrażających godność oficerską i obywatelską zarzutów proszę o:

1) podanie poszczególnych, stawianych mi zarzutów przez K-ndta Okręgu;

2) zebranie o mnie opinii u moich poprzednich przełożonych, **którzy mnie znają:** z okresu mojej służby w policji państw. – u nadkomisarza, d-cy Gołędzinowa, mjr. Zdanowicza; z okresu mojej służby wojskowej we Francji – u d-ców: 4-go pacu we Francji ppłk. Kamińskiego i d-cy artylerii u gen. Andersa – gen. Odzieżyńskiego; z okresu mojej służby wojskowej w Anglii: u d-cy I brygady spadochronowej w Anglii – płk. Sosabowskiego oraz ppłk. ps. „Pstrąg” z 44 K.G., który odprawił mnie do Polski; z okresu służby w Kraju, za którą zostałem odznaczony krzyżem „Virtuti Militari” V-tej klasy – u Szefa b. „Wachlarza” ps. „Doktor”; 3) zebranie opinii miejscowego społeczeństwa o postawie dowodzonych przeze mnie Zgrupowań Partyz. – wobec wroga i wobec własnego społeczeństwa.

Wspomniana partyzantka w organizacji Zgrupowań Partyzanckich jest „moim dzieckiem”. Począwszy od organizacji pierwszego plutonu (22 ludzi) – do 3 zgrupowań o sile 350 ludzi, poprzez ich uzbrojenie, wyszkolenie i wychowanie, oparte na regulaminach wojskowych na wysokim poziomie ideowym i na najwyższym poziomie moralnym – jest wyłącznym moim dorobkiem, dorobkiem mojego sztabu i kadry dowódczej oficerskiej i podoficerskiej.

Wraz ze swoim sztabem stworzyłem odrębną taktykę partyzancką, dzięki której – operując w niekorzystnym pod każdym względem dla działań partyzanckich terenie – utrzymałem Zgrupowania Partyz. nie tylko nie rozbite, ale nie naruszone w swej sile i formie, poniósłszy za okres 7-miu miesięcy ogólne straty 10% stanu. Jest to jedyny wypadek utrzymania partyzantki w takim stanie.

Potrafiłem bić się, manewrować i zasadzać na n-pla – nie ponosząc ani razu klęski, a będąc ciągle ściganym.

Mam za sobą takie akcje, jak:

– zajęcie miasta Końskie w 62-ch ludzi na przeciąg 2 i pół godzin, z zaszachowaniem garnizonu nieprzyjacielskiego w sile 2 tys., z oczyszczeniem miasta z co najważniejszych konfidentów i z rozładowaniem składów niemieckich – bez strat własnych;

– zajęcie odcinka kolejowego Łączna-Suchedniów – z równoczesną akcją na 2 pociągi, z 35-minutową akcją twarz w twarz bronią maszynową, gdzie ze wszystkich okien pociągu sypał ogień maszynowy – i już za dnia wycofywanie się na głębokość 4 km po terenie otwartym, pod regularnym natarciem jednego batalionu nieprzyjacielskiego; przy stratach własnych 5-ciu wyewakuowanych rannych – u n-pla ok. 200 zabitych i rannych – odwet za spaloną polską wieś – Michniów²³⁵;

²³⁵ „Ponury” połączył tu dwie odległe o dziesięć dni akcje: zaatakowanie pociągów pod Łączną (2 lipca 1943) i odwet za Michniów pod Berezowem (12/13 lipca 1943) – przyp. C. Ch.

– dzienne natarcie jednego plutonu partyzanckiego pod dowództwem ś.p. ppor. Robota na pluton żandarmerii w m. Wielka Wieś przy stratach n-pla ponad 20 zabitych i rannych – stratach własnych 2-ch zabitych²³⁶;

²³⁶ Dane mylne. Chodziło o uderzenie pod Smarkowem, 13 września 1943 r. (przyp. C. Ch.).

– w obławach, zależnie od położenia, przy zastosowaniu plutonami dywersji na większą skalę i odpowiednim manewrowaniu – albo wymykałem się n-plowi z obławy nie zauważony, albo odskakiwałem parę kilometrów, zostawiając ślad odskoku, i zasadzałem się okrakiem na szosie – bijąc się, a następnie gubiłem ślad i zapadałem znowu w zasadzce, gotowy do przyjęcia walki. W innych wypadkach, otoczony ze wszystkich stron silnym kordonem brygady SS i żandarmerii, mając przejścia (drogi i duchty) zamknięte ogniem maszynowym i bombardowany z powietrza – zdecydowanie nacierałem i z okrzykiem „hurra” dokonując szturm, przebijałem się przed kordon n-pla po to,

aby po przejściu paruset metrów zasadzać się na niego.

Dlaczego przy takim wyniku mam odejść z dowództwa, pozostawiając wojsko w najcięższym okresie jego bytowania – skoro żołnierz mi ufa i liczy na moje dalsze dowodzenie i skoro ja żyję?

Czym i w jaki sposób wytłumaczę w rozkazie do oficerów i strzelców złożenie dowództwa i swoje odejście? – jest okres wojny i partyzant jest żołnierzem frontowym, a front daje życie się żołnierza z dowódcą, który niejednokrotnie decyduje o wyniku walki.

Jestem synem chłopca ziemi kieleckiej i twardą ręką wychowany, stałem się twardy zarówno dla siebie, jak innych, bez względu na to, kim oni dla mnie są w służbie i poza służbą. Od 1931 roku przebywałem w służbie wojskowej i nasiąknęłem jej duchem. Duch tej służby nauczył mnie pojmowania do głębi wartości dyscypliny wojskowej, ale nie złudnych, suchych form tej dyscypliny w wypadku, jeżeli rozum i serce mi mówią o szkodzie dla służby. Zarzuty wysunięte przeciwko K-ndtowi Okręgu stwierdzają postępowanie z wyraźną szkodą dla służby i w tym leży przyczyna mego postępowania i stosunku do K-ndta Okręgu i Szefa Sztabu Okr.

Jeżeli przy tym Pan Generał zechce zważyć ciężkie warunki partyzanckie: pomiędzy obławą i akcją bojową a pomiędzy rozpaczliwym wysiłkiem o umundurowanie, wyżywienie i bezpieczeństwo stojącego za mną oko w oko żywego żołnierza – głęboko opracowałem argumentację swoich próśb i wniosków do K-ndta Okr., które nie znajdowały u K-ndta Okr. i Szefa Sztabu Okr. oddźwięku, rozbijając się o całkowitą bezduszność obu w sprawach ciężkiej służby partyzanckiej – to w prostej żołnierskiej sprawiedliwości znajdzie Pan Generał dla mego postępowania zrozumienie i wytłumaczenie.

Byłem świadom, że przeciwstawianiem się u K-ndta Okręgu zaszczytów sobie nie zdobędę; zasługa moja leży w rzetelnym wypełnianiu obowiązku dowódczego i nieprzestawieniu na plan drugi dobra służby, którym li tylko się powodowałem.

W służbie swojej nie wykazałem przerostu ambicji osobistych, czego najlepszym dowodem jest fakt, że skoro ograniczony w kompetencjach nie mogłem niczego dokonać – dobrowolnie ze stanowiska Kedywa okręgowego przeszedłem na dowódcę Zgrupowań Partyz., co w hierarchii służbowej jest szczeblem znacznie niższym.

Melduję, że w partyzantce dowódca i oddział – to jedno. Zdjęcie dowódcy może być równoznaczne z jej przekreśleniem, a naturalna zmiana dowódcy może nastąpić tylko z jego śmiercią.

Ponury
(Ponury, por.)

m.p. dn. 3.1.44 r.[237](#)

[237](#) Oryginał tego raportu dochował się i znajduje się prawdopodobnie nadal w b. Archiwum Zakładu Historii Partii – (przyp. C. Ch.).

Raport „Ponurego” zawiera wiele momentów emocjonalnych oraz subiektywnych naświetleń. Uwagi o Gwardii Ludowej jako oddziałach lepiej uzbrojonych od akowskich nie odpowiadają prawdzie, gdyż rzuty zaopatrzeniowe, które AK już miała, dla GL zaczęły się dopiero w jakiś czas potem. Informacje o stratach niemieckich, jak też liczebności oddziałów nieprzyjaciela biorących udział w obławach są wybitnie zawyżone. Zarzut pod adresem KG AK, że nie publikowano częściej w prasie konspiracyjnej opisów akcji Zgrupowań, jest dyskusyjny, gdyż w „Biuletynie”, który przeciekał przecież w ręce niemieckie, także musiano uprawiać konspirację. Dokument ten jednak w sposób przekonujący przedstawia ocenę Okręgu ze strony „lasu” i to jest jego istotną wartością.

Ponury, porucznik
D-ca Zgrupowań partyz.

m.p. dn. 3. I. 44r.

Raport dotyczący d-ctwa
zgrupowaniami partyz.

Do
Komendanta Głównego A.K.
/drogą służbową/
w m.p.

Melduję, że dn. 2. I. 44r. pismem Komendanta Okręgu "Gość. 30312 /3L5/Mas." otrzymałem odpis rozkazu Pana Generała odwołującego mnie z dowództwa zgrupowaniami partyzanckimi.

Melduję, że rozkaz Pana Generała doszedł do mnie wcześniej drogą pozasłużbową z podaniem mi do wiadomości, że z dowództwa zostałem zwolniony dyscyplinarnie.

Nie mając możliwości zameldowania się u Pana Generała osobiście - przedkładam pisemny raport, dający naświetlenie sprawy z mojej strony.

Proszę Pana Generała o ponowne rozpatrzenie sprawy i o ponowne wydanie decyzji, pozostawiającej mi dowództwo nad dotychczas dowodzonymi przezemnie zgrupowaniami partyz., z terenem operacyjnym Okręgu Kieleckiego; wgl. jeżeli uzna Pan Generał za konieczne opuszczenie przezemnie tego terenu - wydanie rozkazu przejścia na teren innego okręgu, ale wraz ze wszystkimi zgrupowaniami partyz. i pełnym dotychczasowym uzbrojeniem.

Proszę Pana Generała o wydanie tej decyzji imiennie i na piśmie; szczególnie proszę Pana Generała, że względu na wyjątkową sytuację, jaka się wytworzyła - o wydanie tej decyzji w trybie przyspieszonym.

Melduję, że na czas ponownego rozpatrzenia przez Pana Generała sprawy i powzięcia decyzji, poprosiłem Komendanta Okręgu o udzielenie mi urlopu do dnia 5. II. b.r. Zgodnie z rozkazem Komendanta Okręgu - dowództwo przekazałem por. Nurtowi, memu dotychczasowemu zastępcy i d-ey Zgrupowania nr. 1. - na czas trwania tego urlopu.

Proszę Pana Generała o rozkazy.

Załącznik: raport.

Ponury
/Ponury, por./

Ponury, porucznik
D-ca Zgrupowań partyz.

m.p. dn. 3. I. 44r.

Do
Pana Pułkownika "Nila"
w m.p.

Melduję, że pismem Komendanta Okręgu "Gość. 30312/3L5/Mas" zostało mi odebrane dowództwo nad zgrupowaniami partyzanckimi, bez podania mi powodów. Na zwolnienie mnie z dowództwa załączony jest rozkaz Komendanta Głównego.

W załączeniu przedkładam Panu Pułkownikowi mój raport do Komendanta Głównego, naświetlający warunki w jakich pracowałem jako dowódca Zgrupowań partyz. przez okres 7-miu miesięcy - z prośbą o zaznajomienie się z treścią tego raportu i o wykorzystanie w/g uznania Pana Pułkownika.

Raport ten pozwoliłem sobie przesłać Panu Pułkownikowi nieoficjalnie przez por. Czarkę.

Załącznik: raport do K-ndta Gł.

Ponury
/Ponury, por./

200-201. Pisma przewodnie dla Komendanta Głównego Armii Krajowej oraz dla dowódcy Kedywu, do których „Ponury” dołączył swój dramatyczny meldunek z 3 I 44 napisany po odwołaniu go z dowodzenia Zgrupowaniami





202. Dwujęzyczne zaświadczenie Rady Głównej Opiekuńczej firmujące transport zimowej odzieży dla leśnego wojska, znalezione przez gestapo radomskie przy aresztowanym „Czarce”

203a. 8-tonowy Hanomag Diesel Holzgas Nr rej. DW 86045, którym por. „Czarka” wioził 3 I 1944 zaopatrzenie dla Zgrupowaniu „Ponurego”. Z kabiny ciągnika wygląda Stefan Kubniewski, kierowca tej ciężarówki

*Wartość dnia 31. I 1944
wierzawa - Radom
skarżyciel,
Opatow.
z Opatowa przez
Lapow do...*

*28. I 1944
godz 18.
...
...
Hieskunow Stary
za mostkiem przy
szkole*

203. Znalezione przy „Czarce” także kartkę z marszrutą dla samochodu





St. Kamiński T-1 251
„Motor” z dawnego St.
Wachlę, - obecni u Was
za raporty z uplewu
powinno zostać skierowi
dowany.
21/5. 18⁵ Włocławek

204. Tak brzmiał rozkaz kontrwywiadu KG AK polecający natychmiastową likwidację „Motora”

205. Wykonawcą wyroku Podziemnej Polski był najstarszy wiekiem i stażem z dowódców partyzanckich oddziałów Zgrupowań, chor. „Szort” — Tomasz Waga





21

998/Vigil

18

W załączeniu przesyłam:

1. pismo "Ponurego" do 81- przedstawiającego zeznania zlikwidowanego prowokatora "Motora"
 2. moje ostrzeżenie do Rolnika w odpisie
- z poleceniem przeprowadzenia w tej sprawie dochodzeń w porozumieniu z ref. bezp. 81.

Dochodzenie należy przeprowadzić w kierunku:

- a. ustalenia rozmiarów zagrożeń powstałych na skutek zdrady "Motora" i innych
- b. ustalenia osób współdziałających w zdradzie z "Motorem"
- c. ustalenia autora ostrzeżenia do "Motora" /ostrzeżenie załączone przy piśmie "Ponurego"/.

Kameleon T-1 udzieli Panu wyjaśnień i pomocy w prowadzeniu dochodzenia.-
Wyniki dochodzenia referować jak najspieszniej.-

5.II.

18-b

137

Wzrost 81

Przedstawiam pismo do K.O. Rolnik - na temat dalszego prowadzenia dochodzenia w sprawie "Motora" i innych - z prośbą o skierowanie.-

24.IV.

Honoratka

407

271

Belek 81

Zapytuje jaki jest stan sprawy likwidacji Kesslera i innych, z afery Motera.
Okręć zarzuca nas zapytaniem!

20.V.

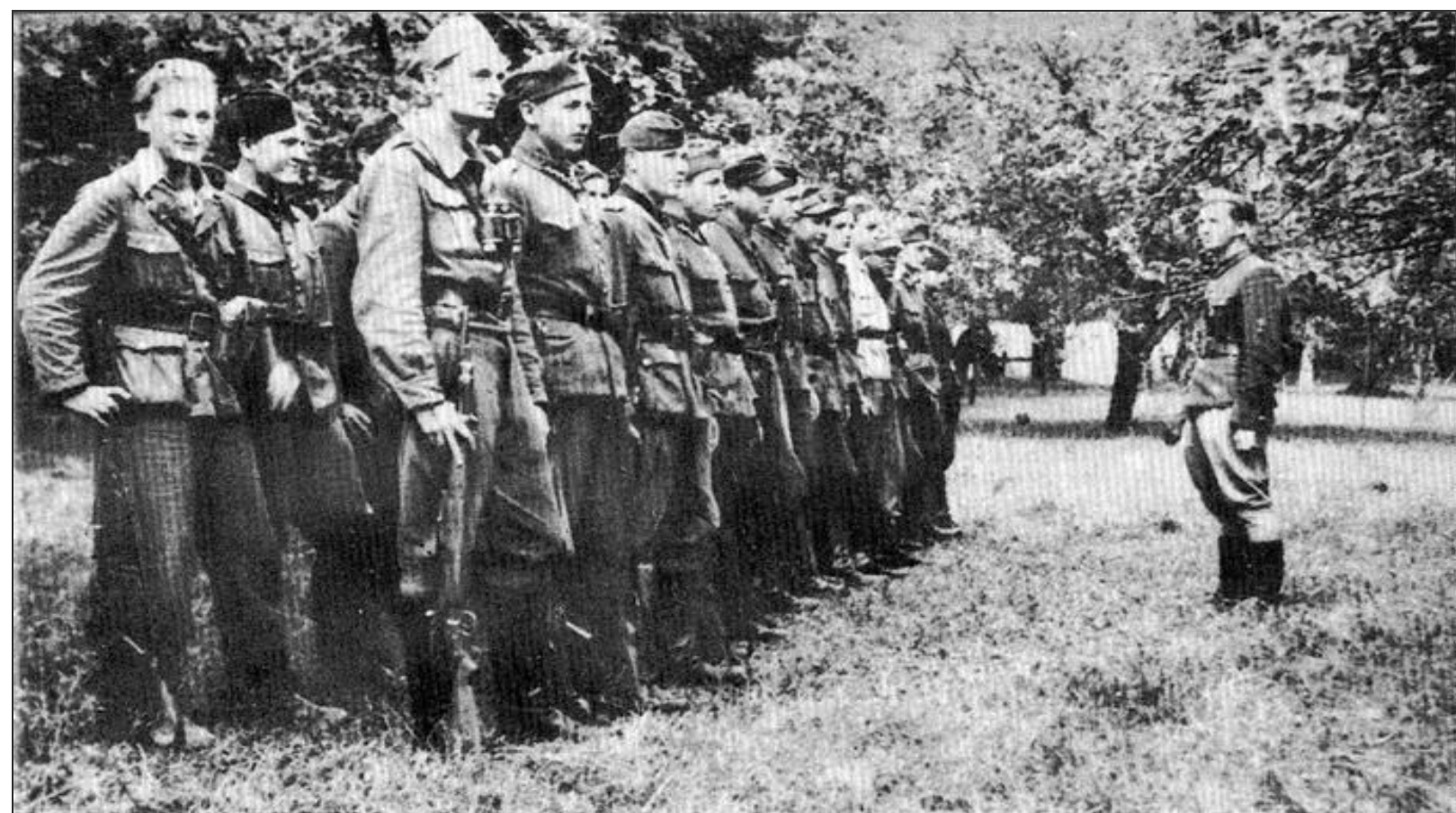
Biruta

206-208. Trzy (z wielu) meldunki (z 5 II, 24 IV, i 20 V) różnych szczebli służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych AK dotyczące likwidacji pozostałości po agenturalnej służbie „Motora”

209. Jednym z ogniw, które pomogły wykryć zdradę „Motora” był Austriak Karl Landl, b. żandarm z Łopuszna (pierwszy z prawej). Zdjęcie wykonane w 1961 r. w Kielcach. W środku żołnierz „Ponurego”, „Puer” — Bogdan Ostachowski (+1987)







210. Na wiosnę, już pod komendą por. cc. „Nurta” odtworzono Zgrupowania do stanu prawie 400 żołnierzy. Na zdjęciu kompania ppor. „Jurka”

211. W kompanii por. „Habdanka” w warunkach leśnych podjęto produkcję pistoletów maszynowych rozbitą aresztowaniami w Suchedniowie

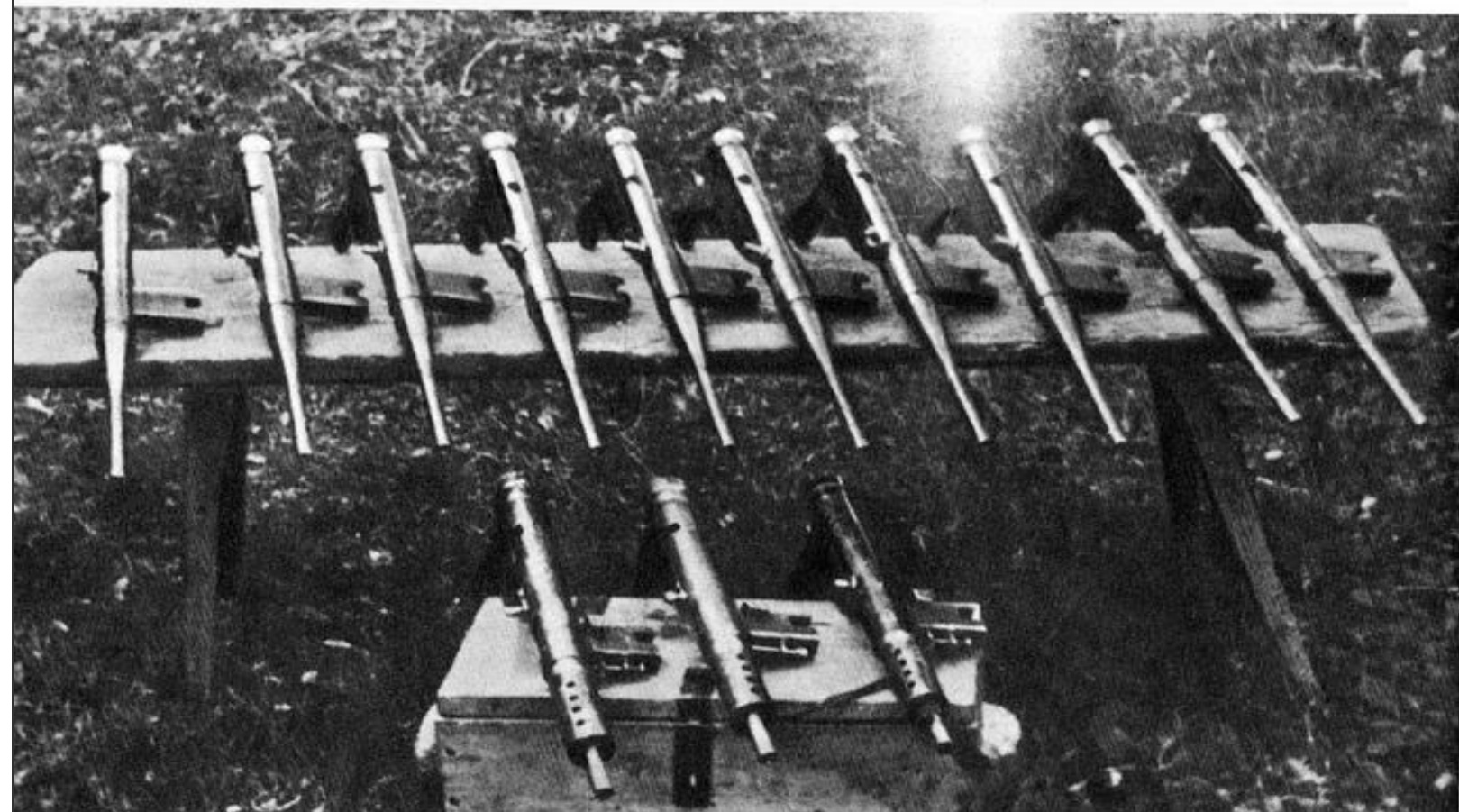






212. Po bestialskim wymordowaniu 7 VII 44 pod Wołą Grójecką zadenuncjowanych ułanów „Tarzana” odbudowanym zwiadem konnym dowodził pchor. „Bogoria” — Stanisław Skotnicki (na pierwszym planie)

213. Leśny warsztat rusznikarski produkował dwa typy automatów: KISy (od pseudonimów twórców: Konar, Igo, Smrek — u góry) i steny (poniżej)







214. W sierpniu 1944 Zgrupowania „Nurta”, teraz już jako I bat. 2 pp Leg. 2 dywizji Korpusu Kieleckiego AK, podjęły marsz na pomoc powstańczej Warszawie

215. W październikowych walkach na ziemi włoszczowskiej batalionem i kompaniami dowodzili oficerowie ze starej ponurowskiej kadry. Od lewej: por. „Marianiński” Stanisław Pałac, kpt. „Nurt” Eugeniusz G. Kaszyński, ks. „Jaskólski” Zygmunt Głowacki i por. „Dzik” Marian Świdorski

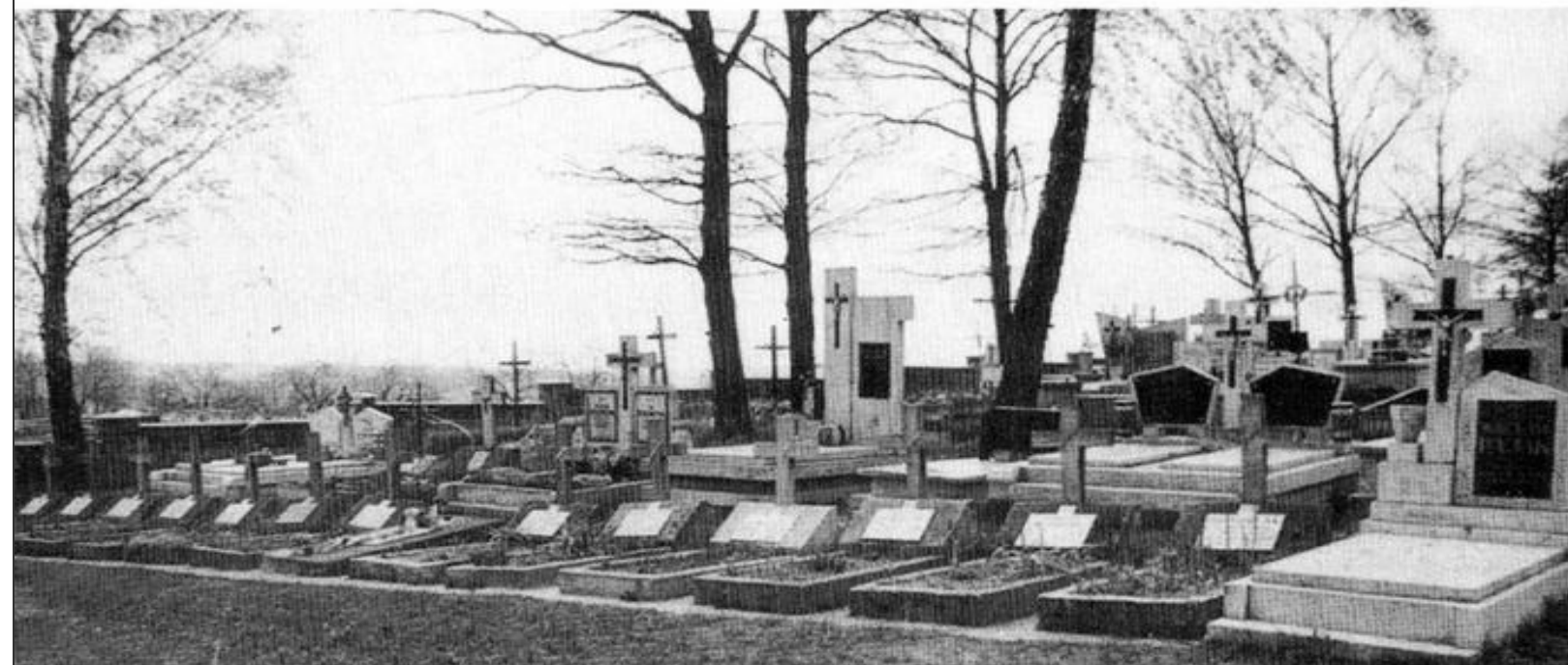






216. Po dramatycznej dla batalionu bitwie pod Chotowem 30 X 1944 (równy rok po tragicznej obławie na Wykus) żołnierzy zepchniętych do głębokiego lasu przysypał śnieg. Od lewej: „Baca” Mieczysław Cebula, „Szach” Julian Materek (tyłem), por. „Habdank” Jerzy O. Stefanowski, por. „Dzik” Marian Świdorski i kpt. „Nurt” Eugeniusz G. Kaszyński

217. Dziś w kwaterze partyzanckiej na cmentarzu w Olesznie w 15 jednakowych grobach leżą żołnierze Świętokrzyskich Zgrupowań polegli pod Chotowem





Rozkaz odwołujący „Ponurego” z dowodzenia Zgrupowaniami miał szersze znaczenie, i to w sensie ujemnych skutków politycznych. Sympatia, którą zyskał on sobie w szerokich kręgach społeczeństwa kieleckiego oraz radykalizującego ruchu chłopskiego, przerodziła się w protest przeciwko tej decyzji. A protest ten miał większe, nie tylko emocjonalne znaczenie. Był to przecież okres, w którym ciągle jeszcze ważyła się sprawa podporządkowania poszczególnych obwodów Batalionów Chłopskich rozkazom Armii Krajowej. A była to siła niebagatelna – w 1944 roku oceniano ją na 160 tysięcy ludzi. Na czoło radykalnych odłamów w BCh wysunęła się właśnie Kieleccyzna i tu spięcia między działaczami ruchu chłopskiego a komendantami poszczególnych obwodów AK były najczęstsze.

I te właśnie radykalne siły chłopskie decyzję odwołania „Ponurego” z Kieleccyzny oceniły jako krok wsteczny. Pisze o tym wyraźnie w swej książce były komendant Obwodu Opatowskiego BCh – „Jaruga”²³⁸.

²³⁸ Władysław Zwiejski – „Jaruga”: *Walczyli w chłopskich batalionach*, Warszawa 1964, s. 249-250.

Niezależnie od dostrzegalnych w relacji „Jarugi” niezgodności w szczegółach, warto przytoczyć tę opinię jako spojrzenie na sprawę „Ponurego” z zewnątrz, spoza szeregów AK.

W styczniu i lutym 1944 r. zaszły nowe zdarzenia, które do żywego poruszyły nie tylko szeregi BCh i „Rocha”, ale i dotychczasowe środowisko AK-owskie. Były to:

- pozbawienie dowództwa i zabranie z terenu Jana Piwnika – „Ponurego”, sławnego dowódcę Zgrupowania Partyzanckiego AK, działającego od 1942 r. w Kielecczyźnie [...]

- sprawa „Ponurego” nie była dla nas obojętna, cieszył się on sławą legendarnego dowódcy poważnego Zgrupowania Partyzanckiego AK na Kielecczyźnie, był synem Ziemi Opatowskiej, pochodził ze wsi Janowice, gmina Boksyce. Po kampanii wrześniowej dostał się na Zachód, skąd – po odpowiednim przeszkoleniu w Anglii – jako skoczek spadochronowy został zrzucony w Kraju 1942 r. dla organizowania i prowadzenia walki partyzanckiej.

W 1943 r. dowodzone przez „Ponurego” Zgrupowania liczyły około 500²³⁹ żołnierzy, składały się z kilku oddziałów, dowodzonych przez „Nurta”, „Lisa”, „Grotę”, „Szarego”, „Robota” i innych. Zgrupowanie „Ponurego” przeprowadziło wiele udanych, brawurowych wprost akcji, zadając dotkliwe straty Niemcom. W akcji oddziałów Zgrupowania „Ponurego” na pociąg urlopowy Wehrmachtu w Łącznej zginęło około 300²⁴⁰ oficerów niemieckich. Był to odwet za spalenie wsi Michniów i za wymordowanie jej mieszkańców. Drugą sławną akcją było opanowanie miasta Końskie przez oddział „Robota”, gdzie rozbrojono żandarmerię niemiecką i zdobyto poważne zapasy zaopatrzenia wojskowego.

²³⁹ Niezgodne ze stanem faktycznym. „Ponury” skoczył do Polski 7 XI 1941 r., działał na Kielecczyźnie od wiosny 1943 r., pod rozkazami miał niespełna 400 ludzi (przyp. C. Ch.).

²⁴⁰ Dane zawyżone, połączono tu dwie różne akcje; por. przyp. 235 ze s. 367 (przyp. C. Ch.).

Aktywność bojowa „Ponurego” nie znajdowała jednak aprobaty u wyższych dowódców AK. „Ponury” był ustosunkowany bardzo pozytywnie do BCh. Dawał temu wyraz przez utrzymywanie kontaktów z żołnierzami BCh, którzy darzyli go sympatią i w granicach swoich możliwości udzielali pomocy oddziałom Zgrupowania (np. terenowe oddziały BCh udzielały pomocy oddziałom zaopatrzeniowym Zgrupowania przy rekwizycji żywności). Ze swej strony „Ponury” za okazaną pomoc dozbierał oddziały BCh, np. przekazał oddziałowi BCh z Grzegorzowie 16 kb. „Ponury” był urodzonym dowódcą partyzanckim. Troszczył się o żołnierzy, dzielił ich trudy i niebezpieczeństwa, był dla nich przykładem odwagi i zapędu. Żołnierze kochali go i gotowi byli iść za nim w ogień.

Mieczysław Kazimierski – „Orkan” – żołnierz BCh, wywodzący się z tego Zgrupowania, tak wspomina „Ponurego” w swej relacji:

„Ponury” nie lubił brać udziału w odprawach odbywających się w Skarżysku, Starachowicach czy Ostrowcu, nie posiadał się też ze złości, gdy odprawy odbywały się w majątkach, a on udając się tam musiał zabierać ze sobą oddział dla ubezpieczenia odprawy. „Ponury” często mawiał: „Żołnierz winien być używany do walki, a nie schodzić do roli policjanta”. Mówiono, że „Ponury” nie chciał być powolnym narzędziem w rękach niektórych przełożonych, różnych inspektorów Komendy Okręgu i Komendy Głównej, którzy często odwiedzali oddział. W jego Zgrupowaniu mógł znaleźć azyl każdy patriota, garnący się do walki z wrogiem.

Ostatnia wsypa „Motora”

Styczeń był okresem spotęgowanej działalności „Motora”. Czy to na skutek nacisków gestapo, czy też nabrawszy większego rozmachu i zachęcony bezkarnością, agent skraca okresy przerw pomiędzy jedną a drugą denuncjacją. Kontakt z lasem ma utrudniony, zerwanie łączności przez Okręg czyni osobę łącznika mało przydatną dla leśnego wojska, mniej go więc potrzebuje; duże opady śnieżne utrudniają dotarcie do zakopanych w zaspach wsi podświętokrzyckich, w których teraz kwateruje zmniejszony do kilkudziesięciu ludzi, a więc znacznie ruchliwszy oddział. Wreszcie „wyższa polityka”, pertraktacje z Komendą Główną o dowodzenie nad Zgrupowaniami powodują, że do Warszawy jeżdżą teraz oficerowie sztabu, którzy najwyżej korzystają z wozu „Motora” jako środka lokomocji. To wszystko sprawia, że akcje przeciw wojsku „Motor” odkłada na razie na plan dalszy, zajmując się teraz tropieniem dróg zaopatrzenia, skrzynek kontaktowych i siatki KG i Komendy Okręgu.

Wydając w Białobrzegach „Czarkę”, zadaje Zgrupowaniom dodatkowy cios – w ręce Niemców wpada pięć ton tak potrzebnej odzieży i obuwia, co ma olbrzymie znaczenie moralne, bo wojsko o tym transporcie wie, oczekuje go i... nie otrzymuje.

Niedługo potem uzyskawszy, nie wiadomo skąd, warszawski adres żony „Ponurego” – „Marcysi”, kierownika jednej z poważniejszych komórek przerzutowych Komendy Głównej AK, „Motor” przekazuje go gestapo, które w czasie nieobecności właścicielki mieszkania zakłada tam kocioł. „Marcysia”, ostrzeżona na klatce schodowej przez sąsiadów, unika aresztowania. Tylko dzięki maksymalnemu wysiłkowi całej siatki alarmowej udaje się ostrzec wszystkich ludzi, którzy używają tego lokalu, i uderzenie gestapo trafia w próżnię.

„Motor” jest w tym czasie bardzo rzutki, przemierza kilka razy szlak Kielce – Warszawa, zbierając po drodze w placówkach konspiracji potrzebne informacje, które przekazuje Niemcom.

2 stycznia, w przeddzień wpadki „Czarki”, siatka alarmowa Okręgu Kielecko-Radomskiego zostaje postawiona w stan pogotowia. Otóż wywiadowcy konspiracji ulokowani w różnych urzędach donieśli, że niemiecki komendant miasta w Skarżysku w czasie sylwestrowej zabawy powiedział nieopatrznie komuś, że żandarmeria przygotowuje specjalną, zakrojoną na szeroką skalę akcję przeciwko konspiracji.

[...] Niemcy przygotowują na Placu w Skarżysku, Milicę i Bzin specjalną akcję, powiedział, że już za dużo wie, ale zdają sobie sprawę, że to jeszcze nie stanowi całości, i dlatego poczekają. Dla przekonania słuchacza, że mówi prawdę, wskazał na kilka domów na Placach i w Bzinie określając, kto w nich mieszka i jaki jest jego stosunek do organizacji. Po sprawdzeniu okazało się, że mówi prawdę. Zagrożonych ludzi poleciłem miejscowej placówce uprzedzić. Sztab w związku z tym nie wydał żadnego zarządzenia²⁴¹.

²⁴¹ Z notatki „Stefanowskiego” pisanej 4-5 VIII 1944 r.

Ten ostatni moment jest szczególnie ważny i brzemienisty w skutki. Nie ulega wątpliwości i najbliższe wypadki to potwierdzą, że informatorem Niemców był „Motor”.

20 stycznia rano żandarmeria z Suchedniowa i Kielc nagłym nalotem wpada do Skarżyska i likwiduje kancelarię i archiwum Komendy Okręgu. Cała dokumentacja dostaje się w ręce gestapo. Kancelaria ta mieściła się w Bzinie w domu Miazgi. Z domu prowadził podkop do sąsiedniego budynku będącego w budowie. Sam gospodarz domu był człowiekiem odważnym i od dłuższego czasu utrzymywał kontakt między innymi z inż. „Korebką”, który wykonał dla niego kilka luf do pistoletów. Zginął w obozie. W tym samym czasie, gdy wpadła kancelaria, aresztowany został także jej szef i opiekun ppor. „Adzik” – Antoni Zboński.

Dochodzenie w sprawie dekonspiracji archiwum Okręgu prowadził „Stefanowski”, który w wymienionej notatce tak je relacjonuje:

[...] dochodzenie w tej sprawie prowadziłem z polecenia por. Górala, Szefa Wydz. Bezp. Dopiero po wpadce kancelarii dowiedziałem się, gdzie ona się mieściła. W rozmowie potocznej od sąsiadów tego domu, w którym mieściła się kancelaria, dowiedziałem się, że „razem z

wszystkimi rzeczami i papierami została zabrana i ta pani²⁴², co te odezwy pisała”, a od „Zatora” dowiedziałem się, że kancelaria i archiwum w tym domu mieściło się od miesiąca sierpnia 1943 r., że 2 lub 3 października 1943 r. nieustalony osobnik rozkopem dostał się do archiwum, przewracał tam trochę papiery i broń. O zajściu tym Komendant, Szef Sztabu i Szef Bezp. byli powiadomieni, lecz mimo wszystko archiwum, jak i kanc. pozostawili nadal w tym miejscu. Opinia ogólna wyrażała przypuszczenie, że kancelarię wyspał „Chwat”, który mieszkał w domu naprzeciw i który ostatnio utrzymywał kontakt z żandarmerią w Bliżynie. Postanowiłem „Chwata” rozgryźć. Uzgodniłem z Szefem Sztabu, że ja osobiście nawiążę z „Chwatem” kontakt pod pozorem wykorzystania go jako wtyczki do żandarmerii w Bliżynie. Za pośrednictwem „Zatora” nawiązałem kontakt z „Chwatem” i poprosiłem go o dowiedzenie się w Bliżynie coś o wyspie kancelarii i wpadce „Adzika”. „Chwat” zgodził się, jednocześnie powiedział mi, że „Stryjek”, to jest Komendant podobowodu Skarżysko, wysła ludzi na jego zlikwidowanie. Aby temu zapobiec, wysłałem pismo do „Stryjka”, że ja osobiście zajmuję się „Chwatem” i żeby on wstrzymał się z interwencją. „Chwat” złożył mi w tej sprawie kilka meldunków sprzecznych w treści ze sobą i sprzecznych z ustalonymi już w tej sprawie drobnostkami. Zrozumiałem, że albo on mnie okłamuje tendencyjnie, albo jego okłamują informujący go żandarmi. W czasie trzykrotnego spotkania się z „Chwatem” dowiedziałem się tylko od niego, że brał on udział w napadzie rabunkowym, że zastrzelił jednego z urlopowanych partyzantów, który zagrażał mu osobiście, a który był sprawcą kilku napadów rabunkowych w okolicy i że na początku m-ca stycznia 1944 r. przyjechał do niego wraz z partyzantem „Astmą” por. „Motor”, któremu w czasie rozmowy na jego przymówienie się wskazał, gdzie mieści się kancelaria i wg jego słów „Motor” specjalnie przed tym domem przeszedł się. Tego, aby „Chwat” był szpiclem, nie ustaliłem.

²⁴² Mowa tu o „Halinie” – Stefanii Budulskiej, kierownicze kancelarii Okręgu.

Wyrok

Wydarzenia ostatnich tygodni zaalarmowały wszystkie komórki powołane do czuwania nad bezpieczeństwem podziemia. Było rzeczą jasną, że dni agenta są już policzone, że każda następna jego akcja przyniesie dekonspirację. Dochodzenia i penetracje prowadzone kilkutorowo na przełomie drugiej i trzeciej dekady stycznia, wiodły już nieuchronnie do jednego celu – zdemaskowania zdrajcy. A oto jedna z wersji rozszyfrowania „Motora”.

Adiutant Zgrupowań „Leszek Antoniewicz” już prawie miesiąc przebywał w Warszawie. W częstych rozmowach z por. „Smotryczem” starał się dojść, kto jest autorem coraz bardziej przerażających wysp.

Całymi godzinami żmudnie zestawiają różne sytuacje poprzedzające lub zaistniałe w czasie kolejnych starć z Niemcami. Poddają analizie zachowanie dosłownie wszystkich osób, wychodząc z założenia, że sypie ktoś, kto jest w najbliższym gronie „Ponurego”.

Te przymiarki nie dają jednak jakiejś zdecydowanej odpowiedzi, ale po raz pierwszy rzuca się w oczy, że każdą akcją poprzedza obecność „Motora”. Tak było w drugiej i trzeciej obławie, pod Wielką Wsią, w młynie Cioka, w fabryce suchedniowskiej, przy aresztowaniu „Korebki” i wreszcie w czasie zasadzki pod Białostrzegami. W tym też dniu meldują swe spostrzeżenia płkowi „Nilowi”.

– Gdzie jest teraz „Motor”? – pyta „Nil”.

– U siebie na Krochmalnej, czeka na moje polecenie, mamy wracać do Zgrupowań – odpowiada „Leszek”.

– Panie poruczniku. W obecnej sytuacji oddziałów „Motor” jest jedynym łącznikiem z władzami. Jego przeszłość w dywersji na wschodzie, potem w Warszawie i w Górach Świętokrzyskich nie daje powodów do podejrzeń, przynajmniej jak dotąd. Z drugiej strony „Motor” wie bardzo dużo. Dlatego też nie można go potraktować jak pierwszego lepszego podejrzanego, a jednocześnie nie można go w tej sytuacji zostawić z możliwością swobodnego kontaktu z Niemcami. Wydaje mi się, że jadąc z nim jest pan bezpieczny, bo nawet jeżeli nasze podejrzania są słuszne, to nie popełni takiego głupstwa, aby sypnąć pana wtedy, gdy pojedziecie razem. Dlatego proponuję, aby pan wziął jedną z naszych łączniczek, która pojedzie z wami i zobaczy, gdzie jest aktualnie miejsce postoju oddziałów. Poleci pan por. „Nurtowi” zatrzymać „Motora” w oddziale pod jakimś pretekstem przez dwa, trzy dni, łączniczka tu wróci, a my postaramy się w tym czasie sprawdzić „Motora” przez nasze kontakty, może nawet w gestapo. Ma pan tu kogoś zaufanego?

– Mam.

– To proszę go powiadomić, że jutro wyjedziecie. Niech łączniczka wróci za trzy dni, sądzę, że będziemy już coś wiedzieli. Przywiezie wam dalsze polecenia.

Po rozmowie z płkiem „Nilem” „Leszek” poleca „Motorowi” przygotować wóz do wyjazdu, sam zaś jedzie na ulicę Wiktorską do „Baśki” – Danuty Barańskiej, łączniczki, w której mieszkaniu miał stały punkt kontaktowy. Młodej kurierce Komendy Głównej proponuje bez wstępów:

– Chcesz ze mną pojechać na stałe do oddziału?

Która z warszawskich dziewcząt w tamtych czasach odpowiedziałaby, że nie chce?

– Dobrze, a więc jutro rano o siódmej spotykamy się na ulicy Leszno.

Nie trudno zgadnąć, że tej nocy „Baśka” nie zmrzyła oka. Nazajutrz skoro świt pożegnała rodziców i z najniezbędniejszymi drobiazgami upchanymi w wytartej teczce zjawiała się w wyznaczonym punkcie. Tam już czekał na nią „Leszek” i poprowadził na ul. Krochmalną. Przed domem oznaczonym nr 51 stał czarny opel.

– Tym wozem pojedziemy do lasu – szepnął jej w ucho i wprowadził do bramy.

Mieszkanie, w którym się znaleźli, było odbiciem drobnomieszczańskich gustów nieobecnego właściciela. Honory domu pełniły dwie niewiasty, bardzo zatroskane o zbyt cienki, ich zdaniem, ubiór „Baśki” wybierającej się w tak daleką podróż. Widać cel wyjazdu był im doskonale znany.

Z drugiego pokoju wyszedł postawny brunet.

– To nasz łącznik, por. „Motor”, a to moja siostra „Baśka” – dokonał prezentacji „Leszek” nie zwracając zupełnie uwagi na zdumioną minę dziewczyny.

Pożegnali się szybko z paniami i zeszli do wozu. Przed zajęciem miejsca „Motor” z szoferskiego przyzwyczajenia zajrzał do baku i zaklął:

– Znów mi dozorca gwizdnął benzyny. Nie wiem, czy o tym, co zostało, dojedziemy na miejsce.

– Będziemy się martwić po drodze, na razie ruszajmy, bo się zrobiło późno – zdecydował „Antoniewicz”.

„Motor” chwilę rozgrzewał zmarznięty silnik, a potem klucząc wśród zasypanych śniegiem ulic poprowadził wóz ku Ochocie. Mimo dużych opadów śniegu i kilkunastostopniowego mrozu droga była czysta, nic więc dziwnego, że „Motor” jechał pewnie i szybko. Ożywiona początkowo rozmowa przycichła powoli. Jednostajny warkot silnika działał usypiająco.

Z głową wtuloną w kołnierz lichego paletka „Baśka” zastanawiała się, czemu przypisać, że szczęście przyszło tak niespodziewanie. Tyle razy w czasie wizyt „Antoniewicza” w Warszawie, gdy prosiła go, aby jej ułatwił pójście do lasu, zawsze zbywał jej prośby żartem lub delikatną odmową. I naraz wczoraj, tak nagle, bez żadnego wytłumaczenia sam zaproponował. Wszystko to było jakieś dziwne.

Za Białobrzegami „Motor” proponuje mały postój dla zjedzenia śniadania. Zatrzymują się przed obskurną knajpką, gdzie właściciel wita go jak starego bywalca.

Po pół godzinie podejmują dalszą jazdę. „Motor” jeszcze raz sprawdza stan paliwa.

– „Leszek”, będziemy musieli podjechać w Skarżysku pod stację i dokupić benzyny. Nie dojedziemy z tym, co zostało.

– Ale na razie jeszcze jest, jedziemy dalej.

Dziwny ten „Leszek” – myśli „Baśka”. – Czego się tak upiera, żeby nie skręcić pod stację? Jak trzeba dokupić, to trzeba. Chyba kierowca wie, co mówi.

Jadą dłuższą chwilę w milczeniu. Naraz...

– Cholera!!! – rzuca przez zęby „Motor”.

– Co się stało? – pyta zaniepokojony „Leszek”.

Zamiast odpowiedzi kierowca wskazuje brodą przed siebie. Daleko, w zwężonym prześwicie drogi, widać dwie żandarmskie „budy” i kilkanaście sylwetek w zielonych szynelach, blokujących prawie całą szerokość jezdni.

– Może zawrócić?

– Nie da rady. Za wąsko, ślisko. Będą strzelać – odpowiada kierowca. – Masz coś przy sobie?

– Nic.

– A pani?

– Też nic.

– To dobrze. Papiery mamy w porządku. Powinno się udać. Nie mamy innego wyjścia. „Leszek”, daj papierosa!

„Antoniewicz” podaje kierowcy junaka, drugiego zapala sam. „Motor” nie chce ognia i z martwym papierosem między zaciśniętymi wargami dojeżdża do ciężarówek.

Legitymuje ich kapitan żandarmerii zakutany w obszerny kozuch. Bacznie porównuje fotografie w dowodach i po chwili daje znak do odjazdu.

Oddychają z ulgą, gdy ponure ciężarówki zostały za nimi. Z dużą szybkością przelatują przez Radom. „Motor” wypływa przez okienko mokrego junaka.

– „Leszek”, musimy w Skarżysku dobrać benzyny.

– Nigdzie nic nie dobieramy. To, co mamy, musi starczyć – z dziwnym uporem mówi „Leszek”.

Dobrze już po południu skręcili w szosę prowadzącą do Opatowa. Tu śnieg nawiany porywistym wiatrem nie był sprzątnięty tak skrupulatnie jak na krakowskiej magistrali. Trzeba było naprawdę mistrzowskiej klasy szoferskiej „Matora”, by nie ugrzęznąć w zaspach. O zmroku, popychając wielokrotnie buksujący wóz, dojechali wreszcie do majątku Gołoszyce, położonego kilka kilometrów przed Opatowem. Tu oczekiwał na nich „Ponury”, specjalnie przybyły ze swej meliny z sąsiedniego majątku Zochcin. Zmęczona i głodna „Baśka” dostaje ciepły posiłek i natychmiast zasypia, „Leszek” zaś udaje się z „Ponurym” na rozmowę.

Dziś już nie odtworzy się tej niezmiernie ważnej rozmowy, gdyż obydwaj jej uczestnicy nie żyją. Nie pozostaje nic innego, jak sięgnąć do relacji „Antoniewicza”:

Warunków jednak do rozmów w tym majątku nie było. „Ponury” już wcześniej został porwany przez gości i tak był zaaferowany rozmowami o swoich problemach i kłopotach, że odkładamy spotkanie do następnego dnia. Ma przyjechać do Piórkowa, gdzie kwateruje „Nurt”. Wóz zostaje zamelinowany w majątku, a „Motor” wraz ze mną pod osłoną patrolu jedzie do „Nurta”.

Z rozmowy z „Nurtem” wynika, że nie wie nic o zwolnieniu „Ponurego” z dowództwa Zgrupowań. W tej sytuacji „Nurt” nie może sam decydować. „Ponury” natomiast nie wierzy w podejrzenia wysunięte przeciwko „Motorowi”. Sam „Nil” – argumentuje „Ponury” – nie ma pewności, skoro nie wydał rozkazu likwidacji. A jeśli się sprawa wyjaśni na korzyść „Matora”, to co wówczas? Z dłuższej nieobecności w hucie nie wytłumaczy się. Narazi natomiast tych, którzy mu pracę w hucie ułatwili. W tych okolicznościach zapada nieoczekiwane rozwiązanie. „Motor” ma wrócić do Kielc, zwolnić się z pracy i zdać wóz. Następnie 27 stycznia ma zameldować się w Gołoszycach. Przyjedzie – to będzie dowodem, że jest bez zarzutu. Nie przyjedzie – to zlikwiduje go miejscowa dywersja i będzie po zamartwieniu. Tak postawił sprawę „Ponury” przyjmując równocześnie na siebie odpowiedzialność za niewykonanie rozkazu „Nila”.

Perswazje moje i „Nurta” nie pomagają. „Motor” więc odjeżdża. Otrzymuje zarazem polecenie zlikwidowania w całości meliny u p.p. [Z.243](#), która według niego jest zagrożona [244](#).

[243](#) W oryginale podano pełne nazwisko (przyp. C. Ch.).

[244](#) *Próba zarysu*, s. 75-76

„Motor” naturalnie nic nie wie o chmurach gromadzących się nad jego głową. Po powrocie z Piórkowa, gdzie kwateruje „Nurt”, do Gołoszyc bawi licznie zebraną tam młodzież grą na akordeonie, a chłopców wpatrzonych w opromienionego sławą partyzanta jak w obraz zaskakują coraz pikantniejsze kawały i „wiązanki”, z których sływał w oddziale. Wreszcie po otrzymaniu od „Leszka” rozkazu „Nurta” odjeżdża oplem ku żalowi wszystkich obecnych.

W godzinę później „Leszek” daje następujące polecenie „Baśce”:

– Pojedziesz natychmiast do Warszawy, skontaktujesz się z porucznikiem „Smotryczem”.

– Jak to? Przecież przyjechałam tu na stałe do oddziału i mam wracać? To nie mogłeś powiedzieć wcześniej, pojechałabym z „Motorem” samochodem.

– Widocznie tak trzeba. Przyrzekam ci, że z Warszawy wrócisz tu tego samego dnia. Chodzi o przywiezienie bardzo pilnego rozkazu.

Zawiedziona trochę dziewczyna najpierw sankami, potem przesiadając się z pociągu na pociąg późną nocą dociera do Warszawy i ze względu na godzinę policyjną musi czekać do rana na zatłoczonym i pełnym pijanych żołnierzy dworcu. Wreszcie rano 26 stycznia dociera do domu, gdzie witają ją zdumieni, ale ucieszeni rodzice.

Następnie „Baśka” jedzie w Aleje Jerozolimskie, gdzie łapie na punkcie kontaktowym por. „Smotrycza”. Rozmowa między nimi jest następująca:

– Za godzinę masz pociąg w kierunku Kielc. Pojedziesz nim i przekażesz „Nurtowi” następującą wiadomość: „Rozkaz pika «Nila» – natychmiast rozstrzelać «Matora» bez przesłuchania” [245](#).

[245](#) Wersja, z którą autor zetknął się w miarodajnych sferach byłych żołnierzy konspiracji, mówi, iż „Nil” znając więzy przyjaźni łączące „Matora” z oficerami Zgrupowań obawiał się, aby w trakcie przesłuchania nie zawierzyli zapewnieniom agenta. Odroczenie wykonania wyroku Wojnowski mógł wykorzystać na ucieczkę,

co groziło wielką wspaniałością. Tymczasem dowody zdrady „Matora” były bezsporne.

– Jak to? – woła zdumiona dziewczyna.

– Tak! – ucina por. „Smotrycz”.

Za godzinę „Baśka” już siedzi w pociągu zdążającym ku Kielcom. Nadal jednak nie może zrozumieć rozkazu, który wiezie. A może to zaszyfrowana wiadomość? Powtarza więc jej treść, by broń Boże nie zmienić szyku wyrazów.

Późnym wieczorem dojeżdża do Gołoszyc, które opuściła półtorej doby temu. Tam czeka już na nią „Leszek”. Drewnianym głosem, jak wyuczoną lekcję, powtarza mu łączniczka wiadomość por. „Smotrycza”.

– A więc jednak... – mówi w zamyśleniu „Antoniewicz”.

– „Leszek”, co to znaczy? czy to szyfr, czy dosłownie?

– Jak najbardziej dosłownie – odpowiada bezbarwnym głosem. Zaraz też wyjeżdża pomimo nocy do Zochciana, by powiadomić „Ponurego” i „Nurta”.

I znów trzeba sięgać do relacji „Antoniewicza”:

W dniu wyjazdu „Ponurego” do Warszawy otrzymuje „Nurt” od „Nila” rozkaz likwidacji „Matora” bez przesłuchania. „Ponury”, który zapoznał się z treścią tego rozkazu, przesyła do „Nurta” list, prosząc go o pochwycenie za wszelką cenę „Matora”. Zdaje bowiem sobie sprawę z powagi sytuacji i odpowiedzialności za zbagatelizowanie uprzednio sprawy²⁴⁶.

²⁴⁶ *Próba zarysu*, s. 77.

Tymczasem „Cichy”, zamelinowany przez „Matora” „na kilka dni” w podkieleckiej wsi, oczekuje z niecierpliwością na przyjazd porucznika. Mija jednak Nowy Rok, Trzech Króli, połowa miesiąca, zaczyna się trzecia dekada stycznia, a on nie zjawia się. Żołnierz, pozbawiony jakichkolwiek informacji o losach oddziału, denerwuje się, aż wreszcie 26 stycznia dziękuje gospodarzom za miesięczną gościnę i nie zważając na brak dokumentów oraz na łapanki jedzie szukać porucznika.

W jego kieleckim mieszkaniu przy ul. Słowackiego 9 nie zastaje gospodarza, ale rada wyraźnie gościowi żona „Matora”, Tamara, zachęca do pozostania, gdyż Jurek – jak twierdzi – już kilka dni temu wyjechał do Warszawy i lada godzina powinien wrócić. To, że zapomniał o „Cichym”, tłumaczy wielkim zapracowaniem męża, którego ona sama prawie w domu nie widuje.

Rozmowę ich przerywa pukanie i naraz „Cichy” widzi w drzwiach granatowego policjanta. Sięga niepostrzeżenie do kieszeni po pistolet, ale przybysz wyraźnie nie zwraca na niego uwagi, wita się w ukłonach z Tamarą, a potem z przepaścistej teczki wyciąga butelkę wódki, kiełbasę, parę kostek masła, kładzie na stole i wyjaśnia:

– To deputat dla męża.

„Cichy” zdumiał się wizytą i prezentami pozostawionymi przez policjanta. Zdumienia swego widać nie potrafił ukryć, bo gdy tylko zostają znów sami, Tamara mówi, jakby chciała go uspokoić:

– Pan wie, że Jurek z nimi ciągle coś kombinuje dla organizacji. Ten, co był, to jest swój człowiek. On tak z wdzięczności pamięta o nas.

Brzmi to prawdopodobnie, „Cichy” zna przecież „Matora” i wie, że porucznik ma rzeczywiście nadzwyczajne „chody”, na pewno więc dla dobra organizacji z niejednym policjantem utrzymuje kontakty.

Nie minęła godzina, gdy przyjeżdża sam „Motor”. Jest zmęczony, senny, a mimo to wnosi wiele ruchu i gwaru do pustego mieszkania.

– No co, stary – woła do „Cichego” – znudziła ci się wiocha?! Nie dziwię się. Nie miałem dosłownie chwili czasu, aby wpaść do ciebie. W oddziale ruch jak w ulu. Ciągłe przerzuty i odskoki. Ale coś się szykuje, jakaś większa akcja, bo kazali mi zdać wóz i zameldować się do komendanta. Widocznie potrzebują bojowych oficerów. Wezmę cię z sobą, co się tu będziesz szwendał. Tam lepiej. Prześpimy u mnie jedną noc i jutro – do lasu.

Nazajutrz skoro świt pobiegli na dworzec. Bez przeszkód dojechali do Skarżyska i tu „Motor” wziął od

sprzysiężającego leśnym gospodarza wóz i konia.

Po drodze z opustoszałego budynku dawnej meliny u pp. Z., z czeluści martwego pieca, wydobyli ukryte dwie beczki masła i kilka kartonów papierosów.

– Chłopcy są wygłodniali, wychudzeni i nie palili bardzo dawno dobrych cygaretek. Ucieszą się, nie? – porucznik domagał się pochwały od „Cichego”.

Kosmata chabeta ciągnęła ich dziesiątki kilometrów, przez Bodzentyn, na Nową Słupię i zanim przeskoczyli Pasma Jeleniowskie, przenocowali.

Rano o szarówce ruszyli dalej, do szosy Łągów-Opatów i w południe skręcili do majątku Gołoszyce. Tu jednak, wbrew umowie, nie czeka na „Motora” „Ponury”, który wyjechał podobno w ważnej sprawie do Warszawy, ale jest łącznik „Alik”²⁴⁷. Ten przekazuje rozkaz komendanta, że mają się zaraz zameldować u „Nurta”, który kwateruje po drugiej stronie Pasma – w Milejowicach.

²⁴⁷ Aleksander Łempicki.

Zmęczona szkapina, ledwo powłócząc kopytami, ciągnie teraz ku Witosławskiej Przełęczy wóz, na którym siedzi trzech ludzi.

Trzecia dekada stycznia była u podnóża Gór Świętokrzyskich zimna i śnieżna. Po obfitych opadach nastąpiły dni bardzo mroźne, które starzy mieszkańcy Milejowic oceniali na minus 20 stopni. Wieś leżała z boku od wszelkich traktów, zakopana w śniegu, leśne wojsko więc znalazło tu leże dobre i bezpieczne. Z trzech zgrupowań „Ponurego” pozostało ich tu niewielu, około trzydziestu. Reszta, całe oddziały, czasowo rozformowane, przeczekiwały zimę w różnych melinach okolicznych powiatów. Ta trzydziestka trzymała się razem z dwóch powodów: stanowiła ochronę dowództwa oraz składała się wyłącznie z ludzi, których twarze, pseudonimy, a nawet i nazwiska znane były wszystkim okolicznym posterunkom żandarmerii i granatowej policji, a zdjęcia niektórych zdobiły słupy ogłoszeniowe z „ceną” 20 czy 30 tysięcy złotych, płatnych w komendzie policji dystryktu Radom.

Chłopcy do Milejowic, położonych u stóp Witosławskiej Przełęczy, która wraz z sąsiednimi górami panowała nad okolicą, dobrnęli niedawno, dwa dni temu. Przedtem kwaterowali kilka dni w Piórkowie. Teraz klęli siarczysty mróz, narzekali na pieskie jedzenie, którym gościnnie lud dzielił się z nimi sprawiedliwie, chociaż sam nie miał wiele, i kładli się spać o zmroku, gdyż nafta była bardzo ceniona.

Te kilka dni odpoczynku w częstych przerzutach z miejsca na miejsce – „aby do wiosny” – przydały się bardzo. Dawno nie reperowane kozuchy – a było ich raptem pięć w oddziale – świeciły dziurami. Bo też używali ich bez przerwy. Warty pożyczwały je na każdą zmianę, a przecież nie była to spokojna służba i marne okrycie się darło. Pozostali żołnierze reperowali uszyte sposobem chałupniczym kurtki z derek, kupionych od babin o litościwym sercu.

Konie, potężne smoki specjalnie dobierane z niemieckich majątków, też miały siłę ograniczoną, gdyż ostatnie forsowne przebijanie się przez śnieg nadszarpnęło siły tych wielkich zwierząt. Ludzie również potrzebowali odpoczynku, ostatecznie przerzuty zmęczyły ich. Siedzieli więc teraz we wsi, odpoczywali i karmili konie.

Dzień 28 stycznia przyjęli z podnieceniem. Obudził ich jednostajny szmer – to ze słomianych strzech przykrytych czapami śniegu kapała woda. Po raz pierwszy od wielu dni na niebie ukazało się słońce, anemiczne, ale dające trochę ciepła. I jakby nie dość było tej nowości, późnym popołudniem do wsi zasypanej rozmiękającym od rana śniegiem przyjechał ppor. „Motor” z „Cichym” i jakimś cywilem. Wyposażone w erkaem ubezpieczenie wpuściło z dużymi honorami znanego sobie oficera.

Porucznik jechał na wozie rozparty, rozmawiając z ożywieniem ze swymi towarzyszami. Chłopcy z młodszych roczników bili w dach oficerowi, a starsi z partyzanckim stażem kiwali mu rękami i wymieniali okrzyki. „Motor” każdemu odpowiadał ruchem dłoni. Gdy zaprzęg podtoczył się pod kwaterę „Nurta”, zobaczyli, że „Cichy” i cywil, którzy przyjechali z „Motorem”, pomagali porucznikowi wynosić

paczki. Rozchodzili się więc po kwaterach podnieceni, komentując te odwiedziny. Bo każda wizyta „Motora” to były przede wszystkim ciągle oczekiwane papierosy, często rarytas – „monopolówka” i wreszcie kiełbasa czy dawno nie widziane masło.

Z dużym uznaniem mówiono o zdolnościach porucznika, który zawsze potrafił szkopów wykołować i coś atrakcyjnego przywieźć. A cóż to za wspaniały kierowca! Swym czarnym oplem potrafił dojechać wszędzie i wszystko nim dowieźć. Bo „Motor” to ho, ho! Ciekawe, co teraz im przywiózł, bo że coś przywiózł, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Kto to jest ten jadący obok „Motora” i „Cichego” cywil? Siedzą teraz u „Nurta”, który zastępuje chwilowo nieobecnego w oddziale „Ponurego”.

Było już dobrze szaro, gdy do chaty, w której kwaterował pchor. „Halny” z częścią swej drużyny z oddziału „Szorta”, zastukał łącznik od „Nurta”.

– Podchorąży „Halny” wraz z jednym ze swych ludzi natychmiast do komendanta! Zabrać z sobą broń i sznury!

Sznury? A cóż to za nowość? Wyprawa alpinistyczna? Ale rozkaz to rozkaz. Podchorąży więc szybko dobiera sobie kaprala „Bata”, wciągają długie oficerki, nadające fason leśnym chłopcom, a gospodarz tymczasem szuka jakichś sznurów.

– A un mo być gruby czy cienki? – pyta trochę bezradnie.

– Dajcie taki i taki – odpowiada „Halny”.

Wychodzą w ciemność, a że nogi ślizgają się po roztopie, zabezpieczają steny, bo to cholera ma słabe sprężyny i przy poślizgnięciu może łatwo wypalić. Kwatera „Nurta” jest o rzut kamieniem.

Pukają, ale odpowiada im cisza, „Halny” więc wchodzi do kuchni, a za nim wciska się „Bat”. Przez uchylone drzwi z pokoju dochodzi gwar rozmowy. Chwilę stoją niezdecydowani i wtedy z drugiej izby wychodzi „Nurt”. Starannie zamyka za sobą drzwi.

– Komendancie – zwierza obcasy „Halny”, ale „Nurt” ruchem ręki przerywa meldunek. Patrzy na preżących się żołnierzy, ale tak, jakby ich nie widział. Nie znają go takim. Potem bezwiednie podnosi rękę do twarzy i charakterystycznym dla niego ruchem pociera palcami czubek nosa.

– Chłopcy... – urywa na chwilę. – Chłopcy – powtarza półgłosem. – Takiego ptaka mamy – zgina dla ilustracji łokieć łobuzerskim ruchem.

Sięga do kabury i wprawnie wyłuskuje oksydowanego, płaskiego kolta. Nabój wchodzi w lufę prawie bezszelestnie. Uzbrojoną rękę chowa za plecami i kiwnąwszy głową żołnierzom, otwiera drzwi.

Wokół zastawionego stołu siedzi czterech mężczyzn: tyłem do drzwi opowiadający właśnie coś śmiesznego „Motor”, naprzeciwko niego por. „Antoniewicz”, następnie chor. „Szort”, dowódca „Halnego” i „Bata”, i wreszcie ten ptak, o którym mówił „Nurt”, ten cywil, którego przywiózł porucznik²⁴⁸.

²⁴⁸ Dalszy przebieg wydarzeń odtworzony na podstawie relacji „Cichego” i „Halnego” - żyjących w kraju świadków rozprawy nad „Motorem” - oraz zmarłych chor. „Szorta” i „Bata”, a także zachowanych w archiwach dokumentów, m. in. meldunku „Nurta” do KG oraz szeregu zaleceń kontrwywiadu dotyczących likwidacji afery „Motora”. Zgodność opisu ze stanem faktycznym potwierdził w całej rozciągłości mjr „Nurt” w czasie mojej z nim rozmowy w dn. 29 VIII 1969 r. w Londynie. Przed 45 laty na łamach londyńskich „Wiadomości” (rok III, nr 22 [113] z 30 maja 1948) ukazał się artykuł pt. „Sprawa Motora” napisany przez Aleksandra Łempickiego („Alik”). Artykuł zawiera szereg nieścisłości, ale w kwestii przebiegu przesłuchania „Motora” jest zgodny z przedstawioną tu relacją. „Alik” w swej relacji rozszerza grono świadków przesłuchania o osobę pisarza oddziału „Bacę”, co moi relanci kwestionują.

Chłopcy czekają teraz tylko na sygnał „Nurta”, by rzucić się na obcego – któż inny tu może być brany pod uwagę?

Tymczasem komendant podchodzi do „Motora” i klepie go w ramię. Porucznik przerywa opowiadanie i odwraca zaaferowaną twarz do tyłu. Widzi wylot pistoletu tuż przed oczyma.

– Jurek, jesteś aresztowany!

Obaj żołnierze, „Halny” i „Bat”, stoją jak wrośnięci w ziemię. Co to za kawał? „Motor” aresztowany? Cóż za kiepskie dowcipy trzymają się tego „Nurta”? Upił się czy co?

Nie mniej zdumiony wydaje się być sam „Motor”.

– „Zygmunt”! Zwariowałaś? – woła podnosząc się z krzesła.

Teraz zrywają się ze swych miejsc „Antoniewicz” i „Szort”, jednocześnie wyszarpując z kabur pistolety i kierując je w stronę „Matora”.

– Związać go! – poleca „Nurt”.

„Antoniewicz” odstawia pod ścianę krzesło i każe posadzić na nim związanego. Obaj żołnierze stają po obu stronach, a „Szort” tymczasem opróżnia kieszenie „Matora”. Grzebień, chusteczka, portfel i notes. To wszystko. Robi to spokojnie, metodycznie, wyjmując każdy przedmiot, uważnie ogląda i odkłada na stół. Tymczasem „Motor” mówi. Mówi cały czas, prosi, apeluje, krzyczy.

– „Zygmunt”! Czy wyście oszaleli? Co wam do głowy strzeliło? Zidiocieli, jak Boga kocham! „Leszek”! O co wam chodzi? O co mnie posadzacie? Do cholery, jestem waszym kolegą, oficerem, możecie chyba powiedzieć, co to ma znaczyć?

Nikt na to nie zwraca uwagi. „Szort” skończył rewizję i wraz z cywilem zasiadł za stołem. Patrzą na związanego, jakby był martwym przedmiotem. „Nurt” z rękami założonymi do tyłu spaceruje wokół pokoju, a „Leszek” tymczasem przegląda kartkę po kartce w notesie.

Przysuwa sobie krzesło ku „Motorowi”, chwilę patrzy na niego i „Motor” milknie. W izbie zapada cisza, gdyż i „Nurt” przestał spacerować. Sześć par oczu patrzy teraz na „Matora”. On powoli ciągnie wzrokiem od jednego do drugiego i wreszcie zwraca się do „Leszka”:

– Czego? – warczy przez zaciśnięte zęby.

– Od kiedy współpracujesz z gestapo? – „Leszek” pyta cicho, spokojnie, ale głosem takim, że mrowie przechodzi słuchających.

„Motor” wybucha śmiechem.

– Ja z gestapo?! Ja, który z „Ponurym” rozbijałem więzienie w Pińsku już wtedy, gdy wam się jeszcze nie śniło o partyzantce? Co za brednie.

Argument jest tak mocny, że „Leszek”, który nie traci zwykle rezonu, milknie na chwilę i wzrokiem biegnie po pomoc do komendanta.

– Pytaj dalej – poleca „Nurt”.

„Leszek” zerka do notatnika.

– Kto to jest Dyzio z Brzeskiej albo Mrozek?

– To kontakty podane przez „Stefanowskiego” na kupno benzyny.

– A kto wydał „Czarę”?

– „Leszek”, nie wygłupiaj się!

– Kto to jest dr Sz.?

– Lekarz żony.

Padają pytania, „Motor” odpowiada na nie przekonywująco. „Nurt” spaceruje po pokoju, jakby go to wszystko, co się tu dzieje, nie obchodziło. Obaj żołnierze są przekonani, że ta tragiczna pomyłka zaraz się wyjaśni. „Leszek” ociera pot z czoła, a „Szort” i cywil siedzą w milczeniu. Mija pół godziny, potem godzina.

Naraz spomiędzy kartek notatnika wypada na ziemię mały papiererek. „Motor” poruszył się niespokojnie, ale chłopcy przytrzymują go. „Leszek” podnosi powoli kartkę, przeczytał jej treść i przez zaciśnięte zęby zasyczał:

– Ty s...synu, tego też się wyprzesz?! – podsunął „Motorowi” pod nos sztywny kartonik tak blisko, że tamten cofnął głowę. Milczał. „Nurt” podszedł do „Leszka” i przeczytał głośno treść biletu:

Cisza jest tak głęboka, że słycać trzask postronków wokół napiętych dłoni aresztowanego.

– Jesteś agentem gestapo? – głos „Leszka” jest beznamiętny, drewniany.

„Motor” zdaje się liczyć szpary w podłodze. Milczy.

– Jesteś! – teraz krzyk „Leszka” jest wysoki, wibrujący, histeryczny.

„Motor” podnosi powoli głowę. Jego twarz w niczym nie przypomina tej, którą widzieli jeszcze przed chwilą, pulchnej, rumianej. To szara, wymięta szmata.

– Jestem – potwierdzają prawie bezgłośnie sine usta.

Westchnienie ulgi przelatuje przez izbę jak coś namacalnego. Odetchnęli wszyscy, a chyba i sam „Motor” jest jakby spokojniejszy. Więc to nie tragiczna pomyłka, straszliwe, bezpodstawne podejrzenie.

Wiadomości są pewne, prawdziwe. Ale jakże straszna jest prawda. „Motor”, pierwszy druh komendanta „Ponurego”, on, starszy stażem od nich wszystkich, uczestnik tylu wspaniałych akcji, żołnierz konspiracji od wiosny 42 roku, kawaler Krzyża Walecznych za Pińsk, przyjaciel i wypróbowany kolega – zdrajcą.

– Od kiedy? – pyta „Nurt”.

– Od sierpnia 1943 roku.

– Pierwszą obławę na las ty nadałeś?

„Motor” kiwa głową.

– Przecież ona była w lipcu? – zaskakuje go „Antoniewicz”.

„Motor” milczy. Ale po chwili, nie pytany, zaczyna mówić. O tym, jak się zaczęło, jak się kontaktował, kto go wciągnął, kogo wydał. A więc obławy na las w lipcu, wrześniu i październiku 1943 roku, wydanie partyzanta „Bogdana”, „Robota” i jego żołnierzy w Wielkiej Wsi...

– „Robota” też ty nadałeś? – „Nurt” przerywa swój spacer tuż przed krzesłem aresztanta. „Motor” patrzy na niego z przerażeniem. Milczy. „Robot” to przecież kolega „Nurta”, jeszcze z Anglii, z cichociemnych.

– Ty? – pyta „Nurt”.

– Ja.

Obrywa w pysk wierzchem dłoni. Przyjmuje to jak należną karę potrząsając głową. Jest to jedyne uderzenie, jakie otrzymał w czasie badania.

Po chwili kontynuuje dalej swoją opowieść. Suchedniowska fabryka broni, obława na płka „Nila” w młynie Cioka, kocioł gestapo w warszawskim mieszkaniu żony „Ponurego” – Emilii Malessy, zasadzka na „Czarkę” trzy tygodnie temu pod Białostrzegami.

– „Czarka” to też twoja sprawa? – powtarza pytająco „Leszek”.

– Tak – podejmuje „Motor” i szybko dodaje: – Ale dzięki mojej interwencji nie został rozstrzelany, tylko wysłany do obozu w Rzeszy.

– Ty szubrawcze! Czy sądzisz, że to lepsze niż szybka śmierć?

„Motor” poci się. Strumienie płyną mu z czoła i z nosa, pot skapuje na podłogę. „Szort” ociera mu kilka razy czoło.

Teraz „Nurt” pyta:

– Dostawałeś za to jakieś pieniądze?

– Tak.

– Ile?

– Dwa tysiące złotych i tysiąc sześćset.

– Za osobę? Za akcję?

– Nie. Za wszystko.

– Rany boskie, człowieku! Za taki gówniany pieniądz tyle ludzi wydałeś. Dlaczego? Dlaczego? – „Leszek” bije się zaciśniętą pięścią po głowie.

– Woziliś „Ponurego” po Warszawie swoim oplem. Dlaczego go nie wydałeś Niemcom? Chyba nie z sentymentu dla dowódcy? – pyta znów „Nurt”.

– Nie.

– Więc dlaczego?

– Gdybym wydał „Ponurego” – mówi z żalnym uśmiechem – już bym im nie był potrzebny. Tyle mego życia było, dokąd „Ponurego” nie mieli.

– Nie bałeś się, że cię nasz wywiad rozpracuje?

– Bałem się i dlatego w Warszawie, gdzie wywiad AK miał prawie wszędzie swe wtyczki, unikałem wszelkich telefonów i spotkań.

– Jak więc przekazywałeś materiał?

– Przeważnie w samochodzie. Co drugi tydzień na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej, w określonym dniu i godzinie, spacerowałem przy krawężniku. Podjeżdżało auto gestapo i jeden z oficerów zaczynał rozpytywać głośno o ulicę Kaczą. Wobec tego, że nikt nie wiedział, ja zaczynałem tłumaczyć, robiłem to zawiłe, oficer więc kazał mi wsiadać i pokazać. Wyglądało to przypadkowo i wiarygodnie.

Jest już późno. Wszyscy są wstrząśnięci i zmęczeni tymi trzema godzinami.

– Wstań.

Powstają też z krzeseł oficerowie. „Nurt” przyjmuje postawę zasadniczą.

– Rozkazem Komendy Głównej Armii Krajowej zostałeś skazany na karę śmierci. Wyrok będzie wykonany natychmiast.

„Motor” potrzasa głową, jakby nie dotarło do niego to, co powiedział komendant. Nagle pojmuje. Broda zaczyna mu drgać i łamiącym się głosem prosi:

– „Zygmunt”, „Leszek”. Na rany boskie! Dajcie mi szansę. Dajcie się zrehabilitować. Pójdę na najgorsze... Chłopcy... Tyle akcji... razem...

„Leszek” spluwa gęstą śliną. Ociera usta wierzchem dłoni.

– Szkoda, że masz tylko jedno szubrawe życie i tylko raz można cię kropnąć.

– Czy masz jakieś życzenie? – pyta „Nurt”.

– Tak, mam. W Warszawie jest dziewczyna (wymienia nazwisko), jest w ciąży. Zaopiekujcie się nią. Ona nie wie, że ja jestem szpiclem. I... i nie chcę, aby dziecko wiedziało, że nim byłem.

„Motor” łka cicho. Wszyscy obecni w izbie uciekają ze wzrokiem. Każdy przywołuje teraz z pamięci ludzi, którzy przez niego wpadli. „Czarka”, „Robot”, „Bogdan”, „Korebko”, ponad trzydziestu poległych w czasie obławy w pałdzierniku, setki niewinnych ludzi w Michniowie i wielu, wielu innych.

– Polska się z tobą załatwiła – mówi „Nurt” – ale my jeszcze nie. Kazano nam cię zlikwidować bez przesłuchania, ale my musieliśmy znać prawdę o tobie. Teraz ją znamy. Za każdą akcję przeciwko nam dostaniesz po dziesięć batów. Rozłóżcie go.

Szpicel chwieje się na nogach, gdy „Nurt” po obatożeniu z kolei przekazuje go „Szortowi”.

– On już twój.

„Halny” i „Bat” ujmują „Matora” pod pachy i postępującego wyprowadzają przed chatę. Tu „Szort” oplątuje związane ręce „Matora” dodatkowym kawałkiem linki i podaje jej koniec „Batowi”.

– Nie bój się „Szort”, nie ucieknę. To mi się słusznie należy – chrypi „Motor”.

Nikt mu nie odpowiada.

Noc jest ciemna, ciepła. Woda z roztopów płynie koleinami wiejskiego traktu z cichym ciurkaniem. Idą ślizgając się co chwila. Wychodzą za opłotki ku Przełęczu Witosławskiej. Z tyłu za nimi szura nogami po błocie chorąży „Szort”.

Stanęli przed lasem jak na komendę. „Motor” podniósł głowę, odetchnął głęboko i w tym momencie klasnął strzał z „Szortowego” visa. „Motor” osunął się na śnieg. Chorąży błysnął na chwilę latarką i sprawdził strzał. Nie oglądając się szybko odeszli ku wsi.

O świcie żołnierze drużyny służbowej zakopali ciało tam, gdzie leżało, na środku drogi. Kapral „Bał”, który doglądał skrupulatnego wykonania rozkazu, kazał go „rzucić do dołu na pysk, bo taki zdrajca nie jest godzien po chrześcijańsku w niebo z grobu patrzeć”. Ziemię wygładzono i dla niepoznaki zasypano śniegiem.

Na kwaterach tymczasem szumiało. Powtarzano sobie wersje wprost niewiarygodne. „Nurt” polecił więc „Antoniewiczowi” zwołać wojsko na odprawę i poinformować o wykonaniu wyroku. Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co im powiedziano. „Motor”, porucznik „Motor” szpiegiem? To się nie mieściło w głowie.

„Nurt” zaś na starej partyzanckiej, rozklekotanej maszynie zaczął dwoma palcami wystukiwać meldunek, którego pierwsze zdania brzmiały:

Dowódca Zgrupowań Partyzanckich

„Ponury”

MP 2941

Do

Pana Komendanta Okręgu

Melduję Panu, co następuje: dnia 28.1.44 r. został schwyty i rozstrzelany „Motor”, agent gestapo, na skutek rozkazu, który otrzymałem z Komendy Głównej [...]250

[250](#) AZHP.



Potem

Część IV

Jak doszło do zdemaskowania „Matora” i kto przyczynił się bezpośrednio do ujawnienia zbrodniczej roli, jaką pełnił w podziemiu, nie udało się ustalić w sposób bezsporny. Wiele jest wersji na ten temat, a osób przypisujących sobie zasługi w tej materii – jeszcze więcej.

Wydaje się bardzo prawdopodobne, że zażądane przez płka „Nila” sprawdzenie Jerzego Wojnowskiego przez siatkę alarmową spowodowało zgromadzenie w jednym ręku konspiracyjnych meldunków rozrzuconych po wielu komórkach; pełen obraz dała dopiero konfrontacja tego materiału. Tak więc wyzbyto się wątpliwości i dano rozkaz likwidacji agenta.

W archiwach zachował się do dzisiaj odręczny meldunek skierowany do komórki bezpieczeństwa Kedywu. Oto jego treść:

81 Kameleon T-1

„Motor” z dawnego Wachlarza – obecnie u was, za współpracę z n-plem powinien zostać zlikwidowany.

21/1

18b Hipolit²⁵¹

²⁵¹ Archiwum WIH, III/29/6, s. 300.

Meldunek ten jest własnoręcznie pisany i podpisany przez zastępcę szefa kontrwywiadu AK Stefana Rysia²⁵², używającego w tym czasie pseudonimu „Hipolit”. Rozmawiałem na ten temat z p. Rysiem, który jednak nie przypomina sobie, skąd kontrwywiad uzyskał tę wiadomość, ale nie wyklucza, że mogła pochodzić z bezpośredniego sprawdzenia w gestapo.

²⁵² Zmarł w 1976 roku w Gdańsku.

Dlaczego jednak polecono rozstrzelać agenta bez badania? Czy obawiano się, że przetrzymywanie „Matora” w śledztwie może mu pomóc wyłgać się od odpowiedzialności?

Przed likwidacją szpicla „Nurt” na własną rękę przeprowadził dość pobieżne, ale owocne badanie.

Spróbujmy zestawić konkretny materiał, którym – niezależnie od domniemań i spekulacji – dysponowała konspiracja.

Pierwszy i to bardzo wiarygodny sygnał, gdyż pochodzący od samych Niemców, dotarł do komórek wywiadowczych Armii Krajowej stosunkowo wcześniej – już na początku września 1943 roku. Było to chyba w kilkanaście dni po usunięciu „Matora” z lasu, a na dwa-trzy dni od przydzielenia mu przez gestapo samochodu. Właśnie ten samochód omal nie przyczynił się do rozszyfrowania agenta.

Drugiego września „Motor”, będący zapewne w stałym kontakcie ze „Stefanowskim” – Albinem Hopem – i mając od niego adres żony, Stefanii, mieszkającej przy ul. Grochowskiej, zjawił się z życzeniami imiennymi od ukrywającego się męża. Samochód przed domem zwrócił uwagę pijących w pobliskiej restauracji żandarmów. Granatowy policjant, któremu polecono oczekiwać na nieobecnego kierowcę, zawiózł go na posterunek. Po dwóch godzinach „Motor” zjawił się ponownie w mieszkaniu żony „Stefanowskiego”, podjeżdżając pod dom tym samym samochodem. Zwróciło to z kolei uwagę właściciela restauracji, który po kilku dniach zapytał jednego z żandarmów o powód natychmiastowego zwolnienia. Ten odpowiedział:

– To pomyłka. To był nasz człowiek, wielki spec od zwalczania band leśnych.

Odpowiedź tę restaurator powtórzył przyjacielowi „Stefanowskiego”, wywiadowcy XV komisariatu i żołnierzowi konspiracji „Gromowi” – Stefanowi Jaszczaninowi, a ten przekazał ją natychmiast kontrwywiadowi AK.

Wiadomość najprawdopodobniej została przesłana do dalszego sprawdzenia do komórki bezpieczeństwa Okręgu Kieleckiego, gdzie już w tym czasie zastępcą kierownika był „Stefanowski”. On to, nie wiedząc zapewne nic o współpracy „Matora” z gestapo, wyjaśnił – jego zdaniem – pomyłkę i w ten sposób meldunek „Groma” powędrował o ile nie do kosza, to w każdym razie do archiwum jako nieaktualny.

Kiedy w jakiś czas potem „Stefanowski” zjawił się potajemnie w Warszawie, aby spotkać się z żoną, w

rozmowie z „Gromem” wspomniał o panującej w Warszawie psychozie agentów, której ofiarą o mały włos nie padł w stolicy jego serdeczny przyjaciel, ppor. „Motor”.

I tak „Grom” dowiedział się o losie swego meldunku. Ale uparty wywiadowca nie zrezygnował. Nie przyznając się do swojej roli w tych wydarzeniach, natychmiast napisał kolejny raport, podając tym razem pseudonim „Motora”. Ale i ten sygnał pozostał na razie bez skutku. Prawdopodobnie w kontrwywiadzie AK potraktowano go jako dalszy ciąg poprzednio wyjaśnionej już przez „Stefanowskiego” sprawy.

Drugim sygnałem o współpracy „Motora” z gestapo był raport współpracującego z wywiadem AK Austriaka – Karola Landla – żandarma z Łopuszna w Kieleckiem. Został on zwerbowany do współpracy z konspiracją już w 1942 roku przez komendanta placówki AK w Łopusznie „Sergiusza” – Stemplewskiego i oddał organizacji duże usługi, nim w 1944 roku poszedł do partyzantki.

Jesienią 1943 roku Landl otrzymał od „Sergiusza” polecenie udzielenia pomocy w rozpracowaniu niemieckiego agenta, powodującego straty w Zgrupowaniach „Ponurego”. Znając myśliwskie upodobania swego zwierzchnika, komendanta żandarmerii kieleckiej Hauptmanna Gerulfa Meyera, także Austriaka, dowodzącego pacyfikacją Michniowa, Landl z pomocą matki zorganizował w swej rodzinnej wsi Wald polowanie na kozice. Podczas dwóch tygodni urlopu obaj bardzo się zżyli i prowadzili rozmowy na różne tematy. W czasie wymiany poglądów na temat zwalczania polskiego podziemia Meyer stwierdził, iż posiada informatora mocno osadzonego w oddziałach partyzanckich AK, który ma dostarczyć mu absolutnie pewnych wiadomości pozwalających zlikwidować oddziały leśne. Gdy któregoś dnia po odstrzale sarny Hauptmann był w szczególnie dobrym humorze, Landl zaproponował mu w formie zabawy zgadywanekę. Kiedy padł pseudonim „Motor” – Meyer nie zaoponował. Natychmiast po powrocie z urlopu Landl zameldował o tym łącznikowi wywiadu AK²⁵³, ale i ta wiadomość gdzieś ugrzęzła.

²⁵³ Fragmenty z pamiętników Landla zostały opublikowane w tomie *Ramię w ramię*, „Czytelnik”, Warszawa 1980.

Potwierdzeniem udziału Niemców, współpracujących z podziemiem, w dekonspiracji „Motora” jest fakt, że w dniu likwidacji zdrajcy – 28 stycznia 1944 roku – na odprawie komendantów podobwodów w Suchedniowie mjr „Wyrwa” – Józef Włodarczyk, komendant Obwodu AK Kielce, powiedział:

– Dzisiaj zlikwidowany zostanie agent gestapo, który nam wyrządził wiele krzywd. Do jego ujawnienia przyczynili się wydatnie ludzie z niemieckiego aparatu bezpieczeństwa, którzy z nami współpracują.

Trzecim sygnałem była informacja, którą przekazała placówka AK w Tomaszowie Mazowieckim. W początkach stycznia 1944 roku „Motorowi”, będącemu tam na zabawie, w czasie tańca wypadł na podłogę pistolet. Nie spieszony, schował broń i bawił się dalej. Po dziesięciu minutach żandarmeria obstawiła lokal, w którym tańczono, rozbroiła „Motora” i zabrała go na posterunek. Po godzinie oficer, jakby nigdy nic, powrócił na zabawę. Miejscowa placówka AK przesłała o tym natychmiast meldunek do władz konspiracji.

Nie wykluczone, że istniały inne sygnały dotyczące współpracy „Motora” z gestapo, na które nie udało się trafić. Świadczy o tym ostrzegająca go kartka, którą znaleziono w czasie badania. Należy sądzić, że gestapo wiedziało o inwigilowaniu „Motora” przez kontrwywiad AK i chciało go w ten sposób ostrzec.

Ujawnienie agenta tkwiącego tak blisko najczulszych spraw konspiracji było szokiem dla Komendy Głównej AK i całego systemu bezpieczeństwa. Zbadanie afery powierzono szefowi ochrony Delegatury Rządu, kpt. „Żmudzinowi” (Kontrymowi) – byłemu oficerowi policji, żołnierzowi o dużym doświadczeniu w podobnych sprawach.

Niezależnie od prowadzonego przez niego śledztwa, kontrwywiad KG AK na zlecenie Kierownictwa Walki Cywilnej powierzył prowadzenie sprawy „Motora” jednemu z najbardziej skrupulatnych prawników polskich, kierujących w kontrwywiadzie komórką sądowniczą. Oto treść pisma

W załączeniu przesyłam:

1. pismo „Ponurego” do 81 – przedstawiające zeznania zlikwidowanego prowokatora „Motora”
2. moje ostrzeżenie do „Rolnika” w odpisie z poleceniem przeprowadzenia w tej sprawie dochodzenia w porozumieniu z ref. bezp. 81.

Dochodzenie należy prowadzić w kierunku:

- a. ustalenia rozmiarów zagrożeń powstałych na skutek zdrady „Motora” i innych
- b. ustalenia osób współpracujących w zdradzie z „Motorem” (ostrzeżenie załączone przy piśmie „Ponurego”).

Kameleon T-1 udzieli Panu wyjaśnień i pomocy w prowadzeniu dochodzenia. – Wyniki dochodzenia referować jak najspieszniej.

5.II

Należy zwrócić uwagę na alarmowe wprost tempo sprawy. 29 stycznia meldunek „Nurta” zostaje wysłany z Milejowie odległych o dwieście kilometrów od Warszawy, a 5 lutego – jak wynika z pisma podpisanego przez 18-b – wysłano już kilkunastostronicowe zalecenie kontrwywiadu do Okręgu „Rolnik” i sprawę z poleceniem „referować jak najspieszniej” objął sędzia śledczy KG AK. „Nurt” pisze w nagłówku: *Dowódca Zgrupowań Partyzanckich Ponury*” i stąd zapewne 18-b przyjęło pismo „Nurta” jako meldunek „Ponurego”.

Pierwszą czynnością obu prowadzących śledztwo było polecenie pozrywania kontaktów znanych „Motorowi” oraz zlikwidowanie siatek i skrzynek kontaktowych, które mógł być przekazać gestapo. Częściowo wykonał to już wcześniej „Nurt”, gdyż natychmiast po wykonaniu wyroku, tej samej jeszcze nocy, wysłał łączników, którzy ostrzegli ludzi związanych z konspiracją w Suchedniowie, Skarżysku, Starachowicach, wszędzie tam, gdzie spodziewano się zagrożenia.

Następnie, w oparciu o meldunek „Nurta” i na podstawie poleceń 18-b do „Vigila”, zajęto się badaniem prawdziwości zeznań „Motora”.

Agent przed śmiercią wskazał osoby, które – jego zdaniem – miały być związane z gestapo. Nie można było przyjąć tego jako konkretnego dowodu przeciwko tym ludziom, gdyż system, jaki stworzyło gestapo dla swych konfidentów, wykluczała jakąkolwiek współpracę między nimi. Należało jednak wziąć pod uwagę to, że „Motor” był wytrawnym agentem, potrafił wyciągać wnioski z pewnych spekulacji gestapo i zapewne orientował się w poczynaniach niemieckiej tajnej policji.

Poza Kesslerem wymienił jeszcze sześć osób, podejrzewając je o współpracę z gestapo. Był wśród nich „Stefanowski”. Wiele wskazuje na to, że w stosunku do niego zarzut był bezpodstawny. „Stefanowski”, aresztowany 5 lipca 1944 roku w Warszawie, został najprawdopodobniej zakatowany w gestapo w Radomiu. Szkoda, że ten dzielny skądinąd żołnierz dał się tak uwikłać w rozgrywki przeciwko „Ponuremu” prowadzone przez Komendę Okręgu Kieleckiego oraz zawistnych oficerów.

Czas wreszcie przedstawić w skrócie dalsze losy sprawcy największej ilości nieszczęść, superagenta, najwierniejszego informatora gestapo – Józefa Kesslera.

Doprawdy zastanawiające, dlaczego kontrwywiad AK, który po ujawnieniu afery „Motora” w drakoński sposób gotów był rozprawić się z podejrzanymi ludźmi, tak łagodnie obszedł się z Kesslerem. Ostatnie zdanie pisma kontrwywiadu w sprawie „Motora” brzmi:

Sprawę Kesslera należy wyłączyć, albowiem załatwi ją 81 we własnym zakresie²⁵⁶.

81-Kedyw skierował tę sprawę wprost do komórki likwidacyjnej „Lilpop”, a ta już w lutym – jak wynika z cytowanej uprzednio notatki – rozpracowała Kesslera. O tym, jak go to dotknęło, zeznał przed władzami śledczymi w dniu 11 IX 1951 roku:

Później, gdzieś około miesiąca [po likwidacji „Motora” – przyp. C. Ch.], przyszedł ktoś do mnie z Kedywu i oświadczył, że dopóki ta sprawa zeznań Jurka „Motora” w stosunku do mej osoby nie zostanie wyjaśniona, wszelkie kontakty zostają ze mną zerwane. Po niedługim

czasie przyjechał do mnie Skrz., a było to gdzieś w marcu 1944, i powiedział mi, że zgłosiło się do niego trzech ludzi z dywersji z zapytaniem, czy jest możliwe, abym ja współpracował z gestapo. [...] Skrz. odpowiedział im, że to jest absolutnie niemożliwe. [...] Jeszcze przedtem rozpocząłem pracę w „Nowej Polsce” i więcej kontaktów z Kedywem nie miałem.

W tym już czasie Kessler montuje na polecenie gestapo nową prowokację. Jest nią próba wbicia klina między naród zwarty w oporze przeciwko Niemcom.

Z inspiracji swego szefa, gestapowca Fuchsa, zakłada prowokacyjną, rzekomo tajną organizację pod nazwą „Nowa Polska”. Udaje mu się pozyskać dla tej niecnej działalności Pindelskiego, Ołdakowskiego i Rudzkiego. Ten dobrany zespół, powiększony o szwagra Kesslera, Mieczysława D.[257](#), opracował odpowiedni program „tajnej organizacji” i wysłał (przy protekcji Fuchsa) swoją delegację do Ohlenbuscha, szefa propagandy Urzędu Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie. Ten wysoki dygnitarz okupacyjny po zapoznaniu się z programem organizacji przydzielił na jej cele pięćdziesiąt tysięcy złotych.

[257](#) Według jego własnego powojennego oświadczenia, współdziałał on z Kesslerem w dobrej wierze.

„Konspiratorzy” rozpoczęli przygotowania do wydania „tajnego” pisma pod nazwą „Nowa Polska”. Miało ono mieć charakter antyradziecki. Ukazały się trzy numery tego szmatławca. Pierwszy w październiku 1944 roku wydany w Radomiu, a drugi i trzeci w listopadzie i grudniu w Częstochowie, gdzie przeniosła się „główna kwatera” Kesslerowskiej organizacji.

Zanim jednak dobrana klika znalazła się w Częstochowie, dokonała na terenie Radomia i w okolicach kilku pospolitych rabunków. Konieczność zejścia na tę drogę wynikała stąd, że wydawane szczerą ręką Ohlenbuschowskie pieniądze nie starczyły na długo, a gestapo radomskie odmówiło subwencji. Wtedy to „konspiratorzy” uzgodnili z Fuchsem plan „rekwizycji na cele organizacji”. I tak u właściciela fabryki obuwia w Radomiu zrabowano 15 tysięcy zł i 100 kg skóry, u księdza pod Radomiem – dwa konie, u piekarza przy ul. 1 Maja – dziesięć tysięcy złotych i bieliznę, w aptece przy ul. Słowackiego – srebra i lekarstwa, w innych domach – meble, futra, garderobę [258](#).

[258](#) Więcej danych na temat agenturalnej działalności organizacji „Nowa Polska” oraz gadzinowego pisma pod tym samym tytułem, wydawanego przez J. Kesslera i towarzyszy, znajdzie czytelnik w książce Mieczysława Adamczyka pt. *Prasa konspiracyjna na Kielecczyźnie w latach 1939-1945*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 21-23, a także w b. Centralnym Archiwum KC PZPR sygn. 203/XII-4, k. 4 Mf 1735/2 oraz k. 25, k. 1, k. 4 i k. 139 Mf/1735/4. Dalsze materiały figurują tamże pod 203/VII – 32, k. 9, Mf 1725/3 i 203/XII-14, k. 139 Mf 1735/4.

Gdy waliła się III Rzesza i każdy z jej wasali jak mógł ratował swoją skórę, wierny agent czekał w Częstochowie, aż zostanie formalnie zwolniony ze służby. W listopadzie 1944 roku zjawił się tam jego łącznik z Fuchsem „Karol” – Falkowski i oświadczył Kesslerowi, że jego współpraca jest na razie zawieszona. Po zajęciu Częstochowy przez Armię Czerwoną Kessler zniknął, zmienił nazwisko i wypłynął naraz w drugim końcu Polski jako administrator zajętego przez sowieckie wojska majątku pod Szamotułami. Potem przeniósł się do Warszawy, gdzie zataiwszy poprzednie małżeństwa, do swoich licznych przestępstw dołączył jeszcze bigamię i spokojnie pracował w resorcie leśnictwa. 6 września 1951 r. został aresztowany przez bezpiekę pod zarzutem współpracy z gestapo.

Śledztwo trwało dwa i pół roku. Wreszcie dnia 30 stycznia 1954 roku zapadł wyrok. Za współpracę z gestapo skazano go na dziesięć lat więzienia, a za wydawanie proniemieckiego pisma „Nowa Polska” i napady rabunkowe – na piętnaście lat, wymierzając mu łącznie karę piętnastu lat więzienia.

Przed ogłoszeniem wyroku Kessler stwierdził:

– Dziś widzę, że całe moje postępowanie w okresie okupacji było wadliwe.

Na zakończenie prosił sąd, aby wymierzając mu karę wziął pod uwagę jego powojenną uczciwą pracę, w czasie której wykrył kilka nadużyć w przedsiębiorstwie, gdzie pracował. Tym – według jego oceny – można było okupić lub co najmniej zmniejszyć popełnione zbrodnie.

W wyniku amnestii, zaliczenia aresztu śledczego oraz zmniejszenia kary na skutek dobrego

sprawowania nie odsiedział nawet połowy z zasądzonych mu piętnastu lat, wychodząc 17 czerwca 1957 roku na wolność.

Po wyjściu z więzienia popełnił szereg dalszych naruszeń prawa. W swej dokumentacji personalnej odmłodził się o 10 lat, „ukończył” przy pomocy podrobionego zaświadczenia studia, przyznał sobie Krzyż Walecznych nadany mu rzekomo przez władze AK, samowolnie zmienił nazwisko i wypłynął jako główny księgowy Zakładów „Montoerg” w Pionkach, gdzie na balach zakładowych bratał się z autentycznymi kombatantami jako „bojownik z szeregów AK”. Wyrzucony stamtąd po ukazaniu się I wydania tej książki i wyjawieniu jego działalności, przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Warszawy, gdzie czekało na niego 3-pokojowe spółdzielcze mieszkanie. Działał jako przewodniczący komisji rewizyjnej jednej z rad osiedlowych Żoliborza. Gdy i tu ujawniono jego działalność okupacyjną, przeniósł się do Łodzi, a potem w jej okolice. Żyje nadal wśród nas.

*

Na wiosnę 1944 roku zaludniły się znów lasy Kielecczyny. Żołnierze porzucili swe zimowe meliny i spieszyli pod rozkazy komendanta. Był nim teraz „Nurt”. Oddziały wnet rozrosły się do poprzednich rozmiarów i przez lato i jesień 1944 roku prowadziły aktywną walkę z Niemcami. Stosunki z nową Komendą Okręgu układały się poprawnie, gdyż „Nurt” był bardziej miękki i ugodowy od poprzednika. W sierpniu 1944 roku w ramach realizacji planu „Burza” oddziały weszły w skład 2 Pułku Piechoty Legionów 2 Dywizji AK jako 1 batalion tegoż pułku. Sam „Nurt”, w końcowej fazie koncentracji awansowany do stopnia majora, był dowódcą 2 pp. Leg. Zgodnie z rozkazami KG AK 2 Dywizja podjęła „marsz na Warszawę”, lecz wkrótce, wobec niemożności sforsowania mocno obsadzonej przez Niemców Pilicy, wycofano się z powrotem we Włoszczowskie. Na przełomie października i listopada 2 Pułk Piechoty Legionów stoczył ciężkie boje pod Lipnem i Chotowem²⁵⁹. Wobec okrzepnięcia frontu i nadchodzącej zimy oddziały zostały w listopadzie 1944 roku rozformowane. „Nurt” w 1945 roku przedostał się do Anglii, gdzie zmarł 24 marca 1976 roku.

²⁵⁹ Dalsze walki oddziałów mjra „Nurta” autor opisał w książce *Gdy las był domem*, Wydawnictwo Łódzkie 1972, wydanej następnie przez KAW w 1984 r. łącznie z książką *Odlamki granatu*, pod wspólnym tytułem *Reportaż z tamtych dni*, a wznawianej w 1988 r.

A „Ponury”? Przez prawie miesiąc od daty wysłania swego dramatycznego meldunku oczekiwał zmiany rozkazu pozbawiającego go dowództwa Zgrupowań. To jednak nie nastąpiło. Pewną moralną satysfakcją był fakt, że w kilka tygodni później Komendant Główny AK odwołał płka „Daniela” ze stanowiska komendanta Okręgu Kieleckiego jako całkowicie rozpracowanego przez gestapo²⁶⁰, zdjęto z funkcji także szefa sztabu, ppłka „Jana”.

²⁶⁰ „[...] Za całkowicie rozpracowanego przez Go należy uznać komendanta Okręgu, i to tak dalece, że Go przestało się nim już interesować [...]” (Z pisma 18-b do KO „Rolnik”).

„Ponury” zameldował się do dyspozycji Komendy Głównej AK w końcu stycznia 1944 roku. Tu na nowy przydział służbowy przyszło mu czekać prawie dwa tygodnie. Stała się rzecz niesłychana – na początku 1944 roku, roku masowej polskiej partyzantki, on, jeden z pierwszych zrzutków do kraju, oficer z dwuipółletnim stażem bojowym, bohater przecierania szlaków dywersyjnych na Kijów, brawurowy defensor kpt. „Wani” z Pińska, ten, który przez pół roku kieleckiego partyzanckiego działania każdym dniem swego tam pobytu przeczył ukutemu później zarzutowi stania z bronią u nogi, dowódca największej i najaktywniejszej w tym czasie siły partyzanckiej w środkowej i zachodniej Europie – teraz stał się człowiekiem niechcianym.

Jedynymi, którzy w tym czasie – w końcu stycznia i w lutym 1944 roku – okazywali „Ponuremu” szczególne zainteresowanie, byli oficerowie kontrwywiadu KG prowadzący śledztwo w sprawie „Motora”.

Uwolniony przez „Ponurego” przed rokiem z więzienia pińskiego kpt. „Wania” był teraz szefem

Kedywu obszaru białostockiego, obejmującego okręgi białostocki, nowogródzki i poleski. Padła propozycja:

– „Donat”, chcesz iść na Nowogródczyznę?

– Wszystko jedno gdzie, byle bić Niemców i skończyć z tą potworną biernością – odpowiedział bez namysłu „Ponury”.

Tak Bogiem a prawdą wcale mu nie było wszystko jedno, gdzie pójść. Na pewno wolałby się nie ruszać z Kielecczyny, ale jeżeli już trzeba było, to Nowogródczyzna była propozycją najlepszą z najlepszych. Ziemia kresowa, legenda Emilii Plater, Narbutta, tradycje partii leśnych 63 roku, twardzi, wypróbowani ludzie, co to dla Polski ostatnią kroplę krwi gotowi utoczyć.

Właśnie kilka dni wcześniej nadeszła do Warszawy wiadomość świadcząca o tym, że nowogródzkie oddziały nie próżnowały. Również w rok po brawurowym wyczynie „Ponurego” w Pińsku – również 18 stycznia, ale 1944 roku – jedenastu śmiałków z oddziału por. „Krysi” – Jana Borysewicza rozbiło więzienie w Lidzie, uwalniając 69 więźniów²⁶¹. Inne zgrupowania także miały na swoim koncie bojowe sukcesy stawiające je w czołówce polskich oddziałów walczących z Niemcami.

²⁶¹ Autor pisze o tym w książce *Gdy las był domem*, 1972, wznowionej w 1984 r. łącznie z książką *Odlamki granatu*, pod wspólnym tytułem *Reportaż z tamtych dni*.

A więc było tam leśne wojsko nie gorsze niż jego kieleckie. Jednak coś się nad Niemnem psuło. Komenda Główna postanowiła w pierwszych dniach 1944 roku pchnąć dla wzmocnienia Okręgu, a może raczej wyjaśnienia zagmatwanej sytuacji, oficera rozważnego, mądrego, który już przewinął się przez kartki tej książki w jej początkowych rozdziałach. Był nim mjr „Kotwicz” – Maciej Kalenkiewicz, Hubalczyk, który po przedarciu się zimą 1940 roku do Francji tam walczył, a w nocy z 27 na 28 XII 1941 roku skoczył do Polski wraz z kpt. „Wanią”.

Teraz w warszawskiej konspiracyjnej melinie odbywa się spotkanie trzech cichociemnych: mjr. „Kotwicza”, kpt. „Wani” i por. „Ponurego”. Każdy z nich ma już swoją partyzancką legendę. Teraz po raz pierwszy będą wreszcie pracowali razem. Sztabowcy z Komendy Głównej liczą się z tym, że na wiosnę front wejdzie w dawne polskie granice, a zatem zaczną obowiązywać plan „Burza”. Wtedy „Kotwicz” obejmie pułk, a może i dywizję nowogródzką, „Ponury” będzie jego prawą ręką. Są tam już i inni cichociemni: „Stanley”²⁶² – w Stołpcach, „Góra-Dolina”²⁶³ dowodzi partyzanckim zgrupowaniem za ścianą Nalibockiej Puszczy, gdzieś aż pod Mińskiem, „Warta”²⁶⁴ jest szefem sztabu Okręgu. Na wiosnę miała iść pod rozkazy „Kotwicza” kolejna grupa cichociemnych – ze zrzutów 1944 roku.

²⁶² Por. piech. Maciej St. Winter, zrzucony do Polski ½ IX 1942 r. Zginął w 1945 roku.

²⁶³ Por. mjr. Adolf Pilch, zrzucony 16/17 II 1943 r., mieszka w Anglii.

²⁶⁴ Kpt. Stanisław J. Sędziak, zrzucony 3/4 IX 1942 r., zmarł jesienią 1978 w Toruniu.

A jednak ani „Ponury”, ani „Kotwicz” nie byli w czasie tej rozmowy w warszawskiej melinie wolni od trosk. „Ponury” ciągle przetrawiał swoje odejście z Kielecczyny, a poza tym nurtowała go nieustannie sprawa „Motora”.

– Ale przecież się przyznał przed „Nurtem” – przypominał mu po raz nie wiadomo który „Wania”.

– Gdyby tobie wkręcili jaja w śrubstak, też byś się przyznał – ze zwieszoną głową mruknął „Ponury”.

Przecież znał dokładnie przebieg przesłuchania „Motora”. Wiedział, że agent dostał porcję batów już po przyznaniu się do wszystkiego, że nikt na nim zeznań nie wymusił, a jednak nie chciał się sam przed sobą przyznać do tego, że popełnił błąd, że on, oficer policji sprzed wojny, zawodowo nieufny wobec ludzi, obdarzył przyjaźnią agenta. To go bolało na równi z odwołaniem z dowództwa Zgrupowań.

„Kotwicz” także był markotny. Wejście na teren Nowogródczyny stawiało także jego przed ciężkimi zadaniami. A może obaj przeczuwali, że stamtąd nie wrócą?

W takich nastrojach w końcu pierwszej dekady lutego wyjeżdżali na Nowogródczyznę. „Ponury” wziął z sobą czterech swoich żołnierzy z Kielecczyny. W Warszawie melinowało kilkunastu jego byłych

podkomendnych ze zgrupowania „Robota”, między innymi „Lin”, „Jacek”, „Józek”, „Janusz”, „Gotów”, „Świstak”, „Karolek” i „Tadzik Duży”. Zebrał więc ich i zaproponował wspólny wyjazd. Czterej – „Lin”, „Janusz”, „Świstak” i „Tadzik Duży” – zgodzili się od razu. Pozostali zaś byli już związani z warszawską konspiracją – „Jacek” i „Józek” walcząc w czasie powstania w „Parasolu” zasłużyli na wysokie odznaczenia bojowe, „Gotów” bił się u „Szarego”(Antoniego Hedy), zaś „Karolek”, którego ojciec poszedł z „Ponurym” w Nowogródzkie, aresztowany w Warszawie, rozstrzelany został przez gestapo w Radomiu.

Po kilkudniowej podróży przy pomocy podrobionych dokumentów dobili wreszcie do Hołdowa. Tu komendant Okręgu Nowogródzkiego ppłk „Borsuk” vel „Prawdzc”²⁶⁵ miał swoje miejsce postoju. „Ponury” został mianowany dowódcą Ośrodka Szkolenia Strzeleckiego przy Nadniemeńskim Zgrupowaniu Batalionów Partyzanckich dowodzonym przez Hubalczyka rtm „Lecha” Józefa Świdę. W miesiąc po przyjeździe na Nowogródzczyznę i po zorganizowaniu Ośrodka, przyszło mu w Szlachtowszczyźnie²⁶⁶ na przełomie I i II dekady marca wziąć udział w sądeniu swego własnego dowódcy – rtm. „Lecha”. Za ujawnione porozumienie z Niemcami i zawieszenie z nimi walki przez jednostki Nadniemeńskiego Zgrupowania, zapadł wyrok śmierci, którego wykonanie odroczone zostało przez mjr. „Kotwicza” do zakończenia wojny.

²⁶⁵ Nazwisko rodowe Jan Szulc, jednak mieszkańcy Grodna sprzed wojny pamiętają, że nosił nazwisko o francuskim brzmieniu. Związany od lat dwudziestych z Oddziałem II Sztabu Głównego. W pierwszym okresie wojny występował na Nowogródzczyźnie jako Krzeziński. W 1940 r. NKWD aresztowało go pod nazwiskiem Szumski. Podczas okupacji niemieckiej nosił nazwisko Szulc i pod takim figurował w ewidencji KG AK. W 1944 r. sprzyjał porozumieniu z Niemcami, zawartemu przez dwóch swoich podkomendnych. Aresztowany w X. 1944 przez NKWD, wiosną 1945 przekazany MBP, w IX 1945 wypuszczony, ściśle współpracował z UB przewodnicząc komisji ujawniania AK-owców w woj. kieleckim. Za wykazaną aktywność konspiracyjną WIN wymierzył mu 15 batogów i zagroził dalszymi konsekwencjami, polecając opuścić Polskę w ciągu 48 godzin. Uciekł z kraju do Anglii, stwarzając tam pozory zagrożenia aresztowaniem przez UB. Na emigracji używał nazwiska Janusz Prawdzc-Szlaski. Pod takim nazwiskiem zmarł w Londynie 23 sierpnia 1983 r. i został tam pochowany. Tamtejsze koło AK odmówiło mu honorów kombatanckich. W kraju część podkomendnych wraz z żoną „Prawdzcica” ufundowała mu tablicę w kwaterze Bohaterów Nowogródzczyzny, mieszczącej się w krużgankach kościoła św. Antoniego Padewskiego w Warszawie przy ul. Senatorskiej.

²⁶⁶ Miejscowość sporna. Obok niej wymienia się w różnych relacjach jako miejsce sądu nad „Lechem” także Hołdowo oraz Kolonię wsi Wojekowce.

Komendę po „Lechu” nad Zgrupowaniami objął osobiście mjr „Kotwicz”, mając pod swoimi rozkazami ponad 1000 ludzi w trzech batalionach: I – kpt. „Zycha” Władysława Żogły, III – ppor. „Sablewskiego” Bolesława Piaseckiego oraz IV – ppor. „Ragnera” Czesława Zajączkowskiego.

W końcu I dekady kwietnia „Ponurego” odkomenderowano do Szczuczyna, gdzie objął dowództwo tamtejszego ośrodka dywersyjnego, składającego się z dwóch plutonów: I – ppor. „Ostoi” Bojomira Tworzyńskiego²⁶⁷ był już skompletowany i nieźle wyszkolony, zaś II – ppor. „Okonia” Eugeniusza Klimowicza, jeszcze nie wyszedł ze stadium organizacyjnego.

²⁶⁷ Konecczanin z pochodzenia. O jego działalności konspiracyjnej na Kielecczyźnie autor pisze w relacji pt. *Robotowcy* w książce *Cztery z tysiąca*, wydanej przez KAW w 1981 i wznowionej w 1984 r.

Zbliżała się wiosna. W miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej po nieboskłonie, jak przybywało pąków na krzakach wikliny nad Niemnem, pęczniały stany plutonów.

Radował się więc „Ponury” wojskiem. A było czym. Jakież inne ono tu było w porównaniu z jego świętokrzyskimi chłopcami, obdartymi, bez butów, którzy nie śmieli budować solidniejszych szałasów, jadali byle co i byle gdzie, obstawiali się gęstymi czujkami, aby nie pozwolić się zaskoczyć ruchliwym antypartyzanckim brygadam niemieckim.

Tutaj leśne garnizony stały po wsiach i miasteczkach wygodnie, prawie jawnie, jak na manewrach przed wojną. Młyny meły mąkę dla wojskowych piekarni, masarnie szykowały mięsa i wędliny. Rusznikarnie reperowały broń, a nawet małe warsztaty tkwały sukno koloru khaki. Kompanie

umundurowane jednolicie, zaopatrzone dostatnio w broń, miały na swych stanach obok uzbrojenia lekkiego – cekaemy, granatniki, a niektóre oddziały i działka przeciwpancerne. Oni tu właściwie sprawowali władzę, opiekując się wiejskimi szkołami, w których dzieci uczono według przedwojennych programów, oni ściągali kontyngenty i wydawali zezwolenia na wyrąb drzew w lesie.

Lud był więc zabezpieczony opieką partyzancką przed niemieckimi najazdami, dlatego nie szemrał, gdy oddziały partyzanckie nieraz niezbyt sprawiedliwie rekwirowały chłopskie jałówki i świnie.

Niemcy siedzieli dużymi garnizonami w większych miastach, np. w Lidzie, gdzie mieli dziesięć – dwanaście tysięcy ludzi, a po szosach rejonu partyzanckich działań poruszali się w silnych konwojach.

Brak dostatecznej ilości wojska spowodował, że akcje zaczepne podejmowali tylko w ostateczności. Ich dewizą tutaj było obwałować się, obunkrować i trwać.

Pod koniec kwietnia przyszedł rozkaz – dobroić się i wobec zbliżającego się frontu szykować do wyjścia z konspiracji w las.

Rozbicie żandarmerii w Szczuczynie planowali już od dawna. Dzięki wywiadowi miejscowej konspiracji dowodzonemu sprawnie przez niezwykle skromnego i ciągle nie docenionego człowieka „Rybaka”²⁶⁸ znano dokładnie stany załóg nieprzyjacielskich, plan służb, dosłownie wszystko. A kąsek był tyle łakomy, co niebezpieczny. W Szczuczynie kwaterowało prawie 1000 Niemców oraz Ukraińców i Białorusinów z kolaboracyjnej służby. Część z nich współpracowała już z lasem.

²⁶⁸ Stefan Nowaczyk, zginął tragicznie w 1969 roku w Gdańsku.

Plan „Ponurego” był następujący: nocą poprzedzającą atak wprowadzić w pobliże żandarmerii, do nie wykończonego jeszcze budynku internatu gimnazjalnego, trzy niepełne plutony leśnych żołnierzy ubranych w mundury niemieckie, ukraińskie i białoruskie i przetrzymać ich tam do godziny 17.00. O tej godzinie bowiem – jak ustalił wywiad – Niemcy i policjanci innych formacji udawali się bez broni do kantyny i stołówki i tu jedli kolację. Trzy oddziały po 25 ludzi uderzeniem z zewnątrz, z pomocą wtajemniczonych spośród policjantów Ukraińców i Białorusinów, winny nagłym atakiem opanować wszystkie placówki. Równocześnie „Ponury” na czele drugiego oddziału z bronią maszynową miał wzdłuż rzeki Turii osłaniać opanowane miasto przed ewentualną odsieczą ze strony 300-osobowego batalionu niemieckiego, kwaterującego w majątku Druckich-Lubeckich.

Uderzenie to, śmiałe, brawurowe, ma im przynieść prawie tysiąc sztuk broni, mnogość amunicji, granatniki, sprzężone cekaemy, słowem – uzbroić po zęby ich i wiele innych oddziałów.

Każdy fragment akcji omówiony jest do najdrobniejszego szczegółu w czasie wielokrotnie powtarzanych ćwiczeń na plastycznym stole.

Zgodnie z tym planem w nocy z 28 kwietnia siedemdziesięciu pięciu ludzi pod dowództwem ppor. „Czertwana”²⁶⁹ i plut. pchor. „Scevoli”²⁷⁰ zostaje doprowadzonych niepostrzeżenie do nie wykończonego budynku internatu i tu zalega. Czeka ich całodzienne trwanie, aż do godziny 17.00.

²⁶⁹ Witold Ginel.

²⁷⁰ Stanisław Białecki. O jego działalności w konspiracji koneckiej w 1942 roku autor pisze w relacji pt. *Robotowcy w książce Cztery z tysiąca*.

I tu naraz w precyzyjnie przygotowany plan włącza się przypadek. Bo oto rano miejscowy ogrodnik wraz z agronomem i komisarzem niemieckim, sprawdzając stan orki na przylegającym do internatu polu, świeżo wczoraj zorany, dostrzegają liczne ślady stóp. Komisarz natychmiast powiadamia żandarmów, a ci stawiają garnizon w stan alarmowy.

Łączniczka uprzedza ukrytych, że Niemcy o nich wiedzą. „Czertwan” z częścią podkomendnych chce się natychmiast wycofać. „Scevola” oświadcza, że on ze swoim oddziałem zostanie. Zostaje więc i „Czertwan”. Nie wiedzą, że cały teren dokoła internatu jest obsadzony stanowiskami kaemów.

Jest kilka minut przed 17.00, gdy przy milczącym przyzwoleniu upartego dotąd „Scevoli” „Czertwan” decyduje:

– Wycofujemy się.

Lecz ledwo pierwsi żołnierze ukazali się w drzwiach internatu, rozpętało się piekło. W strugach świszczącej stali, w ogniu sprzężonych kaemów 75 ludzi forsowało wysokie drewniane płoty.

„Ponury”, gdy tylko usłyszał kanonadę w mieście, każe bić w namierzone cele, w żandarmerię i kwatery lotników szybkimi salwami z granatników. Niewiele jednak one pomogą.

W dramatycznej próbie wyrwania się z kotła padło 22 zabitych lub ciężko rannych, których Niemcy dostrzelili. 19 innych, których ujęto, wywieziono chyba do Mińska i nikt ich więcej nie widział²⁷¹.

²⁷¹ Szczegółowo o tragedii w Szczuczynie pisze autor w opowiadaniu *Nad Niemnem* w książce pt. *Odłamki granatu*, Warszawa 1968/72, wznowionej przez KAW w 1984 r. pod wspólnym tytułem *Reportaż z tamtych dni*.

Ciężar tej klęski przygniótł wszystkich, a chyba najbardziej „Ponurego”. Szczuczyn, małe, kresowe, wierne polskiej sprawie miasteczko zamarło przerażone tym, co się stało.

Ale czas teraz, na wiosnę 1944 roku, roku brzemiennego w wydarzenia, miał inny, jakże przyspieszony rytm.

1 maja „Ponury”, dotychczasowy dowódca ośrodka czy też kompanii szczuczyńskiej, został mianowany dowódcą batalionu. Batalion zaś otrzymał numer VII. Taka to była ta kresowa Nowogródczyna, na której nic nie było w stanie powstrzymać młodzieży od patriotycznej daniny krwi. Bo choć od września 1939 roku pięć wojennych lat przetrzebiło bardzo ludność polską, gdy padł rozkaz odtwarzania przedwojennych pułków, w ciągu tygodni zaledwie odradzający się 77 pp AK miał w ośmiu batalionach ponad pięć tysięcy partyzanckiego żołnierza, czyli prawie dwa razy więcej, niż przewidywał stan pułku.

W składzie Nadniemeńskiego Zgrupowania znajdował się I batalion kpt. „Zycha” i obecnie pękał w szwach od nadmiaru ludzi. Partyzancki oddział 314 bohaterskiego i wiernego sprawie do końca por. „Krysi” – Jana Borysewicza, tego, co tak pięknie stawał w jesieni 1943 roku pod Koniawą w bitwie z 300 litewskimi szaulisami, a ostatnio rozbił lidzkie więzienie, stał się teraz batalionem II. Warszawska młodzież, która brawurowym rajdem ze stolicy w jesieni 1943 roku przebyła swój szlak na ziemię Narbutta okupując przemarsz krwawą ofiarą, ci, którzy dotąd nosili nazwę UBK²⁷², stali się batalionem III – dowodził nimi ppor. „Sablewski”²⁷³, mając fachową wojskową podporę w ppor. „Jacku”²⁷⁴. Najdłużej przebywający w lesie podkomendni ppor. „Ragnera” stworzyli najliczniejszy, obliczony nawet na ponad 1000 ludzi batalion IV. Działający pod Bieniakoniami oddział kpt. „Sztremera”²⁷⁵ stał się batalionem V. Batalionem VI, a raczej jego załączkiem, dowodził kpt. „Pal”²⁷⁶. Por. „Ponury” miał pod rozkazami rozrosły do trzech kompanii batalion VII, zaś por. „Jastrzębiec”²⁷⁷ tworzył batalion VIII, zwany potocznie „Bohdanka”.

²⁷² Uderzeniowe Bataliony Kadrowe – wojskówka Konfederacji Narodu.

²⁷³ Bolesław Piasecki, założyciel Stowarzyszenia PAX – zmarł 1 I 1979 r.

²⁷⁴ Ryszard Reiff – przewodniczący PAX 1979-1981 r.

²⁷⁵ Stanisław Truszkowski, ppłk., zmarł w 1982 r. w Warszawie.

²⁷⁶ Stanisław Dedelis, zmarł we Włocławku.

²⁷⁷ Władysław Mossakowski, zginął 7 VI 1944 pod Wsielubiem.

Nastąpiły konieczne przetasowania batalionów, połączono je w większe jednostki organizacyjne na terenach, które dotąd stanowiły ich macierzystą bazę.

I tak: Zgrupowaniem Nadniemeńskim dowodził na prawach dowódcy pułku mjr „Kotwicz”. Miał pod swoimi rozkazami prawie 2 tysiące ludzi. Podlegały mu: 1/77 (360 ludzi), IV/77 (1000), VIII/77 (250), 2 szwadron 26 p. ułanów (110) i dwie kompanie saperów (160 ludzi)²⁷⁸. Działali wzdłuż linii kolejowej Lida – Mosty – Wołkowysk.

²⁷⁸ Podane tu stany są wynikiem zbierania przez autora relacji od żołnierzy i oficerów poszczególnych batalionów. Nie pokrywają się one ze stanami opublikowanymi (lub opracowanymi) w innych źródłach. Oto jak widzą stany poszczególnych batalionów takie źródła, jak: *Polskie Siły Zbrojne*, s. 607 (I), Janusz Prawdycz-Szlaski – *Nowogródczyna w walce 1940-1945*, Londyn 1976, s. 128-130 (II), opracowanie „Oskara”, *Schemat Nowogródzkiego Okręgu AK*, fotokopia w arch. autora (III):

| | I | II | III |
|--------------|------|------|------|
| I batalion | 350 | 350 | 350 |
| II | 650 | 650 | 700 |
| III | 500 | 480 | 350 |
| IV | 500 | 1600 | 1000 |
| V | 300 | 300 | 500 |
| VI | 500 | 650 | 600 |
| VII | 780 | 780 | 200 |
| VIII | 200 | 200 | 250 |
| 1 komp. sap. | 100 | 100 | 100 |
| 2 komp. sap. | 100 | 100 | 100 |
| | 3980 | 5210 | 4150 |

Stany te dotyczą jednego mniej więcej okresu – przełom maja i czerwca 1944 r.

Zgrupowanie Północne stanowiły dwa bataliony – 11/77 (650) i V/77 (300). Dowodził nimi por. „Kryśia”, który choć nauczyciel z zawodu, wykazanymi przymiotami leśnego dowódcy przerastał o głowę innych oficerów, nawet zawodowych, tego zgrupowania. Teraz pustoszył z Niemców północną część Obwodu Lidy i sięgał wypadami także na sąsiedni, wileński teren.

Zgrupowanie Wschodnie było także dwubatalionowe – III/77 (400 ludzi) i VI/77 (500). Ten kolejny tysiąc partyzantów chronił Obwód Juraciszki.

„Ponury” był panem sam sobie. Jego rozrosły później do stanu 600 ludzi batalion VII stanowił Zgrupowanie Zachód i strzegł zachodniej części okręgu oraz Obwodu Szczuczyn.

Nie była to jedyna siła zbrojna, którą stawiała Nowogródzczyzna pod broń do ostatecznej rozprawy z okupantem.

Daleko na wschód, na dawnych rubieżach ojczyzny, sięgając wypadami aż pod Mińsk, operowało Zgrupowanie Stołpeckie pod dowództwem por. „Góry-Doliny”²⁷⁹, chroniąc polskie wsie rozrzucone na dalekich kresach.

²⁷⁹ W okresie grudzień 1943 – lipiec 1944 przy pełnej akceptacji ze strony Komendanta Okręgu Nowogródzkiego ppłk. „Borsuka” zawiesił walkę z Niemcami, w lipcu 1944 r. przeszedł z Puszczy Nalibockiej do Puszczy Kampinoskiej. Tu, pozbawiony okresowo dowodzenia, miał być wraz z oddziałem przerzucony w Bory Tucholskie. Zgrupowanie jego, czasowo działające pod nieudolnym kierownictwem mjra „Okonia”, dzielnie i krwawo walczyło w wypadach na Żoliborzu. Pilcha przywrócono na stanowisko dowódcy zgrupowania, wyróżniał się brawurą w walkach z Niemcami pod koniec Powstania, następnie, przebijając się ze zgrupowaniem w Piotrkowskie, stoczył krwawą walkę z Niemcami pod Jaktorowem, walczył w szeregach 25 pp AK, a następnie w Górach Świętokrzyskich do stycznia 1945 roku. Ostatnie pół roku walki zgrupowania (lipiec – grudzień 1944) to jedno z najpiękniej zapisanych kart polskiej partyzantki.

Mobilizowały się do działań bataliony nieświeski i baranowicki.

Po sąsiedzku z rejonem podległym „Ponuremu”, za leniwie toczącym swe wody Niemnem, w południowej stronie województwa nowogródzkiego działało osiem tysięcy partyzantów sowieckich.

Choć i polscy, i radzieccy partyzanci mieli wszędzie, a więc także i na Nowogródzczyźnie, jednego wspólnego wroga – Niemców, byłoby fałszem historycznym nazwać ich sąsiedzka egzystencję zgodną współpracą. Często dochodziło do sporów, strzelanin. Nie jest celem tej książki ustalenie, co było przyczynami, a co skutkami – na to trzeba osobnej, obszernej pracy. Faktem jest jednak, że im bliżej rozstrzygnięcia, im bliżej frontu, tym radykalniej występowały wzajemne pretensje – i jedni i drudzy bowiem uważali się tu za prawowitych gospodarzy. Sowietów – bo wierzyli w podstawy prawne decyzji swych władz podjętych po 17 września 1939 roku. Polacy – bo pamiętali wielowiekową historię tych ziem. Ci ostatni nie wiedzieli o tym, że los kresów przesądzone już bez nich w dalekim Teheranie pół roku wcześniej, i ich wierne tu trwanie nie miało praktycznego znaczenia, poza szlachetną symboliką.

W obozie polskim nie było w tej sprawie rozbieżności zdań. Wszyscy – i żołnierze, i oficerowie – wierzyli, że uwalniają od okupanta hitlerowskiego wschodnie rubieże Polski. Były za to różnice w patrzeniu na sprawę współpracy z sąsiadami zza Niemna. Wyraźnie od pozostałych, miejscowych oficerów odcinało się tu stanowisko „Ponurego”. Może wpływ na tę różnicę widzenia miał fakt, że gdy

on w latach 1939-41 walczył we Francji i Anglii, oni byli tu i pamiętali.

Ta odmienność spojrzenia „Ponurego” na współdziałanie kombatanckie z Sowietami dostrzegana była nie tylko u jego podkomendnych²⁸⁰, ale ślady tego znaleźć można także w radzieckiej literaturze wspomnieniowej. Dowódcą bowiem radzieckiej grupy dywersyjnej operującej po drugiej stronie Niemna, a więc po sąsiedzku z rejonem „Ponurego”, był wtedy zrutek, kapitan „Tomski” – Iwan Żołobow. Ten późniejszy pułkownik radzieckich władz bezpieczeństwa tak pisał o „Ponurym” i jego stanowisku w sprawach współdziałania w czasie jednej z niewielu narad partyzanckich dowódców obu stron²⁸¹.

²⁸⁰ Relacja „Rybaka” — Stefana Nowaczyka, Jana Chęcińskiego, „Mamuta” — Wacława Grygielewicza i innych (arch. autora).

²⁸¹ Iwan Aleksiejewicz Żołobow *Na Niemanie żdut swoich*, Ałtajskeje Kniżnoje Izdatiels-two Barnaul 1975, s. 151 i dalsze.

Oto w okresie po Wielkiej Nocy 1944 roku ma miejsce spotkanie oficerów polskich i radzieckich. Gospodarzem spotkania jest strona polska:

...Wtedy właśnie ujrzałem po raz pierwszy dowódcę batalionu z rejonu Szczuczyńskiego i Wasiliskiego, porucznika Ponurego, spadochroniarza z Londynu. [...] Byli tu również, jeśli się nie mylę, Ragner²⁸², Pazurkiewicz²⁸³ i Krysia²⁸⁴. Wielu ich przyszło i szarże były wysokie. W rzeczywistości to już dużo słyszeliśmy o poruczniku Ponurym. [...] Wkrótce został dowódcą batalionu [...] Zimą 1944 roku dokonał się gwałtowny zwrot w jego poglądach i – sądząc z opowiadań miejscowej ludności – zmienił swój stosunek do partyzantów radzieckich i zaczął aktywniej występować przeciwko Niemcom. Na tym tle powstały rozbieżności pomiędzy nim a Borsukiem, Ragnerem i innymi członkami podziemia akowskiego. Opowiadano, że wbrew dyrektywie [...] „stania z bronią u nogi” Ponury wraz ze swoim batalionem rozbił komendantury niemieckie we wsiach Jachnowicze, Pucharze, Jewłasze. Mówiono, że grupa Polaków przedostała się w maju do Szczuczyna i opróżniła niemieckie banki²⁸⁵. Te aktywne działania cieszyły nas i musiały, rzecz jasna, zainteresować. W poruczniku Ponurym widzieliśmy potencjalnego sojusznika w walce. Jak donosili łącznicy, Ponury też dążył do spotkania z nimi. Były łącznik między Polakami i nami pisał do mnie ze Szczuczyna już po wojnie:

²⁸² Por. „Ragner” — Czesław Zajączkowski, dca IV Batalionu 77 pp AK — powojenny los nieznan.

²⁸³ Ppor. „Pazurkiewicz” — Jerzy Bakłażec, przedwojenny instruktor harcerski z Lidy, w czasie wojny oficer Armii Krajowej w IV batalionie „Ragnera”. W lutym 1945 roku powieszony przez Sowietów na rynku w Lidzie.

²⁸⁴ Por. „Krysia” — Jan Borysewicz — nauczyciel, był dcą II batalionu 77 pp AK. Zginął 21 I 1945 roku pod Kowalkami w walce z NKWD.

²⁸⁵ Chodzi o akcję przeprowadzoną przez żołnierza „Ponurego”, „Mamuta” – Wacława Grygielewicza, który zabrał broń szefowi organizacji Todt, mieszkającemu w banku. Opisał to autor w książce pt. *Gdy las był domem*, Łódź 1972, w rozdziale pt. „Nagana” (przyp. C.Ch.).

„Poznałem Ponurego w sztabie. [...] Podzielał on nasz pogląd i nawoływał do wspólnej walki przeciwko faszystom, marzyło mu się nawet rozbić wspólnymi siłami garnizonu szczuczyńskiego. Chciał, żeby partyzanci wsparli go amunicją, której nie dostarczył mu ani Londyn, ani nikt inny sprzętu tego nie dawał”.

Wiele tu jest przesunięć w czasie w tej charakterystyce, wiele ocen krzywdzących innych dowódców partyzanckich, ale też wyraźna jest autentyczna sympatia do „Ponurego”. Skąd ona wzięła się u oficera, który z racji swego zawodu do łatwowiernych nie należał?

Żołobow przytacza wspomnienia L. I. Smolanowa o przebiegu wstępnych rozmów:

...Uzyskałem od nich zezwolenie na swobodne przechodzenie naszych partyzantów przez tory kolejowe Lida-Grodno na przejeździe Płuszczadka-Żeludok, który był nie wiadomo dlaczego przez nich strzeżony. Kiedy zarzuciłem im współpracę z Niemcami, usprawiedliwiali się, mówiąc, że był to ich tymczasowy krok taktyczny i że teraz przystępują do partyzanckiej akcji zbrojnej przeciwko Niemcom.

Szczególnie dużo i z zapałem mówił o tym porucznik Ponury. Byłem tym mile zdziwiony i starałem się nawet dać wyraz sympatii, jaką do niego poczułem. Kiedy wszyscy mieli już trochę w czubie i rozmawiali, przekrzykując się wzajemnie, nastąpiła niezapomniana wymiana zdań [...] Odezwał się polski oficer Ragner, który przedtem siedział w milczeniu i tylko stroił miny, gdy Ponury mówił o możliwości wspólnych działań z partyzantami radzieckimi. Wyczuwało się, że przebieg rokowań był mu wyraźnie nie w smak, szczególnie zaś wyprowadziło go z równowagi, że uzyskaliśmy prawo do swobodnego poruszania się w terenie kontrolowanym przez batalion porucznika Ponurego.

Ragner wałnął pięścią w stół i nie czekając, aż ustanie podzwanianie szkła na stole, wrzasnął:

– Dość! Znamy się na takich zapewnieniach [Rosjan o współpracy – przyp. C.Ch.]. Wprost niepojęte, jak mogą niektórzy nasi oficerowie rozpuścić języki i gadać, przyrzekać nie wiadomo co!

W pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie, nastrój rzeczowych rozmów został wyraźnie zepsuty. Już wcześniej słyszeliśmy o nacjonalistycznych poglądach Ragnera, ale owej chwili nie przerywaliśmy mu, chcieliśmy, żeby ujawnił swoje myśli do końca. Nie jest wykluczone, że ktoś siedzący obok niego pociągnął go nieznacznie za rękaw, bo nagle urwał w pół słowa i umilkł. Cisza musiała mu jednak ciążyć niepomniernie, gdy po chwili odezwał się znów:

– Wychodzi, że my witamy komunistów z otwartymi ramionami, a oni postępują inaczej – leniwie i jakby z lękiem przekładała jego słowa

tłumaczka. – W Puszczy Nalibockiej napadli na Polaków, a potem nawet rozbroili ich oddział²⁸⁶. I tylko wysłannikowi Mikołajczyka udało się ukryć. I tutaj postąpią z nami tak samo, jeśli będziemy trzymali z nimi.

²⁸⁶ Mowa o rozbrojeniu Zgrupowania Stołpeckiego mjra „Wacława” – Pełki (w dniu 1 XII 1943 r.) i wcieleniu go do brygad radzieckich mjra Wasiliewa. Z ocalałych jednostek powstała później 1200-osobowa grupa por. „Góry-Doliny” — A. Pilcha i kawaleria chor. „Nocy” — Nurkiewiczza (przyp. C.Ch.).

Ragner oczekiwał czegoś więcej od tej prowokacji. Zrozumiałem to w lot i z podziwu godnym spokojem wytrzymałem jego wrogie spojrzenie, a gdy umilkł, powiedziałem stanowczo:

– To, o czym pan mówi, jest dla mnie czymś nowym i nic o tym nie wiem. Udając się na rozmowy, nie zajmowałem się gromadzeniem tego rodzaju faktów... Mogę tylko powiedzieć, że nie jesteśmy wrogami Polaków i mamy wspólne z narodem polskim cele – rozgromienie faszystów. Dziś znów zaproponowaliśmy wam bojowy sojusz i niezawodne oparcie. Chcecie działać wspólnie z nami? – prosimy bardzo. Ale tak czy inaczej Armia Czerwona wkrótce już dotrze tutaj.

Ledwo skończyłem, w pokoju rozległy się szepty. Odniosłem wrażenie, że ludzie nie byli zadowoleni z Ragnera, ale zrozumiałem, iż można się po nim spodziewać wszystkiego. [...] I znowu prawdziwym Polakiem okazał się porucznik Ponury, który z zimną krwią rzekł:

– Nie radziłbym panu Ragnerowi zajmować się niepotrzebnymi babskimi plotkami. Teraz już chyba każdy rozumie, że nadszedł koniec Hitlera i wspólnie z Rosjanami powinniśmy go dobijać.

Było to kulminacyjnym punktem całego wieczoru. Oczy Ragnera nabiegły krwią, a na pomarszczonym czole wystąpiły mu krople potu. [...]

Ktoś spośród obecnych próbował utemperować rozszalałego wojaka i jakoś zatuszować brak jedności w poglądach oficerów, który wystąpił z taką ostrością. Wzniesiono nawet jakiś toast, ale nikt nikogo nie słuchał. Wszyscy gadali naraz, a ja siedziałem jak na tureckim kazaniu i myślałem: „Puszczą mnie z powrotem do swoich czy stukną tutaj. Czy żyje jeszcze mój adiutant Oleg Kanunnikow, czy już się z nim rozprawili, a teraz szukają pretekstu, żeby i mnie załatwić”. I nagle stanowczy głos.

– Kapitanie Tomski, niech pan nie traci nadziei. Jeszcze nie wszystko stracone, powrócimy do naszych rozmów.

To mówił on, porucznik Ponury, który realistycznie rozumiał sytuację. W owej chwili widziałem w nim swego prawdziwego sojusznika. Wziąłem się więc w garść i panując nad nerwami rzekłem jak najspokojniej:

– Bynajmniej nie tracę nadziei. Pan przecież wie, poruczniku, że nawet doświadczeni dyplomaci nie dochodzą do porozumienia przy pierwszym spotkaniu. Mam nadzieję, że wyprawi mnie pan teraz wraz z moim adiutantem w odległe leśne uroczyska.

– Może pan być spokojny, kapitanie, sądzę, że wszystko będzie w porządku. Jestem gospodarzem na tym terenie i moje słowo – to słowo żołnierza.

[...] Przed odjazdem w powrotną drogę podszedł do naszego wozu Ponury, wręczył nam przepustkę i zwrócił się do Leonida;

– Ja uważam was za kolegów. Podobnie jak wy, ja również zostałem zrzucony na spadochronie...

„Ponury” dotrzymał słowa – Rosjanie bez przeszkód przechodzili przez jego teren na kolejówki po stronie polskiej i nikt nie przeszkadzał im w prowadzeniu dywersji.

Przytaczając ten obszerny fragment książki Żołobowa (aczkolwiek nie wszystko, bo o „Ponurym”, zawsze w tym samym ciepłym tonie, pisze on o wiele więcej), czynię to nie dlatego, że podzielam wszystkie oceny autora – nie, raczej z wieloma się wręcz nie zgadzam. Czynię to z innego powodu – do dziś jeszcze żyją w Polsce ludzie, którzy przez cały powojenny okres, na podstawie raczej swoich utajonych życzeń niż faktów, czynili z „Ponurego” ostoję reakcji, antykomunistę i człowieka o skostniałych poglądach. Piwnik komunistą na pewno nie był, ale myślał i umiał przewidywać.

Ale wróćmy na ogarniętą masowym partyzanckim zrywem Nowogródzczyznę w majowe dni 1944 roku.

Cały maj i początek czerwca zajęły dowódcy sprawy organizacyjne oraz utarczki z Niemcami, zagęszczającymi ten teren formacjami zbliżającego się frontu. I tutaj „Ponury” dał się poznać nie tylko jako doskonały taktyk, ale również dobry gospodarz, dbający zarówno o żołnierzy, jak i o ludność zamieszkującą jego operacyjny teren. Po raz pierwszy na nowogródzkiej ziemi powstały wokół VII batalionu rozrzucone w szerokim promieniu bazy żywnościowo-zaopatrzeniowe, w których zgromadzono zapasy dla wojska, ściągane równomiernie i sprawiedliwie od wszystkich ludzi z góry uprzedzonych i przygotowanych do tego. „Ponury” płacił za żywność. Miał również czas na to, aby w niedostępnych mokradłach na skraju Puszczy Grodzieńskiej znaleźć ukrytą chatę, wyremontować ją, zaopatrzyć w łóżka, bieliznę oraz proste urządzenia do odkażania wody – tak powstał partyzancki szpital.

To wszystko było jednak działalnością uboczną „Ponurego”. Najważniejszą rzeczą stała się walka. Bliskość frontu, oddolne parcie setek ludzi garnących się do partyzanckich szeregów pozwalały prowadzić walkę bezpardonową, bez żadnych ograniczeń. „Ponury” znów był w swoim żywiole. Batalion – do niedawna kompania jeszcze – w jego mocnym ręku stał się sprawną, szybko działającą jednostką

bojową. Ppor. „Ostoją”, dowódca pierwszej kompanii, miał teraz w połowie maja dwustu ludzi, ostrzelanych i dobrze uzbrojonych, druga kompania pod dowództwem ppor. „Okonia” była w stanie organizacji, ale szybko obrastała w żołnierzy i sprzęt. Byli to jednak rekruci, niewojskowi, nieostrzelani. Dla przetarcia rzucono ich więc często w ogień. Niespodziewanie pod koniec maja (26 V 1944 r.) batalion wzmocnił się o nową siłę. Rozkazem „Kotwicza” z I batalionu wydzielono kompanię ppor. „Lwa” – Jana Wasiewicza i przydzielono ją „Ponuremu”. „Lew” przyprowadził 220 nieźle uzbrojonych ludzi, z których połowa miała za sobą leśny staż jeszcze z ubiegłego roku. To oni, walcząc jeszcze pod rotmistrzem „Lechem”, we wrześniu 1943 roku przez 6 godzin prowadzili dużym plutonem nękający bój z 500-osobową obławą niemiecką pod Lubartami i osiągnęli podwójny cel: nie dając się zamknąć w saku, jednocześnie odciągnęli Niemców od planowanego miejsca koncentracji batalionu.

Dysponując taką siłą, już w kilka dni po tragedii w Szczuczynie „Ponury” dla podniesienia samopoczucia żołnierzy (a chyba i swojego) śmiałym uderzeniem rozbił niemiecki garnizon w Wasiliszkach, tuż pod bokiem potężnej Lidy, gdzie kwaterowało 12 tysięcy żołnierzy, i dozbroił swoje wojsko.

Sukces ten wyraźnie poprawił samopoczucie batalionu, wiarę w szczęście bojowe, które powróciło do nich, w siłę uderzeniową, w dowódcę. A „Ponury” idzie za ciosem. Na nitkę sukcesów niza coraz to nowe paciorki. Jest dowódcą inteligentnym, elastycznym. Widzi, że oficerowie dowodzący pierwszą i drugą kompanią to ludzie wojskowego, garnizonowego chowu i lubią go mieć nad sobą, dowódca 3 kompanii zaś, bardziej partyzant niż wojskowy, woli mieć smycz nieco dłuższą. „Ponury” więc mu ją luzuje.

16 maja kwaterującą w Siemiagach 3 kompanię zaczęła nękać prowokacyjnym ogniem od sąsiednich Suchar obława, dowódca rzucił wojsko na rozeznanie nieprzyjaciela walką, a poszedł tak skutecznie, że po ciężkim boju wyparł przeciwnika ze wsi i choć sukces ten przypieczętował 8 zabitymi i 9 rannymi, Niemcy zostawili na placu 37 trupów. Po zabranii swoich, trupy niemieckie pozostawił tam, gdzie padły, a każdy miał przypiętą do munduru kartkę „Za Szczuczyn”. Dziesięciu dalszych wrogów zmarło z ran w lazaretach²⁸⁷.

²⁸⁷ Szczegółowo o tym boju pisze autor w opowiadaniu *Nad Niemnem* w książce *Odlamki granatu*, 1967/72, wznowionej w 1984 r. pod wspólnym tytułem *Reportaż z tamtych dni*.

Nadchodzi czerwiec. Zbliżanie się frontu powoduje, że Nowogródczyzna zostaje objęta rozkazem rozpoczęcia akcji „Burza”. Pierwszym zadaniem wynikającym z niego dla batalionów operujących wokół Lidy było uderzenie na umocnienia przebiegającej niedaleko granicy. Ten sztuczny kordon stworzyli Niemcy jesienią 1941 roku, włączając do tak zwanych Prus Wschodnich duże połacie Grodzieńszczyzny i ziem litewskich. Granica między Prusami a Ostlandem przebiegała wschodnim skrajem Puszczy Grodzieńskiej, idąc prawie pionową linią od północy, przez Bortele, na Szkuńce, Runie, Romanowo, by przy zetknięciu ze starym napoleońskim traktem, którym dziś prowadzi szosa Wilno – Grodno, wykręcić od Zabłocia na południowy wschód przez Chodziłonie i dalej na Nowy Dwór.

Dla ochrony granicznego pasa Niemcy budowali „stützpunkty”, umocnione stanowiska oporu odległe od siebie o 10-12 km. Przypominały one forty z Dzikiego Zachodu, dostosowane do bieżącego przeznaczenia. Ogrodzenie z grubych bali jak palisada tworzyło czworobok podsypany wałem ziemnym. Na jego rogach pobudowano bunkry, których ściany, grubości 2-3 metrów, powstały z warstwy ziemi, kamieni i potężnych bierwion. Wysokie wieże obserwacyjne pozwalały na dostrzeżenie nieprzyjaciela z odległości kilku kilometrów. Do wnętrza prowadziła podwójna brama broniona również przez bunkry, a dopiero w środku stały baraki załogi i miały swe stanowiska moździerze. Załogę takich stützpunktów stanowiło 50-100 żołnierzy Wehrmachtu, wyposażonych poza bronią lekką w cekaemy oraz granatniki. Własna studnia oraz zapasy żywności w forteczce wystarczały na okres około dwóch tygodni.



218. W kwietniu 1944 roku por. „Ponury” (z lewej) wyprowadził do bezlistnych jeszcze lasów nad Niemnem swoich nowogródzkich żołnierzy



219. Pplk dypl. „Kotwicz” — Maciej Kalenkiewicz, inżynier saper, hubalczyk, cichociemny, twórca koncepcji „Ostra Brama”, dca 77 pp AK, komendant Podokręgu Nowogródek, zginął z 35 żołnierzami Armii Krajowej 21 sierpnia 1944 roku pod Surkontami, w Polskich Termopilach





220. Już w maju 1944 roku nowo sformowany VII batalion 77 pp AK por. „Ponurego” (z dużym mapnikiem u boku) miał swoją przysięgę. Na pierwszym planie — Komendant Okręgu Nowogródzkiego ppłk „Borsuk”

221. Moment przysięgi. Na pierwszym planie: z lewej dwaj szeregowcy, z prawej od środka: ppłk „Borsuk”, por. „Ponury” i dca II kompanii, ppor. „Okoń” — Eugeniusz Klimowicz







222. Część grupy Kedywu, która w lutym 1944 przybyła z Warszawy wraz z mjr. dypl. „Kotwiczem” — Maciejem Kalenkiewiczem i por. cc. „Ponurym” — Janem Piwnikiem na Nowogródczyznę. Od lewej: pchor. „Tęsknota-Teddy” — Tadeusz Cackowski, pchor. „Tadzik Duży” — Tadeusz Roman (+1964), kpr. „Wartek” — NN (+1944), por. „Jastrzębiec” — Władysław T. Mossakowski, późniejszy dca VIII bat. „Bogdanka” 77 pp AK (+1944), pchor. „Lin” — Janusz Skalski, pchor. „Wilk” — Henryk Cywiński (+1944, Surkonty)

223. W miejscu zaznaczonym krzyżykiem, w dniu 16 VI 1944 padł „Ponury” w walce o stutpunkt Jewłasze. Widoczne na zdjęciu budynki zostały wzniesione po wojnie







224. Za chwilę ruszy kondukt pogrzebowy. Przy trumnie „Ponurego” złożonej na chłopskiej podwodzie — sanitariuszka „Teresa”

225. Za trumną Komendant Okręgu Nowogródzkiego i oficerowie batalionów 77 pp AK. Od prawej: kpt. cc. „Warta” — Stanisław Sędziak, szef sztabu; ppłk „Borsuk”, komendant Okręgu; ppor. „Ostoja” — Bojomir Tworzyński, następca „Ponurego” w dowodzeniu VII batalionem







226-227. Kondukt rozciągał się na przestrzeni 7 kilometrów. Ludność mimo żniw zjechała do Wawiórki z kilku okolicznych powiatów





Dowódca Armii Krajowej
Okręgu Nowogródzkiego
M.P. dn. 18.VI.1944 r.

Rozkaz szczególny

Żołnierze! Dnia 16 czerwca odszedł od nas na zawsze Dowódca
7 bat. Porucznik Ponury.

Padł od kuli na bunkrze niemieckim idąc w pierwszym rzucie
z oddziałem szturmowym, dając Wam raz jeszcze przykład nie-
ustraszonego męstwa jakie cechowało tego urodzonego dowódcę
i żołnierza.

Prostoliniwny, surowy dla siebie i sprawiedliwy dla podwład-
nych, rozważny, żołnierz rozmilowany w wojnie, dla której
poświęcił siebie samego i swoich najbliższych. Takim samym
widziała go kampania wrześniowa 1939 r.. Takim był na polach
Francji w 1940 r., takim zastaliśmy go gdy wrócił i prowadził
oddziały polskie do zaciętych walk w Górach Świętokrzyskich.
Takim był u nas i pozostać powinien na zawsze w naszej pamię-
ci.

Żołnierze! Stawiam Wam za wzór żołnierskie życie i za-
szczytną śmierć porucznika Ponurego.

Żołnierze! Dnia 16.VI wraz z por. Ponurym padli od kul na
bunkrze niemieckim plut. Stalińiec, st. strz. Kanarek, st. strz.
Dymek oraz strzelcy: Lipka, Brzoza i Topola. Poświęcili swe
cenne życie w zmaganiu z śmiertelnym wrogiem w walce o
wolność.

Żołnierze! Wolność i niepodległość krwią się kupuje.

Cześć ich pamięci

Dowódca Armii Krajowej
Okręgu Nowogródzkiego
/Prawdzie ppłk/

228. Rozkaz szczególny Komendanta Okręgu wydany w związku ze śmiercią por.
„Ponurego”, jego adiutanta ppor. „Małego” — Bronisława Filipowicza i żołnierzy: plut.
„Stalińca”, st. strz. st. strz. „Kanarka” i „Dymka” oraz strz. strz. „Lipka”, „Brzozy”
i „Topoli”





SPRAWY POLSKIE

ROK II

Środa 21.6.1944.

Str. 18/33



Szanujemy hołd cieniem dowódcy
VII/77 pp., 4.p. porucznika PONUREGO i
wszystkich ŻOŁNIERZY poległych w wal-
ce o wyzwolenie narodu.

Bohaterskie Ich czyny i żołnierska
śmierć na polu chwały nigdy nie za-
trą się w naszej pamięci, lecz zawsze
żywe pozostaną.

Jesteśmy głęboką wiarą przesiąk-
nięci, że nogi Ich leżą na męczenn-
skim szlaku wiodącym do zupełnego o-
swobodzenia ojczyzny.

Rodzinom Ich zaś składamy wyrazy
szczerego współczucia.

Spółczesność ośrodka „Łąka”.





230. Kościół w Wawiorce

231. Na przykościelnym cmentarzu w Wawiorce przez 43 lata spoczywały prochy mjr. „Ponurego” — Jana Piwnika (w środku zdjęcia, biały krzyż między dwoma drzewami)





Rozbicie łańcucha umocnień granicznych miało być pierwszym punktem realizacji planu „Burza”, a jednocześnie demonstracją tego, że Wojsko Polskie nie uznaje niemieckich podziałów granicznych.

Na pierwszy ogień idą Jachnowicze²⁸⁸. Zostaje wyznaczona data uderzenia – 8 czerwca. „Ponury” już kilka dni przedtem daje trzem dowódcom swoich kompani zadanie – każdy ma przygotować swój plan uderzenia na Jachnowicze. Dowódca kompanii, który wygra ten konkurs, poprowadzi ludzi do akcji. Jak było do przewidzenia, najlepszym okazał się plan ppor. „Ostoi”.

²⁸⁸ Tamże.

Zadanie jest niełatwe. Stützpunktu w Jachnowiczach broniło w obunkrowanym, otoczonym zasiekami i polem minowym umocnieniu 50 żołnierzy frontowych Wehrmachtu, uzbrojonych w 2 garłacze, 1 cekaem, 1 spandau, 2 erkaemy, pistolety maszynowe i kb, 600 granatów i niezliczoną ilość amunicji. Niemcy mieli się więc gdzie i czym bronić. Najgorsze było jednak to, że wystarczy jedna wystrzelona rakietka alarmowa, aby z odległego o 12 km Nowego Dworu i oddalonych o 7 km Sobakińc ruszyły na pomoc bataliony antypartyzanckie żandarmerii i wojska wyposażone w wozy pancerne i broń ciężką. Dlatego też „Ponury” rzucił do osłony akcji aż dwie kompanie: o 3 km od Jachnowicz, gdzie droga z Sobakińc wpadała w szlak zwany wtedy Traktem Marszałka Piłsudskiego, zasadziła się 2 kompania ppor. „Okonia” – 90 ludzi wzmocnionych spieszonym szwadronem 26 p. ułanów AK. Na Trakcie zaś, na wysokości chutoru Groniki, skąd mogły nadszedzieć pancerki z Nowego Dworu, przywarowała 3 kompania.

Przy dowódcy zostaje teraz tylko pierwsza kompania ppor. „Ostoi”, czyli prawie 200 ludzi uzbrojonych w 2 cekaemy, 1 granatnik, 12 erkaemów, 25 automatów. Reszta posiada broń długą.

Trzy plutony 1 kompanii podchodzą skrycie przed godziną 18.00 w pobliże stützpunktu. Wiadomości dostarczone przez wywiad mówią, że około 18.00 Niemcy zostawiają tylko warty, a cała załoga siada do kolacji. Jest to więc najdogodniejsza pora do niespodziewanego ataku. Trzy plutony podchodzą na skraj lasu, wchodzi w zagon żyta, rozstawiają broń. Czekają. Niemcy jeszcze nic o nich nie wiedzą. Do zasieków nie dalej niż 120 metrów. Ale te 120 metrów trzeba będzie przebiec otwartym terenem, w ogniu broni maszynowej bijącej z bunkrów.

Widocznie i „Ponury” o tym myśli, bo postanawia zaapelować do rozsądku Niemców. Tuż przed godziną 18.00 pisze następującą kartkę:

Jesteście otoczeni. Poddać się. Życie wasze będzie zagwarantowane. W wypadku obrony zostaniecie zniszczeni.

Mały, 8-letni pastuszek, migając gołymi piętami, pobiegł do najeżonego lufami umocnienia, nieświadomy tego, co zawiera kartka, którą wręczył wysoki pan o krzaczastych brwiach.

A im zostało tylko czekanie. Trwali więc w czekaniu, wycierając o spodnie spotniałe od dotyku ciepłych karabinów dłonie.

Naraz ze stützpunktu wybiegł pastuszek i popędził w kierunku lasu. Coś palnęło niegłośno i w górę, nad umocnienia i bunkry, nad ścianę lasu, wspinała się sycząca, zielona, alarmowa rakietka.

– Alarm! Alarm! – niosło się głośne wołanie od bunkrów.

– Chcą mieć wojnę, więc ją będą mieli – powiedział spokojnie „Ponury”.

Na ruch jego ręki fuknął granatnik. Pierwszy pocisk rozdarł poszycie dachu baraku i sypnął dokoła deskami i papą, drugi wpadł w środek podwórza, siejąc zniszczenie wśród wybiegających Niemców. Na ten sygnał poderwał się do ataku pierwszy pluton. Szli jak na manewrach, wykorzystując każde wklęsnięcie terenu. Niemcy nie zdążyli dopaść stanowisk strzelniczych w bunkrach. Gdy tylko podejmowali próby dobrnięcia do nich tam, kpr. „Kostek” celnymi seriami cekaemu umieszczonego na strychu stodoły odległej o 150 metrów od stützpunktu studził ich zapalę.

Łupnęły wybuchy granatów, poszarpały płoty, zasieki i cały pierwszy pluton wlał się pomiędzy zabudowania stützpunktu. Część Niemców rzuciła broń i podniosła ręce do góry, reszta ostrzeliwując się, próbowała przebić się w kierunku Sobakińc. Ale tu przygwoździł ich ogień broni maszynowej drugiego

plutonu, a gdy dołączył się do niej jeden z granatników, Niemcy przyciśnięci do bagien poddali się.

Jachnowicze były zdobyte. Cała akcja trwała 12 minut. „Ponury” stracił jednego zabitego, Niemcy pięciu (w tym dowódcę stützpunktu), 11 rannych i poddali 32 jeńców.

Trzeci pluton wnet zajechał zarekwirowanymi podwodami. W pośpiechu ładowano zdobycz.

W blasku podpalanych zabudowań i baraków zwolniono jeńców. Rozbrojeni, puszczeni wolno, musieli pieszo iść do Ostryny. Przed odmarszem zaopatrzone ich we wcześniej przygotowane ulotki głoszące: „Koniec wojny. W Niemczech rewolucja. Hitler zabity”.

Słońce dochodziło do granicy horyzontu, gdy „Ponury” dał znak wycofania się. Otaczając zdobycz na wozach, pierwsza kompania ruszyła w kierunku Wasiliszek, nad rzekę Dzitwę. Tam był nakazany rejon zbiórki dla wszystkich kompanii.

W nocy wróciła z zasadzki spod Nowego Dworu 3 kompania. Jej żołnierzom żołnierskie szczęście przyświeciło blaskiem najjaśniejszym. Z pościgowej brygady antypartyzanckiej spieszącej na pomoc zaatakowanej załodze z Jachnowiczach Niemcy w dwugodzinnym boju na szosie stracili około 50 zabitych, w tym dwóch oficerów, 2 cekaemy, 1 spandau, 5 erkaemów, 2 moździerze, 18 empi i dużo karabinów, a także spalono im trzy samochody.

Koło Wasiliszek odpoczywali cztery dni.

13 czerwca „Ponury” dosyć niespodziewanie zjawił się w Pielasie, która była mp II batalionu 77 pp por. „Krysi”. Był teraz zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego widziano na wielkanocnej odprawie pod Szczuczynem. Rzutki, energiczny, pełen nadziei. Batalion wyszykował dobry, a będąc jego dowódcą, miał dużo większą samodzielność niż gdy kierował kompanią. Plan „Burza” dawał mu wreszcie szansę na rozwinięcie pełnej inicjatywy. Teraz przyjechał do „Krysiaków” – gospodarzy sąsiedniego terenu, aby omówić sprawę skoncentrowanego uderzenia na pas niemieckich umocnień.

– Wtedy dopiero poznaliśmy – powiedział mi w dwadzieścia lat później były adiutant II batalionu, „Socha” – że był to żołnierz w całym tego słowa znaczeniu: odważny, bezpardonowy, nie bawiący się w gierki i intrygi. Jego głównym zadaniem było walczyć.

Przypadli sobie do gustu. Gdy na drugi dzień po rozdzieleniu zadań „Ponury” odjeżdżał, zostawił w Pielasie ludzi, których mógł nazwać zaprzyjaźnionymi.

Z Pielasy wiózł masę nowych wiadomości. Komenda Główna wreszcie zareagowała na to, co się tu od dawna działo. A działo się niedobrze. Odwołany został ze stanowiska komendanta Okręgu ppłk „Prawdźic” oraz jego szef sztabu kpt. „Warta”. Na miejsce „Prawdźica” wyznaczono cichociemnego ppłka „Poleszuka”²⁸⁹. Mjr „Kotwicz”, dowódcę Nadniemeńskiego Zgrupowania Batalionów Partyzanckich, przewidywano na dowódcę całego 77 pułku. Okręg Nowogródzki został podporządkowany operacyjnie Komendantowi Okręgu Wilno – ppłk. „Wilkowi”, w związku z szykowanym wspólnym działaniem sił obu okręgów.

²⁸⁹ Adam Szydłowski, rzucony do Polski 16/17 IV 1944 r.

W trzy dni później, 16 czerwca „Ponury” podciągnął drugą kompanię swego batalionu pod kolejny niemiecki Stützpunkt w Jewłaszach, położony o 30 km na północ od Jachnowicz. Kompania pierwsza i trzecia wyszły już poprzedniego dnia, aby starym zwyczajem ubezpieczać z zasadzki działanie główne. Powodzenie sprzed tygodnia w czasie zdobywania bunkru w Jachnowiczach osłabiło nieco czujność dowódcy. Z trzech kompanii dwie najsilniejsze, ostrzelane, miały teraz ukryte czekać na Niemców jadących na odsiecz okrażonym kamratom: „Ostoja” osłaniał kierunek szczuczynski, kompania 3 warowała na drodze z Ostryny.

Dojście było dalekie, więc wyruszone dzień wcześniej.

Uderzenie główne przypadło – jako bojowy chrzest dla wielu żołnierzy – nowicjuszom z drugiej kompanii ppor. „Okonia”. Ten nie zmarnował kilku poprzedzających atak dni. Rozkład umocnień

stützpunktu znany był dość dokładnie. Po kilka razy dziennie, najpierw z dowódcami poszczególnych plutonów, przerabiał planowany atak. To samo robiły potem plutony u siebie.

Rano 16 czerwca – wymarsz. „Ponury” idąc z drugą kompanią jest dziwnie milczący. Klucze z pińskiego więzienia podzwaniają cicho w wielkim mapniku. Obok dowódcy jego adiutant, ppor. „Mały”[290](#), i lekarz batalionu „Jontek”[291](#).

[290](#) Bronisław Filipowicz.

[291](#) Jan Kondrat. Po wojnie komandor, lekarz, zmarł w końcu 1978 r.

Żołnierze także wyraźnie poddenerwowani. Przecież poza pierwszym plutonem inne jeszcze nie wachały prochu. Uzbrojenie różnorakie: rosyjskie, niemieckie i włoskie, nie do wszystkich karabinów jest dość amunicji. Co prawda, obok 4 kompanijnych erkaemów, na czas tej akcji „Ponury” kazał dozbroić grupę uderzeniową o 1 cekaem, 1 elkaem i granatnik z obsługą, ale zawsze to pierwszy bój...

W południe kompania zaległa w lesie. Jest parno, upalnie. Do umocnień stützpunktu nie dalej niż dwa kilometry. Trwają. Godzina „0”znaczona na 16.30. O tej porze bowiem Niemcy siadają jak co dzień do obiadu.

O 16.00 cichy gwizdek podrywa prawie stu ludzi. Możliwie jak najspokojniej docierają na pozycje wyjściowe. Jest dokładnie 16.30. Za chwilę ruszą do natarcia. Stützpunkt, odległy o niecałe 300 metrów, jak wymarły, tylko przez oficerską lornetkę widać nikły ruch w szparce strzelniczej jednego z „grzybków” – betonowych bunkrów. Wartownik. Cisza.

I naraz gdzieś w oddali, gdzie waruje w zasadzce przy szczuczyńskiej szosie pierwsza kampania por. „Ostoi”, zrywa się huraganowy ogień[292](#). Bunkier, dotąd martwy, roziskrzył się erkaemowymi strzałami wartownika. Pusty dziedziniec zaroił się mundurami feldgrau. Niemcy błyskawicznie zajmują stanowiska i widać chłopcy „Ponurego” na lizjerze lasu są niezbyt dobrze ukryci, bo zostają natychmiast przygnieci nawałą ognia.

[292](#) Okazało się później, że żołnierze pierwszej kompani ostrzelali niemiecki patrol, który niebezpiecznie zbliżył się do miejsca zasadzki.

– Cholera, zaskoczenie nie wyszło – zżyma się „Ponury”. – „Okoń”, rozwijaj plutony do ataku.

Na głos i ruch ręki dowódcy kompanii plutony, o dziwo sprawnie, rozwijają się, choć niemiecki ogień przeraża gwałtownością. Partyzanckie erkaemy, powolne, gdakliwe diegiary, starają się osłonić atakujących, ale przewaga nieprzyjaciela jest znaczna. Skacze pochylony I pluton. Idą dzielnie, choć trup pada gęsto. Jeszcze pięćdziesiąt, jeszcze trzydzieści metrów. Zalegają. Ani w przód, ani w tył. Przed nimi gęstwa kolczastych drutów i bunkry. Za nimi otwarta przestrzeń i jęk rannych. II pluton prowadzony przez ppor. „Burego” wtulił się w ziemię o sto metrów od strzelnic. I ani głowy podnieść. III pluton już dość wysokim żytem doszedł blisko, pod osłonę stodoły jednej z zagród, ale gdy wyskoczył na otwarte pole i on wcisnął się w ziemię o rzut granatem od zasieków. Jego dowódca, sierżant „Tośka”, niemłody już, 40-letni podoficer, doświadczony, z Virtuti za 1920 rok, próbuje poderwać chłopaków, ale Niemcy biją niemiłosiernie.

Zanosi się na klęskę. Czas zakończenia akcji wyznaczony został przed uderzeniem na 20 minut, a tu 20 minut minęło, wojsko leży jak na patelni, Niemcy zaś strzelają niby do kaczek. III pluton jest najbliżej. „Okoń” postanawia ich poderwać. Ale na razie leży z II plutonem o 100 metrów od drutów. Czołga się więc w strugach niemieckiego ognia, dopada zabudowań gospodarczych i tu za rogiem stodoły nadziewa się na „Ponurego”.

– „Okoń”! Do jasnej cholery, co to za wojsko?! Natarcie utkwiło! – krzyczy dowódca batalionu.

– Zaraz, panie komendancie, podrywam trzeci pluton.

III pluton przeżywa kryzys. Dowódca, sierż. „Tośka”, ciężko ranny w pierś, kilku żołnierzy obficie krwawi, dwóch zabitych, a Niemcy piorą, aż się ziemia gotuje. Ktoś puścił wiadomość, że wróg zaszedł z boku. Lada chwila chłopcy ogarnięci paniką runą do tyłu.

Obecność „Okonia” przywraca spokój. Kierowany przez niego ogień staje się spokojniejszy, sprawniejszy. Broń maszynowa bije teraz bez przerwy w otwory strzelnicze, dzięki temu kilku żołnierzy podczołguje się pod zasieki i przecina je nożycami. Przejście jest wolne. Poderwani okrzykiem „Okonia”, osłonięci wybuchami granatów, skoczyli w powstałą wyrwę.

W tej samej chwili z otoczenia „Ponurego” stojącego na załomem stodoły wybiegł jak szalony sanitariusz plutonu, strz. „Pług”, i na oczach zdumionych plutonów dobiegł do słabo zabezpieczonego wjazdu do stützpunktu, przesadził jednym skokiem niskie kozły hiszpańskie, podbiegł do bunkra, wsunął w szparę lufę karabinu i strzelił – jak się później okazało – prosto w głowę cekaemisty²⁹³. Padł ciężko ranny, ale bunkier, ryglujący dotąd ogniem natarcie, zamilkł. Tuż za „Pługiem” wypadł „Ponury”.

²⁹³ Po bitwie strz. „Pług” został odznaczony za ten czyn Krzyżem Walecznych.

– Chłopczy! Naprzód! – krzyknął.

– Hurra! – poderwali się do ataku żołnierze I i II plutonu.

„Ponury” przeskoczył kozły i wyrwał granat zza paska.

W tej chwili rozszczękał się seria peemu mały, betonowy „grzybek” – przyziemny bunkier. „Ponury” złapał się za brzuch, czarna maź przelała się przez palce, i osunął się najpierw na kolana, a potem na plecy.

– Rany boskie! Komendant nie żyje! – krzyknął por. „Mały” i szarpnął się za „Ponurym”. Niemiec z „grzybka” poprawił krótką serią i adiutant z rozprutym brzuchem runął tuż przy dowódcy.

Ku rannym skoczył „Jontek”. Niemiec z „grzybka” i jego powitał serią, lecz chybił. Lekarz dopadł komendanta. Przyklękął. „Ponury” konał. Pokryte wielkimi kroplami potu czoło, oczy uciekające pod czaszkę mówiły, że to już koniec. Lekarz wziął delikatnie głowę dowódcy w obie dłonie i położył sobie na kolanach.

– Jontek... – wycharczał „Ponury”. – Co z bunkrami?

„Jontek” rzucił okiem dokoła. Gotowało się. Bój trwał zażarty.

Granatami kończono Niemców.

– Stützpunkt zdobyty, panie komendancie.

– To dobrze... – wyszeptał umierający.

Uparty Niemiec z betonowego bunkra raz jeszcze poprawił. „Jontka” smagnęło ognistą strugą po plecach. Czuł, że traci przytomność. Wywalił się na bok. Głowa „Ponurego” upadła w piasek.

– Ty też?... – wystękał.

„Jontek” podparł się łokciem, podczołgał bliżej. Znow podniósł głowę dowódcy.

– Nie, panie komendancie...

– Jontek... – szarpał słowa „Ponury”. – Powiedz żonie... i rodzicom... że ich bardzo... kochałem... i że umieram jak Polak...

Chłopczy wdarli się do głównego budynku umocnienia. Teraz walczone wręcz, kolbą, granatem.

– Panie komendancie... zdobyliśmy... – szepnął „Jontek”.

A gdy osłabłe ręce rannego lekarza nie mogły już utrzymać głowy dowódcy, „Ponury” wyszeptał prawie bezgłośnie:

– ...I pozdrówcie... Góry... Świętokrzyskie...

*

Jewłasze zdobyto. Z 40-osobowej załogi nie wyszedł nikt żywy. Straty własne: 8 zabitych, 7 zmarłych z ran, 8 lekko rannych. Zdobyto dużo sprzętu i broni.

*

W upalne popołudnie przy końcu lipca 1944 roku do zacienionej rozłożystą gruszą kuchni małego domku we wsi Janowice w Górach Świętokrzyskich weszła przystojna młoda kobieta. Była to Emilia

Malessa, żona „Ponurego”.

Jedno, co uderzyło w twarzą synowej jeszcze w progu rozradowaną matkę, to kamienny spokój, jakby rezygnacja, jakby pierwsza zapowiedź tej – w pięć lat potem – tragicznej, nie chcianej, choć zadanej własną ręką śmierci, w której do dziś jej najbliżsi widzą chęć odkupienia winy ze strony tego haniebnie oszukanego przez Różańskiego człowieka.

– Nic nie mówiła, proszę pana – opowie mi w 22 lata po wojnie 82-letnia Zofia Piwnikowa, matka mija „Ponurego”. – Ale gdy po powitaniu siadłyśmy w pokoju, wyjęła z torby coś zawiniętego w białą szmatkę i położyła na stole. Odwinęłam... a tam były takie trzy wielkie klucze. Z tego więzienia, co to Janek przyjaciela swego uwolnił. Wtedy wiedziałam, że go już nigdy nie zobaczę.

Posłowie

Nad moim biurkiem stoi olbrzymi, piękny kryształowy puchar koloru płynnego miodu, a na nim widnieje głęboko cięta dedykacja:

„Byłemu żołnierzowi AK z oddziału „Ponurego” Cezaremu Chlebowskiemu, dla upamiętnienia 40 rocznicy śmierci Komendanta – żołnierze AK. Wąchock 10.6.1984 r.”

*

Przed kilkunastu laty opowiadał mi jeden z oficerów Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich, że kiedy w pełni sezonu turystycznego odwiedził Wykus, akurat przed kapliczką stała duża grupa młodzieży, którą gdzieś ze Śląska przywiózł wielki autokar. Przewodnik po krótkim wprowadzeniu wyciągnął z teczeki mocno sczytany egzemplarz „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie” i powiedział:

– A teraz, drogie dzieci, przeczytam wam fragment wspomnień napisanych przez zastępcę komendanta „Ponurego”, kpt. Chlebowskiego.

*

Lat temu dwadzieścia na Pomorzu, po jednym ze spotkań autorskich w terenie, wracałem do Torunia samochodem w towarzystwie instruktorki tamtejszej biblioteki. W pewnej chwili moja towarzyszka podróży powiedziała tak:

– Pan nie wygląda na swoje lata.

– A ile, według pani, powinienem mieć?

– Co najmniej pięćdziesiąt.

– A po czym pani tak sądzi?

– No bo kilka miesięcy temu gościliśmy tutaj takiego „ciekawego człowieka”, który nam się przedstawił jako partyzant z Gór Świętokrzyskich właśnie od „Ponurego”. I to on był tym, który jesienią 1943 roku podebrał pana w Skarżysku z punktu kontaktowego i zaprowadził na Wykus, gdzie pan przez dwa dni był w jego namiocie i spisywał relacje do tej książki, która się teraz ukazała. A że musiał pan wtedy mieć co najmniej dwadzieścia lat, a od tamtego czasu minęło lat trzydzieści, więc rachunek jest prosty.

*

To zaledwie kilka z wielu obiegowych mitów. Z przykrością muszę tu je sprostować. Nigdy nie byłem żołnierzem „Ponurego”, ani nie miałem zaszczytu widzieć go osobiście.

W chwili gdy odwoływano go z Gór Świętokrzyskich i wysyłano – prawie karnie – na Nowogródczynę, kończyłem 16 lat i cały mój udział w AK-owskim działaniu ograniczał się do rozwożenia dwa razy w tygodniu, ukrytych w kierownicy roweru, bibulek z nasłuchem radiowym. A działo się to sto kilometrów na południowy wschód od Wykusu, w majątku radziwiłłowskim w Sichowie, obwodu staszowskiego.

I choć ten teren był w orbicie legendy „Jędrusi”, to jednak wieczorami przy ognisku z braćmi Banaszakami, wysiedleńcami z Poznańskiego, śpiewaliśmy zarówno „*My bandyci „Jędrusia”*”, więc *wszystko jedno nam*”, jak i „*Choć z dala swą mamy rodzinę i bliskich, my polscy żołnierze od Gór Świętokrzyskich*”.

A więc dlaczego „Ponury” a nie „Jędrus” stał się bohaterem mojej najgłośniejszej (chyba – obok „Wachlarza”) książki? To pytanie padało i pada często podczas licznych kontaktów z czytelnikami.

O tym wyborze, jak też o wielu innych w życiu człowieka, zdecydował przypadek. Było to w 20 lat po wojnie, rodziła się nadzieja, że zainteresowanie moją osobą odpowiednich służb (trwające nieprzerwanie od 1951 r.) wreszcie trochę osłabnie, że będę mógł podjąć normalną etatową pracę dziennikarską o pozasportowym profilu, a może nawet dokończyć gwałtownie przerwane studia. Miałem już za sobą wydaną jedną książkę młodzieżowo-narciarską „Smak śniegu” i drugą narciarsko-wojenną „Nocne szlaki” – rzecz o kurierach tatrzańskich w służbie ZWZ. Kończyłem właśnie trzecią „młodzieżówkę” pt. „Gazda z Diabelnej”.

I wtedy odwiedził mnie poddenerwowany Broniek Sianoszek, autentyczny żołnierz od „Ponurego” z Gór Świętokrzyskich, z którym nie tak dawno omawialiśmy sprawę wysadzenia kanonierki niemieckiej w błotach pińskich. Rzucił na stół ostatni numer jednego z popularnych wtedy w Polsce tygodników ilustrowanych, i zgodnie ze swoją porywczą naturą, mocnym językiem wyraził swoją opinię nie tyle o artykule, który tam znalazł, ile o jego autorze.

Rzecz była o agencie gestapo „Motorze”, działającym w 1943 r. w Zgrupowaniach Partyzanckich „Ponurego” w Górach Świętokrzyskich – a autor był żołnierzem tych Zgrupowań. W wydrukowanym materiale popełnił on szereg błędów merytorycznych, ale nie to wywołało protest jego wojennych kolegów. W owym czasie o Armii Krajowej pisano raczej niewiele, szczególnie w pismach wysokonakładowych, a jeśli to już czyniono, to preferowano „kawałki” mówiące o skutecznym penetrowaniu AK-owskich oddziałów partyzanckich i siatek konspiracyjnych przez sprawną agenturę gestapowską. A więc i w tym artykule o którym mówimy, wiele było o „Motorze” i skutkach jego działania, a o „Ponurym” prawie nic. Jego podkomendni chcieli więc te proporcje odwrócić – i ja miałem to zrobić, a Sianoszek i koledzy mieli mi dostarczyć materiału. Rozmowa trwała do późna w noc. Nie wiedziałem, że w pokoju obok trwa na ten sam temat rozmowa moich kilkunastoletnich dzieci, uczniów szkoły podstawowej.

Gdy goście wyszli, dzieciaki mimo późnej nocy przyszły do mego pokoju, ni mniej, ni więcej – tylko z ostrzeżeniem, abym o „Ponurym” raczej nie pisał, bo to mi przysporzy nowych kłopotów. Gdy zapytałem, skąd wiedzą cokolwiek o „Ponurym”, przyniosły książkę Janiny Broniewskiej pt. „Z notatnika korespondenta wojennego”, którą akurat przerabiały jako lekturę szkolną.

Książkę tę przeczytałem przez jedną noc. Nie dlatego, że była tak ciekawa. Było to wyjątkowe plugastwo. Oto autorka w oparciu o bardzo wątpliwą wartość autentyk – depeszę GL z Kielecczyny z końca wiosny 1944 roku, przejętą pod Kijowem przez radiostację I Dywizji WP – uczyniła „Ponurego” sprawcą mordu popełnionego na 11 PPR-owcach w Pardołowie. Uczyniła tak, mimo iż w chwili pisania swej książki wiedziała, że prawdziwi sprawcy, NSZ-owcy z Pogotowia Akcji Specjalnej „Las 1” i „Las 2” (a więc nie „Ponury”) zostali już dawno ustalen i osądzeni. Rzecz sama w sobie nie była zresztą taka prosta. Polegli komuniści w poprzednie noce urządzali zasadzki na NSZ-owców, tamci zaś mścili się jeszcze wcześniej za doznane krzywdy.

Na każdym etapie rozwoju sytuacji byli zabici i ranni. Co więc było skutkiem, a co przyczyną?

Podłość Broniewskiej była tak oburzająca, że postanowiłem nie pisać artykułu prostującego błędy autora materiału z tygodnika o agencie „Motorze”. W jego miejsce należało opublikować najostrzejszy protest przeciwko książce Janiny Broniewskiej i zawartym w niej zarzutom wymierzonym w „Ponurego”.

O decyzję taką wtedy nie było łatwo. Pisać prawdę o Armii Krajowej podejmowało się bardzo niewielu. Władysław Bartoszewski w „Tygodniku Powszechnym”, Jerzy Ślaski w WTK i już trudno przypomnieć innych. Reszta, choć dziś chciałaby tego nie pamiętać, chętnie garnęła się pod skrzydła moczarowskiego ZBoWiD-u. Nierzadko nawet przywódcy AK-owskich środowisk kombatanckich lat 90-tych, obecnie tak „niezależni i nieugięci”, dwadzieścia lat przedtem mościli sobie wygodne gniazdko w prominenckich strukturach PZPR, SD, ZSL i PAX, dobierając spośród siebie składy zarządów

powstających niedługo środowisk Ruchu Oporu przy kombatanckim monopoliście. Była co prawda grupka AK-owców nieprzejednanych do końca, ale na ich pomoc i wsparcie także nie mogłem liczyć, gdyż okrutne doświadczenia w czasie różnych przesłuchań uczyniły ich bardzo nieufnymi.

Odważni mogli za swoje działanie oberwać, więc się do tego zbytnio nie kwapili. Ja byłem w dość wygodnej sytuacji. Z pracy zwolnić mnie nie można było, bo nie miałem jeszcze wtedy stałego zatrudnienia, perspektywa utraty paszportu mnie nie przerażała (stałego mi nigdy nie dano, a na jednorazowe oczekiwałem zwykle po dwa miesiące), a za granicę jeździłem zawsze za własne, a nie państwowe pieniądze.

Co prawda na murach domów nie naklejano już plakatów z napisem „AK – zapluty karzeł reakcji”, ale hasło „Gdy AK stało z bronią u nogi, to PPR i jej bojowa siła Gwardia Ludowa poderwały naród do boju” miała nadal swą aktualność. Ostrzeżeniem dodatkowym winna być dla mnie także świadomość, że choć z szeregów podkomendnych „Ponurego” i „Nurta” wyszło co najmniej kilkunastu ludzi parających się piórem i obcujących z mikrofonem – pisarzy, dziennikarzy i radiowców, żaden z nich przez pierwszych 20 lat PRL nie podjął obrony swych dowódców czy samego środowiska Świętokrzyskich Zgrupowań – choć psy na nich peerelowcy pseudohistorycy wieszali dość powszechnie.

Mimo to zdecydowałem się podjąć ryzyko. Dwie pierwsze wersje artykułu polemicznego z Broniewską nie przeszły przez cenzurę jako za ostre. Trzecia, prawie na całą kolumnę, ukazała się 18.1.1966 roku na łamach WTK, którego naczelny, Jerzy Ślaski, stał się odtąd moją podporą i cennym sojusznikiem w dalszej walce o ponurowską sprawę. Publikacja nosiła tytuł „Przeciw nieprawdzie o «Ponurym»». Domagałem się w niej wprost odwołania pomówień, wysuniętych przez Broniewską wobec „Ponurego”.

Na odpowiedź czekałem trzy miesiące – podobno opóźnienie spowodował wyjazd autorki za granicę. W kwietniu 1966 r. redakcja WTK opublikowała artykuł Broniewskiej, będący klasycznym przykładem marksistowsko-dialektycznego matactwa. Autorka pisała, że choć „Ponury” nie strzelał do PPR-owców w Pardołowie, to jednak inni AK-owcy mordowali AL-owców. A także wyraziła ubolewanie, że go skrzywdziła, ale ma nadzieję, że p. Chlebowski swoją książką tę krzywdę „Ponuremu” wynagrodzi. Było to stwierdzenie wyjątkowo cyniczne, co wynikało zapewne z typowego dla komunistów braku odwagi i obsesyjnej niechęci do uderzenia się w pierś.

17 lat później miało się okazać, że Broniewska wcale swego czynu nie żałowała, że dalej – nawet z za grobu – gotowa była kąsać i sączyć jad nienawiści.

A więc to Broniewska „nakazała” mi napisanie książki o „Ponurym”. Oczywiście wolne żarty, ale tak się stało. A stało się dlatego, że nim ona przesłała do WTK swoją odpowiedź, do redakcji napłynęła rzeka listów. W sumie było ich ponad pięćset. Od żołnierzy (podkreślam żołnierzy, a nie tylko oficerów) „Ponurego” i „Nurta” z Kielecczyny i „Ponurego” z Nowogródzyny. I co drugi zaczynał się od słowa „Nareszcie!”. Nareszcie, po ponad dwudziestu latach, o ukochanym „Ponurym” wreszcie ktoś napisał inaczej niż dotąd.

Ta korespondencja przyniosła taki ładunek oczekiwania na sprawiedliwość, iż zdałem sobie sprawę, że artykuł „Przeciw nieprawdzie o «Ponurym»” nie załatwia niczego, że to pierwszy etap długiej drogi, która mnie czeka. To musiała być książka, i to taka, żeby rozwaliała cały kokon kłamstwa, którym oplotła postać Jana Piwnika autorka „Z notatnika korespondenta wojennego”.

Drugim zyskiem było krótkie pismo z odpowiedniej komisji Ministerstwa Oświaty, w którym zawiadamiano mnie, że książka Broniewskiej została skreślona z wykazu lektur szkolnych.

Nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć. Po penetracji archiwów krajowych (tych, do których mnie wówczas dopuszczono) miałem niewiele dokumentów, pozostawali jednak ludzie. Powojenne losy – z mocnym udziałem ubowców – rozrzuciły ich po całym kraju, a także po Europie, Kanadzie i Australii. Zacząłem od krajowców.

Najstarszy funkcją i rangą oficer Zgrupowań i 1 bat. (dca 3 zgrupowania u „Ponurego” i z-ca dcy I bat. u „Nurta”) kpt. Stanisław Pałac „Mariański”, zaszyty na wsi koło Żyrardowa, pod ciągłą obserwacją UB i wzywany na cotygodniowe przesłuchania, był praktycznie (wtedy) nie do użytku. Kadra oficersko-dowodcza najliczniej była zgromadzona we Wrocławiu. Tworzyli ją kpt. Władysław Czerwonka „Jurek”, kpt. Leszek Popiel „Antoniewicz”, chor. Tomasz Waga „Szort” i prof. dr Andrzej Chachaj „Andrzej”. Na dobrą sprawę „Antoniewicz” – pod nieobecność w kraju mjr „Nurta” – usiłował przejąć dość samowładnie przywództwo środowiska, nie przez wszystkich uznane. Jak to zresztą często bywa, na największy opór natknął się tam, gdzie podczas wojny spotykał samą uległość.

Nie miał on zbyt czystego sumienia wobec pamięci o „Ponurym”, na którego, jako oficer oddz. II, współpracujący z KG AK, pisał nie zawsze sympatyczne raporty. Ale – trzeba mu to dziś sprawiedliwie przyznać – był to jedyny człowiek, który zaraz po wojnie postanowił spełnić powinność, jaką nakładała na niego jego funkcja. A jak wiadomo, był adiutantem Zgrupowań „Ponurego”, a następnie batalionu „Nurta”. Postanowił mianowicie spisać dzieje obu jednostek. Na własny koszt jeździł po Polsce, odnajdywał ludzi, odświeżał ich pamięć, otwierał usta milczącym. I spisywał. Jego opracowania nie są szczytem obiektywizmu, ale na owe czasy były to jedyne materiały, na których mogłem się oprzeć. Niestety, na ich autorze już nie – dwa lata wcześniej nim ja zacząłem pisać książkę zginął pod kołami pociągu.

W 25 lat później „Wojskowy Przegląd Historyczny” przedrukował te opracowania *in extenso*. Szkoda. Bo o ile w 1963 r. materiały „Antoniewicza” były rewelacją, to potem wiedza o Zgrupowaniach zwiększyła się tak dalece, że dziś – pozbawione w druku komentarza i przypisów – są krzywdą wyrządzoną autorowi.

W rejonie świętokrzyskim próbował na miarę swoich skromnych możliwości montować środowisko i odnajdywać porozrzucanych żołnierzy kpt. Marian Świdorski „Dzik”, dzielnie wspomagany przez Edmunda Rachtana „Kaktusa”. Tu było stosunkowo najłatwiej. Bariera ubeckiego zastraszania została nadłamana już we wrześniu 1957 r., gdy po raz pierwszy „Ponuracy” i „Nurtowcy” zjechali się z całego kraju masowo, aby na Wykusie poświęcić nowo zbudowaną (zresztą przez ubeków, wyrzuconych po październiku 1956 r. z „aparatu” i teraz udających murarzy w spółdzielni budowlanej) kapliczkę Matki Boskiej Bolesnej. Ale w miarę oddalania się od Października 56 znów malały i nadzieja, i odwaga.

O tak później sławnych w całej Polsce (i nie tylko) czerwcowych, sobotnich ogniskach na Wykusie i niedzielnych mszach polowych w Wąchocku nikt nawet jeszcze wtedy nie słyszał, bo ich w ogóle nie było. Żołnierze spotykali się raz do roku, i to w bardzo małych przeważnie grupkach, w terminach „konkurujących” ze sobą. „Ponuraków”, czyli tych, którzy do lasu przyszli w 1943 r. i na Wykusie przeżyli 28 X 43 r., czyli najcięższą obławę, ciągnęło tu w ostatnią niedzielę tego miesiąca. „Nurtowcy”, czyli nowy nabór z 1944 roku, tej samej niedzieli podążali raczej do Chotowa we Włoszczowskim, gdzie 30.X.44 r. stoczyli najdramatyczniejszy bój. Ale – powtarzam – były to grupki nieliczne.

Trzecim ośrodkiem była Warszawa. Tu zgromadziło się grono ludzi raczej o intelektualnych i opiniotwórczych ambicjach. Przeważała wśród nich sympatia do „Nurta” i to nie tylko dlatego, że żołnierzy pamiętających „Ponurego” było w stolicy mniej. O takim przechyle decydował raczej fakt, że tu mieszkali także byli oficerowie Komendy Okręgu „Jodła” i to najwyższego szczebla, dla których konflikt z „Ponurym” był wtedy ciągle, niestety, sprawą żywą.

Potem poznałem jeszcze jedną przyczynę tego przechyłu: o „Ponurym” mówiło się tu z szacunkiem (choć nie wszyscy), a o „Nurcie” z przyjaźnią. Różnice charakteru obu dowódców powodowały, że „Ponury” był wymagającym choć kochanym dowódcą, „Nurt” zaś przede wszystkim przyjacielem i bratem-łata.

Niektórzy w kraju starali się z tego zrobić nawet podział. Bardzo mnie ucieszyła rozmowa we wrześniu

1969 r. w Londynie właśnie z mjr. „Nurtem”, człowiekiem ciężko już wtedy schorowanym, który o „Ponurym” mówił z takim blaskiem w zgaszonej cierpieniem twarzy, że już nie miałem wątpliwości, iż te próby dzielenia i budowania prymatu „Nurta” odbywają się nie tylko bez jego udziału, ale na pewno wbrew jego woli i intencjom.

Ale to były wnioski dopiero późniejsze. Na razie, na przełomie 1965/66 roku, w stolicy udzielili mi pełnego poparcia i obdarzyli zaufaniem ppor.c.w. Zdzisław Rachtan „Halny” i pchor. Janusz Skalski „Lin”. To zaangażowanie w udzielenie mi pomocy jednego z nich, zaprzyjaźnionego dotąd z warszawskim środowiskiem ludzi Okręgu, naraziło nawet na ostracyzm towarzyski. Drugi tego uniknął tylko dlatego, że sympatią tej grupy nigdy nie darzył i bliższych kontaktów z nią nie utrzymywał.

Dziś to już zamierzchłe czasy, bezpowrotna przeszłość, w którą wprost trudno uwierzyć. Jednak dla ilustracji, w jak trudnych warunkach zaczynałem tę pracę, na jakie złośliwości a nawet afronty byli narażeni tak wspomagający mnie ludzie, jak i ja sam, przytoczę następujące zdarzenie.

Gdy już przyszła książka przybrała kształt względnie kompletnego maszynopisu, doszły mnie słuchy, że jeden z wyższych oficerów „Jodły”, duchowy przywódca grupy niechętniej mjr. Janowi Piwnikowi rozpowszechnia opinię następującą:

– Chlebowski przedstawia spór „Ponurego” z Okręgiem w fałszywym świetle.

Zaskoczyło mnie to podejrzenie – wszak treść maszynopisu znałem tylko ja i moja maszynistka. Aby przeciąć sprawę w zarodku, zaproponowałem przez człowieka, który mi przekazał tę wieść, że udostępnię temu panu maszynopis do przeczytania, a potem się spotkamy i porozmawiamy. Jeżeli ja go przekonam o moich (płynących z relacji ludzi rzetelnych i zachowanych dokumentów) racjach, to on zaprzestanie rozprzestrzeniania swoich opinii. Jeżeli zaś ja przyznam rację jego argumentom, zobowiązuję się odpowiednio poprawić maszynopis przed wydrukowaniem książki. Mój przyszły rozmówca przystał na tę propozycję i maszynopis złożyłem do jego dyspozycji. Umawialiśmy się więc dwukrotnie na spotkania, ale na żadne się nie stawił. Za trzecim razem swoją nieobecność uzasadnił następująco:

– Nie będę się spotykał z facetem, który w swojej książce z warchoła chce zrobić bohatera.

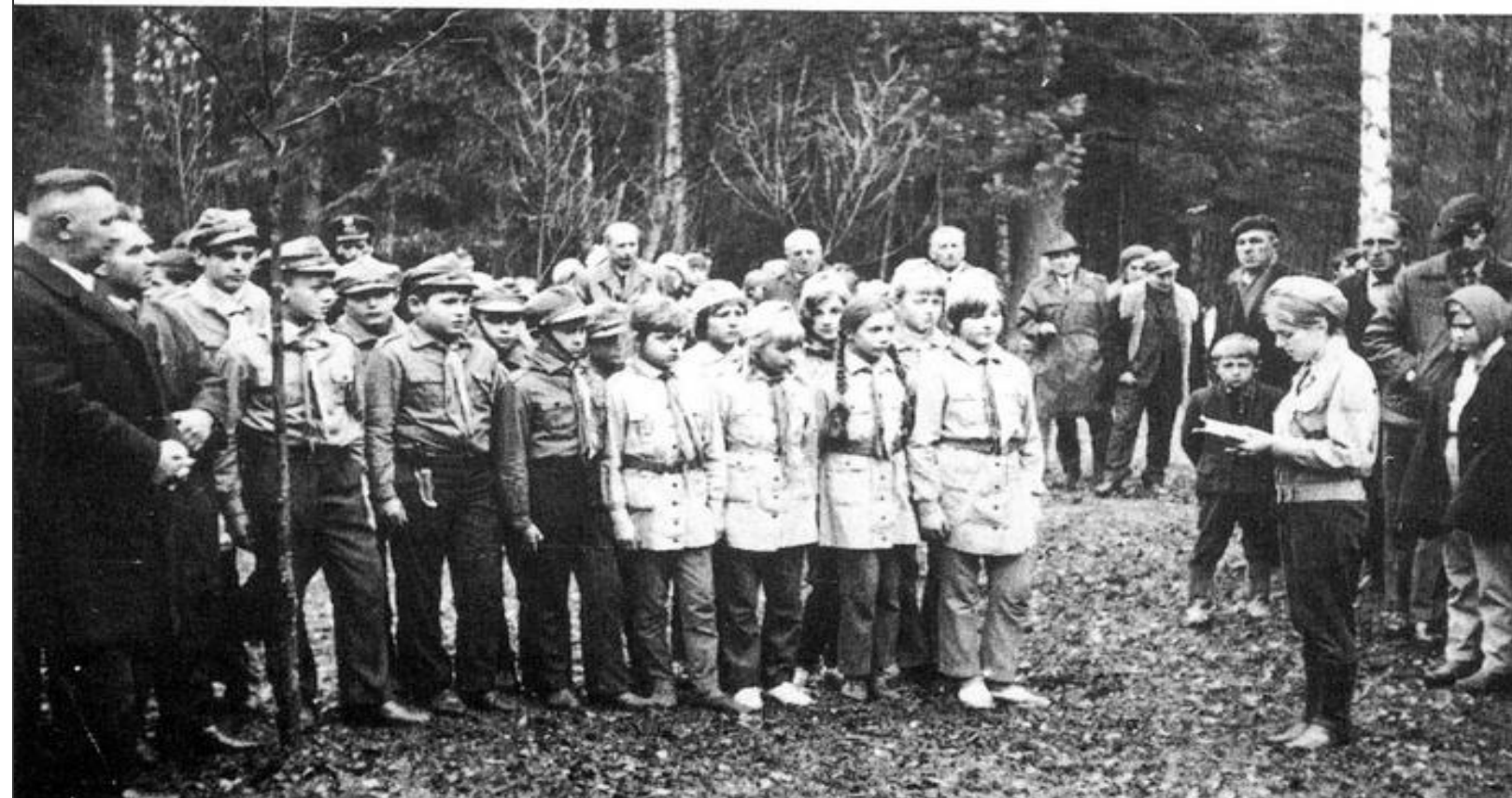
Dlatego też w 22 lata później, gdy po niezmiernie ciężkiej walce udało się nam sprowadzić prochy „Ponurego” z Nowogródzczyzny w Góry Świętokrzyskie, z niesmakiem przyjmowałem od tego pana liczne telefony treści następującej:

– Jak to? Robicie pogrzeb „Ponurego”, a ja do dzisiaj nie wiem, jaka będzie tam moja rola. Przecież to mój podkomendny.

Tę „warcholską” wersję o „Ponurym” utrzymywano nie tylko w kraju, za granicą także. W 1980 r., gdy wydawało się, że sprowadzenie szczątków Jana Piwnika jest tuż, skierowałem na ręce płk. dypl. Kazimierza Iranka-Osmeckiego (honorowego prezesa Zarządu Głównego Koła AK w Londynie, którego dobrze znałem i miałem nadzieję, że cieszę się jego zaufaniem) sugestię Rady Starszych środowiska świętokrzyskiego o pośmiertne nadanie „Ponuremu” Krzyża Złotego, zaś sztandarowi Zgrupowań – Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari. Pułkownik zatelefonował, że sprawę poparł i przekazał dalej.



232-233. 15 września 1957 roku, w XIV rocznicę bitwy Zgrupowań z niemiecką obławą na Barwinku, żołnierze „Ponurego” i „Nurta” zebrani na Wykusie poświęcili kapliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej Bolesnej. Od prawej stoją na pierwszym planie: płk. „Ein” — Jan Zientarski, były komendant Okręgu Jodła; kpt. „Dzik” — Marian Świdzki; „Smrek” — Stanisław Skorupka; kpt. „Marianiński” — Stanisław Pałac; ppor. „Bogoria” — Stanisław Skotnicki; por. „Habdank” — Jerzy O. Stefanowski; „Żwawy” — Leszek Olejnik; „Konar” — Polikarp Rybicki; „Zduńczyk” — Tadeusz Kosicki; ppłk „Wojan” — Wojciech Borzobochaty, szef sztabu Okręgu Jodła; dr. „Andrzej” — Władysław Chachaj (powyżej). Od 1969 roku, w czerwcu, w rocznicę śmierci mjr. „Ponurego”, polana na Wykusie jest miejscem dorocznych partyzanckich spotkań, a także tradycyjnych przyrzeczeń harcerskich drużyn noszących imię „Ponurego” (poniżej)







234. Pomnik-kapliczka wzniesiony po wojnie w obozowisku na Wykusie, składa się ze 104 cegieł-pseudonimów żołnierzy „Ponurego” i „Nurta”, którzy w latach 1943-1944 polegli w walce





235. Od 1985 roku na placu mjr. Ponurego w Wąchocku stoi 4-metrowy posąg Komendanta z piaskowca, dłuta art. rzeźbiarza Andrzeja Kastena, który przed ponad 40 laty jako „Zulejka” był żołnierzem Zgrupowań





236. 7 VII 1985 z okazji przenosin pomnika z prowizorycznego cokołu przed klasztoru w Wąchocku na stały postument zebrali się żołnierze „Ponurego”. Autor rzeźby Andrzej Kasten — trzeci z lewej

237. Od 1969 roku w sobotę i niedzielę najbliższą 16 czerwca — daty śmierci „Ponurego” — na polanie uroczyska Wykus zbierają się żołnierze Komendanta i ich najbliżsi. Wieczorne ognisko jest miejscem wspaniałych gawęd. Na zdjęciu: przy mikrofonie p. Irena Rowicka-Mielczarska — córka gen. „Grota”







238. W domu urodzin Jana Piwnika we wsi Janowice mieści się dziś mini-muzeum pamiątek po Komendancie, zwane „Kwaterą mjr. » Ponurego «”



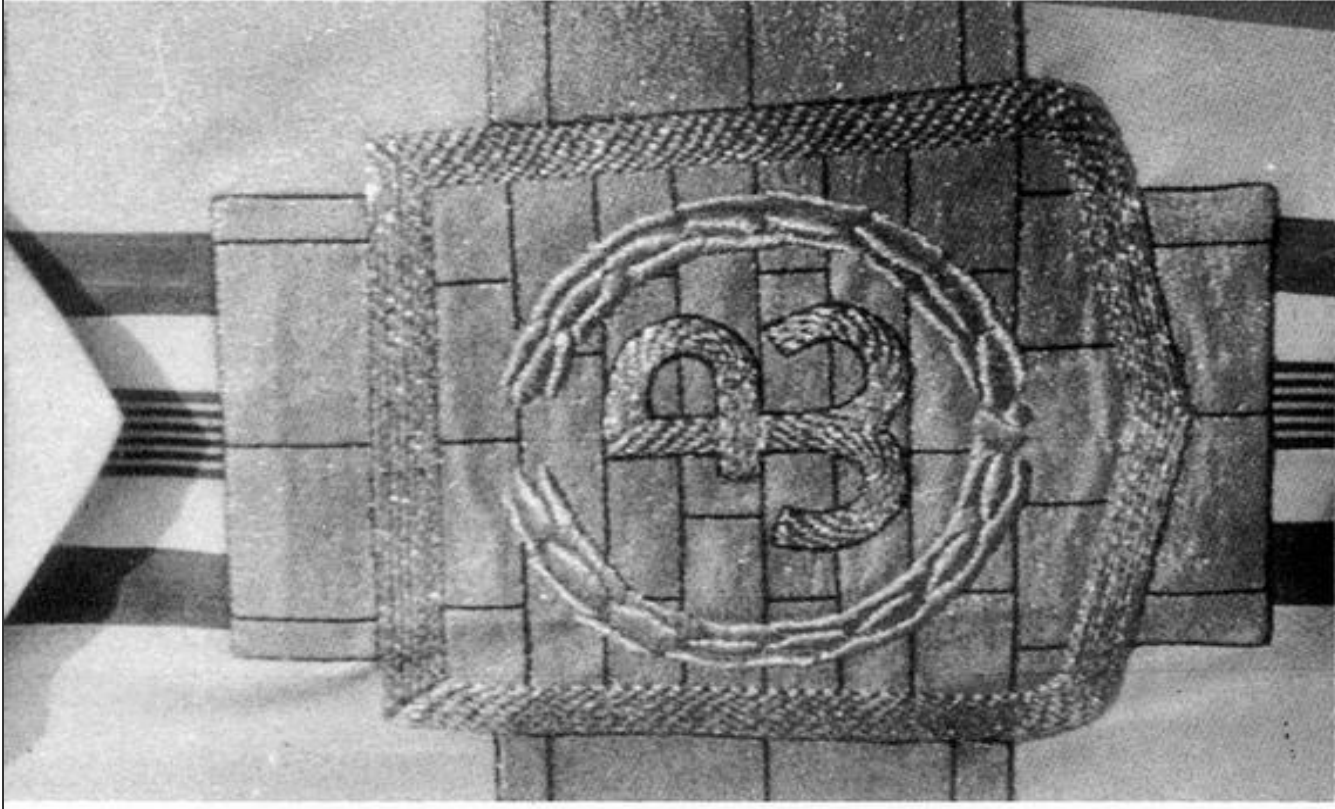
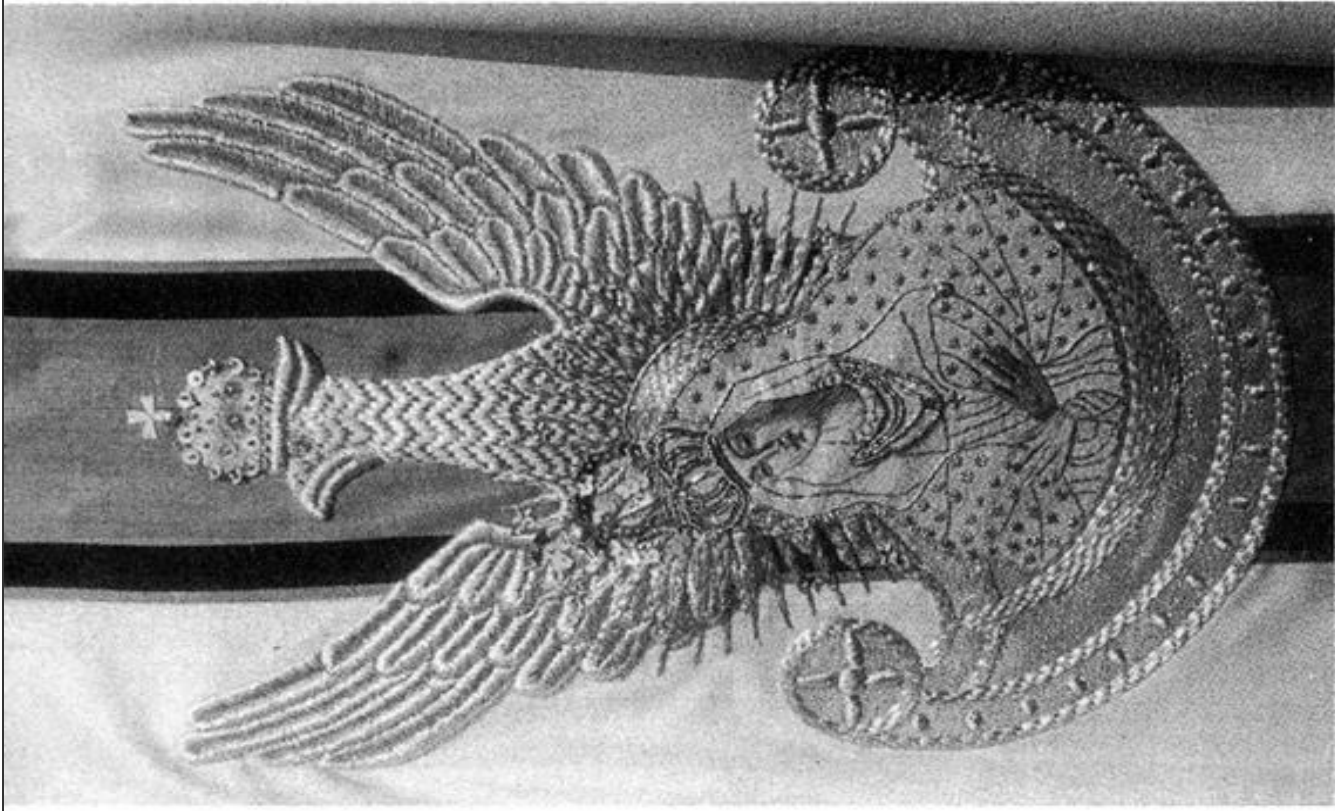
239. Ks. Biskup Edward Materski, ordynariusz diecezji sandomiersko-radomskiej wpisuje się do Księgi Pamiątkowej w Kwaterze Ponurego

† Niech Bóg błogosławi wszystkim, którzy służą
Bogu miłością Ojczyzny!
Niech trwa pamięć tych, którzy o wolność
Ojczyzny walczyli
Niech trwa zapal budowania wolnej Ojczyzny!

15 grudnia 1985 r.

† *Edward Materski!*
Biskup Sandomierski
Radomski





240-241. W czasie czerwcowego spotkania w Wąchocku żołnierze Zgrupowań „Ponurego” i „Nurta” wręczyli ojcu Benedyktowi Matejkiewiczowi, opatowi OO Cystersów — a jednocześnie honorowemu kapelanowi Zgrupowań — ozdobny ornat. Na stronie frontowej, na srebrnym atlasie biegnie wstęga Virtuti Militari, a na niej wizerunek Orła z Matką Boską Ostrobramską, na stronie drugiej na wstędze krzyża Armii Krajowej — awers tego odznaczenia





242. 5 maja 1985 roku zebrani na mszy polowej w Mominie, miejscu chrztu „Ponurego” żołnierze Zgrupowań (delegacja oficerska: od lewej kpt. „Jurek” — Władysław Czerwonka, por. „Poraj” — Zdzisław Witebski i kpt. „Dzik” — Marian Świdorski) poświęcili w helmie-urnie ziemię z pola bitewnego na Wykusie, którą następnie delegacja zawiozła na Sowiniec i 12 V, w 50 rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego rozsypała na Jego kopcu

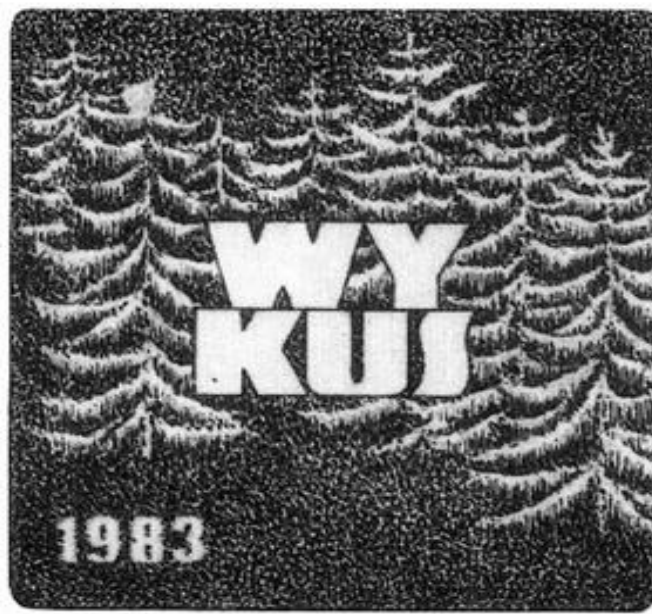
243. 21 IX 1986 w Suchedniowie na ścianie kościoła, została poświęcona tablica zaprojektowana przez doc. Bohdana Borowskiego ku czci mjr. „Nurta” — Eugeniusza G. Kaszyńskiego — w X rocznicę śmierci w Londynie







244. W 1982 roku — w XXV rocznicę wzniesienia na Wykusie kapliczki-pomnika wydany został pamiątkowy medal



245-245a. W 1983 roku 120 rocznicę Powstania Styczniowego i walk w Wąchocku oraz 40 rocznicę powstania na Wykusie Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponurego” uczczono pamiątkowym medalem projektu Andrzeja Kastena.



Stan wojenny zamroził rzecz na 4 lata. Gdy w sierpniu 1983 r. znalazłem się ponownie w Londynie i przypomniałem ją płk. Irankowi-Osmeckiemu, ten powiedział z wyraźnym niezadowoleniem:

– Natrafiłem w tej sprawie na jakiś dziki upór. Proszę porozmawiać na ten temat z panem X. (tu padło nazwisko).

Porozmawiałem, i oto co usłyszałem:

– Proszę pana, każdy okręg miał swojego „Ponurego”. Jak damy temu z Kielecczyny, to trzeba będzie dać i „Ojcu Janowi” z Lubelszczyzny i „Łupaszce” z Wileńszczyzny, i „Krysi” z Nowogródzczyzny. I tak dalej. A poza tym pański „Ponury” to był warchoł. Ja wiem, bo byłem blisko tego terenu.

A jednak 5 lat później Złoty Krzyż *Virtuti Militari* nadany przez Londyn został zawieszony na trumnie „Ponurego” na Wykusie. Czyżby dlatego, że znaleźliśmy już wtedy poczesne miejsce w kondukcje pogrzebowym dla jego krajowego adwersarza?

Wróćmy jednak do spraw książki. Oficerowie „Ponurego” nie od razu uwierzyli w szczerść moich intencji. Uzasadniony przecież kompleks „rozpracowywania ich” działał nadal. Żołnierze byli mniej podejrzliwi, otwierali się całym sercem, czasem aż za bardzo. Dość powiedzieć, że do wykonania wyroku na „Motorze” przyznało mi się dziewięciu, choć czytelnik po lekturze książki wie, że wykonawca był jeden. Często słyszałem także „skromne” wyznanie:

– Wie pan, byłem zaufanym komendanta i on przede mną tajemnic nie miał.

A tymczasem ja wiedziałem, że „Ponury” zaufaniem nie darzył prawie nikogo.

W takich warunkach, oscylując między powściągliwością jednych a „nadinformowalnością” drugich, ustalić prawdę było bardzo trudno.

I choć pomagali mi na bieżąco obaj wymienieni konsultanci, prawie gotowy maszynopis zmieniałem trzykrotnie.

To wszystko, te przerosty ambicji, egocentryzm, udziwnienia, na jakie natrafiłem, nie ułatwiały mi pracy. Muszę tu jednak podkreślić z całą mocą, że na tle olbrzymiej gotowości ze strony ponurowskiego prostego żołnierstwa do świadczenia mi rzetelnej pomocy, były to przypadki sporadyczne. Za to powszechnie spotykałem zadziwiającą skromność: ciągle na ustach było słowo „my” a nie „ja”. Setki rozmów, uzgadnianie różnic w relacjach odbywało się spokojnie, bo wszystkim zależało na tym, by jak najszybciej powstała książka, która pokaże prawdę o komendancie. I to było niezwykle budujące.

Bardzo dużą rolę spełniło publikowanie fragmentów przyszłej książki na gościnnych łamach WTK. Poruszeni dostrzeżonymi nieścisłościami, czy też niepełnymi relacjami w drukowanych tekstach, pisali AK-owcy świętokrzyscy i nowogródzcy, nadsyłając tak niezbędne i oczekiwane sprostowania i uzupełnienia.

Bywały także pojedyncze przypadki reakcji odwrotnych. Pewnego dnia, tuż po ukazaniu się w prasie pierwszego odcinka z wachlarzowskiej części przyszłej książki (rozbitcie więzienia pińskiego), dostałem z Kielecczyny kartkę pocztową następującej treści:

Żądam natychmiastowego przerwania druku odcinków o „Ponurym”. Proszę bezzwłocznie skontaktować się ze mną, gdyż jestem świadkiem historii i moje relacje opracowane na zamówienie Wojskowego Instytutu Historycznego mają niepodważalną wartość dokumentu.

Tak oto zasygnalizował swoje pretensje do mołojceckiej sławy, zagarniętej rzekomo przez „Ponurego”, jeden z jego wojennych adwersarzy. Rzeczywiście napisał on obszerny elaborat utrzymany w tonacji „ja jako były...”, ale „dzieło” to już znałem wcześniej. Prócz tego – o czym mój respondent już nie wiedział – dysponowałem kserokopiami jego powojennych listów do przyjaciół pisanych z Zachodu, paskudnych wobec „Ponurego”, niskich i kłamliwych, a także zeznań złożonych przed prokuratorem po powrocie do kraju, którymi tak obciążał nieżyjącego już przecież „Ponurego” i jego – także już nieżyjącą – żonę, że darowałem sobie (na razie) kontakt z tym człowiekiem.

Wielokroć na spotkaniach z czytelnikami pada pytanie:

– Czy wielkie miał pan trudności z cenzurą przy wydawaniu „Gór Świętokrzyskich”?

Odpowiadam zgodnie z prawdą:

– Z cenzurą, w dosłownym znaczeniu, nie miałem prawie żadnych, choć to nie znaczy, iż inne utrudnienia zostały mi oszczędzone.

W jesieni 1967 roku maszynopis, zweryfikowany przez liczne publikacje fragmentów, był w miarę gotów. Powstał problem – kto go wyda? Z racji przychylności, jaką mi (a raczej tematowi) okazywała prasa PAX-owska, właśnie ta oficyna powinna stać się edytorem „Gór Świętokrzyskich”. Jednak już wtedy narastało we mnie przekonanie, że pisarz AK-owski – a takim przecież chciałem być – nie powinien w ówczesnym politycznym pejzażu uzależniać się od jednego edytora, a szczególnie tak ściśle powiązanego ze stowarzyszeniem o tej samej nazwie i mało ciekawym obliczu ideowym.

W „Naszej Księgarni” miałem już wydrukowane dwie młodzieżowe książki, trzecia była w końcowej fazie produkcji, w tymże PAX-ie finalizowano druk „Zagłady IV Odcinka” i rozważano, czy przyjąć mój konspekt „Odłamków granatu”. Szukałem więc dla „Gór” innego wydawcy. Kokietowało mnie wydawnictwo MON, ale mimo rodzinnych ciągów do wojska, jego PRL-owska wersja nie budziła mojej sympatii. Niedługo potem miało się okazać, jak słuszne były to obawy (sprawa sądowa – wygrana – spowodowana próbą dopisania mi do wydawanej książki nie uzgodnionych ze mną, rzekomo moich, ocen politycznych).

W tym czasie zaczęły coraz bardziej zwracać na siebie uwagę prężne „Iskry”. Tam właśnie wydawał swoją „Śmierć nie przychodzi kiedy czekam” Broniek Sianoszek i chwalił bardzo sympatyczną współpracę z edytorem, a przy takiej pozycji jak „Góry”, taka współpraca miała podstawowe znaczenie. Zdecydowałem się więc na „Iskry”. Ale to była połowa problemu – zachodziło bowiem pytanie, czy „Iskry” zdecydują się na mnie. Dzięki drukowanym fragmentom przyszła książka była już znana, zyskała masową sympatię i oczekiwanie, jednocześnie jednak konsolidowała w oporze tak przeciw tematowi jak i autorowi wąską, lecz bardzo wpływową grupę ortodoksyjnych przeciwników spod znaku GL-owsko-ZBoWiD-owskiego. Choć byli i w tej grupie tacy, którzy zachowali samodzielność myślenia i ocen. Na szczęście dla moich „Gór”.

Wstępne rozmowy z „Iskrami” przebiegały nadzwyczaj pomyślnie. Sprzyjała temu zarówno postawa ludzi, jak i bardzo już wyczuwalna atmosfera przedmarcowa 1968 roku. Oczywiście nie całe „Iskry” składały się z sympatyków mojej książki, dlatego też ze szczególną przyjemnością chcę wymienić nazwiska tych redaktorów, którzy bardzo przyczynili się do jej wydania. Byli to przede wszystkim p. Teresa Jankowska – zastępca redaktora naczelnego „Iskier” oraz Ryszard Wiszniewski, kierownik redakcji historycznej, były redaktor rozpedzonego przez Gomułkę „Po prostu”.

Na jedną rzecz zwrócono mi uwagę od początku: aby książka była możliwie utrzymana w formie reportażu i nie miała charakteru pracy nawet popularno-naukowej. A więc jak najmniej zdjęć, żadnych map, oszczędność w przypisach, unikanie wszelkich wykazów i zestawów personalnych, usunięcie indeksu.

– Tak będzie lepiej ze względów cenzuralnych – obcinano moje protesty.

Słowo „cenzura” w naszych rozmowach padało coraz częściej. Teraz podstawową sprawą stało się uzyskanie dla maszynopisu pozytywnych opinii tzw. recenzentów wewnętrznych. Nie miałem pojęcia, że taka instytucja funkcjonuje, nie miałem wpływu na ich dobór, bo to zawsze należało do wyłącznych uprawnień edytora. Zestaw nazwisk, o którym zostałem powiadomiony *post factum*, początkowo mnie zaszokował. Jeden to znany wtedy były partyzant Armii Ludowej, pułkownik z Kielecczyny, a w chwili recenzowania książki – bardzo wysoko postawiony urzędnik państwowy. Człowiek ten dobrze zasłużył się mojej książce, nie mam więc powodów do czynienia mu dziś krzywdy. A taką niewątpliwie byłoby wymienienie tu jego nazwiska, więc nie zrobię tego, by go nie narażać na wstręty ze strony środowiska,

w którym żyje. Z tego też powodu już raz, przed ćwierć wiekiem, gdy w posłowie pierwszego wydania „Gór” dziękowałem recenzentom, wtedy prosił mnie, abym go „oszczędził”. Drugim recenzentem był prof. dr Ryszard Nazarewicz, historyk, w czasie wojny także oficer GL. Po Październiku zaś i przejściu do cywila zajmował się z pozycji marksistowskich drugą wojną światową. Pozostałe dwie czy trzy osoby wśród recenzentów zaproszonych, czy wręcz takich które nachalnie wkręciły się, nie miały istotnego znaczenia dla losów książki.

Pierwszym moim odruchem była chęć wycofania maszynopisu i szukania nowego wydawcy, bo zakrawało to na spisek przeciw książce. Z trudem powstrzymała mnie przed tym p. Teresa zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Niechętnie, ale zgodziłem się okazać cierpliwość.

Oczekiwanie na werdykt trwało cztery miesiące. Napięcie dodatkowo potęgowało to, że fragmenty przyszłej książki, które Jerzy Ślaski drukował jako osobne opowiadania w WTK, wracały z ulicy Mysiej, czyli cenzury, posiekane jak kotlety.

Wreszcie recenzenci złożyli swoje oceny. Ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu wszystkie opinie były nadzwyczaj pozytywne. Teraz pojąłem, jaką moc mogły mieć te niewinne „recenzje wewnętrzne” i jaki spokój dawało wydawcy ich posiadanie. Cenzura była wobec nich niegroźna.

Kolejną niespodzianką było udostępnienie mi przez wydawcę tych zazwyczaj utajnionych wtedy cenzurek. Zawierały one bowiem szereg drobnych uwag, które należało rozważyć i nanieść na maszynopis. A to mógł zrobić tylko autor. Jedna uwaga powtarzająca się u wszystkich oceniających wzbudziła mój zdecydowany sprzeciw. Zarzucano mi, że pomijam wszędzie działalność innych ugrupowań partyzanckich, konspiracyjnych, szczególnie zaś AL, „*a przecież wtedy, gdy AK stała z bronią u nogi, to PPR, GL...*”. Odpowiedziałem, że tego w moim tekście na pewno nie będzie. A jednak wtedy to musiało być napisane, bo to była przepustka dla książki do drukarni. Wydawało się, że nie przebrniemy przez tę patową sytuację, wydawca znalazł jednak rozwiązanie.

– Jeżeli to napisane być musi, a autor nie chce tego wprowadzić w swój tekst, edytor ma prawo do tzw. słowa od wydawcy, czyli wstępu. Poprosimy, aby napisał któryś z historyków, wilk będzie syty i owca cała – zaproponowano.

Zgodziłem się zastrzegając jednak, że musi to być napisane względnie przyzwoicie i podpisane nazwiskiem, aby owego tekstu nikt nie przypisał mnie. Podjął się tego prof. Bohdan Hillebrandt i zadanie wykonał w zasadzie rzetelnie. Zresztą i przy następnych moich książkach, gdy powtórzyły się podobne sytuacje, prof. Hillebrandt kilkakrotnie ratował mnie z opresji. Podkreślam to dziś szczególnie, ponieważ doczekaliśmy czasów, kiedy tego rodzaju przymusowe wstępy są zbędne i cała sprawa jest dla czytelnika młodego jakimś dziwolągiem a poza tym chcę dać świadectwo tego, że nie można stawiać znaku równania pomiędzy wszystkimi marksistowskimi historykami.

Drukowanie książki przypadło na okres pomarcowy. Huśtawka nastrojów była straszna. Odbijało się to na losach „Gór”, raz hamując tempo druku, drugi raz wariacko je przyspieszając. Zdarzyły się także sytuacje wręcz drażniące, choć także humorystyczne. Pewnego dnia zadzwoniono do mnie z „Iskier” z następującym żądaniem:

– Wobec tego, że grafikowi nie komponuje się na okładce tytuł, bo jest za długi, trzeba zmienić tytuł książki.

Była to oczywista bzdura, bo przecież „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie” to były zarówno ostatnie słowa konającego „Ponurego”, jak i ostatnie zdanie książki w ówczesnej edycji. Zareagowałem więc z miejsca ostro:

– Zgadzam się na zmianę, tylko nie tytułu, a grafika.

Po takiej odprawie tytuł grafikowi się zakomponował, mimo że jest istotnie dość długi. Wreszcie w październiku 1968 roku dostałem do ręki pierwszy, „ciepły” jeszcze, egzemplarz pierwszego wydania

„Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”. Dla mnie, a przede wszystkim dla żołnierzy „Ponurego”, był to wielki dzień. Mieli wreszcie książkę prawdziwą o swoim komendancie. I o sobie. Prostowały się plecy „zaplutych karłów reakcji”. Zewsząd miałem dowody, że przyjęto ją z aprobatą. A przecież wiedziałem, że niepokoiłi się bardzo, jak Chlebowskiemu uda się połączyć w jednej książce losy bohatera „Ponurego” i zdrajcy „Motora”. Wszak byli i tacy, którzy początkowo odmawiali mi współdziałania, bo pomagać w powstaniu czegoś, co będzie gloryfikowało zdrajcę, nie chcieli. Teraz wyraźnie zmienili zdanie.

Oczywiście nie obeszło się i bez tego, że ktoś miał pretensje, iż w książce jest za mało o nim, dla innego zaś największym problemem było to, ile Chlebowski zarobił na krwi partyzanckiej – ale to były krople goryczy w morzu autentycznego entuzjazmu. Jedna rzecz bardzo nieprzyjemnie zaskoczyła i mnie, i dziesiątki tysięcy potencjalnych czytelników, dla których nie starczyło książek. Z wydrukowanego egzemplarza dowiedziałem się, że „Góry” ukazały się w... 10-tysięcznym nakładzie. Wtedy nie mogłem pojąć, dlaczego wydawca świadomie wybiera stratę zamiast zysku. Zamówienia wstępne Domu Książki opiewały na ponad 70 tysięcy, czyli blisko 100-tysięczny nakład byłby absolutnie uzasadniony. Tymczasem 10 tysięcy przyniosło duży deficyt. Obciążony w ostatniej chwili nakład nie był jedynym sygnałem braku sympatii i do niej, i do autora. Mimo że na koncie autorskim miałem już trzy książki wydane i rozprzedane, jedną przetłumaczoną za granicą i trzy następne w druku, „Iskry” zaproponowały mi najniższą stawkę honorarium, jaką przewidywały „widełki”, prawie połowę tego, co oferował mi PAX. Ku zaskoczeniu wydawcy zgodziłem się, a cały wysiłek skierowałem na uzyskanie decyzji wznowienia mojej poszukiwanej książki.

Czekałem cierpliwie, ale miesiące mijały, książka przyniosła entuzjastyczne recenzje – a o wznowieniu nie było mowy. Mimo iż dla żołnierzy „Ponurego” i „Nurta” zarezerwowałem 500 egzemplarzy, lista obrażonych za pominięcie w rozdzielniku zastraszająco się powiększała.

Tymczasem to pierwsze wydanie przekonało wielu ludzi – nadal milczących – że „już można” i że mimo ich początkowych uprzedzeń, rzecz jest raczej uczciwa. Runęła lawina listów z deklaracjami współpracy, uzupełnieniami i sprostowaniami. Wiele spraw dotąd niedopowiedzianych, znalazło teraz rozwiązanie. Ale propozycji obiecanego wznowienia nie było nadal.

W grę wszedł jednak znowu przypadek. Latem 1969 r. miała miejsce w Ministerstwie Kultury i Sztuki kolaudacja filmu „Znicz Olimpijski”, którego tematem była służba kurierów tatrzańskich w okresie II wojny światowej. Podstawą scenariusza autorstwa Zdzisława Skowrońskiego stała się moja książka „Nocne szlaki”. Nie byłem zadowolony z tej ekranizacji, czemu dałem wyraz w dyskusji.

W czasie przerwy podszedł do mnie „towarzysz z prezydium”.

– Jestem Wincenty Kraśko, kierownik Wydziału Kultury KC. Chciałem panu pogratulować wspaniale napisanej i mądrej książki.

– I cóż z tego, że taka dobra, jeśli i scenarzysta, i reżyser filmu tak ją spaskudzili – odparłem tonem dalekim od spokoju.

– Ja nie mówię o „Nocnych szlakach”. Myślę o „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”. To bardzo prawdziwa i mądra książka.

Zaskoczenie trwało tylko moment. W następnym już dostrzegałem dogodny moment do upieczenia swojej pieczeni.

– I to pewnie ze względu na tę wspaniałą jakość książki wydano ją w śladowym nakładzie!

To wyraźnie zainteresowało Kraśkę. Pytał o szczegóły. Gdy zapoznałem go z nimi, powiedział poirytowany:

– Zajmę się tą sprawą.

Byłem mu wdzięczny i za pochlebną opinię o książce, i obietnicę popchnięcia sprawy, choć wiedziałem

przecież gdzie żyję – więc w słowność towarzyszy nie wierzyłem.

I oto tego samego wieczoru zatelefonowano do mnie z sekretariatu dyrektora „Iskier”. Mowa była tyle samo dla mnie radosna, co i humorystyczna. Brzmiała tak:

– Właśnie przed chwilą na posiedzeniu dykcji dokonaliśmy oceny I wydania pańskiej książki „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”. Sprawdziła się, jest nadal poszukiwana, wobec tego zdecydowaliśmy się na szybkie wznowienie.

Wyraziłem swoją radość i zgłosiłem gotowość dostarczenia w ciągu miesiąca nagromadzonych w międzyczasie uzupełnień i poprawek.

– Nie – usłyszałem w słuchawce – to będzie materiał na kolejne wydanie. Obecnie rynek jest wygłodzony i tak czeka na tę książkę, że chcemy ją drukować natychmiast, z fotograficznych klisz pierwszego wydania.

– Ale błędy drukarskie...

– Te poprawimy w doklejonej erracie. Książkę musimy mieć na rynku za dwa miesiące.

Oczywiście nazwisko Wincentego Kraški nie padło z żadnej strony. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na ten pośpiech, bo przecież w tamtym okresie decydenci tak łatwo się rozmyślali. Ale mój opór przeciwko temu co się stało był tak wielki, że jeszcze przez wiele lat wzbraniałem się przed uznaniem tego dziecka, zrodzonego w pośpiechu, za normalną edycję. W kolejnych przedmowach nadawałem jej miano dodruku.

W sumie, na początku jesieni 1969 r. nowe 30 tysięcy „Gór” znalazło się na rynku. Ale i one – jak mówili znawcy – zniknęły z księgarskich półek szybciej, niż się na nich ukazały. Tak było dosłownie, bo po I edycji w księgarniach leżały już „listy zamówień”. I znów pretensje do autora(?), dlaczego „tak mało wydał swej książki”. Ja zaś naiwnie wierząc w szybkie, kolejne wydanie książki – ciągle zbierałem nowe relacje i przygotowywałem bardzo rozszerzoną i uaktualnioną wersję. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że przejście z okresu gomułkowskiego w epokę gierkowską będzie dla tematyki AK-owskiej wpadnięciem z deszczu pod rynną i że na tę nową edycję przyjdzie mi czekać lat... trzynaście, nazwałbym go wariatem. A tak niestety się stało. Wtedy niestety w KC nie było już Wincentego Kraški, a jego następcy nie wykazywali nawet małej części tej sympatii dla akowskiej sprawy jaką on mi okazał.

Ale przez te trzynaście lat książka żyła już jednak własnym życiem. Wyzwoliła wiele inicjatyw. Najpierw w Warszawie. Redakcja WTK postanowiła w lokalu przy ul. Złotej 81 zorganizować klub dyskusyjny na tematy związane z II wojną. Inaugurowano go spotkaniem uczestników rozbicia więzienia pińskiego w 25 rocznicę tego brawurowego wyczynu, po raz pierwszy opisanego i udokumentowanego w „Górach”. W listopadzie zaś tego roku, w kilka dni po ukazaniu się „Gór”, w małej salce mogącej pomieścić 80 osób zebrało się ich ponad 200. Było szaro od dymu, było serdecznie i wzruszająco.

Wiosną 1969 roku zostałem zaproszony przez harcerzy Hufca Starachowice na ognisko poświęcone pamięci „Ponurego”. Poprosiłem o termin w połowie czerwca. I tam właśnie, przy tym czerwcowym ognisku, w 26 rocznicę śmierci komendanta ustaliliśmy, że od tej chwili będziemy się spotykać co roku na Wykusie w czerwcu, zamiast w końcu października, w rocznicę tragicznej obławy. Zaś ostatnią niedzielę października zebrani przy ognisku partyzanci „Ponurego” i „Nurta” ustalili jako termin spotkań pod Chotowem.

Tak się zaczął przed 24 laty Świętokrzyski Czerwiec na Wykusie. W roku następnym właśnie przy takim czerwcowym ognisku przywrócono „Ponurakom” oryginalny sztandar ufundowany w czasie okupacji przez okoliczną ludność, a później ukrywany przed „swoimi” przez ćwierć wieku pod węglem w piwnicy. W 1971 r. wręczaliśmy jednej ze szkół starachowickich, ufundowany ze składek partyzantów AK-owskich, sztandar. I tak każdy czerwiec przynosił coś nowego.

Początkowo miejscem biwakowym był zagajnik, z prawej strony kapliczki, tam gdzie dziś jest ścisły

rezerwat. Z każdym rokiem przybywało gości. Coraz to znamienitszych. I z całej Polski.

Córki generałów „Grotą” Stefana Roweckiego i Kazimierza Tumidajskiego, ppłk dr „Andrzej” Józef Rybicki, Adam Bien z moskiewskiego procesu „16”, „Agaton” inż. Stanisław Jankowski, cichociemny i jego kolega spod znaku cc „Gzysm”, Franciszek Pukacki – dowódca batalionu z 27 Wołyńskiej Dywizji AK, brat-łata i cudowny bibosz ks. Walenty Ślusarczyk, który aż do śmierci nie mógł pogodzić łańskie fantazji z poprzedniego, cywilnego wcielenia, z kapłańską skromnością, Opat Cystersów – niezapomniany ojciec Benedykt – Władysław Matejkiewicz oraz plejada najwybitniejszych gwiazd scen polskich: Anna Nehrebecka, Barbara Horawianka, Andrzej Łapicki, Mieczysław Voit, Józef Duriasz, Andrzej Szczepkowski, Maciej Rayzacher i niewidoma śpiewaczka o wspaniałym głosie Ewa Błoch, i dziesiątki innych, których nawet wymienić nie sposób.

Ale to było później, gdy Wykus się już trochę „ucywilił”. Na przełomie lat sześćdziesiątych Wykus był bardzo dziki. Dominowało ognisko i, niestety, alkohol. Nie trzeba go było nawet dowozić – dostarczali go samochodami ubecy, starając się z nami „zbratać”, a przy okazji pociągnąć za język.

Obok „Ponuraków” i „Nurtowców” dzielnie stawał co roku tak do ogniska, jak i do kieliszka „Komput litewski”, jak go nazywaliśmy. Nowogródzcy żołnierze komendanta przywozili zawsze ogromny wieniec, który składali nazajutrz po mszy niedzielnej w Wąchocku pod pamiątkowymi tablicami. Żołnierzy podziemia AK-owskiego Ziemi Świętokrzyskiej i Ziemi Nowogródzkiej, choć przed pół wiekiem pola ich walki dzieliło ponad pół tysiąca kilometrów, wtedy połączyła osoba komendanta, zaś na przełomie lat 60/70 – odnowiona w „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie” legenda ich dowódcy.

Wtedy już dostąpiłem zaszczytu otrzymania legitymacji nr 1 Honorowego Żołnierza Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich „Ponury” i I bat. 2 ppleg. AK „Nurta” oraz zostałem wybrany członkiem Rady Starszych, świętokrzyskiego areopagu partyzanckiego. Niedługo potem Nowogródzianie wyróżnili mnie Srebrnym Ryngrafem Rycerskim, także nadanym po raz pierwszy. O ile wiem, wyróżnienie nowogródzkie pozostało dotąd jedynym.

Osób wyróżnionych honorową odznaką świętokrzyską jest dziś wiele. Jestem dumny, że wtedy, gdy żyli jeszcze tacy dowódcy, jak kpt. „Mariański”, kpt. „Jurek”, chor. „Szort” i inni, legitymację nr 1 przyznali mnie.

W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy ilość przyjeżdżających na Wykus dawno przekroczyła tysiąc, postanowiliśmy coś zrobić, aby przynajmniej trochę ograniczyć te alkoholowe programy. Pomogli nam w tym chyba sami ubecy, bo skończyły się przyjazdy prymitywnych funkcjonariuszy we flanelowych rozchełstanych koszulach, syrenkami pełnymi skrzynek w wódkę. Widocznie awansowano nas w skali zagrożeń socjalizmu i przydzielono pod opiekę służb wyższych. Ci wódki nie przywozili, a poznać ich było można po bystrych spojrzeniach i jednakowych, ortalionowych płaszczach.

Janusz Skalski podjął się zorganizować ognisko z ambitnym programem. Wcale to nie było łatwe, bo nasi przyjaciele – aktorzy obiecywali że przyjadą, zastrzegając jednak: „o ile w tę sobotę nie będę grał”. A tego nie mogli przewidzieć do ostatniej chwili. Nie mógł tego pojąć kierownik wydziału spraw wewnętrznych Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, który przyjeżdżał nas przesłuchiwać i pytał: „Kto i co będzie przedstawiał?” Dawaliśmy mu długą listę z zaznaczeniem: „Ci są zaproszeni, a kto przyjedzie – Bóg jeden wie” wszak zapraszaliśmy ich z dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

Drugim sprzyjającym momentem było stworzenie za strumieniem ścisłego rezerwatu i przeniesienie obozowiska bliżej drogi, w okolice turystycznych wiat. Tu obecność młodzieży i rozrzedzenie partyzanckiej braci w tłumie gości działało hamująco na amatorów butelki. Ale nie na wszystkich. Kto miał pić, pije na Wykusie do dzisiaj. Z biegiem czasu to wielkie ognisko z dobrym programem artystycznym nieco jednak uspokoiło temperamenty.

Od kilku lat z inicjatywy ordynariusza diecezji sandomiersko-radomskiej, ks. bpa Edwarda

Materskiego, do sobotniego wykusowego programu włączono wieczorną mszę połową. Ale to już była połowa lat osiemdziesiątych.

Tymczasem kilkanaście lat wcześniej zaczęło się nowe działanie, które w jakimś sensie zapoczątkowała właśnie ta książka. Była to walka z arogancją ówczesnej władzy, prowadzona przez rodzinę Piwników i wspierającego ją bardzo niewielkiego grona ludzi. Przedmiotem tej walki było zarówno wyjednanie zgody na sprowadzenie szczątków mjr „Ponurego” z Nowogródzczyzny w Góry Świętokrzyskie, jak i protest przeciwko gwałceniu praw obywatelskich.

Można by na ten temat napisać tomy mówiące o chamstwie i cynizmie komunistycznych bonzów i odrażającym serwilizmie popierających ich amoralnych kurdupli. Aby przypomnieć choćby w skrócie tę bulwersującą sprawę, posłużę się fragmentami mojego artykułu pt. „Powrót niechcianych szczątków”, opublikowanego w „Przeglądzie Katolickim” w numerach 44 i 45 z 1 i 8 listopada 1987 r.

(...) Trwająca kilka lat walka z kłamstwami głoszonymi poprzednio stworzyła wreszcie – po 25 latach, licząc od śmierci „Ponurego” – możliwość oddania w ręce czytelników książki mówiącej prawdę o Janie Piwniku – bohaterze, a nie renegacie. W listopadzie 1968 roku ukazało się pierwsze – o jakże skromnym nakładzie (10 tys. egz.) w porównaniu z edycjami pozycji Broniewskiej – wydanie mej książki „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”.

Zaczął się moralne odzyskiwanie i oczyszczanie terenu zapaskudzonego przez Broniewską, Skwarków i innych pseudobadaczy historii. W niecały rok później rodzina mjr. Jana Piwnika, jednego z pięćdziesięciu honorowych kawalerów pierwszej listy Krzyża Armii Krajowej, postanowiła sprowadzić w rodzinne Góry Świętokrzyskie prochy syna i brata, leżące na przykościelnym cmentarzu w Wawiórcie nad Niemnem. Rozumieli, że choć ich syn nie był ani generałem Sosabowskim – dowódcą samodzielnej Brygady Spadochronowej, ani majorem Sucharskim, obrońcą Westerplatte, to skoro zwłoki nie tylko tamtych – wielkich, ale i tysięcy innych żołnierzy poległych za Polskę na różnych ziemiach wracają w ojczyste strony – dlaczego nie miałby wrócić i prochy ich Janka?

3 marca 1969 roku żyjący jeszcze wtedy rodzice „Ponurego”, osiemdziesięcioletni Jan i osiemdziesięcioletnia Zofia Piwnikowie wystąpili – za pośrednictwem odpowiednich władz administracyjnych w Kielcach – do Ministerstwa Gospodarki Komunalnej w Warszawie z wnioskiem o upragnioną zgodę. Godzi się tu zauważyć, że podanie to poparło 28 kwietnia 1969 r. bardzo życzliwym pismem Wojewódzkie Zrzeszenie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach²⁹⁴. Wydawało się więc, że wszystko idzie pomyślnie. Mało kto zwrócił wtedy uwagę na drobny na pozór szczegół, który jednak stał się ważnym sygnałem podskórnych poczynań i dowodem właściwych intencji istniejących od początku, obok pozorowanych pozytywnych działań w tej sprawie.

²⁹⁴ Pismo I. dz. WZ VIII d/851-6/69.

Otóż wniosku rodziny Piwników nie poparło Prezydium Wojewódzkiego Zarządu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Kielcach. O obowiązkach statutowych tej organizacji nie będę tu przy pominął, bo wstyd, Gremium to miało jednak wątpliwości, czy jest ono w mocy wniosek taki poprzeć i na wszelki wypadek przegłosowało go na „nie”. Jednym głosem przewodniczącego Wójcika.

W Warszawie skandaliczne stanowisko Wojewódzkiego Zarządu ZBoWiD w Kielcach nadrobił Zarząd Główny tej organizacji (decyzją ówczesnego prezesa gen. Moczara) i już 22 maja 1969 r. Biuro Opieki nad Grobami Obcokrajowców – BONGO zajmujące się także sprowadzaniem do kraju zwłok Polaków zmarłych za granicą, powiadomiło rodzinę Piwników²⁹⁵, że ich prośbę skierowano do ambasady PRL w Moskwie i że – gdy tylko będzie zgoda – zwłoki syna zostaną przewiezione w metalowej trumnie na cmentarz wojenny w Kielcach.

²⁹⁵ Pismo I. dz. 90/61/69.

Po półrocznym czekaniu, jesienią 1969 roku, Radziecki Czerwony Krzyż powiadomił Warszawę, iż prośba rodziny „Ponurego” nie można zostać załatwiona pozytywnie, gdyż we wsi Wawiórka – obsłatii takiej a takiej – znajduje się zbiorowy kurhan poległych w czasie wojny partyzantów oraz innych ofiar faszyzmu i wyodrębnienie – po upływie 25 lat – zwłok Jana Piwnika jest rzeczą niemożliwą.

Choć rodzina Piwników była wyraźnie przybita tą wiadomością, mnie przyświecała jeszcze isierka nadziei. Wszak w domowym archiwum mam do dziś szkic cmentarza w Wawiórcie z zaznaczonym miejscem mogiły „Ponurego”. A wykonał ten szkic człowiek, który był tam w połowie lat sześćdziesiątych.

– Owszem, tam jest zbiorowa mogiła partyzantów, ale radzieckich – potwierdził to, zapytany, raz jeszcze. – A nasi leżą nadal każdy osobno na cmentarzu przy kościele.

– A zdjęcie pan ma?

– Niestety, nie wyszło. Albo źle naświetliłem, albo przeświecili na granicy.

Niedobrze. Ale wieść puszczona w nowogródzkie grono ówczesnych moich przyjaciół, że szukam kogoś, kto jedzie nad Niemen, dała rezultat. W połowie listopada siedział u mnie młody człowiek. Choć jego rodzina mieszkała w odległości 60 km od Wawiórki, przyrzekł, że dla takiej sprawy pojedzie na tamten cmentarz.

– Tylko niech pan zrobi zdjęcie grobu. I błonę koniecznie potem owinąć grubo folią aluminiową – przypomniałem.

W styczniowym numerze „WTK” z 1970 roku ukazał się list czytelnika pt. „Byłem na grobie «Ponurego»”. Na zdjęciu widać było niewielki kurhanik grubo pokryty śniegiem, z którego wystawał krzyżyk z półzatarłym napisem: *Jan Piwnik – „Ponury”*. Na kopczyku leżały dwa goździki – biały i czerwony. 23 maja 1970 roku rodzina Piwników napisał więc wyjaśnienie w sprawie informacji otrzymanej z Radzieckiego Czerwonego Krzyża. Owszem w Wawiórcie jest zbiorowy kurhan, ale nasz syn leży w osobnej mogile – a oto jej zdjęcie. 8 czerwca tegoż roku drugi sekretarz Ambasady PRL w Moskwie potwierdził otrzymanie tegoż pisma i zawiadomił, że przekazał to wyjaśnienie adresatowi.

Teraz nastąpiły trzy lata ciszy.

Tymczasem w 1973 roku wiosną otwarto w Mińsku Konsulat Generalny PRL. Rodzeństwo „Ponurego” (bo rodzice już nie żyli) znieczepione brakiem wiadomości, skierowało swoją kolejną prośbę bezpośrednio do Mińska. I tu naraz sprawa nabrała rumieńców. Konsulat Generalny PRL w Mińsku poprosił (przez Departament Konsularny MSZ) Ministerstwo Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska o odpowiedź²⁹⁶, w jakim terminie może przybyć do Wawiórki ekipa ekshumacyjna BONGO celem zabrania prochów ob. Jana Piwnika, gdyż władze Białoruskiej SRR wyraziły na to zgodę.

²⁹⁶ Pismo z 11 VI 1973 r.

Ministerstwo Gospodarki Terenowej powiadomiło więc o tej sprawie Prezydium WRN w Kielcach. Ja – zupełnie przypadkowo – otrzymałem odbitkę tego pisma.

Tymczasem w Kielcach pismo z Warszawy wywołało istne trzęsienie ziemi. Po serii uzgadniających stanowisko telefonów inż. Maria Kapel, pracowniczka odpowiedniego urzędu zajmująca się dotąd tą sprawą, a zbytnio – zdaniem zwierzchników – sprzyjająca staraniom rodziny Piwników, została z niej wyłączona, a teczka z napisem „Jan Piwnik” powędrowała do gabinetu wicewojewody Dziekana, który natychmiast pojechał z nią do Warszawy.

Tu, bardzo wysoko bo w gabinecie Gierka – mimo zgody radzieckiej – na wniosek władz kieleckich w sprawie ekshumacji i sprowadzenia zwłok mjr. Piwnika „Ponurego” zapadła decyzja negatywna. A działa się tak, choć przed czterema laty kompetentne (zdawać by się mogło) urzędy województwa kieleckiego (poza „czujnym” ZBoWiDem) gorąco popierały wniosek rodziny „Ponurego”.

Główni zainteresowani jednak – czyli rodzina Piwników – nic oficjalnie o sprawie nie wiedzieli, bowiem w urzędzie WRN zabroniono powiadamiania Piwników o zgodzie nadesłanej z Mińska. Nieoficjalnie co prawda informowałem ją o przebiegu wydarzeń, ale Piwnikowie postanowili czekać na urzędowe zawiadomienie. Miesiące jednak mijały, a wiadomości nie było żadnej.

W tej sytuacji Józef Piwnik (brat „Ponurego”) 23 sierpnia 1973 r. napisał ponownie do Konsulatu Generalnego w Mińsku z prośbą o odpowiedź, jak zostało załatwione poprzednie podanie rodziny, skierowane do Konsulatu. Po dwóch tygodniach z Mińska odpisano²⁹⁷, że „w poruszanej przez obywatela sprawie proszę zwrócić się do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach”.

²⁹⁷ Pismo z dnia 7 IX 1973 r., L. dz. 37-1-5-72-73.

W połowie września zatem rodzina Piwników wystąpiła oficjalnie do ówczesnego przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach, Antoniego Połowniaka, o odpowiedź w sprawie swoich starań.

Antoni Połowniak, a w tydzień później jego zastępca – Ryszard Dziekan, przyjęli przedstawiciele rodziny na osobistych audiencjach.

Oto jak zapamiętali te dwie wizyty w kieleckiej WRN Katarzyna Borkowska²⁹⁸ oraz Józef Piwnik – rodzeństwo „Ponurego”.

²⁹⁸ Wtedy, dziś Kulczykowska.

„...Działając zgodnie z tą informacją (zawartą w piśmie Konsulatu w Mińsku – przyp. C.Ch.), w dniu 19.9. br. byliśmy u przewodniczącego WRN w Kielcach ob. Połowniaka, który poradził nam, abyśmy się namyślili i zrezygnowali z realizacji tej sprawy i dał nam na to miesiąc czasu. Obywatel wiceprzewodniczący Prezydium WRN – Dziekan, u którego byliśmy dzisiaj, to jest w dniu 25.9., zaproponował nam, że jeżeli zrezygnujemy z zamiaru sprowadzenia zwłok do kraju, w Wawiórcie, to znaczy tam, gdzie obecnie leży, zostanie wybudowany pomnik z odpowiednim napisem, a my uzyskamy wszelką pomoc przy wyjazdach dwa razy do roku na grób brata.

Propozycje te są dla nas nie do przyjęcia. Namawiano nas, abyśmy się dzisiaj namyślili, wtedy gdy właśnie nasze działanie od 4 lat jest właśnie wynikiem głębokiego namysłu, proponowanie wybudowania grobowca tam, gdy my chcemy mieć brata wreszcie w kraju, jest dla nas sprawą po prostu niezrozumiałą”²⁹⁹.

²⁹⁹ Z listu z dnia 25 IX 1973 r. skierowanego do gen. M. Grudnia Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów.

Dzisiaj p. Katarzyna Borkowska-Kulczykowska przypominając sobie tamtą rozmowę dodaje:

– Obaj wojewodowie te rozmowy zresztą traktowali jako rzecz drugorzędną. Najważniejsze dla nich było dowiedzieć się, skąd my wiemy, że już jest decyzja (o której nam zresztą nie powiedzieli) oraz dlaczego akurat do nich zwracamy się o zajęcie stanowiska. Wypytywali nas o to kilkakrotnie. Ale my już wtedy mieliśmy w ręku pismo z Konsulatu w Mińsku, w którym nam sugerowano zwrócenie się do Kielc, więc mogliśmy się nim zasłonić.

Ale nie wybiegajmy zaudatno w przód i wróćmy do spraw sprzed trzynastu lat. Rodzina Piwników postanowiła nie ustępować. Wierzyła bowiem w słuszność swej prośby i w praworządność. Nie wiedziała o tym, że teczka z napisem „Jan Piwnik” została utajniona i otrzymała kryptonim „Góry Świętokrzyskie”. Rodzina postanowiła szukać pomocy w stolicy.

Pierwsze odwołanie (25 września 1973 r.) skierowała do gen. bryg. Mieczysława Grudnia, Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów. W piśmie z października³⁰⁰ Urząd odpowiedział, że „mimo wszechstronnego rozważania Urząd do Spraw Kombatantów nie widzi możliwości przyjęcia z pomocą w załatwieniu sprawy.

³⁰⁰ L. dz. G.S/6280/50, bez daty dziennej.

Natychmiast więc Piwnikowie napisali do ministra Janusza Wiczorka³⁰¹ jako sprawującego nadzór nad prezydiami rad narodowych, a poza tym jako do przewodniczącego Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Po trzech i pół miesiącach, na skutek braku odpowiedzi, w dniu 7 marca 1974 r. wysłali ponaglenie. Także bez rezultatu.

³⁰¹ Pismo z 18 X 1973 r.

Adresatem kolejnego pisma odwoławczego³⁰² był ówczesny I Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edward Gierek. Po trzech tygodniach Biuro Listów i Inspekcji KC PZPR powiadomiło Piwników (na wydrukowanej kartce pocztowej), że ich odwołanie skierowano do... Urzędu do Spraw Kombatantów. Wobec czteromiesięcznego milczenia tego urzędu, Katarzyna Borkowska-Kulczykowska pisze znów³⁰³ do I Sekretarza KC prosząc o audiencję osobistą. Pismo to pozostało bez odpowiedzi.

³⁰² Pismo z 24 IV 1974 r.

Wydawało się więc, że koło zamknęło się ostatecznie i że sprawa jest zupełnie pogrzebana.

Zaproponowałem rodzinie „Ponurego” po raz kolejny swoją pomoc. Z jej upoważnienia pewnego wrześniowego dnia 1974 roku udałem się do Zalesia Dolnego, gdzie za metalową bramą, przywodzącą na myśl bojowe sztandary z kościuszkowskimi orłami na rogach, wśród sosnowego lasu pędził swój emerytalny czas Generalny Łowczy PRL gen. Zygmunt Berling. Miałem przyjemność poznać Generała kilka lat wcześniej, w 1967 roku, kiedy to wierząc (tak jak i on), że jego pamiątniki będą mogły ujrzeć światło dzienne, próbowałem umieścić ich fragmenty w „Tygodniku Polskim”. Wtedy wiele opowiadałem Generałowi o „Ponurym” i wydawało mi się, że wywołałem jego zainteresowanie postacią Jana Piwnika.

Pamiętam pąsowiejącą twarz Berlinga w miarę jak mu referowałem sprawę, która mnie tam przywiodła, gdy czytał kopie dziesiątków pism, zgromadzonych przez rodzinę Piwników.

– Wystarczy – przerwał mi końcowy komentarz. – Jutro będę w tej sprawie u Pierwszego. To jest niemożliwe, aby on ją znał i tolerował to co się z nią wyrabia. Proszę być u mnie za tydzień.

Odchodząc dałem Generałowi kserograficzną kopię pisma Konsulatu w Mińsku, aby miał dowód, że radziecka zgoda na ekshumację i zabranie na Kielecczynę zwłok „Ponurego” to nie bluff.



246. W miejscu, gdzie w 1943 roku stał namiot Komendanta „Ponurego”, dziś pod zieloną ścianą lasu bieleje kapliczka





Biogram wojenny
śp. Mjr. Jana Piwnika ps. „Ponury”
 żołnierza Armii Krajowej

WE WRZEŚNIU 1939 R. W STOPNIU PODPORUCZNIKA DOWODZIŁ KOMPANIĄ REZERWOWĄ POLICJI PAŃSTWOWEJ WALCZĄCĄ NA FRON-
 -CE OD MIKOŁAJA DO SAMBORA. PO KŁĘSCIE INTERNOWANY NA
 WĘGRZECH DO MARCA 1940 R. SKAZANY TAM NA 2 MIES. TWIERDZY
 ZA ZORGANIZOWANIE UCIECZKI 70 ŻOŁNIERZY POLSKICH Z OBOZU
 W FELSÓPAKONY PUSZTA. W KWIECNIU 1940 R. PO PRZEDOSTANIU SIĘ DO
 FRANCJI WCIĘLONY DO 4-GO PAC. PO UPADKU FRANCJI PRZYDZIELONY
 W ANGLI DO 4 BRIGADY KADROWEJ STRZELCÓW A NASTĘPNE DO 1 SA-
 MODZIELNEJ BRIGADY SPADOCHROWEJ. DNIA 6 LISTOPADA 1941 PRZE-
 RZUCONY DROGĄ LOTNICZĄ DO POLSKI. PRACA W KONSPIRACJI. OD
 CZERWCA 1942 R. MIANOWANY D-CĄ I-GO ODCINKA „WACHLARZA”. UJE-
 TEGOŻ ROKU I PIEŚZO DOTARŁ DO WARSZAWY. W DNIU 18 STYCZNIA
 1943 R. DOWODZIŁ UDANĄ AKCJĄ ODBICIA WIEŻMIÓW W PIŃSKU (M)
 WIOSNĄ 1943 R. MIANOWANY SZEFEM KEDYMU OKR. KIELCE I DOWODCĄ
 ZGRUPOWAŃ PARTYZANCKICH NA KIELECCZYNIE. OD LUTEGO 1944
 PRZESUNIĘTY DO OKRĘGU NOWOGRODEK. DOWODZIł OBR. DWYERST-
 NYM W SZCZUCCZYNIE. 1-GO MAJA MIANOWANY D-CĄ VII BAT. 77 PIĘKU
 PIECH. AK. POŁEŻ. W JEWSZACZACH 16 CZERWCA 1944 ROKU NA CZELE
 BATALIONU ATAKUJĄCEGO BUNKRY. AWANSOWANY POŚMIERNIE DO
 STOPNIA MAJORA WR

POWRÓT DO POLSKI
 -NAKRÓTCSZĄ DROGĄ

NOCA 7/8 LISTOPADA 1941 R. SAMO-
 LOT TYTRU „HALKA” Z DYMIZJONU 301 DO-
 WODZONY PRZEZ KPT. ST. KRÓLA, STAR-
 TUJĄCY Z LOTNISKA NEWMARKET POD
 LONDYNEM W OPERACJI „RUCTION” (NR 1)
 DOKONAŁ PRZELOTU GRUPEJ SPADOCHRO-
 NOWEJ W SKŁADZIE: POR. JAN PIWNIK,
 POR. LOTH. N. ST. BIDZIŃSKI, KURIER POLIT.
 PPOR. NAPOLEON SEGIERA, NA. PLACOW-
 KĘ „IGÓR” POD WSIĄ ŁYSZKOWICE KO-
 ŁO ŁÓWICZA. PRZEDSTAWICIELEM KOMEN-
 DY GŁ. ZWZ. BYŁA POR. EMILIA MALESSA
 PS. MARCYŚIA” SAMOLOT W DRODZE PO-
 WROTNEJ Z BRĄ KU PALIMIA LĄ-
 DOWAŁ NA TER. RENIE SZWECJI.
 ZAŁOGA SPA LIKA MASZYNE.

- 1939
- 1940
- 1941
- 1942
- 1943
- 1944

...LE CZ WY, COŚCIE MNIE ZNALI, W PODANIACH PRZEKAŻE,
 ZEM DLA OICZYZNY STERAŁ MOJE LATA MŁODO-
 A POKI OKRĘT WALCZYL-SIEDZIAŁEM NA MASZCIE
 A GDY TONAJE - Z OKRĘTEM POSZEDŁEM POD WODĘ.....

8 - XI - 1941 16 - VI - 1944

247. Jeden z eksponatów z Kwatery mjr. „Ponurego” z Janowic — plansza (wykonana przez cichociemnego „Strażaka 2” — Kazimierza Śliwę) przedstawiająca szlak bojowy Jana Piwnika w latach 1939-1944



248. Dorocznym zwyczajem kulminacyjnym punktem czerwcowych spotkań koleżeńskich żołnierzy Zgrupowań jest Msza Św. Polowa na dziedzińcu klasztoru OO Cysterów w Wąchocku



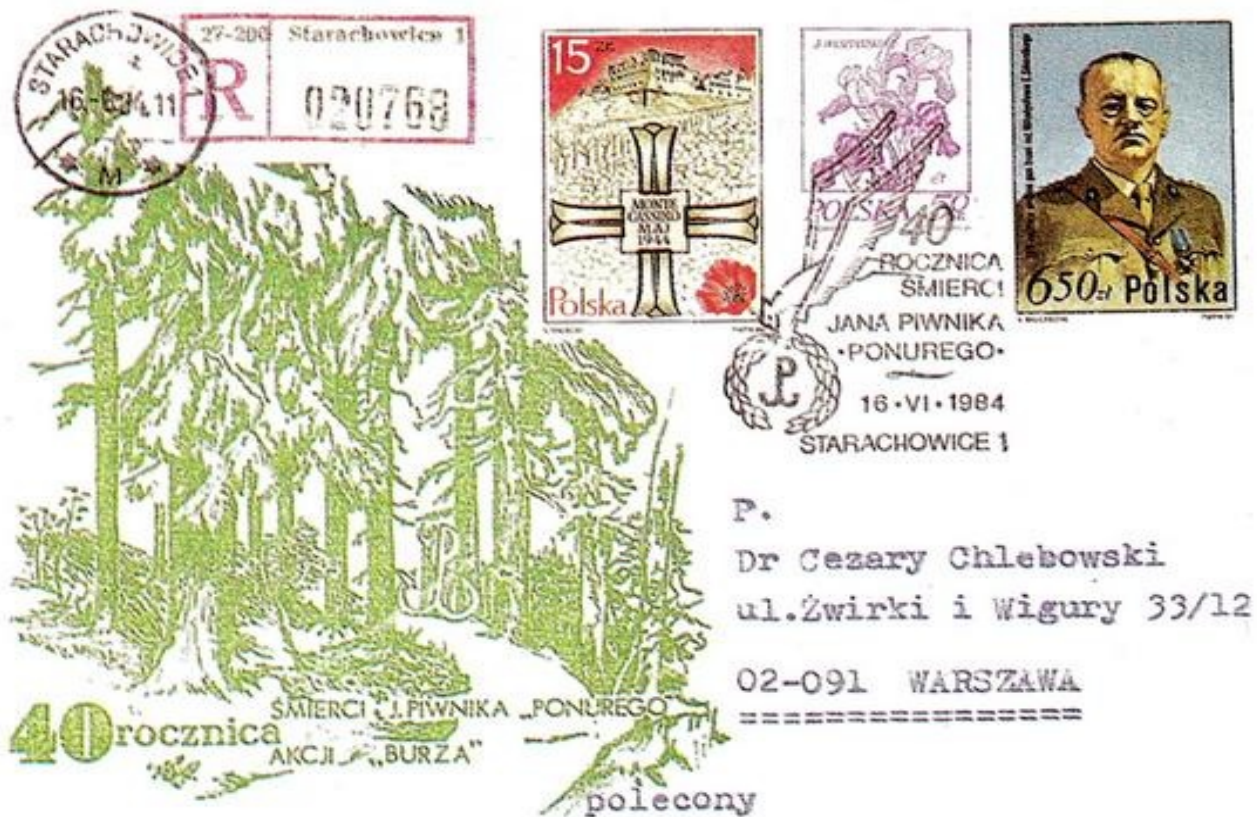
249. W 1985 roku poświęcony został przez ks. Biskupa dr. Zbigniewa Kraszewskiego (z prawej — w ornacie — darze partyzanckim) pomnik mjr. Piwnika







250-251. Ważniejsze daty w historii Zgrupowań kwitowane są przez starachowickich filatelistów specjalnymi kopertami i okolicznościowymi kasownikami.







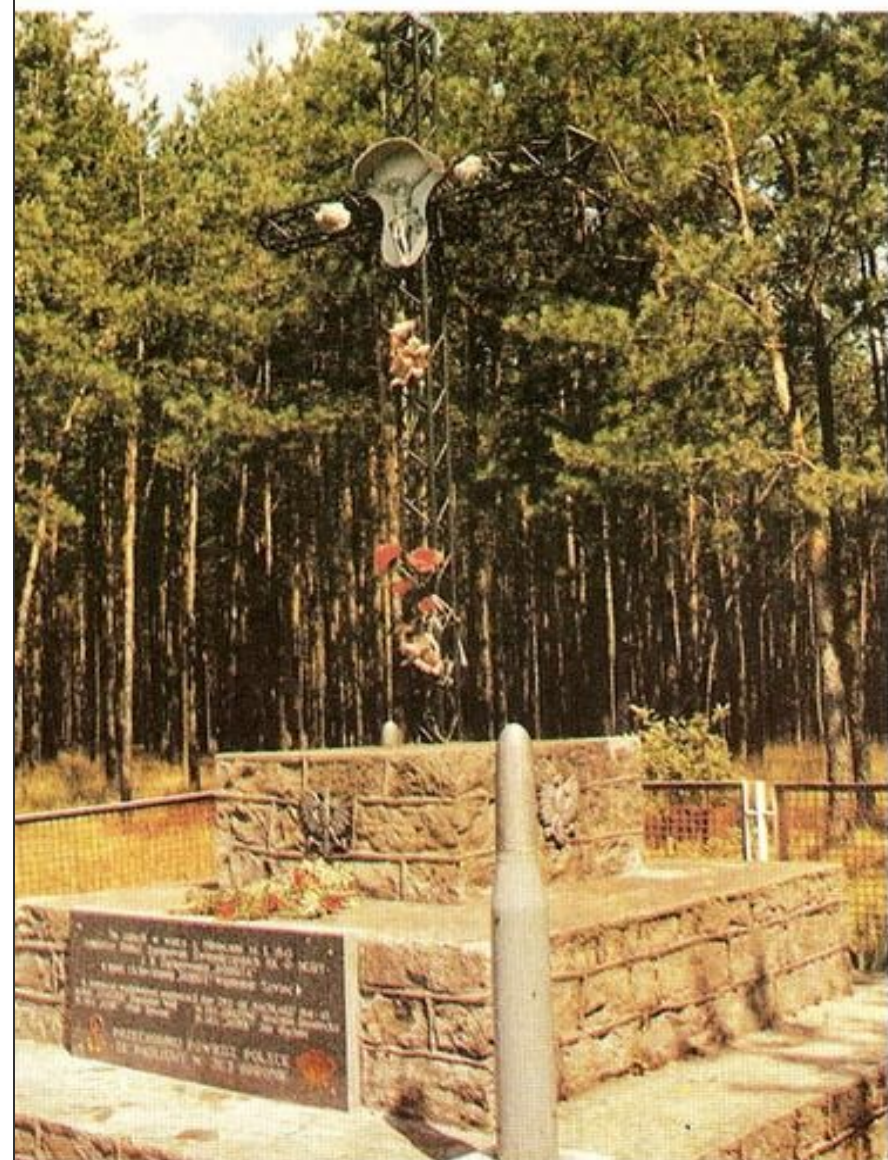
252-253. Proboszcz parafii w Kałkowie koło Starachowic, gdzie przy miejscowym kościele istnieje jedyna w Polsce Kaplica Armii Krajowej, został także obdarowany przez partyzantów „Ponurego” i „Nurta” ornatem. Front (strona lewa) stanowi — na złotym brokacie — wstęga Krzyża Armii Krajowej z wyhaftowanym wizerunkiem Matki Boskiej Bolesnej z Wykusu. Tył — na czarno-czerwonej zapasce świętokrzyskiej — znak Zgrupowań.







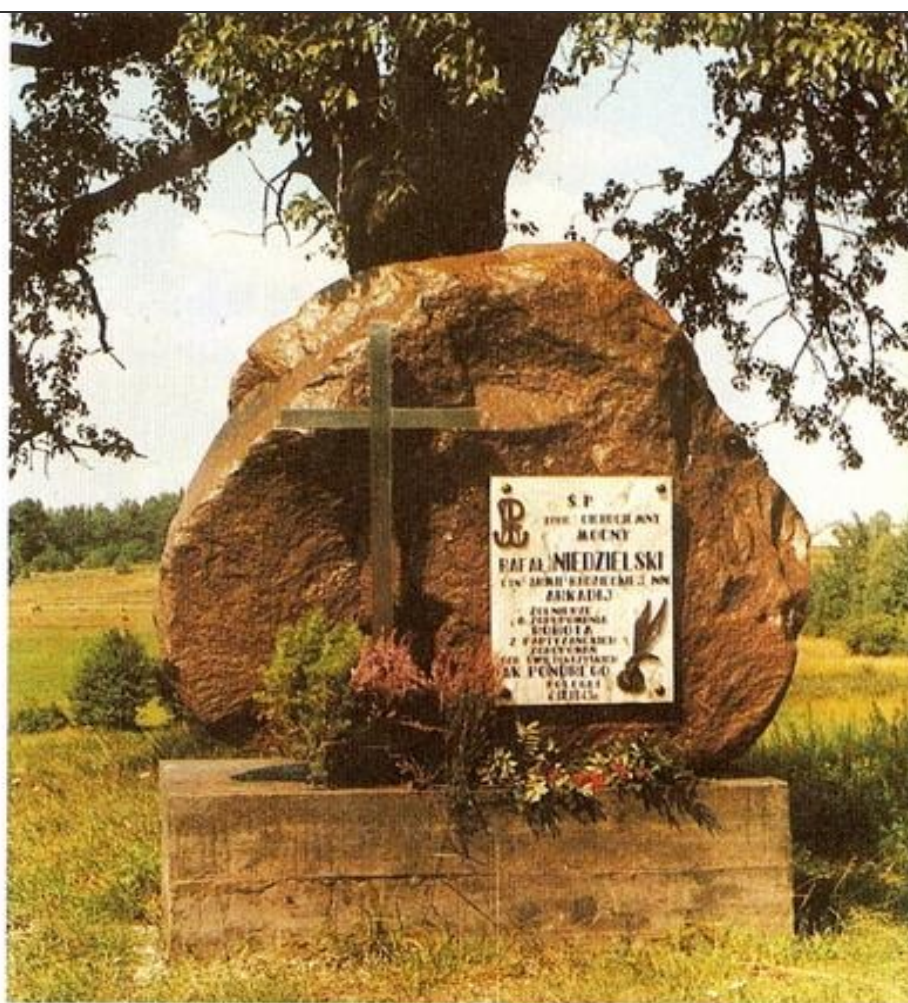
254. Pod Smarkowem koło Końskich, gdzie 13 IX 1943 r. Zgrupowanie „Robota” rozbiło ekspedycję karną zabijając 29 Niemców, poległo 3 żołnierzy AK: „Adaś” — Adam Wolf, „Szczerba” — Bogusław Modzerowski i „Gryf” — Jerzy Ciszek. Dziś leży tam olbrzymi głaz-pomnik z krzyżem i okolicznościową tablicą



255. Pod Wielką Wsią w miejscu śmierci ppor. cc. „Robota” — Waldemara M. Szwieca i jego pocztu stoi pomnik z marmurową tablicą



256. Takim głazem-pomnikiem uczcili koledzy-partyzanci ppor. cc. „Mocnego” — Rafała Niedzielskiego i „Arkadija” — nieznanego żołnierza Armii Czerwonej poległych w Wólce Plebańskiej 4 IX 1943



257. Ludność Chotowa i okolic samorzutnie wzniesionym pomnikiem z kamieni polnych uczciła żołnierzy mjr. „Nurta”, którzy tu polegli 30 X 1944 r. w walce z 7-tysięczną obławą.







258. Na czerwcowe ognisko na Wykus przyjeżdżają miłośnicy prawdy historycznej z całej Polski. Na zdjęciu red. Janusz Skalski — „Lin” rozmawia z p. Walczakową siostrą polskiego olimpijczyka i więźnia Oświęcimia Bronisława Czecha

259. Nowy wizerunek Matki Boskiej Bolesnej z Wykusu



Po tygodniu zastałem w domu wśród sosen odmienionego człowieka. Nie mówił, u kogo był i jaki przebieg miała rozmowa.

– To łajdactwo – powiedział tylko. – To hańba wobec tego żołnierza – odwrócił się do okna, a gdy się uspokoił, żegnając mnie powiedział cicho: – Przepraszam.

Sześć lat następnych – aż do 1981 roku – wypełniła dalsza korespondencja. Wymienię tylko adresatów pism i odwołań wysyłanych uparcie przez Piwników: Tadeusz Bejm, minister administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska (15 marca 1976 r.), Stanisław Kania, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR (21 czerwca 1976 r.), Janusz Wieczorek, szef urzędu Rady Ministrów (7 kwietnia 1978 r. – po raz trzeci, i 20 kwietnia 1978 r. – po raz czwarty), Witold Gadomski, nowo wybrany I sekretarz KW PZPR w Kielcach (20 sierpnia 1980 r.), Stanisław Wroński, przewodniczący ZG ZBoWiD (28 sierpnia 1980 r.), Włodzimierz Pasternak, wojewoda kielecki (29 maja 1981 r.).

Na wszystkie te pisma albo brak było odpowiedzi w ogóle, albo też brzmiały one na przykład:

„brak jest zasadności do wydania zezwolenia na sprowadzenie ze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich zwłok Jej brata Jana Piwnika ps. „Ponury” i pochowanie ich na cmentarzu w woj. kieleckim.

*Jednocześnie zaznacza się, że dalsze ewentualne korespondencje Obywatelki w tej sprawie uznawane będą za bezprzedmiotowe.
Z up. wojewody Dyrektor Wydział dr Ryszard Machocki...”*³⁰⁴

304 Pismo Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach z 2.III.1976 r., I. dz. GT II-650/4/76.

Albo też:

*„...Ministerstwo (...) po szczegółowym zbadaniu sprawy nie znajduje podstaw do uchylenia decyzji Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach...”*³⁰⁵

305 Pismo Min. Adm. Gosp. Ter. I Ochr. Śród., I dz. GK 41/103/78 z 10.IV.1978 r.

Lub też:

*„rozliczne obowiązki służbowe nie pozwalają spełnić życzenia obywatelki dotyczącego osobistej wizyty u Towarzysza Ministra w najbliższym czasie...”*³⁰⁶

306 Pismo Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, I. dz. R/l 829/79 z 9.VIII.1981 r.

Pan Gadomski, I sekretarz KW PZPR w Kielcach, pismo rodziny Piwników przesłał wojewodzie Stańskiemu, pan Wroński powiadomił, że przekazał sprawę nowemu prezesowi ZBoWiD Włodzimierzowi Sokorskiemu, słowem, kontredans papierowy trwał w najlepsze.

Tymczasem zbliżał się koniec 1980 roku i cierpliwość ludzi w Polsce – nie tylko w takich sprawach, jaką mieli Piwnikowie – wyraźnie się wyczerpywała.

W nastrojach narastającego ogólnego wzburzenia szukaliśmy sojuszników, gdzie się dało, choć pole manewru właściwie ciągle się zawężało. Pozostawał jeszcze Sejm.

Nowy (po śmierci Bolesława Piaseckiego) przewodniczący PAX Ryszard Reiff był posłem na Sejm. Ale poza tym przed 40 laty był żołnierzem Nowogródzyny, dowódcą 2 Kompanii w III Batalionie 77 Lidzkiego Pułku Piechoty AK. Rozumiał tamte sprawy.

– Dobrze, poruszę to z trybuny sejmowej w ramach interpelacji poselskiej – obiecał mi po zapoznaniu się z kuriozalną karuzelą wokół zwłok „Ponurego”. – Ale musi pan napisać artykuł na ten temat artykuł interwencyjny. My zamieścimy go w „Słowie Powszechnym”.

Artykuł był gotowy w ciągu jednej nocy.

W ciągu drugiej zapadła decyzja co do jego losu. Zdjęto go z maszyny drukarskiej.

Tak więc okazja do interwencji poselskiej przepadła.

Tymczasem im bliżej zimy 1981 roku tym więcej zmian zachodziło w Polsce. One to (oraz przypadki losowe) spowodowały, że z Kielecczyny odeszło (i to ze szczybla najwyższego) kilku adwersarzy sprawy, która nosiła już potoczną nazwę „sprawy zwłok «Ponurego»”.

Po śmierci bowiem I sekretarza KW Aleksandra Zarajczyka odszedł na inny teren (zresztą na jeszcze wyższe stanowisko) wojewoda Antoni Połowniak, skończyła się także wicewojewodzińska kariera Ryszarda Dziekana.

I naraz coś w tej sprawie drgnęło. Na kolejny wniosek rodziny Piwników nowy wicewojewoda kielecki w dniu 21 października 1981 roku wydał decyzję³⁰⁷, w której zezwolił na sprowadzenie „z terem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich do Polski szczątków zwłok mjr. Jana Piwnika ps. „Ponury” i pochowanie w kwaterze grobów partyzanckich na cmentarzu wyznaniowym w Końskich”.

307 Pismo I. dz. GT II – 8084/3/81.

Minęło akurat dwanaście i pół roku od pierwszego wystąpienia rodziny w tej sprawie. W Janowicach pod Witosławską przełęczą w Jeleniowskim Paśmie Gór Świętokrzyskich, tam, gdzie stoi do dziś dom rodziny Piwników, zapanowała szalona radość. (...)

Nadszedł pełen niepokoju listopad i grudzień 1981 roku. Rodzina „Ponurego” mimo ogólnego napięcia w kraju cieszyła się, że wznowiono tak długo oczekiwaną sprawę; że wreszcie, po dwunastu latach – uzyskano upragnioną zgodę władz kieleckich. Dla nich znaczyło to także odzyskanie wiary, że praworządność być może jest jeszcze możliwa. Ale do szczęścia było jeszcze daleko. Ktoś postanowił bowiem, że trzeba raz jeszcze wystąpić do władz ZSRR, bo tamta decyzja z 1973 roku może być zdezaktualizowana. Poszły więc z MSZ nowe pisma do ambasady w Moskwie.

13 grudnia 1981 r. wprowadzono w Polsce stan wojenny, zamrażając miliony ludzkich spraw, w tym także starania Piwników. Ale oni mieli już za sobą długoletnią szkołę cierpliwości.

Czekali.

Po dwudziestu miesiącach milczenia w tej sprawie 20 czerwca 1983 roku Katarzyna Kulczykowska napisała którąś tam z kolei porcję listów. Do MSZ, do gen. dyw. Włodzimierza Oliwy, ministra administracji i gospodarki przestrzennej, do wojewody kieleckiego Włodzimierza Pasternaka i do BONGO. W listach tych przedstawiła pełną dokumentację piętnastoletnich perypetii...

Jedna z odpowiedzi była szybka i uprzejma. Ministerstwo Administracji i Gospodarki Przestrzennej wyjaśniało, że czynione są starania o sprowadzenie zwłok z ZSRR do Polski i gdy tylko nadejdzie odpowiedni dokument, „zostanie obywatelka natychmiast” itd.

I znów dwa lata ciszy. 10 lipca 1985 roku zniecierpliwione rodzeństwo wróciło na stary, wypróbowany szlak i napisało znów – tym razem

bezpośrednio – do Konsulatu Generalnego PRL w Mińsku. Konsulat niemal odwrotną pocztą potwierdził otrzymanie pisma i zapewnił, że merytorycznie ustosunkuje się do tej sprawy w terminie późniejszym.

W końcu lutego 1985 roku po raz któryś z rządu odwiedziłem rodzinę Piwników. Pani Katarzyna Kulczykowska była już rzetelnie wyczerpana tą sprawą, ale gdy poruszyłem temat ekshumacji spojrzenie jej szarych oczu stwardniało.

– To jest testament rodziców. Póki ostatnie z nas, rodzeństwa, będzie żyło, nie zaprzestaniemy walki o sprowadzenie prochów Janka. – powtarzają z uporem siostry i brat „Ponurego”.

– Wiem, że po 16 latach zmagania z tak bezdusznymi przeciwnikami może człowiek stracić wiarę we wszystkich i we wszystko. Ale oboje wierzymy, że ta sprawa kiedyś zwycięży. Pomarzymy trochę, pani Katarzyno – namawiałem panią Kulczykowską. – Więc jak to będzie, gdy przyjdzie wreszcie ta zgoda? Jak i gdzie Pani sobie wyobraża pogrzeb brata?

– Przede wszystkim żadnych oficjalności, delegacji i przemówień. Żadnego partyzanckiego cmentarza w Kielcach. Pogrzeb będzie rodzinny, z udziałem przyjaciół tej sprawy, a więc z księżmi i z podkomendnymi brata. A miejsce pochówku? Oczywiście Wąchock.

Nie dziwię się rozgoryczeniu rodziny. Ale czasy stały się pomyślniejsze dla spełnienia jej pragnień. Od roku 1985 na wąchockim rynku stoi pomnik majora Jana Piwnika – „Ponurego”, wykuty w piaskowcu przez jego żołnierza „Zulejkę” – Andrzeja Kastena.

W rocznicę śmierci majora rokrocznie zbierają się w prastarej wąchockiej świątyni klasztoru Ojców Cystersów na Mszy św. przybyli z całej Polski żołnierze Armii Krajowej ze Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich.

Opat – Prezes Zakonu Cystersów w Polsce ojciec Benedykt Matajkiewicz, kpt. AK z czasów wojny, a dziś honorowy kapelan Zgrupowań Świętokrzyskich – na moje pytania odpowiada:

– Nie widzę żadnych przeszkód, aby krużganki naszego klasztoru stały się miejscem spoczynku dla urny z prochami tego bohaterskiego żołnierza Rzeczypospolitej. Ma Święty Krzyż szczątki Jeremiego Wiśniowieckiego, Wąchock będzie miał „Ponurego”.

Po raz pierwszy również władze polityczne Ziemi Kieleckiej nie stawiały przeszkód w szybkim zakończeniu tej jakże wstydlivej sprawy. I sekretarz KW PZPR z lat 1985-86, dr Maciej Lubczyński, patrzył na sprawy polityczne swojego regionu zupełnie inaczej niż poprzednicy. Za jego to przecież zgodą wzniesiono w Wąchocku pomnik „Ponurego” z szydlowieckiego piaskowca.

W jesieni ubiegłego (tj. 1985 – red.) roku, w czasie jednej z rozmów telefonicznych dr Lubczyński, gdy zahaczyliśmy o „Ponurego”, zapytał mnie:

– A właściwie, redaktorze, dlaczego ta sprawa ze sprowadzeniem jego zwłok tak się ślimaczy?

– Nie wiem, panie sekretarzu – odparłem szczerze.

I rzeczywiście – nie wiem. I nie wiem także czy dzisiaj jest jeszcze w Polsce ktoś, kto wie.

Dziś sprawa Piwników wróciła dokładnie do tego samego punktu, w którym była przed czterema laty – w 1972 roku. A może właśnie o to chodzi?

25 lutego 1986 roku (...)

Kiedy w końcu 1986 r. dokonywałem tego zestawienia prób przełamania arogancji partyjno-kaczykowskiej, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że od pełnego sukcesu dzieli nas niewiele ponad pół roku. W tym miejscu przerywam jednak cytowanie do końca artykułu o kamienistej drodze rodziny Piwników i naszego niewielkiego grona zaangażowanych w tę sprawę osób. Nie ukazał się on wtedy, czekał rok, dopisałem więc po roku jedną stroniczkę maszynopisu i poszedł do druku w „Przeglądzie Katolickim”.

Proszę mi więc wybaczyć że jeszcze nie w tym miejscu dopiszę tę stroniczkę z „Happy endem”, ale załamałoby to całą dramaturgię wydarzeń. I tak dobiegliśmy ze sprawą nierównych, ale jakże zaciętych zmagania o powrót prochów „Ponurego” do lutego 1986 r., podczas gdy inne pola walki o AK-owską sprawę opuściliśmy w końcu lat siedemdziesiątych.

Do finału, czyli pogrzebu mjr „Ponurego” wrócę jeszcze, na razie jednak cofnijmy się do końca dekady gierkowskiej, do dalszych, upartych usiłowań wznowienia książki „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”. Po I i II edycji w latach 1968 i 69 nastąpiły lata milczenia. Moje monity kierowane do „Iskier” nie tylko nie odnosiły żadnego skutku, ale nawet nie spowodowały żadnej odpowiedzi. Wiązałem to z odejściem z wydawnictwa ludzi sprzyjających książce i zastąpienie ich przez twarde, partyjny beton. Atakowałem więc pismami zwierzchników „Iskier”, a wśród nich i szefa resortu kultury i sztuki oraz dyrektora Naczelnego Zarządu Wydawnictw. Wszystko bez skutku.

Wyjaśnienie tego milczenia znalazłem dopiero w 1990 roku. W kwietniu i maju tego roku na łamach „Polityki” toczyła się polemika wokół perypetii towarzyszących niszczeniu przez ówczesne władze „Miazgi” Jerzego Andrzejewskiego. Zabrał też głos Andrzej Wasilewski (*Miażdżenie „Miazgi”*, „Polityka” nr 18 z 5.V.90), b. kierownik Wydziału Kultury a potem sekretarz KC PZPR z ostatniego gierkowskiego okresu. W końcowym fragmencie swego listu do redakcji, naświetlając nieco szerzej tło

problemu, pisze on tak:

„Dla pełnego obiektywizmu winienem jednak dodać, że w latach 1979-80 zwolniono do druku 27 wstrzymanych książek, w tym utworów W. Wnuka, C. Chlebowskiego, J. Łojka, M. Nowakowskiego, J.S. Sito, J.J. Szczepańskiego, J. Komolki, A. Brauna, S. Vincenza, E. Lipskiej, J. Kornhausera”.

Muszę stwierdzić, że „wstrzymywano” mnie w całkiem godnym towarzystwie. Teraz dopiero stało się dla mnie jasne, dlaczego na przełomie 1979/80 zaproszono mnie do dyrektora NZW dr A Skarżyńskiego i powiadomiono, że na polecenie wiceministra Beka Zarząd Wydawnictw podejmie starania, aby któraś z oficyn przejęła od „Iskier” (bo tego edytora ja wykluczyłem) moje „Góry”. Wymieniłem dyrektorów ośmiu wydawnictw, którzy w rozmowach ze mną wykazywali duże zainteresowanie tym tytułem.

Po dwóch miesiącach zatelefonował do mnie zastępca dr Skarżyńskiego p. Jasłowski i powiedział dosłownie:

– Widocznie pan rozmawiał z tymi dyrektorami poza godzinami służbowymi. Mnie oni wszyscy w godzinach służbowych odmówili przyjęcia tej pańskiej książki.

Nie miałem powodu mu nie wierzyć. Widocznie strach o stołek prezesowski czy dyrektorski był tak wielki, że bali się przyjąć książkę nawet wtedy, gdy już było można a władza im to sugerowała.

I wtedy zdecydowałem się sięgnąć po pomoc do „Czytelnika”, mimo iż wiedziałem, że ówczesny prezes Stanisław Bębenek reprezentuje przeciwną niż ja orientację polityczną. I o dziwo, Bębenek, z pełną świadomością tego, co bierze, zdecydował się przyjąć „Góry”. Był to koniec 1980 roku. Myślę, że wszyscy pamiętają atmosferę tamtych 16 miesięcy „Solidarności”. Ja to ogólnonarodowe pytanie „wejść czy nie wejść?” przetransponowałem na moje prywatne poletko: zdążę przed wejściem z „Górami”, czy nie?

Zaczął się szalony wyścig. Przez 13 lat oczekiwania zebrałem tyle materiału uzupełniającego, że przy zastosowaniu nawet najostrzejszej jego selekcji, musiałem szereg rozdziałów pisać od nowa. O ile bowiem na I i II edycję złożyło się 400 stron maszynopisu, III wydanie liczyło już stron prawie 700.

Pracowałem dniami i nocami, aby z jednej strony zdążyć przed wydarzeniami historii, z drugiej zaś wykorzystać w pełni nadarzająca się okazję i dać czytelnikom możliwie najwartościowszy produkt. Przede wszystkim postanowiłem zrobić z „Gór” to, czym w moim i w „Iskier” założeniu być od samego początku nie miały. Nie miały bowiem być monografią. Zastosowana przez mnie forma reportażu czy też zbeletryzowanego dokumentu, wykluczała raczej monograficzną, naukową formułę.

Pisząc w 1965-68 roku „Góry” widziałem dla nich raczej rolę czegoś, co przetrze drogę dla naukowców, badaczy, którzy wkroczą na oczyszczone przeze mnie pole. Żłudne to były jednak oczekiwania. Mimo iż od czasu do czasu ktoś tam szeptał – nie za głośno – że „Chlebowski podebrał innym temat «Ponurego»”, chętnych do tego współzawodnictwa nie dostrzegałem (i nie dostrzegam do dzisiaj), choć przecież ja monopolu na pisanie o Janie Piwniku nie ogłaszałem. Na dobrą sprawę ludzie pióra Kielecczyny (poza Ryszardem Miernikiem, który raz po raz prozą lub poezją dawał wyraz swej miłości do „Ponurego”) woleli zajmować się tematami dalekimi od Świętokrzyża, bo wejście w główny nurt tych spraw było dla nich ciągle zbyt niebezpieczne.

Nie miałem więc innego wyboru, jak zrobić z „Gór” pseudomonografię, tak jednak, by nie straciła swego pierwotnego kształtu oraz waloru wartkiego czytadła. Wszak miała to być książka dla wszystkich, a przede wszystkim tych, którzy pobierając nauki w peerelowskich szkołach, zmuszeni byli do czytania „Notatnika korespondenta wojennego” Broniewskiej. Stąd, obok większej ilości zdjęć, znalazły się w nowym wydaniu stany osobowe poszczególnych oddziałów, wykazy uzbrojenia, rozbudowane indeksy osób i miejscowości, kalendarium walk, a nawet naukowy wstęp prof. Tadeusza Jędruszcza (promotora mej *Wachlarzowskiej* pracy doktorskiej) traktujący o taktyce walk partyzanckich. Dr Paweł Wieczorkiewicz, nowy redaktor „Czytelnika”, opiekujący się tą książką, wbrew elementarnym zasadom sztuki edytorskiej pracował nad maszynopisem dostarczanym mu sukcesywnie, aby tylko skrócić czas

przygotowań. Autor nowego projektu okładki p. Władysław Brykczyński nie miał żadnych trudności z „... za długim tytułem”.

Dowodem zachodzących zmian w tym solidarnościowym okresie było rozstanie się z przedmowa prof. Hillebrandta i zastąpienie jej moim odautorskim wstępem.

Wreszcie 1 lutego 1981 r. komplet materiałów można było skierować do drukarni. Wtedy po raz pierwszy pokazałem rogi (w „Czytelniku”). Tego bowiem dnia, na moje pytanie skierowane do dyrektora technicznego, w jakim czasie spodziewa się skierować do księgarń gotowy nakład „Gór”, odpowiedział:

– Za rok, za półtora, jak dobrze pójdzie.

– To pan tej książki drukować nie będzie – odpowiedziałem krótko.

– A kto ją panu wydrukuje szybciej?

– Ja – stwierdziłem, i zrobiło mi się słabo, bo przecież mówiłem bzdury. – Ona będzie gotowa za cztery miesiące – brnąłem dalej, choć płatki już mi latały przed oczyma.

– Bardzo się cieszę i życzę powodzenia – szybko umył ręce pan dyrektor.

Zostałem z maszynopisem w dłoniach i z rozpaczą w sercu. Miałem tylko jedno wyjście: stare układy z Zakładami Wkłęsłodrukowymi na Okopowej, gdzie drukowałem od dziesięciu lat „Widnokreśli”. Co prawda była to współpraca twarda, skry leciały często, ale obie strony wzajemnie się szanowały.

Udałem się do Antoniego Kluzka, dyrektora na Okopowej. I choć czas był gorący politycznie, a Okopowa znana z wybredności w przyjmowaniu zamówień, po kwadransie rozmowy wyszedłem lekki i szczęśliwy. Dzięki Kluzkowi książka została wydrukowana nie w cztery, a w dwa miesiące i 28 dni. 28 kwietnia jeszcze ciepły egzemplarz wręczyłem prezesowi Bębenkowi. A zawierał on prawie 40 arkuszy drukarskich i 8 wkładek z ponad 130 zdjęciami po raz pierwszy wydrukowanymi w tej książce na kredzie techniką offsetową, co dawało wspaniałą jakość, ale i niemałe koszty. Pozwoliłem sobie tu na absolutną samodzielność w podjęciu tej decyzji, uważając że choć tyle mi się należy za wydrukowanie książki w takim tempie bez żadnego wysiłku ze strony wydawcy. Te niespełna 3 miesiące były na owe czasy wyczynem niebywałym, ale też pracowały nań cztery warszawskie drukarnie. Moi przyjaciele drukarze nie zawiedli w potrzebie!

A więc „zdążyłem nim weszli”, choć nie całkiem. Z 30-tysięcznego nakładu tylko połowa, oprawiana w drukarni przy ul. Mińskiej, dotarła w maju 1981 r. do czytelników, druga zaś połowa, oprawiana w Wojskowych Zakładach Graficznych, została zablokowana „pilnymi pracami wojskowymi” (jakimi – okazało się 13 grudnia) i miała być wykonana „nieco później”. W rezultacie połowa nakładu znalazła się na rynku równo w rok po pierwszej części.

To były wreszcie takie „Góry”, jakie mi się marzyły. Choć muszę powiedzieć, że w masie gratulujących znaleźli się i wybrzydzące, którzy lepiej wiedzieli, jak powinna wyglądać moja książka. Kilku takich nieomylnych i wszechwiedzących miało do mnie pretensje o to, że do nowego wydania wprowadziłem fragmenty książki Żołobowa.

– Enkawudzistą się podpierać? – kipiało w nich święte oburzenie. Zapomnieli, że ja tą książką walczyłem również o zgodę na sprowadzenie szczątków „Ponurego” w Góry Świętokrzyskie. Przecież Janowi Piwnikowi zarzucano ciągle antykomunizm i antysowietyzm, i nie moje opinie o nim liczyły się u partyjnych bonzów. Żołobow był bardziej wiarygodny, bo on był ich człowiekiem. A on wystawiał „Ponuremu” bardzo dobrą opinię. O wiele lepszą niż płk Stysiak, obligatoryjny (i samozwańczo ustalony przez WIH) recenzent wewnętrzny z Wojskowego Instytutu. Co prawda również i płk Stysiak był za wydaniem „Gór”, ale gdybym uwzględnił wszystkie jego uwagi, byłyby to „Barwy walki”, a nie „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”.

Czerwcowe ognisko na Wykusie w 1981 r. zgromadziło liczne grono naszych przyjaciół z całej Polski. Warta honorowa z szablami przed kapliczką Matki Boskiej Bolesnej wystawiona została przez ułanów

AK-owskich z lubelskiego pułku, apel poległych przy świetle pochodni wyciskał ludzom łzy z oczu i wreszcie sygnał „*Il silentio*” na trąbce myśliwskiej grany gdzieś w głębi lasu, zapadł tak głęboko w serca, że był wspominany jeszcze po kilku latach.

A my organizowaliśmy właśnie ten czerwiec powodowani jakby przecuciem, że będzie to koniec czegoś, co wisiało w powietrzu.

We wrześniu w sprawie „Ponurego” odezwała się jeszcze raz Janina Broniewska. Był to głos zza grobu, bo od roku już nie żyła. Ale przed śmiercią zdążyła jeszcze złożyć do ówczesnego Wyd. MON materiały do nowej edycji „Z notatnika korespondenta wojennego”. Miało to być VI wydanie tej książki (przez pierwszych 20 lat PRL ukazało się ich pięć, ostatnie w 1965 r. nakładem... „Iskier”, w łącznej ilości 150 tys. egz.), a pierwsze po 15-letniej przerwie, spowodowanej moją polemiką z autorką na łamach WTK. A wtedy – jak pamiętamy – obiecała, że rozważy sprawę wprowadzenia do kolejnych wydań książki odpowiednich korekt w miejscach, w których pisała kłamstwa o „Ponurym”.

Oczywiście nie zrobiła tego. We wstępie do nowego wydania uzasadniła to następująco:

„Sprawy i ludzie widziane tamtymi oczami, miłość i nienawiść – to wszystko czym żyliśmy z tych odległych czasach, nie może więc podlegać żadnym kosmetycznym zabiegom, przeróbkom z białego na czarne, z czarnego na białe. Po prostu: tak było i my tacy byliśmy, takie były nasze losy, nasze doświadczenia, takie nasze racje”.

Trudno o bardziej cyniczne wyznanie wiary. Z takim testamentem zakłamania schodziły z politycznej sceny w nicość mamuty komunistyczne.

Zaskoczyło mnie jednak nie tylko to, że Broniewska nawet po śmierci kłamała. Niesmak wywołał fakt, że wydawca, oficyna MON, z pełną świadomością zgodziła się powielić te ewidentne kłamstwa. Gdy telefon od życzliwej dla naszej sprawy osoby z tegoż wydawnictwa poinformował mnie, że „od jutra” sprzedawane będą w salonie wydawniczym „w domu bez kantów” pierwsze egzemplarze nowego, niezmienionego wydania książki, natychmiast zadzwoniłem do redaktora prowadzącego tę pozycję. Miła skądinąd pani potwierdziła to, co podejrzewałem. Wydawca był od początku w pełni świadom, że Broniewska nadal kłamie, ale jako argument podano, że „autorka się uparła”.

Mój Boże! Kiedy 10 lat wcześniej Wyd. MON uparło się, żeby do tekstu mojej książki włączyć – bez mej zgody – żywcem przepisane z radzieckiej encyklopedii fragmenty hasła dotyczącego organizacji „Wachlarz”, a ja się uparłem, aby to usunięto, wydawca miał tak dalece w nosie mój upór, że dopuścił do dwóch rozpraw sądowych, które zresztą przegrał, co go w samych kosztach procesowych kosztowało majątek – i dopiero wtedy uszanował moje stanowisko.

Ale obecnie działo się to w sytuacji, kiedy można było przytrzeć rogów nawet przepotężnemu Wydawnictwu MON. 14 września opublikowałem w „Słowie Powszechnym” mocny artykuł pt. „Kłamstwa ciąg dalszy”, w którym opisując wszystkie zaszłości w tej sprawie, domagałem się wycofania książki ze sprzedaży, a jeżeli to na zasadzie dobrowolnej ugody nie nastąpi, prosiłem „Solidarność” przy księgarniach Domu Książki oraz w Składnicy Księgarskiej o jej zablokowanie. Jednak na polecenie ówczesnego szefa Wyd. MON płka Franciszka Stępniewskiego książkę sprzedawano dalej.

Zawiadomiona przeze mnie rodzina Piwników w pięć dni po artykule, telegraficznie przekazała płk Stępniewskiemu informacje, że kieruje sprawę na drogę sądową. Działanie prawne w imieniu rodziny podjął mec. Andrzej Grabiński, który – także telegraficznie – powiadomił o tym fakcie szefa oficyny MON. Dopiero wtedy w gmachu przy ul. Grzybowskiej zrozumiano, że to nie przelewki. Książkę zaczęto wycofywać ze sprzedaży w otwartym obiegu księgarskim, rodzinę Piwników zaś powiadomiono, że została ona przekazana na przemiał. (A to była kolejna nieprawda, bo jak mi sygnalizują przedstawiciele kolejnych roczników poborowych, do dzisiaj czytają ją młodzi żołnierze, wypożyczając bez przeszkód z bibliotek w zielonych garnizonach).

Gdy się o tym dowiedziałem, przygotowałem kolejny artykuł do „Słowa Powszechnego”. Domagałem się w nim, aby kosztami druku tej skazanej na śmierć w młynach papierniczych książki Broniewskiej –

choćby w 10 % obciążyć pobory płk Stępniewskiego. Artykuł miał się ukazać 14 grudnia. Zamiast niego dobie przedtem zobaczyłem defilujące przed moimi oknami skoty gen. Jaruzelskiego.

Dzień 13 grudnia okazał się końcem nadziei. Na szczęście nie na długo.

AK-owcy, wśród nich ci z Gór Świętokrzyskich, zachowywali się godnie. Wyjątek był jeden i został imiennie napiętnowany.

Nasz tradycyjny zjazd czerwcowy obchodziliśmy w stanie wojennym ze skróconym programem. Milicyjne samochody, którymi obstawiono Wykus, nie dopuściły nas na polanę. Ale wieczorem grupa osób z kwiatami przekradła się i złożyła je pod kapliczką. Za to msza w kościele wąchockim miała szczególnie podniosły charakter.

Wtedy to usłyszałem z ust siwej, siedemdziesięcioletniej pani, która od lat przyjeżdżała w czerwcu w Góry Świętokrzyskie aż z Białegostoku, bardzo znamienne słowa:

– A ja i tak przyjechałam, bo gdy naładuję tu swoje akumulatory, to mi na rok wystarcza.

Stan wojenny sprzyjał ofensywnym akcjom, podejmowanym przez organizacyjnego monopolistę kombatanckiego. ZBoWiD od kilku lat tworzył przy swoich instancjach zespoły środowiskowe Ruchu Oporu. AK-owskie także, choć dziś niewielu zgrywających się na niezłomność chce się przyznać, jak aktywną rolę tam do niedawna odgrywali.

Zbliżał się rok 1983, a z nim dwie ważne dla żołnierzy „Ponurego” i „Nurta” rocznice – 120 rocznica powstania styczniowego (wszak w Wąchocku Langiewicz miał jedną ze swych kwater) i 40 rocznica powstania Świętokrzyskich Zgrupowań „Ponurego”. My obchodziliśmy nasz jubileusz jak zwykle w czerwcu, jeszcze w stanie wojennym, poświęcając na murze wąchockiego klasztoru wspólną tablicę właśnie ku czci Langiewicza i „Ponurego”. Było tłumnie.

Oni, aby rozbić nasze środowisko, wykorzystali datę październikowej obławy. Przygotowaniami kierował niesławnej pamięci płk (utrwalacz) Regielli, najważniejszy zbowiedowiec z Kielc. Z żołnierzy „Ponurego” wspierał utrwalacza tylko jeden, zawsze ten sam „niedoceniony”. Remontowano drogi dojazdowe od Siekierna i Wąchocka, wspaniałe jodły ustrojono czerwonymi i biało-czerwonymi szturmówkami, rozwieszono stosowne transparenty, obok kapliczki zbudowano drewniane podium, ustawiono gigantofony. Kilkanaście autokarów było gotowych do zwożenia tłumów gości. Okazało się, że do przewożenia tych „nieprzebranych” rzesz wystarczyła 1/3 zgromadzonego taboru, i to jednym kursem. Podobnie było w Końskich.

Stan wojenny sparaliżował i wyciszył zupełnie nasze, wspierające rodzinę Piwników, starania o sprowadzenie prochów komendanta z Nowogródzczyzny. Każdy artykuł na ten temat, nawet każdą najmniejszą wzmiankę zdejmowała cenzura ze szpalt gazet. Trzeba było jednak coś wymyślić, aby o tej sprawie mimo wszystko przypomnieć.

W listopadzie, już po odwołaniu stanu wojennego, Instytut Wydawniczy PAX przyznał mi nagrodę im. Wł. Pietrzaka za „Wachlarz”. Była to jedna z bardziej prestiżowych nagród i przyznawano ją dotąd wielu wybitnymi pisarzom polskim. Tu po raz pierwszy zetknąłem się z „kuchnią” procedury nagradzania. Rozmowy ze mną na ten temat rozpoczęto jeszcze w kwietniu 1983 r. Zbiegło się to z propozycją przyznania mi także nagrody ówczesnego premiera PRL – za twórczość dla dzieci i młodzieży, nadawaną corocznie w Międzynarodowym Dniu Dziecka, 1 czerwca. Wobec tego, iż stan wojenny w kraju nadal trwał, zdecydowałem odmówić przyjęcia obu nagród, uważając, że nie jest to odpowiedni czas na wypinanie piersi pod medale i nagrody.

Premier naturalnie się obraził, ale PAX po 22 lipca i odwołaniu stanu wojennego powrócił do tych nieoficjalnych sondaży. Wtedy w porozumieniu z Radą Starszych Środowiska Żołnierzy „Ponurego” zgodziłem się rozważyć propozycję, uzależniając to jednak od spełnienia przez jury następującego warunku: ja przyjmę tę nagrodę, ale związaną z nią gratyfikacją pieniężną (60 tys. zł – wtedy moje

półroczne zarobki dziennikarskie) przekażą środowisku żołnierzy „Ponurego” i „Nurta” na fundusz wspierania starań rodziny Piwników o sprowadzenie prochów. Organizator, czyli PAX, pozwoli mi w czasie uroczystości wygłosić oświadczenie tej treści i dopilnuje, aby cenzura nie zdjęła tej informacji ani w komunikacie PAP, ani w sprawozdaniach prasowych.

I tak też się stało. Dzięki temu sprawa sprowadzenia prochów, po długiej przerwie, znów trafiła na łamy prasy.

W końcu tego samego 1983 roku „Czytelnik” rozpoczął prace redakcyjne nad poprawionym maszynopisem nowego wydania „Gór”. Miejsce dr Pawła Wieczorkiewicza, który przeszedł do pracy uniwersyteckiej, zajęła jako redaktorka książki nie mniej oddana ponurowskiej sprawie p. Bożena Rusinek. Ta czwarta z kolei edycja (także w wysokości 30 tys. egzemplarzy, dzięki czemu „Góry” w siedemnastym roku swego istnienia osiągnęły łączny nakład 100 tys.) miała być także rozbudowana o wszystkie otrzymane rzetelne uzupełnienia. Oczywiście te nie wykraczające poza założoną kompozycję książki. Nadal miała być o „Ponurym”, choć wielu moich respondentów chciało, aby więcej było także o nich.

Postanowiłem jednak rozszerzyć posłowie i zmieścić w nim to, co było z książką i jej tematyką integralnie związane, co upowszechnione dzięki niej – mogło trafić do organizatorów takich samych nielegalnych zjazdów, jak nasz na Wykusie. Zaprzyjaźniony ze mną korespondencyjnie od lat wspinały poeta „Bobo”, ongiś żołnierz z oddziału „Jędrusi”, a dziś światowej sławy profesor-ichtiolog Zbigniew Kabata, mieszkający na wyspie Nanaimo w zachodniej Kanadzie, przysłał mi kiedyś kopię swego wiersza pt. „Armio Krajowa”. Wiersz mną wstrząsnął. On musiał iść w ludzi. Dlaczego? Osądźcie sami.

*Rdzą nam dola na lufach osiadła,
w krzywe patrzeć kazała zwierciadła,
wiodła szlakiem dobrym i złym.*

*Napełniliśmy groby koślawe,
a piosence oddaliśmy sławę,
Po polach rozwłóczył ją dym.*

*Niepotrzebnym i nieuznawanym,
tym najbliższym i tym zapomnianym
mój ubogi ofiaruję rym.*

*Byłaś dla nas radością i dumą,
jak stal prężna, jak żywioł surowa,
ustom – pieśnią, sercu – krwawą łuną,
Armio Krajowa.*

*Zimny ogień, granat pod podłogę,
łańcuch co dzień spajany od nowa,
zbrojne kroki nocą leśną drogą,
Armio Krajowa.*

*W bohaterów prowadziłaś ślady
naród zwarty jak grupa szturmowa,
aż spłynęłaś krwią na barykady,
Armio Krajowa.*

*Nie rabaty, nie barwy mundurów,
nie orderu wstęga purpurowa,
ale skowyt i krew spod pazurów,
Armio Krajowa.*

*Choć nagrodą było Ci wygnanie
kula w plecy, cela betonowa.
Co się stało nigdy nie odstanie
Armio Krajowa.*

*Nas nie stanie, lecz Ty nie zaginiesz.
Pieśń Cię weźmie, legenda przechowa.
Wichrem chwały w historię popłyniesz,
Armio Krajowa.*

Drugi wiersz przyszedł z innego końca świata, z Melbourne. Przysłał go inny przyjaciel. Ten był od „Ponurego”, nosił pseudonim „pchor. Andrzej” (tak, ten pchor. to był i stopień, i część pseudonimu, przynajmniej w moim pojęciu, bo nikt inaczej o Andrzeju Gawrońskim w lesie nie mówił). Czytelnicy książki znają go już jako autora słów ponurowskiego hymnu „Choć z dala swą mamy rodzinę i bliskich” z refrenem „Więc szumcie nam jodły piosenkę”. Otóż Andrzej Gawroński po lekturze pierwszego wydania „Gór”, po wieściach z kraju o naszych spotkaniach na Wykusie, napisał wiersz tak samo gorzki, jak strofy „Boba”, i dał mu tytuł „Weteranom z Oddziału «Ponurego»”. Czy mogłem go nie upowszechnić? Oto on:

*Dziś nie dla nich schylone sztandary,
Nie dla nich „prezentuj broń”!
Nie dla nich Virtuti Militari,
– Tylko szron, co bieli im skroń.*

*Tylko pamięć tych nocy, tych dni,
Kiedy w brudnych koszulach, strudzeni,
Zmordowani, krok za krokiem szli,
Na swych barkach taszcząc erkaemy.*

*Oni przecież walczyli nie o to,
By brać udział w zasług targowisku:
Ich był las i kamienie, i błoto,
Ich był dym i wszy, i ognisko.*

*Ich to była nadzieja, nadzieja,
Co czekała w zimowych zawiejach.
Ich to była tęsknota, tęsknota
Co ich gryzła w rozmokłych namiotach...*

*A gdy strzały umilkły nareszcie,
Nikt im laurów nie kładł na głowy,
Nikt kwiatami nie witał ich w mieście,
Nie przygrywał im hymn narodowy...*

*Kajać im się kazali po sądach
I za własną tłumaczyć się krew,
Jak psy kryć się musieli po kątach
W piersiach tłumiąc rozterkę i gniew,*

*Czy się kiedyś zagoi ta blizna,
Co goreje jak krwawe łuczywo?
Czy się wreszcie zdobędzie Ojczyzna,
By uznaniem odpłacić za miłość?*

*I czy kiedyś ten moment nadejdzie,
Gdy się przez megafony, ekrany*

*I przez szpalty dzienników dowiecie,
Że nie został wasz trud zapomniany?
Wasza wiara, co kłamać nie umie,
Wasza moc, która dała wam czyny,
I wspomnienie, co pachnie w albumie
Zasuszona gałązka jedliny...*

W 1985 roku o te dwa ważne wiersze, w trójkącie: autor – wydawca – cenzura, rozgorzała walka tak ostra, iż niewiele brakowało, a czwarte wydanie książki nie doszłoby w ogóle do skutku. Urząd przy ul. Mysiej bowiem zakwestionował po jednej zwrotce w każdym wierszu (u „Boba” „Choć nagrodą było ci wygnanie...”, zaś u „pchor. Andrzeja” „Kajać im się kazali po sądach...”). Ja mogłem zrobić tylko jedno – domagać się w miejscu usuniętych zwrotek wstawienia nie powszechnie stosowanych wielokropków, a tzw. dekretu, czyli pełnego podania podstawy ingerencji, czego cenzura bardzo unikała. Ale i tu posłużono się starą metodą. Cenzura oficjalnie nie miała żadnych zastrzeżeń co do dania dekretu, uzależniała to jednak od zgody wydawcy. A wydawca (w osobie wiceprezesa „Czytelnika”) oczywiście się nie zgodził. Powiedziano mi wprost:

– Jeżeli my się zgodzimy, to cenzura teraz da dekret, ale przy następnych książkach tak się na nas odegra, że nie pozberamy się z rozumem. Niech pan się zgodzi na wielokropki, albo w ogóle omińmy te zakwestionowane zwrotki i wydrukujmy bez zaznaczenia ich braku w jakikolwiek sposób.

– Rozumiem. Pan będzie miał spokój – powiedziałem memu rozmówcy – a obaj moi przyjaciele uznają mnie za hochsztaplera, który razem z cenzurą kastruje ich wiersze i nawet nie potrafi wywalczyć elementarnej satysfakcji prawnej. Nigdy.

A że obaj staliśmy bardzo twardo na swoich stanowiskach, zanosilo się, że książka do drukami nie pójdzie. Uratował sprawę prezes Bębenek, który wcześniej wrócił z urlopu i aczkolwiek niechętnie, dał zgodę na zamieszczenie „paragrafu”.

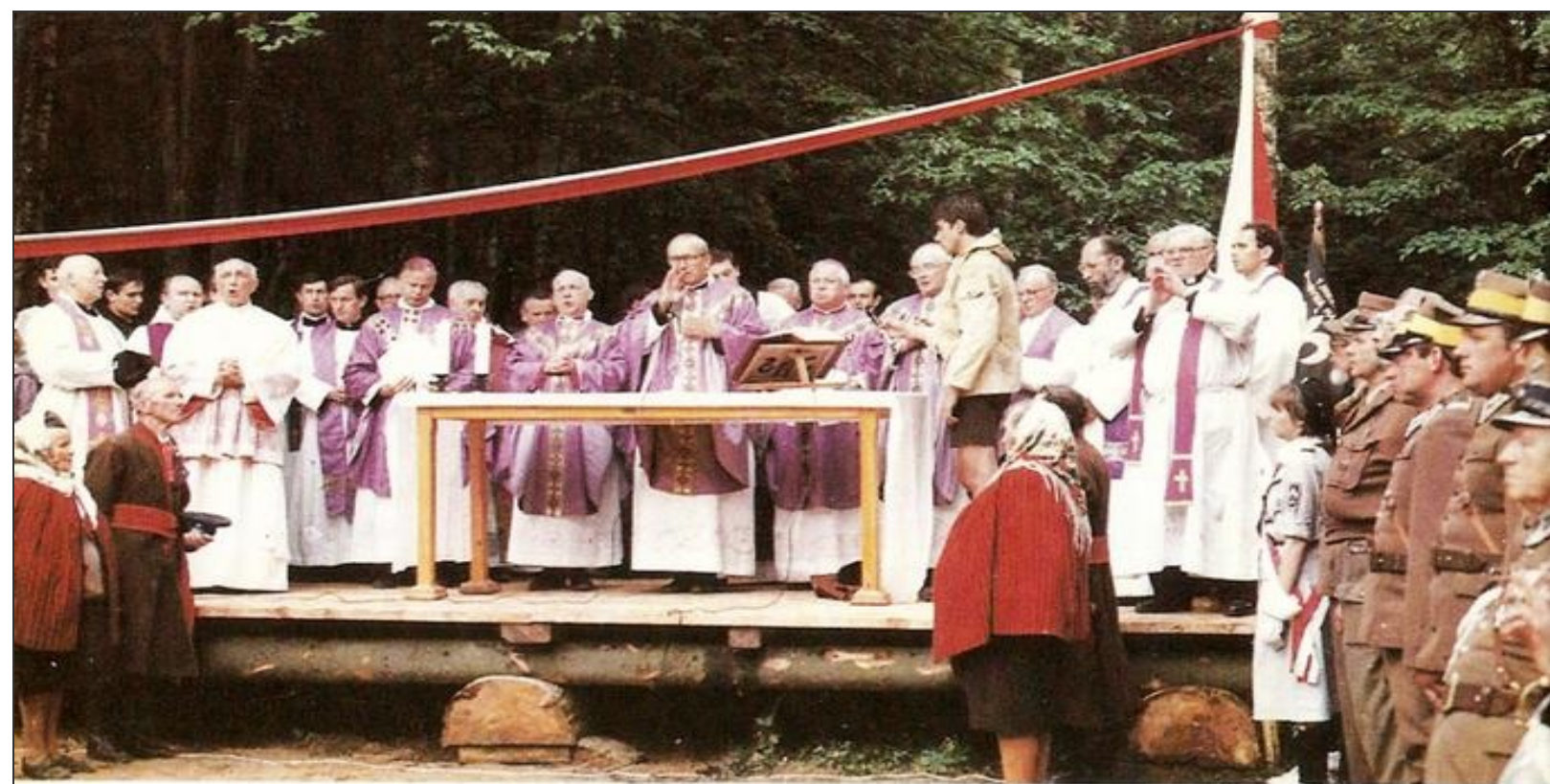


260. Sosnowa żołnierska trumna zawierająca urnę z prochami mjr. „Ponurego”, przywiezionymi z cmentarza w Wawiórcie, do piątku 10 czerwca 1988 roku oczekiwała w refektarzu klasztoru OO Cystersów w Wąchocku chwili pogrzebu w rodzinnych stronach

261. W Janowicach, w domu Piwników, zmianami wart kombatanckich i całonocnym AK-owskim czuwaniem rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe







262. Na polanie Wyskusowej, w miejscu, gdzie 45 lat wcześniej stał namiot komendanta, na wprowadzaną trumnę oczekiwali biskupi Ziemi Kieleckiej, Radomskiej, Sandomierskiej

263. Przed kapliczką Matki Boskiej Bolesnej, przy trumnie ustawionej na wysokim katafalku, zaciągnięto harcerskie warty

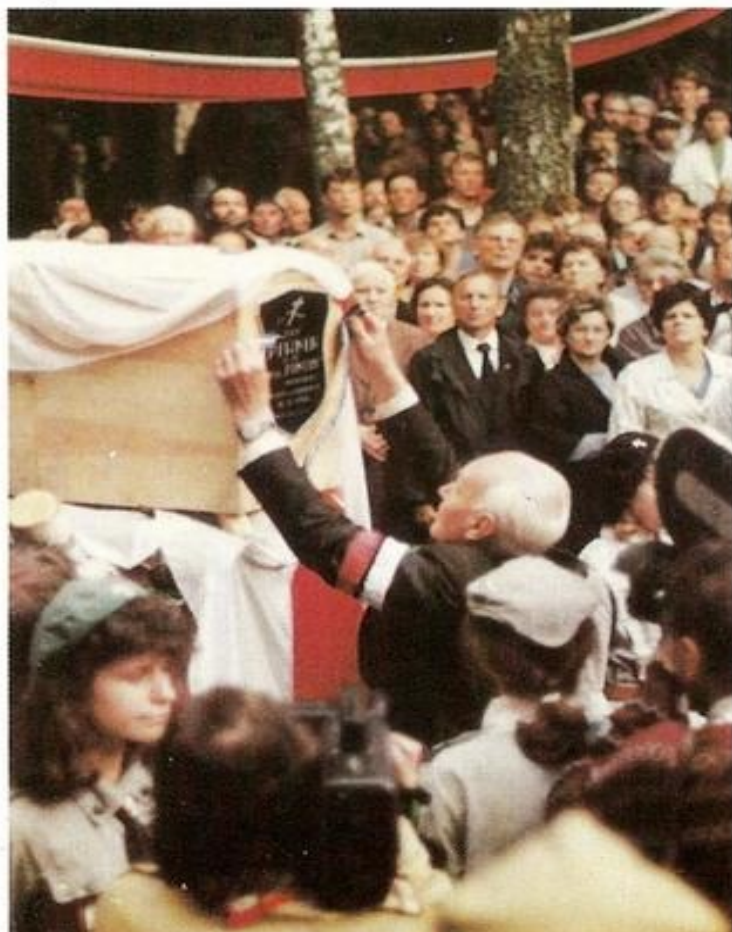






264. Kpt. Marian Świdorski „Dzik”, senior środowiska świętokrzyskiego, złożył komendantowi uroczysty raport

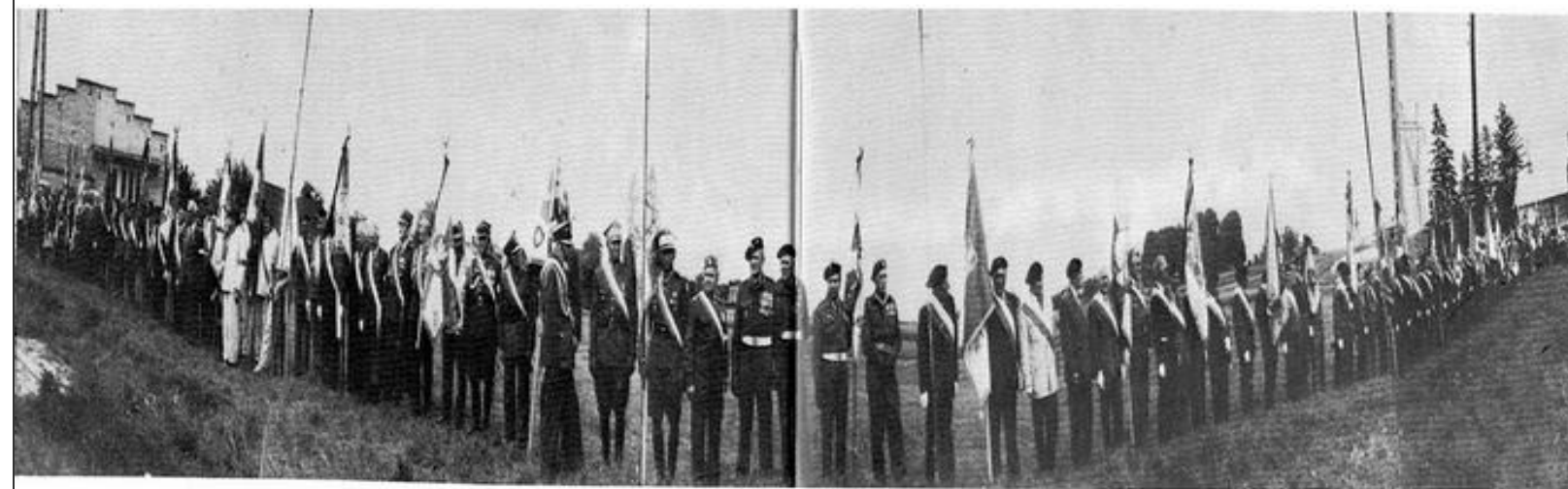
265. B. zastępca dowódcy Korpusu Kieleckiego i szef sztabu Okręgu „Jodła”, ppłk dypl. Wojciech Borzobohaty „Wojan” dekoruje trumnę Krzyżem Złotym Orderu Wojennego Virtuti Militari, nadanym przez Prezydenta RP na Uchodźstwie w Londynie



266. Z upoważnienia Rady Starszych środowiska świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich „Ponury”, komendanta pożegnał dr Cezary Chlebowski







267. W czerwcowy poranek 12 czerwca, na łące koło kościółka w Ratajach, do pierwszej po wojnie odprawy AK-wskich sztandarów stanęły 73 poczty

Następnie przed trumną komendanta przedefilowały w ostatnim holdzie:

268. ...AK-owskie sztandary..

269. ...Żołnierze okręgowych siatek..

270. ...Harcerska młodzież..

271. ...Przybysze z całej Polski..







272. Na wąchockim rynku, pod swoim pomnikiem, „Ponury” odbierał ostatnią defiladę

273. Harcersko-ulański patrol z Krakowa stanowił czoło konduktu





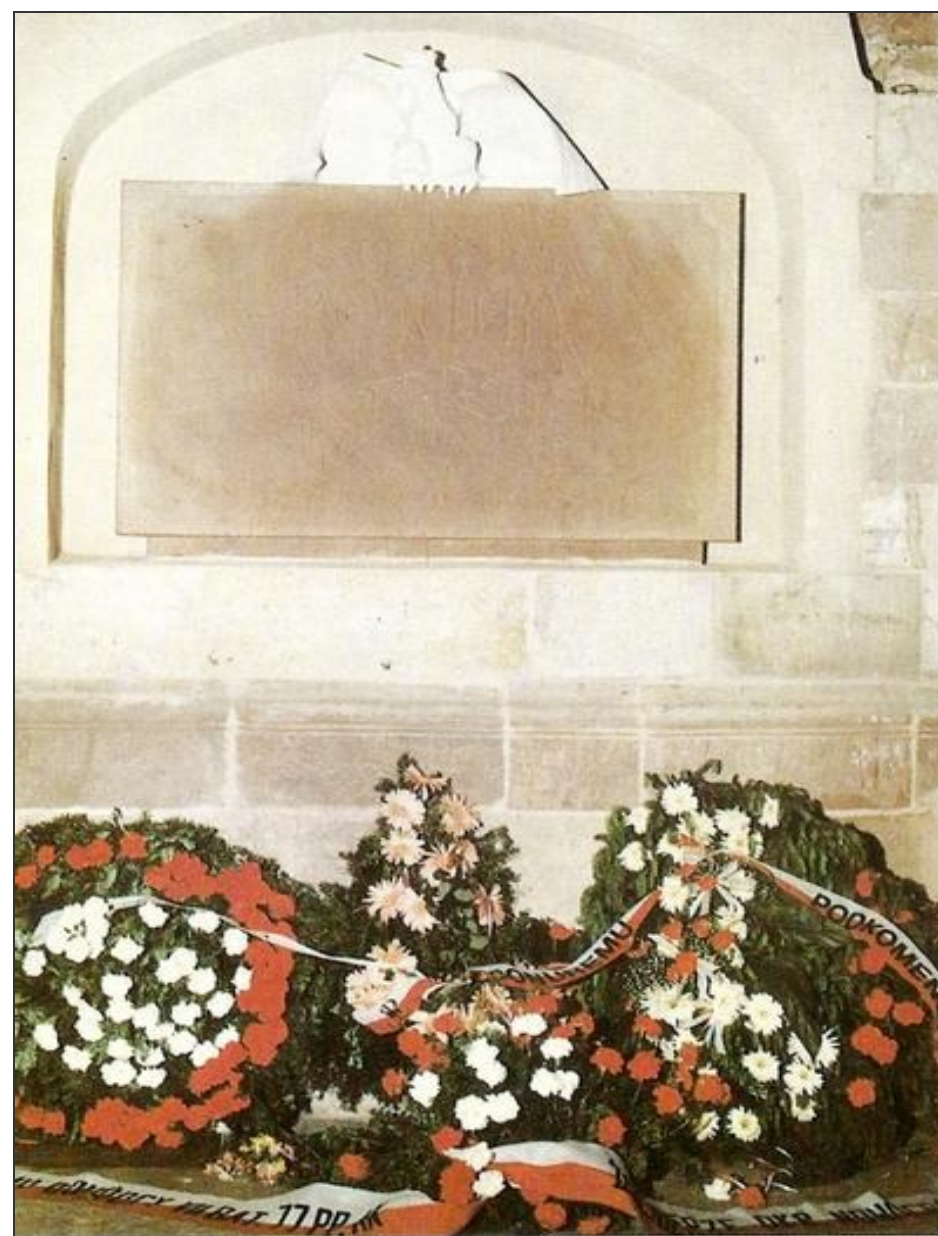


274. Żołnierze AK-owskiej konspiracji obwodów całego regionu świętokrzyskiego oraz harcerze przybyłych tu drużyn spędzili noc z 11 na 12 czerwca na całonocnym czuwaniu przy trumnie komendanta „Ponurego” w kościółku w Ratajach

275. Msza polowa w Wąchocku była ostatnim etapem ziemskiej drogi szczątków mjr. Jana Piwnika







276. Tu spoczął. Krużganek wąchockiego klasztoru niech Mu będzie spokojnym miejscem, po tylu latach niepokojów za życia i po śmierci

277. 800-letni klasztor OO Cystersów w Wąchocku w dniach uroczystości pogrzebowych





Z trzecim wierszem zawartym w posłowiu, kłopotów cenzuralnych nie było. Jeszcze od stanu wojennego, od czerwca 1982 r. mieliśmy w pamięci uroczystą mszę w prastarej świątyni wąchockiej i wspaniałe, bojowe kazanie ojca Eustachego Rakoczego. Ale najbardziej zapadła nam w serce ułożona przez łączniczkę AK „Emilię” Henrykę Żelazko „Litania Świętokrzyską” poświęcona „Ponuremu”.

*Najświętsza Pani w czerwonej zapasce
Idąca pośród pól kwietnych wonnymi miedzami,
Módl się za nami.*

*Matko prawdziwa, która co dnia idziesz
Poprzez puszcę jodłową powstańców śladami,
Módl się za nami.*

*Matko Chrystusowa zadumana w obozie Langiewicza
Nad tragicznymi Polski losami,
Módl się za nami.*

*Hubalowa patronko prowadząca ułanów
Po wolną Polskę leśnymi duktami,
Módl się za nami.*

*Pani Ostrobramska trwająca z majorem „Tumrym” na mińskiej reducie,
Z samotnymi jak Chrystus jego żołnierzami,
Módl się za nami.*

*Gwiazdo zaranna świecąca nadzieją
Nad chatą „Ponurego” i Janowicami,
Módl się za nami.*

*Królowo męczenników polskich,
Skropionych oczu Twych łzami,
Módl się za nami.*

*Matko łaski Bożej z obozu „Ponurego”
Wsluchana w pieśń jodłową płynącą borami,
Módl się za nami.*

*Matko najśliczniejsza pochylona z żalością
Nad „Zjawy” zwłokami.
Módl się za nami.*

*Panno łaskawa dla Twych wiernych synów
Z ziemi krwią przesiąkniętej i gorzkimi łzami,
Módl się za nami.*

*Matko Bolesna zamykająca oczy „Ponuremu”
W śmiertelnej męce pod Jewłaszami,
Módl się za nami.*

*Pocieszycielko strapionych, przenieś proch „Ponurego”
Tylko sobie znanymi, Boskimi drogami, nasza Nadziejo,
Módl się za nami.*

*Wiesz, Maryjo, jak były sercu jego bliskie
Najpiękniejsze ze wszystkich Góry Świętokrzyskie.
Dziś tu Ciebie prosimy serc naszych głosami
Matko Gór Świętokrzyskich,
Módl się za nami.*

Jeszcze tylko Barbara Pszczółkowska-Kasten dała książce dość surową, ale bardzo wstrzeloną w nastrój czarno-białą okładkę, i ta już bez dalszych przygód poszła do drukarni. W 3 dni po wydrukowaniu książki już jej nie było w księgarniach.

Po wydrukowaniu książki – okazało się że pomysł upowszechniania tych wierszy przy pomocy „Gór” był strzałem w dziesiątkę. Otrzymałem setki listów od czytelników z prośbą o tekst zakwestionowanych przez cenzurę zwrotek – i nie minął rok, a oba wiersze były nie tylko recytowane na wielu akowskich spotkaniach oraz ogniskach, ale nawet dokomponowano do nich podkłady muzyczne, poprzerałano na piosenki, słowem – wykorzystywano je na wszelkie możliwe sposoby.

To czwarte wydanie książki zbiegło się w czasie z załamaniem się nadziei rodziny Piwników na zgodę władz w sprawie sprowadzenia prochów „Ponurego” z Nowogródzczyzny w Góry Świętokrzyskie. Minęło półtora roku od ponownego zablokowania tej sprawy, i to tak gruntownie, że nawet wzbraniano się przed przyjmowaniem odwołań i skarg od rodziny w tej sprawie. Mój artykuł opisujący drogę przez mękę rodziny Piwników nie ujrzał światła dziennego i od półtora roku tkwił w cenzurze.

Ale oto rok 1987 przyniósł zupełnie niespodziewaną zmianę. Mogłem wreszcie dopisać ostatnią, zakończoną happy endem kartkę blokowanego dotąd artykułu, który naraz uzyskał cenzorską pieczęć. Oto zakończenie tej sprawy:

(...) Gdy przed ponad półtora rokiem skończyłem pisanie niniejszego szkicu, nie ujrzał on światła dziennego ani w lutym 1986 na łamach „Przeglądu Tygodniowego”, ani w kwietniu – na kolumnach „Polityki”. Negatywne decyzje zapadły bowiem zanim jeszcze materiał skierowano do cenzury. Gdy zaś z niemal identycznym tekstem próbowała swoich możliwości redakcja „Tygodnika Powszechnego” w jednym z czerwcowych numerów z 1986 roku, ukazało się tylko moje nazwisko i dekret cenzorski.

Ale oto w sprawę „Ponurego” włączyły się nowe siły.

Z okazji okrągłej rocznicy urodzin gen. bryg. Jana Mazurkiewicza – „Radosława”, ostatniego dowódcy Kedywu KG AK, a więc konspiracyjnego zwierzchnika mjr. Jana Piwnika, nastąpiło spotkanie Jubilata z gen. Wojciechem Jaruzelskim. „Radosław” dziękując za życzenia urodzinowe – poprosił o poparcie dla sprawy „Ponurego”.

Przychyłość okazana tej prośbie zakończyła wreszcie trwający kilkanaście lat maraton.

12 stycznia 1987 roku gen. broni Józef Kamiński, prezes ZG ZBoWiD, realizując stanowisko zajęte w tej sprawie przez Przewodniczącego Rady Państwa podpisał pismo skierowane do Konsula Generalnego PRL w Mińsku z prośbą o pomoc dla rodziny mjr. „Ponurego”.

W połowie września tego roku, po osiemnastu latach starań, ekipa ekshumacyjna Biura Opieki nad Grobami Obcokrajowców, wykonując zlecenie rodziny Piwników, przewiozła szczątki mjr. „Ponurego” znad Niemna w region świętokrzyski i – czasowo złożyła je w podziemiach klasztoru wąchockiego.

W dniu 19 września wszystkie środki masowego przekazu w kraju, a więc prasa centralna i terenowa oraz radio i telewizja ogłosiły komunikat Polskiej Agencji Prasowej, którego pierwsze zdanie brzmiało:

„W wyniku starań rodziny i ZBoWiD 18 bm. sprowadzone zostały do kraju prochy mjr. „Ponurego” – Jana Piwnika”.

Bez komentarza.

1 października 1987 roku

W ten sposób 18-letnia walka grupki upartych ludzi z totalitarnym systemem, arogancją i pogardą dla praw człowieka, zakończyła się wreszcie sukcesem. Droga dla szczątków „Ponurego” w Góry Świętokrzyskie stała otworem. I tu jeszcze próbował swój kapitał zbić na tej sprawie ZBoWiD, ale były to już agonalne drgawki.

Nie tu jest miejsce na sprawozdanie z uroczystości pogrzebowych, choć było to bezsprzecznie największe dotąd AK-owskie święto i najcenniejszy sukces w ponurowskiej sprawie. Uroczystości te doczekały się wielu sprawozdań tak prasowych, jak i radiowych, kilkunastu nagrań video, tak amatorskich jak i profesjonalnych, telewizyjnego reportażu filmowego, dwóch specjalnych wydawnictw albumowych (jednego kościelnego i jednego partyjnego!), słowem każdy, kto chce sobie przypomnieć te wzruszające chwile, wie, gdzie szukać odpowiednich materiałów.

Książka moja w niemałym stopniu przyczyniła się do tego sukcesu. Dlatego też chcę tu niejako symbolicznie zaznaczyć jej związek z tym wielkim świętem jedynie dwoma elementami: kolorową wkładką zdjęciową (XVI) oraz tekstem mojego przemówienia, wygłoszonego przy trumnie komendanta 11.VI.88 na Wykusie, do czego upoważnili mnie wtedy jego podkomendni. Tekst ten pozwalam sobie przypomnieć dlatego, że właściwie nigdy nie ukazał się on w druku (z wyjątkiem podziemnego tygodnika

„Wiadomości” i albumu pt. „Ostatnia droga komendanta «Ponurego»”), choć znanych mi jest sześć prób legalnego wydrukowania zakończonych całkowitą konfiskatą. Tak było aż do czerwca 1989, później sprawy musiały ustąpić miejsca innym, aktualniejszym.

Przed rokiem, w czerwcu, na naszym dorocznym spotkaniu żołnierzy majora „Ponurego”, podczas gawędy przy ognisku, miałem w rękę medal z brązu. Na jego awersie widniał napis: „Poległ nad Niemnem 16 czerwca 1944”, „Powrócił w Góry Świętokrzyskie 21 czerwca 1987”. Ta druga część informacji – nie z naszej winy – nie odpowiadała prawdzie. „Ponurego” wśród nas jeszcze wtedy nie było. Byłem tym faktem tak samo zawiedziony, jak i tysiące naszych przyjaciół, którzy to ognisko otaczali. Mówiłem wtedy: „I tym razem zdrzwiono z naszego oczekiwania. Ale my w czekaniu jesteśmy zaprawieni przez długich osiemnaście lat. I choćby nam przyszło czekać jeszcze lat pięć, dziesięć, trzydzieści i choćby nawet nam się nie udało tego doczekać, to nasze dzieci szczątków komendanta „Ponurego” na Wykusie się doczekają”.

I stało się. Komendant jest dziś wśród nas. Oczekiwanie nasze tym razem nie trwało ani dziesięć, ani pięć lat, ani miarę jednego pokolenia. 17 września 1987 roku o północy, w czasie padającego deszczu, pod bramę klasztoru Ojców Cystersów w Wąchocku podjechał prosto z Mińska Litewskiego zakurzony karawan, z którego wyniesiono niewielką, drewnianą urnę. W ten sposób zamknięty został pewien ważny etap. walki o praworządność i sprawiedliwość w obecnej Polsce.

Gdyby dziś przyszło nam wymyślić najtrafniejsze epitafium na tablicę nagrobną mjr. Jana Piwnika, chyba to byłoby najlepsze: „Godnie żył i dzielnie za ojczyznę walczył lat 31, miesiący 9 i dni 15. W nagrodę za to, pamięć jego szargano – aż poza grób – przez lat 43, miesiący 3 i 2 dni”.

„Ponury” zginął szczęśliwie – od niemieckiej kuli, na trzy tygodnie przed wejściem nad Niemen Armii Czerwonej. Dzięki temu przedwczesnemu zgonowi darowana Mu została śmierć równie bohaterska – choć dziś ciągle jeszcze pozbawiona oficjalnego akceptu – śmierć jaką poniósł – również cichociemny – podpułkownik „Kotwicz” Maciej Kalenkiewicz. A gdyby i to go ominęło, na pewno za czasów Bieruta stanąłby przed jakimś kapturowym trybunałem jako rzekomy imperialistyczny szpieg, agent gestapo, czy też Bóg jeden wie, pod jakim jeszcze bzdurnym zarzutem.

Jeżeli zatem życie miał godne, walkę bohaterską i śmierć szczęśliwą, zadajemy sobie zapewne pytanie, czemu po wojnie tak zjadle niszczonego jego legendę. Wszak jeszcze do niedawna za szarganie jego żołnierskiego imienia przyznawano literackie nagrody, za fałszowanie obrazu walki jego Zgrupowań nadawano stopnie naukowe, za prześladowanie jego żołnierzy, którym przez wiele lat odmawiano kart kombatanckich, awansowano – posłusznych urzędników bez sumienia – na wyższe szczeble kariery zawodowej. Odpowiedź jest prosta: On był za wielki, aby go zostawić w spokoju nawet po śmierci. Jego legenda psuła reguły politycznej gry, jaką narzucono w naszym kraju po wojnie.

Zresztą czy On jeden? Jakże wielu z tu obecnych na tej polanie, którzy mają siwiznę na skroniach i AK-owską opaskę na ramieniu, może – patrząc na tę prostą żołnierską trumnę – powiedzieć: „oto wierna ilustracja mego życia, mej walki i mego powojennego losu”.

Bo przecież poniewieranie AK-owskiego dorobku ani nie zaczęło się, ani nie skończyło wtedy, gdy wieszano, a potem wstydliwie zdejmowano z murów sławne (tą paskudną sławą) plakaty z napisem „AK – zapluty karzeł reakcji”. Z gnębienia żołnierzy Podziemnego Państwa Polskiego etapy dla swych politycznych pozycji uczyniła sobie wielotysięczna kadra partyjnych i politycznych aparatczyków.

Pamiętam moją rozmowę z nieżyjącą od wielu lat matką mjr. „Ponurego”, wtedy już 80-letnią Zofią Piwnikową. Mówiła mi: „Przyjeżdżali najpierw czarnymi pobiedzami, potem czarnymi wołgami, nawet czapek nie zdjęli, tylko od progu wołali: Piwnikową, bandytę wychowaliście”. Jakże mi żal, że Zofia Piwnikowa nie doczekała dnia dzisiejszego i dziś nie jest tu z nami. Szczęśliwie bowiem, tamten okres niespodziewanych wizyt czarnych wołg możemy chyba uznać za przeszły. Chociaż osiemnastoletnia walka o sprowadzenie szczątków „Ponurego” tutaj wskazuje, że jeszcze nie wszyscy oni zrezygnowali z trzymania się swej powszechnie już potępionej – nawet przez swoich – linii.

Baczny obserwator naszych żmudnych starań o powrót prochów Komendanta „Ponurego” w region świętokrzyski może znaleźć w nich dobitne potwierdzenie słuszności jakże mądrego porzekadła, że: „sukces ma wielu ojców, tylko niepowodzenia zostają sierotami”. Przecież prawie cały okres naszej walki wypełniały wyłącznie niepowodzenia. Byliśmy sami, to znaczy Rodzina i żołnierze „Ponurego”. A mnogość i potęga przeciwników mogła wprowadzić w absolutne zwątpienie. Chylę w tej chwili głowę przed żołnierzami „Ponurego” za to, że prawie żaden z nich nie dał się zwieść ani omotać tanim chwytom i podstępny metodom naszych przeciwników. Ale choć trwali przy pamięci „Ponurego” twardo i niezłomnie – końcowy wynik wydawał się być – przez długie lata – beznadziejną sprawą. Przez wiele lat walczyliśmy w absolutnym osamotnieniu, a mimo to wygraliśmy. Nie bez istotnego jednak znaczenia dla naszego celu był i protest Narodu – czyli tych burzliwych ale wspaniałych 15 miesiący 1980 i 1981 roku – potem nastroje po stanie wojennym, a wreszcie skutki kryzysu, w którym, gdy uboga władza nie ma w dyspozycji przynęt materialnych, to próbuje sobie zjednywać ludzi przynajmniej gestami spektakularnymi.

A więc gdy wreszcie osiągnęliśmy nasz cel i uzyskaliśmy zgodę na sprowadzenie szczątków „Ponurego” w Góry Świętokrzyskie, skończyła się naraz nasza samotność. Z dnia na dzień zrobiło się wokół nas tłoczno od sojuszników prawdziwych i fałszywych. Do tego pędzącego pociągu ponurowskiej sprawy próbowali wskakiwać w biegu przedstawiciele różnych grup, środowisk i urzędów, często spośród tych, które nam jeszcze wczoraj rzucały kłody pod nogi. I w miarę jak nasz pociąg zbliżał się do dzisiejszej stacji końcowej, łokciami rozpychali się, by na mecie zająć miejsce maszynistów. Niektóre grupy nawet w komunikatach prasowych przypisywały sobie – wbrew faktom – współdziałanie w tym zwycięstwie.

Kiedyś, przed 55 laty, Wielki Marszałek, gdy na którymś z kolejnych zlotów Kadry Legionowej popatrzył na falujący tłum legionistów tych prawdziwych i tych fałszywych, powiedział: „Boże, czego ja bym nie dokonał, gdybym wtedy was miał tylu”.

Dziś i my możemy powtórzyć słowa Marszałka. Chcemy tu stwierdzić, że my nadal cenimy sobie tę naszą samotność z okresu walki, czyli tego czasu, gdy nie opuszczały nas niepowodzenia i pospolitego ruszenia spóźnionych sojuszników w nasze szeregi dziś również wpuścić nie zamierzamy.

Dlatego też, zgodnie z jednomyślnym stanowiskiem Rodziny i nieformalnego Środowiska Żołnierzy Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich „Ponury” Armii Krajowej, zaprosiliśmy – do grona organizatorów obecnych uroczystości pogrzebowych – wyłącznie nielicznych, których szczerą intencją była dla nas sprawą niepodważalną. Konsekwentnie z uporem staraliśmy się uchronić ten dzisiejszy pogrzeb przed zalewem objawów fałszywej żałoby. I sądzę, że nam się to udało.

Jutro szczątki Komendanta „Ponurego” spoczną w wąchockiej świątyni. To będzie finał naszego wieloletniego wysiłku.

Kiedy jednak w 1969 roku wyruszyliśmy w tę długą drogę, stał przed nami i taki problem: czy wolno nam ziemię Mickiewicza, Narbutta, Emilii Plater zubażać o szczątki tego właśnie Żołnierza Rzeczypospolitej. Po wielu dyskusjach doszliśmy do wniosku, że żołnierz powinien spoczywać tam, gdzie istnieje i rozprzestrzenia się jego legenda. A takim regionem legendy „Ponurego” jest niewątpliwie Ziemia Kielecka. Gdyby Jego grób – na naszych kresach wschodnich – był tam jedną z niewielu polskich mogił, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale przecież przez pięć wieków na tysiącach cmentarzy kresowych składaliśmy wyłącznie nasze, polskie kości. I dziesiątki milionów polskich grobów, które tam zostały, są dostatecznym przypieczeniem naszych, historycznych racji.

Jeszcze jedna sprawa wymaga wyjaśnienia. W wielu relacjach, informacjach prasowych czy nawet potocznych rozmowach ludzi dobrej – skądinąd – woli słyszy się czy też czyta określenie, że „szczątki mjr. „Ponurego” zostały sprowadzone z Nowogródczyny do kraju”. Nie nasz to język, nie nasze to określenie. To język polityczny, wywodzący się z tych środowisk, dla których Polska zaczęła się w 1944 roku. Może będzie dla nich zaskoczeniem wiadomość, że Polska istniała także przed 1944 rokiem, a są poważne autorytety naukowe, które utrzymują, że nasza historia ma już lat ponad tysiąc. Otóż w czasie tego tysiąclecia najtrwalsze były ustroje (bośmy je zmieniali zaledwie trzykrotnie), a najbardziej nietrwałe – właśnie granice.

I nasze, i całej Europy, i całego świata. Przez tysiąc lat polskie granice zmieniały swój kształt ponad pięćdziesiąt razy, często z udziałem naszym, nierzadko też na skutek poczynań sąsiadów.

A każdy z nich, gdy jednostronnym działaniem przesuwiał w historii nasze rubieże, ze wschodu na zachód czy z zachodu na wschód twierdził, że to będzie to granica ostateczna. A my, Polska – na przekór nim – ciągle istniejemy!

Mając więc takie doświadczenie w kwestii granic, my, ludzie rozsądni, unikamy języka politycznego, bo bardziej prawdziwy jest język historyczny. I właśnie jego używając mówimy, że „Ponury” wrócił z Nowogródczyny na Kielecczynę, a nie z zagranicy do kraju.

Wielebny Ojciec Opacie – w obecnym, zakonnym wcieleniu, a kapitanie „Orkan”, kapelanie Armii Krajowej z Podhala – z okresu okupacji i nasz obecny honorowy kapelanie!

Jutro, pod Twoją opieką Rodzina i żołnierze „Ponurego” złożą rzecz najcenniejszą – prochy swego Brata i Komendanta.

W wąchockiej świątyni spocznie jeden z najdzielniejszych żołnierzy Podziemnego Państwa Polskiego. Fakt ten nobilituje samo miasteczko Wąchock, do grona punktów szczególnego znaczenia historycznego w naszym kraju, a Opactwo, w którym – Wielebny Ojciec – sprawujesz swój wysoki urząd, uczyni miejscem, gdzie będzie się zaczynał – licznie uczęszczany przez całą polską młodzież – szlak bohaterstwa i miłości Ojczyzny.

Jesteśmy spokojni o to, że Komendant „Ponury” spocznie w godnym miejscu i pod godną strażą.

Niestety nie udało się zdążyć na pogrzeb „Ponurego” z V edycją książki. A wszystko zapowiadało się tak pięknie... Wydawnictwo „Epoka” rozbudowując swoją edytorską działalność, chciało wejść na rynek kilkoma dobrymi tytułami. Zaproponowano mi ukazanie się książki pod koniec 1987 roku i nakład 50 tysięcy egzemplarzy. Powiadomiony o tym przeze mnie „Czytelnik” odpowiedział uczciwie: – Nie mamy możliwości przebicia tej propozycji ani terminem, ani nakładem, więc poddajemy się.

I tak oto „Góry” trafiły do trzeciego edytora.

W praktyce jednak okazało się, że „Epoka” miała lepsze plany, niż możliwości ich realizacji. To, że opóźniono wydanie książki o rok, nie było jeszcze tak smutne, o wiele gorszy był fakt, że to V wydanie, zamiast pół roku przed pogrzebem „Ponurego”, ukazało się pół roku po nim. Wyjątkowo złośliwy zbieg okoliczności spowodował jeszcze i to, że przez rok do czekającej na druk książki nie mogłem, z powodów technicznych, wprowadzić żadnego uzupełnienia. Na szczęście edytor minus ten nadrobił podniesieniem nakładu o 20 tysięcy. To V wydanie charakteryzowało się w stosunku do poprzednich podwójną ilością zdjęć archiwalnych (ponad 260, ale niestety wydrukowanych techniką rotograwiurą obniżającą ich jakość) oraz wycofaniem się cenzury z zastrzeżeń dotyczących wierszy.

Jedynym elementem, zapowiadającym w książce zbliżający się pogrzeb, był wiersz napisany w dalekiej Australii przez „pchor. Andrzeja” Andrzeja Gawrońskiego „Na powrót «Ponurego»”. Jego prawykonanie miało miejsce przy trumnie mjr. Jana Piwnika w dniu 11 czerwca 1988 roku.

*Wróciłeś, Komendancie. Wróciłeś krokami olbrzyma,
Jodły się prężą na baczność, salwami huczy las;
Sława, sława żelazna lśni słońcem na karabinach.
Dziś zatrzymały się gwiazdy. Dzisiaj zatrzymał się czas.
Szarpali pamięć po tobie, w żółci zacieklej bezsile,*

*Szarpali ciebie, gdy żyłeś, szarpali ciebie, gdyś padł,
Szarpali ciebie gdyś leżał tam, w wawiórkowskiej mogile,
A krzyż Virtuti przeświecał przez ziemi mokry szmat.*

*W ten ranek październikowy twój głos bił seriami peemów,
Gdy słońce twarz odwracało na zdradę, przemoc i gwałt;
A potem zabrał cię rozkaz i żołnierz pytał się „czemu?”
Na śmierć poszedłeś. A sława? Na zawsze będziesz ją miał.*

*Milkną szeptu zatrute. Ciemności dni policzone.
I knowania karłów w zaułkach. Szakalom braknie kłów...
„Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie” – ostatnie twe słowa przed zgonem.
Cóż warta cała zawiść wobec tych kilku słów?*

*Czas wziąć co się święcie należy, w siłę obrócić marzenia,
Spuszczoną podnieść przyłbicę, potępić brudną złość,
Czas zatknąć prawdziwe sztandary na szajcach ludzkiego sumienia,
Czas zagrać w otwarte karty i czas powiedzieć „dość!”*

*

*O jodły, jodły pachnące, rozszumcie wiatru kołyskę,
Snujcie bajkę o chłopcu tym, co o szabli śnił.
Oto powraca do was bohater Gór Świętokrzyskich,
Jan Piwnik, syn waszej ziemi, co zginął tak, jak żył.*

*Nikt nie odbierze tej chwili, nikt dumy w sercach nie zdusi,
Choć partyzanckich ramion nie kryje żołnierski płaszcz;
Koledzy, stańcie w szeregu; Komendant jest na Wykusie!
Aby nad polskim lasem raz jeszcze objąć straż.*

I oto teraz, na progu 1993 r., jesteśmy przy kolejnym, VI wydaniu „Gór”. Książka ukazuje się w swoje 25-lecie, w 65 rocznicę urodzin autora, u czwartego kolejnego edytora i w 35 lecie mej pracy literackiej. Ale co najważniejsze, oddaję ją w ręce Czytelnika w 50 rocznicę powstania Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”.

Zrezygnowałem w niej ze wstępu odautorskiego. Poprosiłem w to miejsce o napisanie wprowadzenia Jerzego Ślaskiego, który był przy jej powstawaniu i bardzo w tym dziele dopomógł. Zrezygnowałem ze stanów osobowych poszczególnych zgrupowań i oddziałów oraz z kalendarium walk, bo są to elementy przeznaczone do opracowań monograficznych, a sztuczne w książce o charakterze reportażowym. Z przyjemnością stwierdzam, że ponad 280 zdjęć, w tym prawie 50 kolorowych, wydrukowanych mimo wysokich kosztów techniką offsetową na papierze kredowym nadaje VI edycji „Gór” walor albumowy.

Musiałem nieco przeredagować nowogródzkie zakończenie działań „Ponurego”. Udało mi się bowiem za granicą dotrzeć do ludzi, od których o pewnych sprawach kresowych dowiedziałem się o wiele więcej, aniżeli mogłem się dowiedzieć w kraju. Spowodowało to konieczność usunięcia w cień pewnych ludzi, bo na to, aby nawet w literaturze historycznej nadal byli zbyt blisko mjr. Jana Piwnika, sobie – moim zdaniem – nie zasłużyli.

W sumie jednak czuję się szczęśliwy, że „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”, książka, która funkcjonuje już na rynku od 25 lat, mimo 13-letniej blokady pomogła tylu uczciwym ludziom odzyskać niesłusznie zszarganą godność, że utrwaliła pamięć o nich w ludzkiej świadomości. Taki sobie stawiałem cel przed 1968 r. O możliwości sprowadzenia szczątków komendanta stamtąd tutaj – nawet nie marzyłem. A jednak tak się stało.

Książka ta powstała na podstawie odnalezionych w archiwach zdekompletowanych dokumentów konspiracyjnych, dowodów zachowanych w rękach prywatnych, ale nade wszystko – co już podkreślałem na wstępie posłowania – relacji ludzi, którzy byli uczestnikami walk lub świadkami tamtych wydarzeń. Dlatego też korzystam z okazji, aby w tym miejscu złożyć serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy nie szczędzili mi pomocy w dostarczaniu relacji, materiałów, jak również konsultacji, a więc przede wszystkim:

Nieżyjącym: Zofii i Janowi Piwnikom – rodzicom mjra „Ponurego” ze wsi Janowice, w dawnym powiecie opatowskim, oficerom kontrwywiadu, siatki bezpieczeństwa i tajnego sądownictwa KG AK, a więc „Oskarowi” (mec. Bernardowi Zakrzewskiemu) – szefowi Wydziału Kontrwywiadu i Komórki Bezpieczeństwa KG AK, „Vigilowi” (mec. Stanisławowi Leszczyńskiemu) i kpt. „Józefowi” (Stefanowi Rysiowi).

Żyjącym: rodzeństwu, tj. siostrom i bratu mjra Jana Piwnika, dzięki pomocy których książka ta jako całość obroniła się przed odejściem od prawdy historycznej.

Dużą pomoc uzyskałem przy odtworzeniu części II – „wachlarzowskiej” – od nieżyjących już: ppłka dra „Wani” (Alfreda Paczkowskiego) – dowódcy III Odcinka „Wachlarza” i dowódcy Kedywu obszaru białostockiego, ppor. „Esesmana” (Zygmunta Sulimy), pp. Ireny i Narcyza Obryckich – rodziny Mariana Przysieckiego, Wandy Hackiewiczowej – żony „MSZ-ta” (ppor. Władysława Hackiewicza), „Montera” (Edwarda Pobudkiewicza) – uczestnika rozbicia więzienia pińskiego, mjra „Klona” (Tadeusza Klimowskiego) – dowódcy II Odcinka „Wachlarza”, a następnie p.o. szefa sztabu 27 Wołyńskiej Dywizji AK, cichociemnych: kpt. „Kawy” (Michała Fijałki) i kpt. „Kry” (Wacława Kopisto) – uczestników rozbicia więzienia pińskiego, z których pierwszy dowodził batalionem w 27 Wołyńskiej DP AK, drugi zaś – wywieziony podstępnie sowieckim samolotem do Kijowa – siedział z wyrokiem śmierci 11 lat, mjra „Gzysa” (Franciszka Pukackiego) – dowódcy patrolu dywersji „Wachlarza” w Charkowie, a następnie także dowódcy batalionu w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, por. „Smotrycza”, mgra Stanisława Wierzyńskiego – oficera sztabów „Wachlarza” i Kedywu, cichociemnego, płka „Trzaski” – „Leśnego” (Henryka Krajewskiego) – kierownika Wyszkozenia Kedywu KG AK, a następnie dcy 30 Poleskiej Dywizji AK i płka dra Mieczysława Stefana Juchniewicza – zakładnika z Pińska.

A także żyjących: „Pakunka” (inż. Henryka Fedorowicza), „Rykosa” (Czesława Hołuba) – uczestników rozbicia więzienia pińskiego, Jerzego Czekanowskiego – szwagra „MSZ-ta”, Mikołaja Snopka – brata Jadwigi i Marii Snopkównien, „Jędrasa” (inż. Zygmunta Jędrzejewskiego) – żołnierza III Odcinka „Wachlarza”, dr Hanny Langner-Matuszczykowej – córki „Duglasa” (Antoniego Langnera), dr Weroniki Demeckiej – żony dra Demeckiego, zakładnika rozstrzelanego w Pińsku, „Groma” (Stefana Jaszczanina) – oficera wywiadu AK, mgra Romana Gillowa – żołnierza „Wachlarza” z Pińska.

Przy odtworzeniu części III książki dotyczącej Gór Świętokrzyskich, a także przy jej uzupełnianiu wiadomościami zawartymi w obecnym wydaniu, swej pomocy nie odmówili mi:

Nieżyjący już: ppłk dypl. „Stwosz” (Wacław Świeciński) – szef sztabu Okręgu Radom – Kielce, mjr „Nurt” (Eugeniusz Gedymin Kaszyński) – dowódca Zgrupowania nr 1 w Świętokrzyskich Zgrupowaniach Partyzanckich AK „Ponury” a następnie d-ca 1 bat, 2 pp Leg. AK, wreszcie d-ca 2 pp Leg. AK, kpt. „Mariański” – (Stanisław Pałac) – dowódca zgrupowania nr 3, kpt. „Jurek” (Władysław Czerwonka) dowódca oddziału w zgrupowaniu nr 3, kpt. „Kmicic” (Marian Janikowski) – dowódca zgrupowania nr 2, chor. „Szort” Tomasz Waga dowódca oddziału w zgrupowaniu nr 1, „Młot” (Jan Chłopecki) – zastępca dowódcy oddziału ochrony radiostacji Okręgu „Jacka”, „Broniek” (Bronisław Sianoszek) – żołnierz ochrony produkcji stenów w Suchedniowie, „Janusz” (Janusz Munk) – żołnierz wierny „Ponuremu” i w Kieleckiem, i na dalekiej Nowogródzczyźnie, „Bat” (Czesław Spytkowski), „Jerzy” (Feliks Konderko) – autor unikalnej kolekcji zdjęć, nieodżałowany kpr. „Astma” (Zygmunt Chojnacki) oraz żołnierze „Nurta”:

„Dan” (Arkadiusz Wnętrzak) i „Puer” (Bogdan Ostachowski), „Korebko” (inż. Kazimierz Czarniewski) – twórca i szef produkcji stenów w Suchedniowie.

A także żyjący oficerowie i dowódcy zgrupowań i oddziałów świętokrzyskich: kpt. „Szary” (Antoni Heda) – dowódca zgrupowania nr 4, dowódcy oddziałów: kpt. „Dzik” (Marian Świdorski), por. „Habdank” (Jerzy Oskar Stefanowski), ppor. „Gwer” (Romuald Szumielewicz), prof. dr Jerzy Rogowski – brat por. „Czarki”, „Baśka” (Danuta Barańska) – była łączniczka KG AK.

Oraz żyjący i nieżyjący żołnierze:

z plutonu ochronnego: kpr. pchor. „Leszek Biały” (Leszek Zahorski),

od „Nurta”: ppor. „Halny” (Zdzisław Rachtan), który swoją wiarą w wielkość mjra „Ponurego” potrafił mnie zarazić w czasach, gdy stało to w sprzeczności z oficjalnymi poglądami, „Wacław” i „Janusz” (bracia Franciszek i Jan Wojtasiewiczowie), „Sowa” (dr Ryszard Gugąła), „Kordian” (Władysław Ołtarzewski), „Orkan” (Mieczysław Kazimierski), „Zulejka” (Andrzej Kasten),

od „Robota”: „Lin” – Janusz Skalski (ten, który wojnę z Niemcami w dywersji zaczął jako jeden z pierwszych, bo jeszcze w „Wachlarzu”, na Wschodzie, od 1941 roku, a potem towarzyszył „Ponuremu” aż do śmierci pod Jewłaszami na Nowogródzczyźnie, i wobec którego mam szczególny przyjacielski dług wdzięczności), „Konrad” (Józef K. Wroniszewski), „Znicz” (Jan Zb. Wroniszewski), „Bartek” (Tadeusz Chmielowski), „Bystry” (Zbigniew Jakubowski), „Lis” (Marian Pietras),

od „Mariańskiego”: „Walter” (Jan Czernikiewicz) i „Bór” (Zbigniew Lange).

Dzieje „Ponurego” na Ziemi Nowogródzkiej nie mogłyby być odtworzone w pełnej, prawdziwej relacji, gdyby nie pomoc: mjra „Warty” (Stanisława Sędziaka) – cichociemnego, szefa sztabu Okręgu Nowogródzkiego, „Rybaka” (Stefana Nowaczyka) – szefa wywiadu VII batalionu, „Jontka” (kmdra dra Jana Kondrata) – lekarza VII batalionu, a także por. „Okonia” (Eugeniusza Klimowicza) – dowódcy 2 kompanii.

Dziękuję im wszystkim za to, czego od nich doznałem.

Dzięki pomocy takich ludzi, których tu symbolicznie wymieniłem, powstały świadectwa prawdy, pisane dowody tego, co było przez wiele lat ukrywane lub wypaczane.

Warszawa 11 listopada 1992 r.

Cezary Chlebowski

Wykaz zdjęć i fotokopii dokumentów

Wkładka I – zdj. 1-22

1. Mjr „Ponury” – Jan Piwnik
2. Jan Piwnik jako ośmioletni chłopiec
3. Jan Piwnik – uczeń VI klasy gimnazjum im. J. Chreptowicza
4. Klasa VI (1930 r.) gimnazjum w Ostrowcu Świętokrzyskim
5. Klasa maturalna (1932) gimnazjum im. J. Chreptowicza
6. Jan Piwnik – absolwent gimnazjum w Ostrowcu
7. Kadra oficerska Policji Państwowej w Kowlu na Wołyniu w 1935 roku
8. Ppor. Jan Piwnik na czele baterii PAC w Przemyślu
9. „Marcysia” – Emilia Malessa, żona „Ponurego”
10. Aspirant Policji Państwowej Jan Piwnik (1938)
11. 84-letnia Zofia (+1972) i 94-letni Jan (+1971) Piwnikowie, rodzice mjr. „Ponurego”
12. Gen. Władysław Sikorski dekoruje w dniu 20. VIII. 1942 r. w Audle End por. „Kawę” – Michała Fijałkę – Krzyżem Virtuti Militari
13. Kpt./ppłk cc. dr „Wania” – Alfred Paczkowski
14. Por. cc. „Bocian” – Mieczysław Eckhardt
15. Ppor. „Ryś” – Marian Czarnecki
16. „Azor” – Piotr Downar
17. Por. „Marian” – Marian Przysiecki
18. Ppor. „Motor” – Jerzy Wojnowski
19. „Dziunia” – Jadwiga Snopkówna
20. „Mery” – Maria Snopkówna
- 21-22. Karta ewidencyjna w Wachlarzu por. „Donata” „Ponurego” – Jana Piwnika

Wkładka II – zdj. 23-44

23. Fotokopia meldunku kpt. „Wani” o wyjściu patrolu, którego uczestnicy zostali aresztowani pod Dawidgródkiem
24. Por. cc. „Czarka” – Jan Rogowski
25. Por./kpt. cc. „Kawa” – Michał Fijałka
26. Por./kpt. cc. „Kra” – Wacław Kopisto
27. Por. c.w. „MSZ” – Władysław Hackiewicz
28. „Żbik” vel „Jastrząb” – Żbigniew Słonczyński
29. „Płomień” – Władysław Westwalewicz
30. „Kmicic” – Henryk Hołub
31. „Ryks” – Czesław Hołub
32. „Pakunek” – Henryk Fedorowicz
33. „Esman” – Zygmunt Sulima
34. „Mały” – Antoni Kończal
35. „Duglas” – Antoni Langner
36. „Monter” – Edward Pobudkiewicz
37. „Drucik” – Bolesław Posłuszny
38. Niemieckie władze okupacyjne w styczniu 1942 roku powołały w Pińsku do życia „Komitet Polski”

39. Apteka mgr. Wojnarowskiego w Pińsku
40. Katedra w Pińsku
41. Brama wjazdowa do więzienia
42. Oryginalny plan pińskiego więzienia wykonany przez por. „Kawę”
- 43-44. Karta ewidencyjna w „Wachlarzu” ppor. „Matora” – Jerzego Wojnowskiego

Wkładka III – zdj. 45-57

45. Niemieckie obwieszczenie o rozstrzelaniu 30 zakładników
46. Zbiorowa mogiła na cmentarzu w Janowie Poleskim
47. Pierwsza tablica upamiętniająca rozstrzelanych zakładników
48. Pomnik odsłonięty 5. VII. 1969 r. w Janowie Poleskim
- 49-50. Prof. Felicjan Śliwiński i dr Stanisław Demecki
51. Tablica umieszczona w katedrze pińskiej
- 52-56. Raport por. „Ponurego” o przygotowaniach i przebiegu działań w Pińsku
57. Pińsk – ulica Marszałka Piłsudskiego

Wkładka IV – zdj. 58-73

58. Rozkaz gen. „Grota” o odznaczeniach nadanych za akcję pińską
- 59-60a. Uzasadnienie nadanych Krzyży Walecznych i Virtuti Militari
- 61-62. Reportaż z przebiegu działań grupy por. „Ponurego”, rozbijającej więzienie pińskie
- 63-64. Nadanie Krzyża Virtuti Militari por. Janowi Piwnikowi i zaproszenie „Doktora” oraz „Ponurego” i „Czarękę” na uroczystość wręczenia odznaczeń
65. Fotokopia powojennych zeznań Józefa Kesslera
66. Zaświadczenie wydane Marii Snopkówny przez więzienie pińskie
67. Meldunek „Dęba” do „Doktora” o wykupieniu por. „Mariana”
68. Meldunek „Dęba” do „Doktora” o przewiezieniu „MSZ-ta” do warszawskiego gestapo
69. Meldunek „Dęba” do „Doktora” o zastrzeżeniach „Matora” odnośnie „Mery” – Marii Snopkówny
70. Grób sióstr Snopkówn
71. Por. Marian Przysiecki, jak wielu żołnierzy „Wachlarza”, nie ma mogiły nawet symbolicznej
72. 7.IV.1981 r. w kościele Św. Floriana w Warszawie poświęcono tablicę ku czci Mariana Przysieckiego i innych
73. W 25 rocznicę rozbicia więzienia pińskiego 18.1968 roku w klubie redakcji WTK w Warszawie zebrali się żołnierze Armii Krajowej, a wśród nich m.in. żyjący jeszcze wtedy uczestnicy tej akcji

Wkładka V – zdj. 74-95

74. Por. cc. „Ponury” – Jan Piwnik
75. Por. cc. „Nurt” – Eugeniusz G. Kaszyński
76. Ppor. cc. „Robot” – Waldemar M. Szwiec
77. Ppor. „Mariański” – Stanisław Pałac
78. Ppor. cc. „Mocny” – Rafał Niedzielski
79. Ppor. „Jurek” – Władysław Czerwonka
80. Kpr. „Wilk” – Józef Domagała
81. Ppor. „Witek” – Wincenty Waligórski
82. Chor. „Szot” – Tomasz Waga
- 83-84. Luźne dotąd oddziały „Jurka”, „Oseta”, „Wilka”, „Szorta” i „Grota” schodzą na Wykus pod komendą „Ponurego”
85. Forsowna gimnastyka poranna w obozie „Ponurego”
86. Oficerowie szkolą leśne wojsko

87. Ppor. „Wilczyński” prowadzi szkolenie z bronią maszynową
88. Chwila odpoczynku kadry oficerskiej Zgrupowań
- 89-90. Pod okiem Komendanta „Ponurego” na Wykusie w końcu czerwca 1943 powstały solidne szałas
91. Pod Łączną (2.VII.43) zginął „Ignac” – Bronisław Zaczekiewicz
92. Pierwsze tygodnie obozowania na Wykusie cechował daleko posunięty prymityw
93. Komendant „Ponury” zasypia nawet z głową na kamieniu
94. Zespół konspiracyjny produkujący broń pod kierunkiem inż. Czerniewskiego, zebrany na sesji historycznej w dniu 15 maja 1964 roku w Suchedniowie
95. „Korebko” – inż. Kazimierz Czerniewski

Wkładka VI – zdj. 74-95

96. Płk dypl. „Daniel” – Stanisław Dworzak
97. Ppłk „Jan”, „Rawicz” – Jan Stenzel
98. Powitanie na Wykusie szefa sztabu Okręgu ppłk. „Rawicza” Jana Stenzla
- 99-100. Lipcowa przysięga żołnierska na zagospodarowanym Wykusie miała wyjątkowo uroczystą oprawę
101. Partyzancki obiad po jednej z pierwszych odpraw łączniczek Zgrupowań na Wykusie
102. W solidnych szałasach żołnierz partyzancki czuł się dobrze i bezpiecznie
- 103-106. Rozkaz „Ponurego” zawierający resume obowiązków żołnierza Armii Krajowej i jego tłumaczenie wydobyte po wojnie z akt gestapo
107. Nazajutrz po partyzanckiej przysiędze miała miejsce pacyfikacja Michniowa
108. W odwet za mord w Michniowie, „Ponury” uderzył na niemiecki pociąg
109. W tydzień po akcji na pociąg, niemiecka obława uderzyła na Wykus
110. Partyzancki odskok utrudniał agent w leśnych szeregach, który rzucał za wojskiem bibułki do papierosów „Solali”
111. Śmiertelnie zmęczone nieustannym pościgiem Zgrupowania „Ponurego” zgubiły Niemców dopiero w początkach sierpnia
112. Powracających żołnierzy „Ponurego” czekało na Wykusie gruntownie zniszczone obozowisko

Wkładka VII – zdj. 113-129

113. Sztab Zgrupowań Partyzanckich „Ponury” w sierpniu 1943
114. Por. „Habdank” – Jerzy O. Stefanowski
115. Ppor. „Dzik” – Marian Świdorski
116. Wachm. „Tarzan” – Tomasz Wójcik
117. Ppor. cz.w. „Oset” – Władysław Wasilewski
118. Ppor. „Szary” – Antoni Heda
119. List „Ponurego” do ojca „Oseta” – Władysława Wasilewskiego
120. Nowe szałas na Wykusie nie były już tak solidne, jak tamte, rozbite przez Niemców
- 121-122. Większość oficerów „Ponurego” miała założone karty informacyjne w kartotekach radomskiego gestapo. Głównym informatorem był agent o pseudonimie „Garibaldi”, czyli „Motor”. Fotokopia karty por. cc. „Nurta”
123. Poranna toaleta w wykusowym strumieniu – Łubiance
124. Chwila odprężenia na Wykusie
125. Kpt. „Kazbek” – NN, oka drużyny Gruzinów
126. Dowódca zgrupowania 3 ppor. „Mariański” – Stanisław Pałac
127. W tydzień później 23 VIII 1943 Gruzin „Sowa” zginął na Kamieniu Michniowskim w walce z żandarmerią

128. Ppor. „Mariański” – Stanisław Pałac prowadzi szkolenia obsługi obozu

129. Odpoczynek po ćwiczeniach

Wkładka VIII – zdj. 130-145

130. Przy partyzanckim ckmie

131. Krótkofalówka Zgrupowań przy pracy

132. W ostatnich dniach sierpnia do Zgrupowań dołączył konny oddział „Tarzana” – Tomasza Wójcika (dolny rząd w środku), który kilka dni przedtem zlikwidował niemieckiego generała

133. W czterdzieści lat po wojnie na polnym kamieniu przy szosie żołnierze „Ponurego” umieścili tablicę

134. Wachm. „Tarzan” – Tomasz Wójcik (z lewej) i wachm. „Dobiecki” – Edmund Rachubiński

135. Centrum cmentarza w Ćmielowie stanowi dziś kwatera partyzancka 32 żołnierzy oddziału „Tarzana”, poległych na polach wsi Wola Grójecka w dniu 7 lipca 1944

136. „Jerzy” – Feliks Konderko oraz pchor. „Sylwester” – Zdzisław Toborek

137. W dzikich i pełnych wykrotów lasach osieczyńskich, rannych noszono na ramionach po kilkanaście kilometrów

138. Żołnierze oddziału „Szorta”

139. Tabory ppor. „Matora”

140. Wachm. „Tarzan” (drugi z lewej) odpoczywa w dziurawym szałasie

141. Strz. „Grażyna” – Grażyna Śniadecka i ppor. „Jurek” – Władysław Czerwonka

142. Spokojny sen por. „Nurta” pod gołym niebem

143. Przemieszczające się 400-osobowe Zgrupowania tworzyły na leśnych duktach kolumnę długości ponad pół kilometra

144. Wachm. „Tarzan” (z lewej) przyjmuje raport od dcy sekcji erkaemów „Prymusa” – Mieczysława Kazimierskiego

145. 23 VIII 1943 w walce z żandarmerią padł m.in. żołnierz chor. „Szorta”: „Noc” Jan Łakomicz

Wkładka IX – zdj. 146-162

146. Ppor. „Robot” – Waldemar M. Szwiec – składa meldunek Komendantowi „Ponuremu”

147. Najokazalej prezentuje się Pluton Warszawski w hełmach

148-149. „Ponury” przed frontem „Robotowców” rozmawia z 14-letnim „Sokolikiem” – Henrykiem Fąfarą

150. Uciążliwą dotąd w transportowaniu ciężką broń maszynową umocowano na zwrotnych konnych taczankach

151. Żołnierze Plutonu Warszawskiego Zgrupowania ppor. „Robota”

152-153. Sztandar Zgrupowań ufundowany przez społeczeństwo Kielecczyny, a wykonany przez Włodzimierza Giedycha i jego rodzinę

154. Odnaleziony po ćwierćwieczu sztandar, został w dniu 16 VI 1968 okazany zebrany przy ognisku na Wykusie – żołnierzom Komendanta

155. W dziesięć lat później, 17.IX.1978 sztandar został przekazany do Muzeum Jasnogórskiego

156. Partyzancka komunია

157. Nad grobem poległego kolegi

158. Inspektor „Jacek” – Jan Kosiński i ks. „Robak” – Marian Majecki na przejażdżce konnej

159. „Szeczerba” – Bogusław Modzerowski

160. „Łotyszka” – Maria Łopacińska, łączniczka Zgrupowań z KG AK

161. Przegląd Zgrupowań na Łysicy

162. Na Łysicy nie było nawet najprymitywniejszych szałasów

Wkładka X – zdj. 163-183

163. Ostatnie wrześniowe zdjęcie na Wykusie rannego por. cc. „Czarki” – Jana Rogowskiego
164. Od lewej chor. „Szort” – Roman Waga, NN, „Halny” – Zdzisław Rachtan, NN
- 165-166. i 169-170. Tajne pismo i utajniony telex gestapo o przebiegu obławy na sztab „Ponurego”, wizytowany w młynie Cioka przez płka „Nila”
167. Gen bryg. „Nil” – August Emil Fieldorf
168. St. strz. „Jędrus” – Andrzej Pasek poległ 6 X 1943
171. Strz. „Grażyna” – Grażyna Śniadecka zginęła 14 X 1943 w Wielkiej Wsi
172. Fotokopia dokumentu gestapo dystryktu Radom, mówiącego o mechanizmie wsypy „Robota” i jego pocztu w Wielkiej Wsi
173. 26 X 43 rano została dostarczona na Wykus ostatnia partia – 21 sztuk – z rozbijanej właśnie fabryki w Suchedniowie
174. „Olgierd” – Olgierd Frank Wiszniewski (z prawej) i „Broniek” – Bronisław Sianoszek
175. Steny już na strzelnicy
- 176-178. Oddział Inspektora „Jacka” – Jana Kosińskiego – liczy jeszcze 28 ludzi. Za chwilę 23 z nich będzie martwych, a wśród nich rodzeństwo: nauczycielka „Emilia” – Maria Marchewska z d. Adamczyk i „Longin” – Tadeusz Adamczyk
179. Polegnie także „Zjawa” – Ludmiła Stefanowska
180. Strz. Poranek” – Józefa Wasilewska, zostanie tu ciężko ranna
181. Zginie także sekcyjny „Czajek” – Witold Jurczyński
182. Gdy z Wykusu odeszli Niemcy...
183. Po wojnie, w miejscu zbiorowej mogiły pozostał symboliczny krzyż

Wkładka XI – zdj. 184-199

184. Po stracie taborów transport partyzancki odbywał się za pomocą juków
185. Zgrupowania przeniosły się na Szczytniak
186. Zgrupowanie 3 ppor. „Mariańskiego” – Stanisława Pałaca na zbiórce pod Jeleniowem
187. Przy ognisku na Szczytniaku
188. „Ponury” i „Nurt” przed frontem Zgrupowań na Szczytniaku w listopadzie 1943
189. Msza polowa na Szczytniaku w dniu 11 listopada
190. W miesiąc po obławie Niemcy rozlepili na drzewach wokół Wykusu plakat
191. Komendant „Ponury” podczas nanoszenia oleatów na mapę na Szczytniaku
192. Część żołnierzy skierowanych zostało na meliny zimowe m.in. do Starego Skoszyna
- 193-194. 7 XI 43 zginął pod Rogami dca plutonu koneckiego „Robotowców” kpr. „Allan” – Tadeusz Jencz, a w jakiś czas później (2 II 1944) w Błotach k. Suchedniowa – szef zgrupowania kpr. „Boruta” – Albin Żołądek
- 195-196. Preliminarz na I kwartał 1944 Zgrupowań wysłany do Komendy Okręgu AK w dniu 10 XII 43 nie doczekał się nawet odpowiedzi. W preliminarzu w wykazie oficerów znajdują się również pobory dla ppor. „Matora”
197. Pozostałej w zaśnieżonym lesie grupki kadrowej strzegły liczne i czujne patrole
- 198-199. Kartka „Ponurego” do szefa warszawskiej bazy zaopatrzenia Zgrupowań por. cc. „Czarki” – Jana Rogowskiego

Wkładka XII – zdj. 200-217

- 200-201. Pisma przewodnie: do Komendanta Głównego Armii Krajowej oraz do dowódcy Kedywu, do których „Ponury” dołączył swój dramatyczny meldunek z 3 I 44
202. Dwujęzyczne zaświadczenie Rady Głównej Opiekuńczej, firmujące transport zimowej odzieży dla leśnego wojska

203. Znaleziono przy „Czarce” także kartkę z marszrutą dla samochodu
204. Rozkaz kontrwywiadu KG AK polecający likwidację „Motora”
205. Wykonawcą wyroku Podziemnej Polski był chor. „Szort” – Tomasz Waga
- 206-208. Trzy meldunki różnych szczebli służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych AK dotyczące likwidacji siatki „Motora”
209. Jednym z tych, którzy pomogli wykryć zdradę „Motora”, był Austriak Karl Landl b. żandarm z Łopuszna
210. Na wiosnę 1944 odtworzono Zgrupowania. Na zdjęciu kompania ppor. „Jurka”
211. W kompanii por. „Habdanka” podjęto produkcję pistoletów maszynowych
212. Odbudowanym zwiadem konnym dowodził pchor. „Bogoria” – Stanisław Skotnicki
213. Leśny warsztat rusznikarski produkował dwa typy automatów: KISy i steny
214. W sierpniu 1944 Zgrupowanie „Nurta” podjęło marsz na pomoc powstańczej Warszawie
215. W październikowych walkach batalionem i kompaniami dowodzili oficerowie ze starej ponurowskiej kadry
216. Po dramatycznej bitwie pod Chotowem, żołnierzy zepchniętych do głębokiego lasu przysypał śnieg
217. Dziś w kwaterze partyzanckiej na cmentarzu w Olesznie leżą żołnierze Świetkorzyskich Zgrupowań polegli pod Chotowem

Wkładka XIII – zdj. 218-231

218. W kwietniu 1944 roku por. „Ponury” wyprowadził do lasów nad Niemnem swoich nowogródzkich żołnierzy
219. Ppłk dypl. „Kotwicz” – Maciej Kalenkiewicz
220. W maju 1944 roku VII batalion 77 pp AK por. „Ponurego” miał swoją przysięgę
221. Moment przysięgi
222. Część grupy Kedywu, która w lutym 1944 przybyła z Warszawy wraz z mjr. dypl. „Kotwiczeni” - Maciejem Kalenkiewiczem i por. cc. „Ponurym” – Janem Piwnikiem na Nowogródzczyznę
223. W miejscu (+) w dniu 16 VI 1944 padł „Ponury” w walce o stützpunkt Jewłasze
224. Przy trumnie „Ponurego” – sanitariuszka „Teresa”
225. Za trumną Komendant Okręgu Nowogródzkiego i oficerowie batalionów 77 pp AK
- 226-227. Kondukt rozciągnął się na przestrzeni 7 kilometrów
228. Rozkaz szczególny Komendanta Okręgu wydany w związku ze śmiercią por. „Ponurego”, jego adiutanta ppor. „Małego” – Bronisława Filipowicza i 6 żołnierzy
229. Miejscowa prasa konspiracyjna ośrodka „Łąka” pośmiertnym wspomnieniom o poległych poświęciła cały numer z 21.6.44
230. Kościół w Wawiórcie
231. Na przykościelnym cmentarzu w Wawiórcie od 43 lat spoczywają prochy mjr. „Ponurego” – Jana Piwnika

Wkładka XIV – zdj. 232-245a

- 232-233. 15 września 1957 roku żołnierze „Ponurego” i „Nurta” zebrani na Wykusie poświęcili kapliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej Bolesnej. Od 1969 roku w czerwcu, w rocznicę śmierci mjr. „Ponurego”, polana na Wykusie jest miejscem dorocznych partyzanckich spotkań, a także tradycyjnych przyrzeczeń harcerskich drużyn noszących imię „Ponurego”
234. Pomnik-kapliczka na Wykusie składał się ze 104 cegieł-pseudonimów tych, którzy w latach 1943-1944 polegli w walce
235. Od 1985 roku na Placu mjr. Piwnika w Wąchocku stoi 4-metrowy posąg z piaskowca Komendanta „Ponurego”

236. 7 VII 1985 z okazji przenosin pomnika sprzed klasztoru w Wąchocku na stały postument zebrali się żołnierze „Ponurego”
237. Irena Rowecka-Mielczarska – córka gen. „Grota” podczas gawędy przy czerwcowym ognisku na Wykusie
238. W domu Jana Piwnika we wsi Janowice mieści się Kwatera mjr. „Ponurego”
239. Ks. Biskup Edward Materski wpisuje się do Księgi Pamiątkowej w Kwaterze „Ponurego”
- 240-241. Ornat подарowany Ojcu Benedyktowi przez żołnierzy „Ponurego” i „Nurta”
242. Delegacja oficerska w Mominie 5 V 1985 poświęciła w hełmie-urnie ziemię z pola bitewnego na Wykusie, którą następnie zawiozła na Sowiniec
243. 21 IX 1986 w Suchedniowie została poświęcona tablica ku czci mjr. „Nurta”
244. W 1982 roku – w XXV rocznicę wzniesienia na Wykusie kapliczki-pomnika wydany został pamiątkowy medal
- 245-245a. W 1983 roku 120 rocznicę Powstania Styczniowego oraz 40 rocznicę powstania na Wykusie Zgrupowań Partyzanckich uczczono pamiątkowym medalem
- Wkładka XV – zdj. 246-259**
246. W miejscu, gdzie stał namiot „Ponurego”, dziś bieleje kapliczka
247. Szlak bojowy Jana Piwnika w latach 1939-1944 – eksponat z Kwatery mjr. „Ponurego” z Janowic
248. Msza Św. Polowa na dziedzińcu Klasztoru OO Cystersów w Wąchocku
249. W 1985 roku poświęcony został pomnik mjr. Piwnika
- 250-251. Specjalne koperty i okolicznościowe kasowniki wydane z okazji partyzanckich rocznic
- 252-253. Partyzanci „Ponurego” i „Nurta” obdarowali ornatem także proboszcza z Kalkowa
254. Pod Smarkowem, gdzie 13 IX 1943 r. Zgrupowanie „Robota” rozbiło niemiecką ekspedycję karną, dziś leży olbrzymi głaz-pomnik z krzyżem i okolicznościową tablicą
255. Pod Wielką Wsią w miejscu śmierci ppor. cc. „Robota” – Waldemara M. Szwieca i jego pocztu stoi pomnik z marmurową tablicą
256. Takim głazem-pomnikiem uczcili koledzy-partyzanci poległych w Wólce Plebańskiej 4 IX 1943
257. Ludność Chotowa pomnikiem z kamieni polnych upamiętniła żołnierzy mjr. „Nurta”, poległych 30 X 1944 r.
258. Na czerwcowe ognisko na Wykus przyjeżdżają miłośnicy prawdy historycznej z całej Polski
259. Nowy wizerunek Matki Boskiej Bolesnej z Wykusu
- Wkładka XVI, zdjęcia 260-277**
260. Sosnowa trumna z prochami mjr „Ponurego” oczekiwała w refektarzu klasztoru OO Cystersów w Wąchocku
261. W Janowicach zmianami wart kombatanckich rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe
262. Na polanie na trumnę oczekiwali biskupi
263. Przed kapliczką zaciągnięto harcerskie warty
264. Kpt. Marian Świdorski „Dzik” złożył komendantowi uroczysty raport
265. Ppłk dypl. Wojciech Borzobohaty „Wojan” dekoruje trumnę Krzyżem Złotym Orderu Wojennego Virtuti Militari, nadanym przez Prezydenta RP na Uchodźstwie w Londynie
266. Z upoważnienia Rady Starszych komendanta pożegnał dr Cezary Chlebowski
267. Do pierwszej po wojnie odprawy AK-wskich sztandarów stanęły 73 poczty Następnie przed trumną komendanta przedefilowały w ostatnim hołdzie:
268. ...AK-owskie sztandary...
269. ...Żołnierze okręgowych siatek...
270. ...Harcerska młodzież...

271. ...Przybysze z całej Polski...
272. Na wąchockim rynku, pod swoim pomnikiem, „Ponury” odbierał ostatnią defiladę
273. Harcersko-ułński patrol z Krakowa
274. Żołnierze AK na całonocnym czuwaniu przy trumnie komendanta „Ponurego”
275. Msza połowa w Wąchocku
276. Tu spoczął
277. 800-letni klasztor OO Cystersów w Wąchocku

Spis treści

Wstęp

Powrót do kraju Część I

Wkładka I

„Wachlarz” Część II

Kapitan „Wania” wchodzi w teren

„Chyba «Motor», panie kapitanie”

Perypetie „Mariana”

Nowi aktorzy – na scenę

Niefortunny Dawidgródek

Wkładka II

„Poruczniku »Ponury«, działać szybko!”

Odskok

Wkładka III

Niemiecki odwet

„Pomóżcie uratować matkę”

Wierny sługa wielu panów...

„MSZ” odchodzi pierwszy

Siostry Snopkówny – tragiczna zagadka

„Motor” zdobywa pełne zaufanie

Tragiczna msza u Św. Floriana

Wkładka IV

Wokół Wykusu Część III

Śmiała myśl nabiera kształtu

Wkładka V

„Szukajcie stenów na niebie...”

Wykus – Świętokrzyska Republika Partyzancka

Cios i odwet pod Michniowem

Wkładka VI

Żółte bibułki „Solali”

Wkładka VII

Pod Witosławską

Łącznik z czarnym oplem

Wkładka VIII

Samodzielne Zgrupowania

Wkładka IX

Trzy minuty na Barwinku

W młynie Cioka

Rozrachunek w Wielkiej Wsi

„Blonku, ile ziandalmelów”

Wkładka X

Trzecia obława

„Korebko” wydany

Nieudany dublet

[Wkładka XI](#)

[Melina na Krochmalnej](#)

[„Czarka” jest następny...](#)

[Spiszek przeciwko „Ponuremu”](#)

[Wkładka XII](#)

[Ostatnia wsypa „Motora”](#)

[Wyrok](#)

[Potem Część IV](#)

[Wkładka XIII](#)

[Posłowie](#)

[Wkładka XIV](#)

[Wkładka XV](#)

[Wkładka XVI](#)

[Wykaz zdjęć i fotokopii dokumentów](#)